

JEŚLI JO NESBØ TO DLA CIEBIE ZA MAŁO...

MYŚLELI, ŻE JEST
BEZPIECZNA.
DOPÓKI PRZESZŁOŚĆ
NIE ZAPUKAŁA DO DRZWI.

PUK PUK

*Arcydzieło w gatunku thrillera! Brutalny, trzymający w napięciu,
inteligentny. Zaparło mi dech w piersiach.*

LIZA MARKLUND

ANDERS ROSLUND

ALBATROS

ANDERS ROSLUND

PUK PUK

Ze szwedzkiego przełożył
WOJCIECH ŁYGAŚ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

POWIEŚĆ NOMINOWANA DO SZWEDZKIEJ NAGRODY „KSIĄŻKA ROKU 2020”

Właśnie skończyła pięć lat, na stole wciąż stoi reszta tortu urodzinowego ze świeczkami.

Wszyscy są dla niej tacy mili! Mama i tata pozwalają jej biegać po mieszkaniu i głośno śpiewać, brat i siostra nie zabierają jej swoich zabawek.

Czy dlatego, że jest już taką dużą dziewczynką? Nie. Dlatego, że od trzech dni cała czwórka nie żyje.

Dokonano na nich egzekucji, która wyraźnie wskazuje na gangsterskie porachunki.

Ona przeżyła tylko dzięki temu, że była ukryta, i staje się potencjalnym świadkiem.

Siedemnaście lat później ktoś włamuje się do mieszkania, gdzie doszło do tamtej tragedii. Inspektor Grens, który wciąż pamięta, jak wynosił z niego przerażoną pięciolatkę, zaczyna się obawiać o jej bezpieczeństwo. Zwłaszcza że giną kolejne osoby powiązane z jej zamordowanym ojcem. Tymczasem dziewczynka, która jest już dorosłą kobietą, zapada się pod ziemię. A on wie, że musi ją znaleźć... zanim zrobią to inni.

ANDERS ROSLUND

(ur. 1961)

Szwedzki pisarz i dziennikarz specjalizujący się w tematyce społecznej i kryminalnej. Przez wiele lat pracował w telewizji SVT.

Jest autorem siedmiu powieści, które napisał wspólnie z nieżyjącym już Börge Hellströmem. Zadebiutowali w 2004 roku thrillerem *Bestia*, który został uznany przez Szwedzką Akademię Literatury za Najlepszą Powieść Roku (podobnie jak opublikowane pięć lat później *Trzy sekundy*) oraz otrzymał Szklany Klucz – najbardziej prestiżową skandynawską nagrodę w dziedzinie kry- minalu.

Zarówno *Bestia*, jak i *Trzy sekundy* doczekały się ekranizacji. W tej drugiej, z 2019 roku, wystąpili Joel Kinnaman, Clive Owen, Rosamund Pike, a także polski aktor, Mateusz Kościukiewicz.

Puk puk jest drugą powieścią napisaną przez Roslunda samodzielnie, choć w poprzedniej – *Trzy godziny* – z szacunku dla wieloletniej współpracy i przyjaźni z Börge Hellströmem zdecydował się umieścić jego nazwisko jako współautora.

Anders Roslund i börge Hellström

DZIEWCZYNA, KTÓRA CHCIAŁA SIĘ ZEMŚCIĆ

ODKUPIENIE

DZIEWCZYNA W TUNELU

BESTIA

DWAJ ŻOŁNIERZE

TRZY SEKUNDY

TRZY MINUTY

TRZY GODZINY

Anders Roslund

PUK PUK

Tytuł oryginału:
AMÅHONLEVA

Copyright © Anders Roslund 2019

All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Wojciech Łygaś 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki brytyjskiej: Eric Fuentesilla

Zdjęcie na okładce: © Karina Vegas/Arcangel Images

Opracowanie graficzne okładki polskiej: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Część czwarta

Część piąta

Część szósta

Część siódma

Część ósma

Część dziewiąta

Wielkie podziękowania od Autora

WCZEŚNIEJ

MAM JUŻ PIĘĆ LAT.

No... trochę więcej.

Dokładnie pięć lat, kilka dni i kilka nocy.

Pamiętam, bo to było całkiem niedawno... Siedziałam przy kuchennym stole z mamą po jednej i tatą po drugiej stronie. Naprzeciwko nas siedziało moje rodzeństwo – Eliot i Julia. Udało mi się za jednym razem zdmuchnąć pięć świeczek na torcie. Czerwone płomienie były lekko niebieskawe, ale tylko na samym dole, gdy przyjrzałam się im dokładniej.

Pięć lat, kilka dni i kilka nocy.

Na początku jak zwykle odchrząkuję i mam zadowoloną minę. Często tak robię, kiedy śpiewam tę piosenkę. Bardzo ją lubię. *Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...* Śpiewam ją głośno i mój głos odbija się od sufitu i ścian i do mnie wraca.

Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

Gdy śpiewam, nie słyszę telewizora, w którym ciągle lecą programy dla dzieci. Oglądam je prawie cały dzień. Dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj. Wcześniej rodzice mi tego zabraniali. Teraz już mi wolno.

Wstaję, bo nogi chcą się poruszać i trudno mi usiedzieć na podłodze. Często tak jest. Kiedy wybiegam z dużego pokoju, muszę zachować ostrożność, bo kanapa jest prawie nowa. Nie wolno mi też dotykać szklanego stolika, żeby nie zostawały na nim ślady palców.

W drodze do pokoju Eliota podskakuję na jednej nodze. Mój brat siedzi na prawdziwym biurowym fotelu i udaje, że coś czyta przy zapalanej lampce. Od razu widzę, że tylko rozłożył książkę. Eliot na pewno umie czytać, bo chodzi do drugiej klasy. Od niedawna traktuje mnie z większą

sympatią. Pewnie dlatego, że skończyłam pięć lat i jestem dużą dziewczynką. Przestał mnie nawet odganiać od swojego toru wyścigowego, który rozłożył wysoko na szafce, żebym nie mogła go osiągnąć. Dwa razy wygrałam. Jeżdżę niebieskim samochodzikiem z żółtym paskiem na dachu. Brat nigdy wcześniej mi na to nie pozwalał.

Zawsze podskakuję na jednej nodze. Najpierw na lewej, potem na prawej. Jeśli z jakiegoś powodu skaczę albo idę na obu nogach, zawracam i zaczynam od nowa. Sama to wymyśliłam.

W pokoju Julii stoi domek dla lalek. Nie wolno mi go dotykać, a jeśli to robię, starsza siostra od razu biegnie do mojego pokoju i zaczyna potrząsać moim domkiem. Julia śpi na brzuchu twarzą do ściany. Nie widzi, że część mebelków, które powinny stać w górnym pokoiku, przeniosłam na sam dół.

Tym razem nie skaczę, bo mogłabym ją obudzić. Muszę się wymknąć z pokoju po cichu, bo jeśli Julia się obudzi i zobaczy, że ruszam jej domek, zacznie na mnie krzyczeć, a może nawet uderzy mnie kilka razy w ramię.

Mama siedzi w kuchni na krześle i śmieje się. Nie na głos, tylko samymi ustami. Śmieje się na widok tego, co wyprawiają moje pięcioletnie stópki. Od niedawna jest taka radosna. To fajnie, bo kiedy się śmieje i jest wesoła, wcale jej nie przeszkadza, że z kartonu cieknie mi po brodzie sok pomarańczowy albo że wysypuję na stół trochę mąki, dodaję cukru pudru i bawię się w robienie ciasta. Chwytam za krawędź stołu, podciągam się i siadam jej na kolanach. W takiej pozycji łatwiej mi z nią porozmawiać – mogę przyłożyć ucho do jej brzucha i piersi i wsłuchiwać się w głos, który jest w środku, jeszcze zanim wydostanie się na zewnątrz.

Potem, kiedy już posiedzę na jej kolanach, zsuwam się na podłogę i skaczę na jednej nodze do przedpokoju, gdzie stoi skrzypiące wiklinowe krzesło. Tata często na nim siedzi i czyta gazety. W mieszkaniu jest teraz znacznie spokojniej niż zwykle. Nie słychać skrzypienia butów, szelestu

ubrań ani trzaskania parasoli w stojaku. Krzesło jest duże, większe od fotela. Zazwyczaj siadam obok taty, bo wydaje mi się, że chce, żebym zajęła właśnie to miejsce. Dzięki temu może bez problemu przerzucać szeleszczące duże strony gazet.

Eliot i Julia, mama i tata. Teraz lubię ich o wiele bardziej niż wcześniej. Mogę mówić tyle, ile chcę, a oni mnie słuchają. Dobrze jest mieć pięć lat, kilka dni i kilka nocy.

Znowu zaczynam śpiewać *Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...* Robię to tak głośno, że nie słyszę dzwonka do drzwi. Kiedy kończę, zaczynam od nowa. W końcu przestaję śpiewać i dopiero wtedy go słyszę. Zeskakuję z wiklinowego krzesła i pędzę do drzwi. Jeśli stanę na palcach i podskoczę, dosięgnę specjalnego przycisku przy klamce. Wystarczy go nacisnąć i drzwi się otworzą.

Mama mnie nauczyła, że drzwi trzeba zamykać na zamek. Żeby tak się stało, przycisk z błyszczącego metalu powinien przypominać uśmiechniętą buzię, a nie skrzywiony nos.

I właśnie ten przycisk próbuję teraz nacisnąć.

STYLOWE DRZWI Z POCZĄTKU dwudziestego wieku, zrobione z ciemnego twardego drewna, dobrze się komponują z przytłumionym dźwiękiem dzwonka, który stopniowo wypełnia klatkę schodową z jej lekko zaokrąglonymi stopniami, w których są płytkie wgłębienia. Elegancko wykończony wysoki sufit pomalowany jest na biało, a kwieciste tapety sprawiają wrażenie, jakby wyrastały prosto ze ścian. Komisarz Ewert Grens stoi przed drzwiami mieszkania w centrum Sztokholmu i po raz trzeci naciska dzwonek.

– Jestem pewien, że ktoś tam jest – mówi cienkim, poirytowanym głosem stojący za Grensem mężczyzna. – Słyszę ich całymi dniami. Dźwięki dobiegają z dużego pokoju. Przebijają się przez podłogę w moim przedpokoju i łazience. Czy ma pan pojęcie, jak silny musi być ten hałas, skoro przenika przez ściany i podłogi i mimo to nic nie traci ze swojego natężenia?

Komisarz go słyszy, ale ani się nie odwraca, ani nie odpowiada, tylko czwarty raz naciska dzwonek.

– Poza tym ciągle słyszę śpiew. Jestem pewien, że to któreś z dzieci... mają ich trójkę. Telewizor gra od przedwczoraj, jest włączony dniem i nocą. To ja dzwoniłem na numer alarmowy. Mieszkam piętro wyżej, nad nimi.

Grens dopiero teraz zerka na mężczyznę. Jest tuż po czterdziestce, stoi z rękami skrzyżowanymi na piersi. Komisarz nie lubi takich ludzi, choć nie wie dlaczego... po prostu nie i już. Podejrzewa, że to pewnie jeden z tych, którzy podsłuchują pod drzwiami.

– *Sto lat sto lat, niech żyje, żyje nam.*

– Słucham?

– To piosenka, którą śpiewa ich dziewczynka. Wyraźnie to słyszę.

Komisarz już wie, że rozmawia z sąsiadem, który zadzwonił na numer alarmowy, a potem zrobił to jeszcze raz, żeby poinformować o dziwnym zapachu.

– Proszę wrócić do swojego mieszkania.

– Ale to ja was...

– Wiem... i słusznie pan postąpił. Teraz jednak proszę wrócić do siebie. Ja zajmę się resztą.

Grens czeka, aż mężczyzna sobie pójdzie, i znowu naciska dzwonek. Robi to dłużej niż poprzednio, a ponieważ wciąż nikt nie otwiera, pochyla się, żeby zajrzeć do środka przez otwór na listy. W tym samym momencie słyszy, że ktoś próbuje otworzyć zamek od wewnątrz, chociaż ma z tym wyraźny problem i co chwilę podskakuje.

– Policja. Proszę otworzyć drzwi.

W końcu rozlega się trzaśnięcie zamka i ktoś naciska klamkę. Grens nie lubi używać broni, ale na wszelki wypadek wyciąga z kabury pistolet i cofa się o krok.

Dziewczynka ma długie, jasne włosy. Wprawdzie komisarz nie zna się na dzieciach, ale jej wiek określa na cztery, najwyżej pięć lat.

– Dzień dobry.

Dziewczynka uśmiecha się do niego. Jest w poplamionej czerwonej sukience. Na twarzy też ma plamy... pewnie po jedzeniu.

– Dzień dobry. Czy jest mama albo tata?

Dziewczynka kiwa głową.

– To dobrze. Możesz ich poprosić?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie mogą chodzić.

Grens od razu rozpoznał bijący w nozdrza ostry smród. Poczł go juź na klatce schodowej, a gdy dziewczynka w poplamionej sukience otworzyła mu drzwi, trupi odór uderzył ze zdwojoną siłą. Jednak dopiero teraz, kiedy wszedł do przedpokoju, smród stał się nie do zniesienia. Komisarz patrzy na mężczyznę, który siedzi odchyłony na krześle stojącym między półką na czapki a miejscem, z którego padły strzały.

– To mój tatuś.

Większy otwór wlotowy znajduje się w prawej części czoła. Kula weszła w czaszkę od przodu, strzał padł z bliskiej odległości. Sprawca posłużył się prawdopodobnie rewolwerem i pociskami z wgłębieniem wierzchołkowym.

– Mówiłam panu, że rodzice nie mogą chodzić.

Drugi otwór wlotowy jest mniejszy, co wskazuje, że strzał oddano pod kątem. Pocisk wbił się w czaszkę pod lewą skronią.

Grens nie reaguje na słowa dziewczynki. Przygląda się, jak mała wskakuje na kolana martwego mężczyzny i próbuje ułożyć jego sztywne ręce w taki sposób, żeby jej nie przeszkadzały. W końcu wciska się w szparę między jego prawym udem a oparciem krzesła.

– Chodź do mnie – mówi komisarz.

– Chcę porozmawiać z tatusiem.

– Chodź, powiedziałem.

Nigdy wcześniej nie trzymał na rękach tak dużego dziecka. Dziewczynka jest cięższa, niż się spodziewał. Chwyta ją ostrożnie za ramiona i unosi z fotela.

– Czy jest ich tutaj więcej? – pyta.

– Jak to więcej?

– Jesteś tu tylko z tatą?

– Wszyscy są.

Mama dziewczynki siedzi z zamkniętymi oczami w kuchni na krześle. Ma taką minę, jakby się śmiała. Twarz jest stężała, usta są sztywne. Grens od razu zauważa dwa otwory wlotowe po kulach – jeden na czole, drugi w skroni. Na stole leży rozsypany cukier i mąka, ich ślady widzi też na podłodze i sukience dziewczynki. Kiedy chodzi po kuchni, brud klei mu się do butów. Na dużym stole stoi niezjedzony tort ozdobiony zielonym marcepanem. Jest na nim pięć zgaszonych świeczek.

– To mój tort.

– Ładnie wygląda.

– Zgasiałam pięć świeczek.

Rodzeństwo dziewczynki jest w swoich pokojach. Siostra leży na łóżku – otwór wlotowy znajduje się z tyłu czaszki. Chłopiec siedzi w fotelu przy biurku. Pocisk wbił mu się w głowę od góry.

W pokoju panuje ogłuszający hałas. Telewizor jest włączony na cały regulator, na okrągło lecą w nim programy dla dzieci. Grens wyłącza go i natychmiast zapada cisza. Pokój robi się jakby pusty. Całe mieszkanie wypełnia odurzający smród. Najgorszy, jaki zna.

Komisarz sadza dziewczynkę na jednym z foteli, a sam zajmuje miejsce na lśniącej, długiej skórzanej kanapie. Długo przygląda się dziewczynce, która nuci coś pod nosem i wcale nie wygląda na przestraszoną.

– Ładnie śpiewasz.

– To *Sto lat*...

– Miałaś urodziny?

– Tak.

– Skończyłaś pięć lat? Tyle co świeczek na torcie?

– A do tego kilka dni.

– Tak?

– I kilka nocy.

Grens rozgląda się po pokoju, oddycha powoli i regularnie.

Kilka dni i kilka nocy.

Właśnie tyle czasu dziewczynka przebywała w tym smrodzie.

TERAZ

CZĘŚĆ PIERWSZA

KOMISARZ POLICJI KRYMINALNEJ Ewert Grens nigdy nie lubił lata i zawsze cierpiał z jego powodu. Długo walczył z tą porą roku, aż w końcu przestał. Teraz było podobnie. Przyszły upały, miasto zamarło, ludzie chodzą po ulicach w krótkich spodniach i głośno się śmieją.

Leżał na obitej sztruksem brązowej kanapie z głową na wysokim oparciu. Plecy zapadły mu się w miejscu, które kiedyś było miękkie, ale z czasem zrobiło się w nim wgłębienie. Ze starego głośnika, który przymocował kiedyś do regału między pękatymi segregatorami a grubymi teczkami z aktami śledztw, płynęła przyjemna muzyka z lat sześćdziesiątych. Siw Malmkvist śpiewała tylko dla niego. Oba okna były uchylone. Mimo wczesnej pory temperatura w pokoju wzrosła do dwudziestu siedmiu stopni. Z upałem przestał walczyć dopiero wtedy, gdy zauważył, że innym też dokucza. W czerwcu, lipcu i sierpniu wiele osób nagle się zmienia. I wcale nie chodzi o tych, którzy tak reagują na kolejne pory roku, tylko o tych, którzy atakują innych ludzi. Ten przeklęty upał ściga ich, osacza i przesuwa granice ludzkiej wytrzymałości. Liczba incydentów wzrasta na przykład na więziennych korytarzach, gdzie ludziom dokucza zaduch i odosobnienie. Kiedy upał staje się zbyt dokuczliwy, ich świat za murami od razu się kurczy. Serca zaczynają pracować w przyspieszonym rytmie i dochodzi do bijatyk. Zamknięci w celach ludzie krzywdzą się częściej niż zwykle, zdarzają się nawet zabójstwa. Przez całe swoje życie zawodowe Grens prowadził wiele śledztw w sprawie zabójstw. Nad większością z nich ślęczał po nocach, które latem były jaśniejsze niż w innych miesiącach. Już nie pamiętał, czy kiedykolwiek brał urlop o innej porze roku niż zimą, gdy na ulicach zalegał śnieg.

Nagle ktoś zapukał energicznie do drzwi jego pokoju.

Niech sobie puka.

Jak zwykle bolała go noga i zeszywniał mu kark. Był najstarszym funkcjonariuszem w wydziale dochodzeniowo-śledczym i jednym z najstarszych w całej sztokholmskiej policji. Za pół roku stanie przed wielką, czarną dziurą, która przerażała go bardziej niż łóżko w mieszkaniu. Taka dziura nie ma dna. Człowiek wpada w nią i leci bezwładnie w dół. Wiedział, że nie wolno mu o niej myśleć, ale i tak nie dawała mu spokoju.

Znowu to cholerne pukanie do drzwi. Że też komuś się chce.

Ponad czterdzieści lat pracy w policji. Kiedy pierwszy raz wszedł do tego budynku, był znacznie młodszy, ale od razu uznał to miejsce za swoje. Poczul, że do niego pasuje. Był bardzo młody i nawet nie myślał o tym, że kiedyś on też będzie musiał przejść na emeryturę. Nie dlatego jednak, że będzie tego chciał. Przeciwnie: decyzję w jego imieniu podejmie społeczeństwo, z którym nigdy się nie utożsamiał.

– Ewert?

Najwidoczniej samo pukanie do drzwi nie wystarczyło, bo ktoś zwrócił się do niego po imieniu.

– Wiem, że tam jesteś. Wchodzę. Bez względu na to, czy ci się to spodoba.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła kobieta. Mimo to Grens nadal leżał na kanapie. Kobieta zerknęła na niego, zamknęła za sobą drzwi i zdecydowanym krokiem podeszła do magnetofonu. Wyłączyła go i muzyka ucichła. Głos z przeszłości, kiedy wszystko było znacznie prostsze.

Mariana Hermansson.

Jedyna spośród funkcjonariuszek i funkcjonariuszy, która nigdy nie zgina przed nim karku i ma odwagę mu się postawić. Nawet nie wie, że za

każdym razem, gdy to robi, on – jej szef – myśli o niej z dumą.

– Mamy włamanie.

Pokój Hermansson znajdował się na końcu korytarza. Kiedyś wzięła za kogoś letnie zastępstwo i kiedy potem ubiegała się o pracę w policji, bez problemu przeszła przez wstępne rozmowy kwalifikacyjne. Pokonała szereg innych kandydatów, w tym takich, którzy mieli wyższe kwalifikacje. Polubił ją i traktował jak córkę, której nie miał. Czasem, gdy podczas rozmowy Hermansson nie może się doczekać od niego odpowiedzi, kładzie mu dłoń na ramieniu i wprost żąda wyjaśnień. Patrzy wtedy na niego z tym swoim uśmiechem, a Grensa ogarnia niepewność, chociaż w swoim fachu jest profesjonalistą.

– Chciałabym cię prosić, żebyś na to zerknął. Teraz.

Podniósł się i usiadł na brzegu kanapy. Przeciągnął się i wskazał na stos papierów piętrzących się na biurku.

– Nie zajmuję się włamaniami. W naszym mieście ginie zbyt wielu ludzi i to ich sprawy pochłaniają cały mój czas. Dobrze o tym wiesz.

Hermansson wiedziała, co Grens ma na myśli, ale nie ustępowała.

– Dalagatan siedemdziesiąt cztery.

– Tak?

– Trzecie piętro.

– No i?

– Mieszkanie numer tysiąc trzysta jeden.

Podła Grensowi kopertę. Komisarz zerknął na nią, ale jej nie wziął.

– Czy w twoim pokoju też jest tak gorąco? – spytał. – Chyba klimatyzacja wysiadła.

Hermansson usiadła obok niego na kanapie. Mebel był tak zużyty, że oboje prawie się w nim zapadli.

– Powtarzam: mamy włamanie. Z mieszkania nic nie zginęło, więc odłożyłam sprawę na później, bo ja też nie mam czasu.

Grens wiedział, jak wygląda jej biurko. Zawsze zalega na nim więcej papierów niż u niego. Tyle samo leży na podłodze.

– Po pewnym czasie wykonałam rutynowe czynności: zajrzałam do rejestru przestępstw i zaczęłam sprawdzać, czy w ciągu ostatnich lat zgłaszano inne włamania w tamtej okolicy.

Komisarz znowu się przeciągnął, ale przestał ziewać. Nie zdawał sobie sprawy, że na jego twarzy pojawił się uśmiech. Powodem takiej reakcji było nie tylko niespodziewane wtargnięcie policjantki do jego pokoju, ale także muzyka, która tak nagle ucichła, i głos, który domagał się uwagi z jego strony.

Rejestr, rutynowe działanie. To on ją tego nauczył.

– I co ustaliłaś?

– To co zwykle. W tamtej dzielnicy doszło do znacznie większej liczby przypadków kradzieży, maltretowania i pobić, niż można by przypuszczać, biorąc pod uwagę jedynie wysoki status społeczny mieszkańców. Narkotyki i kilka prób usiłowania zabójstwa z premedytacją.

Hermansson pochyliła się i podsunęła komisarzowi kopertę pod sam nos. Grens nie miał innego wyjścia, musiał ją od niej przyjąć.

– Sprawdziłam wszystkie inne zgłoszenia, ale żadnego z nich nie dało się powiązać z tym konkretnym włamaniem. Nie wiemy, dlaczego ktoś włamuje się w środku dnia do położonego w centrum miasta mieszkania i spędza w nim trochę czasu, bo nikt mu w tym nie przeszkadza. Potem włamywacz wychodzi, ale nic z sobą nie zabiera.

– A gdybyś otworzyła drzwi w swoim pokoju? Jeśli ktoś inny też wpadnie na ten pomysł, zrobi się przeciąg i do środka wpadnie trochę

świeżego powietrza. Jest już dwadzieścia siedem stopni, a ma być o pięć więcej!

– Z początku zamierzałam się wylogować z systemu i odłożyć sprawę na później. Stałaby się w ten sposób jedną z pięćdziesięciu tysięcy innych. Za kilka miesięcy zaproponowałabym Wilsonowi, żeby umorzyć dochodzenie.

Grens nadal trzymał w ręce kopertę i co jakiś czas machał nią jak wachlarzem. W końcu Hermansson wyrwała mu ją i wyjęła z niej jakiś dokument. Położyła go na kanapie i przesunęła niecierpliwie palcem po trzech pierwszych liniach tekstu.

– Na szczęście w ostatniej chwili zauważyłam dopisek na dole wydruku z rejestru i oznakowanie czerwoną flagą, co oznacza, że mamy do czynienia z dokumentem, który istnieje tylko w formie papierowej i przechowywany jest w naszym podziemnym archiwum. W tym wypadku chodzi o śledztwo sprzed siedemnastu lat... ten sam adres, to samo piętro, to samo mieszkanie i ten sam numer. Śledztwo dotyczyło spraw, którymi się zajmujesz: zabójstw popełnionych na mieszkańcach tego miasta.

Dopiero teraz zaczął się wsłuchiwać w jej słowa. Wciąż nie wiedział, do czego Hermansson zmierza.

– Posłuchaj, co tu jest napisane.

Uwaga w sprawie dotyczącej budynku przy Dalagatan 74. Bez względu na kategorię przestępstwa, proszę o natychmiastowy kontakt z komisarzem policji kryminalnej, Ewertem Grensem.

– Sam to napisałeś. I nawet się podpisałeś.

Po raz drugi zaczęła przesuwac palcem po leżącym na biurku dokumencie. W końcu Grens się przemógł i zerknął na niego.

– Sprawa sprzed siedemnastu lat?

– Tak.

– Zabójstwo?

– Tak... a właściwie cztery. Ktoś zamordował rodziców i dwójkę dzieci.
Chłopca i dziewczynkę.

TO WPROST NIEZWYKŁE, JAK funkcjonuje ludzka pamięć. Coś, co nie tak dawno zdawało się nie istnieć, staje się rzeczywistością, powraca z niesłychaną siłą, rozpycha się łokciami i żąda dla siebie całego miejsca.

Grens od razu przypomniał sobie tamtą sprawę.

Wychylił się przez szeroko otwarte okno i wyjrzał na dziedziniec komendy. Jego koledzy siedzieli na ławkach i wystawiali twarze do słońca, które opalało im nosy i policzki na różowy kolor. Inni leżeli w cieniu drzew i popijali kawę z plastikowych kubków.

Ogarnął go niepokój.

Może dlatego, że z powodu upału nie mógł znaleźć sobie miejsca? Może powodem był pot, który spływał mu po obolałych plecach? A może chodziło o tamtą dziewczynkę z resztkami jedzenia na brodzie i policzkach, która skakała po mieszkaniu? Jej drobne stópki roznosiły najokropniejszy smród, jakiego doświadczył na miejscu zbrodni od czasu, gdy rozpoczął pracę w policji. Wypełniał mieszkanie, w którym znajdowały się zwłoki członków jej rodziny.

ZAWSZE LUBIŁ SPACEROWAĆ WOLNYM krokiem po centrum miasta. Sprawiało mu to przyjemność już wtedy, gdy chodził z Anni, trzymając ją za rękę. Kapryśny poranny ruch uliczny stopniowo gęstniał, wypełniając ulice coraz większym hałasem. Grens schodził stromym zboczem parku w Kronobergu. Przechodząc przez most Sankt Eriksbron, przejrzał się w wodzie, a z placu Odenplan skręcił w Dalagatan. Od razu zrobiło się ciszej.

Sześćdziesiąt cztery lata i sześć miesięcy. Do emerytury zostało mu pół roku. Potem ktoś inny zajmie jego gabinet i będzie zapraszał do środka tych, którzy będą pukać do drzwi. Podobnie było z nim: przejął swój obecny pokój po kimś, kogo ani on, ani inni policjanci już nie pamiętali. To całkiem proste: przez pewien czas jesteś, a potem nagle cię nie ma. Ludziom się wydaje, że warunki, w jakich policjanci przechodzą na emeryturę, są znacznie lepsze w porównaniu z innymi zawodami. Miał kolegów, którzy zapowiadali, że gdy tylko skończą sześćdziesiąt jeden lat, wyjdą z budynku przez ciężkie drzwi wychodzące na Bergsgatan i nawet się nie obejrzą.

Jeszcze trochę i to wszystko zostanie mu odebrane.

Stanie się nikim.

On, który nigdy niczego się nie bał, bo dawno temu uznał, że atakujący go strach jest tak bezsensowny, że nigdy więcej mu na to nie pozwoli, że przeżył wystarczająco wiele lat, żeby nie trząść się więcej na myśl o tym, co wydarzyło się wcześniej. Mimo to od niedawna nie może się wyspać, nawet na swojej zużytej obitej sztruksem kanapie, która tyle razy udzielała mu gościny.

Od pewnego czasu zaczął się bać, bo tylko to mu pozostało. Nagle do niego dotarło, że nigdy niczego innego nie pragnął i nic innego nie umiał robić. Nie znał nikogo oprócz funkcjonariuszy, z którymi pracował na komendzie. Nigdy go nie ciągnęło do innych ludzi, bo wcale za nimi nie tęsknił.

Przez kilka minut szedł przez dzielnicę Vasastan. Mijał proste, surowe domy, które wpatrywały się w niego czujnie swoimi szklanymi oczodołami. W końcu zatrzymał się przed wejściem do budynku numer siedemdziesiąt cztery. Ostatnim razem był tu wiele lat temu, a mimo to miejsce wydało mu się znajome.

Zaokrąglone, trochę nierówne stopnie schodów, elegancki sufit na klatce schodowej i tapeta w kwieciste wzory.

Drzwi na trzecim piętrze. Te same co przed siedemnastu laty. Od razu rzucił mu się w oczy zniszczony na skutek włamania zamek i świeże drewniane odpryski, które nie zdążyły jeszcze ściemnieć.

Stał nieruchomo z przymkniętymi oczami i powoli oddychał. Czekał, aż jego serce zacznie pracować normalnie. Nierówny rytm uderzeń przypominał mu tupot stóp tamtej dziewczynki.

– Słucham?

W progu stała kobieta. Była prawie tego samego wzrostu co on i mogła mieć od czterdziestu do pięćdziesięciu lat.

– Nazywam się Ewert Grens. Jestem komisarzem policji kryminalnej i przychodzę w sprawie włamania.

Kobieta wpatrywała się w niego świdrującym, prawie nieprzyjaznym wzrokiem.

– Policja już ze mną rozmawiała.

– Wiem, ale...

– Była tu policjantka, trochę młodsza od pana... w każdym razie na taką wyglądała... Ja już raz miałam włamanie, ale nie do tego mieszkania, tylko do domku letniego... Nic wtedy nie słyszałam, chociaż zabrali wszystko... Tyle razy dzwoniłam w tej sprawie na policję i składałam skargi, a teraz, chociaż z mieszkania nic nie zginęło, przychodzicie do mnie drugi raz?

– Komisarz Mariana Hermansson rozmawiała z panią przez telefon, a ja chciałbym obejrzeć mieszkanie.

Kobieta nadal wpatrywała się w niego czujnym wzrokiem.

– W takim razie proszę mi pokazać legitymację służbową.

Grens sięgnął do kieszeni i wyjął oprawiony w skórzane etui dokument z odznaką. Na wszelki wypadek podał kobiecie wizytówkę, na której znajdowały się jego imię, nazwisko, stopień służbowy, numer telefonu komórkowego i adres mailowy, którego wciąż nie mógł zapamiętać.

– Jest pan komisarzem policji?

– Tak.

– W takim razie tym bardziej tego nie rozumiem. Komisarz policji zamierza zajmować się sprawą włamania, którego właściwie nie było? Włamywacz narobił trochę szkód, ale niczego nie zabrał, chociaż po całym mieszkaniu poniewierały się różne przedmioty.

Kobieta wzruszyła ramionami, cofnęła się o krok i zamaszystym ruchem zaprosiła Grensa do środka. Komisarz rozejrzał się po mieszkaniu. Natychmiast wróciły wspomnienia, które zepchnęły na dalszy plan inne sprawy.

Omiótł wzrokiem przedpokój i od razu przypomniał sobie tamten dzień. Miejsce antycznej komody i dużego lustro z połączoną ramą zajęło na chwilę wiklinowe krzesło i siedzący w nim mężczyzna z dwiema dziurami w głowie i gazetą w rękach. Zamiast dużego pokoju z sosnowym stołem do spożywania posiłków ujrzał duży telewizor, w którym leciały programy dla

dzieci. W miejsce pustej, lśniącej czystością kuchni pojawiły się resztki jedzenia i dziewczynka wspinająca się na kolana swojej martwej mamy.

Zerknął na kobietę, a ta z pewnym wahaniem wpuściła go do środka. Kiedy odpowiadała na jego pytania, jej usta zamieniły się w czerwone świece ze stojącego na kuchennym stole urodzinowego tortu. Kobieta powtórzyła to, co już wiedział, ponieważ Hermansson spisała jej zeznania. Do włamania doszło w środku tygodnia między ósmą trzydzieści a jedenastą. Na drzwiach wejściowych znaleziono ślady wskazujące na to, że sprawca posłużył się ostrym narzędziem. Na podłodze leżała zawartość szaf i szuflad. Włamywacz zostawił szkatułkę z biżuterią, portfel z okazałą sumą pieniędzy, kosztowny komputer i wiszące na ścianach obrazy znanych artystów. Na grubej warstwie kurzu pokrywającej ramy nie znaleziono żadnych odcisków palców.

Wszystko było w nienaruszonym stanie – z wyjątkiem kawałka podłogi.

Kobieta zaprowadziła Grensa do dziecięcego pokoju i wskazała mu to miejsce opaloną ręką.

– Wykorzystujemy go jako pokój gościnny – wyjaśniła. – Po przeprowadzce od razu się domyśliłam, że to był pokój dziecięcy. Mieszkamy tu od ponad szesnastu lat i mieliśmy nadzieję, że kiedyś pojawi się w nim także nasze dziecko. Niestety...

Grens próbował zajrzeć w oczy kobiecie, która tak otwarcie wyraziła żal z powodu braku dzieci. Dobrze wiedział, co czuje, bo on też tęsknił czasem za dzieckiem. Ale cóż, nie zawsze bywa tak, jak sobie wymarzymy.

– To tutaj... w całym mieszkaniu tylko to miejsce zainteresowało włamywacza... za krzesłem... Widzi pan? Wyrwał kawałek podłogi.

Komisarz przypomniał sobie łóżko, które tamtego dnia stało przy oknie. Leżała na nim starsza z dziewczynek, odwrócona twarzą do ściany. Teraz w tym miejscu stała rozkładana kanapa w biało-niebieską kratę. Od razu

zamarzyła mu się jego własna kanapa na komendzie policji. Chętnie by na nią wrócił, żeby kontynuować chwilę relaksu, którą mu tak nagle przerwano.

– Niech pan spojrzy... – Kobieta odsunęła kanapę i stolik i uniosła róg sznurkowego dywanu.

Podszedł bliżej. Przez chwilę wpatrywał się w to miejsce z pozycji stojącej, a potem przyklęknął. Oparł się kolanem o drewnianą podłogę i od razu poczuł ostry ból, który znacznie się nasilił, gdy Grens rozciągnął się na podłodze, żeby przyjrzeć się otworowi z bliska.

Włamywacz wyrwał deskę, tak że pękła w trzech miejscach. Na krawędziach zostały ostre drzazgi.

Grens miał przed sobą czworokątny, prawie kwadratowy otwór wycięty w betonowej podłodze, która była jednocześnie sufitem znajdującego się piętro niżej mieszkania. Zmierzył go palcami i ocenił, że ma cztery centymetry długości i cztery szerokości.

W środku było pusto.

Przez siedemnaście lat coś tam leżało. Kilka dni temu zabrał to włamywacz.

CO ZA CHOLERNY UPAŁ!

Grens otworzył eleganckie drzwi prowadzące na równie elegancką klatkę schodową. Upał stał się nie do zniesienia. Jeszcze niedawno temperatura wynosiła dwadzieścia siedem stopni, potem wzrosła o jeden stopień, a niedługo sięgnie dwudziestu dziewięciu. Zdjął marynarkę, rozpiął koszulę i postanowił skrócić krok. Na Dalagatan panował całkowity spokój.

Szedł tędy przed siedemnastu laty, ale wtedy niósł na rękach pięcioletnią dziewczynkę.

Przed oczami przelatywały mu obrazy z przeszłości. Czuł się tak, jakby gardło i przełyk zatkał mu kwadratowy otwór w podłodze o wymiarach cztery centymetry na cztery, którego nie zauważył żaden z policyjnych techników. Powoli wciskał mu się w głębi żołądka – puste wgłębienie, puste pudełko i kasetka, z której ktoś zabrał to, co w niej przez długi czas leżało.

Wtedy było mu chłodniej niż teraz. Nic dziwnego, była późna jesień, a on miał na sobie tylko szarą marynarkę. Po kilku krokach dziewczynka zamknęła oczy i oparła głowę o jego ramię. Jeden z młodszych policjantów, którego wezwano wtedy na miejsce zbrodni, obserwował z radiowozu lekko kulejącego mężczyznę, który szedł ulicą, niosąc na rękach małą dziewczynkę. Koło Vasaparken podjechał do chodnika, opuścił szybę i poprosił komisarza, żeby otworzył tylne drzwi i wsiadł do środka, ale ten nawet na niego nie spojrzał, tylko burknął coś i poszedł dalej. Główka pięciolatki nadal spoczywała na jego ramieniu. Oczy miała zamknięte, ale widać było, że w pełni mu ufa. Przez tę krótką chwilę uświadomił sobie, że ta mała obdarzyła go takim zaufaniem, jakim sam nigdy wcześniej nikogo nie darzył.

Dzisiaj, tak jak wtedy, wracał na komendę. Do budynku wszedł od Kungsholmsgatan. Policjantka w recepcji skinęła mu głową – jak zawsze, gdy zostawał dłużej w pracy. Siedział do późnego wieczoru albo nawet po nocy, gdy wszyscy inni funkcjonariusze wyłączyli już komputery, pogasili światła i poszli do domu. Po pracy kładł się spać w służbowym pokoju. Leżał pod cienką kołdrą na brązowej, obitej sztruksem kanapie, żeby nie wracać do swojego mieszkania na Sveavägen, bo czuł się tam samotny. Ze stojącego na korytarzu i wciśniętego między nową kopiarke a stary faks automatu nalał sobie kubek czarnej kawy. Z tego miejsca miał już tylko siedem kroków do pokoju. Otworzył drzwi i jak zwykle najpierw włączył magnetofon kasetowy. Siw Malmkvist kolejny raz zaśpiewała dla niego swój przebój pod tytułem *Tunna skivor*. Nagranie pochodziło z 1960 roku. Potem włączył oryginalne nagranie *Everybody's Somebody's Fool*, usiadł przy biurku i przez długą chwilę wiercił się w fotelu, bo nie mógł znaleźć wygodnej pozycji. W końcu położył się na kanapie, ale przewracał się z boku na bok.

Może to przez ten upał, który coraz bardziej mu dokuczał? A może uwierał go pusty otwór o wymiarach cztery centymetry na cztery?

W końcu wstał, wszedł na korytarz i poszedł do automatu. Nalał sobie kolejny kubek czarnej kawy i ruszył do windy. Po drodze minął pokój Mariany Hermansson – policjantki, która przeszywała go wzrokiem i domagała się odpowiedzi na swoje pytania.

– Ewert?

– Nie mam czasu – rzucił i poszedł do windy.

Wybiegła z pokoju, a gdy wciskał czerwony guzik, zawołała:

– Ja też nie! – Podeszła do niego i spytała: – Masz coś nowego?

– Dowiesz się później. Oboje się dowiecie, i ty, i Sven.

– Czy to rzeczywiście było tylko włamanie? Przecież niczego nie skradziono? Patrzę na ciebie i widzę, że...

– Nie słyszałaś, co powiedziałem?

– Co?

– Dowiesz się później.

Grens odwrócił się do windy, która zatrzymała się na piętrze.

– Chcę ci przypomnieć, że zamordowano tam cztery osoby. – Mariana nie poddawała się.

Otworzył drzwi windy i wszedł do kabiny.

– Najpierw poczwórne zabójstwo, a teraz włamanie – ciągnęła Hermansson. – Oba przestępstwa w tym samym mieszkaniu. I ten sam śledczy, który po wizycie na miejscu przestępstwa wygląda na wyraźnie... hm... jak by to określić... poruszonego?

Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Ewert... porozmawiaj ze mną.

– Wygląda na to, że popełniłem wtedy błąd. Teraz wiem, że popełniłem też drugi.

– Jaki błąd?

– Wypuściłem na wolność człowieka, który tę zbrodnię popełnił. Jestem o tym przekonany. Na dodatek przeoczyłem otwór w podłodze.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Bardzo nie lubię zostawiać za sobą niewyjaśnione wątki.

– O czym ty mówisz?

– Że na razie to tylko moja sprawa.

DWA PIĘTRA NIŻEJ. CIEMNY korytarz, trochę chłodniej, ale kurz taki sam jak wszędzie. Grens wyszedł z windy i podszedł do szarych drzwi, które były

szersze od innych. Archiwum. Półki, kartony, teczki, regały i czas, który spędził w tym budynku. Czterdzieści lat walki z przestępczością. Śledztwa, sprawcy i ofiary, których życie – po tym, jak ich drogi się skrzyżowały – uległo nieodwracalnej zmianie. Za każdym razem, gdy tu schodził, jeden z regałów omijał szerokim łukiem. Odwracał głowę i skupiał wzrok na czymś innym, byle tylko nie patrzeć w tamtą stronę, ponieważ stały na nim akta sprawy kobiety, która była całym jego życiem. Niestety, pewnego dnia odeszła na zawsze, ponieważ radiowóz, który prowadził, przejechał po jej głowie. Po tylu latach miał już jednak na tyle odwagi, żeby nie tylko spojrzeć w tamtym kierunku, ale też zatrzymać się na chwilę przy półce. Od pewnego czasu odwagi wystarcza mu również na to, żeby odwiedzać jej grób na Północnym Cmentarzu. Postawił na nim biały krzyż, na którym kazał wygrawerować jej imię. Podczas wizyt bierze wiszącą przy zardzewiałym kranie blaszaną konewkę i podlewa nią wysoki krzew obsypany drobnymi kwiatkami. Kiedyś posadził go na jej grobie, bo spodobała mu się jego nazwa: ziele miłości. Anni leży w swoim grobie tak jak akta jej sprawy na półce w archiwum. Na bocznej ścianie kartonu widnieje napis: *Anni Grens*.

Podszedł bliżej, czubkami palców dotknął wypisanych czyjąś dłonią czarnych liter, a potem napisał w powietrzu jej imię. Następnie poszedł w głąb archiwum, gdzie na półkach leżały stosy innych akt. W końcu dotarł do celu: pomieszczenia za szklaną ścianą.

Przez moment czekał przy okienku, aż zjawił się mężczyzna w jego wieku. Uniósł szybkę i popatrzył na niego zza okularów w okrągłych oprawkach.

– Chciałbym obejrzeć dokumenty związane z programem ochrony świadków – powiedział komisarz.

Niewiele osób ma do nich dostęp. Żeby móc się z nimi zapoznać, trzeba najpierw złożyć wniosek o ich wydanie, pokwitować odbiór i wpisać się do książki. Takie dokumenty przechowywane są w specjalnym pomieszczeniu. Pochodzą z Interpolu, tajnej policji SÄPO i programu ochrony świadków.

– Ewert? Dawno cię nie widziałem.

Archiwista nie miał radosnej miny. Nie bardzo lubili się z Grensem. Można nawet powiedzieć, że od samego początku nie darzyli się sympatią.

– Jak już wspominałem, chodzi mi o program ochrony świadków i pewne umorzone śledztwo. Potrzebuję tych akt.

Grens wyjął z papierowego koszyczka formularz i sięgnął po zawieszony na sznurku przy okienku długopis. Na tylnej stronie kartki napisał numer akt i wsunął ją przez otwór w szybie.

– Hm...

– Jakiś problem?

– Twój charakter pisma. Trudny do rozszyfrowania.

– Napisałem, że...

– Widzę, co napisałeś.

Archiwista stuknął w klawiaturę komputera i zerknął na ekran.

– No tak... wygląda na to, że tu są.

– To dobrze. W takim razie...

– Musisz się wylegitymować. Rozumiesz... zasady.

Komisarz rozumiał. Za każdym razem przeżywał to samo.

W innych okolicznościach odpowiedziałby na takie żądanie podniesionym głosem. Na twarzy i szyi wystąpiłyby mu czerwone plamy, a żyłka na lewej skroni napęczniałaby od krwi. Tym razem się opanował. Położył przed urzędnikiem odznakę i legitymację służbową, chociaż archiwista nie tylko znał go z imienia i nazwiska, ale też od trzydziestu

trzech lat znali się osobiście. Archiwista zawahał się o jedną sekundę za długo – pewnie był rozczarowany, że ich spotkanie nie przebiega w zwykły sposób i tym razem nie dojdzie do kłótni. W końcu poprawił okulary, sięgnął po pilota, otworzył elektroniczne drzwi bezpieczeństwa i zniknął w położonym w głębi archiwum pomieszczeniu bez okien. Po chwili wrócił z dwiema teczkami – niebieską i zieloną – i przesunął je przez otwór w szybie w stronę Grensa.

– Znasz zasady...

– Znam.

– W takim razie wiesz, że...

– ...że wolno mi do nich zajrzeć dopiero wtedy, gdy obiecuję, że natychmiast je skopiuję i prześlę dziennikarzom z „Aftonbladet” i „Expressen”.

Po tych słowach Grens odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Obiecuję, że znowu to zrobię.

KORYTARZ, WINDA, KORYTARZ.

Z każdym krokiem teczki robiły się coraz cięższe. Na końcu ważyły chyba tyle, ile główka dziecka spoczywająca na jego ramieniu.

Automat do kawy. Trzeci kubek. Pokój, magnetofon, piosenka Siw i akta lądują na biurku.

Przez dłuższy czas przygląda im się z różnych miejsc: spod otwartego okna i szafy na ubrania, leżąc na kanapie i stojąc w progu drzwi, oparty o framugę.

Akta przez cały czas tam leżą i gapią się na niego, tak jak on gapi się na nie.

Podchodzi bliżej.

Bierze do ręki pierwszą teczkę i czuje, jak zaczynają mu drżeć dłonie, chociaż rzadko mu się to zdarza. Kiedyś sobie obiecał, że nigdy więcej nie wróci do sprawy dziewczynki o drobnych stópkach z mieszkania wypełnionego trupim odorem, którego z niczym innym nie da się porównać. Mimo to otworzył teczkę i zaczął czytać.

TECZKA NIEBIESKA. DOŚĆ GRUBA. Numer akt zapisany ołówkiem. Dokument w formie rękopisu. W prawym górnym rogu stempel, który kiedyś był czarny.

Program ochrony świadków.

Grens usiadł na wyblakłej kanapie, wziął teczkę do ręki i wyjął z niej cztery zszyte ze sobą pliki kartek.

Zgłoszenie:

Siedem stron z komendy rejonowej w Sztokholmie.

Protokół dochodzenia:

Cztery strony z Działu Technicznego.

Wynik sekcji zwłok:

Dwadzieścia osiem stron z Zakładu Medycyny Sądowej w Solnie.

Dochodzenie wstępne:

Pięćdziesiąt cztery strony akt śledztwa, które zakończyło się niepowodzeniem.

Rozejrzał się po pokoju. Dziewczynka, którą przyniósł na komendę, leżała na tej samej kanapie, chociaż obicie mebla było wtedy w znacznie lepszym stanie niż dzisiaj, a brzegi prawie gładkie. Pod głową miała prowizoryczną poduszkę zrobioną z jego zwiniętej marynarki. Zasnęła i lekko pochrapywała. Był to jej pierwszy tak głęboki i spokojny sen od kilku dni i nocy.

Poniedziałek 23 października, godzina 16.51. Kom. pol. krym.
Grens udaje się na Dalagatan 74.

Siedział koło niej i próbował zrozumieć słowa, które od czasu do czasu wypowiadała przez sen. Kilka razy chciał ją pogłaskać po policzku, ale

w ostatnim momencie się powstrzymał i tylko otulał ją szczelnie kurtką. Postanowił, że tym razem poprowadzi śledztwo w należyty sposób. Wykorzysta wiedzę, którą zdobył w amerykańskiej bazie wojskowej FLETCH w południowej Georgii, gdzie razem z Wilsonem brali udział w kursie organizowanym przez amerykańską policję. Nauczył się tam wszystkiego, co każdy gliniarz powinien wiedzieć o programie ochrony świadków, zwłaszcza tego, co nie wchodziło w *modus operandi* szwedzkiej policji, która posługiwała się niewłaściwymi metodami, próbując ukrywać działających na terenie betonowych przedmieść Sztokholmu członków gangów, którzy decydowali się na współpracę z wymiarem sprawiedliwości. W oczekiwaniu na proces umieszczano ich w pomalowanych na czerwono schroniskach w lesie między Bollnäs a Ljusdal albo w schroniskach w innych lasach. Świadkom, którzy zdobyli się na odwagę i w trakcie przesłuchań opisywali piekło ludzi, których szantażowano, którym grożono pobiciem albo wymuszano od nich pieniądze, groziło wielkie niebezpieczeństwo. Policja trzymała ich w ukryciu zazwyczaj przez dwie doby, po czym przerażony bandyta wracał do betonowych przedmieść i przestępczego życia, które tak dobrze znał. W końcu, ze strachu przed śmiercią, całkiem się załamywał.

Tabliczka na drzwiach informowała, że pięciopokojowe mieszkanie z kuchnią należało do rodziny Lilaj. Zostało dokładnie przeszukane. We wszystkich pokojach paliło się światło.

Podczas szkolenia w Ameryce skopiował na swój użytek program ochrony świadków. Zanim miejsce zbrodni zostało dokładnie zbadane, dziewczynkę przewieziono z komendy do tak zwanego „bezpiecznego miejsca”.

Mężczyzna siedzi w przedpokoju na krześle między półką na czapki a szafką na buty. Kobieta siedzi na krześle przy kuchennym stole. Starsza siostra leży na brzuchu na łóżku w sypialni A. Jej brat siedzi na fotelu przy biurku w sypialni B.

Dziewczynce, która jeszcze nie rozumiała, że straciła całą rodzinę i nigdy więcej jej nie zobaczy, nie pozwolono zabrać żadnych osobistych przedmiotów, chociaż mieszkanie od zawsze było dla niej czymś w rodzaju wszechświata. Podjęto taką decyzję, ponieważ on, Grens, postanowił, że powinna przeżyć i żyć dalej. Żeby tak się stało, nie wolno było dopuścić, by przeszłość stała się częścią jej przyszłości.

Zwłoki całej rodziny – Mirzy Lilaja, Diellzy Lilaj, Eliota Lilaja i Julii Lilaj – zostały przewiezione do zakładu medycyny sądowej.

Pięcioletnią dziewczynkę zabierał do miejsc, w których nigdy przedtem nie był: do sklepów z zabawkami i odzieżą dla dzieci. Policyjna księgowość w ciągu kilku godzin zatwierdzała wydatki, które nie tylko nie zostały zaksięgowane, ale też nie nadano im nawet formalnego biegu. Nowa sukienka, nowe buty, nowa opaska do włosów. Dziewczynka była uszczęśliwiona. Najbardziej ucieszyły ją prezenty: dwie lalki i czerwony wózek dziecięcy.

Śmierć wszystkich ofiar nastąpiła o godzinie 18.23.

Ekipie śledczej nie udało się postawić w stan oskarżenia żadnego ze sprawców.

Ostatnim wyjętym z torebki przedmiotem było zdjęcie, które jeden z młodych policjantów zabrał przezornie z mieszkania. Przedstawiało rodziców z trojgiem dzieci na jasnoniebieskim tle. Wykonano je w jakimś zakładzie fotograficznym. Cała piątka uśmiechała się do obiektywu.

Mirza Lilaj, Diellza Lilaj, Eliot Lilaj i Julia Lilaj otrzymali rezerwowe numery osobowe: 2003-369380, 2003-369381, 2003-369382 i 2003-369383. Tylko one służą do identyfikacji.

Bunkier. Właśnie tym mianem Grens określał podziemia pewnego budynku w dzielnicy Östermalm. W okresie, gdy z ramienia policji odpowiadał za nieistniejący program ochrony świadków, polecił zbudować pierwszy, zgodny z amerykańskim standardem *safe house*. Później, gdy pieniądze przydzielone na rozwój programu zostały cofnięte i przeznaczone na inne cele, okazało się, że był to pierwszy i ostatni *safe house*. Urządzono go w taki sposób, że przypominał niewielki kompleks hotelowy. Był w nim aneks kuchenny, łóżka, telewizor i regały na książki. Grensowi nawet do głowy nie przyszło, że pierwszym umieszczonym tam świadkiem będzie mała dziewczynka, która straciła całą rodzinę i nie umiała jeszcze jeździć na rowerze.

Z dotychczasowych ustaleń wynika, że:

- a) na ciałach ofiar – Mirzy Lilaja, Diellzy Lilaj, Eliota Lilaja i Julii Lilaj – znaleziono rany postrzałowe. Otwory wlotowe po strzałach w głowę oznaczono jako wlot 1, wlot 2, wlot 3, wlot 4, wlot 5, wlot 6, wlot 7 i wlot 8;
- b) wspomniane wloty po kulach powstały dwa dni przed obdukcją;
- c) ogólny obraz ran postrzałowych dowodzi, że sprawca działał z premedytacją.

I pewnie dlatego, że pierwszą osobą umieszczoną w „bezpiecznym miejscu” było małe dziecko, program ochrony świadków nie zadziałał na początku tak, jak powinien. Grens wyobrażał sobie, że bunkier będzie schronieniem dla świadków, których policja musi ukrywać i chronić do rozpoczęcia procesu, aby później przenieść ich do innych miejscowości, przydzielić im nową tożsamość, nadać nowe numery osobowe i dać szansę na nową przyszłość. Opracował zestaw rutynowych czynności, aby we

współpracy z innymi władzami wystawiać fałszywe świadectwa szkolne oraz świadectwa pracy, a co dwa tygodnie wypłacać świadkom gotówkę na utrzymanie. Nie mogli zostawiać żadnych śladów, bo każdą transakcję bankową można dokładnie prześwietlić, a inne informacje kupić za pieniądze. Grens musiał szybko dostosowywać zakres rutynowych czynności, które opracowywał, do stanu wiedzy o tym, jak zmieniać zapisy w księgach metrykalnych, wystawiać świadectwo ukończenia kursu pływackiego albo w wiarygodny sposób udokumentować uczęszczanie do przedszkola.

Zamknął teczkę i przesunął ją na brzeg biurka. Zawierała informacje o dziewczynce, która po kilkunastu latach stanie się kobietą. Następnie sięgnął po drugą – zieloną – teczkę, która zawierała informacje o tym, co wydarzyło się później – poza miejscem zbrodni, poza śmiercią i poza prosektorium. Wstał z krzesła, wziął ją do ręki i zaczął krążyć po pokoju.

W chwili popełnienia zbrodni dziewczynka miała pięć lat. Jako jedyna z rodziny przeżyła. Dlaczego? Bo ktoś ją ukrył? Darował jej życie? A może sama się schowała? Leżała i słyszała, jak jej najbliżsi są po kolei mordowani? Wstrzymała oddech, bo chociaż nie rozumiała tego, co się działo, podświadomie czuła, że jeśli ją znajdą, czeka ją śmierć.

Szukał odpowiedzi na te pytania, ale bez powodzenia, bo nie był w stanie ich sformułować. Poza tym teraz wiedział jeszcze mniej.

Wyjrzał na dziedziniec komendy. Słońce przemieściło się po niebie i część ławek znalazła się w cieniu. Na dworze nadal panował upał. Wystawił głowę, oparł się łokciami o parapet i wychylił. Trzydzieści stopni w pokoju bez klimatyzacji. Wkrótce zapadnie wieczór, ale w niczym nie poprawi mu to nastroju, bo temperatura spadnie najwyżej do dwudziestu dwóch stopni. Tak wynikało z prognozy pogody. Czekala go kolejna tropikalna noc.

Przez cały czas trzymał w ręce zieloną teczkę, w której powinny być informacje o dalszych losach dziewczynki: zaświadczenie o nadaniu jej nowego numeru osobowego, dokumentacja fotograficzna, dokładny rysopis, nowy adres zamieszkania, dane opiekuna prawnego i osoby kontaktowej ze strony policji. Dzięki tym dokumentom mogła rozpocząć nowe życie.

Odszedł od okna, bo na dworze wcale nie było chłodniej niż w pokoju. Usiadł na kanapie i położył na kolanach zieloną teczkę z naklejoną na niej kartką o treści:

PROGRAM OCHRONY ŚWIADKÓW.

Otworzył ją, zajrzał do środka i przez długą chwilę siedział nieruchomo.

Zawierała kartki formatu A4. Niestety, cała „dokumentacja” składała się z czystych niezapisanych stron.

Teczka, która przez lata leżała w archiwum, powinna być znacznie grubsza. Kiedy brał ją do ręki, na taką wyglądała.

Tymczasem okazało się, że jej zawartość znikła, a wraz z nią cała wiedza o pięcioletniej dziewczynce, która stała się kobietą.

Ktoś zabrał z te czki jej nowe życie.

NIEZAPISANE CZYSTE KARTKI.

Tak jak fragmenty jego pamięci.

Wciąż pamięta okropny smród w mieszkaniu i ciężar ciała dziewczynki, chociaż zapomniał, jak się nazywała. Utkwiły mu w pamięci chwile, które przy niej spędził, gdy spała w zakupionym krótko przedtem łóżku w chronionym przez policję mieszkaniu. Miała potargane włosy, ale przypominała piękny kwiat. Jego wspomnienia są teraz równie puste jak jej wspomnienia o tamtych dniach.

– Kto jeszcze przyszedł?

– Jak to przyszedł?

– Na twoje urodziny?

Przesłuchiwał ją, ale starał się to robić delikatnie. Z każdym dniem poznawał ją lepiej. Nie miał jeszcze wyrobionego poglądu na to, jak przebiegał napad, w jakich okolicznościach padły strzały i jakie były motywy zbrodni. Dziewczynka wciąż nie rozumiała, że straciła całą rodzinę. Wszystko wyparła z pamięci. Potworną traumę zdołała przezwyciężyć tylko dzięki temu, że nie przestała się bawić.

– Skończyłaś wtedy pięć lat. Miałaś urodziny. Rodzice kupili piękny tort. Kto ci składał życzenia?

– Mama, tata, Julia i Eliot.

– Kto jeszcze?

– Nikt.

– Może ktoś do was przyszedł?

- *Nie.*
 - *Dwie albo trzy osoby, które nie były zaproszone?*
 - *Nikogo innego nie było.*
 - *Ale jeśli ty...*
 - *Niech mi pan poda lalkę, tę drugą, w niebieskich butach.*
- Potem pobawimy się domkiem dla lalek. Pan na górze, a ja na dole.*

Dziewczynka zamknęła się w sobie i właśnie zaczęła odliczać życie od nowa. Któregoś dnia, zanim miesiąc później na zawsze zniknęła z jego świata, objęła go i szepnęła mu do ucha, że ma teraz trzydzieści dwa dni i pięć lat. Jakby te pięć lat było uzupełnieniem dni.

Tak bardzo był wtedy zły.

Musiał umorzyć śledztwo, chociaż był pewien, że wie, kto dokonał tej strasznej zbrodni. Niestety, z braku twardych dowodów nie mógł aresztować sprawców. W całej jego karierze podobna sytuacja zdarzyła się zaledwie kilka razy.

Łotra, którego podejrzewał o popełnienie poczwórnej zbrodni, kazał zatrzymać i zamknąć w policyjnym areszcie śledczym na siedemdziesiąt dwie godziny, bo pozwalało mu na to prawo bez dostarczenia konkretnych dowodów. Przesłuchiwał go, ale bandyta na zmianę kłamał, szyderczo się uśmiechał albo spuszczał wzrok i cedził: „Bez komentarza”. Z całą ekipą śledczą zbadali każdy szczegół, a potem bezsilnie obserwowali, jak przegrywają z czasem. Podejrzany używał pseudonimu King Zoltan i wszyscy się go bali. Po trzech dniach zarówno on, jak i jego kumple śmiali się szyderczo w twarz nie tylko Grensowi, ale także pozostałym policjantom, bo śledczy nie mieli żadnych konkretnych dowodów ani zeznań świadków. Musiał go więc wypuścić, a wtedy Zoltan – już jako wolny człowiek – pojechał prosto na lotnisko w Arlandzie, wsiadł

w samolot i odleciał w bezpieczne miejsce. Do Szwecji nigdy więcej nie wrócił.

Dziewczynka na pewno widziała sprawcę zbrodni. Była naocznym świadkiem. Znajdowała się w stanie szoku, ale niewykluczone, że któregoś dnia zrozumie, co się wtedy wydarzyło, i uświadomi sobie pewne fakty. Podczas badań przeprowadzonych na miejscu zbrodni technicy zabezpieczyli szereg śladów... między innymi włosy i mocz w pawlaczu. Wszystkie pasowały do DNA dziewczynki, która po prostu się tam zsikała. Widziała przez szparę to, co się wydarzyło w mieszkaniu. Była świadkiem przynajmniej dwóch zabójstw.

Podszedł do otwartego na oścież okna, wychylił się i zaczął krzyczeć. Był naprawdę wściekły. Dopiero teraz do niego dotarło, co się stało.

Ktoś zabrał z teczki przechowywanej w ściśle chronionym archiwum wszystkie dokumenty. Zapoznał się z zawartością pierwszej teczki zawierającej ustalenia ze śledztwa i domyślił się, że policja ma świadka. Potem przeczytał dokumenty z drugiej teczki i dowiedział się o dalszych losach dziewczynki. Wiedział, jak wygląda, jaką ma nową tożsamość, gdzie mieszka i do której rodziny zastępczej trafiła. Zabrał więc te dokumenty, a w ich miejsce włożył puste kartki, żeby nikt inny nie poznał prawdy. Dzięki temu zatarł wszelkie ślady.

Grens znowu zaczął krzyczeć. Całą swoją złość wykrzyczał na policyjny dziedziniec.

Dziewczynka, która po kilkunastu latach stała się dorosłą kobietą, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Niewykluczone, że już nie żyła.

CZĘŚĆ DRUGA

MIEJSCE NADAWAŁO SIĘ WPROST idealnie: jednokierunkowa ulica w południowym Sztokholmie, przy której stały senne trzypiętrowe domy z lat czterdziestych. Mieszkali w nich Szwedzi o średnich dochodach, ze średnim wykształceniem i średnią długością życia. Sympatyczna mieszanka młodości i dojrzałości zarówno rodowitych mieszkańców Szwecji, jak i tych, którzy przybyli tu później. Tego popołudnia Piet Hoffmann postanowił obejść całą dzielnicę, żeby zbadać teren w promieniu dwustu metrów, stanowiący zewnętrzną strefę bezpieczeństwa. Skontrolował osiemnaście kamer monitoringu zamontowanych przy wejściach do budynków, w podziemnym garażu, na latarniach i dachach domów. Wszystkie były wyposażone w czujniki ruchu, dzięki czemu zarówno w dzień, jak i w nocy strzeżony przez jego firmę budynek był pod nadzorem czujnych obiektywów. Każdy ruch był rejestrowany i nagrywany. Po drodze zapisywał numery rejestracyjne samochodów, których tu wcześniej nie widział, i porównywał je z danymi w ewidencji pojazdów i ewidencji mieszkańców, a w niektórych przypadkach – w prowadzonych przez policję rejestrach przestępców. Dostęp do tych ostatnich załatwił sobie odpłatnie. Obserwacje poczynione jednego dnia porównywał w pamięci ze sporządzoną poprzedniego dnia mentalną mapą, do której nikt inny oprócz niego nie miał dostępu. Zawierała formalną siatkę ulic i nieformalne drogi ucieczki. Porównywał, którymi ulicami ktoś chodził wczoraj i dokąd zmierzał dzisiaj. Tego dnia nic nie wzbudziło jego podejrzeń i nigdzie nie zauważył potencjalnego zagrożenia. Zanim wszedł do klatki schodowej jedynej w tej dzielnicy wieżowca, zatrzymał się na chwilę pod kamerą numer czternaście i przekręcił ją trochę w lewo, żeby zlikwidować martwy kąt. Mieszkanie, do którego zamierzał się udać –

kawalerka z aneksem kuchennym – znajdowało się na ósmym piętrze. Większego nie potrzebował.

– Kończę na dzisiaj – powiedział. – Wszystko w porządku?

Jego pracownik siedział w otoczeniu monitorów i śledził na ekranach obrazy przesyłane przez kamery. Co jakiś czas przeglądał nagrania z ostatniej nocy, żeby się upewnić, czy nie zdarzyło się coś, co odbiegało od normy.

– Tak, szefie – odparł mężczyzna. – Wszystko okej.

Hoffmann podszedł do okna wychodzącego na ulicę i podciągnął żaluzje. Mieszkanie na drugim piętrze. W oknach wisiały jasne zasłony, na parapecie między dwiema doniczkami z kwiatami stała lampka, która zajmowała dużo miejsca. Mieszkanie miało charakter przejściowy, przebywała w nim ponadczterdziestoletnia kobieta, której przyznano ochronę drugiego stopnia. Podciągnął żaluzje jeszcze wyżej i zerknął na wejście do drugiej klatki schodowej. W oknach mieszkania na trzecim piętrze wisiały czerwone firanki, na parapecie stały ozdobne świece. To lokum było schronieniem trzydziestokilkuletniego mężczyzny, który podlegał ochronie trzeciego stopnia. Niedawno został postrzelony, a później jego bracia grozili mu śmiercią.

Dwa wejścia dalej, w mieszkaniu z jasnymi zasłonami, stanowczo zbyt przezroczystymi, od kilku miesięcy ukrywała się starsza para, która zeznawała w procesie przeciwko brutalnemu gangowi nastolatków działającemu na jednym z zachodnich przedmieść. W oczekiwaniu na przyznanie małżeństwu nowej tożsamości i przydzielenie im docelowego mieszkania, trzy sztokholmskie gminy płaciły jego firmie szesnaście tysięcy koron dziennie. Właśnie tyle wynosiło wynagrodzenie za profesjonalną ochronę, ponieważ wszystko miało swoją cenę: doświadczeni ochroniarze, którzy całą dobę przebywali w mieszkaniu pełniącym funkcję centrali,

nowoczesny sprzęt techniczny i uzbrojenie. Kosztowało to mnóstwo pieniędzy, ale ochrona trzech wynajętych mieszkań, które osobiście znalazł, wyposażył i zadbał o to, żeby znajdowały się w tym samym budynku i mogły funkcjonować pod nadzorem zaledwie jednego pracownika na każdej zmianie, okazała się dla firmy ochroniarskiej Hoffmann Security AB wyśmienitym pomysłem na interes.

– Dzień dobry, kochana żono.

Centrala mieściła się na jednym ze starszych osiedli w Bagarmossen, skąd miał blisko do domu. Ledwie wyszedł z windy i skierował się do samochodu, nieświadomie wyjął z kieszeni telefon, żeby do niej zadzwonić.

– Dzień dobry, kochany mężu.

Jest im ze sobą bardzo dobrze, chyba nawet lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet wtedy, gdy byli świeżo zakochani, nie czuli do siebie tego co teraz. Po przyjeździe do Szwecji wrócili do podobnego trybu życia, jaki prowadzili dawniej. Od tamtej pory wiele się jednak zmieniło: przestał okłamywać Zofię, nie zajmował się na zlecenie szwedzkiej policji infiltracją zorganizowanych grup przestępczych i nie ryzykował każdego dnia życia swojego ani bliskich. Prowadził nawet tę samą firmę ochroniarską, tylko że przestała być fasadą dla zadań, które realizował jako policyjny informator. Prowadził normalną działalność gospodarczą i w codziennej pracy wykorzystywał nabyte wcześniej umiejętności. Działalność firmy przynosiła mu pokaźny dochód.

– Zofio?

– Tak?

– Trochę się niepokoję.

– Niepotrzebnie.

– Wiem, ale nie daje mi to spokoju. Pomyśl tylko: gdyby nasza córka...

– Nie przesadzaj. Ona jest całkiem zdrowa.

Kiedyś uznał, że strach i niepokój są kontrproduktywne i pozbawione sensu. Potrafił przeżyć, bo wszystko dokładnie planował. Zawsze wiedział więcej od swoich przeciwników i był lepiej przygotowany od tych, którzy na niego polowali, próbowali go namierzyć albo wypowiedzieli mu wojnę. I nagle spadło na niego coś zupełnie nowego: okresowe badanie lekarskie jego sześciomiesięcznej córki. To wystarczyło, żeby ten irracjonalny niepokój, który nie miał prawa go dopaść, całkowicie nim zafascynował.

– Luiza umie przewracać się z pleców na brzuch i odwrotnie – powiedziała Zofia. – Potrafi też unieść się do pozycji siedzącej, wspierając się na mnie albo na lekarzu. Gaworzy, podnosi upuszczone zabawki i przekłada przedmioty z ręki do ręki. Uwierz mi: ona to wszystko potrafi.

Ich córka. Często wracał myślami do sytuacji przy szpitalnym łóżku, gdy trzymał Zofię za rękę, a jej ciałem wstrząsały bóle.

Obiecałeś nam, że będziemy prowadzić normalne życie... że nigdy więcej nie będziesz rozpracowywał środowisk przestępczych, a do naszego życia nie wrócą śmierć i chaos. Obiecałeś, że nie będziemy musieli uciekać.

Do dziś pamięta, jak wtedy na niego patrzyła i w pięknych słowach opisywała ich przyszłe życie.

To właśnie w tamtym okresie mój organizm zdecydował się na kolejne dziecko. Próbowaliśmy przez kilka lat i ciągle nam nie wychodziło. Nie mogłam kolejny raz zająć w ciążę. Wiedziałam, że osiągnęłam już pewien wiek, ale nie to było najważniejsze. Chodziło o spokój... żebyśmy nigdy więcej nie musieli żyć tak jak przedtem. Przestałam żyć w ciągłym napięciu, a dziecko... sama nie wiem... być może zabrzmiało trochę sztucznie, ale odnoszę wrażenie, że dziecko jakby przez przypadek stało się symbolem twojej obietnicy o naszym nowym życiu.

– O Emila i Rasmusa nigdy się tak nie niepokoiłeś.

– Wiem.

– A przecież ona jest lepiej rozwinięta i bardziej przebojowa, niż oni byli w jej wieku.

– O tym też wiem.

Bał się, że lekarz stwierdzi coś, czego sami nie zauważyli. Nie dawało mu to spokoju. Nie chodziło jednak o to, że była dziewczynką i najmłodszym dzieckiem w rodzinie, tylko o niego. Musiał wreszcie zrozumieć, że nic nie jest oczywiste i wszystko ma swój koniec. O wiele łatwiej żyło mu się w czasach, gdy tak długo kłamał, aż w końcu zapomniał, jak wygląda prawda... gdy sądził, że już na zawsze przesunął pewne granice, i przestał być pewien, czy kiedykolwiek uda mu się zauważyć, gdzie kończy się kłamstwo i zaczyna się prawda i kim tak naprawdę jest.

– Zobaczymy się wieczorem – rzuciła Zofia.

– Ucałuj ją ode mnie.

– Ona też cię całuje.

Dziesięć minut jazdy samochodem do willowej dzielnicy w Enskede, gdzie mieli własny ogródek. Na podjeździe przy ich domu często parkowały dwa samochody. To tam się przeprowadzili, gdy Zofia pierwszy raz zaszła w ciążę.

Opuścił szyby, chociaż przy wolnej jeździe odczuwał upał. Pogoda była dość nietypowa jak na pierwszy tydzień czerwca: trzydzieści stopni, wysoka wilgotność powietrza. Nie mógł nawet otrzeć czoła albo twarzy rękawem koszuli, bo była mokra. Zaparkował przed zardzewiałą bramą i przez chwilę siedział za kierownicą. Miał przed sobą najprzyjemniejszą porę dnia.

Jego starszy syn Emil szalał po drugiej stronie postrzępionego żywopłotu. Był w zielonych krótkich spodenkach i grał w piłkę z dziećmi sąsiada. Policzki miał zaróżowione. Przez kuchenne okno Hoffmann

widział też kręcone włosy Rasmusa. Jego młodszy syn siedział przy stole i jak zwykle bawił się plastikowymi figurkami.

Hoffmann odetchnął ciepłym, wilgotnym powietrzem.

Kiedyś mocno zatrzasnął za sobą drzwi prowadzące do dawnego życia, ale miewał chwile zwątpienia. W takich momentach chciał je znowu otworzyć na całą szerokość, żeby poczuć to co dawniej: buzowanie krwi, przypływ adrenaliny i przyspieszone bicie serca, które dodawało mu coraz większej agresji.

Czasem dopadała go przeszłość, która stawiała przed nim nowe wyzwania. Wieczorami, gdy chłopcy spali, siadał z Zofią na kanapie i zwierzał jej się, jak bardzo chciałby chociaż raz poczuć to co dawniej. Nie dla pieniędzy, tylko po to, żeby przeżyć te same emocje, dostać silnego kopa i znowu poczuć, że żyje. Ci, którzy zwracali się do niego z takimi propozycjami, poszukiwali najczęściej pośrednika. Kogoś, kto byłby do zaakceptowania dla obu stron. Ostatnim razem zaproponowano mu pośrednictwo w transakcji, w której z jednej strony uczestniczył producent chemicznej amfetaminy z południowej Słowenii, a z drugiej jedna z najbardziej rozbudowanych siatek przestępczych w środkowej Szwecji. Jego zadanie miało polegać na tym, aby działać na rzecz obu stron, brać udział w negocjowaniu warunków umowy i być ochroniarzem w czasie pierwszej dostawy. Odmówił, a potem zwierzył się Zofii, jak bardzo był poirytowany tym, że gdy odrzucił tę propozycję, obie strony zwróciły się do jakichś palantów, którzy byli gorsi od niego, ale z chęcią przyjęli zlecenie i skasowali za nie mnóstwo pieniędzy.

Mimo to za każdym razem, kiedy tak jak teraz wracał do domu i widział synów, utwierdzał się w przekonaniu, że dokonał właściwego wyboru. To samo dotyczyło Luizy: ich córka już wkrótce udowodni, że umie gaworzyć i znajdować upuszczone zabawki.

Dobrze wiedział, że kolejny proces sądowy i ewentualny wyrok oznaczałyby dla niego długoletnie więzienie. Jeśliby do tego doszło, synów mógłby widywać tylko na odległość. Na wolność wyszedłby dopiero wtedy, gdy obaj byliby pełnoletni, a jego nowo narodzona córka już od kilku lat chodziłaby do szkoły.

Brak takich zleceń oznaczał, że nie musiał sięgać po broń ani narażać się na śmierć. Dom, rodzina... właśnie tak wygląda jego obecne życie.

– Cześć! – zawołał.

Kilka lat temu Rasmus podbiegłby do niego z rozłożonymi ramionami, teraz jednak był tak zajęty zabawą, że nawet nie odpowiedział na powitanie.

– Synku... wróciłem!

– W kuchni, tato.

Hoffmann poczuł się tak, jakby wiszące w przedpokoju lustro popatrzyło na niego czujnym wzrokiem. Odwrócił się i ujrzał kartkę wciśniętą między ramę a szybę. Było na niej narysowane duże, czerwone serce. Od razu zrobiło mu się cieplej na sercu. Minęło tyle lat, a Zofia nadal zostawia mu takie dowody miłości. Podrzuca mu je, a on znajduje je co jakiś czas na poduszce, w walizce, którą rozpakowuje w jakimś hotelu, albo pod masłem w lodówce. W dawnych czasach te bezpretensjonalne dowody miłości były absolutną koniecznością. Teraz tęsknił za nimi i był rozczarowany, gdy ich nie znajdował. Uwielbiał je, tak jak uwielbiał Zofię.

Rasmus siedział przy węższej krawędzi kuchennego stołu. Zawsze zajmował to samo miejsce, bez względu na to, w jakim zakątku świata przebywali i jaki dom wynajmowali. Słyszając kroki w przedpokoju, ośmiolatek uniósł głowę, ale nie przerwał zabawy, ponieważ był zajęty swoimi plastikowymi figurkami. Szczególną uwagę poświęcał ludzikowi z dużym brzuchem, czerwoną czapką, niebieskimi nogami i żółtymi rękami.

– Cześć, synku.

- Cześć, tato.
- Co robisz?
- Bawię się.
- Widzę. Ale w co?
- Bawię się nowym ludzikiem.
- Widzę. A co...
- I tak nie zrozumiesz.

Kolorowy ludzik podskakiwał na stole obok innych figurek. Robił koziołki i wydawał z siebie różne dźwięki. Hoffmann doszedł do wniosku, że jego syn ma rację: rzeczywiście nic z tego nie rozumiał.

– To jest Mister Potato Head – wyjaśnił Rasmus.

– Słucham?

– Tak się nazywa drugi ludzik, którego mam w pokoju. Oba są do siebie podobne. Nigdy wcześniej takiego nie miałem. Super, prawda?

– Jasne.

Mąka była w ściennej szafce, pojemnik z solą na desce do krojenia, jajka, mleko i masło w lodówce. Pomyślał o naleśnikach. To najlepsza karta przetargowa w rozmowach z synami.

– Jesteś głodny? Masz ochotę na naleśniki?

– Tak, ale przygotuj je w wafłownicy. Chcę takie w kratkę.

Wafłownica, naleśniki w kratkę. Zaczęło się w zeszłym roku, ale do dzisiaj nie wie, skąd się nagle pojawiły w ich domu. Jeśli jednak właśnie w taki sposób może zaspokoić głód synów, Hoffmann przygotowuje naleśniki w ich ulubiony sposób. Z dolnej szafki wyjął wafłownicę, otworzył szeroko okno i zawołał na cały głos:

– Emil!

Zza żywopłotu w ogrodzie sąsiada dobiegały przytłumione odgłosy kopanej piłki. Chwilę później rozległ się okrzyk radości: jego dziesięcioletni syn zdobył gola, a piłka wylądowała w prowizorycznej bramce.

– Co?!

– Jesteś głodny? Zjesz naleśnika?

– W kratkę?

– Tak.

– Jestem.

Hoffmann chciał już zamknąć okno, ale jeszcze raz się wychylił i zawołał:

– Czy twoi koledzy też są głodni?!

Okazało się, że dwaj koledzy Emila, z którymi grał w piłkę, również mieli ochotę na naleśniki. Hoffmann przygotował więc tyle ciasta, żeby wystarczyło dla pięciu osób.

– Czy mógłbyś nakryć do stołu? – zwrócił się do Rasmusa.

– Mhm.

Chłopiec był zbyt zaaferowany zabawą, żeby odpowiedzieć pełnym zdaniem. Jego nowy plastikowy ludzik skakał po całym stole. Kolekcja składała się z figurek pochodzących z różnych zestawów. Przez ostatnie dwa lata, gdy Hoffmann pracował w Afryce Zachodniej i raz na kwartał leciał za darmo na urlop do Szwecji, zawsze pamiętał o tym, żeby w sklepach wolnoślowych na lotniskach kupować figurki, które cieszyły się największą popularnością.

– No dobrze... w takim razie ja zajmę się stołem, a ty pozbieraj zabawki.

– Zaraz.

– Teraz!

– Najpierw pójdę do łazienki, a potem je pozbięram.

Rasmus wstał od stołu i po przejściu kilku kroków ruszył biegiem. Zawsze tak robi, gdy odrywa się od zabawy i idzie do łazienki. Natychmiast zaczyna mu się spieszyć. Hoffmann uśmiechnął się. W tym, że dziecko jest przekonane o tym, że ktoś inny zajmuje się problemami tego świata, jest naprawdę coś pięknego. Z narożnej szafki wyjął pięć talerzy i pięć szklanek, a ponieważ nie chciało mu się czekać, aż Rasmus wróci z łazienki i posprząta zabawki, sam się tym zajął. Zdjął ze stołu kolorowe ludziki i położył je na stojącym koło kuchenki trójnogim taborecie. Na końcu wziął do ręki nową figurkę syna, która w świecie jego zabaw mogła samodzielnie podskakiwać. I nagle poczuł pierwsze od dawna kłucie w okolicy serca. Jak zwykle zapowiadało niebezpieczeństwo, jeszcze zanim je sobie uświadomił.

Ludzik, którego trzymał w ręce, był dosyć ciężki. A przecież plastik jest lekkim materiałem. Kilka razy podrzucił go w ręce i ocenił, że figurka waży przynajmniej trzydzieści dekagramów. Jeszcze raz uważnie obejrzał ludzika i zaczął go rozkładać na części.

Zdjął czerwony kapelusik, a potem odkręcił niebieskie nogi, żółte ręce i tułów. To, co zobaczył, zjeżyło mu włosy na głowie. Nie wierzył własnym oczom. Ogarnął go strach i poczuł złość. Nie za takim przyływem adrenaliny tęsknił.

Miał w ręce wypełniony trotylem i stalowymi kulkami granat, który może zabić wszystko, co znajdzie się w promieniu wybuchu.

Jego młodszy syn trzymał przed chwilą przebraną za zabawkę śmierć. I to gdzie? Tutaj, w ich własnym domu, przy kuchennym stole.

BYŁ WŚCIEKŁY I PRZESTRASZONY.

Jego syn, który w pełni ufał jemu i całemu światu, siedział tu przed chwilą i bawił się ze śmiercią, tkwiąc przez cały ten czas w swojej cudownej rzeczywistości, która zapewniała mu poczucie bezpieczeństwa.

Ręczny granat przerobiony na zabawkę.

Hoffmann wciąż trzymał go w dłoni. Przesunął kciukiem po twardej skorupie i wybrzuszeniu. Wypełniony materiałem wybuchowym pocisk miał wydłużony kształt i metalową powłokę. Zapalnik połączony był z iglicą, która po odbezpieczeniu spadała na lont. Komuś, kto znalazł się w zasięgu rażenia takiego granatu, pozostawały od wybuchu nie więcej niż trzy, cztery sekundy życia.

Wściekłość i strach.

Czuł to już nieraz, lecz tym razem było zupełnie inaczej.

Kiedyś wszystko było znacznie prostsze.

Za każdym razem, gdy ogarniała go złość, a od czasu do czasu wkradał się strach, obie te emocje starał się wykorzystać dla swoich potrzeb i przetwarzał je na dodatkową dawkę agresji. Psycholodzy, z którymi miał do czynienia w szkole, w zakładzie poprawczym dla młodocianych, a potem w więzieniu, nazywali taki stan „niskim poziomem kontroli emocji”. Twierdzili, że właśnie dlatego ucieka się do przemocy. A przecież prawda wyglądała inaczej: przemoc bywa dobrym narzędziem, pod warunkiem że ktoś wie, jak się nią posłużyć. On potrafił. Umiał zapanować nad przemocą, która w jego wydaniu wydawała się czymś naturalnym. Trwało to do momentu, gdy stosunki między nim a Zofią i dziećmi uległy pogorszeniu, a miłość, prawda i zaufanie tak bardzo skomplikowały im

życie, że z czasem pojawił się strach. Zaczął się bać, że straci to, co było dla niego najważniejsze. Ważniejsze niż on sam.

Rasmus spuścił wodę i odkręcił kran, żeby umyć ręce.

Hoffmann jeszcze raz podrzucił granat w ręce, ale tym razem zrobił to całkiem nieświadomie. Przez ostatnie lata oferowano mu do kupienia wiele różnych rzeczy. Przychodzili do niego ludzie z półświatka, od których dowiedział się, że ręczne granaty stają się coraz bardziej poszukiwanym towarem. Ich dostawy trafiały do Szwecji na drodze przemytu. Wprawdzie zerwał z poprzednim życiem, ale nadal utrzymywał sieć informatorów, którym płacił za informacje i spotkania, na które się z nimi regularnie umawiał. Wiedza o świecie przestępczym w branży ochroniarskiej stanowi dużą wartość dodaną. Niestety, musiał ją stale aktualizować i być na bieżąco z tym, co działo się w środowisku, do którego czasem go ciągnęło, chociaż nie chciał mieć z nim do czynienia. Taka wiedza była dla jego interesów i własnego bezpieczeństwa czymś koniecznym.

W łazience rozległ się głośny szum. To Rasmus odkręcił kran – jak zwykle do samego końca. Wiedział, że tak nie wolno, mimo to za każdym razem robił to samo. Woda lała się mocnym strumieniem jak ulewny deszcz w czasie burzy. Po chwili chłopiec zakręcił kran i zapadła cisza.

Takie same granaty jak ten, który Hoffmann trzymał w ręce, przemycano przez granicę w skrzyniach, po dziesięć sztuk w każdej. Produkowano je dla celów bojowych podczas wojen, lecz z czasem stały się stałym elementem uzbrojenia szwedzkich gangów. Były wprost idealne dla małych grup złożonych z chłopców z przedmieść, którzy nie mieli pieniędzy na zakup innej broni, a chcieli uchodzić za twardzieli bez ponoszenia konsekwencji swoich czynów. Żeby móc się posługiwać granatami – w odróżnieniu od broni ręcznej – nie potrzeba specjalnej wiedzy albo fachowego przeszkolenia. Taki granat kosztuje pięć marnych

stówek za sztukę, a czternastolatek, który ma go komuś podrzucić, w chwili wybuchu jest już gdzie indziej. Zazwyczaj wygląda to tak, że dzieciak podjeżdża na motocyklu pod okno budynku wskazanego przez przywódcę gangu, rzuca granatem w szybę i natychmiast odjeżdża, nie czekając na eksplozję. Robi to, bo za wszelką cenę chce zostać członkiem gangu. Nie musi widzieć, jak ofiara, która znalazła się w zasięgu rażenia, rozrywana jest na strzępy.

Najpierw Hoffmann usłyszał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku drzwi łazienki, a potem rozległ się tupot krótkich nóg biegających do kuchni. Rasmus nie miał pojęcia, że jego nowy ludzik nie jest zwykłą zabawką.

– Tato... co ty zrobiłeś?!

– Podejdź i usiądź przy mnie.

– Co ty zrobiłeś? Zniszczyłeś mojego ludzika!

Hoffmann przysunął chłopcu krzesło.

– Zrób, o co cię prosiłem!

Ale Rasmus nie miał ochoty go słuchać. Podbiegł do stołu, na którym leżał rozebrany na części ludzik, i rozpłakał się. Po twarzy płynęły mu duże łzy.

– To była moja figurka! Dlaczego...

Hoffmann obiecał sobie kiedyś, że nigdy nie skrzywdzi swoich dzieci, dlatego żaden z chłopców nigdy go nie zaatakował. Tym razem stało się jednak coś nieoczekiwanego: Rasmus zacisnął dłoń i zadał mu cios w brzuch.

Ojciec spodziewał się, że syn znowu go uderzy, więc w chwili, gdy chłopiec chciał mu wymierzyć kolejny precyzyjny cios w to samo miejsce, chwycił go za rękę. Trzymał ją, ale nie za mocno. W końcu Rasmus spasował.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało.

– Przepraszam, tato. Ale nie rozumiem, dlaczego go zniszczyłeś...

Chłopiec znowu się rozplakał. Tym razem z żalu, a nie ze złości czy z powodu rozczarowania.

– Przykro mi, ale tym ludzikiem nie możesz się bawić.

– Ale ja chcę. To mój ludzik.

– Od tej chwili już nie. Teraz ta figurka jest moja. Musisz mi jednak coś wyjaśnić. Opowiedz mi dokładnie, skąd masz tę zabawkę. Kto ci ją dał?

Rasmus odsunął się trochę od niego i spojrzał mu w oczy.

– Jesteś na mnie zły?

– Nie jestem.

– Jesteś. Widzę to, słyszę i poznaję po twoim głosie. Przecież nic złego nie zrobiłem.

Hoffmann wiedział, co syn usłyszał w jego głosie: strach, który wziął za złość.

– No dobrze... jestem trochę zły. Ale nie na ciebie, tylko na kogoś innego.

– Na kogo?

– Powiem ci, jak mi w czymś pomożesz.

Chłopiec odsunął się od ojca, który w końcu wypuścił go z objęć.

– Pomogę ci, ale źle zrobiłeś.

– Dlaczego?

– To moja figurka, bo na kopercie było napisane moje imię.

– Na jakiej kopercie?

– Ze skrzynki na listy.

– Z jakiej skrzynki?

– Naszej. Tam.

Rasmus podszedł do okna i wskazał na fragment ogrodzenia przy podjeździe przed domem. Wisiała na nim czarna skrzynka w kształcie prostopadłościanu z białym napisem. Wykonał go Emil, gdy w przedszkolu nauczył się zapisywać ich nazwisko.

KOSLOW HOFFMA

NN

– Za każdym razem, jak wracam ze szkoły, zaglądam do skrzynki. Prawie zawsze są tam listy tylko do was. Dzisiaj znalazłem w środku tę figurkę. Na kopercie było napisane: *Dla Emila i Rasmusa*. Emil nie bawi się takimi ludzikami od dawna, więc ten był dla mnie.

Hoffmann podszedł do okna i zerknął na skrzynkę.

– Czy ten ludzik leżał w kopercie?

– Tak.

– Jak?

– Nie rozumiem.

– Obiecałeś, że mi pomożesz. Jak leżał?

– Już powiedziałem. Leżał w skrzynce, w kopercie. Jak zawsze, kiedy ktoś dostaje list. Nie wiesz, jak to jest?

Hoffmann pogłaskał syna po twarzy, wziął w dłonie jego głowę i trzymał ją przez chwilę z taką ostrożnością, jakby to była najcenniejsza rzecz na świecie.

– Pójdę teraz do skrzynki i sam ją obejrzę. Opowiedz mi jeszcze raz, jak to wyglądało, gdy wróciłeś do domu i ją otworzyłeś. Jeszcze zanim wyjąłeś z niej to, co twoim zdaniem było przeznaczone dla ciebie.

– Nie moim zdaniem... to było przeznaczone dla mnie.

– Słyszałeś, o co prosiłem?

Chłopiec westchnął. Zrobił to trochę za głośno, teatralnym i lekko zrezygnowanym głosem, jakby chciał pokazać, że musi mówić o czymś, co jego zdaniem było takie oczywiste. Hoffmannowi bardzo się to spodobało. Reakcja syna świadczyła o tym, że umie nad sobą panować.

– Wszystko wyglądało jak zwykle. W skrzynce leżały prawie same ulotki reklamowe.

– Co dalej?

– Wyjąłem je, przejrzałem i znalazłem listy... dla ciebie i dla mamy. Była też otwarta brązowa koperta.

– Tak?

– Jakby ktoś do niej zajrzał albo nie zakleił. Ludzika zobaczyłem od razu, ale najpierw przeczytałem to, co było napisane na kopercie. *Dla Emila i Rasmusa*. Nic więcej. No to wyjąłem figurkę z koperty i wziąłem sobie.

– Czy oprócz tego w skrzynce coś było?

– Tato, ty mnie nie słuchasz. Powiedziałem, że było w niej pełno różnych papierów... wy z mamą ciągle coś dostajecie... codziennie... Kiedyś, jak będę miał własną skrzynkę, też chcę dostawać listy...

– Nie o to mi chodzi. Pytałem, czy oprócz figurki było jeszcze coś w kopercie.

– Oprócz figurki?

– Tak.

Rasmus zamilkł i zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią. Wpatrywał się w skrzynkę na listy i próbował sobie przypomnieć tamtą sytuację, chociaż wtedy nie wiedział, że będzie mu to do czegoś potrzebne. Hoffmann widział, że syn stara się mu pomóc, a jednocześnie sam walczył ze swoimi emocjami. Starał się ukryć uczucia, które nim targały: strach albo złość, albo jedno i drugie.

– Nie wiem.

– Czy oprócz koperty z ludzikiem była jakaś kartka, list albo powiadomienie?

– Nie wiem.

– Jesteś pewien?

– Zabrałem tylko figurkę, bo tylko na niej mi zależało.

Hoffmann wyszedł z domu. Granat zabrał ze sobą. Szedł po kwadratowych kamiennych płytach, którymi była wyłożona alejka prowadząca do zardzewiałej furtki i skrzynki na listy. Chciał znaleźć się jak najdalej od Rasmusa, chociaż wiedział, że sytuacja nie jest groźna. Dokładnie obejrzał granat i stwierdził, że mechanizm wybuchowy jest niekompletny. Ktoś, kto przerobił go na zabawkę i podrzucił do skrzynki, zrobił to w jednym celu: żeby ich nastraszyć. Granat wybuchnie, jeśli zadziała jego mechanizm, a ten został unieruchomiony. W swoim obecnym kształcie był to tylko kawałek metalu wypełniony trotylem.

Nastraszyć. A więc o to im chodzi...

On też to dawniej robił... w poprzednim życiu. Usuwał zapalnik, żeby ładunek nie mógł eksplodować, i podrzucał granat wskazanej osobie. Miał być ostrzeżeniem dla kogoś, kto za coś nie płacił, współpracował z policją albo nie chciał przenieść swojej przestępczej działalności na inny teren.

Objął dłonią owalny metalowy przedmiot.

Ostrzeżenie. Ale przed czym?

Furtka jak zwykle zaskrzypiała. Przeszedł kilka kroków wzdłuż ogrodzenia i stanął przed skrzynką. Nadal znajdowała się w tym samym miejscu, w którym powiesił ją wspólnie z czteroletnim wówczas Rasmusem. Chłopiec był z tego tak dumny, że kilka razy powtórzył na głos wypisane na niej nazwisko. Czytał je sobie, tacie i każdemu, kto tamtędy przechodził i miał ochotę zatrzymać się na chwilę, żeby go posłuchać.

Być może Hoffmann będzie musiał lepiej zabezpieczyć teren.

Ktoś chce go nastraszyć i wysłał mu ostrzeżenie. Miał w tym jakiś cel. Dał odbiorcy przesyłki – to znaczy jemu – czas do zastanowienia, żeby zrozumiał przesłanie i okazał gotowość do współpracy.

Uniósł pokrywę skrzynki, zajrzał do środka i ujrzał to, co próbował opisać mu Rasmus. W skrzynce leżały cztery listy, bezpłatna gazeta, stos ulotek reklamowych i brązowa otwarta koperta. Wyjął więc ze skrzynki całą korespondencję, której nadawcami były miasto Sztokholm, urząd skarbowy, IKEA i miejscowa firma energetyczna. Została brązowa koperta. Założył grube zimowe rękawice, które zabrał z domu, na wypadek gdyby później trzeba było sprawdzić odciski palców. Na kopercie znajdowały się słowa:

Dla Rasmusa i Emila

Dokładnie tak, jak opisał to jego młodszy syn.

Na kopercie nie było znaczka, a na tylnej stronie adresu nadawcy.

Rozszerzył szczelinę, żeby zajrzeć do środka, i ujrzał białą kartkę z tekstem wypisanym na maszynie tą samą czcionką co napis na kopercie.

Wyjął ją i odczytał złożone z trzech słów zdanie:

Wiemy, kim jesteś.

ZASNAŁ NA KRÓTKO MIĘDZY drugą a trzecią. O wpół do piątej na moment się zdrzemnął. To była długa, męcząca noc. Myślał, że ma już takie za sobą. Leżał czujny i spięty. Stał się człowiekiem sprowadzonym wyłącznie do instynktu. Chciał strzec i chronić swoich bliskich, ale w taki sposób, żeby niczego się nie domyślali.

Popołudnie i wieczór poświęcił na skontrolowanie domu, ogrodu i okolicy. Na szczęście nie znalazł nic, co mogłoby świadczyć o tym, że ich rodzina jest w niebezpieczeństwie. Potem skontaktował się ze swoimi informatorami, których zwerbował w czasie, gdy sam należał do przestępczego świata, a następnie podzwonił trochę po tych, którzy wszystko wiedzieli, grozili innym albo przed takimi groźbami uciekali. Niestety, nie otrzymał odpowiedzi na żadne ze swoich pytań. Po powrocie do domu jak zwykle uściskał Zofię, pobawił się z Luizą, która w szóstym miesiącu życia całkiem dobrze radziła sobie z testami dla dzieci w jej wieku, przepytął Emila z angielskich słówek i wysłuchał pierwszego aktu sztuki, w której miał wystąpić Rasmus. Wieczorem poszedł na górę, żeby położyć chłopców spać, i poczytał im coś na głos, żeby szybciej zasnęli. Przez cały dzień starał się ukrywać złość i strach – uczucia, które targały nim od wewnątrz. Mimo to Zofia i tak się domyśliła, że coś jest nie tak, i natychmiast go o to spytała. Zwlekał z odpowiedzią, ponieważ chciał ukryć przed nią prawdę. Kiedy jednak dzieci zasnęły, a oni usiedli z kieliszkami wina na kanapie, Zofia popatrzyła na niego w tak wymowny sposób, jak tylko ona potrafiła. Próbował ratować się opowieścią o tym, że pokłócił się z Rasmusem o zabawkę, nie bardzo mu to jednak wyszło. Skłamał, chociaż kiedyś jej obiecał, że nigdy więcej tego nie zrobi. Po jej minie domyślił się, że go przejrzała.

– Tato, ja nie chcę.

Emil miał dopiero dziesięć lat, ale od pewnego czasu zachowywał się jak nastolatek. Miewał humory i szybko zmieniał zdanie w różnych sprawach. Teraz leżał w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę i nie miał ochoty wstać.

– Musisz, synku.

– Wcale nie. Przecież czasem zostaję w domu sam. Na przykład wtedy, jak mamy mniej lekcji w szkole. Mogę wtedy dłużej pospać.

– Ale nie dzisiaj. Przed południem ty i Rasmus pojedziecie ze mną do pracy, a po lunchu podrzucę was do szkoły.

– Dlaczego?

– Nie mogę ci powiedzieć, ale to konieczne.

– Czy mama o tym wie?

– Mama wyszła z Luizą. Ma spotkanie z rodzicami i wróci wieczorem. Dzisiaj nie możecie zostać w domu sami. Za dziesięć minut masz czekać z bratem w przedpokoju. Ubrany i gotowy do wyjścia.

Hoffmann ściągnął z Emila kołdrę, pocałował go w czoło i zszedł na dół. Miał ochotę krzyknąć: „Nie! Mama o niczym nie wie, bo nie chcę, żeby znowu dopadła ją moja przeszłość!”.

Zofia pracowała w tej samej szkole, do której uczęszczali ich synowie, ale po urodzeniu Luizy poszła na urlop macierzyński. Znała hiszpański, francuski i polski i czasem brała zastępstwo z tych przedmiotów. Jego Zofia, kobieta, która w drzwiach jego pokoju w piwnicy zostawiła kartkę z namalowanym na niej dużym, czerwonym sercem. Dar miłości. Kiedy otworzył drzwi i wszedł do środka, kartka zsunęła się na podłogę. Natychmiast ją podniósł i ucałował tak, jak całował Emila w czoło. Potem starannie ją złożył i wsunął do kieszeni koszuli. Na sercu.

W pokoju, który nazywał gabinetem, stały biurko, fotel i niewielka szafa w rogu. Wisiały w niej kurtki i płaszcze, których nigdy nie nosił. Na jednej z półek leżały kartony, w których przechowywał różne rzeczy. Wsunął rękę za karton po prawej stronie, chwycił za ukrytą za nim niewielką dźwignię i pociągnął ją w dół. Jedna ze ścian rozsunęła się cicho i jego oczom ukazał się drugi pokój – tajny. Dzięki światłu, które wpadało do środka przez umieszczone pod sufitem okno, można było stwierdzić, że w pomieszczeniu stoją szafa na broń, sejf i wieszak z wiszącymi na nim kamizelkami kuloodpornymi. Podłoga była zasłana teczkami z dokumentami.

Pomieszczenie było czymś w rodzaju prywatnego miejsca wypoczynku po dniach wypełnionych kłamstwami. Urządził je w czasach, gdy był policyjnym informatorem. Czasem się zastanawiał, czy nie powinien go zlikwidować, żeby ostatecznie zamknąć za sobą tamten okres.

Granat ukrył na dolnej półce szafy na broń, w której przechowywał pistolety wyprodukowane w fabryce broni w Radomiu. Jeszcze raz wziął „ludzika” do ręki w taki sam sposób, jak zrobił to Rasmus. Taki granat sieje śmierć. Otworzył skórzaną teczkę i wsunął granat do jednej z wewnętrznych kieszek. Nie powinien leżeć w domu.

Wrócił na górę, gdzie w przedpokoju stał ubrany i gotowy do wyjścia Rasmus, który czekał na starszego brata.

– Tato, a gdzie Emil?

– Nie wiem. Poczekajmy tu na niego.

– Nie chce mi się czekać. Daj mi kluczyk do samochodu. Pójdę i tam na was poczekam.

– Nigdzie nie pójdziesz, a na pewno nie sam!

Hoffmann od razu pożałował tak ostrej reakcji, bo po jego słowach Rasmus zrobił przerażoną minę. Nie powinien podnosić na syna głosu ani

okazywać niepokoju. Pocałował go w czoło i poszedł na górę.

– Emil?! Gdzie jesteś? Czekamy na ciebie.

– Najpierw mi wyjaśnij, dlaczego mam z tobą jechać.

– Nie muszę ci niczego wyjaśniać.

– Musisz, bo powinieneś być ze mną szczery. Za każdym razem, gdy coś jest nie tak, później okazuje się, że to przez ciebie, a nie przez nas.

Dwaj mali chłopcy, którzy do niedawna wiodli tułaczy los. Prowadzili życie, o które nie prosili, ponieważ było ono konsekwencją wyborów dokonywanych przez ich tatę. Radzili sobie z tym problemem na różne sposoby. Rasmus szybko akceptował nowe warunki życia w innych zakątkach świata i równie szybko dostosował się do tych, które zastał po powrocie do Szwecji. Emil, który potrzebował bardziej uporządkowanego trybu życia, żeby poradzić sobie z natłokiem myśli, nie umiał się zaaklimatyzować w Ameryce Południowej. Po powrocie do Szwecji, gdy znaleźli się w nowym otoczeniu, potrzebował dużo czasu, by uwierzyć, że naprawdę wrócił do dawnej rzeczywistości i pozostanie w niej na zawsze.

– Tym razem jest inaczej. Tu nie chodzi o mnie.

– A o co? Dlaczego nie możemy zostać w domu?

Hoffmann widział, że syn przeczuwa, że coś jest nie w porządku, i próbuje to sobie wytłumaczyć na swój sposób. Nic dziwnego: Emil przed rokiem stanął twarzą w twarz z zabójcą. Zdarzało mu się też podsłuchiwać nocne rozmowy rodziców, którzy swobodnie dyskutowali o zagrożeniach, groźbach i dożywotnim więzieniu, ponieważ myśleli, że syn śpi. Wiedział też, jak wygląda więzienny byt policyjnego informatora, który żył w ciągłym strachu, że zostanie zdekonspirowany i zabity.

Hoffmann domyślał się, że chłopiec się boi. Tak jak on.

– To... niespodzianka.

– Jaka niespodzianka?

– Dla mamy. Szykuję dla niej niespodziankę. Nie wolno ci się z tym zdradzić.

Okłamywanie dzieci jest znacznie łatwiejsze. Do czasu, aż będzie musiał spojrzeć im w oczy.

– A konkretnie? – dociekał Emil.

– Jeśli zachowam to w tajemnicy, ryzyko, że się wygadacie, będzie mniejsze. Rasmusowi już kiedyś się to zdarzyło, pamiętasz?

W pokoju zapadła cisza. Emil miał taką minę, jakby rozważał, czy to, co usłyszał, jest prawdą. W końcu doszedł do wniosku, że tak właśnie jest, i zaczął schodzić do przedpokoju.

– Już widzę, jak tam będzie nudno – odezwał się ze zboląłą miną. Pochylił się i zaczął zawiązywać sznurowadła w zniszczonych starych butach sportowych, których nie chciał zamienić na nowe. Na końcu zdjął plecak z wieszaka. – Będziemy siedzieć u ciebie w biurze i czekać, tak?

Hoffmann nadal pamiętał czasy, gdy jego synowie interesowali się miejscem pracy swoich rodziców i tym, co tam robili w czasie, gdy obaj bawili się w przedszkolu. Kiedy przyjeżdżał z Afryki na urlop, wystarczała im porcja lodów waniliowych, dwie duże szklanki coca-coli i wspólne oglądanie filmów o Kubusiu Puchatku. Przygarnął do siebie Emila i objął go w taki sposób, jak robił to wtedy, gdy nikt obcy ich nie widział.

– Niestety, synku. Życie bywa nudne.

W drodze do biura próbował ich czymś zająć, żeby się nie nudzili. Zaczął od tego, co robili dawniej, kiedy jeździli z nim na tylnym siedzeniu: od liczenia na głos po polsku, który był ojczystym językiem jego rodziców.

– Jeden, dwa...

– Jeden, dwa...

Odpowiedział mu tylko Rasmus. Hoffmann zerknął na Emila.

– Ty też.

– Nie chcę.

– Wolisz, żeby brat liczył bez ciebie?

Zapadło milczenie. Rasmus próbował ratować sytuację.

– Nie przejmuj się, tato. Policzymy bez niego. Pojedynczo. Trzy.

– Trzy.

– Cztery.

– Cztery.

– Pięć.

– Pięć.

Zdążyli tak doliczyć do stu trzydziestu sześciu. Rasmus wypowiadał kolejną liczbę, a Hoffmann ją za nim powtarzał. Kiedy w końcu zaparkował przed narożnym budynkiem przy Vasagatan, w samochodzie rozległo się westchnienie ulgi. Na drugim piętrze mieściła się siedziba firmy Hoffmann Security AB.

Otworzył wzmocnione drzwi wejściowe i zamontowaną za nimi kratę, a następnie wstukał czterocyfrowy kod, żeby wyłączyć alarm. Firma ochroniarska. Pod taką przykrywką funkcjonował kiedyś polski gang, który Hoffmann przez długi czas rozpracowywał na zlecenie szwedzkiej policji. Przestępcze grupy z Europy Wschodniej często funkcjonują pod takim płaszczykiem. Jego firma była jednym z oddziałów spółki matki o nazwie Securitus International. Po kilku latach, gdy zdobył zaufanie przywódców gangu, dotarł do samego jądra przestępczej organizacji. Miał ją zdemaskować i rozbić jej struktury.

– Długo tu zostaniemy? – spytał Emil.

– Przecież wiesz.

– Myślałem, że zmienisz zdanie.

– Nie, nie zmieniłem... Usiądźcie przy tym stole, obejrzyjcie telewizję... poczytajcie coś... zajrzyjcie do internetu... pograjcie w jakieś gry.

W okresie, gdy ich rodzina musiała się ukrywać, Erik Wilson – jego oficer prowadzący z policji miejskiej w Sztokholmie – regularnie opłacał miesięczny czynsz za to mieszkanie, które stało puste. Wtedy Hoffmann jeszcze nie wiedział, dlaczego Wilson uważał, że to takie ważne. To, że zarobione pieniądze Hoffmann wydawał na utrzymanie domu w Enskede, który dla ich rodziny był najważniejszym miejscem na świecie, uważał za coś oczywistego. Co jednak myśleć o zbyt kosztownym w utrzymaniu biurze w centrum miasta? W tamtym okresie stanowiło przykrywkę do prowadzenia innych działań. Najpierw Hoffmann wykorzystywał je do nawiązania, a potem do utrzymywania bliskich relacji z przywódcami polskiego gangu. Sens tej decyzji zrozumiał kilka lat później, gdy wrócili do Szwecji i po krótkim pobycie w więzieniu wyszedł na wolność. Przez cały ten okres biuro było jednym z niewielu bezpiecznych miejsc. Paradoksalnie firma, którą w nim prowadził, zajmowała się ochroną ludzi i ich mienia przed różnego rodzaju zagrożeniami i niebezpieczeństwami.

Sufit zawieszony był wysoko, ściany pomalowano na jasne kolory. Z okien rozciągał się widok na plac Norra Bantorget i na most Kungsbron. Był też kominek, o jakim zawsze marzyła Zofia, dlatego na jej prośbę zbudował taki sam w ich domu. Pomieszczenia biurowe sąsiadowały z kuchnią, w pokoju stało ciężkie biurko (prawdziwy antyk) i dwie zamykane na klucz szafy na broń – takie same jak w jego tajnym pokoju w piwnicy domu. To tu prowadził swoją drugą – w pełni legalną – działalność, chociaż na początku nie wierzył, że uda mu się przeżyć poza światem przestępczym. Jedną połowę czasu spędzał w ukryciu, w drugiej sprzedawał i montował kamery monitoringu, systemy alarmowe,

bezpieczne okna i drzwi. W niektóre wieczory albo na całe weekendy zatrudniał się jako ochroniarz – pod warunkiem że oferowano mu wysokie wynagrodzenie i że uzgodnił to wcześniej z Zofią.

– Pić mi się chce! – zawołał Rasmus zza owalnego stołu w salce konferencyjnej. – Tato, chce mi się pić!

– Widzisz lodówkę w rogu pokoju?

– Tak.

– Zjrzyj do środka... na górnej półce coś leży. Ma pomarańczowy kolor. Zaczyna się na literę „F” i kończy na „a”. Możecie sobie wziąć po puszcze.

Kiedy wszedł do przedpokoju, na wyłożonej wykładziną podłodze zobaczył pocztę. Teraz, gdy chłopcy znaleźli sobie jakieś zajęcie, zabrał ją stamtąd. Odłożył na bok darmowe gazetki, ulotki reklamowe i branżowy tygodnik i zostawił siedem innych przesyłek – te położył obok podobnych na biurku.

– Nie ma! – zawołał Rasmus. – Tato, nic tu nie ma!

– Już idę!

Hoffmann szybkim krokiem ruszył do salki konferencyjnej. Brak napojów chłodzących to naprawdę poważna sprawa. Przeszedł obok synów, którzy zajmowali miejsca przy konferencyjnym stole jak dwaj ważni goście. Emil przestał wzdychać i siedział pochylony nad swoim iPadem. Był całkowicie pochłonięty jakąś grą. Rasmus oglądał w telewizji film rysunkowy. Akurat była przerwa na reklamy. Hoffmann otworzył lodówkę i stwierdził, że faktycznie jest pusta. Kątem oka zauważył, jak Rasmus rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Poszedł więc do kuchni i otworzył drugą lodówkę, w której stały puszki z napojami. Wyjął dwie i postawił je na stole przed chłopcami. Potem wrócił do swojego biurka zarzuconego korespondencją.

Przeglądał przesyłki, szukając potwierdzenia dostawy kevlarowych kamizelek bezpieczeństwa od brytyjskiego pośrednika, z którego usług od dawna korzystał. Musi oferować swoim klientom nowoczesny sprzęt, bo tego od niego oczekują. Takich kamizelek nie można kupić w Szwecji, chociaż znacznie lepiej chronią przed pociskami niż te, których używają szwedzcy policjanci.

Na końcu znalazł przesyłkę, na którą wcale nie czekał, chociaż od wczorajszego dnia był pewien, że wcześniej czy później ją dostanie.

Zwykła duża koperta z bąbelkami, jaką można kupić na każdej poczcie. Ten sam rodzaj czcionki jak na kartce dołączonej do koperty z granatem. Bez znaczka i bez nadawcy.

Dla Pieta Kosłowa Hoffmanna

Nawet tu go znaleźli. Znają miejsce, które do dzisiaj uważał za bezpieczną kryjówkę. Kim jesteście? Czego chcecie?

Zerknął do salki konferencyjnej. Obaj chłopcy byli zajęci swoimi sprawami. Żyli w innym świecie, z dala od problemów, o których nie musieli wiedzieć.

Przyłożył palce do koperty i lekko ją nacisnął. Była gruba i zaklejona, nie tak jak ta z granatem. Domyślił się, że w środku są jakieś kartki i że jest ich więcej niż w pierwszej przesyłce.

Wziął do ręki nóż do przecinania papieru i otworzył kopertę. Od razu się domyślił, że jej zawartość będzie kontynuacją, a zarazem początkiem nowego etapu w życiu jego rodziny – pełnego okropnych, niebezpiecznych dni. Wiedział, co w niej znajdzie: dokumenty, do których nikt inny nie powinien mieć dostępu. Groźniejsze od broni palnej.

W kopercie znajdowały się kserokopie notatek, raportów wywiadowczych i kodów tworzących nieoficjalny system infiltracji, którym

posługiwała się szwedzka policja. Cała dokumentacja istniała tylko w jednym egzemplarzu i powinna nadal leżeć w sejfie na komendzie policji miejskiej w Sztokholmie.

Niestety, na biurku leżało to, czego nie powinno tam być.

Gęsto zapisane kartki wypięte z czarnego segregatora. Szczegóły wielu spotkań w pustych mieszkaniach remontowanych budynków z wejściami z dwóch różnych ulic. W pierwszej kolumnie pseudonim informatora, w drugiej data i godzina, na końcu skrócona wersja informacji, którą informator przekazywał oficerowi prowadzącemu.

Hoffmann nie musiał tego czytać, bo dobrze wiedział, z czym ma do czynienia. Raporty sporządził oficer prowadzący, Erik Wilson. Wszystkie dotyczyły jego dziesięcioletniej współpracy z policją.

Dokumenty były podpisane pseudonimem Paula, którym Hoffmann posługiwał się w kontaktach z policją. Chroniło go to przed wyciekiem jego prawdziwych danych osobowych. Za to, że ujawnił wewnętrzne struktury mafijne i zakres działalności gangu, groziła mu śmierć.

W tym samym sejfie przechowywano też inne dokumenty, na przykład kartkę z prawdziwym imieniem i nazwiskiem informatora posługującego się pseudonimem Paula. Pierwszego dnia współpracy oficer prowadzący opieczętował ją czerwoną lakową pieczęcią. W stosie leżących przed nim na biurku kartek Hoffmann znalazł kopię także tego dokumentu. Zawierała informację o tym, kim naprawdę była Paula.

Wiedzą nawet to!

Zaczął głęboko oddychać. Zawsze to robił, żeby się uspokoić.

Jeśli te dokumenty wpadły w ręce niepowołanej osoby, która poznała jego prawdziwe imię i nazwisko i ustaliła, jakie zadania realizował dla policji, oznaczało to dla niego natychmiastowy wyrok śmierci. Żadna organizacja mafijna albo inna grupa przestępcza, która wie, że w jej

szeregach działał informator donoszący policji o niezgodnych z prawem działaniach, nie pójdzie z tym na skargę do sądu, tylko wyśle swoich cyngli, którzy sami wymierzą mu sprawiedliwość. Będą bezlitośni. Śmierć. Jakie to proste.

– Co robisz, tato?

Hoffmann aż się wzdrygnął. Nie zauważył, że Rasmus wślizgnął się do pokoju, stanął za nim i patrzył na leżące na biurku dokumenty.

– A co ty tu robisz? Myślałem, że oglądasz telewizję?

– Film się skończył i nie mam nic do picia.

Hoffmann wstał z krzesła i prawie wypchnął syna z pokoju.

– Nie powinieneś tu wchodzić. Ja tu pracuję.

– Mogę ci pomóc.

– Dziękuję, ale sam się tym zajmę. Co byś powiedział na drugą puszkę napoju gazowanego? A może chciałbyś obejrzeć jeszcze jeden film?

– Drugą puszkę? A mama o tym wie?

– Jeśli chcesz ją dostać, musisz to zachować w tajemnicy.

Druga puszka napoju i kolejny film rysunkowy.

Hoffmann delikatnie potargał Rasmusa po włosach, pogłaskał po policzku Emila i opuścił ich fikcyjny świat, żeby wrócić do swojego, który od niedawna wydawał mu się nierzeczywisty.

Ktoś włamał się do sejfów, do którego nie powinien mieć dostępu. Otworzył zapieczętowaną kopertę i skopiował znajdujące się w niej dokumenty, w tym dane osobowe Hoffmanna i raporty, które sporządzał w latach, gdy był policyjną wtyką w jednym z przestępczych gangów.

Chciał już włożyć dokumenty z powrotem do koperty, ale zauważył kartkę, która różniła się od pozostałych. Nie wyglądała na kopię albo kserokopię i nie zawierała tajnych informacji z przeszłości. Była to zwykła

biała kartka z zapisanymi na niej dwoma zdaniami. Informacja składała się z większej liczby słów niż poprzednia i brzmiała następująco:

W każdej chwili możemy zabić twoje dzieci.

W każdej chwili możemy ujawnić twoją tożsamość.

HOFFMANN USIADŁ NA DREWNIANEJ ławce na szczycie wzgórza, które nieznacznie górowało nad okolicą. Wyglądało to tak, jakby w czasach, gdy wszystko równano z ziemią, żeby pobudować nowe miejsca parkingowe i wylać betonowe fundamenty pod kolejne budynki, zapomniano o tym miejscu. Widok na szkolny dziedziniec i okna w salach, w których uczyli się Rasmus i Emil, był z tego miejsca najlepszy.

Po obiedzie odwiózł ich do państwowej podstawówki w jednej z południowych dzielnic miasta. Przy okazji poszedł na wywiadówkę dla rodziców uczniów młodszych i starszych klas. Rasmus kończył pierwszą klasę, a Emil po letnich wakacjach, których nie mógł się doczekać, pójdzie do piątej. Czas szybko mija. Obaj są już naprawdę duzi. Jemu i Zofii też przybyło lat.

Wysadził ich przed wejściem do budynku. Chciał ich objąć na pożegnanie, ale zrobił się taki tłok, że nie zdążył. Uczniowie napływali ze wszystkich stron. Obaj chłopcy od razu pobiegli do kolegów i nawet się do niego nie odwrócili. Nie zamierzał ich zostawić bez ochrony, tak jak nie zamierzał zostawić bez ochrony Zofii i Luizy. Mieli o to zadbać dwaj wynajęci przez niego ochroniarze – Juan i Nic. Obaj byli młodzi i pełni energii, mieli po siedemnaście lat, okazywali mu pełną lojalność i umieli posługiwać się bronią. Kiedyś wydostał ich z aresztu i postarał się, by policja odstąpiła od wszczęcia przeciwko nim dochodzenia. Ostatniej nocy zadzwonił do nich i poprosił, aby dyskretnie chodzili za jego żoną. Dobrze wiedział, co robi. Jego anonimowi przeciwnicy nie tylko dwa razy nawiązali z nim kontakt, ale także pokazali mu, że wiedzą, jak mają na imię jego synowie, gdzie mieszka ich rodzina i jak łatwo mogliby ich wszystkich zlikwidować.

Nie dawało mu to spokoju. Czuł się tak, jakby ktoś wykonał ostrym nożem głębokie, sięgające od mózgu aż do serca cięcie powodujące narastający ból.

Ktoś go obserwuje. Ktoś na niego poluje.

Tylko kto?

Ktoś go ostrzega, stawia mu żądania.

Tylko jakie?

Ujawnij się!

Prawie wykrzyczał te słowa.

Cztery lekcje. Popołudniowe zajęcia w szkole zaraz się skończą. Na razie nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi, nic nie odbiegało od utartego schematu. Obserwował, jak jego synowie bawią się na przerwach: Rasmus stał z grupą innych uczniów przed drewnianą tablicą z otworami. Gra polegała na tym, aby trafić w nie piłką. Każde trafienie dawało jeden punkt. Emil grał na boisku w koszykówkę w składzie jednej z dwóch drużyn. Obaj chłopcy wyglądali na uszczęśliwionych, stanowili część szkolnej społeczności. Zofia często mu opowiadała, że obserwuje ich z okna pokoju nauczycielskiego i wciąż nie może uwierzyć, że prowadzą normalne życie. Przez długi czas byli zdani tylko na własne towarzystwo, nie utrzymywali kontaktów z innymi dziećmi i brakowało im wzorców zachowań. Teraz stali się częścią grupy i traktowali to jako coś normalnego.

Kiedy rozległ się dzwonek, wsiadł do samochodu i podjechał pod wejście. Uczniowie wychodzili grupkami. Głośno się śmiali, rozmawiali i gestykulowali, po czym rozchodzili się każdy w swoją stronę. Emil i Rasmus stali przez chwilę na boisku do koszykówki i nawet nie przeczuwali, że są obserwowani. Byli zwykłymi dziećmi, mieli mnóstwo czasu i nigdzie im się nie spieszyło. Na jego widok nie okazali wielkiej radości.

– To znowu ty, tato?

– Wsiadajcie.

– Poważnie? – zaprotestował Emil. – Przecież zawsze wracamy do domu na piechotę. To zaczyna być wkurzające.

– Róbcie, co wam każe, bo zaczniecie zwracać uwagę kolegów. Zresztą i tak już chyba zauważyli, że po was przyjechałem.

Wprawdzie taka odpowiedź nie zadowoliła chłopca, ale uznał, że rozumowanie ojca jest całkiem logiczne. Usiadł obok brata i skulił się, żeby ktoś go nie zobaczył. W połowie drogi zaczęły się pytania.

– Tato, ale dlaczego?

– Na razie nie mogę ci tego wyjaśnić.

– Najpierw pojechaliśmy z tobą do biura, potem odwiozłeś nas do szkoły, a teraz wracamy z tobą do domu.

– To było konieczne.

– Wiem, że kłamiesz. Na pewno stało się coś groźnego.

To właśnie Emil niepokoił go w zeszłym roku swoimi pytaniami podczas wspólnych rodzinnych śniadań. Podejrzewał, że grozi im niebezpieczeństwo. Wprawdzie oboje z Zofią uważali, że udało im się ochronić chłopców przed świadomością zagrożenia, ale najwyraźniej ich nie docenili. Któregoś dnia Emil nie chciał nawet rozmawiać przez telefon z ojcem, który na zlecenie policji rozpracowywał północnoafrykański gang zajmujący się przemytem ludzi, chociaż wcześniej im obiecał, że po wykonaniu zlecenia wróci do domu. Jego starszy syn naprawdę wiele rozumiał i dużo wiedział.

Hoffmann zjechał na bok i zatrzymał samochód. Tym razem nie zamierzał okłamywać synów przez telefon. Zrobi to teraz, patrząc im prosto w oczy.

– Zapewniam was, że nic nam nie grozi. Nic złego się nie stało. Proszę was tylko o jedno: nie możecie się zdradzić przed mamą, że szykuję dla niej niespodziankę. Właśnie na tym ma polegać wasza pomoc. To dlatego odwożę was do szkoły i odbieram po lekcjach.

– Opowiedz nam o niej.

– O czym?

– O niespodziance.

– Zrobię to we właściwym czasie. Musicie mi zaufać.

Zofia rozpięła na tyłach domu duży parasol, ponieważ temperatura nadal sięgała ponad trzydziestu stopni. Emil i Rasmus wbiegli do ogrodu, bo każdy z nich chciał jako pierwszy wziąć na ręce ich małą siostrzyczkę. Napili się soku z lodem, przeszli w zacienione miejsce i dolali sobie jeszcze soku.

Hoffmann rozglądał się uważnie, ale nic nie zwróciło jego uwagi. To dobrze. Jeśli on nie zauważył Juana i Nica, którzy mieli pilnować Zofii, ona też ich nie zobaczy. Uniósł rękę, co oznaczało, że mogą wrócić do domu i czekać na kolejne zlecenie.

Pocałował żonę – jak zwykle dwa razy – i podszedł do wózka.

Kochał tę małą. Uwielbiał nosić ją na rękach i patrzeć, jak ziewa, czuć, jak oplata delikatne paluszki wokół jego palca. Wydawało mu się, że jest, a jednocześnie jakby jej nie było... jakby ją razem z Zofią wymyślili. Czasem się bał, że za chwilę ktoś poklepie go po ramieniu i powie: „Nie widzisz, że to tylko przywidzenie? Ona nie istnieje”. Pocałował ją dwa razy w czoło, tak jak całował żonę, a potem pogłaskał po nosku, czółku, bródce i pulchnych policzkach.

Imię wybrał dla niej Emil. Zależało mu, żeby zawierało literę „z”, tak jak imię mamy.

– Piet, co się dzieje? – spytała Zofia. Spojrzała na niego uważnie, ale on unikał jej wzroku.

– Już ci mówiłem: nic.

– Kochanie, ja naprawdę cię znam. Wiem, jak oddychasz i jak się poruszasz... Powiedz mi, o co chodzi. Muszę wiedzieć, żeby się przygotować.

Hoffmann nie odpowiedział, bo wolał o tym teraz nie rozmawiać. Nie w ogrodzie. Nie chciał też mówić o tym w kuchni ani w salonie, gdy Zofia zacznie szukać jego wzroku, a chłopcy zasną i nie będą ich podsłuchiwać. Tym bardziej nie zamierzał poruszać tego tematu na koniec dnia, kiedy oboje położą się nago do łóżka i będą się kochać w typowy dla siebie, intensywny sposób. Ostatnio rzadko to robili.

Nagle Zofia odsunęła się od niego.

– Tak nie można.

– Posłuchaj, ja...

– Czuję, że coś jest nie tak. Widzę po tobie, że jesteś nieobecny myślami. A jeśli tak, to i mnie tu nie ma. Powiedz mi, co się dzieje.

W przeszłości odbyli wiele podobnych rozmów – o śmierci i ludziach, których zabił. Obiecał, że będzie jej mówił prawdę.

Niestety, tym razem nie mógł tego zrobić.

Leżeli więc razem w łóżku, ale każde po swojej stronie i jak najdalej od siebie, żeby się przypadkiem nie dotknąć, żeby ich nagie ciała znowu się nie spotkały.

Podczas śniadania w milczeniu nakrywali do stołu, jedli, zmywali naczynia, a potem – także w milczeniu – umyli zęby i ubrali się do wyjścia. Sprawdzili, czy Luiza jest najedzona i ma zmienioną pieluchę. Kiedy wychodził z domu, żeby odwiedzić chłopców do szkoły, skinęli sobie

głowami na pożegnanie. W taki sam sposób przywitali się, gdy po pracy wrócił do domu.

W końcu jednak przyszła chwila, kiedy musieli odbyć tę rozmowę. Hoffmann był akurat w swoim tajnym pokoju i w pewnym momencie usłyszał, jak żona uchyla skrzypiące drzwi do piwnicy i woła:

– Piet! Musisz tu przyjść.

Szybko zamknął sejf, bo wyczuł w głosie Zofii powagę i niepokój.

– Co się stało? – spytał, idąc schodami na górę.

Na stole w kuchni leżała paczka.

– Dla ciebie.

Przesyłka nie była zbyt duża i niczym szczególnym się nie wyróżniała. Na wierzchu widniał napis:

Dla Pieta Kosłowa Hoffmanna

Tekst tak jak poprzednio napisany był na maszynie. Brakowało adresu nadawcy. Zawartość koperty zwiastowała kłopoty.

Oboje wpatrywali się w nią w milczeniu. Każde na swój sposób.

– Dostarczono ją teraz?

– Tak.

– Listonosz nie przychodzi o tej porze...

– To przesyłka kurierska. Kurier przyszedł, kiedy byłeś na dole.

Zofia popatrzyła na niego czujnym wzrokiem. Miała nadzieję, że przynajmniej teraz usłyszy jakieś wyjaśnienia. Domyśliła się, że paczka może mieć coś wspólnego z jej wczorajszym niepokojem.

– Co tam jest?

– Nie wiem.

– Na pewno wiesz.

– Naprawdę nie wiem.

Tym razem powiedział prawdę. Nie miał pojęcia, co jest w środku.

Paczka leżała na stole, jakby symbolizowała to, o czym woleli nie rozmawiać i co omijali szerokim łukiem. W końcu Zofia wyszła z Luizą na popołudniowy spacer pod czujnym nadzorem Juana. W tym samym czasie Nic i jego brat stali pod szkołą, gdzie pilnowali Emila i Rasmusa.

Hoffmann odczekał, aż żona i córeczka znikną mu z oczu, a potem wysunął krzesło i usiadł przy stole. Targały nim dwa uczucia: złość i strach.

Dotknął koperty, żeby sprawdzić, co jest w środku, i wyczuł twardy przedmiot wielkości telefonu komórkowego.

Wiedział, że powinien być ostrożny, że nie wolno mu otwierać przesyłki w domu, i to bez żadnego zabezpieczenia. Mimo to rozerwał taśmę, którą był zaklejony brzeg, i otworzył kopertę.

Jego przypuszczenia się potwierdziły: to był owinięty w kartkę telefon komórkowy. Rozłożył ją i zaczął czytać.

Przyjemnie to wyglądało – śniadanie z rodziną. Twoi synowie bardzo lubią jogurt, ale wolą go pić ze szklanki niż jeść z talerza. Do tego chleb z dwoma plastrami żółtego sera. Mają ładne tornistry. Zwłaszcza Rasmus. Cały lśni na czerwono. Łatwo go zauważyć.

Wiesz, że możemy cię sypanąć. Zabić twoją rodzinę. Zrobimy to, jeśli nie wykonasz tego, o co wkrótce grzecznie cię poprosimy. Kiedy zadzwoni telefon, odbierz.

Hoffmann poszedł szybko do garderoby w przedpokoju, gdzie przechowywał kilka par cienkich gumowych rękawiczek. Założył jedną parę i wrócił do kuchni. Chwilę później zadzwonił telefon. Natychmiast odebrał.

– *Dzień dobry.*

Od razu się domyślił, że rozmówca ma zainstalowane urządzenie do zniekształcania głosu.

– *Dobrze mnie słyszysz?*

Głos miał elektroniczne brzmienie.

– *Odpowiadaj, gdy pytam.*

Głos raczej męski, choć równie dobrze mógł należeć do kobiety.

– *Spytam ponownie: słyszysz mnie?*

– Tak, słyszę.

– *Świetnie. W takim razie będę się streszczać.*

Rozmówca mówił po szwedzku bez obcego akcentu. Nie był to też żaden z lokalnych dialektów.

– *Wiemy, kim jesteś i co robiłeś. I nie chodzi tylko o to, za co cię zamknęli. Wiemy, że wiele potrafisz.*

Przez cały czas kontrolował oddech.

– *I dlatego chcemy, żebyś wywołał małą wojnę.*

HOFFMANN OD DAWNA KONSTRUOWAŁ W MYŚLACH statyczne obrazy wzięte z rzeczywistości, w której akurat funkcjonował, a następnie „wklejał” je do swojego wewnętrznego albumu ze zdjęciami, do którego nikt postronny nie miał dostępu. Były w nim jego obserwacje dotyczące różnych osób, jak również jego ruchy i jego zachowania w stosunku do ruchów i zachowań innych ludzi. Te obrazy były czymś w rodzaju zwierciadła, za którego pomocą rejestrował wszystkie te dane i fakty, żeby móc odpowiednio planować i zachować czujność. Nie pamiętał, kiedy i w jakich okolicznościach się to zaczęło, ale trwało to, od kiedy sięgał pamięcią. Taki się stał, a właściwie musiał się stać.

Zdawał sobie sprawę, że przy takim trybie życia powinien wiedzieć więcej od innych o tym, co dzieje się wokół niego. Dzięki temu potrafił przewidzieć, co zdarzy się w przyszłości. Wyznawał prostą zasadę: Nie pozwól, żeby przeciwnik dopadł cię pierwszy. Załatw go, zanim on załatwi ciebie.

Stosował tę mądrość bez względu na okoliczności: w drodze do szkoły – gdy był jeszcze chłopcem – i w dorosłym życiu, kiedy musiał się rozliczać za narkotyki. Zachowuj się tak samo jak oni i mów tak jak oni. Starał się dowiedzieć, które drzwi trzeba otworzyć i co znajduje się po drugiej stronie. Ta cecha przydała mu się później, gdy został zwerbowany przez oficera policji i zgodził się wniknąć w szeregi zorganizowanej grupy przestępczej, aby rozpracowywać ją od środka. Przeżył, ponieważ wyznawał prostą zasadę: Bądź zawsze o krok przed innymi. Przewidywał ruchy przeciwnika i starał się działać szybciej i sprawniej od swoich wrogów.

Co teraz? Nie wiedział. Nowe okoliczności nie pasowały do jego dawnych obrazów i wyobrażeń. Nie miał lustra, w którym mógłby cokolwiek zobaczyć.

Ktoś go obserwuje, bada życie jego rodziny i być może robi to także w tej chwili, a on nie ma pojęcia, kto i dlaczego za tym stoi. Kazali mu wywołać małą wojnę. Jaką wojnę?!

Na szczęście szybko rozpracował *modus operandi* przeciwnika, ponieważ w czasach, gdy jego praca polegała na groźeniu ludziom, działał w taki sam sposób. Nauczył się kilku zasad: Zmuszaj ludzi, żeby zrobili to, co chcesz, ale nie informuj ich o wszystkim od razu, tylko dozuj informacje po trochu. Jeśli chcesz, żeby twój przeciwnik coś dla ciebie zrobił, trzymaj go w niepewności i rób to tak długo, aż zacznie się bać, zastanawiać i niepokoić. Dopiero wtedy mu wyjaśnij, czego od niego chcesz.

Zerknął na zegarek. Kwadrans po drugiej. Po wyjeździe z domu pojechał do Bagarmossen, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja klientów, którzy przebywali w trzech chronionych przez jego firmę mieszkaniach. Z jednego z nich musieli niedawno przenieść w inne miejsce starszą parę, która ukrywała się za zbyt przezroczytymi firankami (oboje odważyli się zeznawać w procesie przeciwko członkom gangu). W ich miejsce umieszczono młodą kobietę, która uciekła przed własną rodziną, ponieważ zaszła w ciążę z mężczyzną należącym do jednej z mniejszości etnicznych. Potem pojechał do swojego biura przy Vasagatan, żeby spotkać się z przedstawicielami dużej firmy komputerowej z Kisty. Był to stały klient, który planował zainstalować nowszą wersję zewnętrznego systemu alarmowego. Hoffmann działał mechanicznie, a rozmowę prowadził w taki sposób, żeby zdobyć kolejne zamówienie. Jego słowa dawały poczucie bezpieczeństwa, ponieważ w czasie rozmowy uśmiechał się, a poza tym mówił przekonująco i w sposób zaangażowany. Czuł jednak, że nie jest

sobą. Myślami był gdzie indziej – z Zofią i dziećmi, którym zagrażał anonimowy przeciwnik ze zniekształconym głosem. Spodziewał się, że wkrótce znowu się odezwie i zada swym ofiarom kolejny cios.

W tym samym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy. Hoffmann wyjął go z wewnętrznej kieszeni i odebrał.

– *Witam ponownie.*

Ten sam zniekształcony głos. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– *Jak już wiesz, wkrótce masz wywołać małą wojnę.*

Przed chwilą Hoffmann zgasił światła w biurze i włączył system alarmowy. Kiedy zadzwonił telefon, stał na klatce schodowej i zamykał drzwi na klucz. Rozejrzał się. Znalezienie ukrytej kamery – czujnego oka o średnicy zaledwie kilku centymetrów, które ktoś mógł umieścić w dowolnym miejscu – było tak samo niemożliwe tutaj, jak w okolicach jego domu w Enskede, gdy sprawdzał ulice i sąsiednie posesje w poszukiwaniu podobnych kamer. Podeszedł do okna i zaczął się zastanawiać, skąd dzwoniący obserwuje jego ruchy. Może z komputera umieszczonego z dala od tego miejsca? Może siedzi na drugim krańcu miasta albo w jednym z zaparkowanych w pobliżu samochodów? Może obserwowali go przez cały czas, a on tego nie zauważył?

– Pamiętam. Rozmawialiśmy o tym podczas dzisiejszej rozmowy. Mam wywołać jakąś wojnę. Co to znaczy?

– *Dokładnie to, co słyszysz. Zrobisz to sam. Bez niczyjej pomocy. Użyjesz broni FN BRG-piętnaście.*

Rozmowa stawała się coraz dziwniejsza.

Znał branżę związaną z handlem bronią, ponieważ w jego zawodzie było to konieczne. FN BRG-15 to broń automatyczna. Wiele o niej słyszał i wiedział, że nie istnieje. Nigdy nie weszła w fazę produkcji.

– Wojna? FN BRG-piętnaście? To jakiś pieprzony żart? Od tygodnia robicie sobie ze mnie jaja. Piszecie do mnie listy na maszynie, a jeden dołączyliście nawet do zabawki dla moich synów!

FN BRG-15 miał się stać najpopularniejszym karabinem maszynowym w historii broni palnej. Podobno jego konstrukcję opracowano w Fabrique Nationale w Belgii, zakładach, które produkowały broń na potrzeby szwedzkiej armii i sił zbrojnych dwudziestu innych krajów. Karabin miał tak dużą siłę rażenia, że nie tylko mógł rozbić pancerz czołgu z odległości jednego kilometra, ale także się przez niego przebić. Żadna inna broń tego rodzaju nie miała nigdy takiej siły przebicia. Od innych karabinów różniła się większym kalibrem i tym, że stosowano w niej nowy rodzaj pocisków. Kiedy konstrukcja była już gotowa i można było przystąpić do masowej produkcji, okazało się, że na karabiny nie ma nabywców. Prawdopodobnie przeprowadzono błędne badania rynku albo w ogóle ich nie było, więc zrezygnowano z produkcji, jeszcze zanim ją podjęto.

– Ręczne granaty to nie żart. W żadnym wypadku. Z dziecka, które ktoś wysadził w powietrze, nie wolno się naśmiewać ani żartować. A może do tornistra jednego z twoich synów trafił nowy prezent, a my pozwoliliśmy mu go nosić przez kilka ostatnich dni? W tornistrze ma tyle ciężkich książek, że nawet nie zauważył różnicy. Mały chłopiec nie zwraca na coś takiego uwagi. Jeśli podzielasz moją opinię, przestań zadawać pytania i uważnie mnie posłuchaj.

Hoffmann od razu pojął sens tych słów i nogi się pod nim ugięły. Zrozumiał, że to nie była pusta groźba.

Rasmus ma w tornistrze granat. Jego syn nosił go w drodze do szkoły i do domu, miał go w samochodzie i w klasie.

– Ty pierdolony...

– Spokojnie... Posłuchaj, co ci powiem. Jak już wiesz, masz wywołać małą wojnę. Zrobisz to, korzystając z FN BRG-piętnaście. Możesz wybrać dowolną organizację przestępczą, która twoim zdaniem nada się do tego najlepiej. Najważniejsze jest to, żeby miała... jak by to najtrafniej ująć... znaczące wpływy w podziemnym świecie. Sam dokonaj wyboru, a potem ich zniszcz. Kiedy będzie po wszystkim, rozpowszechnisz swoimi kanałami informację o tym, jaką bronią zostali zaatakowani i gdzie można ją kupić.

Rozmowa dobiegła końca. Człowiek ze zniekształconym głosem rozłączył się. Hoffmann stał przez chwilę nieruchomo, ale szybko się ocknął.

Zbiegł schodami na ulicę i nie zwracając uwagi na wściekłe trąbienie kierowców, popędził zygzakiem między samochodami do swojego zaparkowanego po drugiej stronie ulicy wozu. Od dawna nie czuł takiego strachu jak teraz, chociaż jeszcze niedawno był pewien, że dawno temu sobie z nim poradził.

Tornister Rasmusa.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Juana i Nica, którzy nadal byli pod szkołą. Ostatecznie sam postanowił ocenić sytuację, żeby uniknąć nieszczęścia.

Wsiadł do samochodu i gwałtownie ruszył. Chwilę później tuż przed hamującą z piskiem opon taksówką wykonał ostry nawrót. Ze znacznie większą niż zwykle prędkością wjechał na Vasagatan, przejechał mostem Centralbron i skierował się na południe. Przez cały czas starał się nie myśleć o strachu i odpędzać od siebie wizje, których nie był w stanie znieść. Skupił się na drugiej części rozmowy. Może się przesłyszał? Jego rozmówca naprawdę mówił o tej broni? Od pewnego czasu w branży krążyły na jej temat niepotwierdzone pogłoski. Podobno zgłosił się klient, który zamówił dziesięć tysięcy egzemplarzy, a potem anulował

zamówienie. Takie plotki kolportowano na różne sposoby, ale chyba więcej było w nich teorii i fantazji niż prawdy. Mimo to za każdym razem kończyło się to konkluzją, że dziesięć tysięcy unikalnych karabinów maszynowych gdzieś się „zapodziało”. Podobno użyto ich w konflikcie na Bałkanach, w Ameryce Południowej stanowiły podstawowe wyposażenie gangów kierowanych przez bogatych baronów narkotykowych, a w Afganistanie rzekomo trafiły w ręce talibów. Za każdym razem traktował takie informacje jako plotki. Ale jeśli ta broń rzeczywiście istnieje? Szwedzkie siły zbrojne płaciły po pięćdziesiąt tysięcy koron za karabin maszynowy typu Ksp 58, który ma znacznie prostszą konstrukcję niż FN BRG-15. Na czarnym rynku taki sprzęt jest o wiele droższy – za sztukę trzeba zapłacić jakieś siedemdziesiąt pięć tysięcy koron, a znacznie bardziej zaawansowany model kosztuje przynajmniej sto tysięcy. Dziesięć tysięcy karabinów pomnożone przez sto tysięcy koron za sztukę daje okrągłą sumkę jednego miliarda.

Na wysokości placu Gullmarsplan ruch uliczny był tak intensywny, że zrobił się korek. Policja zablokowała kilka pasów z powodu wypadku samochodowego. Hoffmann znalazł się w pułapce. Przed nim i za nim stała kolumna samochodów. Nie miał jak wyjechać.

Zastanawiał się, czy nie wyjść z wozu, nie zostawić go na ulicy i nie pobiec. Do pokonania miał dwa kilometry, więc byłby to żaden wyczyn, ale wiedział, że musi zapanować nad nerwami. Ktoś od niego zażądał, żeby wykonał zadanie. Hoffmann zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby nieznany rozmówca chciał skrzywdzić jego synów, do niczego by go potem nie zmusił. Na tym polegała cała gra. Należy nieustannie motywować swoją ofiarę i robić to do momentu, aż pozwoli się wydymać.

– Dzień dobry... mówi tata Rasmusa... przepraszam, że przeszkadzam w czasie lekcji, ale czy mógłbym poprosić go do telefonu?

Nauczycielka miała na imię Marie i trochę przypominała mu Zofię. Była w jej wieku i miała równie stanowczy sposób bycia; umiała być łagodna, a zarazem wymagająca. Nie lubiła, gdy rodzice wydzwaniali do dzieci w czasie lekcji. Klasę traktowała jako miejsce pracy – zarówno swoje, jak i uczniów. Mimo to oddała słuchawkę Rasmusowi i powiedziała:

– Twój tata!

Ten jej głos... W ogóle nie przypominał zniekształconego głosu jego rozmówcy. Był szczerzy, spontaniczny i wzbudzał zaufanie.

– Witaj, synku.

– My teraz piszemy, tato.

Hoffmann był pewien, że zarówno nauczycielka, jak i pozostali uczniowie przysłuchują się ich rozmowie, a przynajmniej słowom Rasmusa.

– Co piszecie?

– Litery.

– To dobrze. Litery są potrzebne, bo można z nich budować słowa i zdania. Powiedz mi, co masz dzisiaj w tornistrze?

– Dlaczego pytasz?

– Bądź grzeczny i odpowiedz.

– Tornister wisi na wieszaku.

– Na korytarzu?

– Tak. Musimy je tam wieszać, bo inaczej Ma...

Hoffmann widział to oczami wyobraźni: Rasmus unosi głowę, patrzy na nauczycielkę i widzi jej wzrok. Od razu się domyśla, że nie powinien marnować czasu kolegów i koleżanek opowieściami na jej temat.

– ...mama jest zła.

Sprytne. Mądrze z tego wybrnął. Hoffmann się uśmiechnął. Wreszcie poczuł coś innego niż strach. To dobrze.

– A czemu pytasz?

– Tak się tylko zastanawiałem. Niedługo się zobaczymy. Będę na was czekał na parkingu.

– Znowu?

– Tak, znowu.

– Emilowi się to nie spodoba.

Hoffmann pocałował dwa razy słuchawkę i rozłączył się.

Siedział w samochodzie z opuszczonymi szybami przy temperaturze sięgającej trzydziestu stopni i powoli zaczynało do niego docierać, że będzie musiał rozbić którąś z organizacji przestępczych. Ma to zrobić, wykorzystując do tego karabiny, które są tak zaawansowane pod względem technicznym, że nie dorównuje im żadna inna broń dostępna na szwedzkim rynku.

O co tu chodzi? Pewnie o to, żeby o FN BRG-15 dowiedziały się inne organizacje przestępcze. Później ma jeszcze rozpowszechnić informację o tym, gdzie można nabyć te karabiny.

Sprawa jest więc prosta: pojawił się nowy aktor, który próbuje przejąć tę część rynku, na którym sztokholmskie gangi zaopatrują się w broń. Zamierza to zrobić w taki sam sposób, jak to się dzieje w innych zakątkach świata: za pomocą wzmożonego terroru chce stworzyć nieistniejący jeszcze popyt, aby stać się monopolistą w dostawach tego konkretnego modelu.

W ostatnich latach w dużych szwedzkich miastach doszło do eskalacji przemocy z użyciem broni. Liczba rannych wzrosła w całym kraju pięć razy, a zabitych cztery razy w porównaniu z pozostałymi krajami skandynawskimi wziętymi razem. W całej Europie tylko Włochy dorównują Szwecji w liczbie strzelanin w stosunku do liczby ludności. Jeśli

zaś chodzi o liczbę aktów przemocy z użyciem granatów, Szwecję można porównać jedynie z Meksykiem. Dawniej, kiedy sam był częścią przestępczego świata, do strzelanin dochodziło w wąskim zamkniętym gronie, a ich celem było wyeliminowanie konkurencji. Od pewnego czasu strzały padają też za sprawą pobudzonych bardzo młodych mężczyzn. Liczba broni w ich posiadaniu stale rośnie. Kiedyś Szwecja była tylko miejscem przerzutowym, teraz przemykana do kraju broń pozostaje tu i krąży w zupełnie inny sposób, niż to miało miejsce za jego czasów. Poza tym dawniej obowiązywała żelazna zasada, że po dokonaniu zabójstwa broni należy się pozbyć.

Przedstawiciele najważniejszych i najbardziej znanych organizacji przestępczych już dawno temu doszli do porozumienia ze swoimi stałymi dostawcami, którzy posiadali własne kanały dostaw broni; byli zadowoleni z poziomu świadczonych przez nich usług, co oznaczało, że na dobrze funkcjonującym nasyconym rynku nowi pośrednicy nie są potrzebni. Teraz sytuacja ma się zmienić i to za jego sprawą.

Na żądanie nieznanego podmiotu ma wywołać wzmożony popyt na nową broń i doprowadzić do tego, żeby ci, którzy zaopatrują się na miejscowym rynku, zaczęli kupować od nowego dostawcy jeszcze więcej broni o znacznie większym kalibrze.

Ma zburzyć dotychczasową równowagę sił i wpuścić na rynek kolejnego drapieżnika, który nie mając naturalnych wrogów, zmusi wszystkich do kupna nowej broni. Gangi nie będą miały innego wyjścia, bo ich przywódcy wiedzą, że jeśli tego nie zrobią, a w nową broń zaopatrzą się ich konkurenci, znajdą się wobec nich w znacznie gorszym położeniu.

Hoffmann zastanawiał się, kim jest ten drapieżnik, próbujący przejąć szwedzki rynek, i dlaczego nie chce zrobić tego sam, tylko wciąga w swoje

interesy jego – outsidera, który wycofał się z działalności przestępczej i prowadzi uczciwy tryb życia.

W końcu przyjechały dwie karetki pogotowia i korek zaczął się powoli rozładowywać. Samochody przejeżdżały kilkadziesiąt metrów, zatrzymywały się i po chwili pokonywały kolejny odcinek. Po pewnym czasie Hoffmann wydostał się z korka najbliższym zjazdem z autostrady.

Prawym przednim kołem zaparkował na chodniku w strefie przeznaczonej dla taksówek z korporacji, która współpracowała ze szkołą. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale nie miał czasu szukać innego miejsca. Pobiegł przez szkolny dziedziniec w kierunku niskiego budynku z jasną fasadą, w którym znajdowały się klasy dla młodszych uczniów. Dopiero teraz sobie uświadomił, że nigdy nie był tam za dnia. Zebrania dla rodziców odbywają się wczesnym wieczorem, gdy w szkole panuje kompletna cisza. Teraz budynek był pełen dzieci. Tętnił życiem, a zza zamkniętych drzwi dobiegały głosy uczniów. Minął trzy sale lekcyjne i zatrzymał się przy czwartej. Na hakach wbitych w ściany wisały tornistry, torby i plecaki należące do dwudziestu czterech uczniów, którzy tego dnia ćwiczyli w klasie pisanie liter. Nad każdym hakiem wisały wykonane przez nich kwadratowe kartki z imionami. Od razu zauważył imię syna i rozpoznał jego charakter pisma. Uśmiechnął się i zrobiło mu się cieplej na sercu. Obok imienia znajdował się rysunek przedstawiający – lub mający przedstawiać – niebieskiego krokodyla w okularach i wysokim cylindrze. Zwierzak uśmiechał się szeroko, obnażając dwa rzędy zielonych zębów. Hoffmann podszedł do drzwi i zajrzał przez okrągłą szybkę do środka. Marie chodziła po klasie, a jej uczniowie zajęci byli pisaniem liter. Nauczycielka miała trudne zadanie: musiała jakoś zachęcić dwa tuziny chłopców i dziewczynek, żeby w czasie długiej lekcji robili to, czego on,

gdy miał osiem lat, nie był w stanie zrobić: skupić się na czymś dłużej niż dwie minuty.

Czerwony tornister Rasmusa wyróżniał się kolorem pośród innych i wisiał tam, gdzie powinien: pod krokodylem w wysokim cylindrze. Hoffmann poczuł klucie w sercu. Znowu ogarnęła go złość i strach. Nie był pewien, czy jego rozmówca naprawdę zrobił to, czym się chwalił. Jeśli tak, w tornistrze Rasmusa znajduje się granat. Jeśli dojdzie do eksplozji, zginie dwudziestu czterech uczniów.

Hoffmann odpiął paski tornistra i zajrzał do środka. Pięć książek, plik kartek z ćwiczeniami do matematyki i piórnik w żółtą kratkę z uśmiechniętą piłką na bocznej ścianie. Znalazł też to, o czym powiedział mu rozmówca: metalowy, owalny przedmiot. Ręczny granat. Przypominał zabawkę, był pooklejany taśmą i składał się z plastikowych rąk, plastikowych nóg, plastikowych oczu i dużego plastikowego nosa umieszczonego nad sumiastymi plastikowymi wąsami. Przypominał ten, który trafił w kopercie do ich skrzynki, choć trochę się od niego różnił.

To, co w przypadku pierwszego granatu było trudnym do określenia zagrożeniem, teraz zamieniło się w śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ jego tajemniczy rozmówca postawił go w sytuacji bez wyjścia. W tornistrze był prawdziwy granat.

– Tato?

Hoffmann odwrócił się i ujrzał Emila. Chłopiec miał opuszczone ręce i wpatrywał się w niego chmurnym wzrokiem.

– Tak myślałem! Nie pomyliłem się. To ty szedłeś przez podwórze. Co robisz w szkole w czasie lekcji?

– Emil, ja...

– Wiesz, że wolimy sami wracać do domu, a teraz na dodatek wszedłeś do budynku.

Hoffmann schował granat za plecy, żeby syn go nie zobaczył.

– A co ty tu robisz? Nie powinienes być na lekcji?

– Zobaczyłem cię przez okno i powiedziałem, że muszę wyjść do toalety. Odpowiedz mi! To ja zadałem ci pytanie!

Sytuacja była tak absurdalna, że Hoffmann wolałby nie widzieć teraz swojej zakłopotanej miny. To błąd, że starszy syn zobaczył go w takich okolicznościach: w trakcie popołudniowych lekcji, na szkolnym korytarzu przed klasą młodszego syna. Na dodatek ukrywał za plecami prawdziwy granat.

– Rasmus zapomniał zabrać z domu książkę. Wiesz, jaki jest. O wszystkim zapomina albo gubi rzeczy. Zabrałem więc tę książkę i przywiozłem tutaj, żeby mu ją dać. Dobrze z nami macie, co? Mama pracuje w tej samej szkole, a jak ma wolne, a wy zapomnicie coś zabrać, tata wsiada w samochód i wam to przywozi.

Emil poczuł wyrzuty sumienia. Doszedł do wniosku, że niesprawiedliwie oskarżył ojca i na niego nakrzyczał. Z kolei Hoffmannowi było wstyd, że chłopiec ma taką zbolaną minę, bo przecież cała jego wymówka oparta była na kłamstwie.

– Po lekcjach będę czekał w samochodzie przed szkołą. Tam gdzie zawsze.

– Jak to? – zaprotestował Emil.

– Obiecuję, że cała ta sytuacja potrwa tylko kilka dni. Na razie!

Hoffmann pochylił się, objął syna, przytulił go i pocałował w zmarszczone czoło. Chłopiec szybko się rozejrzał, jakby chciał się upewnić, czy ktoś tego nie widział, bo takie zachowanie uważał za obciach.

SPALI PRZY OTWARTYM OKNIE. Hoffmann zaprotestował, gdy Zofia je otworzyła, ale nie potrafił jej wyjaśnić, dlaczego po trzech dniach śródziemnomorskich upałów nie powinni wpuścić do sypialni świeżego powietrza. Wolał nie wdawać się w kolejne dyskusje o sprawach, o których nie chciał rozmawiać, bo musiałby jej powiedzieć, że ktoś grozi ich rodzinie śmiercią i że jest to związane z jego przeszłością. Kiedyś jej przecież obiecał, że nigdy więcej nie będą musieli zmagać się z jej skutkami.

Leżał pod kołdrą i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo – szwedzką wersję letniej czerni. Z daleka dobiegało bicie kościelnych dzwonów. Zastanawiał się, z której świątyni słabe powiewy wiatru zdołały przywiać te dźwięki aż do ich mieszkania.

Zofia oddychała głośno przez nos. Leżała obok niego z lekko rozchyłonymi ustami, ręką na jego ramieniu i nogą przełożoną przez jego kolano. Kiedy śpi, oddycha równo i regularnie, bez względu na warunki i okoliczności. Zazdrościł jej takiego spokoju, bo wiedział, że jemu nigdy nie będzie dany. Zazwyczaj miał niespokojny sen, przewracał się z boku na bok i budził na każdy dźwięk albo wczesnym świtem, gdy robiło się jasno. Często w ogóle nie spał – tak jak tej nocy.

Leżał tak do momentu, gdy usłyszał dwa uderzenia kościelnego dzwonu. Wpół do czwartej. Już wiedział, że nie zaśnie. W końcu się poddał, bo nie potrafił się wyłączyć. Jego organizm domagał się snu, ale przegrał z głową pełną pytań bez odpowiedzi.

Pogłaskał Zofię po twarzy i ostrożnie zsunął się z łóżka, żeby jej nie obudzić. Na jabłonkach siedziały już pierwsze ptaki, które rozpoczęły swój

ranny śpiew. Słyszał przenikliwy pisk sikorek i kosy wyśpiewujące cudowne pieśni. Właśnie tak powinno wyglądać życie.

Na chwilę przystanął w sąsiednim pokoju, gdzie spała Luiza. Dziewczynka leżała na plecach w tym samym łóżeczku, w którym kiedyś spali jego synowie. Drobne paluszki owinęła wokół szczelbelka. Zofia leżała na lewym boku i równo oddychała. Czuła się bezpieczna, bo była pewna, że ktoś albo coś ich chroni przed wstrętnym obliczem tego świata, które nie przypominało tego, o czym śpiewały kosy.

Potem Hoffmann poszedł do pokoju Rasmusa, żeby zamknąć okno i lufcik – akurat tego nie będzie musiał wyjaśniać żonie, brnąc w kolejne kłamstwa. Syn lekko pochrapywał. Poduszka zsunęła się na podłogę, a on leżał pod mokrą od potu kołdrą i co jakiś czas przewracał się z boku na bok.

Hoffmann wiedział, że jeśli pójdzie schodami tuż przy poręczy, nie będą za bardzo skrzypiały. Starał się też nie nadepnąć na figurki Rasmusa, które stały porozstawiane po całej podłodze według wzoru, którego nie byłby w stanie odtworzyć. Wyłączył alarm, nalał sobie do szklanki chłodnej wody i usiadł przy kuchennym stole. Wypił trochę i od razu poczuł się lepiej.

Na stole leżała gazeta otwarta na stronie z niedzielną krzyżówką. Prawie wszystkie rubryki były wypełnione. Jego żona lubi rozwiązywać krzyżówki, traktuje to jako formę relaksu. Wziął gazetę i przysunął ją do siebie. Kartki głośno zaszeleściły. Zofia lubiła, gdy się do niej przysiadła i pomagał jej uzupełnić brakujące hasła. Niestety, tym razem niespecjalnie mu to szło. Słowa nie pasowały do kratek albo nie miały sensu.

Spojrzał przez okno na pogrążoną we śnie dzielnicę. Wokół istniał świat, w którym wszystko było poukładane jak należy – w przeciwieństwie do jego świata.

Pewna organizacja przestępcza dysponująca rzekomo nieistniejącą bronią zamierza przejąć szwedzki rynek i z tylko sobie znanych powodów

wybrała do wykonania tego zadania dawnego kryminalistę, byłego informatora policji, Pieta Hoffmanna.

Przez chwilę wsłuchiwał się w głos samiczki kosa z brązowym upierzeniem, która przeskakiwała z gałęzi na gałąź i śpiewała tylko dla niego. Po niej zjawiała się sikorka, a później pliszka, która chodziła po trawniku w poszukiwaniu owadów i larw. Właśnie tak wygląda normalna, poukładana rzeczywistość.

Dużo wiedział o sztokholmskim półświatku, ponieważ przez większą część dorosłego życia obracał się w jego strukturach. Nigdy jednak nie słyszał, żeby przestępcy mieli na swoich usługach wysoko postawionego oficera policji. Inaczej nie da się wytłumaczyć tego, że ktoś przysłała mu ściśle tajne dokumenty, a potem go szantażuje. Takie papiery przechowywane są w niedostępnych dla zwykłych policjantów sejfach komendy w Kronobergu. Dostęp ma do nich jedynie ktoś, kto tam pracuje.

Walka z policją to jedna rzecz – robił to przez wiele lat. Walka z przestępcami to druga rzecz – zajmował się tym mniej więcej przez tyle samo czasu. Jak jednak walczyć przeciwko obu stronom jednocześnie? Na pewno doprowadzi to do czyjejś śmierci.

Wypił drugą szklankę zimnej wody i na chwilę mu ulżyło.

Telefon, który przez cały czas musiał mieć przy sobie, zadzwonił, gdy odwoził chłopców ze szkoły do domu. Wyjął go, przez chwilę trzymał w ręce, ale nie odebrał. Wieczorem sytuacja się powtórzyła. Zofia popatrzyła na niego poirytowanym wzrokiem, bo telefon dzwonił i dzwonił, a on nie odbierał. O nic jednak nie pytała, bo wiedziała, że i tak jej nie odpowie.

O wpół do drugiej, gdy kościelny dzwon wybił dwa kwadransy, a on nadal nie mógł zasnąć, dostał wiadomość. Przed pójściem do łóżka przestawił leżący na szafce nocnej telefon na tryb wyciszony, żeby nie

obudzić Zofii. Mimo to wibrowanie było dosyć głośne. Wiadomość miała następującą treść:

OBSERWUJEMY WAS. WIEMY, GDZIE SIĘ ZNAJDUJESZ. WIEMY, W KTÓRYCH POKOJACH ŚPIĄ TWOJE DZIECI. ZA TO TY NIE MASZ POJĘCIA, GDZIE MY JESTEŚMY. ODBIERAJ, JAK DO CIEBIE DZWONIMY.

O wpół do trzeciej dostał następną wiadomość.

NIE MOŻESZ ZASNAĆ? JUTRO BĘDZIE CI ŁATWIEJ. DOWIESZ SIĘ, GDZIE MASZ ODEBRAĆ BROŃ I KIEDY MASZ JEJ UŻYĆ. ZACHOWAJ SPOKÓJ. PAMIĘTAJ, ŻE GDY TY BĘDZIESZ WYKONYWAŁ NASZE ZADANIE, MY DOPILNUJEMY, ABY TWOJEJ RODZINIE NIE STAŁA SIĘ KRZYWDA. PO WYKONANIU ZLECENIA WSZYSTKO WRÓCI DO NORMY. CZY TY TEŻ TAK JAK MY UWAŻASZ, ŻE KOSY ŚPIEWAJĄ NAJŁADNIEJ?

Hoffmann usiadł przy stole, wyjął telefon i jeszcze raz przeczytał obie wiadomości. Zastanawiał się, czy dwie godziny po ich otrzymaniu nie powinien wytłumaczyć sobie ich treści inaczej, niż to wynikało z bezpośredniego kontekstu. Doszedł jednak do wniosku, że przekaz jest jednoznaczny. Nadawca chciał mu zakomunikować, że cały czas go obserwuje, ale na razie nie zamierza robić użytku z wiedzy o jego pracy w charakterze policyjnego informatora. Nie planuje też – na razie – wysadzić w powietrze nikogo z jego rodziny. Jest fachowcem i świetnie się orientuje, że granaty mają potrójne zabezpieczenie, dzięki czemu są wytrzymałe między innymi na silny nacisk. Żeby doszło do wybuchu, w mechanizmie granatu muszą nastąpić trzy różne reakcje. Ryzyko, że Rasmus znajdzie granat w tornistrze i przez przypadek albo ciekawość go zdetonuje, było więc niewielkie. Hoffmann wiedział, że dostał ostrzeżenie: szantażyści dali mu do zrozumienia, że powinien zrobić to, czego od niego żądają, albo przygotować się na konsekwencje ewentualnej odmowy.

Planują i działają tak, jak sam by to robił. Szantażują go kopiami starych raportów, które jego oficer prowadzący, Erik Wilson, sporządził po

każdym spotkaniu, a potem zamykał w policyjnym sejfie.

Erik? Wolał o tym nie myśleć.

Czy taki policjant mógłby pójść na współpracę z przestępcami?

Nie.

Hoffmann nie musiał się zagłębiać w ulotne rozważania na temat Wilsona, a tym bardziej go sprawdzać, bo po prostu wiedział, jakim jest człowiekiem. Przez dziesięć lat ich współpracy, kiedy każdego dnia dosłownie ocierał się o śmierć, Wilson był jednym z dwóch policjantów, którym ufał. Dwóch na policyjny korpus liczący trzydzieści tysięcy funkcjonariuszy.

Jego zleceniodawcy rozumują i działają tak, jak on to robił kiedyś. Dotyczyło to także zlecenia, które od nich otrzymał.

Prawie tak samo... Posługują się bronią, do której nikt w kryminalnym świecie Sztokholmu nie ma dostępu. On też próbował przed laty rozbić w podobny sposób pewną organizację przestępczą. Rozpracowywał wtedy gang motocyklowy uważany przez policję za jedną z najgroźniejszych organizacji przestępczych. Jego członkowie stopniowo go zaakceptowali i zaczęli mu zlecać różne zadania. Stał się jednym z tak zwanych *hangarounds*, a potem awansował na *prospecta*. Niestety, po pewnym czasie zaczęli go podejrzewać. Któregoś wieczoru podczas tajnego spotkania, na którym nie tylko miał przekazać Wilsonowi zebrane informacje, ale także zwierzyć mu się ze swoich trosk, radości i frustracji, opisał mu dokładnie, jak zamierza się ratować, gdyby przywódcy gangu odkryli jego prawdziwą tożsamość i postanowili zabić kapusia, który dostarczał policji informacje na ich temat.

Boże! To dlatego!

Dopiero teraz się domyślił, dlaczego nikomu nieznaną organizacją, która grozi śmiercią jego rodzinie, postanowiła wykorzystać tamto

rozwiązanie, a do realizacji swoich celów wybrała właśnie jego.

Ci ludzie weszli w posiadanie ściśle tajnych raportów. Przeczytali je, skopiowali i wysłali mu, by wiedział, że znają jego podwójną tożsamość. Ktoś poznał treść meldunków, które przekazywał Wilsonowi, zainspirował się nimi, zaadaptował je dla swoich potrzeb i postanowił wykorzystać. Uwzględnił przy tym odmienne okoliczności i cel, jakim było przejęcie szwedzkiego rynku broni.

Tak, to był jego pomysł.

Policyjny informator Piet Hoffmann, pseudonim Paula, zgłosił przed laty prosty pomysł na rozbitcie jednej z głównych organizacji przestępczych. Zamierzał zburzyć w ten sposób równowagę panującą w kryminalnym świecie Sztokholmu. Teraz ten pomysł postanowili wykorzystać jego obecni zleceniodawcy.

Wstał od stołu i zszedł do tajnego pokoju w piwnicy. W sejfie przechowywał kopie dawnych raportów, które przed dwoma dniami ktoś przysłał mu do biura. Wbił kod i otworzył sejf. Na górnej półce leżał plik gęsto zapisanych kartek. Kiedy dwa dni temu przyszła koperta i zobaczył, jakie zawiera dokumenty, przejrzał je tylko pobieżnie, bo od razu zrozumiał sens ostrzeżenia. Dopiero teraz postanowił zapoznać się dokładnie z ich treścią.

– Członkowie gangu coś zwęszyli. Zadają pytania, a ja nie mam dobrych odpowiedzi. Zostało mi niewiele czasu.

– Ile?

– Dni, może godziny. Musisz mnie stamtąd zabrać.

– Potrzebuję więcej czasu.

– Jeśli poznają moją prawdziwą tożsamość, wiemy, co zrobią. Najpierw zabiją Rasmusa, potem Emila, po nim Zofię, a na końcu mnie. Zaczną od najmłodszego, skończą na najstarszym.

Usiadł na podłodze, oparł się plecami o sejf i zaczął przeglądać zapiski, o których zdążył już zapomnieć.

- Co się stanie, jeśli nie zdążę cię stamtąd zabrać?
- Musisz zdążyć.
- A jeśli mi się nie uda? Masz jakiś plan awaryjny?
- Rozwalę ten ich pieprzony gang. Zlikwiduję wszystkich, co do jednego. Całą organizację. Wszystkich za jednym zamachem.
- Pytam poważnie: Czy masz jakiś plan?
- Nie zrozumiałeś? To jest właśnie mój plan.

Szybko znalazł interesujące go strony. Były lekko zagięte, jakby nadawca przesyłki chciał się upewnić, że dzięki temu nie umkną jego uwadze.

– Ostatnio byłem dosyć zajęty. Pewnej nocy, gdy moi coraz bardziej podejrzliwi kumple z gangu leżeli pogrążeni w swoich pięknych sennych wizjach, pojechałem do garażu w Alby i skonstruowałem największą w historii naszego kraju minę przeciwpojazdową. Ma dwa metry szerokości, na jej wykonanie zużyłem mnóstwo dynamexu B. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak łatwo go zwinąć z pierwszej lepszej budowy, na której robotnicy używają ładunków wybuchowych. Dodałem trochę blachy okrętowej i pięćdziesiąt opakowań muterek M12. Teraz mina leży i czeka, aż jej użyję. Ukryłem ją w tablicy reklamowej umieszczonej na pace jednego z pojazdów, które jeżdżą po mieście. Myślę, że to najlepsza kryjówka. Wynająłem taki samochód i zaparkowałem go pięćdziesiąt metrów od wejścia do siedziby gangu. Ci idioci nawet o nim rozmawiają. Uważają, że fajnie jest popatrzeć na jakąś reklamę, gdy wychodzą z budynku. Mogę doprowadzić do eksplozji miny w każdej chwili, wystarczy kawałek lontu detonującego, zapalnik i dwa telefony komórkowe. Ściany ich siedziby zostaną podziurawione jak sito, a ci, którzy będą w czasie wybuchu w środku, zginą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że jeśli policja nie może ochronić tych, którzy dla niej pracują, muszą ratować się sami.

– Kompletnie ci odbiło? Pracujesz dla nas i nie wolno ci konstruować czegoś, co zadziała jak broń masowego rażenia. Chcesz doprowadzić do wojny gangów? Zabraniam ci! Natychmiast zabierz stamtąd to gówno!

– Zrobię to, ale dopiero wtedy, jak mi pomożesz, a moja rodzina będzie bezpieczna.

Kolejne spotkanie, sześć lat później. Każde słowo zostało nagrane i zapisane przez funkcjonariusza policji miejskiej w Sztokholmie. Dokładnie tak, jak on by to zrobił.

– Jesteś moim najlepszym informatorem. Przeżyłeś dłużej niż wszyscy inni przed tobą. Kiedy popełniałeś jakieś przestępstwo, sprzątałem po tobie, bo posiadanie takiej wtyki wśród przestępców leżało w interesie władz. Ale to, o czym mówisz teraz, nie wchodzi w rachubę. Posunąłeś się za daleko!

– Nie zamierzam zabić pięćdziesięciu ludzi. Zależy mi tylko na tym, żebyście wiedzieli, że jeśli wpadnę w kłopoty, mogę to zrobić.

– Tu już nie chodzi o to, że to poszło za daleko... To ja z nieznanymi mi powodów pozwoliłem ci na zbyt wiele.

– Jeśli coś w tym wszystkim jest niezrozumiałe, to chyba tylko to, że nikt wcześniej nie uświadamiał sobie, jak łatwo jest naruszyć istniejącą równowagę. Sprowokować drugą stronę, przejąć należący do niej rewir. Nietrudno sobie wyobrazić, jaki to będzie dramat dla wszystkich gangów, kiedy się okaże, że ich przeciwnicy dysponują bronią, jakiej nikt inny nie ma. Weźmy dla przykładu gang motocyklowy, w którym mnie zainstalowałeś: wszyscy, którzy posiadają przynajmniej podstawową wiedzę o świecie przestępczym, orientują się, że członkowie tego gangu spotykają się w swojej siedzibie w każdą środę o wpół do siódmej wieczorem. Nie siedzą jednak za kuloodpornymi ścianami, tylko w blaszanym baraku, który rozwalę za pomocą mojej bomby w dwie sekundy. Członkowie Hells Angels i Southside też spotykają się co tydzień. Jak ich załatwić? Wszystko można zrobić według określonych zasad. Nie bez powodu żyjemy w Szwecji! Mogę się przecież udać do wydziału architektury w dowolnym mieście, wypożyczyć plan budynku i zrobić jego

zdjęcie, bo takie informacje są ogólnie dostępne. Znajdę tam wszystkie szczegóły, które będą mi potrzebne: rodzaj poszycia dachowego, grubość ścian i tak dalej. Prawo do pozyskania takich danych przysługuje wszystkim. Robiłem to za was w każdym gangu, chociaż to wy, gliny, powinniście się zajmować czymś takim. Idź sobie kiedyś do urzędu miasta, żeby obejrzyć nowe lokale zajęte przez Riot Gangsters albo Evil Lions. Jednego możesz być pewien: ani w jednym, ani w drugim nie ma żadnego zabezpieczenia. Ci ludzie są zbyt leniwi, a poza tym nic złego im się tam nigdy nie przytrafiło. Zresztą instalacja odpowiedniego systemu alarmowego jest kosztowna, więc zadają sobie pytania: Po co to robić? Gdzie dostać potrzebne materiały? Powtórzę: gdybym chciał iść na prawdziwą wojnę z jakąkolwiek dużą grupą przestępczą, rozwalilibym ją za jednym zamachem, i to sam. Podłożyłbym moją bombę, sprawdziłbym, która godzina, żeby się upewnić, czy są akurat na swoim cotygodniowym spotkaniu, i rozwalilibym ten ich kurnik, korzystając z pilota i zdalnie sterowanej kamery.

Dobrze zapamiętał tamte spotkania z Wilsonem, bo targały nim mieszane uczucia. Panika mieszała się ze strachem, czuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Jednak teraz, gdy czytał o tym wszystkim po latach, czuł się tak, jakby oglądał swoje wyblakłe stare fotografie szkolne. Rasmus i Emil zawsze naśmiewają się z jego dziecięcego wyglądu. Zazwyczaj widział na tych zdjęciach kogoś obcego – młodego chłopaka, z którym po tylu latach nic go nie łączyło. Nie rozumiał go i nie potrafił się do niego odnieść. Nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy, ponieważ sześciolatek, ośmiolatek albo dwunastolatek, który spoglądał na niego ze starych zdjęć, ujrzałby w nim kogoś zupełnie obcego.

Raporty, które trzymał w sejfie, związane były z innym człowiekiem, ale nie mógł przestać zajmować się dawną wersją Pieta Hoffmanna, bo ciągle do niego wracała. Wiele razy próbował się jej pozbyć, ale bezskutecznie, bo obraz stale do niego wracał. Piet Hoffmann uciekał

w kolejnych etapach swojego życia od konsekwencji wynikających z tego, że kiedyś działał pod przykryciem jako Paula.

Zamknął sejf, pokój i drzwi do piwnicy. Poszedł do kuchni i zagotował wodę w poobijanym garnku, który zaczął tracić kolor. Kupili go z Zofią na samym początku, gdy wprowadzali się do tego domu, i nie mieli serca się go pozbyć. Nasypał kawy do dużej szklanki i zalał ją wodą.

Właściwie czekał na ten moment przez większą część swojego dorosłego życia. Spodziewał się, że któregoś dnia pojawi się prawdziwe niebezpieczeństwo: ktoś wejdzie w posiadanie tajnej dokumentacji i odkryje jego prawdziwą tożsamość, a gdy wszystko zostanie upublicznione, jego rodzina stanie się tarczą strzelecką.

Wybór miał prosty: wykonać zlecenie albo odmówić i czekać na śmierć, ponieważ gang, który grozi komuś śmiercią, a potem rezygnuje z wykonania wyroku, traci na wiarygodności.

Wyjął ołówek i jeszcze raz zajrzał do krzyżówki, którą Zofia zostawiła na stole. Czuła, że dzieje się coś złego, i miała rację. Znała go lepiej niż on siebie.

Do uzupełnienia zostało dziewięć haseł porozrzucanych po całej krzyżówce. Nie mógł się jednak skupić, ponieważ wciąż nie znał odpowiedzi na wiele pytań i nie mógł się połapać w różnych zawiłościach. Migotały mu przed oczami i śmiały się z niego. Czuł się pusty jak niezapisane rubryki w krzyżówce.

W końcu podszedł do stojącego między lodówką a kuchenką kredensu i wyjął z szuflady białą serwetkę. Rozłożył ją na gazecie i zaczął na niej rysować pojedyncze kreski. Kiedy je ze sobą połączył, zamieniły się w kwadraty i inne czworokąty. Pierwszy umieścił w lewym górnym rogu, kolejny obok, żeby przylegał do pierwszego. W podobny sposób narysował następne czworokąty, które zajęły powierzchnię od jednego brzegu serwetki

do drugiego. Dopiero później zrozumiał, dlaczego to robi. Wziął do ręki tępy ołówek i zaczął pisać.

Potrzebne do przeżycia: hasło na dziesięć liter.

F-O-N-E-T-O-G-R-A-M

Następny rząd kratek wyszedł mu trochę krzywo i były mniejsze od poprzednich. Dzięki temu zyskał więcej miejsca, żeby wpisać kolejne słowo.

Potrzebne do przeżycia: hasło na sześć liter.

P-A-R-T-E-R

W podobny sposób zapisywał następne hasła. Kręciło mu się w głowie, ale umysł nadal miał jasny. O świcie skończyła mu się kawa w dzbanku.

Potrzebne do przeżycia: hasło na siedemnaście liter.

F-A-E-D-Y-N-O-S-O-L-A-B-I-A-L-N-E

Potrzebne do przeżycia: hasło na czternaście liter.

L-O-N-T-D-E-T-O-N-U-J-A-C-Y

Potrzebne do przeżycia: hasło na siedemnaście liter.

Z-A-K-Ó-C-A-N-I-E-D-Ż-W-I-Ę-K-U

Potrzebne do przeżycia: hasło na szesnaście liter.

U-S-T-A-L-E-N-I-E-P-O-Z-Y-C-J-I

Potrzebne do przeżycia: hasło na dziesięć liter.

K-O-D-D-O-S-T-Ę-P-U

W końcu powstał chaotyczny z pozoru plan: kilkadziesiąt kratek połączonych ze sobą jak wagony pociągu, którym ten pociąg nadawał sens. W oczach Hoffmanna nie było tu ani krzty chaosu. Dla niego plan był jasny

i czytelny. Nosił go w sobie od chwili, gdy wśród zabawek Rasmusa znalazł granat. Po kolejnych groźbach plan nabrał konkretnego kształtu.

Hoffmann podjął decyzję: koniec z łamaniem prawa. Nie będzie pracował dla kogoś ani dla czyjejś korzyści, dla zorganizowanej grupy przestępczej czy policji – dwóch zwalczających się stron, dla których pracował wcześniej. Właśnie tego się nauczył. Każda ze stron, dla której coś zrobi, będzie oczekiwać od niego dalszej współpracy, ponieważ obie stosują podobną metodę: będą naciskać na niego tak długo, aż ustąpi.

Dlatego tym razem postanowił, że nie opowie się po żadnej ze stron. Nie wykona zlecenia i nie będzie czekał biernie na śmierć.

PODSZEDŁ DO ŁÓŻECZKA I pocałował Luizę w brzusek. Dziewczynka puściła na moment szczebelek, który obejmowała paluszkami. Potem pocałował w czoło Rasmusa, który nawet nie drgnął. Na koniec pocałował w policzek Emila. Jego starszy syn otworzył oczy, przez chwilę błędził niespokojnym wzrokiem po pokoju, ale szybko zasnął. Hoffmann wrócił do sypialni i położył się obok Zofii. Obudziła się, czując jego oddech na rozgrzanej skórze.

– Piet?

– Przepraszam, ale musiałem cię obudzić.

– Jesteś ubrany? Która godzina?

– Dochodzi szósta.

Zofia podniosła się i podłożyła sobie poduszkę pod głowę.

Sypialnię wypełniał blady świt. Wprawdzie żaluzje były zaciągnięte, ale przy otwartym oknie nie miało to znaczenia.

– Muszę wyjechać, żeby załatwić kilka spraw. Wrócę jutro.

– Wyjeżdżasz? Teraz?

– Podczas mojej nieobecności ani tobie, ani dzieciom nie wolno wychodzić z domu.

Zofia popatrzyła na niego i od razu się domyśliła, że coś jest nie tak. Nie znała szczegółów, ale już wiedziała.

– Czy ma to coś wspólnego z paczką, którą przyniósł kurier? Nie odbierasz telefonów i zabrałeś Rasmusowi zabawkę, którą znalazł w skrzynce na listy. Nawet mu nie wyjaśniłeś dlaczego.

Kiedyś prosiła, żeby przestał ją okłamywać. Był w tej dziedzinie mistrzem, bo każdego dnia okłamywał ją tak dobrze, że tego nie

dostrzegala. Miała rację, twierdząc, że kłamstwo trzeba umieć pielęgnować, ćwiczyć i stać się jego częścią, aby było tak oczywiste, że aż niezauważalne.

– Naszego domu pilnują dwaj moi ludzie. Są dla was niewidoczni, ale obaj znają się na swojej robocie. Jeśli zdarzy się coś podejrzanego, od razu do mnie zadzwoń.

– Co mam powiedzieć chłopcom?

– Kocham cię.

Pocałował ją, a ona nie wypytywała o szczegóły. Idąc po schodach, uważał, żeby nie skrzypiały. Starał się też nie nadepnąć na plastikowe ludziki leżące na stopniach. Niestety, ranną ciszę zakłóciło coś innego – przed wyjściem z domu dostał kolejną wiadomość.

W CIĄGU DNIA PRZEKAŻEMY CI SZCZEGÓŁY ZLECENIA I BROŃ, KTÓRĄ MASZ SIĘ POSŁUŻYĆ W NASZEJ SPRAWIE. PODAMY CI TEŻ DATĘ, GODZINĘ I MIEJSCE KOLEJNEGO KONTAKTU.

Zofii powiedział, że musi wyjechać, aby załatwić kilka spraw.

Właśnie tak określił czynności, które wcześniej wpisał w kratki swojej krzyżówki. W kieszeni spodni miał kartkę ze szczegółami, które składały się na plan ucieczki – nie tylko jego, ale też całej rodziny. Wybrał miejsce, do którego w razie niebezpieczeństwa będą mogli uciec.

W ciągu dnia. Tak napisali. Wiedział, że musi się pospieszyć. Czasu zostało mu niewiele.

Wsiadł do zaparkowanego przed zardzewiałą furtką samochodu i uruchomił silnik. Od kiedy na świat przyszły dzieci, dom stał się ich wspólnym azylem. Przypomniał sobie, jak któregoś dnia, gdy Zofia była w zaawansowanej ciąży z Emilem, roześmiała się tak zaraźliwie, że on też nie mógł się powstrzymać i po chwili śmiali się razem. Długo nie mogli

przestać. Byli szczęśliwi, że w końcu zamieszkali we własnym prawdziwym domu.

Poranny ruch na ulicach nie był jeszcze zbyt intensywny. Kiedy wjechał na Nynäsvägen i ruszył do centrum miasta, nie było jeszcze korków.

Zawsze starał się być o krok przed swoimi przeciwnikami, bo tylko dzięki temu mógł przeżyć. Teraz jest o krok za nimi.

To nie on, tylko oni decydują o przebiegu wydarzeń. Kiedy znowu się odezwą, spróbuje opóźnić to, co każą mu zrobić – do wieczora, nocy albo nawet do jutra. Być może ich pokona, jeśli będzie kłamał lepiej, niż robił to w stosunku do Zofii. Zyska dobę, ale nie więcej. Do tego momentu wszystko musi mieć przygotowane. Wtedy to on będzie o krok przed anonimową organizacją, która ma tak długie macki, że sięgnęły do najpilniej strzeżonego pomieszczenia na komendzie policji.

WYSZEDŁ Z DOMU I wsiadł do samochodu. Ubrany był jak zwykle i poruszał się tak samo jak każdego dnia. Jeśli ktoś siedział teraz przed komputerem i obserwował go przez ukrytą kamerę, ujrzał mężczyznę, którego nawyki się nie zmieniły. Do przeobrażenia w kogoś innego dojdzie dopiero wtedy, gdy odjedzie samochodem i zniknie im z oczu. Wątpił, aby ci, którzy go obserwowali, mieli dostęp do miejskiego monitoringu. Obserwację ograniczyli pewnie do dwóch miejsc, w których zwykle przebywał: domu i biura. Żeby jednak zminimalizować ryzyko, postanowił ich zgubić. Musiał się przed nimi ukryć przynajmniej tego dnia. Nie powinni wiedzieć, co robi. Najpierw pojechał do podziemnego garażu pod halą sportowo-widowiskową Globen i przy wysiadaniu zostawił na miejscu pasażera telefon, przez który miał się porozumiewać z prześladowcami. Potem wsiadł do czerwonego volvo, które tam zawsze na niego czekało, i pojechał do podziemnego garażu na Medborgarplatsen. Tam przesiadł się do

niebieskiego volkswagena i pojechał nim na Åsögatan, gdzie w podziemnym garażu stał jego czarny opel. Było to jego stałe miejsce garażowania.

WJECHAŁ NA POŁUDNIOWĄ OBWODNICĘ, zostawił za sobą most Centralbron i dotarł tunelem z Tegelbacken na Kungsgatan. Stolica Szwecji budziła się powoli do życia i ulice nadal były puste. Szybko przeciął plac Stureplan, minął park Humlegården i podjechał do szpitala na Valhallavägen, który w poprzednim stuleciu nazwano Domem Zofii na cześć szwedzkiej królowej. Przy bocznym wejściu, w dużej odległości od głównego, czekał na niego pewien lekarz. Mężczyzna miał ponad pięćdziesiąt lat i na co dzień pracował w jednym z dużych szpitali. Przywitali się, ale nie podali sobie rąk, jakby chcieli zachować ostrożność. Nie znali się, a teraz na dwie godziny zamkną się w pokoju, do którego nikt inny nie będzie miał dostępu. Szli korytarzem obok siebie równym krokiem. Masywnymi, kamiennymi schodami dotarli na oddział Kliniki Foniatrycznej szpitala na Östermalmie, który o tej porze dnia był tak samo pusty jak ulice miasta.

Duży pokój, do którego lekarz wprowadził Hoffmanna, był podzielony na dwa pomieszczenia. Pierwsze przypominało typowe biuro. Stały w nim biurko, fotel i dwa komputery. Szklane drzwi prowadziły do drugiego pomieszczenia, w którym znajdowała się niewielka sala zabiegowa oświetlona zimnym, intensywnym światłem. W środku stały lśniące stoły na kółkach i rozkładana leżanka, którą można było podnosić i opuszczać jak fotel dentystyczny. Lekarz włączył jeden z komputerów, postawił na biurku statyw z mikrofonem i podsunął Hoffmannowi krzesło.

– Proszę usiąść. Zanim zaczniemy, powinniśmy się lepiej poznać.

Obaj postanowili zachować pełną anonimowość. Lekarz miał na sobie biały fartuch bez identyfikatora, a jego pacjent nie figurował w żadnym

rejestrze.

– Nasz wspólny znajomy powiedział, że się panu spieszy. Dodał, że gotów jest pan zapłacić za anonimowość i przeprowadzenie zabiegu poza kolejnością.

Pacjent wyjął z kieszeni spodni kopertę z grubym plikiem banknotów i pokazał ją lekarzowi.

– Niech pan przeliczy.

– Do głowy by mi to nie przyszło. Najważniejsze jest zaufanie, prawda?

Hoffmann położył kopertę na biurku obok statywu z mikrofonem. Zawierała dwieście tysięcy koron w używanych banknotach. Wcześniej leżały wśród wielu podobnych banknotów w torbie, którą przywiózł z Afryki Północnej. Pieniądzy było tyle, że wystarczy na utrzymanie całej rodziny przez długi okres.

Ponieważ lekarz nie wykonał żadnego ruchu, Hoffmann przesunął kopertę w jego stronę i puścił dopiero wtedy, gdy mężczyzna wziął ją do ręki.

– Oto wynagrodzenie, po które pan tu przyszedł. Teraz ja chcę otrzymać to, po co tu przyszedłem.

Lekarz miał na nosie okulary bez oprawek. Musiał je przytrzymać palcami, żeby nie spadły na podłogę. Wziął kopertę do drugiej ręki i wsunął ją do teczki stojącej obok stolika na kółkach.

– Proszę powiedzieć coś do tego mikrofonu.

– Co?

– Obojętne. Potrzebne mi jest nagranie, które potrwa przynajmniej dwadzieścia sekund.

Kiedy Hoffmann pochylił się w stronę mikrofonu, lekarz włączył monitor. Na ekranie pojawił się obraz przypominający kratkowany wykres.

Po lewej stronie znajdowała się skala głosu (w decybelach), na dole skala częstotliwości dźwięku (w hercach).

– Proszę coś powiedzieć. Obojętnie co. Chodzi o samo brzmienie.

Hoffmann siedział w milczeniu i czuł się niezręcznie, ponieważ nic nie przychodziło mu do głowy. Musiał wymyślić coś, czego nie da się zidentyfikować, gdy ktoś będzie przypadkowo słuchał tego nagrania.

– Zacznę nagrywać, jak pan zacznie. Proszę.

– Fonetogram.

Popatrzył na lekarza, a ten skinął mu głową, jakby chciał go zachęcić do dalszego mówienia.

– Parter. Fałdy nosolabialne. Fonetogram. Ustalenie pozycji. Kod dostępu. Fonetogram. Parter. Fałdy nosolabialne...

Hoffmann zamilkł.

– Wystarczy? – spytał.

Na ekranie powstał poszczerbiony diagram przypominający mapkę. Poszczególne punkty połączone były kreskami. Całość wyglądała jak granice jakiegoś państwa albo rzucona na pokratkowane morze wyspa.

– Nagrywałem w tym pokoju wiele osób, ale to, co pan powiedział, usłyszałem pierwszy raz w życiu.

– Akurat te słowa przyszły mi na myśl. Rano rozwiązywałem krzyżówkę.

– Wprawdzie powiedziałem, żeby powiedział pan „cokolwiek”, ale to nie wystarczy. Proszę mówić normalnie, całymi zdaniami. Muszę ustalić barwę i siłę głosu. Niech mi pan opowie jakąś historię albo opisz swoje mieszkanie... może coś o dzieciach albo o pracy, którą pan wykonuje? Ma to zabrzmieć naturalnie.

Hoffmann opowiedział więc o domu, do którego zaczynał tęsknić tuż po wyjściu. Na wszelki wypadek zmienił imiona i przekręcił fakty.

– Dobrze... całkiem dobrze. A więc ma pan dwie córki?

– I chłopca, który nam się niedawno urodził.

Lekarz studiował nowy wykres, który przypominał granice naniesionego na mapę państwa lub wyspę o innym kształcie niż poprzednio.

– Znakomicie. To będzie nasz materiał porównawczy. Ma pan głęboki głos, znacznie głębszy niż u większości ludzi, ale o tym na pewno pan wiedział. Informuję o tym, ponieważ niektórzy pacjenci nie mają pojęcia, jak naprawdę brzmi ich głos, i potem nie zauważają różnicy.

Hoffmann skinął głową. Dobrze wiedział, że jego głos ma swoistą, łatwą do rozpoznania barwę, i dlatego tu przyszedł, żeby go zmienić. Głos, wygląd i sposób poruszania się. Trzy czynniki, które składają się na osobowość człowieka. Dzięki nim łatwo go rozpoznać.

– To dobrze, że ma pan głęboki głos, bo na skutek zabiegu zanikną tony basowe – oznajmił lekarz. – Na wszelki wypadek przypomnę o czymś ważnym: zmiana barwy głosu to stan nieodwracalny. Po zabiegu głos zmieni się na zawsze.

Takie zabiegi wykonywane są pod narkozą, ale Hoffmann nie miał czasu. Po ożywionej dyskusji lekarz zgodził się na znieczulenie miejscowe. Oznaczało to, że jego pacjent przez cały czas będzie świadom, jakie czynności wykonuje lekarz. Na przykład poczuje cięcie na szyi. Kolejną dyskusję odbyli, korzystając z papieru i ołówka, gdy lekarz zszywał i zaklejał świeżą ranę. Kilka razy proponował pacjentowi, aby został po zabiegu na obserwację, lecz ten odpowiadał mu na wyrwanej z notesu kartce, że to niemożliwe, bo zaraz zamierza stąd wyjść.

Później, gdy znowu usiedli przy biurku i Hoffmann zaczął mówić do mikrofonu, obserwowali, jak obraz na diagramie gwałtownie się zmienia.

Punkty i kreski utworzyły na ekranie monitora całkiem nową mapę.

– Wychodzi pan na własne ryzyko – ostrzegł lekarz.

– Rozumiem.

– Może pan jeść już dziś wieczorem, proszę jednak pamiętać, żeby głowę trzymać pochyloną do przodu. Może pan rozmawiać, ale przez kilka kolejnych dni należy mówić jak najmniej. Żeby uniknąć infekcji pooperacyjnej, proszę przyjmować zapobiegawczo ten antybiotyk.

Lekarz podał Hoffmannowi małe pudełeczko z białymi tabletkami i obaj wstali z krzeseł. Spotkanie dobiegło końca.

Po wyjściu z budynku Hoffmann stwierdził, że zapowiada się kolejny upalny dzień. Otaczało go wiele różnych dźwięków, co oznaczało, że miasto budzi się do życia.

– Przez pewien czas będzie pan miał trudności z połykaniem, ale to nic groźnego. Uczucie jest nieprzyjemne, ale za dwa tygodnie będzie po wszystkim.

Lekarz poprawił kołnierzyk fartucha i uśmiechnął się do Hoffmanna.

– Jest jeszcze jedna sprawa... śpiew. W czasie śpiewania głos będzie brzmiał inaczej niż wcześniej, ponieważ pański rejestr stracił kilka tonów. Rozumiem jednak, że to nie chęć śpiewania była powodem takiego pośpiechu?

RUCH NA ULICACH BYŁ już intensywniejszy, ale wciąż nie przekraczał granicy szaleństwa. Hoffmann kilka razy wjechał na chodnik, kilkaset metrów pokonał pod prąd ulicą jednokierunkową, a jeden z odcinków przejechał pasażem dla pieszych. Dzięki temu szybciej znalazł się w tunelu biegnącym pod centrum miasta, tyle że tym razem jechał w przeciwnym kierunku niż poprzednio. Zjechał z trasy koło mostu Johanneshovsbron i skierował się na

Södermalm i Skanstull. Tuż przed obwodnicą skręci w prawo, poszuka wolnego miejsca parkingowego pod hotelem Clarion i zostawi tam samochód najwyżej na pół godziny.

Wyłączył silnik, wyjął swój prywatny telefon i wszedł w internet. Interesowały go ogłoszenia o sprzedaży mieszkań. Szukał lokalu własnościowego na którymś z południowych przedmieść, pięć do dziesięciu kilometrów od ich domu w Enskede. Takie czynniki jak cena, liczba pokoi, balkon, rodzaj ogrzewania (na przykład piece kaflowe), konieczność remontu czy sytuacja finansowa wspólnoty mieszkaniowej nie miały dla niego znaczenia. Szukał mieszkania w betonowym budynku ze ścianami o grubości piętnastu centymetrów, których nie można przestrzelić z ręcznej broni palnej. Ogłoszenia przeszukiwał według klucza geograficznego. Przejrzał w ten sposób setki anonsów o nieruchomościach, które były do siebie podobne tak bardzo, jakby ich urządzaniem zajmowała się jedna i ta sama firma.

Niestety, nie znalazł ani jednego, które spełniałoby jego oczekiwania.

Zaczął więc oglądać ogłoszenia o sprzedaży mieszkań na parterze w budynkach z lat pięćdziesiątych, zwłaszcza tych, które oddano do użytku w 1953, 1955 i 1958 roku. Tym razem poszło mu lepiej. Znalazł siedem ofert, w tym przynajmniej cztery, w których domy na pewno zostały zbudowane w oparciu o konkretny rodzaj belek stropowych. Odchrząknął, wypowiedział na próbę kilka słów i uznał, że jego nowy głos ma odpowiednie – bardziej naturalne – brzmienie. Lekarz miał rację. Od tej pory już zawsze będzie się nim posługiwał. Zadzwoił do wydziału architektury urzędu miasta w Sztokholmie, gdzie uprzejma referentka poinformowała go, że sufity, ściany i podłogi w domach w tamtej dzielnicy rzeczywiście zbudowano z zastosowaniem takiego rodzaju belkowania. W tym rozwiązaniu między dwiema grubymi na trzy centymetry

zewnątrznymi warstwami betonu znajdowała się akustyczna izolacja złożona z dwudziestu dwóch centymetrów piasku i powietrza.

Poprosił, żeby wysłano mu na skrzynkę plany architektoniczne wybranych domów. Potem niecierpliwie czekał na odpowiedź, a gdy poirytowany jej brakiem, chciał zrezygnować, telefon zasygnalizował, że otrzymał nową wiadomość.

Po kolei otwierał załączone pliki. Oglądał zdjęcia, zmniejszał je i powiększał, próbując złożyć w całość elementy układanki przedstawiającej zaprojektowane przed sześćdziesięciu laty budynki.

W końcu znalazł to, czego szukał. Jedna z ofert okazała się wprost idealna. Mieszkanie nie tylko znajdowało się na parterze, ale także bezpośrednio nad schronem w piwnicy.

AGENT NIERUCHOMOŚCI MIAŁ PIĘCDZIESIĄT parę lat. Był w czarnym garniturze w jasną kratkę, a na twarzy miał służbowy uśmiech. Właśnie tak wyglądają niektórzy pośrednicy: zachowują się jak słynni adwokaci po wygranych procesie albo pozujący do zdjęcia i zasiadający wokół konferencyjnego stołu członkowie zarządu dużego banku, którym zależy na wzmocnieniu zaufania ze strony klientów. Mężczyzna, który mówił rozwlekłym dialektem używanym w Skanii, siedział w rogu niewielkiego eleganckiego biura w towarzystwie znacznie młodszych pracowników. Na jego biurku leżały ulotki reklamowe własnej produkcji.

– Fantastyczne położenie w przyjaznym otoczeniu. Blisko do szkół i sklepów spożywczych. Prawo własności we wspólnocie mieszkaniowej, w której większość posiadają prywatni właściciele. W mieszkaniu znajduje się kilka charakterystycznych dla tamtego okresu elementów wyposażenia i wszystkie są oryginalne. Na przykład parkiet podłogowy w jodełkę czy kuchnia z narożnymi szafkami. W przedpokoju wisi na ścianie oryginalny

licznik prądu z czarnego bakelitu... To pierwsza rzecz, którą pan zauważy po wejściu do środka.

– Przyszedłem do was, żeby kupić to konkretne mieszkanie – odparł Hoffmann, wykonując odmowny gest ręką, gdy pośrednik podsunął mu miseczkę z twardymi cukierkami owiniętymi w papierki z logo agencji. – I to jeszcze dzisiaj.

– Zapraszamy pana na otwarty pokaz w najbliższy weekend. Takie jest życzenie właściciela. Zainteresowane osoby będą mogły składać oferty cenowe. Niestety, w takich czasach żyjemy... na rynku jest więcej kupujących niż ofert sprzedaży.

– Jaka jest cena?

– Cena? Przecież pan nawet nie widział tego mieszkania?

– Ile będzie kosztować, jeśli...

Hoffmann zerknął na rozłożone na biurku lśniące foldery, jeden z nich wziął do ręki i otworzył na stronie przedstawiającej stary licznik prądu, który był mu tak samo obojętny jak odległość do najbliższego sklepu spożywczego.

– ...będę chciał zawrzeć umowę kupna-sprzedaży od ręki?

– Od ręki?

– Tak. W tej chwili, tu i teraz.

Agent miał coś zielonego na jednym z przednich zębów. Prawdopodobnie utkwily mu tam resztki jedzenia. Teraz, gdy na jego twarzy znowu pojawił się służbowy uśmiech, było to jeszcze bardziej widoczne. Hoffmann zastanawiał się przez chwilę, czy mu o tym nie powiedzieć.

– Mówię poważnie. Spiesz mi się i potrzebuję szybkiej odpowiedzi. Chyba pan nie chce, żebym poszedł do konkurencji? Straci pan szansę na wysoką prowizję. Taka okazja prawdopodobnie nigdy się nie powtórzy.

Agent zanurzył rękę w miseczce i wyjął z niej dwa cukierki. Jego mina wskazywała, że przez chwilę był nieobecny myślami.

– Na pewno pan wie, że cena podana w ogłoszeniu jest ceną wyjściową?

Jego słowa wskazywały na to, że wrócił do rzeczywistości. Nagle zrozumiał, że może zrobić szybki i łatwy interes. Zarobi wysoką prowizję i nie będzie musiał bawić się w długie i skomplikowane negocjacje. Odpadnie mu też kilka spraw związanych z przygotowaniem oferty dla klientów: nie będzie musiał iść z fotografem do mieszkania, żeby mu wyjaśnić, co i pod jakim kątem ma sfotografować i jak wyretuszować zdjęcia, a następnego dnia po okazaniu mieszkania potencjalnym klientom nie będzie musiał do nich wydzwaniać i pytać, czy nadal są zainteresowani kupnem.

– Cena wyjściowa wynosi pięć milionów sto siedemdziesiąt pięć tysięcy koron. Jeśli jednak trafi mi się klient, który zrezygnuje z oglądania mieszkania i z procedury składania ofert, sądzę, że cena mogłaby wynosić...

– Sześć milionów?

– Sześć?

– Dołożę pół miliona, jeśli będę mógł się tam wprowadzić dziś wieczorem.

– Czyli razem sześć i pół miliona?

– Tak, pod warunkiem że podpiszemy kontrakt, zanim stąd wyjdę, a klucz do mieszkania otrzymam najpóźniej o czternastej.

Agent zaczerwienił się na twarzy i na szyi. Prawdopodobnie w taki sposób reagował, gdy był czymś podekscytowany.

– Właściciel nadal tam mieszka z całą rodziną. W chwili gdy prowadzimy tę rozmowę, zapewne jedzą śniadanie albo piją

przedpołudniową kawę w widocznej na tych zdjęciach kuchni. Nie wiem, czy będą mogli wyprowadzić się natychmiast, wydaje mi się, że...

– Siedem milionów. Zysk w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy koron należy do pana. Kuchenny stół, do którego ci ludzie być może zaraz zasiądą, jak również wszystkie łóżka, z których przed chwilą wstali, mogą zostać w mieszkaniu.

Kiedy pół godziny później Hoffmann wyjeżdżał z wąskiego parkingu przy agencji, miał ze sobą świeżo podpisaną umowę kupna-sprzedaży. Agent, który podczas całej rozmowy stawał się coraz bardziej pewny siebie, stracił nagle rezon, gdy ujrzał, że klient chce zapłacić część należności w wysokości pół miliona koron banknotami upchanymi w dwie zapieczętowane koperty. Kiedy jednak Hoffmann podał mu trzecią – zawierającą obiecane sto pięćdziesiąt tysięcy koron w nagrodę za szybkie i profesjonalne załatwienie sprawy – jego twarz rozjaśnił uśmiech, który był jeszcze szerszy i bardziej fałszywy. Rok wcześniej Hoffmann wrócił z Afryki z walizką pełną używanych banknotów. Większość pieniędzy udało mu się wyprać, umieścić na oficjalnych kontach i zamienić w legalne środki. Było to możliwe dzięki dawnym znajomościom, ale kosztowało go to dwadzieścia pięć procent całej kwoty. Część pieniędzy ukrył w tajnym sejfie, o którym nie wiedziała nawet Zofia.

Od agenta pojechał do podziemnego garażu w Globen. Stał tam jego drugi samochód, w którym rano, na siedzeniu pasażera, zostawił telefon komórkowy. Zrobił to celowo, żeby nikt go nie namierzył. Zerknął na wyświetlacz i zobaczył, że ma trzy nieodebrane połączenia i jedną wiadomość o treści:

DZISIAJ W NOCY WYMIENIMY SIĘ TYM, CO DLA OBU STRON JEST NAJCENNIJSZE. TY DOSTANIESZ NASZĄ BROŃ, MY TWOJĄ RODZINĘ. KIEDY WYKONASZ ZADANIE, DOJDZIE DO PONOWNEJ WYMIANY. JEŚLI NAWALISZ, DO WYMIANY NIE DOJDZIE. ODEZWIEMY SIĘ W STOSOWNYM CZASIE.

Wiedział, że powinien im coś odpowiedzieć. Wymyślić jakieś kłamstwo. Odwlec sprawę. Nie mógł jednak zadzwonić, bo usłyszeliby jego nowy głos. Postanowił wysłać wiadomość.

MIAŁEM SPOTKANIE, NIE MOGŁEM ODEBRAĆ. ZROBIĘ TO, CZEGO ODE MNIE ŻĄDACIE.

Odłożył telefon na siedzenie i ruszył do centrum miasta, skąd pojechał na Södermalm. Salon fryzjerski, w którym kazał przefarbować swoje jasne włosy i brwi na ciemno, znajdował się przy Skånegatan. Okulista, który pomógł mu dopasować brązowe szkła kontaktowe, miał swój zakład na rogu, przy Götgatan. Z kolej w Hornstull, w miejscu, gdzie zbiegają się Långholmsgatan i Högalidsgatan, znajdował się zakład fotograficzny, gdzie czekał na niego fotograf. Hoffmann miał tam zrealizować kolejny element planu.

ODLEW TWARZY – A właściwie cienka błona pokrywająca całą jej powierzchnię z wyjątkiem dziurek w nosie – miał lekko różowy kolor i w przyjemny sposób chłodził mu skórę. Siedem lub osiem lat temu, gdy po raz pierwszy poddawał się temu zabiegowi, a kobieta, która go wykonywała, położyła mu na oczy miękką masę, ogarnęła go ciemność i poczuł lekką klaustrofobię. Teraz w pełni jej ufał. Pracowała na co dzień w teatrze i na planach dużych produkcji filmowych. Była prawdziwą specjalistką w swoim fachu, najlepszą charakteryzatorką, jaką znał. Nikomu tak nie ufał, zwłaszcza że nigdy go o nic nie pytała.

Rzadka, cieknąca maź o grubości jednego centymetra. Alginat to materiał, którego stomatolodzy używają do wykonywania odcisków zębów. Twardnieje w dziesięć minut, a ponieważ trwa to tak krótko, kobieta musiała się spieszyć, żeby rozłożyć masę równomiernie na całej twarzy.

Musiała nią wypełnić i wyrównać wszystkie zmarszczki i zagłębienia. Hoffmann czuł, jak jej zgrabne palce tańczą po jego twarzy. Gipsowe paski przygotowała wcześniej – teraz tylko moczyła je w wodzie i rozkładała na alginatowej maseczce, która od razu je wchłaniała. W pewnej chwili zaczęło go piec. Wprawdzie kobieta go uprzedzała, że może coś poczuć, ale doznanie było dokuczliwe. Co jakiś czas dotykała palcami tężejącej masy. Kiedy ta stwardniała, popukała w nią i ostrożnie usunęła z jego twarzy.

Hoffmann po raz pierwszy ujrzał swoje nowe oblicze.

– Czy będę ci jeszcze potrzebny? – spytał. Wstał z fotela i wskazał drzwi, jakby chciał się upewnić, czy może wyjść.

Już dawniej zauważył, że kobieta ma szczery i miły uśmiech, zwłaszcza w porównaniu z fałszywym i sztucznym uśmiechem pośrednika z agencji nieruchomości. I właśnie tak zareagowała na jego pytanie: miłym, szczerym, cierpliwym uśmiechem.

– To ty powinieneś wiedzieć.

– Chodzi mi o teraz.

Wyjaśniła mu, że cement, który przed chwilą wylała mu na twarz, będzie go lekko szczypał przynajmniej przez pół godziny. Dopiero wtedy będzie mogła zdjąć z twarzy alginat i cementowe paski i położyć na stół kolejną wersję jego twarzy. Hoffmann wiedział o tym, bo opisała mu dokładnie cały zabieg. Poradziła też, żeby został w jej gabinecie do momentu, aż skończy, a on się upewni, że ma wszystko, czego potrzebuje. Resztę zrobi już bez niego.

– Wyglądasz na podenerwowanego. Nawet jak na ciebie. Wprawdzie zawsze taki jesteś, kiedy do mnie przychodzisz, ale dzisiaj wyglądasz na zaszczutego, jakby ktoś na ciebie polował.

Zajmowała się kształtowaniem zewnętrznej powłoki swoich klientów i nadawaniem im nowego wyglądu. Może w związku z tym powinna

najpierw poznać wewnątrz takiego człowieka? Bo dopiero wtedy poszczególne elementy zaczną do siebie pasować?

– Słusznie się domyślasz... rzeczywiście ktoś na mnie poluje, ale i ja poluję na niego. No to jak... mogę już iść?

Kobieta znowu się uśmiechnęła. Hoffmann pomyślał, że w innym świecie mógłby się w tym jej uśmiechu zakochać.

– Idź już. Zadzwoń, jeśli trzeba będzie coś poprawić. Zobaczymy się za dwie godziny.

Hoffmann ruszył do wyjścia. Otworzył drzwi, ale znowu usłyszał jej głos. Odwrócił się.

– Dwie fałdy nad oczami?

– Idealnie.

– Nos lekko skrzywiony? Z szerokimi nozdrzami?

– Może być.

– A może klapnięty? Trochę czasu upłynęło. Broda, policzki i mały brzuch?

– Dzięki.

WCZESNYM PRZEDPOŁUDNIEM RUCH ULICZNY nadal był dosyć znośny. Hoffmann przejechał starym mostem w Skanstull i skierował się wzdłuż Södra Hammarbyhamnen na wschód. Starał się odgrodzić i odizolować od otoczenia, bo wiedział, że tylko w ten sposób ze wszystkim sobie poradzi.

Wciąż do przodu, niczego innego nie czując.

Gdyby bowiem pozwolił sobie na uczucia, gdyby porzucił widzenie tunelowe i wpuścił do swojego życia inną rzeczywistość, nigdy by nie zdążył zrobić tego, co miał do zrobienia. Jeśliby się poddał i sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Zofii i chłopców, i na dźwięk ich głosu

powiedział choć jedno słowo, na pewno nie mógłby im zapewnić bezpieczeństwa.

Dom numer trzydzieści siedem znajdował się w dzielnicy Tallbacken w Gamla Sickla. Stał na niewielkim wzgórzu, miał kształt końskiej podkowy i składał się z szeregu połączonych ze sobą klatek schodowych. Mieszkanie z zielonym balkonem mieściło się na parterze, na lewo od wejścia, za żywopłotem. Hoffmann od razu rozpoznał to miejsce, ponieważ widział je w folderze w agencji nieruchomości. Zapamiętał też brudnożółty parasol i wiązanekę barwnych lampionów przyczepionych do balkonu nad mieszkaniem. Zwisaly jak opadające konary wychudłych drzew owocowych. Wszedł do klatki schodowej, stanął przed drzwiami ich nowego mieszkania i wyjął klucze, które były dowodem podpisanej niedawno umowy kupna-sprzedaży. Drzwi miały atest i były wyposażone w górny i dolny zamek siódmej klasy oraz cylindry klasy szóstej. Wszystko zgadzało się z opisem w folderze. Otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Dwie godziny temu po mieszkaniu chodzili obcy ludzie, którzy pili kawę, czekali, aż zwolni się łazienka, a gdy patrzyli przez okno, widzieli znane im od lat otoczenie. Łóżka – jedno podwójne i jedno pojedyncze – zostały zgodnie z umową na swoim miejscu. Oznaczało to, że Luiza będzie musiała spać z Zofią, tak jak robiła to przez kilka pierwszych miesięcy życia. W kuchni stał stół, w dziennym pokoju krzesła i narożna kanapa. Na ścianie wisiał telewizor, który przez dwa kolejne dni powinien zająć uwagę Emila i Rasmusa. Mieszkanie było czyste i wysprzątane, na stole leżały dwa komplety kluczy z doczepkami z napisami *Piwnica*, *Strych*, *Pralnia*. W całym mieszkaniu pachniało poprzednimi lokatorami. Nieważne, kim byli. Zapach nie był ani lepszy, ani gorszy – po prostu należał do nich. Stanowił sumę zapachów członków całej rodziny i tylko oni potrafili go

rozpoznać. Hoffmann zastanawiał się, jak pachnie jego rodzina i ile z tego zapachu jest częścią jego, a ile Zofii i chłopców.

Żałował, że ściany nie są zrobione z kuloodpornego betonu. Szkoda, bo szukał lokum z takim zabezpieczeniem. Na szczęście mieszkanie spełniało pozostałe wymagania. Ściany były zbyt cienkie, więc postanowił je wzmocnić. W bagażniku samochodu przywiózł opalarkę – urządzenie, które emituje strumień powietrza o temperaturze od pięćdziesięciu do ponad sześćuset stopni i służy między innymi do osuszania, usuwania starych powłok lakierniczych, wyginania i spawania termoplastów oraz pokrywania okleiną elementów meblowych. Przywiózł też laminat i tworzywo sztuczne, ponieważ w przedpokoju zamierzał zamontować dodatkowe drzwi bezpieczeństwa, znacznie lżejsze od ważących kilka ton drzwi stalowych, które musiałyby tu przetransportować. Pomyślał też o przezroczystej powłoce z kuloodpornego szkła, która miała chronić przed wystrzelonymi pod różnym kątem pociskami. Dwa lata wcześniej znalazł to wszystko u pewnego rosyjskiego producenta, który specjalizował się w lekkich tworzywach sztucznych. Były połączeniem mocnego i wytrzymałego materiału ze zwykłym szkłem, sklejonych w warunkach próżniowych. I chociaż grubość tworzywa wynosiła zaledwie dwadzieścia pięć milimetrów, chroniło przed pociskami wystrzelonymi z broni automatycznej.

Najpierw zamontuje dodatkowe drzwi w przedpokoju, potem wzmocni drzwi balkonowe, a na końcu okna. Następnie wyjdzie na ulicę i w siedmiu wybranych punktach zamontuje trudne do zauważenia małe kamery monitoringu. Ciekawe, że są rzeczy, które w jednym miejscu stanowią zagrożenie, a w innym przed nim chronią. W czterech punktach umieści lont detonujący i przygotuje coś w rodzaju zasadzki. Ładunki będzie można

zdetonować zdalnie za pomocą telefonu komórkowego. Na końcu zajmie się tym, co najważniejsze: garderobą w sypialni.

NIE MÓGŁ DŁUŻEJ WYTRZYMAĆ. Czuł, że musi do niej zadzwonić.

– Cześć.

Wystarczyło wybrać numer jej telefonu.

– Kto mówi?

– To ja, Piet.

W słuchawce zapadła cisza. Hoffmann domyślał się, że Zofia jest zdezorientowana.

– Co się stało z twoim głosem? Jesteś przeziębiony? Brzmi tak, jakbyś miał kłopoty z oddychaniem. Wszystko w porządku?

– Wyjaśnię ci, jak się spotkamy.

Próbował ustalić, gdzie Zofia jest. Starał się wyłapać słyszane w tle dźwięki i je interpretować. Wiedział, że Zofia też to robi, że trzyma telefon ciasno przy uchu, żeby wyłapać otaczające go odgłosy.

– Obiecałeś, że wrócisz jutro.

– Mam nadzieję, że zrobię to wcześniej, ale teraz jeszcze nie wiem.

– Gdzie jesteś?

– Blisko ciebie.

– Co robisz?

Domyślała się, że znowu wpadli w tarapaty, jak dawniej, gdy jej mąż nie chciał odpowiadać na podobne pytania.

– Na razie nie mogę ci powiedzieć.

– Co z twoim głosem? Masz zakłócenia na linii? Mógłbyś jeszcze raz zadzwonić?

Na podstawie dotychczasowej rozmowy Hoffmann ustalił, że Zofia jest w domu. Poznał to po dźwiękach w tle. Buczenie lodówki, skrzypienie schodów prowadzących na piętro.

– Co u dzieci?

– Wszystko w porządku. Emil jest w szkole, dzisiaj późno wróci. Rasmus poszedł do sąsiada pograć z jego synami w piłkę. Luiza śpi.

I znowu zapadła cisza. Przestał słyszeć brzęczenie lodówki i skrzypienie schodów. Docierał do niego jedynie powolny oddech Zofii.

– Chyba sobie z tym jakoś poradzimy?

– Powiedz mi, Piet, co...

– Na pewno nam się uda, prawda? Ze wszystkim?

W słuchawce rozległo się skrzypienie. To Zofia przyciągnęła krzesło. Pewnie przeszła do kuchni.

– Na pewno.

Potem nie padło już ani jedno słowo. Zanim się rozłączyli, Hoffmann dwa razy pocałował słuchawkę. Zofia zrobiła to samo. Tak się kiedyś umówili. Zawsze dwa razy.

CENTRUM BUDOWLANE ZNAJDOWAŁO SIĘ kilometr od mieszkania. Hoffmann kupił tam mały młot pneumatyczny, szpadel, płytę gipsowo-kartonową, klej, szpachlę, śruby, puszkę białej farby, gałkę do szuflady i mosiężne zawiasy. Wszystko zaniósł do samochodu i wrócił do sklepu, żeby dokupić drewnianą płytę, która miała udawać ślepe dno garderoby.

Po powrocie zszedł cuchnącym pleśnią korytarzem do piwnicy, minął zawalone rupieciami komórki należące do sąsiadów, dobrze wyposażoną pralnię i suszarnię i stanął przed wejściem do schronu. Na dole i na górze ciężkich, masywnych drzwi zamontowane były dwa metalowe koła, które

przypominały opony samochodowe. Przekręcił je zgodnie z ruchem wskazówek zegara i usłyszał, jak rygle zamkowe puszczają z głębokim westchnieniem. Schron przypominał ten, który był w ich wieżowcu na przedmieściu, gdzie kiedyś mieszkał i dorastał, dziesięć kilometrów na południe od centrum. Dzielnica powstała w ramach ogłoszonego w tamtym okresie programu rządowego o nazwie „Milion mieszkań”, który stopniowo realizowały kolejne rządy. Niedawno zaczęto określać te tereny mianem „dzielnic wykluczenia”. Hoffmann nigdy ich tak nie postrzegał i nigdy nie głosił haseł o zagubieniu i beznadziei. Miał tylko jedno życie i jedno miejsce, w którym chciał je spędzić. Nauczył się walczyć o swoje, żeby przetrwać i stać się kimś, ponieważ nie chciał trafić na margines społeczny. Schron z lat dzieciństwa służył mu często do zabawy. Hoffmann był jednym z wielu dzieciaków w bloku, które zakradały się do piwnicy, gasiły światło i bawiły się w chowanego albo budowały tajne „szałasy”. To tam pierwszy raz pocałował dziewczynę, wypalił pierwszego papierosa i wypił pierwszą szklankę alkoholu.

Z planów przesłanych przez wydział architektury urzędu miejskiego wynikało, że schron, do którego przed chwilą zszedł, znajdował się bezpośrednio pod sypialnią ich nowego mieszkania. Hoffmann sprawdził wyjścia awaryjne, obejrzał ściany, podłogę i sufit i uznał, że wszystko jest tak, jak tego oczekiwał.

Kiedy wracał do mieszkania, na tablicy ogłoszeń obok windy powiesił kartkę z odręcznie napisanym komunikatem. Informował w nim mieszkańców domu, że „przez kilka godzin będzie trochę hałasował, za co z góry przeprasza; niedawno się wprowadził i musi wyremontować pokój i łazienkę, więc prosi o cierpliwość i wyrozumiałość”. Zakupy z centrum budowlanego przeniósł z samochodu do mieszkania i ułożył je w sypialni na podłodze. Potem wszedł do garderoby z podwójnymi drzwiami, która

zajmowała całą przylegającą do kuchni ścianę. Zgodnie z umową była pusta, zostały w niej same wieszaki. W nozdrza uderzył go silny zapach poprzednich lokatorów – mieszanka tego, co ludzie wnoszą do domu z zewnątrz i czym potem nasiąkają ich ubrania.

Klęknął na podłodze i narysował na niej ołówkiem koło o średnicy wjazdu studzienki kanalizacyjnej. Specjalnie kupił niezbyt duży młot pneumatyczny, żeby był poręczny i dostosowany do użycia w małych pomieszczeniach. Uruchomił go i zaczął się przebijać wzdłuż narysowanej na podłodze linii przez cienką warstwę betonu. Szybko dowiercił się do wypełnionej piaskiem i powietrzem przestrzeni o grubości dwudziestu dwóch centymetrów. Piasek przesypał do pojemnika na śmieci, który przyniósł z pralni. Równie szybko przewiercił się na drugą stronę przez następną warstwę betonu. Wyjął telefon, włączył latarkę, wsunął rękę w otwór i podświetlił znajdujące się na dole ściany.

Następnie zszedł na dół, żeby od spodu wygładzić brzegi otworu, który z tego miejsca przypominał duże oko. Gipsowo-kartonową płytę posmarował klejem, zamontował ją, zaspachlował szpary i pomalował białą farbą. Piasek i okruchy betonu zmiótł z podłogi i wrócił na górę, do garderoby. Z tego miejsca otwór był niewidoczny.

Wziął płytę paździerzową i przyciął ją do odpowiedniego rozmiaru, żeby zrobić z niej ślepą podłogę. Mosiężne zawiasy przykręcił śrubami do krótszego brzegu, a w rogu płyty za framugą drzwi zamocował gałkę, dzięki czemu stała się niewidoczna. Płyta leżała zupełnie luźno. Można ją było bez problemu unieść, chwytając za gałkę, a następnie opuścić na to samo miejsce. Po sprawdzeniu okazało się, że całość działa i pasuje idealnie. Udało się nawet zachować prawidłowy kąt w stosunku do progu. Z zewnątrz wyglądało to tak, jakby garderoba zyskała nową podłogę.

Przez chwilę stał nieruchomo. Był już trochę zmęczony. To była jego pierwsza przerwa od wielu godzin.

Przymknął oczy i głęboko odetchnął. Na pewno się uda.

Jeśli będą musieli stąd uciec, wszystko zadziała.

NA STACJI BENZYNOWEJ PRZY rondzie na Hammarbyvägen kupił kawę i cynamonową bułeczkę. Jadąc przez Björkhagen i Kärrtorp, wybierał boczne ulice, żeby uniknąć popołudniowych korków. Zaparkował w tym samym miejscu co zawsze. Wszedł do kawiarni, która od niepamiętnych czasów miała ten sam wystrój i mieściła się w tym samym lokalu, i kupił dwa kubki kawy. W końcu wjechał windą na ósme piętro, gdzie znajdowała się niewielka kawalerka z zaciągniętymi żaluzjami.

– Cześć, Andy! Napijesz się kawy?

– Chętnie.

– O ile dobrze pamiętam, pijesz czarną z odrobiną mleka?

– Ma pan dobrą pamięć, szefie.

Hoffmann podał parujący kubek ochroniarzowi, który ucieszył się, że choć przez chwilę nie będzie musiał siedzieć ze wzrokiem wbitym w ekrany, które emitowały obraz przekazywany przez osiemnaście kamer monitoringu.

– Spokój? Tak jak wczoraj?

– Niedawno jakiś pijaczek obsikał drzwi pod ósemką, a godzinę temu przed dziesiątką czekały dwa psy. Młoda kobieta spod dwunastki spoliczkowała swojego chłopaka, który wrócił do domu nad ranem... domyślam się, że z knajpy. Ogólnie panuje spokój.

Hoffmann usiadł na czymś, co udawało krzesło. Był to przenośny karton z rzeczami, na które zawsze brakowało miejsca. Dopił kawę,

odchrząknął i zaczął mówić swoim nowym głosem. Ochroniarz od razu dostrzegł zmianę.

– Alergia, Andy. To nic zaraźliwego. Nie musisz się bać.

– Kapuję, szefie. Pyłki kwiatowe to prawdziwe przekleństwo. Najgorzej jest wtedy, jak koszą trawę. Przez cały czas kicham i nie mogę przestać.

Hoffmann skinął głową i zerknął na ekrany monitorów. Na jednym z nich widać było, jak starsza para myje od zewnątrz okno w kuchni. Mężczyzna stał przy grządce z kwiatami i starał się utrzymać równowagę, ponieważ trzymał w ręce długi pręt z przymocowaną na końcu myjką. Kobieta stała przy uchylonym oknie w pokoju i wydawała mu polecenia.

Ochroniarz i Hoffmann uśmiechnęli się do siebie. Obserwowanie innych ludzi bywa ciekawe.

– Andy... muszę ci powiedzieć coś ważnego.

– Okej.

– Od dzisiaj będziemy mieli pod nadzorem jeszcze jedno mieszkanie.

– Naprawdę?

– Tak. Oznacza to siedem dodatkowych kamer. Podłączysz je wieczorem i sprawdzisz, czy należycie funkcjonują.

– Która klatka schodowa?

– Żadna z tych. Chodzi o mieszkanie w Tallbacken w Gamla Sickla.

– Nie rozumiem.

– Sprawa pilna, jak zawsze.

– A jeśli coś im się stanie? Nasz pomysł polegał na tym, żeby wszystkich zgromadzić w jednym miejscu. W razie czego nie zdążę dotrzeć na miejsce, a jeśli sytuacja zrobi się groźna, będę musiał zostawić tych, których ochraniaamy tutaj, a wtedy... sam pan wie...

Hoffmann znowu musiał skłamać. Jakkolwiek na to patrzeć, w kłamaniu był mistrzem. Tylko Zofia potrafiła go od razu przejrzeć.

– Kobieta w wieku czterdziestu kilku lat. Trójka dzieci, w tym dwaj chłopcy... jeden osiem, drugi dziesięć lat... i półroczna dziewczynka. Zlecenie ma najwyższy priorytet. Dziś rano dzwoniли do mnie w tej sprawie z urzędu gminy w Nacka i zgodziłem się je przyjąć, więc nie ma o czym dyskutować. Wszystko już sprawdziłem. Drzwi i okna są zabezpieczone, kamery wiszą w odpowiednich miejscach. Tylko musisz je podłączyć. Pomogę im się wprowadzić dzisiaj w nocy. Dla ciebie, Carlosa i Billa nie oznacza to żadnych zmian. Po prostu podłączycie do sieci kilka nowych kamer i tyle.

NADAL BYŁ GŁODNY I brakowało mu energii. Zaparkował na pasie dla autobusów przed 7-Eleven w Hornstull i zamówił smażoną kielbasę z piwem o niskiej zawartości alkoholu. Potem dokupił jeszcze jedną kielbasę, ale tym razem wziął więcej musztardy. Zerknął na zegarek. Od momentu, gdy wyszedł z zakładu kosmetycznego, minęło dziesięć godzin. Tym razem skorzystał z tylnego wejścia od Borgargatan. Przeszedł przez podwórze i wszedł do klatki schodowej od Högalidsgatan. Kobieta czekała na niego z uśmiechem, dla którego w innych okolicznościach na pewno straciłby głowę. Miała zadowoloną minę.

– Siadaj. Zobaczymy, jak to wygląda.

Przysunęła mu wózek, kółka zaskrzypiały ze złością.

– O ile dobrze pamiętam, poprzednim razem nie zmienialiśmy w twoim wyglądzie zbyt wielu szczegółów – powiedziała. – Mam rację?

– Tak, ale wtedy nie było to aż tak konieczne. Tym razem jest inaczej.

Na wózku leżało kilka gotowych odlewów.

– Właściwie powinnam to podzielić na parę etapów, dzięki czemu mogłabym dłużej popracować nad lepszym wykończeniem szczegółów. Postanowiłam jednak wszystko uprościć. Ze względu na ciebie.

Wykonała zamaszty ruch ręką nad odlewami, które miały uczynić z Hoffmanna innego człowieka.

– Jedna forma na prawe oko... druga na lewe... trzecia na nos... czwarta na brodę... reszta na szyję i policzki. Jeśli zaczną puszczać na brzegach, każdy kawałek będzie można łatwiej poprawić.

Wzięła do ręki kawałek formy przypominający skórę.

– Najchętniej używam żelatyny, ale tym razem jest na nią za ciepło. Nie wiem, do czego ta zmiana wyglądu jest ci potrzebna, ale pamiętam, że bywasz narażony na działanie różnych czynników fizycznych, a w takim upale żelatyna może się odkleić.

Hoffmann domyślił się, że podstawą pracy kobiety jest wiedza o charakteryzacji. Musiała uzyskać od niego niezbędne informacje, chociaż wiedziała, że za dużo się nie dowie.

– Nie jesteś żoną gliniarza? – spytał z uśmiechem.

– Nie – odparła i też się uśmiechnęła. – Mój mąż żyje w świecie fantazji, tak jak ty żyjesz w świecie rzeczywistym.

– W świecie fantazji? Co masz na myśli?

– Wydaje mu się, że jest dramatopisarzem. Właśnie w takich okolicznościach się poznaliśmy. W pracy.

– W takim razie mogę ci zdradzić, że moja nowa charakteryzacja będzie rzeczywiście narażona na działanie czynników fizycznych.

Kobieta przyłożyła miękką fałdę nad jego prawe oko, jakby przed przyklejeniem jej chciała coś zmierzyć. Przy poprzednich wizytach Hoffmann był obecny podczas całego procesu tworzenia odlewów, dzięki czemu wiedział, jak kobieta nad nimi pracuje. Jej palce zręcznie formowały

nowe rysy twarzy, dzięki którym miał zyskać nową tożsamość. Obserwował, jak z wilgotnej mazi buduje wzdłuż brody, nosa i kości jarzmowej policzka małe „murki”. Miały one podtrzymywać mieszankę, którą później rozłożyła na całej powierzchni twarzy i wypełniła zagłębienia. Składała się z gipsu, odrobiny środka do mycia naczyń i składnika, którego nazwy nie mógł sobie przypomnieć. Kiedy masa stwardniała, kobieta skruszyła „murki”, żeby wykonać następny odlew. Teraz mogła zabrać się do wykonania luźnych części.

– Tym razem wybrałam silikon zamiast żelatyny, chociaż poprzednio całkiem dobrze się sprawdziła. Silikon nie jest idealny, ale w tych okolicznościach najlepszy. Ma tę zaletę, że jest bardziej odporny na ciepło, natomiast jego wada polega na tym, że może stwardnieć. Zdecydowałam się więc na mały eksperyment: wymieszałam silikon z dwoma innymi składnikami, dzięki czemu stał się elastyczniejszy i bardziej przypomina skórę. Trzymaj kciuki, Piet, żeby twojej skórze się to spodobało.

Poprosiła go, żeby zamknął oczy, i zaczęła przyklejać nad jego prawym okiem sztuczną powiekę. Potem wzięła ją w dwa palce i lekko pociągnęła; powieka mocno się trzymała na swoim miejscu. Kobieta zabrała się więc do tej nad lewym okiem, a potem za krzywy nos z powiększonymi nozdrzami. Na końcu zajęła się znacznie większym kawałkiem, który zaczynał się przy dwóch pulchnych policzkach i sięgał do równie pulchnej brody.

– Kolor twojej skóry znam od dawna, więc zaryzykowałam i już wcześniej zabarwiłam silikon na ten sam kolor – powiedziała z zadowoloną miną. – Pasuje idealnie, a spoiny są prawie zupełnie niewidoczne! To, co widać, spryskam farbą w spreju. Będzie świetnie pasować!

Hoffmann sięgnął po leżące na wózku małe lusterko, ale kobieta pokręciła głową i szybko mu je odebrała. Wolała, żeby się jeszcze nie oglądał.

– Wiem, że nie lubisz klasycznych męskich koszul, wybrałam się jednak na zakupy do H&M przy Hornsplan. Zdążyłam tuż przed zamknięciem i kupiłam ci jedną. Ma duży rozmiar, żeby wystarczyło pod nią miejsca na sztuczny brzuch, który musi pasować do twarzy.

Na podłodze leżała reklamówka. Kobieta wyjęła z niej sztuczny brzuch, zawiesiła mu go wokół szyi i zapięła czymś, co przypominało pasek. Całości dopełniła para szarych spodni i jasnoniebieska, cienka koszula z długimi rękawami.

– Przypominasz mi teraz bankowca. Twoja nowa twarz bardziej pasuje do koszuli i garnituru niż do T-shirtu, kamizelki myśliwskiej i wytartych dżinsów. Próbuję przymocować ten kawałek jak najlepiej, ale na karku i tak robi się niewielka szpara. Jeśli będziesz dużo biegać, musisz uważać, żeby twój nowy brzuch się nie poluzował. Kiedy założysz koszulę, kołnierzyk zasłoni ten drobny feler.

Jeszcze raz usiadła przed Hoffmannem. W ręce trzymała wąsy zrobione z prawdziwych ludzkich włosów. Były w tym samym odcieniu co jego farbowane włosy. Odchyliła mu lekko głowę i poprosiła, żeby ją tak potrzyzymał, po czym nałożyła klej między górną wargę a nos i posmarowała nim od spodu wąsy. Przez chwilę przyciskała je opuszkami palców do skóry, aż się upewniła, że nie odpadną.

– Spoinę umieszczę jak zwykle wzdłuż fałdu nosolabialnego. Będzie tam prawie niewidoczna, a ty i tak masz w tym miejscu naturalną zmarszczkę.

W końcu wszystko było gotowe.

Wyjęła duże lustro ukryte za stojącą w rogu pracowni figurą dobosza pułkowego i postawiła je przed Hoffmannem. Teraz mógł się wreszcie przejrzeć.

– Musisz mi obiecać, że często będziesz sprawdzał, czy to się trzyma. W takim upale wystarczy jeden ruch i wszystko się rozpadnie. Najbardziej boję się o to, co jest wokół oczu i ust. Dam ci zapas kleju. Użyjesz go, jeśli uznasz to za konieczne. Nadaje się też do wąsów, które mogą się lekko poluzować przy kącikach ust.

Hoffmann zerknął w lustro i ujrzał w nim twarz.

Swoją, a zarazem obcą.

Ciemne włosy, ciemne wąsy, brązowe oczy i lekko obwisła skóra twarzy, która w niektórych miejscach lekko się marszczyła. Człowiek w lustrze wyglądał na starego i zrezygnowanego. Hoffmann wyciągnął rękę i pozdrowił go. Jego odbicie wykonało ten sam gest.

– Jeśli nie chcesz, żeby coś ci odpadło, zgłoś się do mnie za kilka dni. Mam odlewy i przygotuję kilka zapasowych kompletów, które będą na ciebie czekać. Usuniemy starą charakteryzację i założymy nową. Potrwa to tyle samo co teraz.

Jeszcze raz uważnie mu się przyjrzała, a właściwie obejrzała ze wszystkich stron każdą zmarszczkę i drobne załamania. Wyrwała mu z głowy i brwi kilka włosów, które nie przyjęły farby, i poprosiła go, żeby się parę razy okręcił. W końcu skinęła głową z zadowoleniem.

Stał przed nią zupełnie nowy człowiek.

Uśmiechnęła się do niego na swój szczerzy sposób i życzyła mu szczęścia. Hoffmann doszedł do wniosku, że chętnie posiedziałyby z nią dłużej. Stał się nowym człowiekiem, zyskał nową twarz i zaczął nowe życie. Niestety, musiał iść na spotkanie z tymi, którzy stanowili zagrożenie dla jego rodziny. Na szczęście nie musiał obawiać się o siebie, ponieważ otrzymał zupełnie nową powłokę. Jeszcze trochę i znowu stanie się Paulą.

KOLEJNY RAZ PRZESIADŁ SIĘ do innego samochodu; tym razem był to ten, którym jechał rano. Pojechał do całonocnej kawiarni, usiadł przy stoliku, położył na blacie telefon i czekał na wiadomość. Wypił w tym czasie trzy kubki kawy i zjadł ciabattę. O wpół do jedenastej otrzymał esemesa o treści:

SZEROKOŚĆ GEOGRAFICZNA 59.279751. DŁUGOŚĆ 18.229393. PÓŁNOCNO-WSCHODNI BRZEG JEZIORA KNIPTRÄSKET, PRZY DWÓCH MROWISKACH. PÓŁMETRA W DÓŁ. ODBIÓR PRZED PÓŁNOCĄ.

Otworzył aplikację z mapą i zaczął szukać podanego miejsca. Ze współrzędnych wynikało, że jezioro leży w odległości jakichś dziesięciu kilometrów na południe od Sztokholmu, koło Saltsjöbaden i Fisksätry. Czekał go krótki spacer przez rozległe obszary leśne stanowiące naturalny rezerwat przyrody. To tam była zakopana broń.

Postanowił przez jakiś czas kontynuować tę grę. Niech uwierzą, że wykonuje ich polecenia, a tymczasem on znienacka ich zaatakuje.

Po dwudziestu minutach jazdy samochodem dotarł na miejsce. Zostawił za sobą sztuczne światła miasta i szum ruchu ulicznego i zagłębił się w ciemny las, w którym panowała całkowita cisza.

W jednej dłoni trzymał telefon z włączoną latarką i nawigacją, drugą ciągnął niewielki wózek. Szedł krzaczastymi duktami, które wiły się między potężnymi konarami drzew i pokrytymi mchem kamieniami. Kilka razy potknął się o wystające z ziemi korzenie, ale na szczęście nie stracił równowagi.

To właśnie w taki sposób wielu przestępców ze Sztokholmu obchodziło się z nielegalną bronią. W promieniu dwudziestu kilometrów od stolicy istniały pod ziemią setki składów. Członkowie gangów strzegli tej broni jak oka w głowie – jakby była ze złota. Wielu z nich sprawowało nad tymi składami coś w rodzaju kolektywnego nadzoru. Byli to zazwyczaj drobni

opryskowie, którzy działali wspólnie i mieli do dyspozycji po dwa pistolety typu Walther P99 i kałasznikowa. W razie potrzeby mogli tu przyjechać i wykopać broń z ziemi, żeby jej użyć. Potem znowu ją zakopywali, żeby czekała na kolejną okazję.

Zatrzymał się i spojrzął na nawigację. Od jeziora Knipträsket dzieliła go niewielka odległość. Musiał się dostać na północno-wschodni brzeg. Dzięki latarce bez trudu znalazł opisaną w wiadomości polanę. Na otwartym terenie, wykarczowanym niedawno kawałku lasu, leżał ogromny kamień, za którym wznosiły się dwa małe mrowiska. Hoffmann sprawdził, czy kaptur zasłania mu całą głowę, i wziął do ręki szpadel. Miał nadzieję, że nikt go nie obserwuje i nie zainteresuje się jego wyglądem. Za kilkanaście minut dokopie się do broni o wartości stu tysięcy koron. Takie karabiny są znacznie droższe od tych, które można kupić na wolnym rynku.

Nowego glocka, prosto ze skrzyni, można mieć za dziesięć, dwanaście tysięcy koron. Za AK-47, czyli kałasznikowa, który na początku szlaku bałkańskiego kosztuje dwieście euro, w Sztokholmie trzeba zapłacić około dwudziestu tysięcy koron, a w sobotę wieczorem pięć tysięcy więcej. Jeśli ktoś nie orientuje się w cenach, zapłaci nawet trzydzieści tysięcy. Kwestia popytu i podaży. Im bardziej komuś zależy, tym więcej musi zapłacić. Ale to i tak taniacha w porównaniu z tym, co za chwilę miał wykopać z ziemi.

W obrocie jest teraz znacznie więcej broni niż w czasach, gdy prowadził swoją przestępczą działalność. Coraz częściej dochodzi do strzelanin. Jest ich naprawdę dużo. Na szczęście bandyci nie strzelają jeszcze do zwykłych ludzi, którzy chodzą po ulicach. Ich ofiarami padają ci, którzy próbowali ich wyrolować, okraść albo przejąć narkotykowy biznes. Co w tym czasie robią politycy? Głędzą na okrągło o zaostreniu kar i wprowadzeniu bardziej stanowczych metod. Nikt nie przejmuje się

karami! Ludzie sięgają po broń, bo muszą. Jedni, żeby się bronić, inni, żeby kogoś zabić.

W pewnym momencie końcówka szpadła przebiła folię, która chroniła drewnianą pokrywę.

Hoffmann przyklęknął, odgarnął rękami resztę ziemi i wyciągnął z jamy ciężką, podłużną skrzynię. Otworzył pokrywę i zajrzał do środka. Miał tam znaleźć broń o symbolu FN BRG-15, która podobno nie istniała. Tymczasem była tam i czekała na niego.

FN BRG-15 to ciężki karabin maszynowy o potężnej sile rażenia. Zleceniodawcy Hoffmanna postanowili użyć go jako przynęty, aby przejąć część nielegalnego handlu bronią.

Chcą wywołać wojnę, naruszyć ustalony porządek i przejąć władzę. Zmusić wszystkie gangi i struktury mafijne do nabycia takiego samego uzbrojenia, w jakie będą wyposażeni ich przeciwnicy.

Zaciągnął skrzynię na wózek i zaczął odgarniać szpadłem ziemię i drobne kamienie. W dole leżała jeszcze jedna skrzynia, w której znalazł wysoką na niecały metr podpórkę pod karabin. Była też trzecia skrzynia, z amunicją. Kiedy wracał wąską ścieżką do samochodu, zadzwonił telefon. Domyślił się, że podczas kopania był obserwowany.

– *Znalazłeś.*

Zniekształcony głos. Hoffmann wyczuł, że rozmówca jest zadowolony z wyników jego pracy.

– *Zaczniesz od zaraz. Nasza umowa nadal obowiązuje. Jesteśmy blisko twojej rodziny i dopilnujemy, żeby... żeby nikomu nic się nie stało. Potrwa to do czasu, aż wykonasz zadanie. Kiedy jakaś organizacja przestępcza zostanie zaatakowana z broni, którą tu wykopałeś, a potem ruszy kampania reklamowa naszego produktu, zostawimy twoją rodzinę w spokoju i oddamy*

ci oryginały dokumentów świadczących o tym, że byłeś policyjnym szpiclem. Potem nigdy więcej o nas nie usłyszysz.

Hoffmann czuł, że powinien coś powiedzieć, kupić sobie więcej czasu. Na szczęście przypomniał sobie, że nie powinien posługiwać się swoim nowym głosem.

– Źle cię słyszę. Zadzwoń za piętnaście minut.

Wypowiedział te słowa prawie szeptem i od razu się rozłączył. Mimo to telefon ciągle dzwonił. Kiedy wjechał na autostradę, zatrzymał się na pasie awaryjnym i wysiadł z wozu. Na drodze panował ożywiony ruch. Hałas był tak duży, że jego głos utonął w innych dźwiękach.

– *Co się dzieje?*

– To wina telefonu. Przedtem nie miałem zasięgu, teraz słyszę lepiej. Potrzebuję więcej czasu. Muszę precyzyjnie wybrać organizację, która najlepiej nadaje się na cel ataku...

– *Ile czasu ci potrzeba?*

– Czterdzieści osiem godzin.

– *Dwadzieścia cztery.*

– Potrzebuję...

– *Tyle powinno ci wystarczyć. To nie negocjacje, żeby się targować. Zacznij działać, a zwrócimy ci rodzinę i papiery. Jeśli zawiedziesz, wyślemy je wszystkim gangom, które rozpracowywałeś. Zaczniemy od ostatniego. Twoja córka ma na imię Luiza, prawda?*

Stał na skraju drogi i obserwował pędzące samochody. Każdy kierowca zmierzał do jakiegoś celu, tak jak on. Hoffmann zmierzał tam, gdzie ci, którzy mu grozili, nie chcieliby go zobaczyć. Stanie się niewidzialny.

Co robisz, jeśli facet mówiący zniekształconym głosem wie, jak wyglądasz?

Korzystasz z charakteryzacji, żeby zmienić wygląd.

Co robisz, gdy ten sam facet jest przekonany, że realizujesz jego polecenia?

Robisz to, co sam uznasz za stosowne.

Co robisz, kiedy facet jest przekonany, że trzyma cię z dala od siebie?

Idziesz na całego. Do samego końca.

OSTATNI RAZ TEGO DNIA przesiadł się do innego samochodu: tym razem mały japoński wóz z wypożyczalni przy stacji benzynowej w Västertorp zamienił na własny, w którym na siedzeniu leżał telefon od jego zleceniodawcy, i podjechał nim pod dom, który znaczył dla niego wszystko. Był na tyle blisko, że wszystko widział, a jednocześnie wystarczająco daleko, żeby nikt go nie zauważył. Wsłuchiwał się w głos kosa, który znowu wyśpiewywał swoją melodię. Zastanawiał się, czy to ten sam ptak, który go obudził, i doszedł do wniosku, że tak. Przecież takie ptaki mieszkają w jego ogrodzie.

Bolało go całe ciało.

Marzył, żeby znowu być z rodziną, odrabiać z Emilem i Rasmussem ostatnie w tym semestrze lekcje, kąpać w waniencie Luizę i wziąć w objęcia Zofię.

Ale nie teraz. Zrobi to, gdy będzie po wszystkim.

Obok samochodu przeszła jego sąsiadka, z którą czasem rozmawiał przez płot. Prowadziła na smyczy setera irlandzkiego, który radośnie podskakiwał. Skinęli sobie głowami, ale go nie poznała. W najmniejszy sposób nie okazała, że wie, kim jest. Po prostu go pozdrowiła. Jakiś czas później tuż obok wozu Hoffmanna zaparkowali rodzice dziewczynki, która

chodziła do klasy z Emilem. Kiedy koło niego przejeżdżali, zerknęli przez szybę, ale i oni nie pokazali po sobie, że go znają.

Gdy w domu zgasły światła na parterze – najpierw w salonie, potem w przedpokoju, a na końcu w kuchni – otworzył leżącą na tylnym siedzeniu torbę i wyjął z niej protezy dwóch palców. Za pół godziny Zofia położyła dzieci spać. Zgasi światło na piętrze, w toalecie i sypialni i w domu zrobi się ciemno.

Nie lubił tych protez, bo za każdym razem, kiedy je zakładał, czuł się głupio i niezręcznie. Nauczył się żyć z trzema palcami u lewej dłoni, ale zdawał sobie sprawę, że tym razem nie powinien zostawiać tak charakterystycznych śladów. Nasmarował kikuty dwóch palców żelem, dzięki czemu bez problemu nasunął na nie protezy. Jak zwykle przypomniało mu się to, co przed laty przeżył w hotelu we Frankfurcie nad Menem.

Krótko przedtem siedział w szwedzkim więzieniu o zaostrzonym rygorze i rozpracowywał polską mafię. Ktoś odkrył jego podwójną tożsamość i osadzeni wydali na niego wyrok śmierci. Musiał uciekać i trafił do tego hotelu. Ukrył się w bębnie wentylacyjnym, a gdy z niego wychodził, zaczepił palcami o metalową krawędź i rozorał sobie dłoń. Zrobiła się paskudna rana, kości palców wystawały mu na wierzch. W tym samym hotelu umówił się na spotkanie z Zofią. Żona obdarła mu kikuty ze skóry i mięsa, nałożyła na nie wysterylizowany opatrunek i podała silny antybiotyk. Potem odczekała, aż gorączka spadnie, przyniosła zwykły ogrodowy sekator i obcięła resztę kości dwóch palców. Na koniec zawinęła zwisającą skórę i sklepiła rany klejem chirurgicznym.

Protezy zrobione były z materiału zwanego „medycznym silikonem”, a on pokryty był od twarzy po ręce preparatem, którego wcześniej używał jedynie do uszczelniania fug. Nasunął protezy na kikuty palców w taki

sposób, żeby były w nich mocno osadzone, a zdrowe palce ułożył w takiej pozycji, żeby nie mogły się o nie ocierać. Dzięki temu zachowały pełną sprawność.

Pół godziny później, kiedy nad osiedlem zapadła noc, wysiadł z samochodu. Musiał się zachowywać tak, by każdy, kto go obserwował, uznał, że to któryś z mieszkańców wraca późną nocą do domu albo wyszedł na spacer, bo nie może zasnąć.

Pierwszy pojazd, który zdaniem Juana i Nica nie należał do żadnego z mieszkańców tej dzielnicy, stał dwadzieścia metrów od jego domu. Kierowca miał stamtąd dobry widok na frontową ścianę. Była to używana toyota, model ze średniej klasy cenowej. Hoffmann też by taki wybrał, gdyby nie chciał zwracać na siebie uwagi. Zapamiętał numer rejestracyjny i podszedł bliżej. Za kierownicą siedział mężczyzna. Hoffmann zapukał w boczną szybę i czekał, aż nieznajomy ją opuści.

– Ma pan ogień?

Od razu go rozpoznał, bo kiedyś kilka razy z nim współpracował. Powierzał mu zadania, do których potrzebował kilku dodatkowych ludzi, ale nigdy nie byli ze sobą związani na stałe. Widząc, kogo jego zleceniodawcy przysłali, stwierdził, że sytuacja stała się dużo trudniejsza.

– Słucham? – spytał mężczyzna.

– Pytałem, czy ma pan ogień. Żona zabroniła mi palić w domu – odparł Hoffmann i pomachał paczką kupionych po drodze papierosów. Mężczyzna jak najbardziej nadawał się do wykonania zadania, które mu powierzono. Potrafił posługiwać się bronią i niczego się nie bał. Pracował dla firmy ochroniarskiej, która nigdy nie dociekała, kto jej płaci, i nie wypytywała niepotrzebnie o szczegóły. Liczyła się wyłącznie wysokość wynagrodzenia za wykonaną pracę. Hoffmann z trudem się opanował. Miał ochotę chwycić drania, który dla pieniędzy obserwował jego dom, wyciągnąć go z wozu

i zmusić, żeby mu wyjawiał, dla kogo pracuje i komu przekazuje informacje. Wiedział jednak, że nie powinien tego robić. Pozwoli sobie na niekontrolowane działania dopiero wtedy, gdy Zofia i dzieci znajdą się w bezpiecznym miejscu. – A ja jak idiota wyszedłem z domu bez zapalniczki.

– Spadaj.

– Ma pan ogień czy nie?

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Spieprzaj stąd.

Hoffmann wypróbował nowy głos i nową charakterystykę na kimś, kto go znał. Udało się. Podeszedł do samochodu, czego „prawdziwy” Piet Hoffmann na pewno by nie zrobił.

Trochę dalej stał drugi samochód. Siedzący w nim mężczyzna obserwował tył domu. Hoffmann wyjął komórkę i sprawdził w ewidencji pojazdów numer rejestracyjny. Okazało się, że należy do firmy ochroniarskiej.

Zleceniodawcy zatrudnili ochroniarzy, którzy mieli obserwować jego rodzinę. W tym samym czasie on miał wykonać zlecenie.

Ruszył przez osiedle, które doskonale znał. Zrobił duże koło, aż się upewnił, że ochroniarze stracili go z oczu. Wtedy zawrócił.

Nie poszedł jednak ulicą, tylko skręcił w ścieżkę między domami. Po obu stronach rosły drzewka owocowe i rozłożyste krzewy malin. Skulony, dotarł na skraj własnej posesji, wdrapał się na ogrodzenie, przeskoczył na drugą stronę i przeczołgał się kilka metrów do składziku, w którym przechowywał kosiarkę, grabie i inne narzędzia. Otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Przez cały czas myślał o zmianach, które tu wprowadził po przeprowadzce w to miejsce.

LUDZIKI RASMUSA STAŁY POUSTAWIANE w przedpokoju według wzoru, który Hoffmann znał na pamięć. Zapamiętał go, żeby nie potknąć się o którąś z zabawek. Był zaskoczony, że kiedy wchodził na piętro, drewniane schody nie skrzypiały. Być może upał wyszał ze stopni całą ich moc. Zatrzymał się przed pokojami synów, którzy leżeli pogrążeni w głębokim śnie. Luizy nie widział, ponieważ jej pokój oddzielała od reszty korytarza zasłona. Rasmus posadził w tym miejscu swoje pluszowe misie, jakby chciał, żeby strzegły dostępu do jej łóżeczka. Hoffmann stał i wsłuchiwał się w spokojny, regularny oddech córeczki. Zofia leżała pod cienką kołdrą, plecami do drzwi. Przyglądał się przez chwilę jej nagiemu ciału. Klęknął przy łóżku, potrząsnął ją lekko za ramię i szepnął:

– Zo?

Jego żona poruszyła się niespokojnie.

– Zofia?

Obudziła się i spojrzała na niego przestraszonym wzrokiem. Hoffmann widział, że zaraz zacznie krzyczeć, więc zakrył jej usta dłonią, żeby zdusić krzyk w zarodku.

– To ja... Piet.

Znowu spróbowała krzyknąć, ale nadal zatykał jej usta.

– Nie bój się... to naprawdę ja. Zaraz pocałuję cię dwa razy w czoło, tak jak tylko ja to robię. Potem odsunę rękę od twoich ust i pocałuję cię w nie dwa razy.

Pochylił się, ale Zofia zaczęła go odpychać. Dotknął więc ustami jej ciepłego czoła, pocałował ją w usta i znowu zakrył je dłonią. Zdawało mu się, że trochę się rozluźniła. A może tylko udawała? Zwolnił uchwyt, lecz wciąż jej nie puszczał.

– Wszystko ci wyjaśnię, jak będzie po wszystkim. Teraz tylko obiecaj, że mnie wysłuchasz.

Szukał z nią kontaktu wzrokowego i czekał na jej reakcję. W końcu przestała się szarpać.

– Zmieniłem głos i wygląd, żebyśmy mogli stąd uciec. Nie mam czasu o tym rozmawiać. Ani z tobą, ani z dziećmi. Rozumiesz?

Zofia spojrzała na niego i skinęła głową.

Wciąż nie była pewna, czy to jawa, czy sen.

ZOFIA PROWADZIŁA RASMUSA I Emila za ręce. Chłopcy byli na wpół zaspani. Hoffmann niósł na rękach Luizę. Jego synowie nieufnie obserwowali idącego przed nimi schodami obcego mężczyznę. Zaufali mamie, która powiedziała, że mają być mu posłuszni. Zabroniła im zapalać światło i kazała iść w taki sposób, jakby się skradali. Dopiero gdy zeszli do piwnicy i Hoffmann chciał wejść do swojego tajnego pokoju, Emil zaprotestował.

– To pokój taty – zwrócił się do matki. – Nie wolno nam do niego wchodzić. Jemu też nie. – Wskazał ręką na Hoffmanna.

Ten miał ochotę go wyściskać i powiedzieć, jak bardzo jest z niego dumny. Nie zrobił tego jednak.

– Twój tata sam mnie o to prosił – wyjaśnił. – Nie tylko pozwolił mi wejść do tego pokoju, ale też nawet wytłumaczył, jak się tam dostać.

Dał im znak, żeby weszli za nim do garderoby. Pociągnął za dźwignię i otworzył drzwi prowadzące do pokoju. Wiedział, że Emil i Rasmus już tam kiedyś byli. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz zdradził ich pistolet, który leżał w innej pozycji, niż go wcześniej zostawił. Za to Zofia była tym wszystkim nie tylko zdumiona, ale także czuła się lekko oszukana. Hoffmann nie zostawił jej czasu do namysłu. Postanowił, że porozmawiają o tym później, gdy staną przed kolejnymi ukrytymi drzwiami, o których nie wiedzieli nawet jego synowie. Odsunął od ściany szafę z bronią, znalazł mały, biały przycisk i nacisnął go. Część murowanej ściany rozsunęła się

i ich oczom ukazały się kolejne drzwi. Były na tyle wysokie i szerokie, że dorosły mężczyzna mógł bez problemu wejść do wykopanego pod przydomowym trawnikiem tunelu prowadzącego do szopy na narzędzia – tej samej, przez którą niedawno dostał się do domu.

Po WYJŚCIU Z SZOPY przekradali się w ciemnościach. Przeszli koło drzewek owocowych i krzaków malin. Hoffmann zerknął na Zofię, która szła ze wzrokiem wbitym przed siebie. Chciał jej wyjaśnić, że gdy kupili ten dom – była wtedy w ciąży z Emilem i mieszkała w ich niewielkim mieszkaniu w centrum miasta – przebudował piwnicę, ponieważ pozwolenie na budowę dopuszczało przeprowadzenie ziemnych prac w ogrodzie, a on był wtedy innym człowiekiem i żył w równoległej rzeczywistości, którą kazała mu opuścić. To wszystko prawda, ale zawsze jest na takie wyjaśnienia odpowiedni moment – czasem gdy pojawią się dokumenty mogące zagrozić całej rodzinie, czasem w tajnym tunelu, który może się stać drogą ucieczki dla tej rodziny.

Powoli doszli do jego samochodu, który zaparkował w innej części pogrążonego we śnie osiedla, i wrzucili do bagażnika spakowane w pośpiechu plecaki. Hoffmann poprosił synów, by zajęli miejsca na tylnych siedzeniach. Z trudem nad sobą panował, najchętniej objąłby ich i uściskał. Kiedy Zofia usiadła obok niego z Luizą na kolanach, nie mógł się dłużej opanować i włączył radio, żeby zagłuszyć słowa, które mruczał pod nosem: „Przecież to ja, wasz tata”. Przez całą drogę do Tallbacken siedzieli w milczeniu. W końcu dotarli do ich tymczasowego mieszkania. Ani Zofia, ani chłopcy nic o nim nie wiedzieli.

W pewnym momencie Emil nie wytrzymał i spytał:

– Kim pan jest?

Hoffmann przekręcił lusterko wsteczne i odparł:

– Przyjacielem waszego taty.

– Nigdy pana nie widziałem.

– Kiedyś się spotkaliśmy.

Emil zerknął na matkę, która siedziała tuż przed nim. Zofia skinęła głową, jakby na potwierdzenie, że to prawda.

– Kiedy? – nie dawał za wygraną Emil.

Hoffmann jeszcze raz przekręcił lusterko i spojrzał na swojego mądrego syna.

– Kiedy co?

– Kiedy się spotkaliśmy?

– Hm... dawno temu. Byłeś wtedy małym chłopcem.

– A czemu to pan tu jest zamiast taty?

– Szczerze mówiąc, nie potrafię ci tego wyjaśnić. Poprosił mnie, żebym wam pomógł. Więcej nie wiem. Na pewno wam to kiedyś wyjaśni.

Hoffmann znowu zerknął w jego stronę, a gdy się upewnił, że chłopiec odpuścił, wziął Zofię za dłoń i lekko ją uściskał.

W przeciwieństwie do ich willowego osiedla, z którego przed chwilą przyjechali, dom w kształcie podkowy nie spał. W każdej klatce schodowej paliło się światło. Rasmus i Luiza spali podczas jazdy, natomiast Emil próbował złożyć pojedyncze elementy układanki w całość.

– Po co tu przyjechaliśmy?

– Wasz tata chce, żebyście zostali tu na noc.

– Dlaczego?

– Tego nie powiedział. Poprosił mnie tylko, żebym wam pomógł. Miałem was tu przywieźć i zaprowadzić do mieszkania.

– Mamo? – Emil chwycił rękami za oparcie przedniego fotela i podsunął się bliżej Zofii. – To prawda, mamo? Będziemy tu nocować?

Hoffmann znowu uściskał jej dłoń. Nie musiał na nią patrzeć, żeby zgadnąć, jaką ma minę. Dla niej ta sytuacja też była mało komfortowa.

– Tak, synku. Spędzimy tu tę noc, a może nawet kilka.

– Wiedziałaś o tym? Dlaczego nam nie powiedziałaś, jak szliśmy spać?

Zofia przełknęła ślinę, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Hoffmann przyszedł jej z pomocą.

– Mama też o tym nie wiedziała. Wasz tata powinien jej o tym powiedzieć, ale nie zrobił tego i to był błąd. Poinformował tylko mnie, kiedy poprosił mnie o pomoc. Jest mu przykro, że zapomniał wam powiedzieć.

Zofia wniosła do mieszkania Luizę, on wziął Rasmusa i oba plecaki. Emil pokonał kilka metrów dzielących samochód od drzwi demonstracyjnym krokiem.

– To tu? Poważnie?

Przeszedł się szybko po mieszkaniu i zajrzał do każdego z trzech pokoi, podczas gdy Zofia i Hoffmann zanieśli Luizę i Rasmusa do ich nowych łóżek.

– Mamy tu mieszkać? Przecież tu prawie nie ma mebli.

– Zostaniecie tu przez jedną noc, może dwie, tak jak mówiła mama. Najważniejsze, że macie łóżka. W kuchni jest i lodówka z jedzeniem.

Hoffmann wziął Emila za rękę i zaprowadził go do salonu.

– A tutaj to, co najważniejsze: kanapa i telewizor. W torbie znajdziecie wasze gry telewizyjne. Ty i Rasmus będziecie mogli grać w nie do woli.

Przyniósł torbę, w której była konsola, pilot i gry, i postawił ją na szafce nocnej. Przeszedł do sypialni, otworzył garderobę i ostrożnie umieścił w niej plecaki. Ustawił je na zrobionej niedawno podłodze w taki sposób, żeby nikt się nie domyślił, że pod spodem jest pusta przestrzeń.

Potem zdarzyło się coś, czego w ogóle się nie spodziewał. Potem – to znaczy wtedy, gdy szeptem poprosił Zofię, by rano poinformowała szkołę, że ich synowie są chorzy i do końca tygodnia nie przyjdą na lekcje. Poszedł do toalety i zdziwił się, widząc w lustrze twarz obcego mężczyzny. Kiedy wyszedł na klatkę schodową, nagle podbiegł do niego Emil.

– Ja wiem – powiedział.

– Co takiego? – spytał Hoffmann.

– Że to ty, tato. – Syn pociągnął go za rękę.

– Chyba jednak...

– Przestań! – zawołał Emil i prawie go szarpnął. Widać było, że jest naprawdę zły. – Do tej pory nie wiedziałem, czego nie rozumiem, ale czułem, że coś tu nie gra. Obserwowałem, jak chodzisz po mieszkaniu... jak się poruszasz. Wiem, że to ty. Chodzisz jak ja, tak samo stawiasz stopy i poruszasz rękami... obaj chodzimy tak samo.

Hoffmann nie dbał o to, czy ktoś zauważy, jak bardzo jest przestraszony. Zrozumiał, że dłużej nie może ukrywać prawdy.

– Masz rację... to ja. Ale musisz mi obiecać, że nie powiesz o tym Rasmusowi.

Emil zrobił taką minę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. W końcu skinął głową, tak jak zrobiła to Zofia, gdy leżała w łóżku, a on zatykał jej usta dłonią.

– Dlaczego tak wyglądasz? I czemu masz inny głos? Po co nas tu przywiozłeś?

– Na razie nie mogę ci tego wyjaśnić.

Chłopiec głęboko oddychał, ale wcale się nie bał. Był poważnym dziesięciolatkiem.

– Grozi nam niebezpieczeństwo, prawda? I dlatego tu jesteśmy?

Ojciec chwycił go za rękę i przyciągnął do siebie.

– Nic wam nie grozi. Ale może...

– Tato, przestań!

Hoffmann mocno go objął i szepnął mu do ucha:

– Masz rację. Sytuacja jest groźna i dlatego was tu przywiozłem. A teraz wróć do mieszkania. Zostaniesz tam dopóty, dopóki nie minie niebezpieczeństwo.

Obaj popatrzyli na siebie i Hoffmann jeszcze raz go uściskał.

Emil przełknął ślinę, opuścił głowę i przez chwilę stał ze wzrokiem wbitym w chodnik. Potem odwrócił się i odszedł bez pożegnania.

Hoffmann już dawno nie czuł się taki samotny.

CZĘŚĆ TRZECIA

HOP... HOP.

Komisarz Grens czuł się tak, jakby ktoś po nim skakał.

Mała dziewczynka. Skacze po jego brzuchu. Ma na sobie poplamione ubranie, śmieje się i śpiewa *Sto lat*. Robi to głośno i wyraźnie, ale fałszuje. Mimo to piosenka brzmi ładnie.

Znowu po nim skacze, jeszcze energiczniej, ciągle w tym samym rytmie.

Nagle ktoś strzela: bang, bang!

Zabrzmiało to tak, jakby doszło do erupcji wulkanu. Wściekłe, ryczące dźwięki. Są tak blisko, że prawie je widzi.

Na sto procent widzi małą główkę, która próbuje uciec. Niestety, pierwsza kula trafia ją w czoło i robi dziurę w skroni.

Bang! Bang!

Nagle ktoś przykłada mu lufę do głowy.

Jest zimna i twarda... kaleczy mu skórę, na podłogę kapią krople krwi. Palec coraz mocniej naciska spust.

W końcu Grens budzi się zlany zimnym potem. Serce bije mu przyspieszonym rytmem. Spogląda w sufit i dopiero teraz sobie uświadamia, gdzie jest. Bardzo dobrze zna to miejsce. Te ściany zawsze go chroniły. Podnosi się z obitej sztruksem kanapy stojącej tam gdzie zawsze: w jego pokoju w budynku policji. Czuje rwanie w sztywnej nodze – jak zwykle, gdy po przebudzeniu stawia pierwsze kroki. Boli go kark i kręgosłup w odcinku lędźwiowym.

Mimo to czuje, że nastąpiła jakaś zmiana. Nie wie tylko jaka.

Kulejąc, podszedł do okna i wyjrzał na opustoszały dziedziniec. W tym samym momencie znowu usłyszał odgłos strzałów. Jak we śnie.

W końcu zrozumiał, skąd ta zmiana: łatwiej mu było oddychać. Dokuczliwy upał zelżał, niebo zasnuły szare, ciężkie chmury. Pewnie zaraz spadnie deszcz. I rzeczywiście: chwilę później grube krople zaczęły bębnić o szyby i metalowe parapety. Brzmiało to tak, jakby ktoś strzelał z karabinu maszynowego. Bang, bang! To takie „strzały” słyszał przed chwilą. To one go obudziły.

Uśmiechnął się do myśli, które zrodziły się w jego głowie. Wsłuchiwał się w bębnienie kropel o parapety do momentu, aż przestał cokolwiek widzieć przez okno. Zabudowania komendy były zamazane, zarysy dachów straciły ostrość. Otworzył okno, wysunął rękę i zwinął dłoń w miseczkę. Potem przyłożył ją do czoła i policzków, żeby je zwilżyć, a następnie przeciągnął dłonią po włosach i przejrzał się w szybie. Cienkie, rzadkie włosy układały się na jedną stronę.

Sztokholmska noc. Wkrótce jej miejsce zajmą sztokholmskie ciemności.

Po drugiej położył się na kanapie, żeby trochę odpocząć, i chyba zasnął. Teraz wrócił za biurko i zajął się teczką, którą dwa dni wcześniej przyniósł za pokwitowaniem odbioru z archiwum. Zawierała ściśle tajne dokumenty. Przejrzał liczące prawie dwadzieścia lat protokoły ze śledztwa i raporty z sekcji zwłok. Nie znalazł nic, czego nie wiedziałby wcześniej. Dosłownie nic. Dowiedział się z nich tego samego co kiedyś.

Podczas rozmowy z Nilsem Krantzem – technikiem policyjnym, który był jednym z niewielu funkcjonariuszy pracujących na komendzie równie długo jak on – poprosił go, aby w mieszkaniu przy Dalagatan 74 zebrał odciski palców, włókna i ślady DNA. Niestety, nic to nie dało. Sprawdził też, kto w ostatnich miesiącach korzystał z archiwum – z podobnym

rezultatem. Na końcu zlecił ponowne zbadanie czystych kartek, ale tym razem pod innym kątem niż odciski palców: chodziło mu o sprawdzenie, gdzie zostały wyprodukowane, jakimi kanałami dystrybucji dostarczono je do hurtowników i detalistów. I znowu nic.

Niespokojnie krążył po pokoju. Często to robił, kiedy nie wiedział, jak wybrnąć z trudnej sytuacji. W trakcie chodzenia wykonywał skręty i zwroty, żeby nie wpaść na szafę albo regał. W końcu zrobiło mu się tak ciasno, że wyszedł na korytarz. Podeszedł do automatu i nalał sobie kubek ciepławej czarnej kawy. Z tego miejsca miał blisko do pokoju Svena Sundkvista. Wszedł do środka i otworzył okno na oścież. To samo zrobił w pokoju Mariany Hermansson. Przeciąg to fantastyczny wynalazek! Sundkvist i Hermansson. Tylko oni z nim wytrzymują, tak jak on wytrzymuje tylko z nimi. Są teraz w swoich domach i śpią we własnych łóżkach. Miał nadzieję, że w przyszłości pozostaną w normalnym świecie, w którym ludzie, którzy chcą zasnąć, nie muszą kłaść się na starej kanapie.

Druga teczka, ta, w której powinny być dokumenty dotyczące programu ochrony świadków, leżała na biurku Hermansson, ponieważ to jej zlecił analizę dokumentów. Nie mógł się powstrzymać i zajrzał do teczki, chociaż na sam widok trząsnął się ze złości. Chciał poznać dalszą historię życia małej dziewczynki – to, co się z nią później stało, kim została i gdzie teraz jest. Niestety, w środku znaleźli czyste, niezapisane kartki. Oryginały były w posiadaniu nieznannej osoby.

Z własnego doświadczenia wiedział, że gdy główna faza śledztwa dobiega końca, a prokurator wnosi oskarżenie i zapada wyrok, policja przestaje interesować się ludźmi, którzy byli objęci dochodzeniem i brali udział w procesie. Kończy się też odpowiedzialność osób nadzorujących program ochrony świadków. Świadek, który do końca życia będzie funkcjonował ze świadomością, że grozi mu niebezpieczeństwo, przenosi

się do innej rzeczywistości i wkracza na nową drogę. Przyjmuje nową tożsamość i w nowym miejscu zamieszkania zaczyna figurować jako ktoś inny. Jego spreparowane dane trafiają do urzędu skarbowego i od tego momentu musi radzić sobie sam. Tamta dziewczynka miała wtedy pięć lat, więc nie mogła zacząć nowego życia na własną rękę. Na pewno umieszczono ją w rodzinie zastępczej, być może z czasem została adoptowana i dorastała jako dziecko przybranych rodziców.

Grens od lat ma nieograniczony dostęp do danych zgromadzonych w urzędzie skarbowym. Nieformalne kontakty nawiązuje się na dwa sposoby: albo trzeba kogoś kupić, albo zaszantażować. On załatwił to w inny sposób: wymienia się ze swoim informatorem konkretnymi danymi. Jeśli jego człowiek w urzędzie skarbowym potrzebuje informacji znajdujących się w posiadaniu policji, Grens je zdobywa i mu przekazuje. Podobnie działa to w drugą stronę. Takie postępowanie jest nielegalne, ale inaczej nie mógłby funkcjonować. Literę prawa rzadko udaje się stosować literalnie.

Właśnie czekał na rozmowę z informatorem z urzędu skarbowego. Zastanawiał się, czemu telefon milczy. Przecież do niego można zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Zamknął teczkę z pustymi kartkami i usiadł w fotelu Hermansson. Nigdy wcześniej nie siedział przy jej biurku. Tak się jakoś złożyło, że przez dziesięć lat – bo tyle pracowała w policji – rzadko wchodził do jej pokoju. Istniało między nimi coś na kształt nieformalnej umowy. Jej wolno było wejść do jego pokoju o każdej porze dnia i nocy i wypowiedzieć się na każdy temat, podczas gdy on musiał się stosować do jej wymagań dotyczących granicy integralności, która przebiegała w progu jej pokoju. Mariana Hermansson zachowywała się trochę jak rozkapryszone dziecko, które chce zachować dystans wobec zbyt wymagających rodziców. Ten nieformalny układ odpowiadał Grensowi, więc łatwo się do niego

dostosował, chociaż nigdy przedtem czegoś takiego nie robił. Być może Hermansson czuła, że jest dla niego jak córka, chociaż nigdy o tym nie rozmawiali i nigdy by im do głowy nie przyszło poruszyć ten temat.

Nagle poczuł się nieswojo.

Nie dlatego jednak, że siedział na jej krześle... akurat to sprawiało mu przyjemność. Zmiana nastroju spowodowana była zawartością przyniesionych z archiwum teczek, w których znaleźli niezapisane kartki.

Prawdopodobnie wyglądało to tak, że oryginalne dokumenty wyjął z teczek jeden z funkcjonariuszy, a później przekazał je odpłatnie swojemu zleceniodawcy. Do archiwum mają dostęp jedynie policjanci w czynnej służbie. Poczuł się nieswojo, ponieważ sytuacja, z którą miał do czynienia, była dla niego nie do pomyślenia. Skorumpowany policjant? Przez czterdzieści lat pracy w policji nigdy nie prowadził dochodzeń w sprawie przestępstw popełnionych przez jego kolegów, którzy powinni im zapobiegać. A teraz nie miał na to czasu, bo musiał odnaleźć dziewczynkę, którą kiedyś znalazł w mieszkaniu, gdzie doszło do poczwórnego zabójstwa. Po tylu latach chyba niewiele z tego pamiętała. Jest teraz młodą kobietą i stanowi zagrożenie dla bezwzględnych i brutalnych przestępców, ponieważ była świadkiem zbrodni. A oni weszli w posiadanie dokumentów na jej temat.

Przez następne pół godziny krążył po pustych korytarzach i czekał, aż odezwie się informator. Niestety, telefon milczał. A kiedy niepokój stał się zbyt destrukcyjny, gdy Grens kolejny raz zderzył się z samym sobą i rozwiązał ten problem w typowy dla siebie sposób: postanowił pojechać na Północny Cmentarz, żeby posiedzieć na ławce przed grobem numer 603, którego dawniej nie miał odwagi odwiedzić. Biały krzyż był lekko przekrzywiony, na mosiężnej tabliczce z imieniem i nazwiskiem pojawił się zielonkawy nalot. Musiał użyć całej siły, żeby wbić krzyż głębiej w ziemię.

Nalot zmył wodą z kranu znajdującego się przy stojaku z grabiami i dzbankami, a tabliczkę, na której widniał napis ANNI GRENS, wytarł rękawem koszuli. Anni należała kiedyś do niego. Chodzili na spacer, trzymali się za rękę i nagle wszystko się skończyło – jeszcze zanim zaczęli wspólną podróż. Dopiero po trzydziestu latach znalazł w sobie dość odwagi, żeby zacząć spotykać się z inną kobietą. Miała na imię Laura i pracowała w prosektorium. Jej oczy promieniały życiem, a na ustach miała najcieplejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. Dzięki niej odzyskał spokój, chociaż poznali się w najzimniejszym miejscu, jakie można sobie wyobrazić: w kostnicy. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak ktoś, kto zajmuje się krojeniem zwłok, mógł emanować takim życiem. Pół roku później, gdy znowu siedział na ławce przed grobem Anni i zastanawiał się, czy dalej powinien spotykać się z kimś takim jak Laura, postanowił, że będzie żył sam. Nie tęsknił za nią, bo to on się wycofał. Doszedł jednak do wniosku, że przyjemnie było choć na trochę wyrwać się u boku innej kobiety z zakłętą kręgu i uciec z dożywotniego więzienia, na które sam się kiedyś skazał.

Wstał z ławki i ruszył do wyjścia. Zdążył przejść mniej więcej połowę odległości dzielącej go od samochodu, gdy zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz. Nieznany numer. O tej porze niewiele osób jest już na nogach.

– Słucham?

– Niewiele znalazłem, ale może wystarczy, żeby trafić na nowy trop.

Urzędnik skarbowy. Nigdy nie używali imion ani nazwisk i nie rozmawiali o prywatnych sprawach. Zachowywali się tak, jakby ktoś ich podsłuchiwał, bo wiedzieli, że obaj mają za dużo do stracenia.

– Zabrało mi to trochę czasu, ponieważ część naszych zasobów nie została jeszcze wprowadzona do komputerów. Na szczęście znał pan rok i miesiąc, dzięki czemu udało się znacznie zawęzić zakres poszukiwań.

Z dokumentów, do których dotarłem, wynika, że osoba, która pana interesuje, ma nowe imię, nazwisko i numer osobowy.

– Proszę mi podać fakty, których nie znam.

– Niestety, nie znalazłem ani nowego nazwiska, ani numeru osobowego.

Grens zatrzymał się w pół kroku na wygrabionej alejce. Otaczały go groby, ale już się ich nie bał.

– Żartuje pan? To wszystko? Nazywa pan to nowym tropem? Mam znowu bić głową w mur?

– Natomiast...

Poznał po głosie, że jego rozmówca jest poirytowany albo niewyspany. A może był poirytowany, bo się nie wyspał?

– ...znalazłem informacje, z których wynika, że umieszczono ją w rodzinie zastępczej.

– Proszę mi podać jakieś nowe fakty, których nie znałem.

– Niestety, nie wiem w jakiej.

– Do cholery...

– Ale wiem, w której gminie. Może się to panu przydać.

Grens kierował się do wyjścia. Groby zostawił za sobą. Znalazł się w nowej części cmentarza, w której panował jeszcze większy spokój. W Gaju Pamięci.

– Co to za gmina?

– Söderköping. Jest niewielka, leży...

– Wiem, gdzie leży. Coś więcej?

– Właśnie chciałem powiedzieć... W jednym z segregatorów znalazłem dokument, w którym urzędniczka podejmująca decyzję zapisała na marginesie numer. Prawdopodobnie jest to numer osobowy dziewczynki.

Urzędniczka powinna znać więcej szczegółów. Wyślę panu na komórkę to, co mam.

Grens chciał się rozłączyć, lecz nagle coś mu się przypomniało.

– *À propos* dziewczynki... jak się wtedy nazywała?

– Na nazwisko miała Lilaj. Tak jak cała rodzina.

– To akurat wiem. Zapomniałem jej imienia. Próbowałem sobie przypomnieć, ale na próżno.

– Zana.

Zana Lilaj. Dopiero teraz mu się przypomniało.

Imię pasowało do jej wyglądu. Dziewczynka była drobna jak kwiatek i miała zmierzwione włosy.

Godziny szczytu jeszcze się nie zaczęły, więc już po kilku minutach dotarł na komendę. Przy Bergsgatan znajdowała się niewielka kawiarnia. Otwierali ją wcześniej niż inne lokale i można było w niej kupić ciepłe, pyszne cynamonowe bułeczki. Prosto z pieca. Lubił przesiadywać przy dużym oknie i obserwować, jak inni policjanci przychodzą do pracy.

Zdobył dane dziewczynki i nazwisko urzędniczki, która nadała jej nową tożsamość. Od pracownika urzędu skarbowego dowiedział się, że kobieta mieszka w centrum miasta. Z protokołu posiedzenia komisji do spraw dzieci i młodzieży wynikało, że kiedy była szefową wydziału, to ona prowadziła tę sprawę i zatwierdziła decyzję o umieszczeniu dziewczynki w rodzinie zastępczej. Powinna więc wiedzieć, kto wziął pod opiekę nagle osieroconą dziewczynkę z centrum Sztokholmu, w jakim otoczeniu dorastała, kto ją wychowywał i kto zrobił z niej nową obywatelkę tego kraju.

Zamoczył cynamonową bułeczkę w czarnej kawie. Czuł się pewnie i bezpiecznie.

Söderköping to miasto w prowincji Östergötland. Leży blisko morza i autostrady E4. Kiedyś pojechał tam w związku ze śledztwem w sprawie potrójnego zabójstwa: młody mężczyzna poderżnął gardła trzem najlepszym przyjaciółom. Drugim razem przesłuchiwał dwie starsze kobiety, które podczas kłótni zabiły starszego od nich wspólnego kochanka, a potem wzajemnie się o to obwiniały. Pojechał wtedy przez Norrköping... a może Linköping? Teraz czekała go trzecia wizyta w małym miasteczku nad kanałem Göta.

Kolejna filiżanka kawy. Tym razem zamówił do niej kawałek szarlotki polanej sosem waniliowym. Na niektóre smakołyki nigdy nie jest za wcześnie.

– Ewert?

Grens odwrócił się.

Nawet nie zauważył, jak wysoki, barczysty mężczyzna wszedł do kawiarni i stanął przy jego stoliku.

– Przeczuwałem, że cię tu zastanę.

Krótkie, ciemne włosy, czworokątna twarz, ładny, prosty nos i mocno zarysowana szczęka. Typ bohatera seriali. Erik Wilson. Szef wydziału dochodzeniowo-śledczego, jego bezpośredni przełożony. Kiedyś był oficerem prowadzącym. Nadzorował przestępców, którzy wbrew prawu działali w gangach jako policyjni informatorzy. Władze zaprzeczały, że taka współpraca ma miejsce, ale każdy policjant wie, że bez pomocy informatorów ulokowanych w grupach przestępczych jakakolwiek działalność operacyjna jest niemożliwa. Kiedyś jedna z operacji, którą prowadzono w więzieniu o zaostrowym rygorze, wymknęła się spod kontroli i naczelnik wydziału stracił pracę. Jego miejsce zajął Wilson. Najciekawsze było to, że Grensowi łatwiej było się z nim dogadać teraz, gdy Wilson był jego przełożonym, niż dawniej, kiedy działali jako

równoprawni śledczy. Musiał pogodzić się z tym, że oprócz jego prawdy istnieje prawda, którą wyznają inni policjanci.

– Siadaj. Miejsce jest wolne.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby pić z tobą kawę. Niecałą godzinę temu zadzwonił do mnie oficer dyżurny. W klatce schodowej na Brännkyrkagatan znaleziono zwłoki mężczyzny.

Grens wylał na talerzyk trochę sosu waniliowego. Reszta leżącej na nim szarlotki próbowała uratować się przed potopem.

– Nie rozumiem.

– Chcę, żebyś przejął tę sprawę.

– Przykro mi, ale prowadzę inne śledztwo. Kawalek szarlotki?

Wilson pokręcił głową. Do tej pory stał, ale po ostatnich słowach Grensa przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Co to za śledztwo?

– Włamanie. Sprawa trafiła na moje biurko wczoraj.

– Od kiedy włamanie jest ważniejsze od zabójstwa?

– Od czasu, gdy ma związek z czterema zabójstwami... i piątym, o którym pewnie wkrótce usłyszymy. Poza tym w naszej komendzie też doszło do przestępstwa. Za dwie godziny jadę do Söderköping i mam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej.

Wilson zaczął się rozglądać za serwetkami, ale czyste i nieużywane leżały na sąsiednim stoliku. Wziął jedną z nich i otarł krople potu z twarzy. Niedawno padał deszcz i upał trochę zelżał, lecz temperatura nadal była wyższa niż zwykle o tej porze roku.

– Rzadko każę ci coś zrobić, ponieważ nasz pracodawca ma z nas najwięcej pożytku wtedy, gdy nie wydajemy zbyt szczegółowych rozkazów. Jednak w tej sytuacji muszę to zrobić. Nie pojedziesz do Söderköping, tylko

natychmiast udasz się na Brännkyrkagatan trzydzieści siedem, a jak tam dotrzesz, przejmiesz śledztwo bez względu na to, kogo zastaniesz na miejscu i kto się tym będzie akurat zajmował.

Grens nie utrzymywał wcześniej bliskich kontaktów z Wilsonem. Nie miał na to ochoty i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby zjeść z nim szarlotkę. Od kilku lat oceniał go jednak inaczej i po pewnym czasie doszedł do wniosku, że Wilson nie jest gnojkiem. To on zachowywał się częściej jak gnojek, bo mógł sobie na to pozwolić. Takie zachowanie na pewno nie leżało w naturze Wilsona. Poza tym obecny przełożony Grensa nauczył się mu ufać. Wierzył, że jeśli komisarz twierdzi, że musi pojechać do Östergötland w sprawie śledztwa, efekty wyjazdu będą znacznie lepsze, jeśli mu na to pozwoli. Więc Grensowi nie spодobało się, że tym razem Wilson chce go do czegoś zmusić.

– Co ty ukrywasz? – spytał.

Wilson uniósł ręce w obronnym geście.

– Nic.

– Mów prawdę!

– Wolę, żebyś wyrobił sobie opinię na miejscu, bez moich sugestii.

Wilson westchnął i pochylił się w stronę Grensa. I chociaż w całej sali oprócz nich była tylko właścicielka lokalu i nikt inny nie mógł go słyszeć, powiedział ściszym głosem:

– Wczoraj rozmawiałem z Marianą... a właściwie to ona rozmawiała ze mną. Widocznie czuła taką potrzebę. Rozmowa była poufna. Opowiedziała mi o włamaniu, którym się teraz zajmujesz, i o śledztwie, które kiedyś prowadziłeś w związku z tym, co wydarzyło się przed laty w tym samym miejscu. Nie podobało jej się to, co ujrzała w twoich oczach. Niepokoi się o ciebie.

– Naprawdę?

– Dowiedziałem się od niej, że w tym mieszkaniu ktoś zamordował czteroosobową rodzinę i użył do tego pocisków z wgłębieniem wierzchołkowym, zrobionych ze stopu ołowiu i tytanu. Każda z ofiar dostała jedną kulkę w prawą część czoła i drugą w lewą skroń.

Wilson zaczął mówić jeszcze ciszej, jakby nie chciał słyszeć swojego głosu.

– Do czegoś podobnego doszło na Brännkyrkagatan, tam, dokąd chcę cię wysłać. Patrol policji, który po zgłoszeniu sprawy jako pierwszy zjawił się na miejscu, opisał to zdarzenie właśnie w taki sposób.

– To znaczy?

– Że to była egzekucja. Jedna kula w prawą część czoła, druga w lewą skroń. Zabójca użył takiej samej amunicji co sprawca tamtej poczwórnej zbrodni: pocisków ze stopu ołowiu z tytanem.

Wilson zmiął serwetkę i rzucił ją na talerzyk, który Grens wylizał prawie do czysta.

– Fakt, że włamanie, podczas którego niczego nie ukradziono, może mieć związek ze sprawą z odległej przeszłości, a dwa dni później znajdujemy na klatce schodowej faceta, który zginął w identyczny sposób, może być dziełem przypadku. Czasem tak bywa, ale ja jestem policjantem i nigdy nie wierzyłem i nie uwierzę w takie przypadki. A ty, Ewert?

MĘŻCZYŻNA LEŻAŁ NA PLECACH. Pierwsze wrażenie było takie, że wcale nie był martwy. Przypominało to raczej jakiś rodzaj snu, który miał inne niż zwykle zakończenie, inne przebudzenie. Może było to spowodowane kształtem ust? Albo uśmiechem? Ludzie, którzy się uśmiechają, wyglądają na żywych. Grens podszedł bliżej i od razu zmienił zdanie, ponieważ martwy mężczyzna wcale się nie uśmiechał. Przeciwnie: był śmiertelnie przerażony. Niewykluczone, że strach poczuł dopiero w chwili śmierci, gdy uświadomił sobie, że za chwilę jego życie się skończy...

Zwłoki leżały na betonowej podłodze klatki schodowej. W chwili ich znalezienia światło było zgaszone. W ciemnościach też można umrzeć.

Grens przykucnął obok ciała i od razu poczuł ból w kolanie i biodrach. Cierpiał, ale ból sprawił mu w pewnym sensie przyjemność. Był dowodem na to, że nadal żyje. Duża część twarzy denata była zakrwawiona i pokierszowana. Komisarz z uwagą oglądał dwa otwory wlotowe: jeden w prawej części czoła, drugi pod lewą skronią. Tak, to na pewno nie był przypadek. Nagle odmłodził o siedemnaście lat i przeniósł się pamięcią do mieszkania na trzecim piętrze, w którym zastał podskakującą dziewczynkę i znalazł cztery ciała. Dwa otwory wlotowe w głowie mężczyzny nie mogły być dziełem przypadku. Takie same widział wtedy. Lekarz, który będzie wykonywał sekcję zwłok, najpierw zmierzy odległość między nosem a pierwszym otworem wlotowym, a potem między kością jarzmową policzka i drugim otworem wlotowym. W raporcie stwierdzi, że w obu przypadkach odległości są identyczne.

Ten sam sposób wykonania egzekucji. Ten sam „podpis” sprawcy.

Grens będzie musiał przejąć to śledztwo. Kilkanaście lat po tamtej poczwórnej zbrodni jest starszy, ale także mądrzejszy i bardziej doświadczony. Wykona rutynowe czynności przewidziane przy takim dochodzeniu. Być może trochę wolniej i mniej sprawnie niż dawniej, ale jednak. Pokieruje działaniami na miejscu zbrodni i będzie podejmował decyzje, które doprowadzą do rozwiązania sprawy. Tym razem na pewno nie przeoczy żadnej dziury w parkiecie.

– Cześć, Ewert... Jego tożsamość...

Mariana Hermansson miała na dłoniach cienkie rękawiczki z czarnej skóry. Grens zastanawiał się, jakim cudem zarówno ona, jak i Sven znaleźli się na miejscu przestępstwa przed nim. Wprawdzie Hermansson mieszkała w centrum miasta, ale było jeszcze dość wcześnie. Z kolei Sven potrzebował przynajmniej dwudziestu minut, żeby dotrzeć na miejsce prywatnym samochodem. Wyglądało więc na to, że Wilson zadzwonił do nich od razu po otrzymaniu zgłoszenia. Pewnie po to, żeby przed rozmową, którą odbyli w kawiarni, na miejscu znalazł się policjant w randze komisarza. Grens nie bardzo wiedział, co o tym myśleć.

– Z całą pewnością możemy wykluczyć motyw rabunkowy. – Hermansson trzymała w ręce gruby portfel należący do ofiary. Z plastikowej przegródki wyjęła prawo jazdy. W drugiej tkwił plik banknotów o nominale pięciuset koron, pięćdziesięciu euro i stu dolarów. – Prawdziwe – powiedziała, przesuwając kciukiem po wypukłości na prawie jazdy, która miała kształt konturów Szwecji. – Na temat banknotów nie będę się wypowiadać. Niech to zrobią nasi technicy.

Podsunała Grensowi dokument w taki sposób, żeby mógł go lepiej widzieć. Twarz leżącego na podłodze mężczyzny nie przypominała tej na zdjęciu, chociaż było oczywiste, że prawo jazdy należało do ofiary. Siwe, lekko zmierzwiłone włosy, górna warga szersza od dolnej, wypiełgnowane

wąsy. Na prawym policzku trzy trójkątne plamy wątrobowe. Wyglądało to tak, jakby nad dodatkowymi ustami znajdowała się dodatkowa para oczu. Twarz na twarzy.

– Dejan Pejović. Czterdzieści siedem lat. Jego wygląd i nazwisko mogą wskazywać, że pochodzi z któregoś z państw bałkańskich. Jeśli figuruje w naszych rejestrach, za godzinę będziemy wiedzieć o nim więcej.

Grens milczał. Był nieobecny myślami, jakby szukał czegoś w pamięci.

– Ewert... o co chodzi?

– Wydaje mi się, że gdzieś to nazwisko słyszałem albo widziałem.

– Gdzie?

– W oznakowanych czerwoną flagą aktach, które mi dałaś. Przesłuchiwaaliśmy go w związku z tamtym poczwórnym zabójstwem. Niestety, bez rezultatu. Należał do bliskiego otoczenia głównego podejrzanego. Jestem pewien, że figuruje w naszej bazie.

Wstając z podłogi, Grens oparł się dłonią o rękę zabitego mężczyzny. Chciał się wyprostować, ale musiał odczekać, aż minie pulsujący ból. Policjanci zabezpieczyli klatkę schodową niebiesko-białą taśmą. Na miejscu zjawił się technik Krantz i lekarz medycyny sądowej Errfors. Obaj mieli ze sobą czarne torby z narzędziami. Za chwilę zajmą się martwym człowiekiem, dzięki któremu pracę ma wielu żywych ludzi. Obaj czekają na podobne wezwania, bo dobrze wiedzą, że bez takich trupów żaden z nich nie miałby tu nic do roboty. Sens śmierci warunkuje bezsens życia.

– Trzysta dziesięć – odezwał się nagle Grens. Spojrzał na martwego mężczyznę i na jak najbardziej żywą Hermansson. – Mówię o zabójstwach. Wiesz, że je liczę. Ten, który tu leży, ma numer trzysta dziesięć.

Był pewien, że nic nie może zastąpić dreszczyku emocji, który towarzyszył mu w takich chwilach. Teraz już się tego uczucia nie wstydził, ale na początku różnie z tym bywało. Cóż, taki jest, bo takie jest życie.

W takich sytuacjach jak ta ten dreszcz emocji brał go w objęcia, unosił i sprawiał, że Grens chodził bardziej wyprostowany i nie mógł doczekać się następnego dnia. *Sens śmierci warunkuje bezsens życia*. Ten dreszcz emocji miał taką samą siłę za każdym razem, gdy ktoś sięgnął po przemoc, aby udowodnić, że życie drugiego człowieka jest warte mniej niż jego własne. Nadchodził jakby z daleka i niósł Grensa na skrzydłach przez koszmarne noce.

Bez względu na to, czy był tak jak teraz barczystym sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który miał rzadkie włosy, a po ulicach chodził sam, czy też dawnym Ewertem Grensem, dwudziestotrzyletnim, szczupłym, silnym i zakochanym w koleżance z roku, z którą chodził za rękę... bez względu na to, że miał do rozwiązania trzysta dziesiątą sprawę o zabójstwo – nadal czuł to samo. Wtedy i teraz. Nadal pamiętał swoją pierwszą sprawę, gdy jako świeżo upieczony policjant interweniował w Uppsali w domowej awanturze, podczas której mąż zamordował żonę. Nigdy wcześniej nie widział trupa. Tamtego dnia zaparkował przed drogą willą w dzielnicy Väsätra i razem z partnerem z patrolu weszli do budynku przez niezamknięte na klucz drzwi. W środku zastali mężczyznę, który siedział bez ruchu przy kuchennym stole. Na podłodze leżała zakrwawiona kobieta z siekierą w głowie. Zabójca miał w oczach niewypowiedzianą pustkę. Właśnie tak Grens go zapamiętał. Gdy brali go pod ręce, żeby wyprowadzić go z domu, mężczyzna w ogóle nie protestował i nie stawiał oporu. Kiedy Grens razem z partnerem z patrolu prowadził do radiowozu pierwszego w swojej karierze zabójcę, poczuł to po raz pierwszy. Dziś, czterdzieści lat po tamtym zdarzeniu, dopadły go te same emocje w momencie, gdy wszedł do ciemnej klatki schodowej, aby przejąć dochodzenie w sprawie człowieka, któremu ktoś odebrał życie. Tylko że to, co odczuwał tym razem, zasadniczo różniło się od koszmaru,

który przeżył przed siedemnastu laty, kiedy w jednym z mieszkań znalazł dziewczynkę skaczącą pośród trupów, a także od tego, co poczuł, gdy zatrzymał sprawcę tej poczwórnej zbrodni i potem patrzył na jego szyderczy uśmiech, bo z braku dowodów musiał go wypuścić na wolność.

– Ewert... chciałabym cię poprosić, żebyś przywitał się z dwiema osobami. Powinieneś był to zrobić dużo wcześniej.

Hermansson chwyciła go za rękaw koszuli i zaprowadziła do dwójki młodych mundurowych. Oboje mieli szczere spojrzenia. W ich oczach kryła się pewność siebie i nadzieja typowa dla tych, którzy dopiero zaczynają wielką przygodę.

– To jest Lucas, a to Amelia. Są studentami ostatniego roku Szkoły Policyjnej. Od dwóch tygodni odbywają pod moim nadzorem praktykę w naszym wydziale. Amelia zaliczyła pierwszą część w komendzie wojewódzkiej, Lucas przyjechał do nas z Tumby, gdzie zdobywał doświadczenie w walce z gangami. Pomagali nam przeanalizować zagadkę teczki, z której wykradzono dokumenty. Uznałam, że za względu na okoliczności tej zbrodni powinni tu przyjechać i zobaczyć, jak nasza praca wygląda z bliska.

Chwilę później wydarzyło się coś, co na kimś, kto patrzyłby na to z boku, mogłoby wywrzeć dziwne wrażenie: trójka ludzi przywitała się, stojąc po obu stronach trupa, który spoglądał na nich z dołu martwym wzrokiem.

– To komisarz policji kryminalnej Ewert Grens, mój bezpośredni przełożony. Przez następne miesiące będzie też waszym szefem. Nie jest aż tak groźny, za jakiego próbuje uchodzić. – Hermansson uśmiechnęła się do Grensa.

Komisarz przywitał się z dwójką kandydatów na policjantów. Ich dłonie były jeszcze miękkie i delikatne, ale dobrze wiedział, że z czasem

stwardnieją.

– Macie mniej więcej tyle samo lat co ja.

– Słucham?

Oboje wypowiedzieli to słowo równocześnie. Bardzo im zależało, żeby zachować się w odpowiedni sposób. Bali się popełnić jakikolwiek błąd.

– Macie mniej więcej tyle samo lat co ja, gdy zobaczyłem pierwsze zwłoki. Nazywaliśmy je DT. Myślę, że dzisiaj nikt już nie używa tego skrótów.

– Na pewno nie w szkole. I dlatego tu jesteśmy, panie komisarzu. Chcemy zobaczyć, jak smakuje rzeczywistość.

Grens przyjrzał się dwójce aspirantów i doszedł do wniosku, że na razie nie muszą wiedzieć, że ich praca w policji też się kiedyś skończy.

– Ewert?

Na klatkę schodową wrócił Sven Sundkvist. Chwilę przedtem ktoś zadzwonił na jego telefon komórkowy, więc wyszedł na ulicę, żeby mieć lepszy zasięg. Grens obserwował przez okrągłe okna, jak jego podwładny krąży po ulicy. Uważał go za jednego z najbardziej zaufanych współpracowników. Widząc, że Sundkvist w charakterystyczny dla siebie sposób gestykułuje rękami, domyślił się, że dostał jakąś złą wiadomość.

– Słucham?

– Dzwonił oficer dyżurny z komendy.

– Jestem zajęty.

– To dotyczy tej sprawy. Dyżurny wiedział, gdzie jesteśmy i czym się zajmujemy, więc kiedy dziesięć minut temu ktoś do nas zadzwonił, żeby złożyć zawiadomienie, uznał, że powinien przekazać je nam.

Grens odsunął się na bok, żeby nie stać na drodze dwóm technikom, którzy chcieli sfotografować zwłoki pod różnym kątem. Ponieważ jednak

nadal zasłaniał im widok, przeszedł dalej, dając znak Sundkvistowi, żeby też to zrobił.

– O czym ty mówisz? Niech ktoś inny przyjmie zgłoszenie. Już mówiłem, że jestem zajęty.

– Mówię o tym, że oficer dyżurny odebrał zgłoszenie od kogoś, kto dzwonił z mieszkania na Odengatan. Kobieta w średnim wieku usłyszała dziś rano dwa głośne dźwięki w mieszkaniu na wyższym piętrze. Powiedziała, że brzmiały jak strzały z broni palnej. Przed chwilą... to znaczy dwie godziny po usłyszeniu strzałów... obudziła się i poszła na górę, żeby zadzwonić do tego mieszkania. Okazało się, że drzwi są otwarte. Weszła więc do środka i w przedpokoju znalazła mężczyznę. Leżał na plecach i miał w głowie dwie duże dziury: jedną w prawej części czoła, drugą tuż pod lewą skronią.

DEJAN PEJOVIĆ, KTÓRY MIAŁ zmierzwiłone włosy, rzadkie wąsy i plamy na twarzy przypominające parę oczu i dodatkowe usta, przestał być postacią anonimową. Urodził się w Podgoricy w czasach, gdy miasto, które obecnie leży na terenie Czarnogóry, wchodziło w skład byłej Jugosławii. W swoim ojczystym kraju był skazany dwa razy: za zabójstwo i pobicie. Wyrok odsiedział w zakładzie karnym w Požarevacu – największym i najcięższym więzieniu w Serbii. Przed dwudziestu jeden laty wyemigrował do Szwecji i osiem lat później otrzymał obywatelstwo. Po wpisaniu jego numeru osobowego do policyjnej bazy w zakładce „Rejestr Ogólny Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego” i kliknięciu na ikonę z nazwiskami groźnych przestępców, którzy posłużyli się bronią palną, na ekranie wyświetlało się pięćdziesiąt dziewięć wyników. Wpisanie tego samego numeru osobowego do rejestru „Podejrzani”, zawierającego informacje ze śledztw związanych ze zorganizowaną przestępczością, dawało dwadzieścia cztery wyniki. Za to w rejestrze „Skazani” Pejović miał tylko jeden wpis. Wynikało z niego, że odsiedział kilka miesięcy za pobicie policjanta i napłucie mu na but. Jego nazwisko pojawiało się też w sprawach o zabójstwo, nieumyślne spowodowanie śmierci, próbę zabójstwa i ciężkie pobicie. Za każdym razem byli w nie zamieszani cieszący się złą sławą handlarze bronią i za każdym razem z braku dowodów i świadków, którzy odmawiali składania zeznań, Pejovićowi wszystko uchodziło płazem.

Grens przeciągnął się na swojej niewygodnej kanapie, która służyła mu wiernie od wielu lat. Z szafki nocnej na chwiejnych nogach wziął kolejny plik papierów i ułożył go obok tego, który leżał na kanapie. Razem z Hermansson, Sundkvistem i dwójką praktykantów prześwietlili życiorys i przebieg przestępczej kariery ofiary. Niestety, wciąż nie wiedzieli, kto był

sprawcą zabójstwa. Brakowało świadków, odcisków palców czy śladów butów. Nie stwierdzono też śladów walki; na skórze i na odzieży denata nie znaleziono krwi ani włókien, a pod paznokciami skrawków skóry napastnika.

Dwa trupy.

Zabójca chciał pokazać całemu światu, że to podwójna egzekucja. Obie zbrodnie zostały popełnione w krótkim odstępie czasu w miejscach odległych od siebie o dwa kilometry. Pierwsza na klatce schodowej budynku przy Brännkyrkagatan 37. Druga – Grens sięgnął po kolejny plik kartek – w dwupoziomowym mieszkaniu na Odengatan 88. Ich ekipę wezwano tam po telefonicznym zgłoszeniu. Ofiarą był niejaki Branko Stojanović. Mężczyzna leżał w przedpokoju na parkiecie w jodełkę. Sprawca użył tej samej amunicji co przed siedemnastu laty i przed godziną: pocisków wykonanych ze stopu ołowiu i tytanu. Otwory wlotowe niczym nie różniły się od otworów w głowach czterech poprzednich ofiar i tej ostatniej.

Obaj mężczyźni byli do siebie podobni także pod innymi względami.

Stojanović był pięć miesięcy starszy od Pejovicia. Dorastał w miejscowości Danilovgrad, położonej dwadzieścia kilometrów od Podgoricy, w której urodził się Pejović. Obaj odsiadawali swój pierwszy wyrok w tym samym więzieniu i w tym samym czasie. W tym samym tygodniu zgłosili się jako uchodźcy w urzędzie imigracyjnym w Szwecji i w tym samym miesiącu otrzymali decyzję o przyznaniu im szwedzkiego obywatelstwa. Nazwisko Stojanovicia figurowało obok nazwiska Pejovicia wśród wielu innych nazwisk osób przesłuchiwanym w śledztwie dotyczącym ich brutalnej przestępczej współpracy.

Pasowali do siebie jak dwie rękawiczki z jednej pary, ale z pewnością nigdy nie przypuszczali, że któregoś dnia ich zwłoki trafią do prosektorium,

gdzie zostaną poddane sekcji.

Grens wstał z kanapy i odłożył papiery na stół. Przez pewien czas masował kark wolnymi ruchami dłoni, a potem wyszedł na cichy ciemny korytarz. Cały wydział dochodzeniowo-śledczy dopasował się do późnej pory dnia – cały, z wyjątkiem automatu do kawy. Maszyna buczała nierówno jak serce pacjenta po operacji, które próbuje się zgrać ze swoim rozrusznikiem. Przed opuszczeniem komendy jeszcze raz dolał sobie kawy. Postanowił wrócić do domu, ale nie dlatego, że miał ochotę zasnąć we własnym łóżku... na komendzie spało mu się znacznie lepiej. Jednak od czasu do czasu nawet najbardziej zapracowany komisarz policji musi się przebrać, podlać kwiaty i przejrzeć pocztę.

Był ciepły bezwietrzny wieczór. Świetna okazja na spacer. Z komendy do mieszkania na Sveavägen szedł dwadzieścia pięć minut. Kiedyś razem z Anni pokonywali ten odcinek w niecały kwadrans. Ona trzymała go za rękę, a on starał się dopasować do rytmu jej kroków, żeby przez cały czas być blisko niej. Bez względu na porę roku wracali tą samą drogą: Kungsholmsgatan, Scheelegatan. Kiedy przechodził mostem Barnhusbron nad torami kolejowymi, zaczął podśpiewywać. Często to robił. Starsza para, która stała objęta na chodniku, popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem. Jadący z naprzeciwka rowerzysta brzęknął dzwonkiem, słysząc faceta, który nieźle fałszował. Grens zawsze wybierał przeboje z lat sześćdziesiątych, a słowa piosenek wyśpiewywał w taki sposób, jak to robiono w tamtych czasach. Tego wieczoru wybrał utwór pod tytułem *Lucky Lips* i odważył się nawet wykonać kilka tanecznych kroków. Zrobił to podobnie jak Cliff Richard, w każdym razie tak mu się wydawało. Wracał pamięcią do dni, które różniły się od dzisiejszych i składały się na jego policyjne życie. Zostało mu pół roku. Co potem? Skąd będzie czerpał emocje i sens życia, skoro nigdy nie próbował szukać ich gdzie indziej?

Nawet nie wiedział, jak i gdzie ich szukać. Niepokój w jego głowie wirował wraz z refrenem i tańcem. Grens zdążył się nawet spocić. Tuż przed Sabbatsberg skręcił w Observatoriegatan. Dwieście metrów dalej zobaczył ciemne okna kuchni w swoim mieszkaniu.

Zwykle rezygnował z jazdy ciasną windą, bo miała tyle samo lat co budynek. Stara maszyna skrzypiała, zgrzytała, trzeszczała i skarżyła się, wydając przy tym niepokojące dźwięki. Kiedy do niej wchodził i zaciągał kratę, czuł się tak jak podczas wsiadania do samolotu: jakby nagle tracił kontrolę nad tym, co podtrzymywało cały jego wszechświat.

Dziś wjechał na czwarte piętro, wysiadł z windy i wyjął pęk kluczy, żeby otworzyć drzwi. W tym samym momencie zorientował się, że ktoś próbował włamać się do jego mieszkania.

Stał i analizował to, co zobaczył. Chciał się upewnić, że to nie przywidzenie. Czyżby śledztwo pochłonęło go tak bardzo, że żył tylko nim i miał w głowie jedynie tamto mieszkanie, do którego wtargnęli przestępcy, a mała dziewczynka podskakiwała wśród zwłok rodziców i rodzeństwa?

Niektórzy policjanci stosują przed wyjściem z domu prosty środek zabezpieczający: między futrynami drzwi rozpinają nić fluorescencyjną, która emituje ultrafioletowe światło. Po powrocie z pracy podświetlają ją latarką, żeby sprawdzić, czy podczas ich nieobecności ktoś nie wszedł do mieszkania albo czy nić nie pękła i nie leży na progu poskręcana jak dwa wijące się węże. Niestety, on należał do innego świata i takie techniki były dla niego zbyt nowoczesne. Uważał, że wystarczą proste, stare, sprawdzone metody, ustawiał więc w określonej pozycji zużytą starą klamkę. Za każdym razem, gdy zamykał drzwi i wychodził do pracy, unosił ją lekko, tak by znalazła się w pozycji równoległej do posadzki. Jeśli podczas jego nieobecności ktoś wejdzie do mieszkania, a wychodząc, nie zostawi klamki

w tym samym położeniu, w jakim była wcześniej, od razu to zauważy. Tak jak teraz.

Klamka była lekko przechylona. Wyglądało na to, że została ruszona. Był pewien, że ktoś próbował włamać się do jego mieszkania.

Ze skórzanej kabury przewieszanej przez plecy i pierś wyjął pistolet, który zabrał rano przed wyjazdem na miejsce zbrodni. Uniósł go przed sobą, wyprostował ręce i wszedł do ciemnego przedpokoju. Zrobił dwa kroki, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Panowała cisza. Nie słyszał żadnych ruchów ani ludzkich oddechów.

Ruszył przed siebie ostrożnym wolnym krokiem. Minął sypialnię, łazienkę i pokój, w którym zwykle pracował. Pusto.

Skręcił do kuchni i stwierdził, że nie jest w mieszkaniu sam.

Chwycił pistolet w obie dłonie, przeszedł kilka kroków, zatrzymał się w miejscu, w którym kończyła się ściana, i wykonał szybki zwrot.

– Nie ruszaj się!

Przy stole siedziała ciemna postać, która poruszyła się na dźwięk jego głosu.

– Powtarzam: nie ruszaj się, bo będę strzelał!

Grens stał w progu i mierzył z pistoletu do cienia, który siedział na jego krześle.

– To ja!

– Ręce na stół! Powoli i bez gwałtownych ruchów... chcę je widzieć!

– Do diabła, niech pan opuści broń, to przecież...

W kuchni było ciemno, więc komisarz nie był pewien, czy interpretuje tę sytuację we właściwy sposób. Nagle intruz zaczął wstawać z krzesła. Grensowi wydawało się, że mężczyzna uniósł rękę.

– Siadaj albo strzelam! To ostatnie ostrzeżenie!

W kuchni rozbłysło światło. To włamywacz je włączył.

– Niech się pan uspokoi. To ja, Piet Hoffmann.

Grens wszedł do kuchni.

– Wiem, jak wygląda Hoffmann. Wcale go nie przypominasz.

Komisarz podszedł bliżej stołu. Odległość między lufą pistoletu a nieznajomym wynosiła niecały metr. Obrzucił go czujnym spojrzeniem. Mężczyzna miał ciemne włosy, brązowe oczy, pulchne policzki i lekko skrzywiony nos.

– Bez względu na to, kim jesteś, masz zachować spokój, bo inaczej rozwalę ci łeb. Popełniłeś wielki błąd, włamując się do mieszkania uzbrojonego policjanta.

KUCHNIA WPROST ZACHEĆCAŁA SWOIM wyglądem do wejścia. Ze swoimi białymi szafkami sięgającymi sufitu i kuchenką z lśniącymi gałkami i podwójnym piekarnikiem była wprost imponująca. Wyłożony boazerią wąski korytarz prowadził do niewielkiego pokoju. Grens i intruz czujnie się obserwowali. Komisarz wpatrywał się rozdrażnionym wzrokiem w mężczyznę, który włamał się do jego mieszkania i czekał na niego w kuchni. Facet podający się za Hoffmanna poruszał się bardzo powoli, żeby nie sprowokować Grensa, który mierzył do niego z broni i trzymał palec na spuście.

– Niech mnie pan wysłucha. To naprawdę ja, Piet Hoffmann.

– Nie wyglądasz jak on i masz inny głos. Włamałeś się do mojego mieszkania i naruszyłeś mój mir domowy. To przestępstwo z czwartego rozdziału i szóstego paragrafu Kodeksu karnego.

– Niech pan popatrzy na moje palce...

– Trzymaj ręce tak, żebym przez cały czas je widział! Na stół!

Grens rzadko używał służbowej broni, ale tym razem strzeliłby bez wahania. Jeśli ktoś włamuje się do jego mieszkania, sam jest sobie winien.

– Żeby wszystko wyjaśnić, będę musiał poruszyć rękami.

– Jeśli to zrobisz, strzelę ci w ramię. A jeżeli to nie wystarczy i zaryzykujesz, wykonując kolejny ruch, dostaniesz kulkę w serce.

Mężczyzna powoli oddychał, jakby chciał uspokoić puls i zapanować nad głosem.

– Niech tak będzie... Oparłem dłonie o blat stołu. Nie musi pan strzelać. Jeśli jednak nie mogę pokazać dłoni, spróbuję udowodnić swoją tożsamość w inny sposób. Porozmawiajmy.

– Porozmawiasz sobie w sądzie ze swoim adwokatem.

– Pierwszy raz spotkaliśmy się przy sprawie zakładnika w więzieniu o zaostrowym rygorze. Zrobił pan wtedy to samo co teraz: kazał wycelować broń w moją głowę i strzelić! Trwało to trzy sekundy.

– Bez względu na to, co powiesz, jesteś dla mnie durniem, który włamał się do mojego mieszkania i siedzi przy stole, przy którym rano piję kawę.

Mężczyzna popatrzył na swoje dłonie i wskazał je głową, jakby chciał poprosić komisarza o zgodę na zdjęcie ich z blatu. Ale Grens pokręcił głową.

– Nawet nie próbuj, jeśli ci życie miłe.

– Okej... w takim razie musimy kontynuować naszą rozmowę.

Grens patrzył na mężczyznę, który mówił do niego zmęczonym, lekko zakłopotanym głosem, jakby sprawiało mu to ból.

– Drugi raz spotkaliśmy się w Bogocie. Kawiarnia nazywała się Gaira Café. Uczyłem pana pić napój o nazwie *aguapanela*. To cukier trzciniowy z gorącą wodą. Tym razem nie byliśmy już jak dwa pociągi, które pędzą na siebie z dużą prędkością po tym samym torze. Przestaliśmy ze sobą walczyć. Potrzebowałem pomocy, bo byliśmy po tej samej stronie.

Komisarz uśmiechnął się, ale był to uśmiech pozbawiony ciepła. Grens miał taką minę, jakby w ogóle nie słuchał opowieści nocnego gościa, a jeśli nawet, to i tak uważał ją za brednie.

– Zaraz wezwę patrol, żeby cię stąd zabrali. Do ich przyjazdu siedź, nie ruszaj się i czekaj. Do emerytury zostało mi pół roku i nie potrzebuję trupa w kuchni. – Wsunął lewą rękę do kieszeni marynarki i wyjął z niej telefon. W prawej trzymał pistolet i mierzył z niego w nieznanego, który podawał się za Hoffmanna.

– Niech się pan uspokoi.

– Jestem spokojny – odparł komisarz. – Zachowam spokój, dopóki będziesz się zachowywał rozsądnie. – Odbezpieczył broń, jakby chciał się upewnić, że nieznajomy na pewno zrozumiał jego ostrzeżenie.

– Niech mnie pan w końcu posłucha! Ostatnim razem było odwrotnie! To pan mnie odszukał i zwrócił się do mnie o pomoc. Zmusił mnie pan, żebym został informatorem w gangu zajmującym się przemytem ludzi z Libii...

Podczas gdy mężczyzna przedstawiał swoją wersję zdarzeń, Grens wybrał jeden z zapisanych w telefonie numerów.

– Mariana? Mówi Ewert. Jestem w moim mieszkaniu i mierzę z pistoletu do włamywacza. Wyślij do mnie radiowóz.

Hoffmann słyszał w słuchawce głos kobiety. Albo mówiła tak głośno, albo Grens celowo ustawił dźwięk na takim poziomie, żeby jego nieproszony gość usłyszał, co mówi policjantka.

– Wszystko w porządku?

– U mnie tak. Z włamywaczem też. Wyślij radiowóz na mój adres. Jak najprędzej, żeby nic mu się nie stało.

– Masz na myśli twój adres domowy?

– Tak. – Grens uśmiechnął się do mężczyzny, ale tym razem jego uśmiech nie był już tak obojętny jak przed chwilą. – Za dziesięć minut będziesz siedział w kajdankach w radiowozie. Na procesie z przyjemnością cię obciążę.

– Kiedy po naszym ostatnim spotkaniu wróciłem do domu, w kuchni była plama krwi. Policja nie wpisała jej do swojego końcowego raportu.

– Bądź tak miły i zamknij się.

– W piwnicy mojego domu stoi szafa na broń. Trzymam w niej pistolet wyprodukowany w Radomiu. Ktoś się nim posłużył. Nie ja. Brakowało

w nim jednego pocisku. Tego też nie ma w żadnym raporcie ani w protokole.

Plama krwi na podłodze? Broń w tajnym schowku? Grens nastawił uszu.

– Było jeszcze coś... naleśniki. Moi synowie, Emil i Rasmus, nazywają je „naleśnikami w kratkę”. To pan je przygotował, prawda? Czy ktoś oprócz nas mógłby o tym wiedzieć?

– Naleśniki w kratkę?

– Tak.

Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy. Ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku. Komisarz doszedł do wniosku, że gdzieś to spojrzenie widział.

– Tak je pan nazwał. Naleśniki w kratkę.

– To prawda. Tak było.

Grens zabezpieczył pistolet, opuścił go i przysunął sobie krzesło.

– A więc to ty, Hoffmann?

– We własnej osobie. Piet Koslow Hoffmann.

Mężczyzna uniósł dłonie i zrobił coś, co robił wiele razy w życiu: odkręcił dwie protezy prawej ręki.

– Widzi pan? – spytał, kładąc je na stole. – To medyczny silikon, dopasowany do kształtu dłoni. Protezy trudniej jest zdjąć, niż założyć. Są dopasowane do kikutów metodą próżniową. Czy teraz, bez tych dwóch protez, poznaje mnie pan?

– Po co to przebranie? I co z twoim głosem? Też go zmieniłeś? – Komisarz położył pistolet na stole, jakby chciał pokazać, że od tej chwili powinni sobie wzajemnie ufać.

Hoffmann pociągnął lekko za swoje pulchne policzki i brodę, przesunął dłoń po farbowanych włosach i popchnął w kierunku Grensa protezy, które uderzyły o pistolet, wydając metaliczny dźwięk.

– Pewien gang grozi mi śmiercią. Nie żartuję. Najgorsze jest to, że Zofia, Luiza i chłopcy też są w niebezpieczeństwie.

Grens wziął protezy do ręki. Obejrzał je, odłożył na stół i przesunął w kierunku Hoffmanna.

– I dlatego włamałeś się do mieszkania komisarza policji, z którym nigdy więcej nie miałeś się spotkać?

– Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Zgłoś się na policję. Pomogą ci.

– Żartuje pan?!

– Ta zasada obowiązuje wszystkich. Nikt nie włamuje się do prywatnego mieszkania, tylko dzwoni na policję, a potem razem z funkcjonariuszem wypełnia formularz zgłoszenia.

– Po pierwsze, który z policjantów chciałby pomóc byłemu kapusiowi? Dobrze pan wie, że to tak nie działa. Zaczną mnie nachodzić, śledzić i czekać, aż powinie mi się noga. Po drugie, komenda policji to jedyne miejsce, gdzie nie mogę się zgłosić, ponieważ gang, który mi grozi, ma tam swoją wtykę. Informatorem jest ktoś z waszych ludzi. Dlatego tym razem, panie komisarzu, zamienimy się rolami. To pan musi pomóc mnie. Zostanie pan moim informatorem w policji i będzie pracował dla mnie.

GRENS PRZYNIÓSŁ SZKLANY DZBANEK parującej kawy, nalał gorącego napoju do dwóch kubków i postawił je na stole. W jednym była czarna kawa, w drugim taka sama z odrobiną mleka. Wyjął z szafki paczkę ciastek i położył je na stole między pistoletem a protezami palców.

– Sam je upiekłem. – Uśmiech na jego twarzy był serdeczniejszy niż przed chwilą. – Kawę zaparzył mistrz w swoim fachu. Muszę przyznać, że niewiele osób miało okazję ją pić. Pierwsza była Anni... kiedy jeszcze żyła... drugą prokurator Ågestam, który zjawił się u mnie którejś nocy. Ty jesteś trzeci. Odwiedził mnie też Sven Sundkvist, ale to nie był nasz najlepszy wieczór, więc sobie poszedł. Trójka gości przez trzydzieści lat... niewielu, jak widzisz.

Hoffmann wypił trochę kawy i doszedł do wniosku, że mocniejszej nigdy nie pił. Rozgrzewała wewnątrz i rozjaśniała umysł.

– Chodzi mi o to, żeby wykonał pan klasyczną robotę informatora i rozpracował własnych kolegów z komendy. Łatwo panu pójdzie, bo nikt nie będzie o nic pytał.

– A czemu miałbym się na to zgodzić?

– Ponieważ organizacja, która grozi śmiercią mnie i mojej rodzinie, zwerbowała jednego z policjantów w waszej komendzie, a potem przysłała mojemu synowi takie zabawki.

Hoffmann odsunął stojące obok krzesło i Grens dopiero teraz zobaczył, że leży na nim mała torba. Hoffmann wyjął z niej to, o czym mówił.

– Pierwszą znaleźliśmy w naszej skrzynce na listy, drugą w tornistrze Rasmusa. Cała jego klasa była wtedy na lekcji. – Położył zabawkę obok kubka Grensa. – Widzi pan, co to jest?

– Przecież wiesz, że nie mam dzieci. Nie znam się na zabawkach. Czasem oglądam jakieś reklamy, na ulicy mijam wystawy z zabawkami, ale w ogóle się nimi nie interesuję.

Hoffmann odkręcił od figurki obie ręce, a potem to samo zrobił z nogami, nosem, oczami i ustami, aż przestała przypominać to, czym przed chwilą była.

– Ale na tym się pan zna?

Grens zerwał się z krzesła i cofnął o krok.

– Zwariowałeś?! Przyniosłeś do mojego mieszkania granat?!

– Niech pan siada.

– I do tego z wkręconym zapalnikiem! Grozisz mi?!

– Niech mnie pan wysłucha!

Komisarz nadal wpatrywał się w granat, podczas gdy Hoffmann kontynuował przerwany wątek. Opowiedział o pierwszym granacie znalezionym w skrzynce, który potraktowali jako ostrzeżenie, o kopiach ściśle tajnych dokumentów przesłanych na adres firmy ochroniarskiej, o telefonie komórkowym dostarczonym pocztą kurierską i o planie związanym z wykorzystaniem nikomu nieznaną nową broni przeciwko któremuś z gangów. Wspomniał też, że zmienił wygląd po znalezieniu granatu w tornistrze Rasmusa, i dodał, że najważniejszą dla niego sprawą jest zapewnienie rodzinie bezpieczeństwa i dlatego przeniósł ją do nowego mieszkania.

Grens długo wpatrywał się w granat. Potem podszedł do zlewozmywaka, odkręcił kran, chwilę czekał, aż polecą zimna woda, nalał sobie pół szklanki i duszkiem ją opróżnił.

– W skrzynce na listy? I w tornistrze Rasmusa?

– Tak.

– Przerobione na zabawki?

– Tak.

– Czy Rasmus się nimi bawił?

– Tylko tą pierwszą. Potem mu ją zabrałem, a on się rozpłakał i nawet mnie uderzył.

Komisarz poczuł, jak ogarnia go złość, której rzadko ostatnio doświadczał. Pojawiła się nagle.

– Wiesz, że lubię twoje dzieci... że coś dla mnie znaczą?

– Wiem.

– I dlatego przychodzisz do mnie w środku nocy, opowiadasz o groźbach, pokazujesz granat i informujesz, że Zofia i twoje dzieci ukrywają się w mieszkaniu przerobionym na wojskowy schron? Myślisz, że wszystko rzucę i ruszę ci z pomocą? Traktujesz mnie jako swoją pewną kartę?

– Różnie można pana nazywać, ale nigdy by mi do głowy nie przyszło, żeby użyć określenia „pewna karta”. Przyszedłem tutaj, bo narażałem dla was życie, a teraz jakiś skorumpowany glina chce skazać moją rodzinę na śmierć. Ci, którzy mi grożą, nie mogliby tego zrobić bez pomocy kogoś z komendy. Myślę, że panu też się to nie podoba i dlatego zgodzi się pan nam pomóc i zacznie rozpracowywać swoich kolegów. Tym razem to ja będę oficerem prowadzącym.

Grens znowu nalał sobie wody do szklanki. Tym razem czekał, aż z kranu popłynie lodowata struga.

Emil, Rasmus i Luiza.

Półroczna dziewczynka i dwaj mali chłopcy. Obaj byli mu kiedyś bardzo bliscy. Przełamał się i nawiązał z nimi kontakt. Być może były to jedyne dzieci, z którymi tak szczerze i bezpośrednio rozmawiał.

– *Czy od tej pory będzie pan naszym dziadkiem?*

– Rzeczywiście, nie jestem waszym dziadkiem. W ogóle nie mam wnuków.

Nawet nie zauważył, jak to się stało. Wszystko rozegrało się tak szybko. Przygotowywał im naleśniki, gdy nagle stanęli obok i popatrzyli na niego ufnym wzrokiem.

Zaufali mu. Uznali, że jest jednym z tych dorosłych, którzy myślą i postępują słusznie. Tamtego dnia, gdy po raz pierwszy w życiu poproszono go, aby zaopiekował się dziećmi, zauważył, że dla Emila i Rasmusa jego obecność w ich domu była czymś naturalnym. Od razu poczuł się rażniej.

– Na pewno nie jestem waszym dziadkiem. W ogóle nie jesteście spokrewnieni.

– Ale mógłby pan nim być, gdyby pan chciał.

Rozmowa, do której doszło w domu Hoffmanna, zamieniła się w przyjaźń. Nadal się zdarza, że Emil bez wiedzy rodziców jedzie po szkole do centrum miasta, wchodzi do budynku komendy i prosi dyżurnego o spotkanie z komisarzem Grensem, który często nocuje w swoim pokoju na kanapie. Poza tym to Grens jako pierwszy usłyszał od Zofii, że jest w ciąży. Wtedy nawet Hoffmann jeszcze o tym nie wiedział.

Przez chwilę zastanawiał się, czy za pół roku, gdy przejdzie na emeryturę, nie powinien się stać takim „dziadkiem na niby”.

Chyba jednak nie. Wprawdzie tamten miły epizod sprawił mu przyjemność, ale to żaden pomysł na dalsze życie.

Dolał sobie wody i dwoma haustami opróżnił szklanę. Ogarnęła go złość. Jedna ze zorganizowanych grup przestępczych, które istnieją tylko po to, żeby łamać prawo, grozi śmiercią dzieciom – tym dzieciom. Na samą myśl o tym, czym może się to skończyć, poczuł dławienie w gardle i klucie w piersi.

– Będziemy potrzebować dużo zimnej wody i więcej ciepłej kawy – powiedział.

Wstał od stołu, nalał wody do dzbanka i włączył ekspres do kawy. W tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. O tej porze? Po północy? Kto to może być? Pewnie patrol policji. Sam ich wezwał i zapomniał odwołać. Po chwili znowu rozległ się dzwonek. Tym razem dźwięk był bardziej natarczywy.

Grens poszedł do przedpokoju i uchylił drzwi, zostawiając wąską szparę.

– Pan komisarz Grens?

Dwaj młodzi mundurowi. Blondyn i ciemnowłosey.

– Słucham?

– Wezwał pan patrol, bo podobno doszło do włamania. Komisarz Hermansson powiedziała, żebyśmy tu jak najszybciej przyjechali.

Komisarz otworzył drzwi na całą szerokość.

– Zaszło nieporozumienie – powiedział.

– Nieporozumienie? – zdziwił się ciemnowłosey policjant, który był trochę wyższy od blondyna. – Komisarz Hermansson twierdziła, że musiał pan użyć broni i w czasie zgłoszenia mierzył pan do włamywacza.

– Źle się zrozumieliśmy.

Policjanci patrzyli uważnie na Grensa. Znali Marianę Hermansson i wiedzieli, że w jej przypadku nie może być mowy o nieporozumieniu.

– Chcielibyśmy wejść do środka. Upewnimy się, czy wszystko jest w porządku.

W pierwszym odruchu Grens chciał ich odesłać do samochodu i kazać im odjechać, ale uznał, że to zły pomysł. Obaj wykonywali swoją pracę. Zgodnie z instrukcją powinni wejść w takiej sytuacji do mieszkania

i sprawdzić, czy nie przebywa w nim jakiś przestępca. Włamywacz mógł przecież stać za Grensem i mierzyć do niego z pistoletu, aby zmusić go do pozbycia się policjantów. W takich sytuacjach nie ma znaczenia, kto jest wyższy rangą.

– Myślałem, że do mojego mieszkania włamał się złodziej. Potem się okazało, że to mój dawny znajomy. Siedzi w kuchni i pije ze mną kawę. Może wy też się napijecie?

Odsunął się od drzwi i zaprosił policjantów do środka. Jeden z nich towarzyszył mu do kuchni, drugi poszedł rozejrzeć się po mieszkaniu.

– To jest właśnie mój znajomy... wziąłem go za złodzieja.

Mundurowy zatrzymał się w progu, skąd widział całą kuchnię. Przy stole siedział zmęczony mężczyzna z pulchnymi policzkami i siwym wąsem. Na stole stały puste kubki po wypitej kawie, a na szafce ekspres, który wypluwał z siebie nową porcję czarnego napoju. Na szczęście Hoffmann zdążył schować granat i protezy palców. Dłonie trzymał pod stołem.

– Dobry wieczór. Nazywam się Haraldsson. To ja nastraszyłem mojego przyjaciela Ewerta.

– Haraldsson?

– Tak. Peter Haraldsson.

Policjant zawahał się, jakby chciał zadać więcej pytań.

– Napijecie się kawy? – spytał Grens, wskazując na ekspres. – Świeżo parzona.

– Dziękuję, ale muszę odmówić. Obejrzymy mieszkanie i jeśli uznamy, że wszystko jest w porządku, odjedziemy.

Dwie minuty później zjawił się drugi policjant i powiedział, że nie zauważył nic podejrzanego. Grens odprowadził ich do drzwi.

– Przepraszam was, chłopcy, za to zamieszanie. Świetnie się spisaliście. Obiecuję, że powiadomię o tym waszego szefa.

Świeżo zaparzona kawa była równie mocna jak ta, którą raczyli się wcześniej. Hoffmann wypił łyk i czekał, aż gorący napój spłynie mu do żołądka. Jego myśli znowu stały się jasne i uporządkowane.

– Znalazłem to w mojej firmowej poczcie. Od tego wszystko się zaczęło.

Hoffmann zabrał ze sobą nie tylko granat przypominający zabawkę, ale także gruby plik papierów. Wyjął je z torby i rozłożył na stole.

– Wszystko jest tutaj.

Na wierzchu leżała koperta z napisem:

Dla Pieta Kosłowa Hoffmanna

– Ten sam krój czcionki jest w drugim liście. Nadawcy brak. Zawartość koperty od razu pan pozna. Są w niej kopie raportów, które zostały sporządzone w jednym egzemplarzu i powinny leżeć w tajnym sejfie. Zawierają informacje o moich spotkaniach z Wilsonem. Z jednej strony informator, który zbierał dane na temat zorganizowanej przestępczości, z drugiej oficer prowadzący zatrudniony w policji miejskiej w Sztokholmie, który je od niego odbierał i przetwarzał dla swoich potrzeb.

Grens zaczął przeglądać kartki.

Zajrzał między innymi do białej koperty, która do niedawna była zalakowana. Jej zawartość też została skopiowana. Znalazł w niej kartkę z pseudonimem Paula, którym posługiwał się Hoffmann, oraz jego prawdziwe imię i nazwisko.

Komisarz uniósł głowę i spojrział na człowieka, który znowu musiał się kamuflować i użył do tego pomysłowej charakteryzacji. Patrzył na niego tak długo, aż w końcu zrozumiał.

Sytuacja naprawdę była groźna i poważna. Ktoś zdobył dostęp do jedynej rzeczy chroniącej byłego informatora policji: jego anonimowości. Dane trafiły w niewłaściwe ręce.

Jeśli przestępcy, zwłaszcza ci ze zorganizowanych grup mafijnych, które Hoffmann kiedyś rozpracowywał, dowiedzą się, kim naprawdę był, jeśli stwierdzą, że ich oszukał i świadomie złamał główną zasadę obowiązującą w mafijnym świecie, która brzmi „Nigdy nie mów nikomu postronnemu o sprawach naszej organizacji”, wydadzą wyrok śmierci na niego i całą jego rodzinę: Zofię, Emila, Rasmusa i Luizę.

– Rozumiem, w jakiej sytuacji się znalazłeś, ale wciąż nie wiem, czego ci ludzie od ciebie chcą. Spodziewają się, że wykonasz dla nich zadanie, które ci zlecili, podczas gdy ty postanowiłeś się zakamufłować, a rodzinę umieścić w bezpiecznym miejscu?

– Niech pan posłucha.

Hoffmann wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał jedną z aplikacji i podsunął aparat Grensowi, żeby ten mógł wysłuchać nagrania.

– *...chcemy, żebyś wywołał małą wojnę. [...] Użyjesz broni FN BRG-piętnaście.*

– Całą rozmowę nagrałem na telefon. Głos jest zniekształcony i może należeć do każdego. W miejscu, gdzie słyhać kliknięcie, znajdowały się słowa, które usunąłem, ponieważ uznałem je za nieistotne.

Grens zaczął się wsłuchiwać w zniekształcony przy pomocy elektronicznego urządzenia głos.

– *Możesz wybrać dowolną organizację przestępczą, która twoim zdaniem nada się do tego najlepiej. [...] Sam dokonaj wyboru, a potem ich zniszcz. Kiedy będzie po wszystkim, rozpowszechnisz swoimi kanałami informację o tym, jaką bronią zostali zaatakowani i gdzie można ją kupić.*

– Nadaża pan? Mam wykreować popyt na nowy rodzaj broni... sprawić, że inne gangi też będą chciały ją nabyć. Kupią tę broń ze strachu, że jeśli dojdzie do kolejnej wojny między gangami, a oni nie będą mieć tych karabinów, zostaną wyeliminowani. Wybrali akurat mnie, bo gdyby coś poszło nie tak, nikt mnie z nimi nie powiąże. Jestem pewien, że to organizacja, która zajmuje się handlem bronią na skalę międzynarodową, ale do tej pory nie działała na szwedzkim rynku. Najpierw sprzedadzą niewielką liczbę egzemplarzy nowego modelu karabinu maszynowego, który oficjalnie nie istnieje, a potem zaoferują go gangom i przejmą resztę szwedzkiego rynku.

– Chcesz powiedzieć, że ta broń istnieje, chociaż oficjalnie jej nie ma?

– Jeden karabin leży w bagażniku mojego samochodu zaparkowanego przecznicę dalej.

Grens wyjął na chybił trafił kilka kartek spośród tych, które leżały na stole.

– Mówisz o międzynarodowych handlarzach bronią, którzy wiedzą, kim jesteś, co robiłeś, jakie masz kwalifikacje i do czego jesteś zdolny, a na dodatek mają swojego człowieka w policji?

– Tak to wygląda.

Komisarz wstał z krzesła. Przeszła mu ochota i na kawę, i na wodę. Ogarnął go niepokój, jak zawsze, gdy musiał się nad czymś zastanowić.

Skorumpowany policjant włamał się do strzeżonego sejfu w wydziale dochodzeniowym i skradł dokumenty z informacjami o Hoffmannie i jego pracy dla policji. Ktoś wykradł też ze strzeżonego archiwum w podziemiach komendy dokumenty związane z dalszymi losami Zany Lilaj.

Dwaj skorumpowani policjanci dopuścili się obu tych czynów jednocześnie. A może to jedna i ta sama osoba?

Poszedł do przedpokoju i zaczął krążyć w tę i w tamę. Długo tak chodził, ale w niczym mu to nie pomogło. Przeszedł więc do sypialni, potem do gabinetu i biblioteki, ale to też nic nie dało. W końcu wyszedł na balkon i dopiero tam się uspokoił. Stał przy balustradzie i patrzył na dachy domów.

Dejan Pejović. Branko Stojanović.

Obaj zginęli w odstępie godziny w dwóch miejscach oddalonych od siebie o dwa kilometry. Kiedy ich znaleziono, leżeli na plecach. Na obu dokonano egzekucji w identyczny sposób. Sprawca wpakował im kule w głowę i użył tej samej amunicji. Obaj mieli kontakt z handlarzami bronią. Oba zabójstwa na pewno są ze sobą powiązane.

Czy łączyło ich coś ze sprawą Hoffmanna i groźbami kierowanymi przeciwko jego rodzinie? Z przestępcami, którzy chcieli go zmusić do pracy na rzecz gangu?

Wilson, który kiedyś był oficerem prowadzącym Hoffmanna, zastanawiał się, czy nie było to dziełem przypadku. Od razu jednak wycofał się z tego przypuszczenia:

Czasem tak bywa, ale ja jestem policjantem i nigdy nie wierzyłem i nie uwierzę w takie przypadki. A ty, Ewert?

Stał na balkonie i oddychał ciepłym powietrzem. W pewnej chwili przechylił się przez niską poręcz i poczuł coś dziwnego. Mógłby skoczyć w dół, na asfalt. Przenieść się do wieczności.

On też nie wierzy w przypadki. Zwłaszcza od rana, gdy wyszedł z klatki schodowej budynku przy Brännkyrkagatan 37 i pojechał na Odengatan 88, żeby stwierdzić podobieństwo między dwoma zabójstwami, a tym samym powiązać te dwie sprawy w jedną. W przypadek nie wierzy także teraz. Obie zbrodnie próbuje powiązać z handlarzami bronią, którzy chcą zmusić

Hoffmanna, żeby pomógł im wejść na szwedzki rynek broni, aby z czasem mogli go całkowicie przejąć.

Grens przymknął oczy, kilka razy głęboko odetchnął i wrócił do Hoffmanna, który nadal siedział na jego miejscu przy kuchennym stole. Wyglądało na to, że uznał je za swoje.

– Tak – rzucił komisarz.

– Co tak?

– Zgadzam się zostać twoim informatorem, żeby ustalić, kto cię sprzedał, kto grozi twoim dzieciom, które tak bardzo lubię, i kto chce przejąć szwedzki rynek broni, przez którą każdego dnia giną ludzie. Zrobię to pod jednym warunkiem.

Hoffmann rozłożył ręce.

– Co?!

– Nie przesłyszałeś się.

– A mnie się wydawało, że uśmiech znowu zagości na mojej twarzy. Co to za warunek?

Grens otworzył drugą paczkę ciastek. Były tak suche i kruche, że się nimi zapchał i musiał je popić kolejną porcją kawy.

– Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch powiązanych ze sobą zabójstw, bo jestem pewien, że mają coś wspólnego z konkurowaniem o to, kto zarobi na wojnie między młodocianymi gangami. Wydaje mi się, że obie sprawy są powiązane z tym, o czym mi przed chwilą mówiłeś. Zrobimy więc tak: ja zostanę twoim informatorem w sprawie korupcji w policji, a ty będziesz rozpracowywał dla mnie działalność handlarzy bronią.

SZTOKHOLM LETNIĄ NOCĄ BYŁ roześmiany, głośny i pełen życia. Przynajmniej zza okien samochodu. Jeśli jednak ktoś, tak jak Grens, jechał przez centrum i wcale w tym życiu nie tylko nie uczestniczył, ale też nawet nie miał na to ochoty, wszystko, co działo się na ulicach, było tylko ruchem obcych postaci pozbawionych twarzy i zmierzających w różnych kierunkach. Nic dla niego nie znaczyły i nawet na moment nie zaprzętały jego myśli.

Odcinek między parkingiem przed jego domem przy Sveavägen a wejściem na komendę policji od strony Kungsholmsgatan pokonał w pięć i pół minuty. Jechał z niedozwoloną prędkością i nie zawsze zatrzymywał się przed przejściami dla pieszych, nawet gdy ktoś przez nie przechodził. Podczas jazdy zadzwonił do Hermansson. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Śpisz?

– Nie. – Głos miała słaby, jakby zagubiony.

– Obudziłaś się?

– Teraz już tak.

Grens przywitał się z ochroniarzem, który skinął mu głową i wpuścił go do budynku bez sprawdzania legitymacji służbowej.

– To dobrze. Potrzebuję akt śledztwa w sprawie śmierci Pejovicia i Stojanovicia.

– Teraz? W środku nocy?

– Jestem na komendzie, jadę windą na piętro.

Usłyszał, że Hermansson wstaje z łóżka. Jej głos dopiero teraz nabrał większej mocy.

– Co ty wyrabiasz, Ewert?

– To samo, czym zajmuję się od lat. Prowadzę śledztwo w sprawie podwójnego zabójstwa.

– Nie to miałam na myśli. Zastanawiam się, co się z tobą dzieje. Od czasu, jak wróciłeś z mieszkania, w którym kilkanaście lat temu zamordowano całą rodzinę, wzbudzasz mój niepokój. Zmieniłeś się, jakby nagle zaczęło ci na czymś zależeć. Po powrocie byłeś wstrząśnięty bardziej niż zwykle, a do tego jakby wycofany. Poszłam z tym nawet do Wilsona, bo zaczęłam się o ciebie niepokoić. A teraz kolejna dziwna sprawa: budzisz mnie w środku nocy, twierdzisz, że nakryłeś włamywacza i mierzysz do niego z broni, po czym każesz mi wysłać patrol, żebyś nie musiał odstrzelić mu głowy. Pół godziny później budzą mnie chłopcy z patrolu i twierdzą, że zaszło nieporozumienie, bo to nie był włamywacz, tylko twój dawny znajomy. Teraz budzisz mnie trzeci raz, chociaż sprawa może poczekać do rannej odprawy. Pytam cię więc ponownie: Co się z tobą dzieje?

Kiedy winda wjechała na piętro, drzwi nie chciały się otworzyć. To samo zdarzyło się w zeszłym tygodniu. W końcu Grensowi udało się wyjść na ciemny korytarz, który rozświetlały lampki automatu do kawy.

– Hermansson?

– Tak?

– Potrzebne mi są akta śledztwa w sprawie śmierci Pejovicia i Stojanovicia. Gdzie je znajdę?

Zawahala się.

– Słyszałaś moje pytanie?

– Kim był twój nocny gość?

– Nie twoja sprawa.

– Kto to był?

– Stary znajomy. Już ci mówiłem.

– Którego przez pomyłkę wziąłeś za włamywacza? Daj spokój!

– Innej wersji ode mnie nie usłyszysz.

Hermansson znowu się zawahała, jakby nie mogła się zdecydować, co zrobić: domagać się dalszych wyjaśnień, czy uznać, że jest zbyt zmęczona i lepiej będzie wrócić do łóżka, niż pokłócić się z szefem, który i tak nie odpowie na jej pytanie.

– Część akt leży w rogu pokoju, przy oknie. Plastikowa teczka opisana literami „P” i „S”.

Biuro Hermansson znajdowało się za automatem do kawy, czwarte drzwi za gabinetem Grensa. Na krześle z eleganckim przezroczystym siedzeniem i oparciem, które na pewno kupiła za własne pieniądze – bo przecież wyposażenie w państwowych urzędach tak nie wygląda – leżała plastikowa teczka z czarno-białym zdjęciem na wierzchu. Wykonano je w czasie sekcji zwłok – przedstawiało głowę Pejovicia z dużą dziurą w skroni.

– Znalazłem. Gdzie reszta?

– Drugą teczkę miał Sven. Jeśli nie wziął jej na noc do domu, znajdziesz ją na jego biurku, za telefonem.

Pokój Svena Sundkvista znajdował się obok gabinetu Grensa. W opisanym przez Hermansson miejscu leżała teczka z napisem: *Cyngiel? Handlarz bronią?* Komisarz rozpoznał pochyły styl pisma Sundkvista.

– Mam. Coś jeszcze?

– Tak. Idź do pokoju aspirantów. Poznałeś ich dziś rano, na pierwszym miejscu zbrodni. Kazałam im prześwietlić przeszłość ofiary. Jeśli są dobrzy, przeszukają nasze rejestry i strony internetowe lepiej niż ja, ty i Sven.

– Nie wiedziałem, że mają własny pokój.

– Nie mieli, ale załatwiłam im pomieszczenie, które przedtem wykorzystywaliśmy jako archiwum. Jest za pokojem z kserokopiarką. Po tym, jak po centralizacji wszystkie zasoby trafiły do piwnicy, stało puste.

Usunęliśmy stamtąd resztę rzeczy, a dział administracji przysłał nam dwa biurka. Myślę, że jest tam teraz całkiem przytulnie. Mam tylko jedną prośbę: nie zgłaszaj tego w związkach zawodowych, bo w pokoju... jeśli w ogóle można go tak nazwać... nie ma ani okien, ani klimatyzacji.

Grens wszedł do pokoju i rozejrzał się. Pomieszczenie przypominało mu dużą garderobę. Mimo to udało się wstawić do niego dwa małe biurka, na których leżały nieopisane plastikowe teczki z dokumentami. Przypomniawszy sobie dwójkę młodych funkcjonariuszy, którzy zaczęli pracę w policji. Fakt, że zgodzili się siedzieć w ciasnym pomieszczeniu bez okien i klimatyzacji, powinni potraktować jako symbol długiej drogi, która ich jeszcze czekała. Tak to już jest: jedni w szeregi policji wstępują, inni je opuszczają. Ciekawe, czy któreś z nich zajmie kiedyś jego pokój?

Kiedy wracał do domu, na dworze było jeszcze ciemno. Nie martwił się, co przyniesie nowy dzień. Po drodze spotkał kilka osób. Głośno śpiewały, coś wykrzykiwały i wymachiwały rękami. Pewnie były w jakimś lokalu i teraz szły do następnej knajpy.

Hoffmann siedział w bibliotece z książką w ręce.

– Nawet nie wiedziałem, że takie mieszkania istnieją – powiedział. – Kilkaset metrów kwadratowych! Chodziłem po nim i zastanawiałem się, czy pan naprawdę tu mieszka? Kogo na to stać? Po co panu tyle przestrzeni? Wystarczyłoby tu miejsca dla całej mojej rodziny, a i tak nie wchodzilibyśmy sobie w drogę.

– Kiedy się tu wprowadziłem, byliśmy parą. Planowaliśmy, że będzie nas więcej. Wstawiliśmy meble i tak dalej... To były inne czasy. Ludzie wyprowadzali się ze Sztokholmu, odwrotnie niż teraz.

– Użył pan liczby mnogiej... Miał pan żonę?

– Anni.

– Powiedział pan, że miało was być więcej... to znaczy, że była w ciąży?

– Tak.

– Rozumiem, że to dawna sprawa?

– Sprzed trzydziestu pięciu lat. Anni miała wypadek i trafiła do domu opieki. Było jej tam lepiej niż tutaj. Potrafiła tam zasypiać.

– To znaczy, że przez trzydzieści lat żył pan w tym mieście sam? Proszę wybaczyć, ale to żalosne. Ma pan mieszkanie, w którym pan nie mieszka, tylko od czasu do czasu bywa.

Hoffmann popatrzył na Grensa, jakby czekał na odpowiedź. Nie chciał być złośliwy, ale na to wyszło. Po minie komisarza domyślił się, że wraca on myślami do dawnych lat i dokonuje szybkiej analizy swojego życia, z którego połowę spędził w miejscu, gdzie nadal czuł się obco.

– Rzadko tu bywam. Lepiej się czuję w moim pokoju na komendzie niż tutaj. Szczerze mówiąc, znacznie lepiej.

– Po tym, co pan powiedział, zaczynam rozumieć, dlaczego pan tu został i mierzy się ze swoją samotnością.

Hoffmann zerknął na komisarza. Czyżby go uraził? A może jego spojrzenie wyrażało wdzięczność za to, że niespodziewany gość nie tylko we właściwy sposób zinterpretował jego obecną sytuację i stan umysłowy, ale także miał odwagę wypowiedzieć swoją opinię na ten temat?

– Czasem się nad tym zastanawiam.

– Nad czym?

– Nad przeprowadzką w inne miejsce.

– Ale?

– Problem polega na tym, że nie wiem, jak to zrobić. Nie wiem, jak się takie sprawy załatwia. – Grens wypowiedział te słowa głosem, w którym

kryły się pustka, smutek i samotność. – Po prostu nie wiem, jakie to uczucie, kiedy człowiek coś zostawia.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Trwało to na tyle długo, że Hoffmannowi udało się wniknąć głębiej w życie komisarza, który rzadko tam kogoś zapraszał.

– Chodźmy do kuchni – rzucił Grens. – Łatwiej mi się tam rozmawia o sprawach zawodowych. Zaparzę świeżej kawy, żebyśmy przez następne godziny byli na chodzie.

Kilka minut później na stole pojawiły się dwa kubki parującego mocnego napoju. Hoffmann był pewien, że nie wmusi w siebie kolejnej porcji. Grens położył na stole paczkę kruchych ciasteczek. Żeby się nimi nie zapchać, musieli je czymś popijać. Na stole leżały zdjęcia przedstawiające obie ofiary – Pejovicia i Stojanovicia. Były to starsze fotografie zrobione z ukrycia przez policjantów prowadzących śledztwa w różnych sprawach i nowe ujęcia przedstawiające obu martwych mężczyzn z dziurami w głowach. Komisarz niczego nie komentował i nie wyjaśniał, nie wymienił też żadnych nazwisk, jakby nie chciał popsuć pierwszego wrażenia. Siedział w milczeniu i popijał kawę, czekając na reakcję Hoffmanna.

– Czy dobrze zrozumiałem? – odezwał się w końcu Hoffmann. – Chce pan rozpracować swoje środowisko dla mnie, podczas gdy ja będę rozpracowywał moje środowisko dla pana?

– Bardzo dobrze to ująłeś.

– Czy ludzie z tych zdjęć też są częścią mojego zadania?

– Nie. Jak widzisz, niewiele ich już w życiu czeka. Masz się zająć tymi, którzy ich zabili. Międzynarodową grupą handlarzy bronią. Chcę się dowiedzieć, kto ich zamordował i dlaczego... zanim zginą kolejni ludzie.

Hoffmann wziął do ręki następne zdjęcie. Zrobiono je z ukrycia na placu Sergels w Sztokholmie, specjalnym teleobiektywem. Przedstawiało dwóch mężczyzn, którzy stali przed wejściem na stację metra i o czymś rozmawiali.

– Rozumiem, że tylko raz udało się sfotografować ich razem?

– Tak sędzę. To chyba jedyne zdjęcie zrobione im przez naszych wywiadowców. Rozpoznajesz któregoś z nich?

Hoffmann jeszcze raz przyjrzał się dokładnie obu mężczyznom. Przez lata żył pod presją czasu, dzięki czemu nauczył się „czytać otoczenie”. Teraz nie musiał się spieszyć, więc studiował gruboziarniste zdjęcie spokojnie i uważnie. W końcu wskazał palcem mężczyznę stojącego po lewej stronie. Był trochę wyższy od drugiego, miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i nakrycie głowy przypominające kapelusz.

– Dejo P. Tak go nazywano. Na imię miał Dejan, nazwiska nie pamiętam. Niebezpieczny gnojek, choć bardziej pasowałoby stwierdzenie, że chciał za takiego uchodzić. Kiedyś widziałem, jak wszedł do meliny pełnej ćpunów z włączoną piłą motorową w ręce. Poważnie. Scena jak z filmu klasy C. Ciekawe, co chciał przez to osiągnąć? Zdobyć szacunek? Na mój nigdy nie zasłużył.

Przesunął palec na drugiego mężczyznę, barczystego, z lekko pałakowatymi nogami, ubranego w biały T-shirt, szare spodnie, czerwone obuwie sportowe i płaską bejsbolówkę w stylu lat dwudziestych. Na szyi miał zawieszony gruby złoty łańcuch.

– Ma na imię Branko. Jestem pewien. Nazwisko zaczyna się na „S”. W przeciwieństwie do swojego kumpla, jest naprawdę groźny. Nigdy nie potrzebował piły elektrycznej, bo wszyscy wiedzieli, kim jest i czego można się po nim spodziewać. Jeśli ktoś za dużo gadał, miał z nim problemy.

– Dobrze ich znasz? A właściwie znałeś?

– Jeśli ktoś tak jak ja obracał się w tym środowisku, znał wszystkich i nikogo. Na pewno nie osobiście, wiedzieliśmy tylko, że istniejemy. Czasem widywaliśmy się w knajpach, razem coś kupowaliśmy albo sprzedawaliśmy. Pilnowaliśmy, żeby inni też mogli robić interesy. Działaliśmy w taki sposób, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Tacy ludzie jak Dejo, Branko i ja nikogo nie interesowali. Najważniejsi byli ci, których ochranialiśmy. Za to nam płacono.

Grens wziął z biurka dwa zdjęcia i oparł je o ścianę. Przedstawiały miejsca zbrodni, w których zastrzelono obu mężczyzn.

– Jeśli chodzi o ich imiona i inicjały nazwisk, nie pomyliłeś się. To Dejan Pejović i Branko Stojanović. Obaj nie żyją. Zostali zastrzeleni dziś rano. Jak widzisz, mają w głowach dwa otwory wlotowe.

Hoffmann jeszcze raz pochylił się nad zdjęciami. Przez pewien czas się im przyglądał, a potem wskazał palcem na dwie przestrzelone głowy.

– Ulcinj.

– Słucham?

– To nazwa miasta na wschodzie Czarnogóry, kilkadziesiąt kilometrów od albańskiej granicy, niedaleko Podgoricy i Tirany.

– I co z tego?

– „Egzekucja w stylu Ulcinj”, tak to się nazywa. Dwa strzały w głowę, jeden w prawą część czoła, drugi w lewą skroń.

Napili się mocnej kawy i zjedli ostatnie ciastka. Na każdego przypadły po trzy. Potem Grens zebrał zdjęcia, położył przed swoim nocnym gościem cztery plastikowe teczki i poklepał je ręką.

– Twoje zadanie będzie polegało na ustaleniu, kto i dlaczego zabił tych dwóch. W teczkach znajdziesz wszystko, co udało nam się do tej pory zgromadzić w związku z tymi zabójstwami. Przeczytaj te akta i zapamiętaj

ich treść, bo nie będziemy ich kserować. Teczki są mi potrzebne na rano, kiedy będę jechał na komendę. Nikt nie powinien wiedzieć, że wyniosłem je na zewnątrz.

Hoffmann poklepał teczki takim samym gestem, jak przed chwilą zrobił to komisarz, tyle że w bardziej demonstracyjny sposób. Potem podobnie poklepał się po nowym krzywym nosie i puciołowatych policzkach.

– Jak będzie wyglądać realizacja tej części umowy, która przypadła panu? Mam na myśli to, co obiecał pan zrobić dla mnie.

Grens otworzył szafkę pod zlewozmywakiem i wyjął z niej butelkę jasnej słodowej whisky.

– Jak wiesz, w zasadzie nigdy nie piję alkoholu. Ale nawet ja nie mam już ochoty na kolejny kubek kawy. Napijemy się whisky? – spytał.

I nie czekając na odpowiedź, nalał po trochu alkoholu do dwóch małych szklanek. Opróżnili je i już po chwili poczuli przyjemne ciepło.

– Umowa jest taka: ty ustalisz, kto zabił tych dwóch cyngli, a ja postaram się znaleźć policyjnego informatora pracującego dla organizacji, która nie tylko grozi tobie i twojej rodzinie, ale także zamierza przejąć kontrolę nad rynkiem broni. Obie sprawy są ze sobą powiązane. Zaczniemy od handlarzy bronią.

Hoffmann rzadko pijał mocne alkohole. Nie musiał tego robić, potrafił bez tego mierzyć się z własnymi problemami. Jednak w mieszkaniu Grensa trunek nabrał wyjątkowego smaku. Hoffmann wychylił więc szklankę, poczekał, aż komisarz ponownie ją napełni, i dopiero wtedy skomentował jego słowa.

– Wie pan, że handlowałem prochami i poszedłem za to siedzieć. Narkotyki to jednak zupełnie inna sprawa, w ich przypadku mamy do czynienia z importem masowym. Broni nikt nie dostarcza ciężarówkami. Dostawy odbywają się w formie tak zwanego miniprzemytu. Dwa, trzy

kałasznikowy albo pięć pistoletów za jednym razem. Nie więcej. Szwedzkim rynkiem broni nie rządzą wielcy handlarze, którzy urzędują tu, na miejscu. Podaż wynika z indywidualnego zapotrzebowania. Każda organizacja przestępcza zaopatruje się według własnych potrzeb. Broń kupują za granicą, przemycają ją do kraju własnymi kanałami i nikomu jej nie odsprzedają, bo nie o to chodzi. Rok temu członkowie gangu Råby Soldiers zaczęli wykupywać każdą pojedynczą spluwę, jaka wpadła im w ręce, ponieważ zależało im, żeby broń nie trafiała do konkurencyjnych grup. Na pewien czas sytuacja uległa zmianie, ale potem wszystko wróciło do normy. Gdyby jednak pojawił się nowy dostawca z wagonem wyładowanym ciężką bronią, wszystko zmieniłoby się diametralnie. Policja dowiedziałyby się o tym natychmiast, bo odgłosy strzałów dotarłyby do waszej komendy po dziesięciu minutach. Jeśli więc twierdzicie, że macie kłopoty z powodu jakiejś pojedynczej strzelaniny, to tylko pogratulować.

– Kto ci grozi i kto chce dokonać tak gwałtownych zmian na rynku broni?

– Gdybym wiedział, nie siedziałbym tu teraz. Mam swoje kontakty, zarówno na mieście, jak i poza nim. Ci ludzie wiedzą prawie wszystko, ale o tej konkretnej sprawie nie mają zielonego pojęcia. Wiem tylko tyle, że któryś z pańskich ludzi przeszedł na ich stronę i to on ma klucz do wszystkiego.

Grens sięgnął po leżącą na wierzchu teczkę i wyjął z niej zdjęcie przedstawiające Pejovicia.

– A ci dwaj? A właściwie gang, do którego należeli? Czy grożą ci ludzie z tego gangu? Wiedzą, kim jesteś i czym się dawniej zajmowałeś?

– Nie.

– Jesteś tego pewien, ponieważ...?

– Niczego nie jestem pewien. Jeśli jednak spyta mnie pan, czy mogliby przekupić glinę, który zaryzykuje dla nich całą swoją karierę, odpowiem, że nie. Nie wierzę w to.

– Kto inny może wchodzić w rachubę? Polska mafia, którą kiedyś dla nas rozpracowałeś?

– Ich już nie ma.

– A kolumbijski kartel narkotykowy, który inwigilowałeś na zlecenie amerykańskiej policji?

– Też nie. Ich też już właściwie nie ma. Niedawno sporządziłem dla własnych potrzeb listę moich wrogów i dokładnie ją przeanalizowałem. Jest ich wielu, ale żaden z nich nie pasuje do tej układanki. Ci, którzy mi grożą, stosują nowe metody działania, rozmawiają ze mną inaczej niż moi dawni wrogowie i w inny sposób nawiązali ze mną kontakt. Jestem pewien, że nigdy wcześniej się z nimi nie zetknąłem.

Obaj wypili resztę alkoholu ze szklanek. I znowu poczuli przyjemne ciepło. Mimo to Grens odstawił butelkę, ponieważ wiedział, że pozytywne z „chemicznego” punktu widzenia uczucia zmieniają się w swoje przeciwieństwo w chwili, gdy ktoś się tego najmniej spodziewa.

– Dochodzi trzecia – powiedział. – Wyjdę na chwilę na balkon. Przeczytaj to, co jest w teczkach. Pogadamy jutro.

Oglądał dachy domów aż do świtu. Złote promienie słońca i ciepłe powietrze sprawiły, że życie wydało mu się piękniejsze. Doszedł do wniosku, że latem mógłby sypiać w wystawionym na balkon łóżku.

Po pewnym czasie Hoffmann wyszedł na balkon i podobnie jak Grens, znalazł się w innej rzeczywistości. Zrobił taką minę, jakby dokonał tego samego odkrycia co komisarz. Przez moment stanął oko w oko z życiem.

– Ładnie tu.

– Lubię tu czasem posiedzieć. Zazwyczaj wtedy, kiedy nie mogę zasnąć. To znaczy dosyć często.

Hoffmann przechylił się przez poręcz, mniej więcej tak, jak zrobił to Grens. Jakby coś kazało mu zerknąć w dół – tam gdzie wszystko się kończy.

– W papierach znalazłem dwa nowe nazwiska. Z informacji zgromadzonych w rejestrze podejrzanych wynika, że Pejović i Stojanović byli często widywani w towarzystwie dwóch typów z podobną kartoteką. Jeden nazywał się Dusko Zaravic, drugi Ermir Shala. Kiedyś, gdy jeszcze byłem częścią ich świata, widywałem w różnych konstelacjach nie tylko tych dwóch, ale także całą ich czwórkę. Nie twierdę, że mają własny gang albo utworzyli samodzielną grupę. To był raczej łańcuch ludzi, którzy wzajemnie sobie pomagali. Jeśli ktoś zadarł z jednym, zadzierał z pozostałymi. Zaravic i Shala byli równie brutalni jak ich martwi kumple.

W tym momencie prawie pustą o tej porze ulicą przejechało pięć motocykli. Okolicę wypełnił ogłuszający hałas. Jego natężenie rosło, w miarę jak dźwięk unosił się w niebo. Brzmiało to tak, jakby huk silników nie zakłócił nocnej ciszy, tylko z nią współistniał. Sztokholm to duże miasto.

– Jeśli mam ich rozpracować, powinniśmy zacząć od tych dwóch, którzy jeszcze żyją. – Hoffmann odsunął się od poręczy i przez chwilę chodził po zadbanym balkonie.

Wokół znowu zapanowała cisza. Z ulicy dobiegały jedynie pojedyncze słabe głosy.

– Z tym drugim nie miałem prawie nic do czynienia – ciągnął. – Z akt Zaravica wynika, że w Szwecji odsiedział tylko jeden wyrok. Potem wiele razy był przesłuchiwany, przetrzymywany w areszcie i oskarżany o różne przestępstwa, ale nigdy nie został za nic skazany.

– Obu przesłuchiwałem siedemnaście lat temu. Tych dwóch zabitych też. Sprawdzaliśmy ich w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa czteroosobowej rodziny. Właściwie była to egzekucja. Niestety, nie udało mi się ustalić, w jaki sposób ta rodzina była powiązana z bałkańskimi gangami, i musiałem umorzyć śledztwo. W mojej dotychczasowej pracy tylko kilka razy nie udało mi się postawić sprawców w stan oskarżenia. To była jedna z takich spraw.

– W takim razie wie pan doskonale, że takich jak oni nigdy nie można skazać. Mnie udało się posłać jednego z nich za kraty. Mówię o Zaravicu. Facet trafił tam za pobicie, napad i posiadanie dużej ilości narkotyków. Dostał dziewięć i pół roku, ale odsiedział tylko sześć. To ja go wtedy rozpracowałem. Zrobiłem coś, co nie udało się policji. Pierwsze lata spędził w zakładzie o zaostrowym rygorze. Zero przepustek, zero odwiedzin. W tym czasie jego syn zachorował na białaczkę. Zaravic wystąpił o przepustkę, ale jej nie dostał. Jakiś czas później chłopak umarł. Mam dwóch synów, więc rozumiem, co wtedy czuł. Jestem wdzięczny losowi, że nie wie, dzięki komu poszedł siedzieć. Wilson ukrył mój udział w tej sprawie w innym materiale dowodowym.

Grens wstał z krzesła i stanął naprzeciwko Hoffmanna. Żaden z nich nikomu nie ufał, ale teraz musieli zaufać sobie.

– Sprawa wygląda tak – odezwał się Hoffmann. – Albo Zaravic i Shala likwidują swoich kumpli, bo ten, kto zamierza przejąć szwedzki rynek broni, płaci im na tyle dużo, że dawna przyjaźń przestała się dla nich liczyć, albo sami są potencjalnymi ofiarami i wkrótce ich też znajdziemy z dziurami w głowach. W obu przypadkach sytuacja wygląda tak, że nie uda mi się rozpracować organizacji, jeśli będą mi stać na drodze. Musimy coś z nimi zrobić. Jeśli zostaną na wolności, moja swoboda działania będzie

ograniczona i trudno mi będzie wykonać to, co mam dla pana zrobić. Proponuję więc, żeby ich zatrzymać.

– Jak to zatrzymać?

– Wsadzić do aresztu na siedemdziesiąt dwie godziny. Trzy dni. Można to zrobić nawet bez zgody sądu.

– Pod jakim zarzutem mam ich zatrzymać?

– Jakimkolwiek. Niech pan coś wymyśli. To nie będzie pierwszy raz, prawda? Nasze zegarki zaczną odmierzać czas dopiero wtedy, gdy pan do mnie zadzwoni i powie, że obaj są pod kluczem. Dopiero wtedy każdy z nas zabierze się za swoją część planu. – Hoffmann oddychał ciepłym powietrzem i obserwował piękny wschód słońca. – Ma pan trzy dni. Ja też. Trzy dni i ani godziny więcej.

GRENOWI NIGDY NIE UDAŁO się ustalić, w którym z kościołów na Kungsholmen dzwony biły co godzinę tak pięknie. Dźwięk był czysty i jasny, czasem trochę natarczywy, innym razem przechodził w ostrożny szept, zdany na kapryśne poddmuchy wiatru. Tego ranka metaliczne dzwonienie było jeszcze wyraźniejsze.

Komisarz szedł korytarzem wydziału dochodzeniowego, który wciąż był tak samo pusty jak wtedy, gdy zjawił się tam nocną porą. Różnica polegała na tym, że zrobiło się trochę jaśniej. Dotarcie do pokoju zabrało mu nieco czasu, ponieważ po drodze zostawił na biurku Hermansson teczki z aktami, przystanął przy automacie do kawy i poszedł do pokoju Sundkvista, żeby odłożyć resztę dokumentów. Następnie udał się do przypominającej komórkę na szczotki pokoju aspirantów i wrócił do automatu po kawę. Bardzo lubił tę porę dnia, zanim pokoje i korytarz wypełniły się ludzkimi głosami. W budynku panowała cisza, dzięki czemu łatwiej mu było skupić się na pracy.

Kiedy pół godziny wcześniej wychodził z mieszkania, Hoffmann spał w dużym pokoju na eleganckiej kanapie i lekko chrapał z policzkiem wciśniętym w poduszkę, którą kiedyś kupiła Anni. Grens rzadko tam wchodził i równie rzadko siadał na tej kanapie. Nagła wizyta Hoffmanna zaburzyła codzienny rytm jego życia. Na dodatek przybyło mu dodatkowe zadanie. Do tej pory miał tylko odszukać dziewczynkę, którą przed siedemnastu laty zabrał z mieszkania, gdzie popełniono poczwórną zbrodnię. Teraz przybyły mu dwa kolejne zadania: odnaleźć dwóch rozpoznanych przez Hoffmanna gangsterów z Bałkanów, a następnie zamknąć ich w areszcie na siedemdziesiąt dwie godziny, żeby zapewnić Hoffmannowi swobodę działania. Miał też wytypować policjanta, który

przeszedł na stronę gangu, co stanowiło śmiertelne zagrożenie dla rodziny Hoffmanna.

Dopił kawę, podszedł do regału, włączył kasetę z piosenkami Siw i zaczął tańczyć w rytm muzyki z lat sześćdziesiątych. Często to robił: tańczył sam, a zarazem z Anni.

Dziewczynka, którą kiedyś wyniósł z mieszkania, jest już dorosłą kobietą. Musi ją znaleźć, zanim zrobi to ktoś inny.

Zerknął na przesłany mu faksem dokument ze śledztwa sprzed siedemnastu lat: protokół podpisany przez Charlotte M. Andersen, ówczesną kierowniczkę referatu do spraw dzieci i młodzieży w urzędzie gminy w Söderköping. Z nią musi się skontaktować najpierw, bo to ona nadała dziewczynce nową tożsamość i umieściła ją w rodzinie zastępczej. Powinna wiedzieć, dokąd prowadzi trop, który kiedyś zgubił. Osieroconej dziewczynce wyjaśnił, że będzie musiała opuścić mieszkanie, które wcześniej dawało jej poczucie bezpieczeństwa, a potem oznajmił, że będzie musiała się rozstać z jedyną dorosłą osobą, której ufała: policjantem Ewertem Grensem.

Zerknął na budzik stojący na chwiejnym stoliku przy kanapie. Kwadrans po piątej. Za wcześnie, żeby zadzwonić. Odczekał pięć minut i wybrał numer, który otrzymał w informacji telefonicznej. Należał do Charlotte M. Andersen, zamieszkałej przy Gamla Skolgatan w Söderköping. Nikt nie odbierał. Odczekał pięć minut i znowu zadzwonił, ale i tym razem nikt nie podniósł słuchawki. Kolejny raz zadzwonił o piątej trzydzięci. Za pięć szósta kobieta w końcu odebrała.

– Naprawdę? Dzwonił pan osiem razy? Kim pan jest i czego pan chce? – Miała zmęczony głos. Na pewno była zła, że wyrwano ją ze snu o tak wczesnej porze.

– Nazywam się Ewert Grens i jestem komisarzem policji miejskiej w Sztokholmie. Potrzebuję pani pomocy.

– O tej godzinie?

– Jeśli pani woli, zadzwonię za pięć minut. Potem jeszcze raz i jeszcze raz...

Kobieta, która od pewnego czasu była na emeryturze (co wynikało z informacji znajdujących się na stronie internetowej urzędu skarbowego), rozmawiała z nim poirytowanym głosem. W końcu poddała się i odparła zrezygnowanym tonem:

– Słucham... o co chodzi?

– O Zanę Lilaj.

W słuchawce zapadła długa cisza.

– Nadała jej pani nową tożsamość, żeby mogła zacząć nowe życie.

Cisza trwała tak długo, że Grens pomyślał, że kobieta się rozłączyła.

– Halo... jest pani tam?

– Jestem.

– No więc?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mam przed sobą dokumenty, które pani wtedy podpisała. Jestem pewien, że nikt nie podejmuje takich decyzji codziennie, więc na pewno zapamiętała pani tę sprawę i wie, o kim mówię.

W słuchawce znowu zapadła cisza. Grens musiał przyznać, że Andersen zachowuje się profesjonalnie. Jeśli mu powie, że nadała dziewczynce nową tożsamość, da mu do ręki wskazówkę, gdzie powinien zacząć poszukiwania.

– Jak się pan nazywa?

– Ewert Grens.

– I jest pan...?

– Komisarzem policji kryminalnej w Sztokholmie.

– Proszę się rozłączyć i poczekać. Oddzwonię.

Po siedmiu minutach zadzwoniła przez centralę komendy.

– Teraz już wiem, że jest pan policjantem, ale to...

– Jak ona się teraz nazywa?

– ...bez znaczenia. Niczego się pan ode mnie nie dowie. Musi pan...

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

– ...spróbować gdzie indziej.

– Tej kobiecie może grozić niebezpieczeństwo.

W słuchawce znowu zapadła długa cisza. W końcu Andersen się odezwała, ale tym razem jej głos nie był ani zmęczony, ani poirytowany, tylko zimny.

– Może pan sobie dzwonić i twierdzić, co pan tylko chce, ale powiem jasno i krótko: mój obowiązek polegał wtedy nie tylko na tym, żeby pomóc pięcioletniej dziewczynce poprzez nadanie jej nowej tożsamości i umieszczenie w rodzinie zastępczej. Zobowiązałam się też, że pod żadnym pozorem nie zdradzę nikomu, jak się teraz nazywa. Fakt, że przeszłam na emeryturę, niczego nie zmienia, ponieważ tamto zobowiązanie nadal jest aktualne. Życzę panu miłego dnia, panie komisarzu, bo mój na pewno taki będzie.

Po tych słowach Andersen rozłączyła się.

Grens dzwonił do niej jeszcze kilka razy, ale bez powodzenia. W końcu zrozumiał, że jego starania na nic się nie zdadzą. Chwilę później odezwał się jego telefon komórkowy.

– Cieszę się, że zmieniła pani zdanie. Proszę mi podać jej...

– To pan, komisarzu?

To nie był głos Charlotte M. Andersen, chociaż Grens miał nadzieję, że zmieniła zdanie i postanowiła oddzwonić.

– Tak.

– Mówi oficer dyżurny.

– Słucham.

– Regeringsgatan siedemdziesiąt dziewięć. Pół godziny temu otrzymaliśmy zgłoszenie. Myślę, że powinien pan tam pojechać.

– Co to za sprawa?

– Kolejne zabójstwo i ta sama metoda: dwa strzały, w czoło i skroń.

Grens zerwał się z krzesła, ale nie pobiegł do windy, tylko z telefonem przy uchu ruszył w przeciwnym kierunku, do pokoju Hermansson.

– Co jeszcze wiemy?

– Patrol, który zjawił się na miejscu, opisał ofiarę. Mężczyzna, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, dobrze zbudowany, wiek jakiegoś pięćdziesiąt lat. Uwagę patrolu zwróciły dwa fakty: w kaburze nadal tkwił jego pistolet i sprawca nie zabrał portfela, który znajdował się w kieszeni marynarki ofiary. Wygląda na to, że zabójca nie zamierzał ukrywać, że to egzekucja. Niczego nie zabrał.

– Poczekaj chwilę.

Plastikowa teczka z dokumentami leżała tam, gdzie godzinę wcześniej ją odłożył: na fotelu Hermansson. Przewertował kartki i wyjął z niej zdjęcie.

– Czy znamy tożsamość ofiary? Niech zgadnę...

Zdjęcie przedstawiało dwóch mężczyzn. Nocą, gdy rozmawiał o nich z Hoffmannem, obaj jeszcze żyli.

– Nazywa się Dusko Zaravic albo Ermir Shala?

Dwaj przestępcy, którzy według informacji z policyjnego rejestru podejrzanych jeszcze przed dwoma dniami tworzyli nieformalną siatkę z dwójką swoich niedawno zamordowanych kumpli: Pejoviciem i Stojanoviciem. Pracowali dla handlarzy bronią i na ich zlecenie wykonywali brudną robotę.

– Ermir Sh... Skąd pan wiedział?

– Shala?

– Tak. Właśnie to nazwisko widnieje w prawie jazdy, które patrol znalazł w portfelu. Skąd...?

Dyżurny nie dokończył pytania, bo Grens się rozłączył.

Przy życiu został ostatni z czwórki przestępców: Dusko Zaravic.

Ten, którego Hoffmann kiedyś rozpracował i posłał za kraty.

Grens był pewien, że to on w zamian za sowite wynagrodzenie zastrzelił trzech kumpli, żeby wyeliminować konkurentów swoich zleceniodawców zainteresowanych przejęciem rynku broni. Zastanawiał się, czy to Zaravic kontaktował się ze skorumpowanym policjantem, a później straszył Hoffmanna. Gangster miał osobiste powody, żeby doprowadzić zemstę do końca: mógł się dowiedzieć, że to przez Hoffmanna nie odwiedził umierającego syna. Oznaczało to, że dzieci Hoffmanna też są w niebezpieczeństwie.

Sprawa robiła się coraz bardziej zagmatwana i skomplikowana. Grens wiedział, że przez cały czas znajduje się o krok za zabójcą i powinien go wyprzedzić. Bez zwłoki wybrał więc jeden z numerów zapisanych w telefonie.

– Mariana? Obudziłem cię?

– Daj mi chwilę...

Hermansson wstała z łóżka i wyszła z sypialni. Grens zdążył się przyzwyczaić do dźwięków, które towarzyszyły jego nocnym telefonom.

Kiedy dzwoni do Sundkvista, ten zsuwa się po cichu z łóżka i rozmawia z nim szeptem, żeby nie obudzić żony, Anity. Hermansson mieszka sama, więc zachowuje się normalnie i rozmawia z nim głośno, jakby chciała się upewnić, że ją słyszy.

– Już wstałam. Co się dzieje? Znowu budzisz mnie po nocy.

– Weź notes i długopis.

Słyszał, jak Hermansson wyjmuje z szuflady notes i wyrywa z niego kartkę. Oczami wyobraźni obserwował jej ruchy i czekał, aż usłyszy szuranie przysuwanego do stołu krzesła.

– Zapisz adres: Regeringsgatan siedemdziesiąt dziewięć.

– Ponieważ?

– Doszło tam do kolejnego zabójstwa. Ofiara z dwiema dziurami w głowie.

Zapisała jego słowa na kartce. Grens słyszał szelest papieru.

– Kolejny trup? To już trzeci.

– Pojedź tam i wyślij mi na telefon zdjęcie ofiary. Zapisz jeszcze jedno nazwisko: Dusko Zaravic. Dusko przez „k”, nazwisko zaczyna się od „Z”.

Hermansson wszystko zapisała. Sprawa naprawdę była poważna.

– Zrozumiesz, o co chodzi, jak zajrzysz do akt śledztwa – dodał Grens. – Jeszcze dzisiaj musimy znaleźć Zaravica, zatrzymać go i wsadzić do aresztu.

– Za co?

– Użyj wyobraźni. Zamknij go na siedemdziesiąt dwie godziny, bo na tyle pozwala nam prawo bez przedstawienia konkretnych dowodów.

– Dlaczego?

– Bo albo jest zabójcą, którego szukamy, albo kolejną ofiarą. Wolę mieć go pod kluczem, bo może dzięki temu uda nam się ustalić prawdę.

Usłyszał, jak Hermansson otwiera lodówkę.

– A ty, Ewert? Gdzie zamierzasz się ukrywać w czasie, kiedy my będziemy dawać z siebie wszystko?

– Wsiadam w samochód i wyjeżdżam.

Hermansson nalała sobie do szklanki jakiegoś napoju gazowanego.

– Dokąd się wybierasz?

– Do miasta położonego dwieście kilometrów na południe od Sztokholmu. Poszukam w nim odpowiedzi na pytania, na które nikt nie chce mi odpowiedzieć. Wyjeżdżam za godzinę.

JEDNA STRONA PODUSZKI OBSZYTA była małymi plastikowymi perełkami. Wzór przypominał drzewo z rozcapierzonymi gałęziami i odbił mu się na lewym policzku.

Hoffmann obudził się i usiadł na kanapie. Spał krótko, ale za to głęboko, chociaż rzadko zapadał w tak mocny sen. Był zły, że stało się to tutaj – w mieszkaniu komisarza policji, który kiedyś kazał strzelcowi wyborowemu strzelić mu w głowę. Życie, które w chwili, gdy trzymał na rękach Luizę, wydawało mu się proste i nieskomplikowane, w innych okolicznościach stawało się dziwne i zagmatwane.

Pierwszy raz zadzwonił tuż po trzeciej w nocy, kiedy Grens poszedł na balkon, ale od razu się rozłączył, jeszcze zanim usłyszał sygnał w słuchawce. Przed piątą zadzwonił ponownie i zanim się rozłączył, Zofia zdążyła odebrać. Za trzecim razem już się nie wahał: spokojnie odczekał, aż po którymś sygnale usłyszy w słuchawce jej głos.

– Obudziłem cię?

– Nie wiem... być może. W tym mieszkaniu nie umiem się odprężyć. Na szczęście dzieci śpią. Gdzie jesteś?

– Blisko was.

Wyobrażał sobie, że leży przy niej i czuje ciepło jej ciała... Emil przewraca się z boku na bok, Rasmus cicho pochrapuje... Luiza spokojnie oddycha.

– Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim. Na razie musicie tam zostać. Nie wolno wam wychodzić ani otwierać okien. Obiecuj mi to. Uściskaj ode mnie Luizę i chłopców.

Poprawił poduszki, wygładził koc i poszedł w głąb mieszkania. Było tak duże jak niekończący się pałac i trudno mu było wyobrazić sobie w tym pałacu kogoś takiego jak Ewert Grens. Idąc do biblioteki, zwolnił kroku. Poprzedniego wieczoru, gdy siedział w skórzanym fotelu i czekając na komisarza, przeglądał gazetę, jego uwagę zwrócił wiszący na ścianie wełniany kilim wciśnięty między książki stojące na regale, który sięgał od podłogi do sufitu. Na czerwonym tle widniał złoty napis *Wesołych świąt Bożego Narodzenia*. Pod spodem wisiały dwie czarno-białe fotografie w ramach, przedstawiające młodego mężczyznę i młodą kobietę. Oboje byli w policyjnych mundurach. Od razu się domyślił, że w tym ogromnym pałacu kilim i zdjęcia tworzyły centralny punkt, i to nie tylko w tym pokoju, ale też w całym mieszkaniu.

Kolejny raz zadzwonił z kuchni. Siedział przy stole nad kubkiem czarnej kawy i talerzykiem z kromką chrupkiego pieczywa i jajkiem na twardo, które znalazł w lodówce w przegródce na mleko. Poza tym była pusta. Zadzwonił do jednego ze swoich ochroniarzy z Hoffmann Security, który w ciasnej kawalerce w wieżowcu w Bagarmossen śledził na ekranie monitora obrazy przekazywane przez kamery wycelowane w cztery znajdujące się pod ich nadzorem mieszkania.

– To pan, szefie? Wcześniej pan dzisiaj wstał.

– Spałem na kanapie, która nie była aż tak wygodna, na jaką wyglądała. Co słychać?

– Noc i rano spokojne. Obiekt chroniony numer osiem śpi, obiekt dwunasty skończył przed chwilą śniadanie, a dziesiątkę widziałem kilka razy w dużym pokoju. Już nie płacze.

Hoffmann prawie w ogóle nie słuchał tego, co mówi ochroniarz, i było mu z tego powodu trochę wstyd. Prawda była taka, że w tym momencie nie

interesowali go ludzie, których obserwowali jego pracownicy, tylko ktoś inny.

– A ci... nowi?

– Nie podoba mi się, że są tak daleko od nas.

– Masz rację, Andy, ale inaczej się nie da.

Ochroniarz poruszył parę razy pokręteł jednego z monitorów i wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze. Tak to przynajmniej zabrzmiało w słuchawce.

– Widzę kobietę... matkę. Kamera numer siedem jest skierowana na balkon. Kobieta stoi w kuchni, ma na sobie żółty szlafrok... stoi i na coś patrzy. Przed chwilą...

Ochroniarz umilkł.

– Co takiego?

– Źle to wygląda.

– O czym ty mówisz?

– Jestem pewien, że rozmawiała przez telefon, chociaż nie wolno jej tego robić. Na pewno go przemyciła...

– To moja wina. Zapomniałem ją o tym poinformować. Wszystko rozegrało się tak szybko.

– Mam tam pojechać? Porozmawiać z nią? Odebrać jej telefon?

– Sam to zrobię.

– Powinniśmy ustalić, z kim rozmawiała, a ona musi zrozumieć, że to niebezpieczne, bo...

– Porozmawiam z nią. O wszystkim.

Chciało mu się wyć. Zaczął intensywnie myśleć.

Obserwujesz ją i zastanawiasz się, co teraz czuje? Jest bardziej załamana, niż to po sobie pokazuje? Smutniejsza? A kiedy robisz zbliżenie

kamery i widzisz jej oczy, czy są...

To jedyna rzecz, której nie wolno mu zrobić. Nikt nie powinien poznać prawdy, nawet jego pracownicy.

– Dzięki, że zwróciłeś na to uwagę. Jak zwykle zachowałeś czujność. A co z dziećmi?

– Chwilę temu widziałem starszego z chłopców. Kamera numer dwa skierowana na sypialnię. Był niespokojny... tak to oceniłem po jego ruchach. Czasem takie rzeczy widać od razu. Obserwowałem na monitorach wiele dzieci, ale ten przypadek uważam za jeden z najtrudniejszych. Ciekawe, czego oni doświadczyli?

Hoffmann siedział nieruchomo na niewygodnym krześle.

Emil.

Jego synek, który szybko dojrzewa, a od pewnego czasu tak jak on nie może spokojnie zasnąć, który już dawno temu zrozumiał, że świat jest dla tych, którzy chcą żyć na nim bezpiecznie, przed chwilą tak jak jego mama stał w oknie i ze strachem czekał na to, co przyniesie nieznana przyszłość.

Na to, co przerażało.

Hoffmann długo miał przed oczami niespokojną twarz syna. W końcu odsunął na drugą stronę stołu pusty kubek po kawie i porcelanowy talerzyk z okruchami chrupkiego pieczywa, żeby zrobić miejsce na sprzęt. Musiał go sprawdzić, zanim przed południem zrobi to, co planował.

Z lewej strony położył timer, drugi telefon i urządzenie zakłócające. Obok umieścił centymetrowej długości mikrofon, który zamierzał zamontować w takim miejscu, żeby łatwo wyłapywał głosy. Był pewien, że ochroniarze będą ze sobą rozmawiać w swoim ojczystym języku. Mikrofon nazywał „tłumaczem”, ponieważ nie tylko miał mu przekazywać słowa wypowiedane w biurze, które zamierzał dzisiaj odwiedzić, ale także, dzięki zainstalowanej w telefonie aplikacji, tłumaczyć je od razu na szwedzki.

Obok mikrofonu położył pistolet z radomskiej fabryki broni, który nosił w przewieszanej przez ramię kaburze, i ostry nóż z podwójnym ostrzem; ten trzymał w kaburze pod drugą pachą. Przygotował też kuloodporną kamizelkę, zabawkę bez plastikowych rączek i nóżek, która w rzeczywistości była granatem ręcznym, i kilka niezbędnych metalowych przedmiotów. Nie zapomniał też o sprawdzeniu swojej charakterystyki.

Był przekonany, że jego plan zadziała perfekcyjnie. Nie był tylko pewien, czy sztuczne wąsy i pulchne silikonowe policzki wytrzymają. Już wkrótce znowu będzie musiał wypróbować ich skuteczność – tym razem w ciągu dnia.

CIERPLIWOŚĆ NIGDY NIE BYŁA najmocniejszą cechą komisarza Grensa. Już czwarty raz wyszedł na korytarz i stanął przy automacie do kawy, żeby sprawdzić, czy drzwi do pokoju Wilsona nadal są zamknięte. W końcu jego bezpośredni przełożony zjawił się na korytarzu. Grens nalał do drugiego kubka mocnej kawy bez mleka i nie pukając, wszedł do jego pokoju.

– Dzień dobry.

Postawił kubek na biurku Wilsona i usiadł na krześle.

– Dzień dobry, Ewert. Wcześniej zaczynasz. Nocowałeś na komendzie?

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– To znaczy?

– Ująłbym to tak: dwa razy tu byłem i dwa razy wychodziłem.

– Ponieważ?

– Ponieważ na terenie naszej komendy doszło do włamania.

– Słucham?

– Ktoś włamał się do tajnego archiwum w piwnicy, do archiwum w naszym wydziale i do twojego pokoju.

– O czym ty mówisz?

Grens podszedł do sejfów stojącego w rogu gabinetu. Był to wysoki, potężny mebel, szeroki jak on sam, ale o sto kilogramów cięższy.

– O sejfie.

Podczas całej tej rozmowy Wilson nawet nie dotknął kubka z kawą. Dopiero teraz wypił ją do dna, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno się obudził.

– Spytałem jeszcze raz: O czym ty mówisz, Ewert?

Drzwi na korytarz były uchylone, więc słyszeli kroki przechodzących osób. Wydział budził się do życia. Grens zamknął drzwi i znowu stanął przy sejfie.

– Wyjaśnię ci to później, kiedy zacznę odmierzać czas. Na razie powiem tylko tyle, że ktoś otworzył sejf, za który ty, jako szef tego wydziału, oficjalnie odpowiadasz, i zabrał z niego ściśle tajne dokumenty. Jestem tego absolutnie pewien. Zrobił to ktoś, kto jest zatrudniony w tym budynku.

– Pytam po raz trzeci: o czym ty mówisz? To wykluczone, żeby ktoś postronny otworzył sejf. Nie ma śladów włamania. Nudzi ci się? Nie wystarczy ci, że prowadzisz dwa śledztwa w sprawie zabójstw, a wkrótce może ci dojść trzecie? Włamanie? Na komendzie policji?

– Nie pierwsze w tym budynku i nie pierwsze w naszym wydziale.

Obaj pamiętali, jak wiele lat temu Grens postanowił włamać się do pokoju poprzednika Wilsona i wynieść komputer, w którym znajdowały się ważne dla śledztwa informacje. Poszło im znacznie łatwiej, niż się spodziewali. Sforsowali zamknięte na zamek drzwi pokoju, nie zostawiając śladów włamania.

– Masz rację... ale różnica jest taka, że wcześniej nikt się nie włamał do sejfu. W tamtym czasie drzwi wejściowe do pokoju nie były zabezpieczone przez tak wyszukany system alarmowy jak teraz.

– No to go otwórz. Udowodnij, że nie mam racji.

Wilson zerknął na kubek z niedopitą kawą, jakby nadal próbował się obudzić. Uważał, że teorie komisarza są wytworem alternatywnej rzeczywistości, w której tkwił. Często go nie rozumiał, a utrzymywanie wzajemnych kontaktów wymagało z jego strony silnego samozaparcia. Teraz było jeszcze gorzej, bo Grens nigdy wcześniej nie odgrywał takiego teatru jak teraz.

– Odwróć się na chwilę i nie patrz – nakazał Wilson. – Muszę wbić kod.
Grens odwrócił się do niego plecami.

– Czego twoim zdaniem brakuje? – spytał go przełożony.

– Zaczynij od koperty Pauli.

Wilson obrzucił go spojrzeniem, w którym kryła się mieszanka strachu, zdumienia, pogardy i niedowierzania.

– Masz na myśli tę Paulę?

– Po prostu otwórz kopertę.

Wilson przez dziesięć lat był oficerem prowadzącym Hoffmanna. Z czasem stał się dla niego symbolem policyjnego świata i gwarantem bezpieczeństwa. To on nadał mu pseudonim Paula, a w kopercie złożonej w sejfie przechowywał kartkę z jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

I właśnie tę kopertę Grens kazał mu teraz otworzyć. Wilson wziął ją do ręki i okazało się, że jest otwarta. Ktoś złamał pieczęć i zabrał zawartość koperty.

Wilson zbladł, przeszedł go dreszcz. Oparł się ręką o sejf.

– Nic nie rozumiem...

– Widzę.

– Ewert... ja tego...

– Sprawdź, czy są dzienniki w czarnych okładkach.

Wilson zajrzał w głąb metalowej szafy. Przez chwilę wyglądało na to, że straci równowagę. Na szczęście w ostatniej chwili oparł się o bok szafy.

– Które?

– Te od Pauli.

Wilson nie musiał długo szukać, bo od razu stwierdził, że dzienniki z raportami z tajnych spotkań z Paulą też zniknęły. Wrócił do biurka i osunął się na krzesło.

– Jak myślisz, ilu bandytów wysłaliśmy dzięki niemu za kraty? – spytał Grens. – Ile razy dzięki jego informacjom udało nam się skonfiskować duże partie narkotyków? Ile rozwiązaliśmy zabójstw i strzelanin dzięki temu, że każdego dnia ryzykował dla nas życie? To ty byłeś odpowiedzialny za to, żeby prawda o tym, co dla nas zrobił, nigdy nie wyszła na światło dzienne. – Patrzył na Wilsona, który siedział i milczał. – Co się stanie, jeśli te dokumenty zostaną upublicznione? A może ktoś to już zrobił? Jak myślisz, czy Hoffmann...

– Bardzo dobrze wiem, co to znaczy!

Grens uśmiechnął się, bo jego przełożony w końcu zareagował.

– Wygląda na to, że się sprzedałeś.

– Co ty bredzisz?! – rzucił Wilson.

– Sam stwierdziłeś, że nikt nie mógł się tu włamać, a jeśli do tego doszło, istnieje tylko jedno wyjaśnienie: mój szef jest skorumpowanym gliną.

– Doskonale wiesz, że traktowałem swoich informatorów jak prawdziwą świętość. To ja stworzyłem siatkę i troszczyłem się o nią jak o małe dziecko. To ja opracowałem zasady, dzięki którym mogliśmy ich chronić. To ja każdego dnia ryzykowałem, żeby nic im się nie stało. Dobrze wiesz, jak bliska jest mi rodzina Hoffmanna i co dla nich zrobiłem!

Grens w milczeniu obserwował krzyczącego Wilsona. Czuł do niego niechęć. Z drugiej strony, taka reakcja mu się spodobała. Oczywiście nie to, że Wilson na niego krzyczał, tylko to, co powiedział. Dobrze go znał. Przez długi czas uważał go za swojego wroga, ale potem Wilson się zmienił. Kiedy przestał być oficerem prowadzącym i zakończył współpracę z informatorami, przejął nowe obowiązki i Grens z szacunkiem odnosił się do tego, w jaki sposób Wilson je wykonywał, zwłaszcza ten, który w wydziale dochodzeniowym był najtrudniejszy: bycie bezpośrednim

przełożonym komisarza Ewerta Grensa. Wilson zostawiał podwładnym całkiem dużą swobodę działania, ale w razie konieczności wykorzystywał swój autorytet i zdecydowanie wkraczał. Był porządnym, przestrzegającym zasad moralnych facetem. I właśnie taka reakcja na stawiane mu zarzuty spodobała się Grensowi.

– Masz rację, nie jesteś skorumpowanym policjantem. Ale popełniłeś błąd.

– Jaki?

– Nadal jesteś singlem?

– Słucham?

– Od pewnego czasu odnoszę wrażenie, że się z kimś spotykasz. Wyraźnie to po tobie widać. Rzadko cokolwiek czułem, ale wiem, jak wygląda zakochany mężczyzna. Kiedy kogoś poznajesz i zaczynacie się spotykać, wpuszczasz tę osobę do swojego życia. Otwierasz się przed nią i z czasem zaczynasz zaniedbywać swoje obowiązki.

Wilson milczał.

– Z kim się spotykasz?

Teraz również Wilson nie odpowiedział. Nadal wpatrywał się w biurko.

– Pytałem, z kim się spotykasz?

– To nie twoja sprawa!

– Owszem, ponieważ może nam to pomóc zrozumieć, co tu się stało.

– Nie powinno cię obchodzić, z kim jadam kolację i z kim chodzę do łóżka!

Grens wstał z krzesła i podszedł do otwartego sejfu. Popchnął drzwi i obserwował, jak się zamykają. Po chwili rozległ się metaliczny trzask.

– Rozumiem. Ujmę to tak: na razie nie podejrzewam cię o to, że osobie, z którą się spotykasz... bez względu na to, czy jest to kobieta, czy

mężczyzna... przekazałeś kod pozwalający otworzyć sejf. Obaj jednak wiemy, że to, co się stało, nie powinno mieć miejsca. Co będzie, jeśli sprawa wypłynie i będę musiał o wszystkim zameldować? Po pierwsze, okaże się, że zaniedbujesz obowiązki. Po drugie, wyjdzie na jaw, że współpracujemy z przestępcami i zatrudniamy ich jako informatorów, chociaż nasze oficjalne stanowisko jest zawsze takie, że tego nie robimy, bo jest to niezgodne z prawem.

– Nie podoba mi się twój ton ani dwuznaczne aluzje. Mógłbym dojść do wniosku, że mi grozisz.

Grens uderzył kilka razy dłonią o sejf. Rozległ się głuchy dźwięk.

– Nie interesuje mnie, co ci się podoba, a co nie. Najważniejsze jest wyjaśnienie tego, co się stało. A jeśli mój ton sprawi, że przekażesz mi odpowiednie narzędzia, dzięki którym będę mógł to wszystko wyjaśnić, będzie mi najzupełniej obojętne, czy ci się podoba to, co mówię, i jak na to reagujesz.

– Odpowiednie narzędzia? Co masz na myśli?

Grens znowu uderzył dłonią w sejf. Wcisnął kilka guzików i pociągnął za klamkę, jakby chciał zademonstrować, że sejf powinien być zabezpieczony właśnie w taki sposób.

– Okej... w takim razie powiem wprost, bez żadnych dwuznaczności: dopóki będę prowadził śledztwo w sprawie włamania do sejfu i dopóki nie ustalę, kto wykradł kopertę i dzienniki, nikomu nie powiem, co się stało. W zamian za to załatwisz mi legitymację służbową i policyjną odznakę dla naszego nowego współpracownika, który wygląda tak.

Jeszcze w mieszkaniu poprosił Hoffmanna, żeby zrobił sobie zdjęcie i wysłał mu je na komórkę. Teraz położył na biurku Wilsona telefon z otwartym plikiem przedstawiającym lekko zmęczoną twarz wpatzonego w obiektyw pucołowatego mężczyzny.

– Najpierw musisz mi powiedzieć, kto to jest – odparł Wilson. Wskazał na telefon, z którego patrzył na nich „nowy” Hoffmann.

Grens doszedł do wniosku, że charakterystyka nadal jest w dobrym stanie. Wprawdzie zdjęcie zostało wykonane telefonem, a Hoffmann wyglądał w rzeczywistości trochę inaczej, ale jeśli nawet Wilson, który znał go osobiście, nie rozpoznał swojego byłego informatora, oznaczało to, że charakterystyka Hoffmanna spełnia swoje zadanie.

– Nie mogę ci powiedzieć, ale to on pomoże nam wyjaśnić, kto się włamał do twojego sejfu. Żeby to zrobić, musi przez trzy dni udawać policjanta. Legitymacja będzie mi potrzebna najpóźniej jutro rano. Na razie przygotujesz i podpiszesz specjalne zaświadczenie, w którym stwierdzisz, że Verner Larsson to godna zaufania osoba, która od lat pracuje w policji miejskiej w Sztokholmie.

– Verner Larsson?

– Tak. Imię i nazwisko jest bez znaczenia.

– Chcesz, żebym... Ewert, ty chyba oszalałeś?

– Nie do końca.

– To wykluczone, żeby legitymację służbową dostał ktoś, kto nie jest policjantem!

– Hm... szkoda. Jak to było? „Nie zatrudniamy przestępców jako policyjnych informatorów”. Albo: „To nieprawda, że ktoś włamał się do mojego pokoju i skradł tajne dokumenty”. Albo to...

– Wystarczy.

– Nie mówię o...

– Powiedziałem: wystarczy!

Kiedy Grens wyszedł z pokoju, Wilson długo siedział przy biurku i w milczeniu patrzył na sejf. Tymczasem Grens wrócił do siebie i zadzwonił do Hermansson, która zdążyła już dotrzeć na Regeringsgatan

79, gdzie policyjna ekipa złożona z techników i lekarza medycyny sądowej zajmowała się znalezionymi na klatce schodowej zwłokami mężczyzny z dwoma ranami postrzałowymi w głowie.

– To bez wątplenia ten sam sprawca i ten sam rodzaj egzekucji jak w dwóch poprzednich zabójstwach.

– A ofiara?

– Z pierwszych oględzin wynika, że dane się zgadzają. Mężczyzna, wiek czterdzieści pięć lat. Według danych w dowodzie osobistym znalezionym w portfelu nazywa się Ermir Shala. Sprawdziłam go w naszym rejestrze skazanych i okazało się, że zgadzają się rysopis i niektóre znaki szczególne: pod pachą ma wytatuowany miecz wbity w kamień, na prawym uchu znamię, a na szyi bliznę.

– Dobrze. Wracaj na komendę. Mam dla ciebie dwa nowe zlecenia.

– Aż dwa? Przecież kazałeś mi znaleźć i zatrzymać Dusko Zaravica.

– To prawda. Masz czas do północy. Sama wymyśl pretekst. Doszła nam jednak nowa sprawa i chciałbym, żebyś się nią zajęła.

– To znaczy?

– Erik Wilson.

– Słucham?

– Coś ukrywa.

– Każdy coś ukrywa.

– Ale nie coś, co ma związek z włamaniem na komendzie policji.

W telefonie zapadła cisza. Grens słyszał, jak oddech Hermansson miesza się z odgłosami czynności wykonywanych przez techników i uwagami na temat zwłok, które lekarz nagrywał na dyktafon.

– Jesteś tam?

– O czym ty mówisz? Twierdzisz, że to Wilson dokonał tego włamania?

– Mówię o tym, że jest odpowiedzialny za zniknięcie ściśle tajnych dokumentów z naszego wydziału. Ich ujawnienie stanowi śmiertelne zagrożenie dla pewnych ludzi.

– O jakich ludziach i dokumentach mówisz?

– Tego nie mogę ci wyjawić.

– Ale możesz do mnie dzwonić i twierdzić, że szef wydziału dochodzeniowego dokonał włamania? Jeśli to prawda, grozi mu dyscyplinarne zwolnienie z pracy! Znasz Wilsona i wiesz, że on by czegoś takiego nie zrobił. Tak jak ty i ja.

– Nie twierdę, że zrobił to osobiście. Mógł to zrobić ktoś, kogo on chroni. Podejrzewam, że ktoś go wykorzystał.

– Jak to wykorzystał?

– Wilson jest od pewnego czasu w związku... sam się do tego przyznał. Na pewno to zauważyłaś. Zbiega się to czasowo z zaginięciem ściśle tajnego dokumentu z jego gabinetu. Chyba się ze mną zgodzisz, że nikt nie mógłby się do niego włamać bez jego świadomej albo nieświadomej pomocy? Mocno go naciskałem, ale odmówił rozmowy na ten temat. Chciałbym cię więc poprosić, żebyś trochę powęszyła. Na początku skoncentruj się na komendzie. Sporządź listę ewentualnych podejrzanych, sprawdź, kto się niedawno rozwiódł, kto jest singlem i komu na tyle nie wiedzie się w obecnym związku, że mógłby się dopuścić takiego czynu.

W słuchawce znowu zapadła cisza. Grensowi wydawało się, że słyszy w tle techników dyskutujących o tym, w jaki sposób rozprowadzić pędzelkiem proszek na badanej powierzchni, żeby pojawiły się na niej odciski palców. Nie był jednak pewien, czy nie jest to wytwór jego wyobraźni. W takich miejscach był już przecież tyle razy, że jego mózg mógł sam zacząć wytwarzać w głowie podobne obrazy i dźwięki.

– Powiem wprost – odezwała się w końcu Hermansson. – Nikogo nie będę szpiegować. Zapamiętaj to sobie i nigdy więcej mnie nie proś, żebym prowadziła jakąś podwójną grę za plecami osób, z którymi pracuję. Poza tym nadal pozostajesz moim bezpośrednim przełożonym. Zrozumiałeś?

Grens lubił, kiedy mu się sprzeciwiała. Bardzo mu się to podobało. Była jedną z niewielu osób, które miały na tyle odwagi, żeby to robić. Tym razem jednak czuł, że coś jest nie tak. Poznał to po jej głosie. Dobrze ją znał i wiedział, jak funkcjonuje. To, że nie chciała skorzystać z szansy, aby wysłać za kraty wysoko postawionego funkcjonariusza policji, który być może przeszedł na stronę przestępców, było do niej niepodobne. Wiedział, że musi jej to powiedzieć, ale go uprzedziła.

– I jeszcze jedno. Jeśli chcesz, żebym zatrzymała tego Zaravica, podczas gdy ty pojedziesz do Söderköping, żeby tam kogoś przesłuchać, będziesz musiał zaopiekować się naszymi aspirantami. Jeśli mam szukać Zaravica, Lucas i Amelia muszą trafić pod twoją opiekę.

Grens rozłączył się i poszedł do pomieszczenia służącego obojgu aspirantom za pokój. Odczuwał pewną niechęć, ale nie wiedział, skąd się wzięła i jak się jej pozbyć. Na komendzie jest policjant, który najprawdopodobniej dał się skorumpować członkom zorganizowanej grupy przestępczej i na ich zlecenie wykradł tajne dokumenty. Po głębszym zastanowieniu komisarz doszedł do wniosku, że może mieć z tym coś wspólnego jedna z dwóch osób, które lubił i którym ufał najbardziej: Erik Wilson albo Mariana Hermansson.

W OGROMNYM PODZIEMNYM GARAŻU komendy policji w Kronobergu zawsze panowała ta sama temperatura. Kiedy mieszkańcom miasta dokuczały mrozy, a na dworze szalały zawieje śnieżne, w środku było ciepło. Z kolei podczas letnich upałów w podziemiach utrzymywał się przyjemny chłód. Grens otworzył drzwi samochodu i towarzyszący mu aspiranci zajęli miejsca: barczysty Lucas usiadł obok niego w fotelu pasażera, podczas gdy Amelia z krótko obciętymi włosami i mądrymi oczami zajęła miejsce z tyłu. Wyjechali przez bramę, która automatycznie się otworzyła, i podjechali pod szlaban; strażnik otworzył go po sprawdzeniu ich dokumentów. Ruszyli do Kungsholmen, gdzie jak zwykle rano panował ożywiony ruch. Skręcili w zjazd na obwodnicę Essingeleden i wjechali na prowadzącą na południe autostradę E4. Grens od razu przyspieszył, żeby jak najszybciej dotrzeć do oddalonego o dwieście kilometrów Söderköping.

– DT.

– Słucham?

– Takiego skrótów użył pan w czasie naszego pierwszego spotkania. DT, czyli denat. – Lucas miał jasny, nosowy głos i posługiwał się dialektem używanym w zachodniej Szwecji. – Powiedział pan, że kiedy był w naszym wieku, policjanci właśnie tak nazywali zamordowane osoby.

– Rzeczywiście, chyba tak powiedziałem.

– Zastanawiałem się, ile zwłok widział pan w całej swojej karierze aż do osiągnięcia obecnego wieku.

– Obecnego wieku?

– Tak. Liczył pan kiedyś?

– Liczyłem.

– No i?

– Dwa dni temu było ich trzysta dziewięć, wczoraj trzysta jednaście, a dzisiaj trzysta dwanaście.

Aspirant umilkł, jakby nagle zaniemówił.

– Liczył pan tak dokładnie? Co to znaczy „dzisiaj”? – odezwał się po chwili.

– Że dziś rano dodałem do poprzedniej liczby kolejną ofiarę.

– Kolejną? To czemu nas tam nie ma?

– Bo ten wyjazd jest ważniejszy.

– Dlaczego?

– Musimy odnaleźć pewną osobę, żeby ktoś jej nie zamordował. Zapobieganie przestępstwom to też część naszej pracy.

Grens dość szybko przejechał przez przedmieścia Sztokholmu. Po pewnym czasie zorientował się, że obserwuje go nie tylko siedzący obok Lucas, ale także Amelia. Widział ją w lusterku wstecznym i zauważył, że próbowała włączyć się do rozmowy, ale za każdym razem rezygnowała, ponieważ prowadził z Lucasem ożywioną wymianę zdań. Teraz patrzyła na Grensa takim wzrokiem, jakby chciała go przeprosić za natarczywe zachowanie kolegi. Chyba zrozumiała, że najważniejszą rzeczą w policyjnej pracy jest ratowanie ludzkiego życia, a ściganie morderców powinno zejść na drugi plan. Bardzo mu się taka postawa podobała.

Dziewczyna przypominała mu Hermansson i Anni. Kiedyś na pewno zostanie dobrą policjantką.

– Panie komisarzu... to, co powiedziałem o pańskim wieku...

Widać było, że Lucas nie potrafi zbyt długo nie otwierać ust.

– Nie chodziło mi o to, że...

– Że co?

– Wie pan, mój staruszek też był policjantem... w małym mieście, gdzie niewiele się działo. Jest w tym samym wieku co pan. Niedawno przeszedł na emeryturę.

Grens zerknął w lusterko wsteczne i znowu zauważył u Amelii to samo spojrzenie co przed chwilą. Wiedziała, że jest już za późno na ratowanie kolegi, bo im bardziej się usprawiedliwiał, tym bardziej pogarszał swoją sytuację.

– Chodziło mi o to, że... mój tata był inny niż pan. Nie miał żadnych planów na przyszłość. Policyjna odznaka, którą przez całe życie nosił w portfelu, była dla niego czymś w rodzaju komputerowego chipa. W chwili gdy musiał ją zwrócić, przestał funkcjonować.

Mijali kolejne miejscowości – Södertälje, Järna i Nyköping. Grens dopiero w połowie drogi przestał się zastanawiać nie tylko nad policyjną odznaką, która była chipem komputerowym, ale także nad losem policjantów, którzy po przejściu na emeryturę nie mieli pomysłu na dalsze życie. Miejsce tych rozważań zajęły wątpliwości, które targały nim podczas rozmowy z Wilsonem, a także te, które pojawiły się po telefonicznej wymianie argumentów z Hermansson. Po kolejnych dwudziestu kilometrach zjechał na przydrożny parking, żeby zadzwonić bez świadków.

– Sven? To ja. Jesteś sam?

– Właśnie wyszliśmy z Marianą z garażu i idziemy do windy. Przed chwilą wróciliśmy z Regeringsgatan. Gdzie jesteś?

– Zadzwoń do mnie z pokoju, jak zostaniesz sam.

– Dlaczego?

– I nie mów o tym Marianie. Powiedz jej, że chodziło o raport z sekcji zwłok albo o coś innego. Nie chcę, żeby wiedziała, o czym rozmawialiśmy.

– Ale przecież nawet nie wiem...

Grens rozłączył się i zaczął chodzić po pustym parkingu. Dwa razy okrążył placyk ze stolikami, przy których podróżujący mogli wypić kubek kawy, i nieopróżniane od dawna kosze na śmieci, od których bił ciepły odór. W końcu jego telefon zadzwonił.

– Mówi Sven. Jestem w swoim pokoju. Sam.

– To dobrze.

– No i?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– O co chodzi?

– O Marianę.

– O Marianę?

– Tak. Podejrzewam, że coś przede mną ukrywa. Zaczynam się niepokoić. Chciałbym, żebyś zaczął ją śledzić.

– O czym ty mówisz?! Mam ją podglądać? Kontrolować jej życie?

– Właśnie o to cię proszę.

– Dobrze wiesz, że nie należę do ludzi, którzy ci się sprzeciwiają, ale jeśli mam ją przeświecić, musisz mi wytłumaczyć dlaczego.

– Nie mogę tego zrobić.

– Nie masz wyboru.

Sundkvist miał rację i Grens dobrze o tym wiedział. Rzeczywiście, Sven nigdy mu się nie sprzeciwiał. Wszelkich konfliktów unikał jak ognia.

– Z pokoju Wilsona zginęły ściśle tajne dokumenty. Nie wiem, jak do tego doszło, ale niewiele osób ma bezpośredni dostęp do sejfu w jego pokoju. Poprosiłem Marianę, żeby zajęła się tą sprawą, ale odmówiła. Źle się z tym czuję, a bardzo tego nie lubię.

– Chcesz powiedzieć, że to ona wykradła te dokumenty?

– Wiem tylko tyle, że jest wśród nas skorumpowany policjant, któremu nadal ufamy. Wykradzione dokumenty stanowią śmiertelne zagrożenie dla osób, które nie są policjantami. Znam Marianę i wiem, że zachowuje się inaczej niż zwykle. Pochodź więc za nią, choćby po to, żebyśmy mogli ją wykluczyć.

Ostatnie dziesięć kilometrów pokonali w milczeniu. Grens dał aspirantom do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze rozmowy. Nawet Lucas zrozumiał, że najlepszym sposobem na to, żeby zachowywać się w odpowiedni sposób, jest niepodjęcie takich prób w ogóle.

Söderköping to małe miasto, które zyskuje na urodzie latem. W ten ciepły czerwcowy dzień wszystko było w nim bardziej przyjazne i ujmujące niż w innych miastach. Ludzie żyli tu spokojnie, woda w kanale Göta była bardziej lśniąca i nawet chłód w cieniu wydawał się inny. Dom przy Gamla Skolgatan wyglądał wprost uroczo. Drewniany dwupiętrowy budynek z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku stał prawie w samym centrum miasta. Grens zjawił się bez uprzedzenia. Próbował umówić się na rozmowę o świcie, ale bez powodzenia. Postanowił więc zjawić się u pani Andersen, nie informując jej o swojej wizycie. Zaparkował przed wejściem, podszedł w towarzystwie dwójki aspirantów schodkami do drzwi i wcisnął dzwonek.

– Ewert Grens, komisarz policji kryminalnej w Sztokholmie. To jest aspirant Lucas, a to aspirantka Amelia z wydziału dochodzeniowego.

– To pan obudził mnie tak wcześnie rano?

– Owszem.

Andersen zachowywała się tak, jakby nie zamierzała wpuścić go do środka, chociaż cała trójka okazała legitymacje służbowe.

– W takim razie nie muszę wyjaśniać, że odbył pan tę długą podróż na darmo?

Andersen popatrzyła komisarzowi prosto w oczy.

– Wyjaśniłam to panu przez telefon – ciągnęła. – O sprawach, w których obowiązywała mnie tajemnica służbowa, nie rozmawiałam przed przejściem na emeryturę i nie zamierzam tego robić teraz.

– W tych okolicznościach będzie to konieczne.

– Nie sądzę. Do niczego mnie pan nie zmusi.

– Kobiecie, o której rozmawialiśmy, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Z każdą sekundą, kiedy tu stoimy i tracimy czas na rozmowę, jej szanse na przeżycie maleją. Proszę nas wpuścić, a obiecuję, że wszystko wyjaśnię. Potem sama pani zdecyduje, co zrobić.

Grens wpatrywał się w kobietę czujnym wzrokiem. Nadal miała zdecydowany wyraz twarzy, ale po jej oczach poznał, że zrozumiała powagę sytuacji. Po długiej chwili ustąpiła na bok.

– Pół godziny. Potem proszę wyjść.

Andersen od dawna mieszkała sama. Nie wspomniała o tym, ale Grens i tak się domyślił. Poznał to po ustawieniu mebli i po zapachu, a także po tym, że poruszała się po mieszkaniu w pewny siebie sposób. On też od dawna mieszkał sam i wiedział, co Andersen w tej chwili czuje.

– Nie zapraszałam państwa, więc kawą też was nie poczęstuję.

Usiedli w salonie przy małym stoliku. Gospodyni zajęła miejsce w zielonym fotelu obitym materiałem w duże kwiaty, podczas gdy Grens rozsiadł się na kanapie zasłanej kocem. Lucas i Amelia stanęli niepewnie przy drzwiach.

– Zana Lilaj. Miała wtedy pięć lat. To ja wyniosłem ją z mieszkania, w którym przez trzy dni przebywała w towarzystwie martwych rodziców i rodzeństwa. Ochraniałem ją do momentu, aż wysłano ją do tego miasta. Znalazła tu bezpieczny dom i otrzymała nową tożsamość. Dzięki temu mogła rozpocząć nowe życie. Zawdzięcza je pani.

Andersen popatrzyła na niego niepewnym wzrokiem.

– Powiedział pan „w towarzystwie martwych rodziców i rodzeństwa”?

– Tak.

– Nic o tym nie wiedziałam, a jeśli chodzi o procedury, to właśnie takie obowiązywały w tamtych czasach. Ja rzeczywiście decydowałam o czymś dalszym życiu. Wystarczyło kilka pociągnięć piórem na papierze bez oglądania się na przeszłość.

– Czy teraz mi pani pomoże?

Widać było, że kobieta jest poruszona całą historią, ale nadal zachowywała czujność. Grens doszedł do wniosku, że na pewno była lepszym szefem dla swoich pracowników niż on.

– Nie.

– Dlaczego?

– Wyjaśniłam to w czasie naszej rozmowy telefonicznej. Dotrzymuję obietnic i dlatego nigdy nie zdradzę nikomu jej nowej tożsamości. Może pan dalej apelować do moich uczuć i zasypywać takimi słowami jak „śledztwo” i „zbrodnia”, ale do niczego mnie pan nie zmusi. Proszę wrócić z decyzją sądu, a ja do tego czasu będę na wszelki wypadek milczeć. Może mnie pan nawet postraszyć aresztem. Śmiało, czekam.

Grens wyjął z kieszeni marynarki kopertę i rozłożył na stoliku jej zawartość: sześć fotografii, które policyjni technicy zrobili w miejscach, gdzie doszło do zbrodni. Cztery zdjęcia położył po lewej stronie, dwa po prawej.

– Proszę obejrzeć te cztery zdjęcia. Najpierw to, które leży najbliżej. Przedstawia ojca Zany. Zginął od dwóch strzałów, w czoło i skroń. Widzi pani?

Andersen nadal zachowywała się dzielnie. Widać było, że jest silną kobietą, chociaż to, co zobaczyła na zdjęciach, wyraźnie nią wstrząsnęło.

Mimo to nie spuściła wzroku.

– Na tym zdjęciu jest jej mama. Na tym jej starsza siostra, a na tym starszy brat. Wszyscy zostali zastrzeleni w ten sam sposób.

Grens podsuwał byłej dyrektorce po jednym zdjęciu. Nie spieszył się, bo chciał, żeby je dokładnie obejrzała. Potem wskazał na dwie fotografie leżące po prawej stronie stolika.

– Te zdjęcia zrobiliśmy niedawno. Pierwsze dziś rano. Może je pani obejrzyć także w innym formacie.

Wyjął telefon i zaczął przeszukiwać galerię ze zdjęciami. Znalazł to, które przesłała mu Hermansson, i położył telefon na stoliku.

– Zdjęcia przedstawiają trzech mężczyzn, których przesłuchiwaliśmy w związku z zabójstwem rodziny Zany. Proszę popatrzeć na te dziury w czołach i skroniach. Takie same są na starszych zdjęciach, zrobionych kilkanaście lat temu. Dlatego tu przyjechałem. Człowiek, który zabijał wtedy, zabija znowu. Zanie Lilaj grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Andersen wstała z kwiecistego fotela i wyszła do kuchni. Słysząc było, jak coś nalewa. Wróciła z tacą, na której stały cztery szklanki żółtawego soku. Dwie z nich podała aspirantom, dwie postawiła na stoliku koło fotografii.

– Czarny bez. Sama go zbieram, bo ma wspaniały smak. Niech pan spróbuje. – Nie czekając na reakcję komisarza, opróżniła szklankę do dna. – Chyba już wiem, do czego pan zmierza. Im dłużej ważę argumenty za i przeciw, tym bardziej przychylam się ku pańskiej opinii. Czy sytuacja jest naprawdę aż tak groźna?

– Nie jestem nawet pewien, czy ta kobieta jeszcze żyje. Wynajęty zabójca otrzymał pewne informacje, których ja nie posiadam. Wie, gdzie ona mieszka i jak się nazywa. Jeśli jednak jest już za późno, żeby zapobiec jej śmierci, chciałbym to przynajmniej wiedzieć.

Grens widział po minie Andersen, że kobieta walczy ze swoim dawnym postanowieniem o zachowaniu całej sprawy w tajemnicy. Zawsze była osobą lojalną, która nie chciała nikogo zawieść.

– Dałam jej na imię Hannah, przez „h” na końcu. Uznałam, że brzmi to ładniej niż Zana.

Wiedział, dlaczego potrzebowała aż tak silnej motywacji, żeby pozbyć się wątpliwości: rozsądek podpowiadał jej coś innego.

– Trafiła do państwa Ohlssonów, których ustanowiono jej rodziną zastępczą. Od tej pory nazywała się Hannah Ohlsson. Zwykle imię i nazwisko, które wpisałam do księgi metrykalnej. Ohlssonowie byli mądrymi ludźmi, pomagali mi wcześniej przy innych sprawach. Nie mieli własnych dzieci i pół roku później ją adoptowali. Regularnie ich odwiedzałam i widziałam, że czuła się u nich dobrze. Kiedy skończyła siedem lat, przestałam tam chodzić, bo dalsze kontrole stały się zbędne. Wydaje mi się, że kiedyś widziałam ją na ulicy, ale nie jestem pewna. Dzieci szybko się zmieniają.

– Ohlsson?

– Tak.

– Gdzie mieszka?

– W ładnym domku pięć kilometrów za miastem. Jestem prawie pewna, że jej przybrani rodzice nadal tam mieszkają.

Grens nigdy nie mógł szybko biegać. Z upływem lat sytuacja się nie poprawiła, zwłaszcza z powodu kontuzji kolana. Utykał, ponieważ dawno temu wystrzelony z broni pocisk roztrzaskał mu kość. Teraz jednak czuł, że powinien pobiec do swojego samochodu, aby jak najszybciej dotrzeć do domu, w którym mieszkała dorosła kobieta – ta sama, którą kiedyś, gdy była dziewczynką, wyniósł na rękach z jej mieszkania.

Miał nadzieję, że nadal żyje, że nie jest za późno i zdąży ją uratować.

NA BIRGER JARLSGATAN, TAK jak w całym centrum Sztokholmu, panowała senna atmosfera, chociaż był to dzień roboczy i zbliżała się pora lunchu. Autobusy i chodniki były puste, a personel sklepów poruszał się bardziej ospale niż manekiny na wystawach. W restauracjach przestało śmierdzieć smażonymi stekami, za to unosił się zapach wolno topniejącego masła. Trzydzieści trzy stopnie powyżej zera i żadnego wiatru. Upał wprawiał niektórych mieszkańców w panikę.

Hoffmann w ogóle nie zwracał na to uwagi. Po kilku godzinach, które spędził na obserwacji okien biura na piątym piętrze, doszedł do przekonania, że dwaj zatrudnieni w nim mężczyźni nadal tam są. W pewnym momencie znowu popatrzył na nich przez lornetkę i ujrzał jednego z nich za podniesionymi żaluzjami. Ten sam mężczyzna siedział poprzedniego wieczoru w samochodzie zaparkowanym na ich ulicy i obserwował jego dom, w którym przebywała Zofia z dziećmi. Hoffmann poprosił go nawet o ogień, ale ochroniarz odesłał go do diabła. Na szczęście go nie poznał, chociaż kilka razy ze sobą współpracowali. Oznaczało to, że charakteryzacja została wykonana w fachowy sposób i spełniła pokładane w niej nadzieje, przynajmniej po ciemku, zwłaszcza że włosy i część twarzy zakrywała duża bejsbolówka.

Ci, którzy mu grozili, myślą, że przygotowuje w tej chwili wojnę między gangami. Nie spodziewają się, że jest blisko tych, którzy mieli go obserwować.

Wysiadł z samochodu, podszedł do klatki schodowej z numerem 32B i zadzwonił z domofonu.

– Słucham?

Od razu zauważył, że urządzenie przerywa i jest kiepskiej jakości.

– Dzień dobry, nazywam się Peter Haraldsson.

Kiedyś, gdy prowadził życie pod przykrywką, posługiwał się także tym imieniem i nazwiskiem. Po przeprowadzce do Enskede stał się Pietem Hoffmannem; w Libii, gdzie rozpracowywał gang przemycający ludzi, używał imienia i nazwiska Piet Koslow. Dla szwedzkiej policji był Paulą, a w Ameryce Południowej, gdzie udało mu się przeniknąć w struktury kartelu narkotykowego, zasłynął jako El Sueco. Z kolei sąsiedzi z kolumbijskiego miasta Cali znali go jako Petera Haraldssona. Miał tyle różnych tożsamości, że nie musiał wymyślać nowych.

– W jakiej sprawie?

– Jestem przedsiębiorcą. Chciałbym skorzystać z waszych usług.

– Jakich usług?

– Czy to firma ochroniarska? Polecono mi was. Świadczyacie usługi w zakresie ochrony?

Domofon zatrzeszczał i drzwi się otworzyły. Hoffmann poszedł schodami, ponieważ chciał sprawdzić, czy jest obserwowany przez kamery monitoringu. Na czwartym piętrze zatrzymał się na chwilę. Wyjął zestaw złożony z timera i urządzenia do zakłócania fal i przymocował go taśmą klejącą za osłoną ściennego oświetlenia. Za dwie minuty, gdy wejdzie do siedziby firmy ochroniarskiej na piątym piętrze, aktywuje urządzenie, a wtedy na ekranach monitorów, które emitują przekaz kamer, pojawi się czarny obraz.

– Niech pan wejdzie.

Drzwi otworzył mu mężczyzna, który poprzedniego wieczoru obserwował jego dom. Był wysoki i dobrze zbudowany. Po szwedzku mówił z lekkim akcentem.

– Jest pan przedsiębiorcą?

– Tak.

– Jaka branża?

– Doradztwo finansowe. – Hoffmann uśmiechnął się. Zrobił to w taki sposób, w jaki jego zdaniem powinien się uśmiechać specjalista od liczb. – Jestem biegłym. Wiem, że nie brzmi to zbyt ciekawie.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań zdążył zauważyć trzy kamery. Jedna wisiała pod sufitem w przedpokoju, druga na ścianie w pokoju, który stanowił główne pomieszczenie. Podobnie były rozmieszczone kamery w jego firmie, znajdującej się niecały kilometr na zachód w linii prostej od tego miejsca. Trzecia kamera wisiała na framudze kuchennych drzwi. Za chwilę wszystkie trzy przestaną działać.

– Co pana interesuje?

Hoffmann odwrócił się. Pytanie padło z sąsiedniego pokoju, którego wnętrza nie widział. W progu stał drugi ochroniarz. On też był wysoki i dobrze zbudowany, a jego oczy mówiły, że przywykł, by okazywano mu posłuszeństwo.

– Jaki rodzaj usług chciałby pan u nas zakupić?

Najważniejsze dla każdego informatora jest to, żeby wtopić się w otoczenie, stać się zwykłym człowiekiem i nigdy nie zwracać na siebie uwagi. Hoffmann właśnie tak funkcjonował. Kiedy musiał wynająć samochód, wybierał srebrne volvo V70, bo akurat ta marka i ten model były w Szwecji najczęściej kupowane. Nosił niebieską koszulę i czarne buty, a gdy robiło się zimno, szyję obwiązywał szalikiem z charakterystycznym węzłem, bo właśnie tak wyobrażał sobie przeciętnego biegłego, w którego się wcielił. Zakładał go w taki sposób, że w ostatniej fazie wiązania nie przeciągał końcówki przez węzeł, tylko wypuszczał ją swobodnie na wierzch.

– Chciałbym, żebyście panowie objęli moją firmę całkowitą ochroną.

Typowa wymówka, żeby ukryć prawdziwy cel wizyty i zrobić rozpoznanie przeciwnika. Jako właściciel firmy ochroniarskiej słyszał na co dzień podobne pytania: A – „Czuję się zagrożony. Czy moglibyście ich sprawdzić?”; B – „Z mojej firmy znikają towary. Czy moglibyście ustalić, kto je kradnie?”; C – „Chciałbym prosić o ofertę zabezpieczenia mojej firmy”. Przed tą wizytą zdecydował się na wariant C, chociaż wiedział, że firma nie zajmuje się ochroną zewnętrzną, tylko wewnętrzną.

– Proszę też policzyć, ile to będzie kosztowało.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań obserwował obu mężczyzn. Od razu zauważył, że mają go w nosie, tak jak on ich. Byli zestresowani i niespokojni. Domyślał się dlaczego: w domu, który obserwowali, nikt nie zapalił rano światła, chłopcy nie poszli do szkoły, a ich mama nie wyszła z wózkiem na spacer. Prawdopodobnie zakradli się do ogrodu, powęszyli i może nawet zadzwonili do drzwi, ale nikt im nie otworzył. W końcu stwierdzili, że rodzina, którą obserwowali, prawdopodobnie im się wymknęła, a oni spaprali zadanie.

– Pyta pan o cenę?

– Tak.

– Gdzie mieści się firma?

– W Västertorp.

– Jaką ma powierzchnię?

– Trochę ponad sto metrów kwadratowych.

– Jedno wejście?

– Tak.

– Trudno nam będzie podać konkretną cenę w tym momencie, najpierw musielibyśmy...

Mężczyzna przerwał i obrzucił potencjalnego klienta czujnym spojrzeniem. Miał taką minę, jakby przejrzał Hoffmanna na wskroś albo

wniknął w jego wnętrze przez brązowe szkła kontaktowe i warstwę sztucznych worków pod oczami.

– ...obejrzyć to miejsce. Sądzę jednak, że razem z kosztami instalacji...

Znowu przerwał i zerknął na kolegę. Hoffmann zauważył, że porozumiewają się wzrokiem, i zaczął się szykować do odparcia ewentualnego ataku. Pod marynarką miał ukryte dwie kabury: z pistoletem po lewej i nożem po prawej stronie.

– ...będzie to kosztować mniej więcej siedemdziesiąt pięć tysięcy koron. Do tego trzeba doliczyć opłatę za serwis, osiemset koron miesięcznie.

Pierwszy z mężczyzn stał naprzeciwko Hoffmanna, drugi lekko po skosie. Hoffmann czekał, ale atak nie nastąpił. Jego charakterystyka wytrzymała kolejną próbę.

– Czy jest tu toaleta? Robi się coraz większy upał. – Rozejrzył się po biurze.

Mężczyzna, który, jak wynikało z dotychczasowej rozmowy, miał tu więcej do powiedzenia, wskazał mu palcem niebieskie drzwi koło kuchni.

– Tam. Spłukując wodę w sedesie, proszę wcisnąć mniejszy przycisk.

Hoffmann wszedł do toalety, zamknął za sobą drzwi i tak długo sprawdzał podłogę, ściany i sufit, aż się upewnił, że nie ma tam kamer. Sięgnął do kieszeni po saszetkę z brązowej skóry, którą kupił w prowadzonym przez Armię Zbawienia sklepie z używanymi rzeczami, i wyjął z niej dwa przedmioty: centymetrowej długości mikrofon z aplikacją pozwalającą na automatyczne tłumaczenie rozmów – wsunął go w szparę w futrynie na dole drzwi – i granat, który niedawno trafił do ich skrzynki na listy jako zabawka dla synów. Wyglądał dokładnie tak jak wtedy, ponieważ przed przyjściem tutaj Hoffmann z powrotem przymocował do niego plastikowe nogi, ręce i czapkę. Postawił figurkę na

umywalce, spuścił wodę w sedesie i odkręcił wodę w kranie, jakby chciał umyć ręce. Drzwi łazienki zostawił otwarte, żeby po jego wyjściu z biura któryś z ochroniarzy szybko zauważył to, co im tam zostawił.

– Dziękuję – powiedział po powrocie do pokoju. – Od razu lepiej. Czuję się tak, jakbym wziął chłodny prysznic.

Od razu zauważył, że obaj mężczyźni nadal są zestresowani i niespokojni. Domyślił się, że podczas tych kilku minut, które spędził w łazience, rozmawiali o tym, co wydarzyło się w jego domu. Wiedzieli, że ponoszą odpowiedzialność za tajemnicze zniknięcie całej rodziny. Poznał po ich minach, że najchętniej od razu by się go pozbyli.

– Mówił pan, że to będzie kosztować siedemdziesiąt pięć tysięcy?

– Taka jest nasza cena.

– Obawiam się, że to trochę za dużo, bo prowadzę małą firmę. Zastanowię się jednak i wrócę do tej rozmowy.

Pożegnał się i wyszedł. Nie odwracając się, minął windę i zaczął schodzić na dół. Na czwartym piętrze zatrzymał się przy wiszącym na ścianie kinkiecie, wymontował urządzenie, które tam wcześniej powiesił, i ruszył na dół. Wsiadł do samochodu, włączył automatycznego tłumacza i czekał na to, co miał nadzieję za chwilę usłyszeć.

BIAŁA CEGLANA FASADA. TRAWNIK bardziej zielony niż u sąsiadów. Ogrodowe krasnale obok barwnych grzybów, a wśród nich przyczajone trolle. Zadbane grządki otaczające idealnie posadzone drzewka owocowe i obsypane leśnymi owocami krzewy. Grens domyślił się, że mieszkańcy tej posiadłości bardzo kochają to miejsce. Pokonując krótki odcinek od samochodu do drzwi wejściowych, pilnował się, żeby czegoś nie zdeptać. Nie znał się na ogrodnictwie – w jego mieszkaniu nie przeżyłyby nawet sztuczne kwiaty. Aspirantów wysadził przy posterunku policji, ponieważ sam postanowił zebrać informacje o dziewczynce, która nazywała się Hannah Ohlsson. W tym czasie Lucas i Amelia mieli przeprowadzić kilka luźnych rozmów z miejscowymi policjantami, a przy okazji przejrzeć stare dokumenty, które być może zostały kiedyś sporządzone, ale z różnych powodów nie wprowadzono ich do oficjalnego obiegu. Uznał, że przez najbliższą godzinę oboje przydadzą mu się bardziej tam niż tutaj, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, policjanci, którzy na co dzień patrolują ulice miast, posiadają znacznie większą wiedzę o tym, co się w nich dzieje, niż ludzie sobie wyobrażają. Po drugie, uznał, że jeśli zapuka do drzwi w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy i staną przed Ohlssonami jako oficjalna trzyosobowa delegacja reprezentująca komendę policji w Sztokholmie, będzie to najgorszym rozwiązaniem, na jakie mógłby się zdecydować. Taka rozmowa powinna przebiegać w atmosferze wzajemnego zaufania i zrozumienia.

Ponieważ na jego pukanie do drzwi nikt nie zareagował, nacisnął dzwonek w kształcie kwiatka ze złotożółtymi płatkami. Także ten szczegół świadczył o trosce właścicieli o wygląd domu, bo po naciśnięciu wydał z siebie dźwięk przypominający wieczorny śpiew ptaków.

– Słucham?

W progu stanęła kobieta w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Miała przyprószone siwizną włosy, opaloną na brązowo twarz i sympatyczne, czujne oczy. W głębi przedpokoju stał wysoki, szczupły mężczyzna w okularach, takich jak te, które w dawnych czasach nosili nauczyciele.

– Nazywam się Ewert Grens i jestem komisarzem policji kryminalnej w Sztokholmie.

– Wiemy. Pani Andersen uprzedziła nas o tej wizycie.

Andersen zapewniała Grensa, że nie kontaktowała się z Ohlssonami od wielu lat. Wyglądało na to, że dzisiaj to w końcu zrobiła.

– Rozumiem, że poinformowała państwa, w jakiej sprawie przychodzę?

– Tak. I będę szczerą: ani mnie, ani mojemu mężowi nie podoba się to.

Kobieta nie była nieuprzejma; jej głos brzmiał raczej tak, jakby była zmęczona. Mimo to wyglądała na opanowaną i spokojną.

– Prosimy więc, żeby nie zakłócał pan naszego spokoju.

– Nie odejdę, dopóki nie odpowiecie państwo na moje pytania.

– Nie mamy obowiązku rozmawiać o naszej córce. Z panem ani z nikim innym.

– Z prawnego punktu widzenia ma pani rację, ale w kategoriach moralnych taka rozmowa jest konieczna. To ja wiele lat temu pojawiłem się w jej poprzednim życiu i dosłownie wyniosłem ją z niego na rękach. Przez wiele tygodni czuwałem nad nią w strzeżonym pokoju. Można powiedzieć, że w tym czasie byłem dla niej kimś w rodzaju opiekuna, który zastępował jej prawdziwych rodziców. Uważam więc, że jesteście mi państwo winni tę rozmowę.

Grens nie wstydził się tego, co powiedział. Przed przyjściem postanowił, że w razie konieczności odwoła się do sumienia rozmówców.

Jego taktyka przyniosła spodziewany efekt – kobieta zrobiła zdziwioną i zaintrygowaną minę. Widać było, że jest zaskoczona.

– Nie rozumiem... To pan? Co pan tu robi? Czy zaszło coś nowego?

Miejsce zdziwienia, ciekawości i zmieszania zajął strach.

– Czy wie pan o niej coś, czego my nie wiemy? Po tylu latach, kiedy rodzice stracili wszelką nadzieję, nagle dowiadują się, że to, co uważali za najgorsze, już się zdarzyło. Jeśli rzeczywiście tak jest, to najlepiej, żeby wszystko wreszcie się skończyło. Rozumie pan, co mam na myśli?

W końcu kobieta wpuściła Grensa do środka. Przeszli przez ciasny, ale zadbane przedpokój i kuchnię, w której pachniało tak, jakby przez cały czas pieczono w niej świeże bułeczki, minęli sypialnię z podwójnym łóżkiem i kolejny pokój z pojedynczym i wyraźnymi śladami czyjejś obecności.

– To jej pokój. Wiem, co pan pomyślał, widząc na ścianach i na biurku jej rzeczy sprzed lat. Córka jest teraz znacznie starsza, ale po jej zniknięciu niczego tu nie zmienialiśmy.

Kobieta, która najpierw była matką zastępczą dziewczynki, a potem ją adoptowała, usiadła w fotelu. Po chwili jej mąż przyniósł tacę z trzema filiżankami kawy. Grens nie wiedział, w jakim duchu poprowadzić tę rozmowę. Najwidoczniej państwo Ohlssonowie przypuszczali, że ma znacznie większą wiedzę, niż to było w rzeczywistości. Nie wiedział też, co powiedziała im Andersen.

– Jak to „po jej zniknięciu”?

– Tak właśnie było.

– Wyjechała? Przeprowadziła się? Kiedy i dokąd?

Kobieta pochyliła się i obrzuciła go czujnym, badawczym wzrokiem. Pewnie myślała, że sobie z niej żartuje, i szukała odpowiedzi na jego twarzy.

– Czy nie przyjechał pan do nas dlatego, że policja wie coś, czego nie wiedziała wtedy?

Miała rację, ale nie do końca. Grens rzeczywiście wiedział coś, czego nie wiedział przed laty, ale nie zamierzał dzielić się tą wiedzą, dopóki nie ustalą, w jaki sposób skontaktować się z ich adoptowaną córką, która kiedyś tu mieszkała.

– Proszę mi najpierw wyjaśnić, co pani miała na myśli, mówiąc o zniknięciu córki? Przyjechałem tutaj, żeby ją odnaleźć, zanim zniknie naprawdę. Jeśli jednak właściwie zrozumiałem sens pani słów, że zachowaliście jej pokój w niezmienionym stanie, oznacza to, że naprawdę straciliście z nią kontakt?

Kobieta i mężczyzna popatrzyli na siebie jak dwoje ludzi, którzy dobrze się rozumieją, bo spędzili ze sobą całe życie. W takiej sytuacji wystarczy jedno spojrzenie, a słowa stają się zbędne. Oboje od razu zauważyli, że ich gość rozgląda się po całym mieszkaniu, próbując znaleźć to, czego tam nie było.

– Szuka pan jej zdjęć, ale żadnego nie widzi? – Ohlsson odezwał się po raz pierwszy, od kiedy Grens wszedł do mieszkania. Miał wzbudzający zaufanie głos.

Komisarz pomyślał, że też chciałby taki mieć. Przyjemny, nieuniżony, wzbudzający mimowolny szacunek. Ktoś taki nigdy nie musi na nikogo krzyczeć.

– I żadnego pan nie znajdzie – dodał pan Ohlsson. – Nawet w tym pokoju, chociaż spędzamy w nim najwięcej czasu. Mieliśmy mnóstwo zdjęć, ale córka wszystkie zniszczyła.

Grens od razu zauważył, że w całym mieszkaniu jest pełno obrazów, kilimów i szklanych ozdób, ale ani jednego zdjęcia osoby, którą gospodarze kochali najbardziej.

– Hannah zaczęła nam zadawać pytania już po dwóch latach – powiedziała pani Ohlsson. – Nie wiemy dlaczego. Jakby nagle ktoś jej coś powiedział... na przykład na placu zabaw albo w szkole. A może wróciły wspomnienia, które nie dawały jej spokoju? Co pewien czas pytała nas, kim jest. Potrafiła to zrobić dosłownie wszędzie i w każdej chwili. Za każdym razem czułam kłucie w sercu. „Jesteś naszą córeczką”, odpowiadałam, bo tak ją traktowaliśmy. Potem pojawiły się pytania w rodzaju „Kim byłam przedtem?” albo „Czyją byłam córką?”. Kiedy miała osiem albo dziewięć lat i wciąż zadawała nam te same pytania, postanowiliśmy powiedzieć jej prawdę, a mianowicie że z jej dawnego życia nic nie zostało, a wszystko, co było związane z jej przeszłością, odeszło, bo tak to działa u dzieci, które trafiają do nowego domu. Podobnie było w jej przypadku. Mniej więcej w tym samym czasie przestała nas nazywać mamą i tatą i zaczęła zwracać się do nas po imieniu... Thomas i Anette. Nie dlatego, że chciała być dla nas niedobra czy złośliwa, nie było to też formą kary. Tak nas po prostu postrzegała.

Grens stracił dziecko, jeszcze zanim się urodziło; nadal pamiętał, jak bolesne było to przeżycie. Mógł sobie tylko wyobrazić, co czuli Ohlssonowie, którzy wychowywali adoptowaną córkę do momentu, gdy stała się pełnoletnia. Na pewno przez cały czas obawiali się najgorszego.

– W końcu zrozumiała, że nie zawsze nazywała się Hannah Ohlsson. Potrzebowała dużo czasu, żeby pogodzić się z tym, że nie tylko nie znaliśmy jej poprzedniego imienia i nazwiska, ale także jej przeszłości. Wiedzieliśmy jedynie, że trafiła do nas, bo przeżyła jakąś straszną traumę, w wyniku której została sierotą. Jej dawne życie zostało wykasowane i od tej pory we wszystkich oficjalnych ewidencjach figurowała jako Hannah Ohlsson. Pewnej nocy, po długiej rozmowie, kiedy znowu zadała nam wiele pytań, na które nie umieliśmy jej odpowiedzieć, zniszczyła wszystkie swoje

zdjęcia. Jedne pocięła nożyczkami, wrzuciła do sedesu i spuściła z wodą, inne spaliła za domem w beczce do palenia liści. Następnego dnia przy śniadaniu oznajmiła spokojnym tonem: „Zniszczyłam je, bo to nie byłam ja”. Później się okazało, że spaliła też negatywy, które trzymaliśmy w szafce w piwnicy. „Nie istnieję, więc nie mogę też istnieć na fotografiach”. Chcieliśmy jej zrobić nowe zdjęcia, ale nie zgodziła się. Nie nalegaliśmy i nie próbowaliśmy zmuszać jej do pozowania z kwaśną miną. Później, gdy się takie zdjęcia ogląda, nie sprawiają przyjemności. Na szczęście jedna fotografia przetrwała dzieło zniszczenia. Oto ona.

Pan Ohlsson wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel, rozłożył go i wyciągnął z przegródki zdjęcie przedstawiające małą dziewczynkę. Wyglądała na nim jak wtedy, gdy Grens zabrał ją z mieszkania, w którym ktoś zamordował jej rodzinę.

– Fotografia leżała w tym pokoju i Hannah ją przeoczyła. To jej pierwsze zdjęcie, zrobiliśmy je tego samego dnia, w którym do nas przyjechała.

Dziewczynka uśmiechała się do obiektywu. Nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że schody, na których stoi, prowadzą do jej nowego domu, gdzie spędzi kolejne lata, aż stanie się pełnoletnia. A jeśli było inaczej? Może już wtedy rozumiała swoje nowe położenie i uśmiechała się jak ktoś, kto długi czas żył w napięciu, a teraz mógł wreszcie odetchnąć z ulgą?

– Zana.

– Słucham?

– Wcześniej nazywała się Zana Lilaj.

Ohlssonowie znowu popatrzyli na siebie wzrokiem świadczącym o tym, że rozumieją się bez słowa. Grens zastanawiał się, czy ich adoptowana córka stała się kimś innym i teraz należała do nich w znacznie mniejszym

stopniu niż przedtem. Poznali odpowiedź. Następnym razem, gdy ktoś ich o nią spyta, będą wiedzieli, jak odpowiedzieć.

– Zana?

– Tak.

– Tak miała na imię, kiedy ją pan znalazł?

– I tak ją nazywałem przez te kilka tygodni, gdy się nią opiekowałem.

– A jej rodzice? Co to była za trauma, o której nikt nas nie poinformował?

– Obiecuję, że o wszystkim opowiem państwu następnym razem, po tym, jak ją znajdę. Po to tu przyjechałem. Muszę ustalić, gdzie przebywa. Jeśli tego nie zrobię, może jej się stać krzywda. Zaczynam się o nią niepokoić.

Państwo Ohlssonowie znowu na siebie spojrzeli. Tym razem nie chodziło jednak o to, że nie dowierzali komisarzowi policji ze Sztokholmu, tylko o nich samych. Widać było, że są poruszeni tym, co od niego usłyszeli. Bez słowa wstali z kanapy, jakby ich ruchy były ze sobą skoordynowane, i przeszli przez taras na tyły domu. Grens zerknął na lśniący pozłacany zegar ścienny, który odmierzał minuty i godziny. Domyślił się, że Ohlssonowie się naradzają. Kiedy wrócili do salonu, od razu zauważył, że rozmawiali o przeszłości i chyba dlatego wyglądali na zmęczonych.

– Przepraszamy, że zostawiliśmy pana samego – zaczęła pani Ohlsson. Nie miała własnych dzieci, a adoptowana przez nią dziewczynka zwracała się do niej po imieniu, zamiast nazywać ją mamą. Z Grensem kobieta rozmawiała ciszej niż wcześniej, jakby jej umysł został pozbawiony energii. – Powiedział nam pan, że grozi jej niebezpieczeństwo. Właśnie tak to zabrzmiało, chociaż zrobił pan to w sposób zawoalowany. Dowiedzieliśmy się też, jak naprawdę się nazywała.

– Nie musicie się państwo usprawiedliwiać.

– My nawet nie wiemy, czy ona żyje. Nie wiemy tego od wielu lat. Dlaczego pan uważa, że grozi jej niebezpieczeństwo?

– O tym też opowiem po tym, jak ją znajdę.

– Musimy...

– Przykro mi, ale na tym etapie sprawy oczekuję, że przekażecie mi państwo wszystko, co wiecie na jej temat. Zrobię, co w mojej mocy, żeby ją odnaleźć.

Pani Ohlsson znowu zerknęła na męża, jakby chciała go poprosić, żeby i on wrócił do dawnych wspomnień.

– Hannah dalej zadawała nam pytania, ale robiła to coraz rzadziej i było ich coraz mniej – powiedział. – Bywały okresy, kiedy w ogóle nas o nic nie pytała. Wydawała się wtedy bardziej radosna. Trwało to do czasu, aż skończyła czternaście lat. Od tego dnia wszystko się zmieniło. – Zerknął na żonę, jakby się zawahał. – Wciąż nie wiemy, co tak naprawdę się stało. Nikt tego nie wie. Policja wszczęła dochodzenie, ale niczego nie ustalili.

Znowu zerknął na kobietę, a ta skinęła mu głową na znak, żeby kontynuował.

– To było na imprezie z okazji jej urodzin. Przyszli młodzi, pełni radości i chęci do życia ludzie. W pewnym momencie jeden z chłopców, który był trochę starszy od reszty towarzystwa, wypadł z balkonu. Zginął na miejscu. Nikt nie widział, jak do tego doszło. Hannah bardzo to przeżyła. Miesiącami płakała i nie wychodziła z domu. Za zgodą szkoły uczyła się tutaj. Potem znowu zaczęła nas wypytywać o różne sprawy. Pytań miała coraz więcej, stawały się coraz bardziej szczegółowe. Zaczęła sobie przypominać różne rzeczy, ludzi, strzępy zdarzeń... swoich biologicznych rodziców... rodzeństwo i pojedyncze słowa, na przykład *pesë* czy *tortë*. Tego pierwszego nie rozumieliśmy, ona zresztą też nie. Słowa *mom* i *baba*

były łatwiejsze. Pomógł nam ktoś z urzędu gminy. *Pięć... tort... mama... tata...* To były cztery pierwsze słowa, które sobie przypomniała. Później doszło kolejnych dwadzieścia albo trzydzieści. Wszystkie w języku albańskim. Prawdopodobnie posługiwała się nim, zanim do nas trafiła.

Mężczyzna miał smutek w oczach. Nic dziwnego: znowu musiał przeżywać to, co wydarzyło się dawno temu.

– Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy – ciągnął. – Później okazało się, że do jej zniknięcia przyczyniła się śmierć jej kolegi. Hannah odeszła od nas w dniu swoich szesnastych urodzin. Przepadła jak kamień w wodę. Zabrała trochę ubrań, szczoteczkę do zębów i kilka drobiazgów. Nie zostawiła żadnej wiadomości. Przez pierwszy rok skontaktowała się z nami tylko dwa razy. Udało nam się ustalić, że dzwoniła z budki telefonicznej w miejscowości Szkodra w Albanii. Niewiele mówiła, twierdziła, że czuje się dobrze. Spytaliśmy ją, gdzie mieszka i czym się zajmuje, a ponieważ nie odpowiedziała, powtórzyliśmy te pytania i wtedy od razu się rozłączyła. To była nasza ostatnia rozmowa.

Pan Ohlsson nie był w stanie dłużej mówić. Spuścił głowę, skulił się i odchylił na oparcie kanapy. Głos zabrała jego żona:

– Nasz błąd polegał na tym, że pomogliśmy jej rozszyfrowywać tamte obce słowa. Zwróciliśmy się do władz o konsultację językową, kupiliśmy jej słownik albańsko-szwedzki i skrypty akademickie do nauki języka. Zachęcaliśmy ją, żeby podjęła studia lingwistyczne. Chcieliśmy jej pomóc odnaleźć biologiczne korzenie. Niestety, Hannah była opętana zupełnie inną ideą.

Grens przyglądał się swoim rozmówcom. Oboje wyglądali na przygnębionych. Tak to już jest, gdy rodzice tracą dziecko.

– Po ostatniej rozmowie telefonicznej zapadła cisza. Niczego więcej się nie dowiedzieliśmy i wciąż nic nie wiemy.

Za to ja wiem, pomyślał Grens.

Wiedział, że adoptowana córka Ohlssonów wróciła tam, dokąd zaprowadziły ją albańskie słowa. Do wspomnień, których wcześniej nie potrafiła uchwycić. A może zrobiła coś więcej, niż sądzili jej przybrani rodzice? Pojechała do Albanii i zaczęła zadawać pytania, nie wiedząc, jak okrutny los przypadł w udziale jej biologicznym rodzicom? Może nieświadomie nawiązała kontakt ze sprawcami zbrodni? Może to wtedy ktoś wykradł z pilnie strzeżonego archiwum tajne dokumenty zawierające wiedzę na jej temat, bo jej pytania obudziły czyjeś wspomnienia? Może to wtedy ktoś przekupił policjanta z komendy w Kronobergu, dowiedział się dzięki niemu, kim naprawdę jest Hannah Ohlsson, a potem się jej pozbył?

Grens doszedł do wniosku, że po tej rozmowie Zaravic, który już wkrótce miał trafić na siedemdziesiąt dwie godziny do aresztu, stał się jeszcze ważniejszy niż przed nią. Będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań.

– Chciałbym za państwa zgodą przeszukać pokój córki – zaproponował.

Ohlssonowie siedzieli na zaścielonym łóżku, podczas gdy on zaglądał do szuflad biurka, przeglądał teczki, segregatory i skoroszyty i od czasu do czasu o coś pytał. Niestety, nie znalazł nic, co mogłoby go naprowadzić na jakikolwiek trop. Pół godziny później pożegnał się z gospodarzami, podziękował im za rozmowę i obiecał, że jeszcze się odezwie, by przedstawić im to, co ustalił. Zauważył, że jego słowa im ulżyły, bo gdy zjawił się w ich domu, przestraszyli się, że ma im do przekazania jakąś tragiczną wiadomość. Teraz miejsce strachu zajęła nadzieja, a kiedy na pożegnanie rzucił „Wszystko będzie dobrze” i ruszył do samochodu, jeszcze raz się do nich odwrócił i zrobił taką minę, jakby chciał natchnąć ich nadzieją na szczęśliwe zakończenie sprawy. Niestety, prawda była taka, że nie miał żadnych podstaw do optymizmu.

DUSZNY UPAŁ, KTÓRY DOKUCZAŁ mieszkańcom Sztokholmu, w wynajętym samochodzie zamienił się w ryczącą bestię, którą spuszczone ze smyczy w chwili, gdy Hoffmann usiadł za kierownicą. Niestety, uruchomienie silnika i włączenie klimatyzacji w niczym nie pomogło. Sprawdził słuchawki i ustawił dźwięk w taki sposób, żeby docierał do niego z odpowiednim natężeniem. Telefon odłożył na rozgrzane siedzenie pasażera. Mały mikrofon, który ukrył przy futrynie drzwi toalety, działał idealnie. Otworzył aplikację *Tłumacz*, która przełożyła na szwedzki rozmowę obu ochroniarzy, gdyby postanowili prowadzić ją w swoim ojczystym języku. Dzięki charakteryzacji nie tylko udało mu się wejść do ich siedziby, ale także ich zmylić.

– Widziałeś jego minę, jak usłyszał, że będzie go to kosztować siedemdziesiąt pięć kawałków?

Mężczyźni rozmawiali po szwedzku. Z natężenia dźwięku wynikało, że znajdują się w większym z pomieszczeń biurowych. Jeden z nich przechadzał się po pokoju. Hoffmann słyszał stukanie obcasów o podłogę.

– Co za sknerus!

– Włamanie będzie go kosztować znacznie więcej niż koszt całej instalacji.

– Tacy idioci nigdy tego nie rozumieją... Oni...

Rozmowa ucichła. Mężczyzna, który chodził po pokoju, nagle się zatrzymał.

– Co to jest, kurwa?

Hoffmann poznał po głosie drugiego z mężczyzn – tego, który nawykł do okazywania koledze posłuszeństwa. W chwili gdy wypowiadał te słowa,

stał w toalecie. Hoffmann wyraźnie go słyszał, bo głos wydobywał się ze środka. Mężczyzna otworzył drzwi na całą szerokość. Rozległo się lekkie skrzypienie zawiasów.

– Popatrz, kurwa!

Hoffmann domyślił się, że znaleźli mały prezent, który po wejściu do toalety zostawił im na umywalce.

– Skąd to się tu wzięło?

– Nie mam pojęcia.

– Rano, jak byłem w kiblu, tego gówna tu nie było.

Ręczny granat. Odbezpieczony. Wyglądał jak zabawka z plastikowymi rączkami i nóżkami. Taki sam jeden z nich włożył Rasmusowi do tornistra.

– To ten kutas, który tu dzisiaj był. Korzystał z kibla... On...

– *Fuck!* To był ktoś od Hoffmanna! Ten gnojek wysłał go do nas!

Hoffmann poczuł, że robi mu się coraz bardziej gorąco. Cały był mokry od potu. Opuścił boczne szyby i wyłączył klimatyzację. Karoseria była rozgrzana od słońca. Nie wiedział, czy nieregularne bicie serca i lekkie mdłości mają cokolwiek wspólnego z temperaturą wewnątrz wozu, czy raczej są spowodowane niepewnością co do rozwoju sytuacji. Miał nadzieję, że obaj ochroniarze, którzy obserwowali jego rodzinę, zrobią teraz to, co wcześniej zaplanował. Jeśli nie, cały jego trud pójdzie na marne.

– Jak on się nazywał?

– Chyba Peter Haraldsson... takie pieprzone nazwisko można wymyślić na poczekaniu... nawet w windzie.

– Zostawił jakieś namiary?

– Jeśli nawet, to i tak są fałszywe.

– Pamiętasz, jak wyglądał? Bo ja nie bardzo.

– Nie kojarzę. Lekko otyły... pewnie nigdy nic nie trenował. Za dużo pracy albo alkoholu... albo obu tych rzeczy razem.

– Sprawdźmy nagrania z kamer.

Zapadła cisza. Hoffmann domyślił się, że jeden z mężczyzn loguje się do komputera, żeby sprawdzić nagrania z kamery, która wisiała w przedpokoju.

– Co jest, kurwa...? Nie działa? Ten...

– Sprawdź pozostałe.

Druga z kamer wisiała na ścianie w pokoju, w którym obaj się teraz znajdowali. Trzecia nad drzwiami do kuchni.

– Nie nagrało się! Czarny obraz! Ten gnojek odciął sygnał!

Jeden z mężczyzn uderzył pięścią w blat biurka, regał albo ścianę. Dźwięk był lekko przytłumiony i trudno było określić, skąd pochodzi.

Hoffmann uśmiechnął się. Sprawa była naprawdę prosta. Wystarczyło ustawić nadajnik w taki sposób, żeby na tej samej częstotliwości zaczął wysyłać więcej impulsów, innymi słowy: miał zakłócać tę samą częstotliwość poprzez wysyłanie znacznie mocniejszego sygnału. W konsekwencji ci dwaj zobaczyli na ekranie monitora czarny obraz.

Rano niepostrzeżenie wyprowadził swoją rodzinę z domu, chociaż ochroniarze czuwali w samochodach zaparkowanych zaledwie kilka metrów od wejścia. Potem przyszedł ucharakteryzowany do ich biura i zostawił w łazience granat. Jednocześnie przestały działać kamery. W taki oto sposób udowodnił swoim wrogom, że zadarli z kimś, kto może ich dopaść wszędzie i w każdej chwili. Zmusił ich do zachowań, które dla nich zaplanował.

W pewnym momencie odbiór uległ pogorszeniu i powstały zakłócenia, ale i tak słyszał, jak po ożywionej dyskusji postanowili do kogoś zadzwonić. Właśnie na to czekał. Do tego chciał ich zmusić, taki był cel

jego wizyty. Rozmowa telefoniczna miała być odpowiedzią na pytanie, kto jest ich zleceniodawcą i z jaką organizacją przestępczą ma do czynienia.

– Halo... mówi...

– Zapomniałeś, co ci powiedziałem? To ja mogę do was dzwonić... wy do mnie nigdy. Tak trudno to zrozumieć?

– On tu był.

– Kto?

– Hoffmann.

– Hoffmann? Gdzie?

– W naszym biurze. Nie osobiście, tylko kogoś przysłał.

Na wyświetlaczu telefonu pojawił się numer kierunkowy wskazujący na to, że rozmówca ochroniarza znajduje się w Albanii.

– Jak to kogoś?

– Przysłał go do naszego biura.

– Jesteś pewien?

– Tak. Hoffmann wie, kim jesteśmy, i chciał, żebyśmy o tym wiedzieli. Musimy się wycofać. Nie możemy wystawiać się na dalsze ryzyko.

Co pewien czas słowa wypowiedane przez rozmówcę z Albanii zanikały albo brzmiały niewyraźnie. Mężczyzna celowo rozmawiał cichym głosem.

– Wytłumacz mi to, co przed chwilą powiedziałeś...

– Co takiego?

– Że Hoffmann wie, kim jesteście, i chciał, żebyście się o tym dowiedzieli.

– No i?

– Rozłącz się.

– Jak to?

– Właśnie tego chciał... żebyście do mnie zadzwonili! Rozłącz się!

Rozmowa dobiegła końca i Hoffmann zdjął słuchawki. Ważniak z Albanii miał rację: właśnie tego chciał. Od tej pory będzie działał zgodnie ze swoją starą zasadą: ty albo ja – wybieram siebie.

Wysiadł z samochodu i ruszył do tego samego wejścia do budynku, do którego pół godziny wcześniej wpuścili go ochroniarze. Tym razem nie zamierzał ich uprzedzać o swojej wizycie. Oderwał kawałek taśmy, którą wcześniej przykleił za osłoną kinkietu, i pobiegł na piąte piętro. Stał przed drzwiami i zadzwonił. Po kilku sekundach otworzył mu jeden z ochroniarzy.

– Słucham?

– Mam pytanie odnośnie do ceny. Macie panowie trochę czasu?

Drugi ochroniarz stał w głębi przedpokoju, kilka metrów za tym, który otworzył drzwi. Patrzyli na Hoffmanna wzrokiem kogoś, kto wie coś, czego nie wie przeciwnik. I nawet się nie domyślali, że on już wie, że oni wiedzą.

– Jasne, że tak. Proszę wejść.

Ochroniarz, który wcześniej rozmawiał po albańsku, teraz posługiwał się płynnym szwedzkim. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Mężczyzna nie mógł się opanować. Stał przed nim dureń, którego rozpracował i który z własnej woli wprosił się na swoją egzekucję.

– Niech pan siada. Jakoś się dogadamy.

Mężczyźni wymienili się spojrzeniami. Hoffmann wiedział, że powinien zachować czujność i przygotować się na atak. Obaj patrzyli na niego takim wzrokiem, jakby wcześniej ustalili: „Ty zaatakujesz go z lewej strony, ja z prawej”. Bacznie ich obserwował. Za każdym razem, gdy miał do czynienia z zawodowymi bandytami, ogarniało go szczególne uczucie.

– Dziękuję, ale postoję. Chciałbym zapytać o kilka prostych spraw.

– I oczekuje pan od nas odpowiedzi?

– Tak.

W tym momencie w mężczyźnie, który z nim rozmawiał, dokonana się nagła przemiana. Agresja, która do tej pory czaiła się w jego oczach pod płaszczkiem sztucznej uprzejmości, pokazała swe prawdziwe oblicze. Hoffmann poznał po jego minie, że wkrótce nastąpi atak.

– Chyba się nie zrozumieliśmy. To ty będziesz odpowiadał na nasze pytania. Oto pierwsze z nich. Bardzo proste. Kto cię tu przysłał? Hoffmann?

– Jaki Hoffmann?

– Dobrze słyszałeś.

– A kto to jest?

Hoffmann przez cały czas patrzył ochroniarzowi w oczy. W pewnym momencie dostrzegł w nich nagły błysk. Wiedział, że ten zaraz zaatakuje.

– Ten, co cię do nas wysłał.

Pierwszy z ochroniarzy podszedł do okna i spuścił żaluzje. Drugi sprawdził, czy drzwi są zamknięte na klucz. Potem obaj się wyprostowali, jakby nagle urosli. Podeszli do Hoffmanna i stanęli po jego obu bokach.

– Wyjdiesz stąd cały, pod warunkiem że wszystko nam opowiesz.

– Nie znam go zbyt dobrze. Za to znam Rasmusa.

– Jakiego Rasmusa?

– To młodszy syn Hoffmanna. Prosił, żebym was spytał, kto włożył mu granat do tornistra. Bardzo mu się to nie spodobało.

Ostatnie porozumiewawcze spojrzenie przed atakiem.

Teraz!

Hoffmann wiedział, że pierwszy zaatakuje ten, który stał po jego lewej stronie. Najpierw zada mu cios w nerkę, żeby się zgiął i upadł na podłogę. Potem go podniosą i tak długo będą go maglowali, aż wszystko im powie.

Na szczęście do ataku nie doszło, bo gdy mężczyzna chciał się na niego rzucić, Hoffmann wyszarpnął z kabury pistolet i strzelił mu w oba kolana. Ochroniarz osunął się bezwładnie na podłogę. Hoffmann odwrócił się i wycelował w drugiego.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie, które wam zadałem w imieniu Rasmusa. Kto mu włożył granat do tornistra?

Twarz mężczyzny wyrażała całkowite zdumienie.

– Nie spodobał mu się też piórnik z logo Manchester United. Pytam ponownie: Który z was to zrobił?

Po dłuższym milczeniu ochroniarz zareagował i wskazał palcem swojego kumpla, który wił się z bólu na podłodze.

– To on.

– To znaczy?

– To on włożył mu granat do tornistra.

Kolejne dwa strzały trafiły drugiego ochroniarza w okolice kolan. Mężczyzna poleciał wprost na Hoffmanna, który musiał cofnąć się o krok, żeby ranny ochroniarz go nie przewrócił.

Od razu odzyskał spokój. Nie miał wyjścia, musiał ich zranić. W takich chwilach nie czuje nic. Gotów jest nawet zabić.

Przez kilka ostatnich lat często rozmawiali z Zofią o tym, że wobec ludzi należy zachowywać się po ludzku. Zofia obawiała się, że po każdym akcie przemocy jego zdolność do empatii będzie słabnąć. Próbował walczyć ze sobą, zastanawiał się, gdzie przebiega granica. Czy jeśli przesunie ją do pewnego punktu, na zawsze przestanie być człowiekiem? Najczęściej rozmawiali o tym, czy człowieka, który chce przeżyć, ma prawo nie tylko skrzywdzić innego człowieka, ale także odebrać mu życie. Na razie nie udało im się znaleźć właściwej odpowiedzi.

Wyjął z kieszeni taśmę i związał obu ochroniarzom ręce i nogi. Usta zakneblował im ręcznikami i z ich poplamionych krwią spodni wyjął telefony komórkowe. Potem chwycił jednego z nich za prawą dłoń, oddzielił palec wskazujący od pozostałych i dotknął nim miejsca na telefonie z napisem Touch ID. Dzięki temu go odblokował. Skasował kody zabezpieczające i zastąpił je nowymi. W jednym z aparatów znalazł numer, pod który niedawno dzwonił jego właściciel. Dzięki temu namierzy organizację, która grozi jemu i jego rodzinie. W podobny sposób uzyskał dostęp do leżącego na biurku laptopa. Tym razem musiał użyć kciuka drugiego z mężczyzn. O mało mu go przy tym nie urwał. Po szybkim sprawdzeniu zawartości telefonów i komputera ustalił, że wymiana korespondencji odbywała się w postaci zaszyfrowanych plików. Miał jednak to, co było najważniejsze: numer telefonu do człowieka w Albanii. Teraz będzie mógł go namierzyć. Zaszyfrowana zawartość laptopa może poczekać. Zajmie się nią w mieszkaniu Grensa.

LUCAS I AMELIA SIEDZIELI na ławce w cieniu drzewa przed posterunkiem lokalnej policji i jedli lody. Grens podjechał i zatrzymał się przed nimi w taki sposób, żeby mogli zająć te same miejsca jak w drodze do Söderköping. Przez pierwsze dwadzieścia kilometrów nie odezwali się ani słowem. Komisarz nie palił się do rozmowy, a ponieważ Lucas i Amelia dopiero zaczynali karierę w policji, odnieśli się do jego milczenia z szacunkiem. Grens nadal był myślami przy Ohlssonach, którzy tak bardzo kochali swój piękny dom. Pojechał do nich, żeby spotkać się z Zaną albo dowiedzieć się, jak się z nią skontaktować, żeby uchronić ją przed śmiercią. Misja zakończyła się niepowodzeniem, ale i tak otrzymał jakieś informacje.

Zana Lilaj nazywa się teraz Hannah Ohlsson.

Kiedy trafiła do rodziny zastępczej, zaczęła dociekać, kim jest naprawdę, ale konkretnej odpowiedzi nie otrzymała.

Gdy miała czternaście lat, w jej życiu dokonała się dramatyczna zmiana. Stało się tak na skutek śmierci jej kolegi, który spadł z balkonu. Nie można jednak wykluczyć, że to, co się wtedy stało, tylko przyspieszyło jej proces dochodzenia do dawnej, prawdziwej, tożsamości lub uruchomiło wspomnienia, które przypomniały jej o tragicznych zdarzeniach.

Ohlssonowie poinformowali go, że któregoś dnia spaliła wszystkie zdjęcia, aby wymazać ze swej pamięci Hannah, która kiedyś wymazała ze swojej pamięci Zanę Lilaj. Potem nagle znikła i nigdy więcej się nie pojawiła.

– Jak poszło, panie komisarzu?

Grens podczas całej jazdy wpatrywał się sztywnym wzrokiem w autostradę. Lucas, któremu przedtem nie zamykały się usta, zdołał

wysiedzieć bez mówienia niecałą godzinę. W jego świecie, w którym coś takiego jak milczenie nie istniało, godzina ciszy oznaczała całą wieczność.

– Mam na myśli rozmowę z tamtą rodziną.

– A mnie bardziej interesuje, jak wy się spisaliście. Udało wam się coś znaleźć?

– Tak.

– A konkretnie?

– Historię z balkonem i zgłoszenie o zaginięciu córki, które jej adopcyjni rodzice złożyli na policji.

Widać było, że Lucas jest z siebie dumny i bardzo zależy mu na pochwalę. I Grens to zrobił, chociaż zdarzało mu się to rzadko. Teraz już wiedział, że decyzja o wysłaniu ich na posterunek miejscowej policji była słuszna. Zebrali informacje, których on nigdy by nie zdobył.

Przejrzeli między innymi akta śledztwa w sprawie studenta, który wypadł przez balkon. Okazało się, że nie było świadków tego zdarzenia. Grens to samo usłyszał od Ohlssonów. W aktach znajdowały się oświadczenia uczestników imprezy, którzy zeznali, że widzieli, jak Hannah, która też tam wtedy była, została wcześniej niegrzecznie potraktowana przez studenta, który – jak się okazało – był jej chłopakiem. Doszło do głośnej scysji, pokłócili się ze sobą przynajmniej dwa razy. Grens zastanawiał się, czy Ohlssonowie ukryli przed nim informacje o tym, że student był chłopakiem ich córki i źle ją traktował, czy raczej sami o tym nie wiedzieli.

Aspiranci przejrzeni też dokumenty z umorzonego śledztwa, które zostało wszczęte w związku z zaginięciem Hannah Ohlsson. Natrafili przy tym na ślad prowadzący do pewnej kawiarni w Malmö. Hannah trafiła tam następnego dnia po ucieczce z domu i przez dwa miesiące pracowała na

czarno jako kelnerka. Pewnego dnia znikła. Telefon z Albanii był więc ostatnim konkretnym śladem, jaki po sobie zostawiła.

Grens jeszcze raz wrócił myślami do Ohlssonów i ich domu, chociaż jechał z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Kiedy zadzwonił telefon, wyjął go i w tym samym momencie samochodem niebezpiecznie zarzuciło.

– Słucham?

– Mówi Hoffmann.

Komisarz przycisnął słuchawkę do ucha. Aspiranci nie powinni słyszeć tej rozmowy. Nie znali Hoffmanna i nic o nim nie wiedzieli, a w samochodzie było tak ciasno, że mogliby usłyszeć fragmenty rozmowy, które nie były dla nich przeznaczone. Fakt, że współpracuje potajemnie z byłym kryminalistą i spotyka się z nim w swoim mieszkaniu, ujawni tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne.

– Oddzwonię za kilka minut.

Dziesięć kilometrów dalej zjechał z autostrady i zatrzymał się na tym samym parkingu co przed południem, gdy jechali do Söderköping. Wysiadł z klimatyzowanej bańki i wpadł w objęcia nieznośnego upału. Postanowił przejść się wśród stolików, ławek i koszy na śmieci i zadzwonić na numer, który podał mu Hoffmann.

– Mówi Grens.

– Potrzebuję pomocy w ustaleniu miejsca, z którego przeprowadzono pewną rozmowę telefoniczną.

– Z twojego telefonu?

– Żaden z tych numerów nie należy do mnie. Chcę ustalić lokalizację osoby, do której dzwoniono z tego numeru.

Na końcu parkingu stał stolik, przy którym siedziała podróżująca autostradą rodzina. Stały na nim dzbanek z kawą i kilka kartonów soku.

Obok leżały kanapki owinięte w aluminiową folię. Grens pozdrowił rodzinę skinieniem głowy i ruszył w kierunku gęstego świerkowego zagajnika.

– Policja ma problem z uzyskaniem informacji od firm telekomunikacyjnych, nawet jeśli prowadzi oficjalne śledztwo. W tym przypadku będzie jeszcze trudniej.

– Jestem pewien, że ma pan tam jakieś znajomości.

Grens zobaczył duży, płaski kamień. Zastanawiał się, czy na nim nie usiąść, wystawić twarz na słońce i na chwilę zapomnieć, że prowadzi śledztwo nie tylko w sprawie kilku zamordowanych osób, ale także tych, które mogą jeszcze zginąć z ręki zabójcy.

– To prawda. Mam pewne dojścia – odparł.

Usiadł na kamieniu, który miał zadziwiająco równą powierzchnię, jakby natura sama go wygładziła i zrzuciła na przydrożny parking. Nieoficjalne kontakty miał nie tylko w urzędzie skarbowym, ale także w firmach telekomunikacyjnych. Nawiązał je podczas swojej wieloletniej pracy w policji. Prośba Hoffmanna oznaczała, że będzie musiał wykonać kilka rozmów telefonicznych.

– Potrzebne mi będą wszelkie dane, jakie uda ci się zebrać. Wyślij je na mój telefon.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi i przygotowałem je. Już wysyłam... poszły.

W chwili gdy Hoffmann się rozłączył, komisarz usłyszał charakterystyczny sygnał. Przyszedł esemes. Przez pewien czas Grens siedział na kamieniu i dzwonił do swoich informatorów w firmach telekomunikacyjnych, z którymi kiedyś uzgodnił, że w ramach współpracy o świadczeniu wzajemnych przysług otrzyma informacje, na których mu zależy. Machina ruszyła. Najważniejsze będzie ustalenie lokalizacji

rozmówcy, o którym wspominał Hoffmann, bo dopiero wtedy będą mogli ustalić dalsze działania.

Wrócił do samochodu i ruszył w drogę. Mniej więcej po dwudziestu kilometrach aspirant Lucas ponownie przerwał milczenie. Nie mógł już dłużej wysiedzieć.

– Panie komisarzu?

Tym razem zachował się inaczej niż poprzednio. Nie wystarczyło mu, że siedział obok Grensa i rzucił swoje pytanie jakby mimochodem. Odwrócił się, przysunął bliżej i wbił w niego wzrok.

– Słucham? – spytał Grens.

– Jest coś, nad czym się zastanawiałem.

– Naprawdę?

– Widzę, że pan aż się pali do tej sprawy.

– Słucham???

Lucas przysunął się do Grensa jeszcze bliżej, chociaż było to prawie niemożliwe.

– Chodzi mi o to, o czym rozmawialiśmy w drodze do Söderköping. O pańskim wieku i o moim ojcu... Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że po przepracowaniu tylu lat w zawodzie policjantom nadal zależy na wynikach. Obserwuję pana i widzę, że wprost pali się pan do pracy. Bardzo mnie to cieszy. Mam nadzieję, że w pana wieku też nie będę wypalony. To po pierwsze. Po drugie, dręczy mnie pewna kwestia... Czy bierze pan pod uwagę wariant, w którym kobieta, której szukamy, nie żyje i powinniśmy się jakoś przygotować także na tę ewentualność?

Grens nie odpowiedział, bo nie miał ani sił, ani ochoty.

W głębi duszy wiedział, że jest dokładnie tak, jak mówił aspirant. Niepokój Ohlssonów był jak najbardziej uzasadniony i udzielił się także jemu. To, że ich uspokajał i zapewniał, że sprawa dobrze się skończy, było

tylko niezdarną próbą pocieszenia zmartwionych rodziców. Im dłużej zajmował się poszukiwaniem ich zaginionej córki, tym bardziej dochodził do wniosku, że kobieta najprawdopodobniej nie żyje.

CZĘŚĆ CZWARTA

OD DAWNA SIĘ TAK nie czułam.

Właściwie nigdy.

Na pewno.

Jestem spokojna, chociaż nie wiem, co ze sobą zrobić, gdy samolot wyląduje w Tiranie. Ale to bez znaczenia! Widzę otaczające lotnisko góry, przyjazną słoneczną mgiełkę i płynące nisko nad ziemią chmury; patrzę na rzędy palm i widzę wiele innych rzeczy. To wszystko mnie strzeże i chroni.

Thomas i Anette naprawdę się starali. Otoczyli mnie opieką, która była tak wielka jak te góry... byli dla mnie tak dobrzy, jak ta słoneczna mgiełka. Mimo to nigdy nie przeniknęli do mojego wnętrza, nie poznali miejsca, które jest tylko moje, bo nigdy do niego nie należeli. Po tym, co zrobiłam, miałam lekkie wyrzuty sumienia, ale doszłam do wniosku, że nie mogłam postąpić inaczej. Musiałam zniknąć. Udać się tam, dokąd zawsze zmierzałam. Może powinnam dać im znać, że żyję?

Nie znam języka, którym mówią tutejsi ludzie... rozumiem pojedyncze słowa, ale nie łapię sensu. Nieważne. Znam ten język ze słyszenia, bo używali go moi rodzice, Eliot i Julia. Słyszę szybko wypowiedane zdania, które mnie wypełniają i od razu zamieniają się w piosenkę.

Taksówka, którą jadę z lotniska, jest przesączona zapachem tytoniu, a w obiciu tylnego siedzenia jest pełno dziur. Najpierw wsiadłam do autobusu, który stał przed wyjściem z terminalu. Zajęłam miejsce obok kościstej starej kobiety i czekałam, lecz autobus nie odjeżdżał. W końcu spytałam kierowcę o godzinę odjazdu. Wprawdzie nie znał angielskiego, ale zrozumiał, o co mi chodzi. Wziął serwetkę i narysował na niej coś, z czego wywnioskowałam, że autobusy nie kursują według określonego

rozkładu jazdy. Kierowcy czekają do ostatniego pasażera i odjeżdżają dopiero wtedy, kiedy wszystkie miejsca są zajęte. Czasem trwa to dość długo. Decyduję się więc na taksówkę, chociaż przejazd z lotniska na dworzec kolejowy kosztuje więcej niż bilet na autobus, a ja muszę oszczędzać pieniądze, które zarobiłam w kawiarni przy rynku Möllevångstorget w Malmö. Pensja była niska, ale dostawałam sute napiwki i zaoszczędziłam tyle, że będę mogła się utrzymać przez dwa, trzy miesiące.

Na terenie Albanii jest niewiele dworców kolejowych. Jeden z nich znajduje się w północnej części kraju w miejscowości Szkodra. Przejechanie stu kilometrów pociągiem zabiera mi trzy i pół godziny. Na szczęście bilet jest tani, kosztuje dwieście leków. Wagony są ciasne, ale wygodne. Jakby to miało jakieś znaczenie... Przecież jadę do domu i tylko to się liczy.

TUTEJSZE KRAJOBRAZY PRZYPOMINAJĄ WIDOKI z filmów. Sceny, w których mogłabym się odnaleźć, właśnie w takiej chwili stają się rzeczywiste.

Pociąg jedzie tak wolno, że udaje mi się „odwiedzić” małe wiejskie kawiarnie, „wspiąć się” na wysokie góry i „pospacerować” po troskliwie uprawianych polach. Tam gdzie tory biegną równoległe do asfaltowej drogi, widzę nawet to, co wieśniacy trzymają w koszach i skrzynkach, w tym także kartoniki z cenami za buraki, ogórki i owoce granatów. Są wypisane starannym odręcznym pismem.

Przed chwilą – podczas pierwszego postoju pociągu na niewielkiej stacji, na którą składał się słup z nazwą miejscowości i drewniana ławka – siedząca naprzeciwko mnie młoda kobieta spytała po angielsku, jak mam na imię. Zrozumiałam, co mówi, chociaż miała kiepską wymowę i niewielki zasób słownictwa. Domyśliłam się, że chce na mnie „poćwiczyć”. Odpowiedziałam, że nazywam się Hannah Ohlsson. Chyba nie zrozumiała moich słów, więc przedstawiłam się jako Zana Lilaj. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, bo nawet nie wiedziałam, że Zana Lilaj to ja.

Nie pamiętam, kiedy dawne obrazy zaczęły wracać. Może zawsze we mnie były?

Na początku pojawiały się w postaci drobnych szczegółów, elementów całości, które odkładały się w mojej głowie w różnych miejscach jeszcze wtedy, gdy byłam dziewczynką, która otrzymała nową tożsamość i trafiła do rodziny zastępczej. Czasem, kiedy nie byłam na to przygotowana, wracały kolejne szczegóły, które układałam obok tych wcześniejszych. Ich liczba stale rosła, nabierały barw i zapachów. Rozumiałam je.

Młoda kobieta zadaje mi następne pytania, jakby chciała ze mną porozmawiać. Nie mam na to ochoty, nie jestem w stanie. Kiedy bowiem tak siedzę i patrzę przez okno, obserwując albańskie krajobrazy, które różnią się od lasów wokół Söderköping, obrazy i fragmenty wspomnień stają się coraz bardziej wyraźne i natrętne. Kłębią mi się w głowie, próbują się z niej wydostać albo do niej wtargnąć. Wszystko pamiętam bardzo wyraźnie. Dawne głosy i zapachy związane są z tym, co widzę i słyszę teraz i tutaj, chociaż tamte wydarzenia rozegrały się w naszym mieszkaniu w Sztokholmie. Widzę tort, a na nim pięć płonących na czerwono i niebiesko świeczek. Mój tata je gasi i chwyta mnie mocno za rękę. Spieszy się... jakby wiedział, że tamci są już w drodze na górę. Ukrywa mnie w przedpokoju, w małym pawlaczu nad szafą na kurtki i spodnie. Wciska mnie między powłoczki i ręczniki i w chwili, gdy chce zamknąć drzwiczki, do mieszkania wpadają tamci. Pięciu, tyłu, ile jest świeczek na torcie. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. To przed nimi tata mnie ukrył, ale nie zdążył zamknąć pawlacza, więc słyszałam, jak jeden z nich włączył telewizor i nastawił dźwięk na cały regulator. Słyszałam też, jak Eliot wczołgiwał się pod swoje łóżko. Tata nie chce odpowiadać na ich pytania, więc mu grożą. Rodzice próbują nie dopuścić, żeby jeden z mężczyzn wszedł do pokoju Eliota, ale ten wyciąga mojego brata spod łóżka i strzela mu w głowę. Dziwne strzały... ledwo je słysząc. Później mężczyźni siedzą z rodzicami przy kuchennym stole. Tata jest zrozpaczony, jego głos do mnie nie dociera. Za to dobrze słyszę tamtych. Każą tacie rozwiązać zagadkę. „Wyobraź sobie, że jesteś na pełnym morzu i siedzisz w łodzi, która zaraz zatonie. Oprócz ciebie są w niej także twoja żona i córka – ta sama, która chowa się pod łóżkiem w swoim pokoju. Widzieliśmy ją”. Tata zrywa się z krzesła i biegnie do pokoju Julii, ale tamci go dopadają, chwytają za ręce, zaciągają z powrotem do kuchni i znowu każą mu rozwiązać zagadkę.

„Kontynuujmy. Siedzicie we trójkę w gumowym pontonie, który na pewno zatonie, bo jest was za dużo. Jeśli jednak w łodzi zostaną tylko dwie osoby, uratują się. Musisz nam powiedzieć, przyjacielu, kogo uratujesz?”. Mężczyźni czekają na odpowiedź i pokazują tacie pistolet, z którego zastrzelili Eliota. Machają mu nim przed oczami. W końcu tata odpowiada cichym głosem, prawie szeptem: „Uratuję ich, a sam wyskoczę”. Mężczyzna kręci głową i wybucha śmiechem. „To nie jest prawidłowe rozwiązanie zagadki. Musisz wybrać. Masz być jedną z dwóch osób, które zostaną w pontonie”. I znowu mierzą z pistoletu, tym razem do mamy. Przyciskają lufę do jej czoła z taką siłą, że zaczyna krwawić. Tata znowu szepcze: „Wybieram żonę, żeby nasze dziecko, które ma przed sobą całe życie, ocalało”. „Znowu błędna odpowiedź”, stwierdza mężczyzna, który wymyślił zagadkę. Zrywa się i biegnie do pokoju Julii. Nie widzę, jak strzela, bo drzwi pawlacza są uchylone w inną stronę, ale słyszę, jak Julia najpierw krzyczy, a potem przestaje. Zapada cisza, mężczyzna wraca i kontynuuje: „Błędna odpowiedź, bo dziecko to tylko dziecko, a ty i twoja piękna żona możecie sobie sprawić nowe”.

– Po co pani jedzie do Szkodry?

Widzę, że kobieta nie rezygnuje i koniecznie chce przećwiczyć na mnie swój angielski. Uśmiecham się i kręcę głową.

– To prywatna sprawa.

– Wygląda pani na bardzo zamyśloną.

– Podobają mi się tutaj krajobrazy.

Odwracam się i patrzę przez okno na świat, który rozciąga się na zewnątrz pociągu, jakbym chciała zademonstrować, że nie mam ochoty na dalszą rozmowę.

Obrazy. Nie poddają się. Kłębią się w mojej głowie, próbują się z niej wydostać... a może do niej wtargnąć?

Znowu widzę tamtych mężczyzn. Siedzą przy kuchennym stole i zadają tacie pytania, ale on nie odpowiada, bo zagadka została rozwiązana. Powtarzają więc te same pytania, które zadawali mu po przyjściu. Chcą się dowiedzieć, gdzie tata coś ukrył. Nie wiem, o co chodzi. Tata milczy, więc go ostrzegają, że nie ma już Eliota i Julii i być może zaraz nie będzie ich mamy. Tata płacze i pyta: „Zoltan, do diabła, ty też z nimi?”. Nigdy nie widziałam, żeby tata płakał. Rozumiem, że się poddał i zaraz coś powie, ale w tym samym momencie mama krzyczy do niego przez stół: „Milcz!”. Potem wszystko odbywa się w takim samym tempie jak przed chwilą, gdy zastrzelili moje starsze rodzeństwo. Ale tym razem następuje coś, czego się nie spodziewałam: mama pluje mężczyźnie w twarz. Ślina ścieka mu z czoła na policzek. Mężczyzna strzela do mamy. Jedna kula trafia ją z boku głowy, druga w czoło. Potem ten, co strzelał, odwraca się do taty i mówi: „Teraz nie będziecie już mogli spłodzić więcej dzieci”. Biorą tatę za ręce, przewracają na podłogę i mówią: „Ale ty będziesz mógł związać się z jakąś nową kobietą. Zastanów się nad tym”. Ciągną go przez przedpokój do drzwi i zmuszają, żeby usiadł na wiklinowym krześle. Przez krótką chwilę, ułamek sekundy, odnoszę wrażenie, że tata zerka w kierunku pawlacza i patrzy na mnie. Czuję się tak, jakbyśmy ze sobą rozmawiali, choć żadne z nas nie wypowiedziało choćby jednego słowa. W końcu mówi: „Wszystko jest w komputerze. Stoi na biurku w dużej sypialni”.

Od tego momentu obrazy stają się krystalicznie czyste.

Mężczyzna, który wcześniej zastrzelił mamę, idzie po komputer i każe go tacie uruchomić. Przez długą chwilę wpatrują się w ekran. W końcu któryś z nich wyłącza komputer i rzuca: „W porządku”. Drugi ustawia się w takim miejscu, że nie widzę, co się dzieje, i nie słyszę, o czym rozmawiają. Za to odgłos wystrzałów jest wyraźny. Słyszę dwa

przytłumione trzaski. Potem biorą komputer, wychodzą i starannie zamykają za sobą drzwi.

Patrzę przez okno, ale myślami jestem w tamtym mieszkaniu.

Po chwili dawne wspomnienia się kończą. Czekam na resztę obrazów, ale nic się nie dzieje. Widzę tylko długą czarną kreskę, która kończy się na schodkach wejściowych domu należącego do Thomasa i Anette.

KIEDY WJEŹDŹAMY NA DWORZEC w Szkodrze, opuszczam szybę w przedziale i robię to co wielu innych pasażerów: wychylam się z okna i wyglądam na peron z rękami wiszącymi na zewnątrz. Niektórzy pasażerowie machają na tych, którzy tam na nich czekają, inni głośno coś wołają albo próbują wystawić twarz na słabe, chłodne podmuchy wiatru. Hamulce zgrzytają w zetknięciu z kołami, ale chyba nie są całkiem sprawne, bo nagle lecimy do tyłu, próbując się czegoś chwycić i odzyskać równowagę. Na peronie robi się ciasno, ludzie popychają się i zderzają z innymi pasażerami, ale ja tego nie zauważam. Jestem szczęśliwa, bo w końcu dotarłam na miejsce.

Idę wzdłuż dwóch rzek, z których jedna nazywa się Drin, a druga Buna. W pewnym miejscu zlewają się, tworząc jedną brudnoniebieską wstęgę, która najpierw wije się do centrum miasta, a potem odbija w innym kierunku. Spaceruję brukowanymi ulicami, na których roi się od zaaferowanych rozmowami przechodniów, i po pewnym czasie wchodzę do kawiarni z dwoma stolikami i czterema składanymi krzesłami. Za ladą stoi tęgi mężczyzna, który głośno podśpiewuje i szeroko się do mnie uśmiecha. Przynosi mi czarną herbatę w niezbyt czystym kubku i podwójną kanapkę na czerwonym plastikowym talerzyku. To, co śpiewa, przypomina arię operową, która jednak tak bardzo odstaje od oryginału, że ani on, ani inni goście nawet nie zwracają uwagi na fałszywe tony. Na razie nigdzie mi się nie spieszy, bo wiem, dokąd mam iść. Po wejściu na rynek z dwiema restauracjami i wciśniętym między domy sklepem spożywczym na Rruga Kolë Idromeno powinnam skręcić w Rruga Kardinal Mikel Koliqi, a potem w lewo, w Rruga Hysej. Uliczka jest tak wąska, że za każdym razem, gdy jakiś kierowca wykonuje zbyt gwałtowny albo zamaszysty ruch kierownicą, samochód ociera się o ściany domów. Na drugim piętrze jednego

z budynków, za żółtobrązową bramą zasłoniętą gałęziami śródziemnomorskich drzew, wynajęłam pokój z dostępem do toalety i małą kuchnią. Jest też czajnik do gotowania wody i mały ociekacz do naczyń na cztery talerze i tyle samo szklanek.

Jutro zacznę szukać.

Siebie.

MINAŁ TYDZIEŃ I NIC.

Staralam się być ostrożna, najważniejsze pytania ukrywałam w innych, wplatałam je w różnego rodzaju rozważania i tłumaczenia. Próbowałam przysłonić to, czego szukałam naprawdę. L-I-L-A-J. Pięć liter, które tkwiły w mojej głowie od ponad roku. Wydawały mi się takie oczywiste! Wyraźnie je widziałam, ale długo ich nie rozumiałam. I nagle któregoś ranka, w drodze do szkoły, ułożyły się w jedną całość i stały naszym wspólnym nazwiskiem. Naszym – to znaczy mamy, taty, Eliota, Julii i moim.

Odwiedziłam posterunek policji, urząd miejski i kilka innych instytucji. Niektóre z nich nie mają swoich odpowiedników w Szwecji, inne nie istnieją w żadnych innych krajach. Biurokracja w Albanii tworzy odrębne państwo z własnym językiem i udzielnymi władcami. Wolność jest tu czymś trudnym do zdefiniowania – chyba że ktoś wie, jak sobie z nią radzić. Od razu wyczuwam, że moje zawołane pytania z ukrytym podtekstem budzą podejrzliwość. I to nie dlatego, że szesnastoletnie dziewczyny mówiące po angielsku wydają się komuś groźne, tylko dlatego, że niedojrzała wolność idzie tu często w parze z nieustającą czujnością.

Pytałam w kawiarniach, sklepach i restauracjach, ale niewiele się dowiedziałam. Za to z łatwością rozmawiałam o zwykłych rzeczach. Starannie przygotowane pytania mieszają się z tymi, które zadają spontanicznie. Odnoszę wrażenie, że z kobietami idzie mi trudniej niż z mężczyznami. Wiem, że nocą nie powinnam wychodzić z domu, bo jestem tu sama, a do tego młoda. Nikt mi o tym nie powiedział, ale domyślałam się, że właśnie o tym powinnam pamiętać. Rozmawiam prawie wyłącznie z mężczyznami. Wiem, że jeśli chcę odnaleźć jakieś ślady

i dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie, żeby potem stworzyć szczegółowy obraz zamiast układać go z niekompletnych fragmentów, powinnam odwiedzać kawiarnie i restauracje, wysiadywać przy stoliku w kącie sali i sączyć kawę po turecku ze zbyt dużą ilością cukru. Wieczorami chodzić do baru i czekać, aż jakiś facet, który przed chwilą zdjął z palca obrączkę ślubną, postawi mi rakiję albo piwo z pianką z browaru Birra Korça.

Najwięcej dowiedziałam się od pewnego człowieka, który jest niewiele ode mnie starszy. Ma dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia dwa lata. Nawiązał ze mną kontakt w kawiarni. Siedział i coś czytał i w pewnej chwili przysiadł się do mojego stolika, bo zainteresowała go moja książka – amerykańska powieść kryminalna, którą kupiłam na lotnisku. Powiedział mi, że czyta albańską książkę o filozofii. Przerzucał strony i pokazywał mi różne fragmenty, a ja rozpoznawałam pojedyncze słowa, chociaż wcale się do tego nie przyznawałam. Ładnie się uśmiechał... człowiekowi od razu robi się różniej na duszy, gdy widzi taki uśmiech. Następnego dnia po popołudniu spotkaliśmy się w tym samym lokalu. Niby przypadkiem. Tak to przynajmniej rozegrałam. Przez dwie godziny czekałam z nadzieją, że się zjawi. W końcu przyszedł z tą samą książką pod pachą. Wypiliśmy kilka filiżanek kawy po turecku i poprosiłam go, żeby opowiedział mi o Szkodrze. Jest w tym dobry. Kiedy opowiada, czuję się tak, jak gdyby wziął mnie za rękę i zabrał na spacer po mieście. Przechadzamy się ulicami, jakbyśmy szli przez różne epoki historyczne o różnych porach roku. Wydaje mi się, że znam to miasto, jego okolice i cały kraj trochę lepiej niż na początku. Zastanawiam się, czy wystarczy mi odwagi, żeby poprosić go o pomoc w poszukiwaniu rodziny i krewnych, bo sama nie radzę sobie w tutejszych zbiurokratyzowanych instytucjach i urzędach.

Spytam go o to jutro wieczorem. Ma na imię Lorik. Jesteśmy umówieni na kolację. Bardzo się cieszę, że go poznałam.

KUPIŁAM NOWĄ BLUZKĘ I skromną krótką sukienkę. Dwie ulice dalej znalazłam prywatny zakład krawiecki. Krawcowa od ręki wprowadziła konieczne poprawki. Przeglądam się w lustrze, które wisi w wynajmowanym przeze mnie pokoju, i nie kryję zadowolenia. Wyglądam naprawdę elegancko. Wiem, że Lorikowi też się spodoba, bo dotychczas widział mnie tylko w dżinsach i T-shircie. Pierwsza wspólna kolacja w restauracji to coś zupełnie innego niż przeglądanie książki w kawiarni.

Na nogach mam sportowe obuwie, bo tylko takie zabrałam ze Szwecji. Na następne spotkanie trochę się „podrasuję”.

Patrzę na zegarek, zaraz muszę wyjść. Czeszę włosy i zakładam kolczyki, które kupiłam w kolorowym sklepie na rynku. Można w nim znaleźć dosłownie wszystko. Na etykietce było napisane, że to prawdziwe złoto. Nie bardzo wierzę w takie zapewnienia, ale to bez znaczenia. Kolczyki błyszczą i dzięki nim czuję się bardziej dorosła. Jeśli następnym razem...

Ciii! Zastygam w bezruchu. Stoję i nasłuchuję.

Znowu ten sam dźwięk. Kroki. Tuż przed moimi drzwiami.

Nie wiem, dlaczego reaguję tak nerwowo. Przecież nie muszę się niczego bać. Nikt mi jeszcze nie groził, a na pewno nie tak jak kobiety na bazarze, które sprzedają się za pieniądze. Myślały, że odbieram im klientów. Innym razem nastraszył mnie pewien barman. Ostrzegł mnie, że powinnam wrócić do domu, bo narobię sobie kłopotów, bo nie wszyscy mężczyźni są tu sympatyczni. Ale to nie dlatego serce bije mi mocniej... Chodzi o to, że ani razu nie słyszałam, żeby ktoś chodził po tym domu.

Właściciel mieszka na parterze, ale wyjechał na miesiąc, a chłopak, który zajmuje się ogrodem, wchodzi tylko do szopy po grabie i sekator.

Kroki ucichły i ktoś puka do drzwi. Mocno i zdecydowanie. Stoję zeszywniała i nie wiem, co zrobić. Po chwili znowu słyszę głośne pukanie.

– *Hello?*

Kobiecy głos. Angielskie słowo z albańskim akcentem. Nie odpowiadam.

– *Hello... in there?*

Głos, którego w żadnych okolicznościach, choćbym nie wiem jak się bała, nie mogłabym uznać za groźny, natarczywy albo agresywny. Przeciwnie: jest grzeczny i sympatyczny.

– *Miss, I would really...*

W końcu otwieram. W drzwiach stoi kobieta, czterdziestopięcioletnia, może pięćdziesięciopięcioletnia. Oczy ma równie przyjazne jak głos, a głębokie zmarszczki na policzkach pasują do jej wieku. Wygląda na zmęczoną albo smutną. Trudno to określić, bo jej nie znam i nigdy wcześniej nie widziałam.

Stoję i milczę. To przecież ona zapukała do mojego pokoju.

– *Miss... chodzi o to, że...*

Kobieta posługuje się mieszanką angielskiego i albańskiego.

– Słyszałam, że pani szuka...

W jej głosie wyczuwam lekki niemiecki akcent. Chyba bardzo jej zależy, żebym ją zrozumiała.

– Słyszałam, że pani zadaje pytania...

Nie brzmi to jak oskarżenie, tylko stwierdzenie faktu. W jej głosie wyczuwam powagę i niepokój.

Stoję i nie odpowiadam, ale też nie zamykam przed nią drzwi. Nie wiem, jak potraktować jej słowa.

– Czy mogę wejść? – pyta kobieta i wskazuje głową na mój nieposprzątany pokój. Miałam niewiele czasu, więc po powrocie z miasta od razu poszłam pod prysznic. Ubranie zostawiłam na podłodze, a potem nie mogłam znaleźć szczotki do włosów... Poza tym nie spodziewałam się wizyty.

Otwieram szerzej drzwi i kobieta wchodzi do środka. Wskazuję ręką łóżko, jedyne miejsce, na którym można usiąść, ale ona woli stać.

– Nie powinna pani zadawać tyle pytań. To nie jest dobre.

Stoi na środku pokoju i co jakiś czas patrzy przez okno, jakby wypatrywała kogoś na ulicy.

– Ludzie są nimi zaniepokojeni. A gdy coś ich niepokoi, zaczynają zadawać swoje pytania. Właśnie w taki sposób dowiedziałam się i domyśliłam.

Dopiero teraz reaguję.

– Czego się pani domyśliła?

– Kim jesteś.

Kobieta odsuwa poduszkę, siada obok mnie na łóżku i bierze mnie za rękę. Jestem tak zaskoczona, że nie protestuję.

– Zana. Nazywasz się Zana Lilaj.

– Już rozumiem... Zna pani Lorika.

– Nie.

– Pracuje pani w którymś z urzędów, które odwiedziłam?

– Też nie.

– O tym, jak się nazywam, powiedziałam tylko pewnej kobiecie w pociągu, Lorikowi i kilku urzędnikom. Nikomu więcej.

Kobieta puszcza moją rękę i głaszcze mnie po twarzy.

– To ty, chociaż upłynęło tyle czasu.

– Teraz naprawdę nic nie rozumiem.

Nadal głaszcze mnie po twarzy. Jej dotyk sprawia mi przyjemność, chociaż wcale się go nie spodziewałam. Mimo to nie uchylam się, tylko czekam, co będzie dalej.

– Łatwo cię poznać. Usta, kości policzkowe. Jesteś starsza, ale to ty.

– Jak to ja?

– Jestem twoją ciotką. Twój tata był moim starszym bratem.

– Słucham?

– Nosiałam cię na rękach. Kładłaś główkę na moim ramieniu i spokojnie sobie leżałaś. Pierwszy raz zobaczyłam cię zaraz po urodzeniu... przez następne dwa lata widywałam cię dość często. Kiedy nie mogłaś zasnąć, kładłam cię do wózka i jeździłam z tobą po mieście. Ostatni raz widziałam cię, jak miałaś trzy latka.

Kobieta całuje mnie w czoło i znowu sprawia mi to przyjemność. Mam wrażenie, jakbym doświadczyła tego uczucia dawno temu. Nic nie rozumiem.

Wstaję z łóżka, kręci mi się w głowie. Siostra taty? Moja ciotka? Właśnie po to tu przyjechałam. Niestety, zupełnie jej nie pamiętam. Skąd mam wiedzieć, że...

– Domyślałam się, o czym teraz myślisz: że każdy może tu przyjść i podać się za kogokolwiek. Ale przecież sama widzisz, że jesteśmy do siebie podobne.

Kiwam głową, lecz nadal mam wątpliwości. Chciałabym, żeby to była prawda. Chcę tego tak bardzo, że serce, które do tej pory i tak biło szybkim rytmem, nagle zaczyna we mnie tańczyć. Wiem jednak, że nadzieja może być złudna. Ktoś twierdzi, że jest rodziną, a potem okazuje się, że jest kimś

obcym... na przykład wtedy, gdy okazuje się, że twoi rodzice są adopcyjni, a nie biologiczni, jak Thomas i Anette.

– Usiądźmy – proponuje kobieta. – Coś ci pokażę.

Siadamy na tych samych miejscach co wcześniej. Sięga po torebkę, coś z niej wyjmuje i kładzie ją wśród porzucanych ubrań.

– Popatrz.

Wyblakłe kolorowe zdjęcie z pogniecionymi brzegami. Prostuję je kciukiem i palcem wskazującym.

– Poznajesz ich?

Zdjęcie przedstawia dwuletnią dziewczynkę, która siedzi w spacerowym wózku i uśmiecha się do obiektywu. W rękach trzyma szklankę, na policzkach i brodzie zostały resztki napoju. Nad wózkiem pochyla się kobieta, która dotyka policzkiem główki dziecka. Widać, że bardzo się kochają.

– Na pewno poznaję ją – odpowiadam i wskazuję palcem kobietę. To młodsze o dwadzieścia lat wydanie siedzącej obok mnie kobiety.

– Tak, to ja. A poznajesz dziecko?

Owszem, poznaję. To ja.

– Jak się pani nazywa? – Patrzę na kobietę, która może być moją ciotką.

– Vesa.

Zabrzmiało to jak szept. Jej imię unosi się nade mną i wypełnia sobą całą przestrzeń.

– Tak – mówię. – Masz na imię Vesa.

Zdjęcie zaczyna się zwijać, więc przytrzymuję je środkowym palcem.

– Gdzie je zrobiono?

– Niecałe dwieście metrów stąd. W centrum miasta. Na tej fotografii masz dwa i pół roku, a ja dwadzieścia pięć lat.

Kobieta grzebie w torebce i po kilku sekundach wyjmuję z niej kolejne zdjęcie. Nie muszę nawet pytać, co przedstawia. Jest na nich ta sama kobieta i to samo dziecko, a oprócz nich Eliot, Julia i tata.

– Twoja mama zrobiła je w restauracji, która nadal istnieje. Znajduje się niedaleko mostu nad Drinem.

Trzymam w ręce skrawek papieru, który jest dla mnie wszystkim. Przedstawia pięć osób, z których żyją tylko dwie: ja i moja ciotka.

– Nie powinnaś iść na tę kolację – odzywa się Vesa.

Wzdrygam się na jej słowa. Przez dwie minuty dowiedziałam się więcej, niż mogłabym sobie wymarzyć, ale nie zamierzam rezygnować ze spotkania z Lorikiem. Myślę, że będzie podobne do spotkania z Vesą. Może dowiem się czegoś nowego? Albo coś mi się przypomni?

– Przykro mi, ale zamierzam tam pójść. Jeśli chcesz, możemy się umówić na jutro. Wtedy porozmawiamy o wszystkim.

– Nie wolno ci tam iść.

– Nie wolno?

– To zbyt niebezpieczne.

Głośno się śmieję, czego od dawna nie robiłam. Śmieję się z ciotki, która już po tak krótkiej rozmowie zaczyna się o mnie niepokoić. Tak jak Thomas i Anette, chociaż oni starali się to ukrywać.

– Nie musisz się o mnie martwić. Mam szesnaście lat, wychowywałam się w Szwecji. Może tutaj panują inne zwyczaje, nie jestem już jednak dziewczyną. Chodziłam z chłopakiem, który był starszy ode mnie. Później okazało się, że to zwykły dupek, ale umiałam sobie z nim radzić.

Wypowiadam te zdania szeptem, lecz nie dlatego, że jest mi wstyd. Po prostu nie wiem, czy można z nią rozmawiać o takich sprawach. Przecież jej jeszcze nie znam. Vesa bierze mnie za rękę.

– Nie to miałam na myśli.

Zdjęcia spadają na podłogę i same się zwijają.

– Chciałam powiedzieć, że naprawdę nie wolno ci iść na tę kolację.

– Przykro mi, ale sama o sobie decyduję. Nie ty za mnie odpowiadasz.

Vesa nie krzyczy, ale i tak widzę, że jest bardzo wzburzona.

– Nie wolno ci tam iść i koniec!

Patrzy na mnie przyjaznym wzrokiem, jakby chciała mnie objąć.

– Rozumiesz, co powiedziałam? Pojedziesz ze mną do domu. Dopiero tam ci wszystko wyjaśnię.

– Nie znam numeru jego telefonu... Jeśli mam zrezygnować ze spotkania, powinnam go o tym poinformować. Nie może tam siedzieć i czekać, aż się zjawię.

– On to na pewno zrozumie.

– Jak to?

– Uwierz mi: jeśli nie przyjdiesz, na pewno się domyśli dlaczego.

Vesa obejmuje mnie, a ja czuję, że robi to szczerze. Jej uścisk jest inny od wszystkich. Przynajmniej ja sobie takiego nie przypominam.

DOM MOJEJ CIOTKI STOI W ustronnej okolicy, w pobliżu miejsca, gdzie rzeka Buna wpada do Adriatyku. Niedaleko leży liczące tysiąc mieszkańców miasteczko Velipoja. Księżyc jest w pełni, rzeka lśni na zielono. Mam ochotę skoczyć z mostu i przepłynąć na drugi brzeg, gdzie jest już inne państwo – Czarnogóra. To tak blisko. Przy ognisku siedzi grupka ludzi. Wołam do nich, a oni mi odpowiadają. Granica niby istnieje, ale jest niewidzialna.

Ciotka mieszka sama. Na półce i drewnianej komodzie w przedpokoju stoją zdjęcia przedstawiające jej byłego męża. Na razie nie wiem, czy Vesa jest wdową, czy rozwódką. Musimy się lepiej poznać, dopiero potem będę mogła spytać ją o takie sprawy. Wszystko mi wyjaśni, najpierw jednak sama zada mi swoje pytania – także te, na które nie znam odpowiedzi.

Dom jest bardzo ładny, ale zbyt duży jak na samotną kobietę. Wokół panuje cisza, do najbliższego sąsiada jest dość daleko. Powoli się uspokajam. Ciągły szum w głowie na chwilę jakby cichnie, ale szybko zamienia się w inny, który chce mi wypełnić czaszkę. Najpierw krąży wokół mnie, a potem, gdy ciotka wyjmuje z dużego sekretarzyka album ze zdjęciami, wdziera się we mnie gwałtownie i wypełnia całe moje ciało. Zaczynam rozumieć, że nie można wykasować swojego życia do końca. Przed wyjazdem spaliłam swoje zdjęcia, a tymczasem tutaj, w małym mieście na północy Albanii, znalazłam ich tyle samo.

Kim jest dziewczynka ze zdjęcia, na którym ktoś napisał ołówkiem imię *Zana*? O czym myślisz?

Wiem, że to ja, poznaję po rysach twarzy, ale nic mnie z nią nie łączy. Jest mi obca. Należy do zbyt odległych czasów, żeby łączyć ją z tym co

dzisiaj.

Najbardziej podoba mi się zdjęcie, które zostało powiększone i zajmuje całą stronę.

Są na nim moi rodzice, bo Eliota i Julii nie było jeszcze na świecie. Stoją objęci; widać, że się kochają i w pełni sobie ufają. Mają przed sobą cały świat. Nie przeczuwają, że za kilka lat będą martwi, bo zostaną zamordowani w swoim mieszkaniu w Sztokholmie, tak jak dwójka ich starszych dzieci. Żałuję, że nie mogę ich ostrzec, choć na tej fotografii nadal żyją.

– Nie możesz tu zostać, rozumiesz?

– To znaczy gdzie? U ciebie?

– W Albanii... w Szkodrze.

– Przecież dopiero tu przyjechałam!

– I dlatego powinnaś opuścić ten kraj.

– Wyjechać? Z Albanii? Przecież to mój dom. Pierwszy raz w życiu tak się czuję.

– Chodzisz i zadajesz pytania. To niebezpieczne.

– A co w tym strasznego?

– O tym, co tu robisz, dowiedzieli się niewłaściwi ludzie. Oni nie lubią ryzykować.

– Jak to ryzykować? Nic nie rozumiem.

– Twojemu tacie zbyt dobrze się wiodło.

Siedzimy w dużej kuchni z wysokim sufitem. Nad naszymi głowami wiszą ciężkie drewniane belki, obok starego pieca stoi nowoczesna kuchenka. Są też kręte schody, z których w dawnych czasach korzystała służba, żeby nie przeszkadzać państwu... swoim pracodawcom. Pokoje służby znajdowały się na piętrze. Na chwilę zapominam, gdzie jestem, bo

coś się ze mną dzieje. Czuję, jak przelewa się przeze mnie gwałtowna fala. W chwili gdy dociera do policzków, natychmiast robią się ciepłe i czerwone. Jestem dumna... i to bardzo. Pierwsza rzecz, jakiej dowiaduję się o moim tacie, jest taka, że dobrze mu się wiodło.

– Czym się zajmował?

– Brał udział w wojnie domowej.

Policzki mi pulsują, wprost pęcznieję z dumy.

– A co na niej robił?

– Urodziłaś się mniej więcej na początku wojny, w dziewięćdziesiątym siódmym roku. To właśnie wtedy twój tata zarabiał najwięcej pieniędzy. Przemyczał broń do Kosowa, górami i rzeką. Kiedy nastał pokój i wszystko padło, musiał poszukać nowego zajęcia i dlatego rok później wyjechaliście do Szwecji.

Ciotka pokazuje mi kolejne zdjęcie, które przedstawia naszą rodzinę w dniu wyjazdu.

– Myślałam, że widzę was ostatni raz. Do dzisiaj pamiętam, co wtedy czułam. Nie wiem dlaczego... po prostu tak mi się wydawało. Zdjęcie zostało zrobione na lotnisku.

Fotografia jest lekko wygnieciona, jakby ktoś ją zmiął, wyrzucił, a potem zmienił zdanie i wygładził. Przedstawia całą naszą rodzinę. To jedyne zdjęcie, na którym jesteśmy razem. Twarze mojej rodziny nie wydają mi się na nim obce. To my. Tacy byliśmy.

– Popatrz na to.

Zdjęcie na końcu albumu. Ma format jak do paszportu albo dowodu osobistego. Jest starsze od innych fotografii, widzę to po jakości papieru, ubraniach i uczesaniu.

– To twój dziadek ze strony ojca... nasz tata. Nie zdążyłaś go poznać, bo długo siedział w więzieniu. Zajmował się tym samym: przemyczał broń

rzeką.

Chyba nie zrozumiałam, co Vesa chciała przez to powiedzieć. Widzi to po mojej minie.

– Twój dziadek był przestępcą. Broń, którą handlował, była nielegalna, tak jak ta, którą przemycał i handlował twój tata. To dlatego wiodło mu się tak dobrze.

Po słowach ciotki nie jestem już taka pewna, czy nadal powinnam być dumna z taty.

– Mirza i ja wychowywaliśmy się w tym domu. Już w dzieciństwie nami rządził. Chciał być taki jak jego ojciec. Ja byłam inna, zamierzałam prowadzić normalne życie. Teraz widzę, że dokonałam właściwego wyboru. Zobacz, co się stało z twoim tatą. – Vesa wypowiedziała te słowa spokojnym tonem. Nie było w nich sarkazmu, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Taka właśnie jest. – Żeby więc i tobie nie przytrafiło się coś złego, musisz stąd wyjechać.

– Od kilku lat wiem, że mój tata został zamordowany. Nagle wszystko sobie przypomniałam. Pamiętam, że cała moja rodzina została zabita. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie wolno mi tu zostać? Na przykład u ciebie? Czuję się tu jak w domu, bardziej niż kiedykolwiek i gdziekolwiek indziej.

– Nie wolno ci tu zostać, bo tamte sprawy się ze sobą wiążą. W Szkodrze nadal żyją ludzie, którzy nie wiedzieli, że przeżyłaś. Teraz już o tym wiedzą i w przeciwieństwie do mnie, twój widok nie napawa ich radością.

Vesa znowu bierze mnie za rękę, tak jak kilka godzin temu w wynajętym przeze mnie pokoju. Czy to możliwe, że od tamtego momentu upłynęła cała wieczność? Nie wiem.

– Uwierz mi: naprawdę musisz stąd wyjechać. Za cztery godziny z Tirany odlatuje samolot do Sztokholmu. Zawiozę cię na lotnisko. Jest

ciemno, nikt nas nie zauważy.

– Chcesz jechać teraz?

– Tak.

NA DWORZE RZECZYWIŚCIE JEST ciemno, więc jedziemy wolno. Vesa zrezygnowała z wyasfaltowanej autostrady i wybiera boczne drogi. Mijamy małe wioski i górskie zbocza, płosząc stada zwierząt, które ułożyły się tam na spoczynek. Zapadł zmrok, który daje nam schronienie.

Moja ciotka jest podenerwowana. Stara się to ukryć, ale chociaż znamy się krótko, wyraźnie to po niej widzę. Od samego początku była niespokojna: gdy ze mną rozmawiała, kiedy pokazywała zdjęcia i wyprowadzała samochód z garażu. Ten jej niepokój utrzymywał się przez cały wieczór.

Żeby dojechać na miejsce, potrzebujemy godziny. Vesa wyjaśniła mi, że na lotnisku będę miała dużo czasu. Po drodze nie mijamy innych samochodów. To dobrze, bo inaczej musiałybyśmy korzystać z nieoświetlonych mijanek. Niepokój ciotki wyraźnie rośnie, gdy u stóp góry widzimy nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd, który na nasz widok ani nie zwalnia, ani nie zjeżdża na bok. Przeciwnie: ustawia się w poprzek drogi i całkowicie ją blokuje. Kierowca włącza mocny reflektor i kieruje go w naszą stronę.

Zatrzymujemy się, ale zostajemy w wozie. Chcę spytać, co się dzieje, lecz Vesa patrzy przed siebie i milczy. Chwilę później w tamtym samochodzie otwierają się drzwi. Nic nie widzę, ale słyszę, jak ktoś z niego wysiada i rusza w naszą stronę. Po sylwetce poznaję, że to mężczyzna. Jest wysoki, ubrany w kurtkę, którą rozwiewa wiatr. W prawej ręce trzyma jakiś przedmiot. Podchodzi do naszego samochodu, zatrzymuje się przy drzwiach od strony Vesy i puka w boczną szybę. Nie patrzę w jego stronę; czuję się niezręcznie, w świetle reflektorów widzę żar papierosa i pasemko

dymu. Vesa nie opuszcza szyby, więc mężczyzna jeszcze raz w nią puka. Nie mogę dłużej wytrzymać; odwracam się, zerkam na niego i nagle ogarnia mnie radość! Niepewność natychmiast znika, mam ochotę objąć Vesę i powiedzieć jej, że nic nam nie grozi, że nie musi się o mnie niepokoić, bo go znam. To Lorik.

– To on, ciociu.

Vesa nie odpowiada. Nadal siedzi ze wzrokiem wbitym przed siebie. Chyba dalej nic nie rozumie.

– To z nim miałam iść na kolację. Ma na imię Lorik. Otwórz okno i opuść szybę. Nie przyszedł na spotkanie, więc pojechał za mną. Lubi mnie, rozumiesz?

– Siedź spokojnie, nic nie mów i patrz przed siebie.

– Ciociu, posłuchaj, ja...

– Nie jest dobrze.

Lorik znowu puka w szybę, zagląda do samochodu i zerka na mnie. Nie rozumiem, dlaczego mam odwrócić głowę.

– Patrz przed siebie.

– Ale ja...

– Powiedziałam: patrz przed siebie!

Robię, co mi każe, i siedzę nieruchomo w blasku reflektora.

Vesa opuszcza szybę i zaczyna coś mówić. Rozmawiają po albańsku, więc nic nie rozumiem. Czuję jednak, że się nienawidzą. Lorik jest jakiś inny, ciotka też zachowuje się inaczej. Po chwili rozmowa dobiega końca i Vesa mówi:

– On chce zobaczyć twój paszport.

– Co?

– Wyjmij paszport.

Dopiero teraz widzę, że ciotka drży. Bardzo się czegoś boi. Więcej: jest przerażona. Być może zabrzmiało to przesadnie, ale na opisanie jej stanu brakuje mi słów.

Wyjmuję paszport i daję go ciotce, a ona od razu przekazuje go Lorikowi. Ten przerzuca kilka kartek.

– Hannah Ohlsson? – Głos ma ostry, przeszywający... jakby się we mnie wwiercał.

– Tak.

Rozmawiamy ze sobą po angielsku, tak jak w kawiarni. Lorik zna ten język tak dobrze jak ja.

– Naprawdę się tak nazywasz? Używałaś innego imienia.

– Mam dwa imiona i dwa nazwiska, ale oba dotyczą tej samej osoby: mnie.

– Nie podobają nam się twoje pytania o Lilaję...

– Nam? To znaczy komu? Nic nie rozumiem.

Dopiero teraz widzę, że Lorik mierzy do mnie z pistoletu.

– Dlaczego zadajesz tyle pytań? Dlaczego używasz nazwiska Lilaję?

Chciałabym się schować za Vesę, ale ona drży i milczy. Po raz pierwszy żałuję, że nie jestem Hannah Ohlsson.

– Odpowiadaj!

O broni wiem tylko to, co widziałam na filmach.

– Bo ...

Wiem, że jeśli ktoś taki jak Lorik odbezpiecza pistolet, robi to po to, żeby strzelić.

– ...bo tak nazywał się mój tata.

To dziwne, ale już wszystko rozumiem. Lorik kładzie palec na spuście i zaczyna go naciskać. Jego oczy robią się twarde, chociaż niedawno, gdy

ze mną rozmawiał, były łagodne.

Pada strzał.

CZĘŚĆ PIĄTA

ASFALT W SZTOKHOLMIE NICZYM SIĘ nie różnił od asfaltu w Söderköping. Upał już od pierwszego dnia czerwca wziął całą Szwecję w swoje okowy. Kiedy jednak aspiranci wysiedli z samochodu i Grens zaparkował przy tylnym wejściu na komendę, żar wydał mu się jeszcze dokuczliwszy niż wcześniej. Przykucnął i przyłożył dłoń do chodnika, chociaż kolano zaprotestowało, żądając, żeby natychmiast się wyprostował. Powietrze wprost pulsowało od gorąca. Nic nie wprawiało go w gorszy nastrój niż ten nieokiełzany miejski upał, który utrudniał mu oddychanie.

– Zanim wrócicie do domu, chciałbym was poprosić, żebyście załatwili jeszcze jedną sprawę.

Wciąż myślał o dziewczynce, która nazywała się Hannah Ohlsson i przebywała w nieznanym miejscu. Nie mógł przestać myśleć ani o niej, ani o zdjęciach. Kiedy je niszczyła, wiedziała, że wkrótce zniknie bez śladu, a może nawet zginie. Uznała jednak, że to lepsze niż rezygnacja z dochodzenia prawdy o własnej przeszłości.

– Sprawdźcie, co się stało ze zgłoszeniem państwa Ohlssonów w sprawie zaginięcia córki. Przewróćcie do góry nogami nasze kartoteki, rejestry i archiwum. Ustalcie, co w tej sprawie zrobiono i czego zaniechano.

Lucas i Amelia zdążyli już pokonać połowę schodów prowadzących do wejścia. Po słowach Grensa zatrzymali się, żeby na niego poczekać. Z trudem pokonywał kolejne stopnie.

– Co pan komisarz ma na myśli?

– Przejrzyjcie rejestr osób poszukiwanych w Szwecji w okresie jej zaginięcia. Sprawdźcie podobne zgłoszenia we wszystkich komendach na terenie całego kraju. Chodzi mi zarówno o osoby, które zaginęły i po kilku

dniach się odnalazły, jak i te, które się nie odnalazły. Przejrzyjcie akta śledztw prowadzonych w sprawie niezidentyfikowanych zwłok kobiet. Zajrzyjcie do rejestru osób poszukiwanych i do ewidencji niezidentyfikowanych zwłok w Oslo, Kopenhadze i Helsinkach. Zdarza się, że ludzie, którzy zniknęli w jednym miejscu, pojawiają się później w innym.

– A co będzie, jeśli...

Jak zwykle Lucas. Aspirant, który odzywa się niepytany i mówi nieprzemyślane rzeczy. Tym razem miał zatroskaną minę.

– Tak?

– ...jeśli zostaną znalezione jakieś zwłoki? W takim wypadku będziemy musieli sprawdzić w rutynowy sposób wszystkie rejestry, do których mamy dostęp: stomatologiczne, te z odciskami palców, bazy DNA. Ile zostanie nam po tym wszystkim aktualnych niezidentyfikowanych przypadków śmierci? Więcej niż palców u obu rąk? Jeśli ona...

– Właśnie to macie sprawdzić: czy nie znajdziecie jej gdzieś w naszym bliskim otoczeniu.

Lucas zerknął na Amelię, a ona na Grensa. Komisarz domyślił się po ich minach, że nie wyraził się jasno.

– Co pan miał na myśli, mówiąc o „naszym bliskim otoczeniu”?

– Dzięki temu będziemy mogli uzasadnić nasz wniosek o pomoc Interpolu. Interpol zrobi to samo co my, tylko na szerszą skalę: zwróci się o pomoc do policji w Albanii. Dzięki temu uda nam się sprawdzić wszystkie nierozwiązane śledztwa w sprawie zabójstw i niezidentyfikowanych zwłok.

Grens minął aspirantów i zostawił ich na schodach. Oboje byli zachwyceni tym, że przydzielił im zadanie, przy którym będą mieli do czynienia z Interpolem. Właśnie na tym ma polegać odbywanie praktyk:

przyszły policjant powinien zapoznać się z różnymi aspektami tej pracy, które dla innego policjanta – mającego wkrótce zakończyć swoje ostatnie śledztwo i przejść na emeryturę – stanowiły codzienną praktykę.

Kiedy aspiranci weszli do komendy, Grens udał się do kawiarni na Sankt Eriksgatan, do której zaprosił na filiżankę kawy i popularny w Szwecji „tort księżniczki” policyjnego technika, Nilsa Krantza. Zamierzał wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji. Po spotkaniu poszedł opustoszałymi ulicami Kungsholmen na długi spacer, żeby bez świadków porozmawiać ze Svenem Sundkvistem o tym, dlaczego nadal powinien śledzić Hermansson. Nie wyjawiał mu swoich dalszych planów i przemilczał fakt, że jeśli po sprawdzeniu okaże się, że Hermansson jest czysta, podobnym nadzorem zamierzał też objąć jego. Kiedy dwie godziny później wrócił do domu, zrezygnował z windy i poszedł na górę schodami. Po dotarciu na swoje piętro trochę postał, żeby wyrównać oddech. Intruz, który poprzednio włamał się do jego mieszkania, czekał na niego przed drzwiami.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór, panie komisarzu.

– Może powinieneś mieć własny klucz?

– Aż tak długo nie zamierzam tu zostać.

– Ja nigdy nie miałem zapasowego klucza, bo nie było powodu. Mimo to dziś wieczorem odwiedziłem zakład szewski przy stacji metra na placu Odenplan i kazałem dorobić klucz. *À propos...* jak to jest, że w dzisiejszych czasach to szewcy dorabiają klucze i wymieniają baterie w telefonach?

Grens wyjął lśniący nowy klucz i podał go Hoffmannowi. Ten od razu go wypróbował i okazało się, że pasował do zamka idealnie. Wsunął go do kieszeni koszuli i wszedł do mieszkania. Obok kanapy, na której leżały wyszywane plastikowymi perełkami poduszki, postawił torbę, koszulę

zamienił na T-shirt, a eleganckie spodnie na dżinsy. Chwilę później zadzwonił telefon. Ten, który wbrew swoim zasadom zabrał ze sobą. Przez moment nie odbierał, bo szukał Grensa. W końcu znalazł go w kuchni. Komisarz stał przed lodówką z otwartym kartonem soku pomarańczowego w ręce.

– Chciałbym, żeby pan tego posłuchał. Wyrobi pan sobie pogląd na tę sprawę, a może nawet usłyszysz coś, co ja przeoczę.

Hoffmann ułożył komórkę w taki sposób, żeby obaj z komisarzem słyszeli treść rozmowy.

– Słucham?

– *Szukaliśmy cię.*

Ten sam zniekształcony głos, ta sama intonacja, rytm i oddech.

– *Wiele razy.*

Hoffmann zrobił to, czego uczył się przez lata, gdy był policyjnym informatorem: opanował narastającą złość i poczekał, aż stłumi w sobie pragnienie przemocy. Uderzył dopiero wtedy, gdy cios zaboli najmocniej.

– Przepraszam, ale byłem w kiepskim nastroju, więc doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie nie odbierać.

– *Co z bronią?*

Hoffmann prowadził tę rozmowę szeptem, żeby nie zdradzić się ze swoim nowym głosem. Teraz jednak miał ochotę krzyknąć: „Przecież wiem, gnojku, że widziałeś, jak ją brałem”. Opanował się jednak, bo wiedział, że to konieczne.

– Trzymam ją w bezpiecznym miejscu.

– *To dobrze. Nadszedł czas, żeby przejść do następnego etapu.*

Zerknął na Grensa, a ten skinął mu głową. Wszystko usłyszał i zrozumiał.

– Jest na to za wcześnie.

– *To ja decyduję, kiedy zaczniesz, bo to ja mam dokumenty, które dla ciebie i dla tych, na których zależy ci najbardziej, oznaczają wyrok śmierci.*

– Potrzebuję więcej czasu. Trzech dni.

– *Aż tyle?*

– Żeby wykonać to zlecenie, muszę się lepiej przygotować. Stałem się waszym współpracownikiem wbrew swojej woli, bo uznaliście, że mam do tego odpowiednie predyspozycje. Jeśli tak, to teraz wy zastosujcie się do moich wymagań. Potrzebuję trzech dni, więc jeśli chcecie, żeby mi się udało, powinniście się na to zgodzić.

Zapadła cisza. Hoffmannowi nie udało się ustalić, gdzie przebywa rozmówca, ponieważ w tle nie słyszał tak charakterystycznych odgłosów jak na przykład jadący samochód, lecący samolot, śpiewające ptaki albo ludzkie głosy.

– *Zgoda. Trzy dni, a potem puszczę te dokumenty w obieg.*

Zapadła cisza. Rozmówca Hoffmanna się rozłączył.

– Widzę, że zachowałeś spokój – powiedział Grens. – Nie spodziewałem się tego po tobie. Zwłaszcza w kontekście tego, o co w tej sprawie chodzi.

– Właśnie dlatego.

– A ten głos... jakbyś rozmawiał z robotem.

– Akurat pana nie powinno to dziwić. Czy przesłuchiwał pan kiedykolwiek bandytę, który na pytania odpowiadał normalnym ludzkim głosem? Żeby zrobić to, czego ode mnie oczekują, muszę się zupełnie wyłączyć. Emocje są tu niewskazane.

– Nie trzeba być przestępcą, żeby to zrozumieć.

Hoffmann zerknął w głąb mieszkania – najbardziej pustego, jakie kiedykolwiek widział. On i komisarz doskonale się rozumieli. Obaj wiedzieli, że najgroźniejszym wrogiem jest samotność.

Podczas rozmowy telefonicznej Grens zupełnie zapomniał o kartonie z sokiem. Teraz postawił go na stole, a obok położył pół bochenka chleba, kawałek żółtego sera i masło. Przyniósł też dwie szklanki i dwie filiżanki. Wstawił wodę na kawę, a gdy ekspres zaczął wydawać charakterystyczne dźwięki, poszedł do przedpokoju, zabrał stamtąd dużą, białą tablicę, mazaki, paczkę magnesów i przyniósł to wszystko do kuchni. Hoffmann obserwował go z zaciekawieniem.

– Co pan robi?

– Zaraz ci wyjaśnię... pod warunkiem że najpierw usłyszę, czym ty się zajmujesz.

Grens wskazał głową serwetkę, którą Hoffmann wyjął z kabury na nóż i rozłożył na stole. Był na niej rysunek przedstawiający coś w rodzaju krzyżówki. Powierzchnię serwetki zajmował łańcuszek kratek wypełnionych literami. Hoffmann wygładził ją i zaczął wyjaśniać komisarzowi znaczenie poszczególnych słów.

Potrzebne do przeżycia: hasło na dziesięć liter.

~~FONETOGRAM~~

Potrzebne do przeżycia: hasło na sześć liter.

~~PARTER~~

Potrzebne do przeżycia: hasło na siedemnaście liter.

~~FALDYNOŚLABIALNE~~

Potrzebne do przeżycia: hasło na czternaście liter.

~~ONTDETONUJĄCY~~

Potrzebne do przeżycia: hasło na siedemnaście liter.

~~ZAKŁÓCANIEDŹWIĘKU~~

Potrzebne do przeżycia: hasło na szesnaście liter.

~~USTALENIERÓZYCJI~~

Potrzebne do przeżycia: hasło na dziesięć liter.

~~KODDOSTĘPU~~

– Pytał pan, czym się zajmuję? Właśnie tym, co tu jest napisane: próbuję przeżyć. Chronię moją rodzinę.

– Chronisz rodzinę, ryzykując, że w razie wypadki nigdy więcej nie będziesz musiał jej chronić. Jeśli o to chodzi, to twój rozmówca z głosem robota miał rację. – Grens zwinął serwetkę i podał ją Hoffmannowi. – Jesteś dobry w planowaniu, ale w niczym ci to nie pomoże, jeśli tamte dokumenty trafią w niepowołane ręce. Czy twoje dzieci o tym wiedzą? Czy zdają sobie sprawę, że jeśli ci się nie uda, nigdy więcej nie będą mogły bezpiecznie żyć?

– Chciał pan chyba powiedzieć: jeśli nam się nie uda? Nam, bo tym razem, w odróżnieniu od poprzednich spraw, chodzi o świadczenie sobie wzajemnej pomocy. Prawda, panie komisarzu?

Grens nie musiał odpowiadać. Obaj dobrze wiedzieli, że chociaż nie miał rodziny, zrobi wszystko dla dwóch chłopców, którzy odwiedzali go czasem na komendzie i nazywali „przyszywanym dziadkiem”. Obaj pamiętali, że niecały rok wcześniej komisarz Grens leżał na podłodze i czekał na śmierć, gdy niedoszły zabójca chciał mu wbić w serce ostre narzędzie. Tylko w ten sposób mógł uratować chłopców przed śmiercią.

– To tablica z jednej z naszych nieużywanych sal konferencyjnych. Poprosiłem, żeby ją tu przywieźli. Bardziej się przyda tu niż tam. – Grens odsunął masło i chleb, postawił tablicę na stole i oparł ją o ścianę. –

Wczoraj w mojej kuchni powstało nieformalne, prowizoryczne centrum dowodzenia, a mieszkanie zamieniło się w niewielki posterunek policji obsadzony przez dwójkę funkcjonariuszy. Stało się tak dla dobra śledztwa, którego nie można prowadzić na komendzie, ponieważ pracuje tam policjant, który dał się przekupić przestępcom i jest równie groźny jak odbezpieczona broń.

Grens dopił kawę i odsunął kubek. Widząc, że brakuje miejsca na mazaki i torebkę z magnesami, przełożył masło na krzesło.

– Dziś po południu poszedłem na kawę z naszym technikiem policyjnym. To jeden z tych, których mogę poprosić o wyświadczenie przysługi i zrewanżować się przy innej okazji. Więc ten technik postanowił... jak by to wyrazić... wesprzeć nasze nowe centrum dowodzenia.

Na oparciu krzesła wisiała marynarka Grensa. Wyjął z wewnętrznej kieszeni plik kartek, jedną z nich przykleił magnesem do tablicy, wziął mazak i napisał nim pod spodem: ODCISKI PALCÓW.

– Informacje pochodzą od naszego eksperta od forensyki. Na tej kartce mamy obraz koniuszka palca. Czerwonymi kółkami zakreśliłem szczegóły, które wystarczą do jego identyfikacji. Żeby taki odcisk porównać z tymi, które są w naszej bazie, potrzeba osiem, dziesięć, a najlepiej dwanaście takich szczegółów. Nasz technik znalazł tylko cztery. Widzisz? Cztery czerwone kółka na liście z groźbami, który do ciebie wysłano, i dwa na granacie, który znajdował się w skrzynce na listy.

Hoffmann nie okazał zdziwienia. Wielkie grupy przestępcze, które zajmują się nielegalnym handlem bronią i osiągają z tego tytułu milionowe zyski, rzadko zostawiają ślady na takich listach. Równie rzadko wkładają granaty do skrzynki na listy gołymi rękami. Dotyczy to zwłaszcza tych organizacji, które nastawiają się na obroty liczone w miliardach koron.

– A teraz popatrz na to. – Grens przyczepił do tablicy kolejną kartkę i napisał pod spodem słowo BRONÍ. Na kartce był szereg informacji napisanych tak drobnym drukiem, że Hoffmann, który stał w dużej odległości od tablicy, nie mógł ich rozszyfrować. – Krantz był zdumiony, kiedy przyniosłem mu do laboratorium karabin, który dałeś mi do analizy. Nigdy wcześniej takiego nie widział, chociaż badał wszystkie istniejące modele. Niestety, analiza nic nie dała, bo ani na broni, ani na amunicji nie znalazł żadnych odcisków.

Komisarz przyczepił do tablicy trzecią kartkę i napisał pod nią PRZENOŚNA MASZYNA DO PISANIA.

– Krantz zbadał tekst na kopercie i w listach. Ze stuprocentową pewnością stwierdził, że do ich napisania użyto tej samej maszyny. Okazało się, że to stare urządzenie marki Facit, model T dwa. Dwie czcionki są mocno zużyte, dzięki czemu można je potraktować jak unikalny odcisk palca. Jeśli ją znajdziemy, będziemy mogli stwierdzić, czy to nią posłużył się nadawca.

Hoffmann pochylił się, żeby przyjrzeć się z bliska powiększonym zdjęciom. Rzeczywiście, litery „E” i „R” różniły się od innych, tworząc unikalny wzór. „E” jak Emil i „R” jak Rasmus. Niezwykły zbieg okoliczności!

Kolejne trzy kartki Grens przyczepił w dolnej części tablicy. Pod spodem napisał mazakiem FIRMA KURIERSKA. Miał na myśli tę, która dostarczyła do domu Hoffmanna przesyłkę z telefonem komórkowym. Po sprawdzeniu rejestru zleceń, plików komputerowych i ręcznie sporządzonych notatek okazało się jednak, że wspomniana firma nie tylko nie dostarczyła do domu Hoffmanna żadnych przesyłek, ale też nawet nie otrzymała takiego zlecenia.

Kolejne hasło na tablicy brzmiało: ROZMOWY TELEFONICZNE (z osobą o zniekształconym głose). Grens zwrócił się o pomoc do młodego hakera, który potrafił zrobić to, czego nie umieli zrobić inni: kilkoma kliknięciami w klawiaturę włamywał się do baz z zastrzeżonymi numerami telefonów. Niestety, jemu też nie udało się ustalić, kto i skąd dzwonił. Poszukiwania prowadzone przez dwójkę aspirantów, którzy w Szwecji i w pozostałych państwach skandynawskich szukali informacji o NIEZIDENTYFIKOWANYCH ZWŁOKACH KOBIET, też nie przyniosły rezultatu. Za to z Interpolu nadeszły informacje o tym, że albańska policja zarejestrowała w ciągu pięciu ostatnich lat osiemnaście niezidentyfikowanych zwłok kobiet i prowadziła dochodzenia w tych sprawach.

– Powiedział pan „albańska policja”?

– Tak.

– Dlaczego właśnie tam?

– Bo jest to związane z innym prowadzonym przeze mnie śledztwem. Na razie nie mogę o nim mówić. Niewykluczone, że właśnie tam zaczyna się trop prowadzący do organizacji, która ci grozi.

– Dlaczego mi pan o tym nie powiedział? Nie rozumie pan, że...

– Nie jesteś policjantem. Na razie. Ale możesz nim zostać, a wtedy dowiesz się więcej. Może nawet pojedziesz do Albanii.

Hoffmann popatrzył na komisarza, którego w ciągu kilku ostatnich lat lepiej poznał, a teraz nawet się do niego wprowadził. Poznał go na tyle dobrze, że po samej minie odgadł, że to, co Grens mówił o Albanii, nie było żartem.

– Powiedział pan „do Albanii”?

– Tak.

– I że „na razie nie jestem policjantem”?

– Zgadza się. Polecisz tam już jutro, pod warunkiem że dziś wieczorem wszystko pójdzie zgodnie z planem. Udasz się tam jako funkcjonariusz policji miejskiej w Sztokholmie. Zatrudniony na krótki okres, ale albańska policja nie musi o tym wiedzieć. Sam zaproponowałeś taki układ: ty będziesz ich rozpracowywał dla nas, ja ich dla ciebie.

– Po co mam lecieć do Albanii?

– Bo mam dla ciebie to. – Grens sięgnął po ostatnią kartkę, ale zamiast przymocować ją do tablicy, podał ją Hoffmannowi. – Poprosiłeś mnie, żebym ustalił miejsce, z którego przeprowadzono jedną z rozmów telefonicznych. Kazałeś mi wykorzystać moje znajomości i zlokalizować rozmówcę. Jestem równie rozsądny, jak nasz Krantz, który nie zadaje niepotrzebnych pytań. Na przykład o to, do kogo należał telefon dzwoniącego. Gdybym zaczął tego dociekać, dowiedziałbym się rzeczy, których wolałbym nie wiedzieć, bo wtedy musiałbym wszcząć oficjalne dochodzenie.

Hoffmann wiedział, że Grens ma rację. Komisarz, który prowadził nieoficjalne śledztwo poza siedzibą komendy policji, niekoniecznie chciałby wiedzieć, że numer telefonu należał do pracowników firmy ochroniarskiej z biura przy Birger Jarlsgatan, których Hoffmann ciężko zranił. Zajął się więc lekturą dokumentu wręzonego przez Grensa. Był to zapis rozmowy telefonicznej, do której sprowokował ochroniarzy, zostawiając w ich toalecie granat. Zamierzał w ten sposób dotrzeć do gangu, który go szantażował. Grensowi udało się ustalić współrzędne tej rozmowy dzięki swojemu kontaktowi w dużej firmie telekomunikacyjnej. Okazało się, że ochroniarze dzwonili do kogoś, kto w chwili rozmowy przebywał w miejscowości Szkodra na północy Albanii. Udało się nawet ustalić adres tego człowieka – Rruga Komanit – i znaleźć zdjęcie białej

dwupiętrowej willi, która w porównaniu z innymi domami przy tej ulicy była luksusowym budynkiem z lasem anten na ceglanym dachu.

– Popatrz na okno w pokoju na piętrze... stoi tam facet, który rozmawia przez telefon.

– Jest pan pewien, że to on?

– Absolutnie.

– A miasto? Jak się nazywało? Szkodra, prawda? Trudna nazwa... Czy ma ono jakiś związek ze śledztwem, o którym nie chce mi pan powiedzieć?

Grens uśmiechnął się, co mogło oznaczać, że jest zadowolony.

– Jak już mówiłem, na razie nie mogę z tobą o tym rozmawiać, bo chodzi o śledztwo, które zostało oficjalnie wszczęte przez policję. Oznacza to, że nie wolno mi cię o niczym informować. Przyznam jednak, że jako policjant nie wierzę w przypadki. Papier, który trzymasz w ręce, jasno dowodzi, że oba śledztwa wiąże ze sobą właśnie tamto miejsce.

JAK W FILMIE KRYMINALNYM...

Hoffmann przyglądał się tablicy w kuchni Grensa. Była ilustracją fragmentu policyjnego śledztwa nadal znajdującego się w fazie rozwoju. Sześć dokumentów, które będą sukcesywnie uzupełniane o kolejne dokumenty, i namalowane mazakiem kreski i strzałki. Sposób, w jaki komisarz przygotował tę „prezentację”, świadczył o tym, że na co dzień nie zajmuje się takimi rzeczami. Hoffmann zamierzał właśnie przytwierdzić do tablicy siódmy dokument – wydruk z firmy telekomunikacyjnej z informacją o tym, że wybrany niedawno palcem postrzelonego mężczyzny numer telefonu został zlokalizowany tysiące kilometrów na południe od tego miejsca – gdy ciszę przerwał dzwonek do drzwi: trzy sygnały tej samej długości.

– Spodziewa się pan wizyty?

– Mnie nikt nie odwiedza i nikt do mnie nie dzwoni. To był mój wybór. Tymczasem teraz, kiedy jesteś moim gościem, ktoś składa mi w dwa kolejne wieczory niezapowiedziane wizyty. Zaczynam być popularny.

Grens wyszedł do przedpokoju.

– Kto tam? – spytał przez zamknięte drzwi.

– Mariana.

Aż się wzdrygnął.

– Nigdy wcześniej u mnie nie byłaś.

– Najwyższy czas. Otworzysz mi, czy mam się dobijać, aż obudzę sąsiadów?

Komisarz otworzył i Hermansson zrobiła taki ruch, jakby zamierzała wejść do środka. Grens zatarasował jej drogę.

– Nie wyjaśniłaś, po co przyszłaś.

– Co ty wyrabiasz? Przyjeżdżam do ciebie o dziesiątej wieczorem, dzwonię do drzwi, a ty nie chcesz mnie wpuścić?

– Ja... oczywiście... Czego chcesz? – spytał Grens.

Lekko go odepchnęła i wcisnęła się do mieszkania.

– Ukrywasz coś przede mną?

Grens kazał Sundkvistowi kontrolować jej poczynania, a nawet ją śledzić. Nie był pewien, czy Hermansson jest osobą, za jaką ją uważał. Wszyscy policjanci wydawali mu się podejrzani, bo każdy z nich mógł przejść na stronę wroga.

Nagle podjął decyzję. Wziął ją pod rękę, zaprowadził do kuchni i pokazał jej kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziała.

– Ukrywam. Jego. Robię to, bo muszę.

Hermansson wpatrywała się w siedzącego przy stole mężczyznę, który mógł mieć jakieś czterdzieści pięć lat. Mniej więcej, bo trudno określić wiek osoby, która o sobie nie dba. Ten szczur biurowy o zaniedbanej aparycji mógł być znacznie młodszy, a jego wygląd mógł świadczyć jedynie o latach ciężkiej pracy.

– Jak widzisz, my też prowadzimy śledztwo. Jest związane z dochodzeniem, które niedawno wszczęliśmy ze Svenem na komendzie. Mam nadzieję, że zjawiałaś się właśnie z tego powodu.

Przyglądała się tablicy, która świadczyła o toczącym się nieoficjalnie śledztwie. Potem przeniosła wzrok na biurowego szczura i na Grensa.

– Ewert... co to jest?

– Wyjaśnię ci, jeśli ty mi powiesz, po co tu przyjechałaś.

– Prywatne śledztwo, a do tego ukrywasz kogoś?

– Rozumiem, że to...

– Co to za konszachty?

– Zaraz ci wyjaśnię, ale najpierw ty mi powiedz, po co tu przyjechałaś.

Hermansson odsunęła krzesło, które podsunął jej Grens.

– Mam to zrobić w jego obecności?

– Tak. To mój znajomy.

Spojrzała na siedzącego przy stole mężczyznę. Próbowała zrozumieć, co jej szef postradał: zmysły czy zdolność oceny sytuacji. W końcu odwróciła się do niego.

– Przychodzę w sprawie Dusko Zaravica.

– Słucham.

– Nie zgadzam się z twoją tezą, że jest zamieszany w coś, co wiąże się z tą tablicą albo oficjalnym śledztwem, które prowadzimy na komendzie. No bo jak byś się zachował, wiedząc, że twoi trzej kumple zostali niedawno zastrzeleni, a ty albo jesteś zabójcą, albo następnym w kolejce do odstrzału? Czy w takich okolicznościach wybrałbyś się późnym wieczorem na wesele, żeby się zabawić, nie dbając o własne bezpieczeństwo?

Hermansson ponownie zerknęła na nieznanego mężczyznę, który nadal milczał. Zastanawiała się, co to może znaczyć.

– Zaravic na pewno nam się nie wymknie, bo śledzi go kilkunastu naszych ludzi – powiedziała. – Mam jednak pewien problem. Jeśli policjantka wprasa się na wesele, na którym roi się od gangsterów, i zamierza przerwać im zabawę, powinna mieć w garści mocne argumenty.

– Wydałem ci rozkaz.

– Ty tak, ale nie Wilson. A to on jest naszym bezpośrednim przełożonym. Problem polega na tym, że chociaż mam dokonać zatrzymania, nie będę mogła go uzasadnić, jeśli mi nie powiesz, dlaczego mam to zrobić.

– Masz go zatrzymać, bo tak brzmi moje polecenie. Powinno ci to wystarczyć. To ja odpowiadam przed Wilsonem, nie ty. Co z Zaravicem? Jest na tym weselu bez obstawy?

– Tak, ale...

– No to go zatrzymaj. Chyba że... – Grens przerwał, bo nagle wróciło uczucie, które przed chwilą postanowił zignorować i z którego powodu postanowił pokazać Hermansson nie tylko Hoffmanna, ale także tablicę z informacjami o swoim nieoficjalnym śledztwie. Wynikało ono z obawy, że jedna z osób, którym najbardziej ufał, może się kierować własnym interesem. – Chyba że z jakichś powodów nie chcesz tego zrobić?

– Słucham?

– Czy masz jakiś problem z wykonywaniem moich poleceń? Coś, o czym nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Ukrywasz przede mną sprawy, a ja nie wiem dlaczego!

Grensowi nie spodobały się jej słowa. Uznał, że to niewłaściwa odpowiedź.

– W takim razie zrobię to sam.

– Nie tym razem. Wilson jest temu przeciwny, więc najpierw musisz go przekonać. Jeśli jednak nie potrafisz przekonać mnie, że masz jakieś podejrzenia...

– Zgoda. Przekonam go. Natychmiast jedziemy na komendę.

Hermansson skinęła głową w stronę Hoffmanna.

– Razem z twoim znajomym, który bierze udział w tym kuchennym śledztwie?

– Nie pozostawiasz mi wyboru. Wolałbym tego uniknąć, ale po drodze zrozumiesz mój punkt widzenia. Ja i mój znajomy... którego nie rozpoznałaś, chociaż spotkaliście się kilka razy przy okazji innych

śledztw... wyjaśnimy ci, o co w tym wszystkim chodzi. Pójdziemy do Wilsona, a jeśli dalej będzie się sprzeciwiał mojej decyzji, być może zadam mu pytanie, które ktoś zadał niedawno mnie, a mianowicie, czy istnieją powody, dla których nie chce albo nie może mówić.

ROZSTALI SIĘ NA SCHODACH przed wejściem do komendy. Hoffmann zniknął w tunelu prowadzącym do stacji metra Rådhusets, podczas gdy Grens i Hermansson wyjęli karty elektroniczne, otworzyli nimi drzwi wejściowe i poszli na swoje piętro. Komisarz nie wiedział, co bardziej oburzyło Hermansson: zaskoczenie, że mężczyzną w charakteryzacji, który jechał z nimi na tylnym siedzeniu, był Hoffmann, czy informacja o tym, że gang złamał ostatnie tabu i w pogoni za zyskiem zaczął grozić dzieciom. A może bardziej chodziło jej o to, że została oszukana przez swojego przełożonego, który nie mając wyboru, próbuje ratować skórę? Każdy z tych powodów mógł być prawdziwy. Sytuację pogarszał fakt, że Grens spytał ją w windzie, czy doszła do jakichś ustaleń w sprawie Wilsona. Nie złożyła w tej sprawie żadnego raportu, chociaż prosił ją, żeby przeprowadziła nieoficjalne śledztwo. Na początku milczała, by ukryć złość, a potem zachnęła się i oznajmiła, że ponownie odmawia szpiegowania ich wspólnego przełożonego. Woli się zająć zatrzymywaniem przestępców, bo taki ma zakres obowiązków.

Wilson czekał na nich za biurkiem. Od razu zauważył, że dwójka jego najbardziej doświadczonych i zdolnych śledczych krzywo na siebie patrzy. Żeby nie marnować energii na bezsensowne dyskusje, kazał im usiąść. Zamierzał zakomunikować im swoją decyzję.

– Podzielam argumenty Mariany i nie zgadzam się na zatrzymanie Zaravica.

– Słucham? Chyba się przesłyszałem?

– Nie, Ewert, nie przesłyszałeś się.

– Nie wierzę własnym uszom. Powiedz to jasno i wyraźnie.

– Nie mamy formalnych podstaw, żeby go zatrzymać. Czy to jasne?

Grens zamierzał usiąść na krześle, ale się rozmyślił. Poszedł w przeciwny róg pokoju, zatrzymał się niby przypadkiem przy sejfie, oparł się o niego i spytał:

– Czy my naprawdę musimy to znowu przerabiać? Obaj dobrze wiemy, jak się to skończy.

Pochylił się nad drzwiami sejfu i popukał w nie palcem.

– Już raz doszliśmy do wspólnego wniosku, że źle by się stało, gdybym zaczął rzucać aluzje, że ktoś manipulował przy tajnym kodzie do tego sejfu, prawda? Albo gdybym zaczął opowiadać o tajnym informatorze, z którym współpracujemy, choć oficjalnie nam nie wolno. Albo...

– Ty znowu o tym samym? Ile razy chcesz się posługiwać tą sztuczką?

– Tyle razy, ile będzie to konieczne. Skoro więc to ustaliliśmy, chcę w zamian dwóch rzeczy. Po pierwsze, wydasz zgodę na zatrzymanie Zaravica. Mariana pojedzie po niego dziś wieczorem. Po drugie, dasz mi prawidłowo wystawiony nakaz przeszukania jego mieszkania.

– W takim razie muszę cię spytać o powody. Po pierwsze, za co chcesz go zatrzymać? Po drugie, dlaczego chcesz przeszukać jego mieszkanie?

– Te szczegóły nasi przełożeni powinni załatwić z prokuratorem.

– To nie jest tak proste, jak ci się wydaje.

– Być może... ponieważ jednak nigdy nie korzystaliśmy z usług tajnych informatorów i nikt nie włamał się nigdy do sejfu, żeby wykraść z niego tajne dokumenty...

Wilson zrezygnowanym gestem rozłożył ręce. Postanowił ustąpić. Na razie. Wysłać sygnał: „Dobrze, w takim razie masz te twoje siedemdziesiąt dwie godziny”. Grens poszedł do swojego pokoju, żeby przekazać Hermansson nakaz zatrzymania. Później, gdy pojechała na gangsterskie

wesele w Bredäng, wrócił do gabinetu Wilsona na rozmowę o innej sprawie.

– Jest jeszcze coś – powiedział i zamknął drzwi. Chciał to omówić z nim w cztery oczy.

– Co takiego?

– Chodzi o dochodzenie w sprawie włamania do sejfu. Musimy ustalić, kto jest źródłem przecieku i kto naraża naszych informatorów na niebezpieczeństwo.

Wilson zaczął już pakować swoje rzeczy do teczki, ale po słowach Grensa przerwał. I nawet nie westchnął, bo nie byłoby to w jego stylu.

– Lubisz działać w pojedynkę, Ewert. Ja zresztą też.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odparł Wilson i skinął głową w kierunku zamkniętych drzwi. – Poprosiłem kilku fachowców, żeby sprawdzili mój pokój i archiwum w podziemiach, ale nie udało im się ustalić, jakim sposobem ktoś mógłby włamać się do sejfu. Nie znaleźli odcisków palców ani żadnych innych śladów. Nic nie wskazuje na to, że doszło do włamania.

– Mimo to sytuacja nie wygląda najlepiej.

– I właśnie to mnie dziwi. Żeby otworzyć sejf, potrzebna jest karta elektroniczna. Kiedy ktoś wsuwa do czytnika zielony identyfikator, w tym samym momencie następuje identyfikacja tożsamości tej osoby. Potem należy wbić swój tajny kod i w tym samym momencie następuje rejestracja danych właściciela karty w centralnym komputerze, który wszystkie te czynności zapisuje w swojej pamięci. System sprawdza, kto otwierał sejf i na jak długo. Moi fachowcy sprawdzili każdą rejestrację komputerową dotyczącą tego pokoju i archiwum przez ostatnie pół roku, ale nie stwierdzili ingerencji osób postronnych. Sejf otwierałem tylko ja, a tajne archiwum jego kierownik.

Wilson zaczął wkładać do teczki resztę rzeczy, które zamierzał zabrać do domu. Tym samym w mało subtelny sposób dał do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę.

– Co teraz? – spytał Grens.

– Nie mam pojęcia. Na razie.

– Nie przeraża cię to, że wkrótce mogą wypłynąć informacje o współpracy Pauli z policją? To oznacza śmierć dla niego i jego rodziny.

– Dobrze wiesz, że nie daje mi to spokoju.

Wilson wstał z krzesła, wziął do ręki teczkę i czekał, aż Grens też się podniesie. Na próżno, bo uparty komisarz jeszcze nie skończył tej rozmowy. Przeciwnie: przyjął taką pozycję, jakby jeszcze bardziej się przyczaił.

– Nie, nie wiem – odparł. – Nie jestem tego pewien i bardzo mnie to niepokoi. Wiem za to jedno: nikt oprócz ciebie nie otwierał sejfu. Dowody jasno na to wskazują. Wiem też, że na razie nawet nie próbowałeś mi wyjaśnić, jak do takiego włamania mogło dojść. I właśnie to wzbudza moją podejrzliwość, a ty jesteś głównym podejrzanym.

POWIERZCHNIA MIESZKANIA WYNOŚIŁA JAKIEŚ dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Grens nie umiał odpowiedzieć na pytanie Hoffmanna bardziej precyzyjnie, bo nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał. Któregoś dnia wziął Anni za rękę i wprowadzili się na Sveavägen, żeby założyć rodzinę, o której zawsze marzył. W tamtych czasach ceny za takie lokum kształtowały się zupełnie inaczej niż teraz, a on nie rozumiał treści ogłoszeń, w których była mowa o milionach koron i specjalnych ofertach cenowych dla wybranych. Z formalnego punktu widzenia był bogaty, chociaż na koncie bankowym miał zaledwie kilka tysięcy koron. Po śmierci Anni postanowił tu zostać i nic nie zmieniać, chociaż jego otoczenie bardzo się zmieniło od tamtej pory.

Miał do dyspozycji kilka pokoi, które dosłownie tłoczyły się wokół kuchni z dużą białą tablicą. Był zadowolony, że mimo zamieszania związanego z dwoma odrębnymi, a zarazem powiązаныmi ze sobą śledztwami miał się gdzie spotkać z Hoffmannem. Uznał, że umowa, którą zawarli, będzie funkcjonować lepiej, jeśli usiądą przy tym samym stole i napiją się kawy z dwóch takich samych kubków.

Dwie minuty po dwudziestej drugiej, kiedy popijali ciepłą kawę i maczali w niej świeże cynamonowe bułeczki – Hoffmann nauczył się tego zwyczaju od dziadka – zadzwonił telefon. Grens już po drugim sygnale sięgnął po wibrujący aparat. Obaj z Hoffmannem czekali na tę rozmowę.

- To ty, Mariana? Słucham?
- Sprawa załatwiona. Zatrzymaliśmy Zaravica.
- Stawiał opór?
- Żadnego.

Grens skinął głową Hoffmannowi, który od razu domyślił się treści rozmowy.

– Dzięki, dobrze się spisałaś. Dokąd go zabieracie? Do naszego aresztu w Kronobergu?

– Tak. Jest już w drodze. Czeka na niego pusta cela. A ty, Ewert?

– Co ja?

– Wciąż nie wiem, po co ci te twoje trzy dni, ale właśnie się zaczęły.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Godzina 22.18

(zostały 2 dni, 23 godziny i 44 minuty)

WIECZÓR PRZECHODZIŁ POWOLI W noc. Na dworze zrobiło się chłodniej, dzięki czemu łatwiej było oddychać. Luiza i chłopcy spali. Zofia postanowiła wyjść na chwilę na balkon, chociaż Piet ją prosił, żeby tego nie robiła. Zdecydowała się na to, bo musiała pobyć przez chwilę na dworze. Lubiła tak stać i patrzeć na rozjaśnione okna tej dzielnicy na przedmieściu. Ludzie, którzy tu żyli, nic o sobie nie wiedzieli.

Próbowała nie myśleć, tylko po prostu być. Tak właśnie zrobiła, kiedy po wielu latach stwierdziła, że zakochała się w mężczyźnie, który prowadził dwa różne życia. Było tak zarówno przez lata, które spędzili w Ameryce Południowej, jak i później, gdy odsiadywał w więzieniu swój ostatni wyrok. Po prostu być. Piet właśnie taki sposób funkcjonowania w życiu uważał za jedyny możliwy, zwłaszcza wtedy, kiedy musiał przetrwać kilka lat za kratami. Nie myśleć o mijającym czasie i nie zastanawiać się nad błędami – po prostu być: w filiżance kawy, w artykule prasowym, w naczyniach do zmywania. Aż Piet odsiedzi wyrok, na który władze skazały nie tylko jego, ale także rodzinę. Bo właśnie to oznaczał ten rodzaj kary za czyny, których się dopuścił.

– To ja.

Telefon zawibrował bezdźwięcznie. Zofia odebrała; wiedziała, kto dzwoni. Tylko jedna osoba znała ten numer.

– Ustaliliśmy, że nie będziemy do siebie dzwonić, chyba że będzie to konieczne – powiedziała. – Czy coś się stało?

– Muszę wyjechać ze Szwecji na dwa dni. Niewiele to zmieni, ale nie będę mógł nad wami czuwać w taki sam sposób jak teraz. Proszę cię więc, żebyś zachowała jeszcze większą ostrożność. Nie możecie ryzykować, że ktoś was zobaczy. Dopóki nikt nie wie, gdzie przebywacie, nic wam nie grozi. Musisz to jakoś wytłumaczyć naszym synom. Obiecuj im, że jeśli nadal będą grzeczni, nasze życie szybko wróci do normalnego trybu.

Zofia rozejrzała się, głęboko odetchnęła i weszła do mieszkania.

– Obiecuję, że to zrobię.

– Muszę kończyć. Pod zlewem znajdziesz młotek, aceton i garnek. Wiesz, co masz zrobić. W toalecie, za plastikową kratką, zostawiłem ci nowy telefon z kartą SIM. Użyj go, jeśli przez te dwa dni sytuacja zrobi się groźna.

– Co masz na myśli?

– Że w razie czego istnieje pewne wyjście.

– Jakie wyjście?

– Podjąłem środki bezpieczeństwa.

Hoffmann rozłączył się i Zofia znowu została sama. Zrozumiała, że nadal powinna zachowywać się tak, jak kiedyś postanowiła: po prostu być. W tym momencie oznaczało to tylko tyle, że powinna zamknąć drzwi do sypialni i kuchni, podejść do zlewozmywaka, otworzyć pokrywę starego telefonu, wyjąć ze środka kartę SIM, pociąć ją na drobne kawałeczki, nalać do garnka trochę acetonu i wrzucić do niego pocięte skrawki. Kiedy będą się rozpuszczały, ma owinać w kuchenną ściereczkę aparat i tak długo uderzać w niego młotkiem, aż nie da się go na powrót złożyć. Nowy telefon

znalazła w miejscu wskazanym przez Pieta. Zdążyła sprawdzić, czy działa, gdy do pokoju wszedł Emil. Zjawił się jak duch i usiadł obok niej na kanapie.

– Obudziłam cię, synku?

– Nie spałem i słyszałem waszą rozmowę.

– I co usłyszałeś?

– Wszystko.

– A konkretnie?

– Że dzwonił tata.

– Skąd wiesz, że to on?

– Mamo... przestań! Rozbiłaś młotkiem telefon, a w kuchni śmierdzi acetonem. Tylko tata robi takie rzeczy, a ja wiem dlaczego: żeby nikt nas nie znalazł.

Zofia mocno go objęła.

– Idź już spać – powiedziała.

Emil popatrzył na nią poważnym wzrokiem

– Powinniśmy być gotowi. Tak jak tata. Kiedy robi się niebezpiecznie, on zawsze jest przygotowany. A ja wiem, że znowu grozi nam niebezpieczeństwo.

Siedział na kanapie i trzymał Zofię za rękę. Było mu z tym naprawdę dobrze. Następnym razem, gdy mama każe mu wrócić do łóżka, zrobi to, ale teraz miał pewien plan. Nie chciał jednak, żeby matka cokolwiek zauważyła. Uda więc, że śpi, i poczeka, aż mama zaśnie. Miał wypróbowany sposób na odpędzenie snu: za każdym razem, gdy powieki zaczynają mu opadać, szczypie się mocno w udo, które jest najbliżej ręki.

Od dawna wiedział, po czym poznać, że mama śpi: oddycha wtedy w szczególny sposób. Wstał i zaczął się skradać. Trzeba umieć to robić. Nie

tylko słyszał, jak mama niszczy telefon i kartę SIM, ale także podsłuchał jej rozmowę z tatą, a właściwie tylko to, co ona mówiła. W rozmowie padło między innymi słowo „wyjście”. Tata nigdy go nie używał, jeśli sytuacja nie była poważna. A skoro to robił, oznaczało to, że „wyjście” jest bardzo ważne. Emil podkraść się w ciemnościach do szafki pod zlewozmywakiem, gdzie leżał młotek i inne narzędzia, i wszedł do niej. Upewnił się, że drzwiczki są szczelnie zamknięte i ze środka nie przenikną na zewnątrz żadne dźwięki ani światło, po czym wyjął swój telefon i włączył w nim latarkę. Kiedy wyjeżdżali do nowego mieszkania, rozmawiał z tatą i okłamał go. Niestety, czasem jest to konieczne. „Zabierz z domu same ubrania – powiedział tata i wyjął mu z kieszeni telefon komórkowy. – Telefon zostawimy”. Włożył go do szuflady w komodzie. Tuż przed wyjściem z domu Emil poszedł do łazienki, chwilę tam postać – żeby tata pomyślał, że naprawdę chciał się tylko wysikać – i spuścił wodę. Jej szum był na tyle głośny, że ojciec nie usłyszał, jak syn wrócił do pokoju, wysunął szufladę i wyjął z niej telefon. Teraz siedział w szafce i oświetlał jej wnętrze latarką.

W środku było dosyć brudno. Na pokrytej brzydkimi, mokrymi plamami podłodze wałały się resztki jedzenia i kłębki kurzu.

Uniósł głowę i ujrzał pistolet przyklejony taśmą do górnej półki. Prawdziwy pistolet polskiej produkcji, jakiego zawsze używał tata. Czy to właśnie broń miał na myśli, mówiąc o „wyjściu”? Emil przez chwilę ważył ją w dłoni, a nawet wycelował w ścianę szafki, ale potem przykleił pistolet z powrotem taśmą w poprzednim miejscu. Doszedł bowiem do wniosku, że tacie na pewno nie chodziło o to, żeby mama strzelała do ludzi.

Zgasił lampkę, wyczołgał się z szafki i przekradł w ciemnościach do przedpokoju, gdzie znajdowały się dwie garderoby. Wszedł do każdej z nich, ale obie były puste. Poczul w nich tylko zapach ludzi. Trzecia,

trochę większa, znajdowała się w sypialni. Przeszedł obok mamy, Luizy i Rasmusa, otworzył drzwi garderoby, wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, włączył latarkę i zaczął oświetlać wnętrze. Na niektóre półki nie mógł zajrzeć, ponieważ znajdowały się za wysoko. Wspinał się więc na te dolne, wykorzystując je w taki sposób, jakby były szczeblami drabiny. Podciągał się i rozglądał, ale nic nie znalazł. Zeskoczył więc na podłogę i odniósł wrażenie, że się pod nim zatrzęsła. Jeszcze raz podskoczył i poczuł to samo: podłoga zachybotwała. Klęknął, oświetlił całą powierzchnię latarką i za futryną drzwi zobaczył coś czarnego, co przypominało małą gałkę. Taką, jakie są przy szafkach. Spróbował za nią pociągnąć, ale ponieważ siedział na podłodze, nic to nie dało. Domyślił się, że powinien wyjść z garderoby i zrobić to od zewnątrz. Wiedział jednak, że musi z tym poczekać, bo inaczej obudzi mamę albo Luizę i wszystko się wyda.

Może właśnie to miał na myśli tata, gdy mówił o „wyjściu”?

Godzina 22.41

(zostały 2 dni, 23 godziny i 19 minut)

ZNOWU POSTANOWIŁ DO NIEJ zadzwonić: do jedynej osoby, przy której odczuwał spokój. Była delikatna i niezbyt wymagająca, chociaż potrafiła być twarda i stawiać warunki. Dzięki niej zrozumiał, że miłość to coś, czego można się z czasem nauczyć. Ostatecznie przemógł się i nie zadzwonił, choć dużo go to kosztowało. Każdy kontakt pozostawia ślad, a przecież to on zawsze decyduje o tym, gdzie i jakie ślady zostawić. Zamiast tego zrobił to, co – jak miał nadzieję – zrobiła także Zofia: zniszczył oba telefony komórkowe. Najpierw własny, w którym nadal słyszał jej głos, a potem ten drugi, przez który rozmawiał z człowiekiem ze zniekształconym głosem. Kiedy do kuchni wszedł Grens, żeby przygotować sobie nie wiadomo który kubek kawy, Hoffmann stał nad kilkoma pustymi

buteleczkami po acetonie, dwoma ulubionymi garnkami komisarza, tłuczkiem do mięsa i dwiema dziurawymi ściereczkami do rąk. Na podłodze walały się resztki plastiku po tym, co jeszcze przed chwilą tworzyło pewną całość.

– Patrzę na to i nie jestem pewien, czy wzrok mnie nie myli?

– Wygląda na to, że nie.

– Sporo tego jest... Tamten telefon też zniszczyłeś? Przecież tylko dzięki niemu miałeś kontakt z ludźmi, którzy ci grożą?

– Uznałem, że tak trzeba.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Co zrobisz, jeśli znowu będą chcieli z tobą porozmawiać? Rozpęta się piekło.

– Nie wiedzą, gdzie jest moja rodzina, i nie wiedzą, gdzie mnie szukać.

– Na razie... na razie!

– Jeśli rozwiążemy obie nasze sprawy, wszystko będzie dobrze.

Grens przyniósł ze schowka na szczotki plastikowy worek i Hoffmann wrzucił do niego wszystkie śmieci.

– Domyślam się, że skoro zniszczyłeś oba telefony, używasz nowych numerów. Musisz mi je podać, jeśli mamy ze sobą współpracować.

– Będę je zmieniał dwa razy dziennie. Razem jest ich sześć. Spiszę je panu na kartce.

Komisarz dolał sobie kawy i postawił na stole kubek dla swojego gościa.

– Usiądź ze mną.

– Czas na odprawę?

– Tak to można nazwać. Na najmniejszym na świecie posterunku policji. – Grens położył przed Hoffmannem dwie koperty. – Gratulacje z okazji zdanego egzaminu.

– Jakiego egzaminu?

– Otwórz.

Hoffmann rozerwał palcem pierwszą z kopert i wyjął z niej czarne skórzane etui. W lewej przegródce znalazł służbową legitymację z czerwonym nadrukiem POLICJA. Drugi napis o brzmieniu KOMENDA WOJEWÓDZKA POLICJI W SZTOKHOLMIE składał się z mniejszych liter. Była też jego aktualna fotografia, nowy numer osobowy i fałszywe dane. W prawej przegródce znalazł policyjną odznakę z napisem SZTOKHOLM 4514. Była przymocowana do mosiężnej blaszki, na której widniał herb ze złotą koroną.

– Verner Larsson?

– Brzmi równie dobrze jak twoje poprzednie pseudonimy.

– Nie sądzi pan, że to dziwne? Przez kilka lat pracowałem na zlecenie policji jako informator i nie miałem z tego tytułu żadnych praw ani przywilejów, chociaż działałem w ramach oficjalnych śledztw. Teraz, kiedy prowadzimy „kuchenne śledztwo”, mam udawać prawdziwego policjanta?

– Tak. Będzie ci do tego potrzebna policyjna odznaka i to.

W drugiej kopercie oprócz biletu lotniczego znajdował się list polecający, jak te, które zaczynają się od słów „To Whom it may concern”. Jednak tym razem odbiorca listu – Gezim Latifi – wymieniony był z imienia i nazwiska. Z treści listu wynikało, że Verner Larsson ukończył Wyższą Szkołę Policyjną i jest godnym zaufania funkcjonariuszem, który innym może służyć za wzór.

– Latifi?

– Tak się nazywa policjant pracujący w Szkodrze. To tam prowadzi trop, na który natrafiliśmy dzięki namierzonej rozmowie telefonicznej. Właśnie tam pojedziesz.

– Czemu akurat on?

– Musiałem sprawdzić, komu mogę zaufać, więc skontaktowałem się ze znajomym w niemieckiej policji. Kiedyś z nim współpracowałem, facet ma rozgałęzioną siatkę informatorów i wiedzę o tamtym środowisku. To on polecił mi Latifiego. Jest jednym z niewielu miejscowych policjantów, których nie da się przekupić. Poza tym to uprzejmy człowiek. Rozmawialiśmy prawie godzinę przez telefon. Jestem pewien, że udzieli ci wszelkiej możliwej pomocy.

– A konkretnie?

– Masz odnaleźć dwie osoby. Pierwsza z nich to ten, którego poszukujemy w Szwecji. Stanowi zagrożenie dla ciebie i twojej rodziny i zamierza sprzedać dużą partię karabinów maszynowych, żeby przejąć szwedzki rynek. Druga osoba zleciła niedawno egzekucję trzech znanych cyngli. Chcemy go aresztować w ramach oficjalnego śledztwa prowadzonego przez naszą komendę. Poszukujemy więc dwóch sprawców, ale jestem pewien, że to jedna i ta sama osoba, która łączy nasze dwa śledztwa w sprawie dwóch zabójstw: tego, które zostało popełnione w mieszkaniu na drugim piętrze, i tego, do którego doszło w budynku z białą fasadą. Zamierzam ustalić, kim jest, z kim współpracuje w Szwecji i kto na jego zlecenie zabija ludzi na terenie, który podlega naszej jurysdykcji, a tym samym mnie.

Hoffmann wsunął czarne skórzane etui do kabury i chciał wyjść z mieszkania, ale Grens zatrzymał go, unosząc rękę.

– To nie wszystko... Jest jeszcze druga połowa twojego zlecenia.

– Jak to druga?

– Poszukasz młodej kobiety, która kiedyś nazywała się Hannah Ohlsson, a teraz posługuje się nową tożsamością. Zakładając, że jeszcze żyje.

– Co to za kobieta?

– Jest kimś, o kogo się niepokoję.

– Rozumiem, że ma coś wspólnego z tym drugim śledztwem i dlatego nie chce mi pan powiedzieć?

– Tak. – Grens wyjął trzecią kopertę. – Najważniejsze jest to, żebyś znalazł zleceniodawcę obu zbrodni. Jeśli będziesz musiał dokonać wyboru, uznaj właśnie tę sprawę za ważniejszą. Zależy mi też na sprawdzeniu, czy cokolwiek łączy obie te sprawy z niezidentyfikowanymi zwłokami kobiet, których dane znajdziesz w trzeciej kopercie. Zbierz w Albanii wszelkie możliwe informacje i porównaj je z tymi, które są tutaj. Zawierają szczegóły wyglądu Hannah, które prawdopodobnie się nie zmieniły: wzrost, kolor oczu, rozmiar obuwia, stan uzębienia, bliznę po operacji wyrostka i kilka innych znaków szczególnych.

Hoffmann wstał z krzesła, ale Grens znowu go zatrzymał.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Jaka znowu?

– Zofia i dzieci. Chcę wiedzieć, gdzie ich ukrywasz.

– Dlaczego?

– Żebym mógł ich chronić podczas twojej nieobecności.

Hoffmann zawsze działał sam i ufał tylko sobie. Przez długi czas uważał, że to jedyny sposób na życie. Pewnego dnia doszedł jednak do wniosku, że może zaufać komisarzowi policji kryminalnej, Ewertowi Grensowi. Niecały rok później musiał to zrobić. Teraz było to bez znaczenia.

– Nie mogę tego wyjawić.

– Dlaczego?

– Wiem, że powinienem panu ufać, ale to wykluczone.

– Powinniśmy sobie ufać, chociaż żaden z nas nie ufa nikomu.

– Jestem gotów zaufać panu w każdej innej sprawie, ale nie wtedy, kiedy chodzi o moją rodzinę.

– To fundament naszej dalszej współpracy.

– Przykro mi. Będzie to możliwe dopiero wtedy, jak ustali pan źródło przecieku w policji.

Hoffmann popatrzył na Grensa takim wzrokiem, jakby chciał mu zakomunikować, że nie ma zamiaru dłużej o tym rozmawiać. Komisarz był doświadczonym policjantem i wiedział, że straty wywołane niektórymi pytaniami są czasem większe niż zyski z uzyskanych odpowiedzi. Pożegnał się więc z Hoffmannem i ten wyszedł na ulicę. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, a dwanaście minut później był już w zachodniej części dzielnicy Södermalm i wchodził do atelier, w którym czekała na niego teatralna charakteryzatorka. Na jej twarzy znowu gościł uśmiech, w którym łatwo mógłby się zatracić.

– Dziękuję, że znalazłaś dla mnie czas, chociaż zadzwoniłem w ostatniej chwili.

– Jak zwykle ci się spieszy?

– Zgadłaś.

Na środku stało duże lustro. Tym razem spotkanie z lustrzanym sobowtórem okazało się dla Hoffmanna łatwiejsze. Otyły księgowy, który patrzył na niego z lustra, wydał mu się bardziej znajomy.

– Dokąd wybierasz się tym razem? Wiem, że niechętnie udzielasz precyzyjnych odpowiedzi na takie pytania, więc spytam inaczej: W jakim klimacie będziesz przebywał? Jaka będzie temperatura, wilgotność powietrza i tak dalej?

– Pogoda jest mniej więcej taka jak tutaj. Będzie gorąco, ale znośnie.

– Zostawiamy bez zmiany to, co masz teraz? Fałdy nad oczami, krzywy nos z powiększonymi nozdrzami, sztuczny brzuch, tłuste policzki i brodę?

– Zostawiamy. Jeszcze przez jakiś czas.

Hoffmann usiadł na krześle. Ucieszył się, że tym razem kobieta nie będzie rozsmarowywać mu na twarzy rzadkiej mazi i nie będzie musiał zbyt długo czekać, aż stwardnieją gipsowe paski nakładane na twarz. Na podstawie odlewu, który wykonała podczas jego poprzedniej wizyty, przygotowała kilka kopii nowej twarzy. Dzięki odpowiednim środkom udało jej się usunąć z niej starą warstwę i przykleić nową. Potem pociągnęła kilka razy na próbę za powieki, żeby sprawdzić, czy dobrze się trzymają. Podobnie zrobiła z brodą i policzkami.

– Powinno ci to na pewien czas wystarczyć. W reklamówce znajdziesz zapasowy słoiczek kleju i dwie koszule, które pasują do twojego obwisłego brzucha. Musisz jak najczęściej sprawdzać, czy charakterystyka się trzyma. Wprawdzie nic złego nie powinno się zdarzyć, ale uważaj na upał i gwałtowne ruchy.

Po wyjściu z atelier Hoffmann pojechał taksówką na całodobową stację benzynową w Hammarby. Do przejechania miał półtora kilometra, ale ostatni odcinek pokonał pieszo. Szedł powoli, żeby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Zrobiło się ciemno. Kiedy dotarł na miejsce i stanął w odległości dwudziestu pięciu metrów od domu, w którym ukrywali się ci, których kochał najbardziej, poczuł ten sam strach i tę samą złość co wtedy, gdy trzymał w ręce granat, którym wcześniej bawił się jego syn, i drżał na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć. Wyjął telefon, bo poczuł, że musi zadzwonić – ale nie do Zofii, do której mógłby dobiec w kilka sekund i wziąć ją w ramiona. Wprawdzie coś takiego ukoiłoby jego tęsknotę, lecz tylko na krótko, bo w dłuższej perspektywie cierpiałby jeszcze bardziej. Postanowił zadzwonić do kogoś, kto ją widział.

– To pan, szefie? O tej porze? Coś się stało?

– Za dwie godziny wyjeżdżam. Nie będzie mnie przez pewien czas. Chcę się tylko upewnić, co słyszeć u tej nowej rodziny. Mam na myśli matkę z trójką dzieci. Wszystko w porządku?

Hoffmann cofnął się o kilka kroków, żeby nie znaleźć się w zasięgu kamer monitoringu. Gdyby tego nie zrobił, Andy zauważyłby go na ekranie monitora.

– Światła w domu są zgaszone. Chyba wszyscy śpią.

– Nic się tam nie działo? Widziałeś ich? Jak się zachowują? Poprzednim razem twierdziłeś, że jeden z chłopców był czymś zaniepokojony?

– Teraz zachowuje się spokojnie. Rzadko ich widzę, bo nie podchodzą do okien. A co z ich matką? Miał pan jej zabronić rozmawiania przez telefon.

– Naprawdę?

– Niedawno ktoś do niej dzwonił. Widziałem ją w oknie. Niech pan sam powie: Jak mamy zapewnić bezpieczeństwo komuś, kto nie przestrzega naszych instrukcji? Chodzi mi o to, że...

– To moja wina. Przepraszam. Zapomniałem się z nią skontaktować, ale obiecuję, że to zrobię. Na pewno zrozumie. Wygląda na mądrą kobietę.

– Wciąż pan nie wie, dlaczego się ukrywają?

– Wiem tylko tyle, że chodzi o jej męża.

Hoffmann długo stał na ulicy, wpatrując się w okna i ściany dzielące go od rodziny.

Już niedługo...

Godzina 05.01

(zostały 2 dni, 17 godzin i 1 minuta)

UDANE PRZESŁUCHANIE TO TAKIE, w którym przesłuchiwany jest zaskoczony. Ktoś, kto późnym wieczorem miał lekko w czubie i trafił z hucznego wesela do policyjnego aresztu, miał prawo być zaskoczony, gdy wspominając to, co działo się na weselu, został nagle obudzony irytującym i głośnym „Dzień dobry” rzuconym przez niewielki, czworokątny wizjer w drzwiach. Na domiar złego chwilę później usłyszał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i metaliczne trzaśnięcie ustępującego rygla. Oba dźwięki przecięły powietrze i uniemożliwiły dalsze myślenie o wydarzeniach ostatniej nocy. Potem drzwi się otworzyły i do celi wparował komisarz w towarzystwie policjantki, która poprzedniego dnia zatrzymała go bez podania przyczyny. Dusko Zaravic leżał na pryczy. Na ich widok odwrócił się plecami, a zarzuty, które stawiał mu Grens, zbywał milczeniem.

– Już raz się spotkaliśmy. To było siedemnaście lat temu, kiedy przesłuchiwałem cię w sprawie zamordowanej rodziny. Jestem pewien, że to pamiętasz. Przesłuchiwałem też twoich kumpli: Dejana, Branka i Ermira. O tym też pewnie pamiętasz. Przesłuchiwałem również waszego zleceniodawcę, ale po siedemdziesięciu dwóch godzinach musiałem go wypuścić i potem bezsilnie obserwowałem, jak ucieka z kraju. Jestem pewien, że o tym też pamiętasz. Ciekawe, czy przypominasz sobie, co powiedziałem ci na końcu. Obiecałem ci, że jeśli w przyszłości zatrzymam jakiegoś zabójcę, zrobię wszystko, żeby go nie wypuścić. Jeśli więc...

– Skończył pan?

Zaravic przez cały czas leżał odwrócony do nich plecami. Grens podszedł bliżej i wycedził:

– Skończę dopiero wtedy, jak zobaczę twoją twarz i zadam ci parę pytań.

W ciasnej celi, w której znajdowały się umywalka, prycza, taboret i przymocowany do ściany stolik, zapadła cisza. Mijały minuty. W końcu

Zaravic odwrócił się demonstracyjnie do komisarza.

– Niech pan wyrzuci z siebie, po co pan tu przyszedł, a potem wynocha.

– Wyjdę, kiedy będę miał ochotę. W przeciwieństwie do ciebie. Patrząc tak na ciebie i nasuwa mi się pewna refleksja: nie wyglądasz na wzburzonego tym, że ktoś zlikwidował po kolei twoich trzech kumpli.

– A dlaczego miałbym być wzburzony?

– Bo zginęli tak szybko. Dwaj tego samego ranka, trzeci następnego dnia.

– Zabiły ich kule, nie wiek, więc czemu miałbym się tym martwić? A pan, komisarzu... albo kim pan tam jest... ile pan ma lat?

– Trzy trupy w ciągu doby. Czwarty jeszcze żyje, a nawet zjawia się w białym smokingu na weselu i nie dba o swoje bezpieczeństwo, chociaż jego kumple krótko przedtem zeszli z tego świata.

– Coś panu powiem: w naszym zawodzie nikt nie chodzi po ulicach ze strachem w oczach.

– A może po prostu wiesz, że nic ci nie grozi, bo to ty ich załatwiłeś?

Zaravic wybuchnął śmiechem – nie wyzywającym ani szyderczym, tylko szczerym i serdecznym... o ile śmiech gangstera może taki być.

– Czy to dlatego kazał pan odstawić na weselu to żałosne przedstawienie z moim zatrzymaniem? Doszliście do wniosku, że to ja chodzę po ulicach i załatwiam moich kumpli?

Grens spojrzał mu w oczy. Wyraz twarzy Zaravica mógł oznaczać wszystko.

Że komisarz ma do czynienia z potrójnym zabójcą, który przeciągnął na swoją stronę jednego z policjantów i wszedł w posiadanie tajnych dokumentów.

Że ten zabójca, który leży wyciągnięty na pryczy, jest następny w kolejce i powinien być wdzięczny policji, że przebywa w bezpiecznym miejscu.

Że nie ma z tamtymi zabójstwami nic wspólnego – ani jako sprawca, ani jako potencjalna ofiara.

– Uważamy, że pewna organizacja przestępcza próbuje przejąć szwedzki rynek broni, a ty na jej zlecenie mordujesz konkurentów. Uważamy, że twoi zlecniodawcy mieszkają w Albanii.

– Pan to mówi szczerze?

– Obaj wiemy, że wiele lat temu byłeś zamieszany w sprawę poczwórnego zabójstwa. Byłeś na miejscu zbrodni i działałeś na zlecenie Kinga Zoltana. Wiemy, że na dostawę do Szwecji czeka kilkadziesiąt tysięcy sztuk broni wartej miliard koron, a Zoltan albo ktoś, dla kogo pracujesz, jest zdania, że dla takich pieniędzy warto zabijać.

Zaravic znowu się roześmiał. Także tym razem nie był to sztuczny śmiech.

– Pieprzony glino... dobrze pan wie, że to taka sama prawda jak zarzuty, na których podstawie zostałem zatrzymany. Ale nawet gdyby to wszystko było prawdą, to myśli pan, że cokolwiek bym wam powiedział? Niech pan spojrzy na moje palce. Są na nich paznokcie, prawda? Wie pan, ile potrzeba czasu, żeby odrosły? Na pewno nie. Kiedyś przesłuchiwali mnie nie tacy śledczy jak pan.

Znowu odwrócił się do Grensa plecami. Leżał na pryczy w swoim białym smokingu i wpatrywał się w ścianę. Komisarz skinął głową Hermansson, która nadal stała przy drzwiach. Pierwsze przesłuchanie dobiegło końca.

Dopiero gdy doszli do celi znajdującej się przy wejściu na oddział, gdzie jak zwykle toczyło się ożywione życie – słyszeli głośne śmiechy,

szum pracującego na pełnych obrotach wentylatora i pokrzykiwania strażników – Hermansson wypowiedziała pierwsze słowa:

– Nieźle grałeś.

– Jak to grałem?

– Brzmiało to tak, jakbyś naprawdę go o coś podejrzewał, chociaż zależy ci tylko na tym, żeby przetrzymać go w areszcie tak długo, na ile pozwala prawo.

– Uważam, że Zaravic może być w to zamieszany. Jeśli tak, pošlę go za kraty, ale najpierw musimy ustalić, który z naszych ludzi pracuje dla gangu.

Grens popatrzył na nią badawczym wzrokiem i spytał:

– Czy to, że mamy wśród nas kreta, wciąż nie jest dla ciebie problemem?

Nie odpowiedziała.

– Wcześniej czy później aresztujemy nie tylko jego, ale także człowieka, który likwiduje swoje ofiary podwójnym strzałem w głowę – powiedział komisarz. – Wkrótce w Albanii zamelduje się nasz człowiek, który ma ustalić, kto pociąga za sznurki.

– Nasz człowiek?

– Tak. Kiedyś przyznał, że łatwiej mu się pracowało z ulicznymi bandytami.

– Masz na myśli swojego znajomego z kuchni?

– Można tak powiedzieć.

Kiedy jechali windą, panowało niezręczne milczenie. To częste zjawisko, gdy ktoś nie wie, co począć ze wzrokiem, a każde wypowiedziane słowo staje się zbędne. Tym razem wyglądało to jeszcze gorzej: komisarz oskarżył otwarcie jedną z funkcjonariuszek o to, że dała się przekupić i pracuje dla gangu. Wyszli z windy i ruszyli do wyjścia. Po

drodze aż pięć razy musieli użyć karty magnetycznej. Przy trzecim wejściu Grens nie mógł już wytrzymać.

– Chciałbym cię przeprosić – rzucił.

Hermansson przeciągnęła kartę przez czytnik i poszli dalej.

– Teraz wiem, że nie powinienem był cię oskarżać. Musisz mnie jednak zrozumieć: ktoś włamał się do sejfów szefa dochodzeniówki, a ty nie tylko odmówiłaś wykonania mojego polecenia, ale także nie chciałaś śledzić Wilsona... Teraz wygląda to znacznie lepiej. Zatrzymałaś Zaravica i przestałem w ciebie wątpić.

Przystanęła w miejscu.

– Nie powinieneś był mnie podejrzewać. Nigdy więcej tego nie rób. Jeśli się to powtórzy, poproszę o przeniesienie. Zrozumiałaś?

Popatrzyła na Grensa przesywającym wzrokiem. Tylko ona to potrafiła.

– Tak.

Czwarte... piąte drzwi i kolejna winda, którą mieli pojechać na piętro, gdzie mieścił się ich wydział. Zanim jednak z niej wysiedli, Grens zrobił coś dziwnego: zatrzymał windę i po chwili znowu ją uruchomił.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

Teraz, gdy się przełamał, reszta stała się obojętna. Hermansson była jedyną osobą, z którą mógł porozmawiać o takich sprawach. Zawsze żądała odpowiedzi i wyjaśnień, a czasem potrafiła spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Nie masz pojęcia, jaka jest różnica między intymnością a integralnością, tak samo jak nie wiesz tego ci, których przesłuchujemy i prześwietlamy. I dlatego boisz się życia”, bez obawy, że komisarz się obrazi i przestanie z nią rozmawiać. Właśnie dlatego była jedyną osobą, z którą mógł pomówić o sprawach nadal stanowiących dla niego zagadkę.

– Znałem kiedyś pewnego policjanta, którego bardzo lubiłem. Był dla mnie wzorem. Kogoś takiego nazywamy mentorem. Niestety, tuż przed odejściem na emeryturę całkiem się zmienił. Nie radził sobie z wielką czarną dziurą i nadchodzącą pustką, bo nie miał nic oprócz pracy. Pewnego wieczoru, dwa tygodnie przed emeryturą, wezwał do swojego mieszkania patrol, a potem się zastrzelił. Wpakował sobie kulę w usta. Wiedział, co zrobić, żeby sprawić wszystkim jak najmniej kłopotu.

Winda znowu się zatrzymała, ale tym razem to Hermansson nacisnęła guzik. Kabina ruszyła w przeciwnym kierunku.

– Zastrzelił się?

– Tak.

– Bo nie mógł dłużej wytrzymać?

– Całe życie spędził w policji i nic poza tą pracą nie miał. Po pracy wracał do dużego pustego mieszkania, gdzie nikt na niego nie czekał.

Winda zatrzymała się, ale Hermansson nacisnęła guzik i kabina znowu ruszyła w dół. Kiedy zjechali na parter, ponownie nacisnęła guzik i pojechali na górę.

– Jak się ten twój mentor nazywał?

– Jak się nazywał?

– Tak.

– On... hm... ja...

– Okej, nie musisz nic więcej mówić.

W końcu winda zatrzymała się na piętrze, na którym znajdował się wydział dochodzeniowy. Pokój Hermansson mieścił się na końcu korytarza. Chciała się oddalić, ale Grens położył dłoń na jej ramieniu, chociaż nigdy wcześniej tego nie robił.

– Nie jestem stary... ja tylko długo żyłem. Rozumiesz?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu skinęła głową i poszli razem korytarzem. Grens zatrzymał się przy automacie i nalał kawy do dwóch kubków.

– Ewert? – Sven Sundkvist siedział przy biurku w swoim pokoju, którego drzwi były uchylone, i energicznie machał ręką do Grensa. – Wejść do mnie.

– Zaraz przyjdę...

– Nie zaraz, tylko teraz.

Grens usiadł na krześle, a Sundkvist zamknął za nim drzwi. Wrócił za biurko, usiadł w fotelu i wskazał palcem na kubki z kawą.

– Dasz mi jeden?

– Jasne, ale oba są bez cukru.

Sundkvist nie czekał na odpowiedź, tylko wziął kubek i wypił trochę kawy.

– Prosiłeś mnie, żebym obserwował Marianę.

– To już nieaktualne.

– Kazałeś mi za nią chodzić.

– Już z nią rozmawiałem i...

– Zrobiłem to. Śledziłem ją i chodziłem za nią, chociaż fatalnie się z tym czułem, bo od lat współpracujemy. Powiedz mi, kiedy każesz śledzić mnie? A może już to zrobiłeś?

– Już ci mówiłem, że...

– Być może wcześniej miałeś rację.

Przed chwilą Grens wyrzucił z siebie to, co tak mu ciążyło. Od razu poczuł się lepiej, jakby nie musiał być dłużej sam na sam ze swoimi myślami. Nie był więc pewien, czy chciał usłyszeć to, co Sundkvist zamierzał mu zakomunikować.

– Wczoraj jadłem z Marianą lunch w naszej stołówce. Zachowywała się normalnie, ale nie do końca była sobą. Nie potrafiłem jej rozgryźć, ale ponieważ dobrze się znamy, od razu zauważyłem, że coś jest nie tak. – Sundkvist pochylił się, jakby chciał zaznaczyć, że to, co zamierza powiedzieć, nie sprawia mu przyjemności. – Po lunchu rozstaliśmy się, bo miała umówione spotkanie w prokuraturze. Poszedłem za nią. Generalnie jestem w tym dobry, ale kilka razy o mało mnie nie zauważyła. Była niezwykle czujna. Co pewien czas się odwracała, kluczyła i zmieniała kierunek. Krótko mówiąc, była dziwnie niespokojna.

Zniżył głos, jakby się obawiał, że mimo zamkniętych drzwi ktoś go usłyszy.

– W końcu poszła na Roslagsgatan. To dość daleko od prokuratury. Stała przed zwykłym pięciopiętrowym domem, kilka razy się rozejrzała, wbiła kod w domofonie i weszła do środka. Naprzeciwko wejścia jest kawiarnia, z której miałem dobry widok na cały dom. Półtorej godziny później wyszła. Kiedy spotkaliśmy się na komendzie i spytałem, jak jej poszło, zaczęła kręcić. Gorączkowym tonem opowiadała mi o nowym spojrzeniu prokuratora na sprawę. A przecież wiemy, że Mariana nigdy nie kłamie. Przynajmniej tak ją ocenialiśmy. Sprawdziłem nazwiska lokatorów mieszkających w tamtym domu, ale żadnego z nich nic nie wiąże z naszymi śledztwami.

Grens osunął się nieco na krześle. Sundkvist był najmniej skomplikowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znał. Nigdy nie mówił dwuznacznie i nie działał pod wpływem emocji. Gdyby zdrowy rozsądek miał twarz, byłoby to jego oblicze. Mimo to komisarz musiał zaprotestować, bo tylko taką reakcję uznał za właściwą.

– Mariana może mieć różne powody, dla których niekoniecznie chce się zwierzać z tego, w którym towarzystwie spędza czas albo dokąd idzie na

spacer.

– To prawda, ale postanowiłem to sprawdzić i cofnąłem się w czasie. Przejrzałem swoje stare kalendarze i notatki ze spotkań, które w ostatnim czasie odbyliśmy w związku ze wspólnie prowadzonymi śledztwami. I wiesz, co się okazało? Wiele z tych spotkań, w których Mariana rzekomo uczestniczyła, w ogóle się nie odbyło. Niby drobna rzecz, która nie wpłynęła negatywnie na wyniki śledztw, ale część osób, z którymi rzekomo spotkała się poza komendą, stwierdziła, że nigdy jej nie widziała.

Sundkvist znowu zrobił taką minę, jakby nie był zadowolony z wyniku swoich ustaleń.

– Obaj przeczuwaliśmy to samo. Może się więc okazać, że dojdziemy do wniosków i ustaleń, których wolelibyśmy uniknąć. Dlatego proponuję, żebyśmy ją dalej obserwowali. Powinieneś też uważać, jakie informacje jej przekazujesz. Domyślam się, że współpracujesz w tym śledztwie z osobą, której tożsamości jeszcze nie znam. Jeśli więc Mariana nie jest taka, za jaką ją uważamy, i przekazuje informacje osobom nieupoważnionym, może to zaszkodzić wielu ludziom.

Godzina 12.12

(zostały 2 dni, 9 godzin i 50 minut)

HOFFMANN SZEDŁ PRZEZ HALĘ małego lotniska, które było znacznie bardziej nowoczesne, niż sobie wyobrażał. Wielkie okna, lśniąca podłoga i zestresowani podróżni, którzy stali wpatrzeni w elektroniczne tablice wyświetlające godziny przylotów i odlotów. Aeroporti Ndërkombëtar i Tiranës Nënë Tereza. Przed wylotem do Tirany zamówił samochód, dzięki czemu już pół godziny po wylądowaniu jechał na północ po wylanej świeżym asfaltem autostradzie, która przed laty, gdy odwiedził Albanię w zupełnie innych sprawach, jeszcze nie istniała. W pewnym momencie

poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios, po którym przeniósł się na chwilę w przeszłość. Zateśknił za dawnym życiem, kiedy nic nie było słuszne albo niesłuszne, a on działał sam, bez ponoszenia konsekwencji. Jeździł na przykład z Belgradu albo Tirany autobusem, z dziesięcioma sztukami broni automatycznej kupionej po hurtowych cenach. Kierowcy płacił po tysiąc pięćset koron od sztuki, żeby wstawił jego torbę do bagażnika między inne torby i walizki. Zero ryzyka, duży zysk. Autobus był kilkakrotnie zatrzymywany, a kierowca za każdym razem udawał, że nie ma pojęcia, do kogo ta torba należy. Przewóz broni odbywał się dwa razy na tydzień i zawsze dochodziło do różnych incydentów.

Westchnął. Teraz jego życie wygląda inaczej, ale tylko dlatego, że sam tego chciał. Woli być z Zofią i dziećmi, bo za każdym razem, gdy o nich myśli, radość wspólnego bycia z rodziną wygrywa z tą krótką chwilą, gdy dostaje adrenalinowego kopa.

Z czasem zmiany zaszły nie tylko w jego życiu, ale dokonały się także w środowisku handlarzy bronią. Wprawdzie przestał być częścią ich świata, ale nadal miał pełny wgląd w to, co się w nim działo, i dlatego regularnie odrzucał oferty typu „Tylko ten jeden raz” albo „Mnóstwo pieniędzy za pewne i szybkie zlecenie”. Jedną rzeczą się w tym wszystkim nie zmieniła: większość nielegalnej broni była kiedyś legalna. Zmienili się za to szwedzcy odbiorcy: prawie każdy nastolatek, który należał do jakiegoś gangu i prowadził na swoim przedmieściu na wpół przestępczą działalność, chciał mieć własną broń. Żeby więc utrzymać ceny na poziomie mniej więcej dwudziestu tysięcy koron za sztukę, ci, którzy wwozili broń do kraju, musieli wstrzymywać dostawy na pewien czas, a czasem nawet wybierać, komu ją sprzedać. Niektóre zorganizowane grupy przestępcze, na przykład Hells Angels czy Bandidos, nigdy nie zaopatrywały się na ogólnie dostępnym rynku, tylko dokonywały zakupów za pośrednictwem

hangarounds, którzy chcieli w ten sposób udowodnić, że zasługują na członkostwo w gangu. Na odcinku od Bałkanów do Danii panował względny spokój. Sytuacja komplikowała się na końcu łańcucha dostaw, gdy broń trzeba było przewieźć mostem nad cieśniną Öresund. Handlarze musieli zatrudniać do tego celu firmy kurierskie, których z każdym rokiem przybywało. Były niewielkie, miały po dwa samochody i zatrudniały dwóch pracowników na krzyż. Ich siedziby mieściły się najczęściej w Warszawie albo w Sofii, w zwykłym mieszkaniu, do którego trafiały dostawy przeznaczone dla odbiorców w Szwecji. Inne firmy przypominały typowe firmy spedycyjne, ale tylko pozornie, bo zatrudnieni w nich kierowcy nie byli narażeni na ryzyko. Pracownik firmy kurierskiej, który miał się przemieścić z punktu A do punktu B, nie musiał załatwiać formalności celnych i nigdy nie jeździł z niedozwoloną prędkością. Jego zadanie polegało na tym, żeby dostarczyć przesyłkę pod wskazany adres. Posługiwał się listem przewozowym wystawionym poza granicami Szwecji, w którymś z krajów Unii Europejskiej, gdzie można kupić każdy podpis, który na dodatek nigdy nie zostanie skontrolowany.

W miejscowości Lezhë Hoffmann zjechał na stację benzynową. Miał za sobą połowę drogi. Zamówił kanapkę z kawą i usiadł przy żółtym plastikowym stoliku. Słońce dawało się mocno we znaki. Otaczała go sucha, ale ładna okolica: pofałdowane pagórki i porozrzucane po okolicy białe domy. Niebo było bezchmurne, a podmuchy wiatru świadczyły o tym, że w pobliżu jest morze.

Przyjechał do Albanii, bo ktoś próbuje przejąć kontrolę nad szwedzkim rynkiem broni. Niewykluczone, że to właśnie tutaj znajduje się centrum dowodzenia tą operacją. Mieszkańcy tych terenów dużo wiedzą o wojskowym sprzęcie, który trafia w niepowołane ręce. Kilkadziesiąt kilometrów dalej, po drugiej stronie północno-wschodniej granicy, na

nabywców czekało dziewięćset tysięcy sztuk nowej serbskiej broni. Za następną granicą do sprzedania było siedemset pięćdziesiąt tysięcy sztuk broni bośniackiej. W Albanii, Kosowie, Czarnogórze i Macedonii ukrytej broni było jeszcze więcej. Kiedyś należała do żołnierzy i po zakończeniu wojny na Bałkanach zabrali ją do domu. Tym samym region ten zamienił się w jeden wielki magazyn, z którego dostawy trafiały na czarny rynek w całej Europie.

Hoffmann zamówił słodkawą kawę, kupił kilka butelek letniej wody i ruszył dalej drogą SH1. Wkrótce jego oczom ukazały się góry i wysuszone tereny zaczęły powoli znikać. Okolica robiła się coraz bardziej zielona. Do Szkodry zostało dwadzieścia kilometrów.

Godzina 21.34

(zostały 2 dni i 28 minut)

W ULCINJU BYŁ TYLKO RAZ. Ta czarnogórska miejscowość leży pół godziny drogi dalej, po drugiej stronie granicy. Można do niej dojechać wyboistą drogą. To tam się dowiedział, czym jest egzekucja, w której jeden pocisk trafia ofiarę w prawą część czoła, a drugi w lewą skroń. Szkodra bardziej mu się podobała, chociaż miasto leżało daleko od morza. Ulice były w lepszym stanie, restauracje serwowały smaczniejsze jedzenie, a ludzie wydawali się bardziej radośni i rozluźnieni. Zatrzymał się w małym hotelu na przedmieściu, które przypominało mu osiedla w południowych dzielnicach Sztokholmu, gdzie się wychował. Poszedł do centrum miasta, wypił kawę, zjadł smaczny posiłek i czekał, aż zapadnie zmrok. Miejskie ciemności były tam czarniejsze niż w szwedzkich miastach ze względu na mniej sztucznego oświetlenia.

Wieczorem wsiadł do samochodu i ponownie ruszył w miasto. Dojechał do miejsca, w którym Rruga Komanit krzyżuje się z Rruga Dasho Shkreli.

Wąskie drogi były pokryte asfaltem, a kępki trawy na poboczu tworzyły coś w rodzaju dodatkowego pasa. Wszystkie domy otaczały kamienne mury albo wysokie żelazne ogrodzenia, które wytyczały granicę posesji. Większą część zabudowy stanowiły dwukondygnacyjne wille. Nad ulicą wisiała płatanina telefonicznych i elektrycznych kabli.

Dom, do którego jechał, miał białe ściany i kilkanaście anten na dachu. Była to ta sama posiadłość, którą Grens pokazywał mu na zdjęciu w swojej kuchni. Ochroniarze postrzeleni przez Hoffmanna w biurze przy Birger Jarlsgatan rozmawiali przez telefon z kimś, kto przebywał w tym domu, a konkretnie w pokoju w dobudówce w kształcie wieży. Dzięki tej rozmowie udało się to miejsce namierzyć. Według informacji, które zdobył Grens, oficjalnie właścicielką domu była kobieta w średnim wieku. Komisarz dowiedział się tego od albańskiego policjanta, z którym Hoffmann miał się spotkać następnego dnia i udawać szwedzkiego policjanta z legitymacją i odznaką. To, że dom był zapisany na kogoś innego, wcale go nie zdziwiło. To częsta praktyka. Przestępcy zwykle oficjalnie nie posiadają żadnego majątku, więc potrzebują osób występujących w charakterze „słupa”. W kilku pomieszczeniach paliło się światło. To na dole przypominało kuchnię i graniczyło przez ścianę z pokojem w wieży. Parteru i piętra pilnowali dwaj uzbrojeni ochroniarze. Nikogo innego Hoffmann nie zauważył, ale uznał, że to bez znaczenia, bo i tak miał sporo czasu. Zdąży się przespać, nawet jeśli posiedzi tu do drugiej albo do trzeciej.

Godzina 07.06

(został 1 dzień, 14 godzin i 56 minut)

KOMENDA POLICJI W SZKODRZE przypominała inne budynki porozrzucane w niewielkiej odległości od centrum miasta: miała płaski dach, proste

ściany i agregaty klimatyzacji pod oknami. W recepcji siedzieli na drewnianych krzesłach dwaj mężczyźni; starszy przyszedł zgłosić nocne włamanie do willi, drugi przyniósł dokumenty dwóch skradzionych mu samochodów. Była też rodzina, która z dumą składała wnioski o paszporty. „To nasze pierwsze, jedziemy do Hiszpanii”. W kącie sali siedział Verner Larsson, który zjawił się tu w zupełnie innej sprawie.

Gezim Latifi był barczystym, znacznie wyższym od niego mężczyzną o łagodnych oczach; miał na sobie policyjny mundur i poruszał się niespiesznie. Był dość przystojny i przypominał policjantów z seriali. Wyglądał tak, jakby wyłonił się nagle z ogłoszenia zachęcającego młodych ludzi do pracy w policji. Na dworze panował upał, a on siedział w zamkniętym pokoju i w nasuniętej głęboko na czoło policyjnej czapce.

– *Mr Larsson?* – spytał, wyciągając do Hoffmanna dłoń.

Ten skinął głową i podał mu rękę. Policjant mocno ją uściśnął.

– *After me.*

Latifi mówił po angielsku z bałkańskim akcentem w albańskim wariacie. Dla Hoffmanna najważniejsze było to, że stał po jasnej stronie mocy.

Jego pokój wyglądał jak klatka. Proste meble, gołe ściany. Pomieszczenie bez duszy. Hoffmann położył na biurku list polecający i legitymację służbową. Latifi przeleciał wzrokiem tekst, z którego wynikało, że Verner Larsson jest wzorowym policjantem. Potem przesunął palcem po policyjnej odznace, jednocześnie porównując zdjęcie w dokumencie z oryginałem.

– *Okay, what can I do for you, officer Larsson?* – spytał.

Hoffmann przyjechał do tego małego albańskiego miasta pod presją czasu. Jego rodzinie, która znajdowała się w miejscu oddalonym od Szkodry o kilka tysięcy kilometrów, groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Mimo to zdobył się na uśmiech. Pojawił się tu jako zawodowy policjant i został przyjęty przez innego policjanta, który będzie go w tej roli oceniał. Hoffmann odbył dość długą drogę jak na kogoś, kto przez wiele lat był najbardziej poszukiwanym przestępcą w Szwecji.

Zaczął od opisu misji, którą zlecił mu Grens. Oznajmił, że jego zadanie ma charakter szczególny i dlatego pan komisarz musiał pominąć zwykłą procedurę. Przywiózł ze sobą listę osiemnastu niezidentyfikowanych zwłok kobiet, ponieważ chce porównać ich rysopisy z pewną zaginioną obywatelką Szwecji. Można więc powiedzieć, że występuje w roli tajnego kuriera. Lista nie została wysłana drogą elektroniczną, żeby nie wpadła w niepowołane ręce.

Hoffmann wypowiadał te zdania swoją własną odmianą angielskiego. Prawdopodobnie brzmiała po „sztokholmsku”, tak jak angielski Latifiego miał naleciałości albańskie.

– Hannah Ohlsson?

– Tak się nazywała w dniu zaginięcia.

– Kim jest ta Hannah Ohlsson?

– Nic o niej nie wiem. Znam tylko jej imię i nazwisko. Mój szef będzie zobowiązany, jeśli umożliwi mi pan wgląd w akta spraw. Ale przyjechałem tu też z innego powodu. Chodzi o kogoś, kto w ciągu kilku ostatnich dni zamordował przynajmniej trzy osoby. Wiemy, że sprawca pochodzi z tego regionu. Komisarz Grens rozmawiał o tym z panem przez telefon. Wspomniał między innymi o człowieku, którego wiele lat temu zatrzymał w związku ze zbrodnią dokonaną na pewnej rodzinie. Podejrzewamy, że to on zlecił zabójstwo wspomnianych trzech osób. Niestety, wtedy musieliśmy go wypuścić, a on natychmiast wyjechał ze Szwecji. Z informacji, które zdobył komisarz Grens, wynika, że ten człowiek wrócił do Albanii.

Niedawno udało nam się namierzyć jego rozmowę telefoniczną i sprawa odżyła. Być może to on stoi za trzema niedawnymi zabójstwami.

Anonimowy pokój, anonimowy regał z kilkoma rzędami równie anonimowych segregatorów. Latifi sięgnął po jeden z nich, wyjął z niego dokument i położył go na biurku.

– Czy to jego miał na myśli pański szef?

Hoffmann pochylił się nad czarno-białym zdjęciem. Przedstawiało młodego mężczyznę, który z czasem stał się jednym z najpotężniejszych bossów przestępczego podziemia w Sztokholmie. Znał go z dawnych lat, gdy widywali się w knajpach albo siedzieli razem w więzieniu. King Zoltan. Żaloszny przydomek, ale dobrze do niego pasował.

– Tak.

– W takim razie chętnie panom pomogę.

– Słucham.

Policjant zrobił taką minę, jakby szukał odpowiednich słów. Nie wyglądał na skrepowanego tą sytuacją – po prostu nie był przyzwyczajony do posługiwania się angielską terminologią policyjną.

– Podczas przeglądania naszych policyjnych rejestrów znalazłem w nich wiele wykroczeń, których dopuścił się ten człowiek. Wszystkie miały miejsce dawno temu. Można powiedzieć, że właściwie nie wychodził z poprawczaków. I nagle wszystko się skończyło. W rejestrze za lata dziewięćdziesiąte nie znalazłem na niego nic. Ani jednego wpisu. Wiele lat później, w październiku dwa tysiące pierwszego roku, jego nazwisko znowu wypłynęło. Równie nagle, jak wcześniej znikło. W rejestrze ogólnym znalazłem kilka adnotacji na jego temat, takich jak „pod obserwacją w związku z domniemaną nielegalną transakcją związaną z handlem bronią”... „przesłuchiwany w sprawie napadu rabunkowego z użyciem broni”... i tak dalej. Podobnych wpisów było dwadzieścia kilka.

Składają się one na obraz człowieka, który w tej części Albanii przejął niewielki fragment rynku broni. Zajął się przemytem i operował na tak zwanym „bałkańskim szlaku”. Dostawy trafiały do całej Europy Północnej, ale głównie do jednego kraju, w którym ten handel dawał największy zysk: do Szwecji.

Przyglądając się uważnie zdjęciu paszportowemu Kinga Zoltana – młodego chłopaka, który teraz był mężczyzną w średnim wieku – Hoffmann doszedł do wniosku, że na komendzie policji mającej Zoltana na oku powinno się znajdować więcej jego zdjęć.

– Podejrzenia... przesłuchania – rzucił Latifi. – Dalej nie zdołałem się przebić... a właściwie nie ja, tylko moi koledzy, bo wtedy pracowałem w Tiranie.

– Co to znaczy, że nie zdołał się pan przebić dalej?

– Szczerze? Między nami?

– Tak.

– Im wyższy zysk osiągają przemytnicy, tym więcej zarabiają skorumpowani policjanci.

– Ma pan na myśli kolegów z pracy?

Latifi wzruszył ramionami w geście rezygnacji.

– Niektórych. U nas właśnie tak to funkcjonowało.

– A jak jest teraz?

Albańczyk uśmiechnął się.

– Teraz jest tak, że gdybym był jednym z takich policjantów, pański szef nie dzwoniłby do Niemiec, żeby mnie prześwietlić, a pan nie siedziałby w tym pokoju.

Hoffmann zrozumiał, że ma przed sobą jednego z tych funkcjonariuszy, którzy nie dają się przekupić. Zastanawiał się, dlaczego Latifi nie bierze

łapówek, chociaż robią to jego koledzy z komendy... dlaczego pracuje za mniej, skoro tamci dostają więcej? Dlaczego tak uparcie walczy z systemem, skoro system walczy z nim?

– Czy coś na tym zdjęciu zwróciło pańską uwagę? – spytał Latifi.

Hoffmann pokręcił głową.

– Raczej nie. Niewiele tu jest.

– Przeciwnie. Jest... i to niejedno.

Zdjęcia, które Latifi poukładał na biurku, leżały tyłem do góry. Teraz kilka z nich odwrócił i okazało się, że zostały zrobione w miejscu zbrodni.

– To zdjęcia sprzed ponad pięciu lat. Zoltan stał wtedy na samym szczycie przestępczej hierarchii. Był prawdziwym królem. Myślał jednak o dalszej ekspansji, zamierzał przejąć handel bronią w całej Albanii, żeby kontrolować wszystkie szlaki.

Hoffmann wziął do ręki drugie zdjęcie i od razu zrozumiał, że w tym miejscu jego trop się urywa. Podobne fotografie widział dwa dni wcześniej u Grensa. Te przedstawiały martwego mężczyznę leżącego na podłodze, który zginął od dwóch strzałów w głowę: jednego w czoło, drugiego w skroń.

Godzina 08.14

(został 1 dzień, 13 godzin i 48 minut)

GRENS ZAJĄŁ MIEJSCE NA tylnym siedzeniu. Od kilku lat prowadziła Hermansson, bo z kierownicą radziła sobie znacznie lepiej od niego. Obok niej usiadł Sundkvist; ten z kolei lepiej od niego czytał mapę. Starzejący się komisarz przypominał napastnika piłki nożnej, którego po tym, jak ukończył trzydzieści lat, przesuwano stopniowo do tyłu. W młodości grał na wysuniętej pozycji i strzelał gole, później przeniesiono go do drugiej linii, gdzie harował i gonił za piłką, a gdy jego kariera zaczęła dobiegać

końca, wstawiono go do defensywy, żeby jako doświadczony zawodnik grał twardo i nie zawsze fair, odbierając przeciwnikom ochotę do gry.

Dusko Zaravic był właścicielem mieszkania przy Valhallavägen, niedaleko placu Karlaplan. Argumenty, jakimi Grens się posłużył, żeby uzyskać zgodę na przeszukanie mieszkania, były równie słabe jak te, które przedstawił, żeby uzasadnić zatrzymanie gangstera. Tym sposobem dwa wzięte razem kłamstwa stały się lepszą prawdą. Na pierwszym piętrze dyżurny ślusarz czekał na zgodę na otwarcie drzwi. Obok niego stała skrzynka z narzędziami. W chwili gdy Grens zamierzał mu wydać polecenie, zadzwonił jego telefon. Na wyświetlaczu pojawił się nowy numer Hoffmanna. Komisarz domyślił się, że usłyszy jego pierwszy raport.

– Może pan rozmawiać?

– Poczekaj chwilę – odparł Grens. Wszedł na wyższe piętro i powiedział ściszym głosem: – Teraz mogę.

– To, czym pan się teraz zajmuje, jest konsekwencją wcześniejszych wydarzeń.

– To znaczy?

– Do punktu, w którym się pan znajduje, doprowadził was trop sprzed siedemnastu lat. Poszukiwany przez pana człowiek stał się największym handlarzem broni. Kierował tą działalnością ze swojej siedziby w Szkodrze. Pięć lat temu został zastrzelony w taki sam sposób jak trzy ofiary w Sztokholmie w tym tygodniu. Sposób działania sprawcy był identyczny.

– Niech to diabli!

– No właśnie. Sytuacja nigdy nie jest tak prosta, jak byśmy chcieli. Nawet dla komisarza policji kryminalnej, który ma nadzieję, że wsadzi za kratki tego typu.

– Egzekucja w stylu Ulcinj?

– Tak.

Sundkvist, który poszedł za Grensem na piętro, czekał, aż w rozmowie nastąpi przerwa. Teraz skorzystał z okazji i poinformował komisarza, że ślusarz otworzył drzwi i można wejść do mieszkania.

– Za chwilę – rzucił Grens, a gdy znowu został sam, spytał: – Co teraz?

– Jeśli chodzi o dom, który nas interesuje... byłem na miejscu i wiem, co trzeba zrobić. Nic się tam nie zmieniło z wyjątkiem faceta, który siedzi w pokoju na piętrze i kieruje całym przemytem. To aktualny król przemytników. Tak właśnie funkcjonuje nasz świat. Król przemytników nie żyje... Niech żyje nowy król! Będę potrzebował pomocy i dodatkowych informacji.

– Naprawdę?

– Chodzi mi o Latifiego... Ufa mu pan?

– Na sto procent.

– To nie są grzeczni chłopcy, a ja jestem tu zupełnie sam. Skąd wiemy, że on też nie jest na liście glin opłacanych przez gang? Bez względu na to, co mówią pańscy znajomi z niemieckiej policji.

– Widzę, że brak ci zaufania. Mnie zresztą też.

– Muszę wiedzieć, że facet nie pęknie.

– On naprawdę jest porządny i lojalny. W każdej sytuacji będzie trzymał język za zębami. Nie powiem, skąd to wiem, ale tak właśnie jest.

Grens rozłączył się i zaczął analizować rozmowę z Hoffmannem – jego ostrożny oddech i zmienioną barwę głosu. Dawno temu doszedł do wniosku, że rozbudowa infrastruktury telekomunikacyjnej przynosi czasem niespodziewane efekty. Ostatni raz zastanawiał się nad tym w związku ze śledztwem, które w poprzednim roku zaprowadziło go do Afryki Zachodniej. Najbogatsze kraje świata mają od dawna rozbudowaną sieć telekomunikacyjną. Nic więc dziwnego, że operatorzy działający w tej branży zaczęli inwestować w biedniejszych państwach, gdzie takiej

infrastruktury nadal brakuje. Wykorzystują tam najnowocześniejsze rozwiązania technologiczne, które szybko wrastają w lokalne struktury społeczne. Kiedy więc Grens stał na klatce schodowej budynku w Sztokholmie i rozmawiał z kimś, kto w tym samym czasie przebywał w jednym z najbiedniejszych państw Europy, mógł być pewien, że jego rozmówca korzysta z sieci telekomunikacyjnej opartej na wysokorozwiniętej technologii, takiej samej, jaką posługiwał się on – szwedzki policjant próbujący zlokalizować miejsce pobytu konkretnej osoby. Dzięki temu wiedział, że ma wysłać swojego informatora do Albanii.

Ślusarz, który otworzył drzwi do mieszkania Zaravica, zebrał narzędzia i poszedł pod następny adres, żeby inni policjanci też mogli przeprowadzić przeszukania. Sundkvist i Hermansson czekali na Grensa przed wejściem.

– Ważne sprawy? – spytał Sundkvist i spojrzał na niego takim samym wzrokiem jak wtedy, gdy ostrzegł go przed Hermansson. Obaj dziwnie się poczuli.

Jeśli ona została skorumpowana i przekazuje informacje komuś nieupoważnionemu, może to mieć tragiczne skutki dla wielu osób.

– Tak, bardzo ważne.

Obaj starali się nie patrzeć na Hermansson. Uznali, że tak będzie prościej.

– Załóżcie gumowe rękawiczki. Szukamy czegoś, co pomoże prokuratorowi uzasadnić wniosek o przedłużenie pobytu Zaravica w areszcie. Facet wydaje mi się coraz bardziej interesujący.

– Czego konkretnie szukamy?

– Na przykład broni palnej, chociaż bardziej interesuje mnie ta papierowa.

– To znaczy?

– Teczka skradziona z sejfu Wilsona albo tajne dokumenty dotyczące naszej współpracy z informatorami. Są równie groźne jak broń palna, której używają poszukiwani przez nas przestępcy.

Mieszkanie składało się z pięciu wysokich pokoi z nowoczesnymi meblami ze szkła i stali. Całość oświetlały wypasione żyrandole. Mieszkanie wyglądało jak wycięte z reklamy firmy zajmującej się wyposażeniem wnętrz i na pewno kosztowało majątek. Każdy szczegół był tu dopracowany. Wyglądało tam tak, jakby sprzątaczką przed chwilą wyłączyła odkurzacz i zmyła podłogę. Otwierali szafy, szafki i garderoby, zaglądali za obrazy i pod perskie dywany, pukali w ściany, podświetlali szpary w podłodze, podnosili kratki na odpływach i zaglądali za osłony wentylacji. W pewnej chwili Sundkvist wyszedł z kuchni i położył Grensowi rękę na ramieniu.

– Chodź, coś ci pokażę.

Grens poszedł za nim do kuchni. Przez okno wpadało ciepłe powietrze.

– Ktoś nas uprzedził i to całkiem niedawno.

– Niedawno?

– Popatrz na to.

Sundkvist wskazał palcem na szybę.

– Okno z podwójną szybą. Włamywacz nie zbije jej ani nie wytnie w niej otworu, bo narobi zbyt wiele hałasu. Może za to wykroić kit z ram, wyciągnąć z nich kołki i wyjąć szybę za pomocą dwóch dużych przyssawek do szkła. Potem bez problemu wejdzie do środka. Po robocie usunie ślady, których na pewno będzie szukać policja, i wyjdzie przez to samo okno. Żeby ukryć włamanie, zamocuje szybę na poprzednim miejscu, a szparę wypełni od zewnątrz kitem. – Przeciągnął palcem po drewnianej ramie. – To kit syntetyczny. Jest jeszcze lekko wilgotny. Wysycha porządnie po czterdziestu ośmiu godzinach. To prawie tyle czasu, ile Zaravic spędził

w areszcie. Innymi słowy, był tu ktoś, kto wiedział, że my też tu przyjdziemy.

W tym momencie usłyszeli, jak Hermansson spuszcza wodę w toalecie.

– Mamy w policji kreta – przypomniał Grens.

– Który współpracuje z bandytami i przekazuje szczegóły naszego śledztwa tym członkom gangu, których objęliśmy dochodzeniem.

– Lepiej tak nie mów. I nawet o tym nie myśl.

– Nie muszę. – Sundkvist wskazał palcem na kilka plam na drewnianej ramie okna. – Są zastygłe, ale chyba wiesz, co to jest?

– Krew.

– Łatwa sprawa. Włamywacz bierze szybę i wstawia ją na miejsce. Musi przy tym uważać na dwie rzeczy: żeby nie pękła i żeby się nie skaleczyć, ponieważ świeży kit i świeża krew to także świeże DNA. Jeśli krew należy do kogoś objętego śledztwem, najprawdopodobniej znajdziemy go w naszej bazie. Jeżeli był to ktoś z naszego wydziału, można założyć, że jego DNA też znajdziemy. Każdy w dochodzeniówce oddał kiedyś próbki krwi, żeby w trakcie prowadzonych śledztw można było nas wykluczyć z kręgu podejrzanych. Rozumiesz, do czego zmierzam? To, że tu przyszliśmy i nic nie znaleźliśmy, bo ktoś nas uprzedził, nie jest takie złe. Przeciwnie: uważam, że nic lepszego nie mogło nam się przydarzyć.

Godzina 10.01

(został 1 dzień, 12 godzin i 1 minuta)

TYM RAZEM HOFFMANN NIE musiał siedzieć w poczekalni razem z ofiarami przestępstw, które zamierzały zgłosić włamanie, kradzież albo pobicie. Latifi czekał na niego przed wejściem do budynku. Przywitał się z nim i zaprowadził wewnętrznymi korytarzami do swojego pokoju.

– Znowu się widzimy.

– Dziękuję, że mnie pan przyjął.

– Jesteśmy kolegami po fachu. Powinniśmy sobie pomagać.

Hoffmann miał w kieszeni marynarki skórzane etui z legitymacją służbową i policyjną odznaką. Przez chwilę rozważał, czy go nie wyjąć i nie potrzymać w ręce. Był policjantem, ale tylko na papierze. A przez wiele lat był poszukiwany...

– Kawy?

Na stole pojawiły się dwie małe filiżanki z czarną kawą.

– Po turecku – powiedział Latifi. – Tylko taką lubię. Wypijam po kilka dziennie. – Uniósł filiżankę do ust i wypił jej zawartość. – Proszę mówić. Zobaczymy, czy będę mógł pomóc.

Hoffmann milczał, bo nagle ogarnęły go wątpliwości. Trwało to dość krótko, ale Albańczyk od razu się domyślił.

– Pod warunkiem że pan tego chce – dodał.

– Owszem... Ale to, co chcę zrobić, nie jest pozbawione ryzyka. Poza tym będę szczery: nie wiem, czy mogę panu zaufać.

– Będzie pan pił? – spytał Latifi, wskazując na stojącą przed Hoffmannem filiżankę. A gdy ten uniósł rękę w geście oznaczającym „Nie, dziękuję”, wypił jej zawartość i odstawił ją na biurko.

– Mój szef, z którym rozmawiał pan przez telefon, twierdzi, że mogę panu zaufać, chociaż on nigdy nikomu nie ufa.

– Widzę.

– Uważam więc, że powinien mnie pan jakoś przekonać.

– Przypominam, że to pan potrzebuje mojej pomocy, nie odwrotnie.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. W końcu Hoffmann wstał i ruszył do wyjścia. Przy drzwiach na chwilę się odwrócił, żeby się

pożegnać, i zobaczył, że Latifi zdjął czapkę. Dopiero teraz zrozumiał dlaczego. Górną część czoła pokrywała duża, paskudna blizna.

– Pamiątka po nożu?

– Po bagnecie. Była też kula, która miała dokończyć dzieła.

– A oczy?

– Widzę tylko na jedno.

Hoffmann usiadł z powrotem na krześle.

– Nikomu pan o mnie nie mówił? – spytał.

– Nikomu.

– I nie zrobi pan tego?

– Nie.

Grens zawsze wiedział, o co go pytać, i dlatego Hoffmann mu ufał. Na tym budował swoje zaufanie i to mu wystarczyło.

Położył dłoń na mokrej od potu czapce i powiedział:

– Dziękuję, że pan mi to pokazał.

– Zjawił się pan u nas osobiście, chociaż mogliście wysłać ze Szwecji maila. Rozumiem, że to nie jest zwykłe śledztwo i kryje się za tym coś więcej? Sprawa osobista?

– Może.

– A coś bliżej?

– Chodzi o pewną nieruchomość, która znajduje się na skrzyżowaniu Rruga Komanit z Rruga Dasho Shkreli. To do niej prowadzą nasze tropy, a konkretnie do pokoju w wieży. Komisarz Grens sądził, że to jego przyjaciel King Zoltan rozmawiał przez telefon z jednym ze swoich dawnych ludzi. Teraz już wiemy, że to nie był Zoltan, więc musimy ustalić tożsamość tamtego człowieka.

Latifi uśmiechnął się po swoim. Blizna, którą pokazał Hoffmannowi, sprawiła, że stał się bardziej ludzki.

– Bez względu na to, co zamierza pan tu zrobić, na pewno nie spodoba się to mojemu szefowi. Ale to dobrze... a nawet bardzo dobrze.

Godzina 10.42

(został 1 dzień, 11 godzin i 20 minut)

ERIK WILSON MIAŁ ZA sobą ciężki dzień: przed chwilą wyszedł ze spotkania z policyjnymi związkami zawodowymi, w którym wziął udział po męczących negocjacjach w dziale personalnym. Marzył o chwili spokoju, bo wkrótce miał się udać na kolejną nasiadówkę do księgowości, tym razem w sprawie deficytu w budżecie policji. Nagle do jego pokoju wparował Grens.

– Gadaj, gnojku, i to zaraz! Nie wyjdę stąd, dopóki nie usłyszę odpowiedzi, które mnie w pełni zadowolą.

Wilson nie znosił biurokratycznych nasiadówek, ale w tym momencie o niczym innym nie marzył. Rozwścieczony, cedzący przez zęby słowa komisarz był gorszy niż wszystkie zebrania, nasiadówki i deficyt budżetowy razem wzięte.

– Ja też witam cię serdecznie.

– Dziś rano pojechałem przeszukać mieszkanie Zaravica, na co ty, po uprzednich protestach, wyraziłeś zgodę. Wiedziało o tym niewiele osób. Tymczasem ktoś tam przed nami był i usunął wszystkie ślady, które mogłyby posłużyć za dowód.

– Już to przerabialiśmy i nie zamierzam do tego wracać.

– Albo to ty jesteś źródłem przecieku, albo ktoś z twojego najbliższego otoczenia, komu w pełni ufasz. Z kim się spotykasz? W kim jesteś tak ślepo zakochany, że straciłeś trzeźwość osądu?

– Widzę, że inaczej się nie da... Musimy to jeszcze raz w spokoju przedyskutować. Powiem wprost: to nie twój interes, z kim się spotykam. Co ci odbiło? Szukaj swojego przecieku gdzie indziej. Może to ktoś z twojego otoczenia? Ktoś, komu bardzo ufasz i kogo za bardzo lubisz, żeby takie rzeczy zauważyć?

– Jestem pewien, że rozumiesz, o czym mówię: stałeś się nieświadomie aktorem. Nie znajduję innej rozsądnej odpowiedzi. Sejf stoi w twoim pokoju! Nakaz przeszukania mieszkania też został wystawiony tutaj!

– Usiądź.

– Najpierw mi to wyjaśnij.

– Usiądź, Ewert.

Grens niechętnie spełnił polecenie Wilsona. Zanim komisarz policji tej rangi przestanie awanturować się w obecności przełożonego, potrzebuje trochę czasu.

– Postanowiłem jeszcze raz zbadać mój pokój i podziemne archiwum – oświadczył Wilson. – Zrobiłem to w tajemnicy przed innymi. Zwróciłem się do innych specjalistów i dowiedziałem się nowych rzeczy.

– Naprawdę? – Grens próbował zachować spokój, ale z trudem mu to przychodziło.

Wilson pochylił się i zabębnił palcami po ciężkiej stalowej szafie.

– Żeby dostać się do takiego sejfu, potrzebny jest kod, którego nigdzie nie zapisywałem, i zaprogramowana karta podobna do tych, które służą do otwierania drzwi zamykanych na elektroniczny zamek. Moi fachowcy dokonali czterech ciekawych odkryć, które świadczą o tym, że ktoś to wszystko zaplanował. Dwie grupy sprawdzały nasz wydział, dwie zeszły do archiwum.

– O jakich odkryciach mówisz?

– O tym, jak zdobyć czyjś PIN, wiedzieliśmy już wcześniej: wystarczą małe kamerki ukryte w odpowiednim miejscu. Jedna tu, w środku, z obiektywem skierowanym na sejf, druga nad biurkiem w archiwum, skierowana na szafę. Kiedy wbijam ośmiocyfrowy kod, pojawia się on na elektronicznym wyświetlaczu. Dzięki temu mogę sprawdzić, czy wybrałem właściwe cyfry, ale w tym samym momencie obraz może zostać nagrany przez ukrytą kamerę. Osoba, której szukamy, mogła w ten sposób ściągnąć mój PIN na swój komputer albo na telefon komórkowy. Mogła to zrobić w czasie, kiedy siedziałem w tym gabinecie i wykonywałem swoją... a właściwie naszą robotę. Powtarzam: naszą!

W pokoju dokonywała się dziwna zmiana. Energia wypełniająca przestrzeń zaczęła się rozkładać inaczej niż przed chwilą... jakby cały proces zaczął się na nowo. Grens stopniowo się uspokajał, podczas gdy Wilson robił się coraz bardziej rozgorączkowany, jakby dopiero teraz do niego dotarło, w jak brutalny sposób został zaatakowany. Nagle sobie uświadomił, że ktoś go podpatrywał i wykorzystał – jego, szefa największego w Szwecji wydziału dochodzeniowego! Padł ofiarą zakrojonego na szeroką skalę spisku w budynku, w którym policjanci prowadzą śledztwa w podobnych sprawach.

– Znaleźliśmy dwie kamery kierunkowe. Jedna wisiała na naszym korytarzu, druga przy archiwum. Były niewiele większe od kamerek internetowych i dość łatwe do ukrycia. Wychwytyją częstotliwości z odległości dziesięciu metrów, a potem wysyłają je do skanera i programatora kart. Potem wystarczy włożyć do programatora czystą kartę i nacisnąć ENTER, a na karcie znajdą się te same dane co na mojej.

Kiedy ktoś taki jak rzadko denerwujący się Wilson wpada w złość, jest to inny rodzaj złości niż ta, jaką emanuje ktoś pokroju Grensa. Ten bowiem

miewa swoje ataki codziennie, ale trwają krótko. Taki rodzaj złości jak u Wilsona łatwiej zauważyć.

– Mamy więc całkowicie bezpieczny podwójny zamek i PIN, który istnieje wyłącznie w mojej głowie. Jest też częstotliwość zapisana na mojej plastikowej karcie. I nagle ktoś, kto pracuje w naszym wydziale i komu w pełni ufamy, montuje na korytarzu, po którym codziennie chodzimy, kamery. Po co to robi? Żeby nam zaszkodzić w pracy.

W pokoju działo się coś, co nigdy wcześniej nie miało miejsca. Grens robił się coraz spokojniejszy, podczas gdy Wilson wpadał w coraz większą złość i to jego trzeba było uspokajać.

– Wiem, co czujesz. – Grens chwycił drżącego przełożonego za ramiona, jakby chciał wytrząść z niego skumulowaną złość, która wciąż w nim kipiała.

– Pomyśleć, że podejrzewasz ludzi z naszego najbliższego otoczenia. O ilu osobach rozmawiamy? Ile z nich może wejść do tego pokoju bez wzbudzania podejrzliwości? Dwadzieścia? Dziesięć? A może tylko pięć? – Twarz i szyja Wilsona zabarwiły się na purpurowo. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, bo słowa utknęły mu w gardle.

Grens skorzystał z okazji.

– Poprosiłem Marianę, żeby cię śledziła, bo moim zdaniem nadal ukrywasz wiedzę, która ma pierwszorzędne znaczenie. Odmówiła, a ja nie mogłem zrozumieć dlaczego. Poprosiłem więc Svena, żeby śledził ją. Z początku on też mi odmówił, bo tacy już jesteśmy: czasem nie chcemy dostrzec czegoś, co widać gołym okiem. Potem jednak Sven zmienił zdanie i zaczął za nią chodzić. I wiesz, coś ci powiem. Nie wygląda to dobrze. Mariana zachowuje się w sposób całkiem do niej niepodobny. Nigdy przedtem taka nie była. Kłamie, nie przychodzi na umówione spotkania albo pojawia się w miejscach, w których nie powinno jej być... Może się

więc okazać, że to właśnie jej szukamy. Dlatego proszę cię, żebyś przejął śledztwo w jej sprawie, bo ja stoję zbyt blisko niej.

Godzina 16.33

(został 1 dzień, 5 godzin i 29 minut)

– TAM... CZARNE AUDI... przed tą dużą bramą. Widzi go pan? Facet wyciąga rękę, lekko przechyla głowę i wbija kod. Twarz... szybciej...

– Już go mam.

Hoffmann i Latifi siedzieli na dachu zdewastowanego magazynu i obserwowali białą dwukondygnacyjną willę. Strzegli jej ci sami dwaj ochroniarze, których Hoffmann widział podczas swojej pierwszej wizyty w tym miejscu. Po pięciu minutach zjawił się człowiek, na którego obaj czekali. Tak im się przynajmniej wydawało. Obiektyw aparatu Latifiego był znacznie lepszej jakości od albańskiego sprzętu, który Hoffmann widział wcześniej. Na pewno stanowił prywatną własność policjanta. Zdjęcia kierowcy samochodu wyszły ostre, jakby zrobione oczami atakującego ptaka. Wysokie czoło, blada cera, siwiejące bokobrody. Ochroniarze otworzyli bramę, a kiedy mężczyzna wjechał na podwórze i znalazł się poza zasięgiem aparatu, od razu ją zamknęli. W przedpokoju na parterze zapaliło się światło i rozjaśniło prowadzące na piętro schody.

– Wcześniej tylko podejrzewałem, że to był on – powiedział Latifi. – Teraz już to wiem.

– Co pan wie?

– Kim jest człowiek, którego pan szuka.

Latifi zrobił zbliżenie obrazu.

– To Albańczyk z kosowskiej Prisztiny. Działa w tej okolicy od kilku lat.

Hoffmann ocenił, że widoczny na zdjęciu mężczyzna może mieć od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat. Kiedy policjant powiększył obraz i poprawił ostrość, Hoffmann zauważył w nozdrzach mężczyzny cienkie złote kółka, a na szyi wypukłe znamię, na widok którego każdy dermatolog od razu wysłałby go na badania.

– Nazywa się Hamid Cana i pod wieloma względami przypomina Kinga Zoltana. Różni ich tylko to, że Zoltan nie żyje. Cana ma bogatą kartotekę, ale nie ma w niej nic, za co można by go oskarżyć i skazać.

W tym momencie światło zapaliło się też w pokoju w wieży, dzięki czemu Hoffmann i Latifi mogli obserwować przez okno mężczyznę w ciemnym garniturze. Cana usiadł przy biurku i odwrócił do siebie ekran monitora.

– Za komuny taki dom, a właściwie cały szereg takich domów ciągnący się w prostej linii na północ, pełnił dwie funkcje: zwykłego budynku mieszkalnego i miejsca pracy dla instruktorów politycznych. Byli albańskimi odpowiednikami sowieckich politruków, funkcjonariuszy partyjnych o szerokim zakresie władzy. – Latifi wyjął z torby plan całej nieruchomości i rozłożył go na rozgrzanym od słońca blaszanym dachu. Zaznaczył na nim miejsce, w którym znajdowała się willa, i wskazał na jeden z zakreślonych czworokątów. – Cana siedzi teraz w tym pokoju. Wiemy, jaki tam jest układ pomieszczeń. Państwowa biurokracja też się czasem do czegoś przydaje. Tutaj na wszystko trzeba mieć zgodę i pozwolenie, bo dzięki temu jedni mają pracę, a inni są pod kontrolą. Te papiery i mapę znalazłem w państwowym archiwum.

Teczka zawierała plany i inne dokumenty związane z obserwowaną przez nich nieruchomością.

– Według tych planów, które zostały zatwierdzone zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami, pokój w wieży pełnił funkcję

gabinetu instruktora politycznego. Na tym szkicu widać to dokładnie.

Niektórzy ludzie nie potrzebują długich wyjaśnień. Po prostu wiedzą.

– Proszę obejrzyć te plany. Na wypadek gdyby chciał pan tam wejść. – Latifi zwinął rysunki i podał je Hoffmannowi. – Jeśli przeleciał pan tyle kilometrów tylko po to, żeby sprawdzić, kto mieszka w tym budynku i kieruje przemytem broni wysyłanej do Europy Północnej, nie musi pan tracić czasu na dalsze ustalenia.

Potem zaczęli studiować na wyświetlaczu aparatu jedno ze zdjęć. Przedstawiało mężczyznę o ptasich oczach ze złotym kolczykiem w uchu i znamieniem przypominającym nowotwór.

– Jest pan tego pewien? – spytał Hoffmann.

– Nie, ale myślę, że tak właśnie jest. Nie twierdzę, że ten człowiek kieruje całą działalnością przestępczą, ale uważam, że jest w niej mocno osadzony. Takie jest moje zdanie, bo to ja wpisywałem do rejestru podejrzanych wiele poczynionych przez nas obserwacji. Później się okazało, że robiłem to całkiem niepotrzebnie, bo mój bezpośredni przełożony za każdym razem ignorował albo ośmieszał moje argumenty za tym, żeby Canę zatrzymać albo o cokolwiek oskarżyć. Robił to z tego samego powodu co w przypadku zastrzelonego i zdetronizowanego Kinga Zoltana: na liście płac przemytników broni znajduje się zbyt wiele nazwisk kolegów z policji.

– Cholera... jak pan sobie z tym wszystkim radzi?

Latifi wzruszył ramionami.

– Muszę jakoś zarabiać na utrzymanie rodziny.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, chociaż gdyby Hoffmann dokładniej mu się przyglądał, doszedłby do wniosku, że był tam przez cały czas – od chwili, gdy przybyli na miejsce i wyważyli zamknięte na klucz drzwi magazynu, żeby dostać się na dach.

– Poza tym – ciągnął Latifi – czasem odwiedzają nas niespodziewani goście, tacy jak pan, którzy proszą mnie o pomoc w obserwacji tej samej willi. Dzięki nim trafia mi się szansa, żeby choć trochę wstrząsnąć tym systemem. Kiedy myślę, że mój szef już wkrótce straci jedno ze źródeł dochodu, łatwiej mi się wraca po pracy do domu.

Godzina 21.03

(został 1 dzień i 59 minut)

– KOMISARZ GRENS?

– Tak, słucham?

– Mówi Hoffmann. Może pan rozmawiać?

– Tak. Jestem sam.

– Przed chwilą wysłałem panu na komórkę zdjęcie.

– Właśnie je otwieram. Przełączam na głośne mówienie, żebym mógł je od razu obejrzeć.

– Poznaje go pan?

– Nie.

– Na pewno?

– Takie oczy i znamię na pewno bym zapamiętał.

– Nazywa się Hamid Cana. Coś to panu mówi?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– To do niego dzwonił tamten ochroniarz. W chwili kiedy ze sobą rozmawiali, znajdował się w budynku, którego lokalizację udało się panu ustalić. To on zastąpił Kinga Zoltana po jego śmierci albo współpracuje z ludźmi, którzy przejęli po nim dostawy broni.

– Jesteś pewien?

– Sam mnie pan przekonywał, że mogę zaufać Latifiemu, więc będę mu dalej ufał i potwierdzę: tak, jestem pewien.

– Jest parę minut po dziewiątej.

– Wiem.

– Została nam właściwie jedna doba, żeby ustalić, z kim facet ze zdjęcia współpracuje w Szwecji i kto zostawił nam trzy trupy. Będę też chciał ustalić, kto grozi twojej rodzinie. Powtarzam: została nam niecała doba, bo potem będę musiał wypuścić Zaravica na wolność, co wiąże się z ryzykiem, że mogą do niego trafić dokumenty, z których dowie się, kto go wysłał na sześć lat do paki i przez kogo nie mógł pojechać na pogrzeb syna. Jeśli te papiery dostaną się w jego ręce, ty i twoja rodzina będziecie mieli na karku cały przestępczy Sztokholm. W takich sytuacjach bandyci polują grupowo. Przeszukanie mieszkania Zaravica w niczym nam nie pomogło, a ja nie mam żadnych dowodów ani poszlak, żeby prokurator przedłużył mu areszt i zostawił go w celi na kilka dodatkowych dni.

– Zrobię, co się da.

– Błąd! Masz zrobić to, co jest konieczne, okej? Nie chcę wiedzieć, jak się do tego zabierzesz, ale postaraj się ustalić to pieprzone nazwisko.

Późny wieczór w Szkodrze. Hoffmann rozejrzał się po pustym barze. Na ścianie wisiał zegar, który odmierzał upływający czas.

Z kabury na nóż wyjął zwiniętą serwetkę i położył ją na kontuarze między butelką miejscowego piwa a telefonem komórkowym, w którym przed chwilą słyszał zestresowany głos Grensa. Przez moment bębnił palcami po słowach wpisanych w kratki narysowane na serwetce, w istotny element jego planu działania. Najpierw je wypełnił, a potem po kolei skreślał. Teraz zostały mu już tylko dwa rzędy krater z wpisanymi w nie słowami. Wyjął długopis i przekreślił jedno z nich.

Potrzebne do przeżycia: hasło na szesnaście liter.

~~U-S-T-A-L-E-N-I-E-P-O-Z-Y-C-J-I~~

Ostatnie hasło zostawił w niezmienionej postaci:

Potrzebne do przeżycia: hasło na dziesięć liter.

K-O-D-D-O-S-T-Ę-P-U

Ostatnie hasło krzyżówki. Żeby je skreślić, a tym samym uznać za rozwiązane, będzie musiał zmusić do mówienia człowieka ze znamieniem i ptasimi oczami. Grens go naciska, więc Hoffmann jest gotowy posunąć się naprawdę daleko, choć z drugiej strony wie, że istnieje pewna granica, której nie wolno mu przekroczyć: nie może nikogo zabić, bo martwy człowiek nic więcej nie powie. Musi wejść do strzeżonego przez ochroniarzy budynku, dotrzeć do zabezpieczonego przed intruzami pokoju w wieży i zmierzyć się z człowiekiem, który kiedyś poddawany był torturom, ale jakoś je przetrwał. Będzie miał trochę czasu, żeby go złamać.

Nie ma innego wyjścia. To z niego Hoffmann musi wydobyć informację, z kim współpracuje w Szwecji. Powinien się pospieszyć, bo czasu jest coraz mniej.

Godzina 7.09

(zostało 14 godzin i 53 minuty)

ŻÓŁTY SER, DŻEM I jogurt waniliowy. Chrupkie pieczywo i sok pomarańczowy, a dla niej filiżanka kawy.

Obudzili się wcześnie, ale nie dlatego, że musieli. Kiedy śpią, łatwiej im znieść obecną sytuację. Powód był inny: o wpół do siódmej Luiza się rozpląkała. Była niepokieszona i obudziła braci. Teraz siedzieli razem na kanapie, która jeszcze kilka dni temu należała do obcych ludzi. Na brzydkim szklanym stoliku stało śniadanie, w telewizji leciał ranny

program. Chłopcy wykorzystywali ekran głównie do gier, w których chodziło o to, kto kogo szybciej zastrzeli. Zofia zamknęła oczy. Przez chwilę była myślami w ich domu. Jest zwykły poranek, cała rodzina siedzi przy kuchennym stole i je śniadanie. Słysząc stukanie łyżek i chrupanie chleba. Otworzyła oczy, rozejrzała się po tymczasowym mieszkaniu i popatrzyła przez okno na dzielnicę, do której musieli się na krótko przenieść. Nigdy tu nie była i w ogóle jej nie znała.

W telewizji zaczął się program informacyjny. Prowadzący poranne studio dziennikarz komentował demonstracje przed szczytem w Paryżu; w mowie wygłoszonej w Białym Domu prezydent Stanów Zjednoczonych obiecał obniżyć podatki; w Afryce Zachodniej ostrzelano kolumnę wozów ONZ z dostawami żywności. Informacje dotyczące Szwecji były właściwie powtórką z poprzedniego tygodnia: atak na komisariat policji w Malmö, zastrzelony dwudziestolatek w Norsborgu, dwaj uczniowie pocięci nożem w Bergsjön. Odwróciła się do Luizy, żeby poprawić jej śliniak i jakimś podstępem wmusić w nią ostatnią porcję kleiku z bananem, gdy usłyszała głośny okrzyk Rasmusa.

– Mamo! Zobacz! – Wypowiedział te słowa zdumionym, zmieszonym głosem. – Pokazują nasz dom!

Z początku Zofia nie zrozumiała, co syn miał na myśli, i spokojnie wycierała buzię córeczce, żeby usunąć z niej resztki kleiku.

– Mamo! Popatrz!

Dopiero teraz zerknęła na ekran telewizora. Materiał ilustrujący zmiany, jakie w ciągu kilku ostatnich lat dokonały się w Szwecji, zastąpił nowy przekaz. To, co ujrzała na ekranie, w ogóle nie przypominało domu, do którego wprowadzili się po powrocie do Szwecji. Razem z synami czekała w nim na powrót Pieta z więzienia po jego ostatniej odsiadce. To, co teraz zobaczyła, nie miało nic wspólnego z tym, jak do niedawna wyobrażała

sobie ich codzienne życie. Przypominało raczej pobożowisko po uderzeniu pocisku, który przypadkowo trafił w cywilny obiekt znajdujący się w dużej odległości od centrum walk. Dom, którego obraz wypełniał cały ekran telewizora, stał w jednej z dzielnic na przedmieściu Sztokholmu. Doszło tam do silnej eksplozji, która zamieniła budynek w dymiące zgliszcza, a siła wybuchu uszkodziła niektóre okoliczne zabudowania. Prezenter informował obojętnym tonem, że do wybuchu doszło przed godziną i policja ewakuowała mieszkańców sąsiednich domów.

Zofia wzdrygnęła się. Ogarnął ją lodowaty strach, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

– Mamo, pokazywali nasz dom. Jest zburzony. Widziałaś?

Rasmus nie wiedział, jak zareagować: zacząć się bać czy raczej uznać, że sytuacja jest ekscytująca. Telewizja pokazywała ich dom i całe osiedle. Widział jednak, jak zareagowali mama i starszy brat, który jest mądry i dużo wie, więc milczał. Od razu zauważył, że mama i Emil mają smutne miny. Na pewno się nie mylił.

Po chwili na ekranie telewizora pojawił się materiał o szwedzkim parlamencie i politykach, którzy dyskutowali o założeniach jesiennego budżetu. Znowu te same nudy. Jak zwykle.

– Jedzcie śniadanie, ja muszę do toalety – powiedziała Zofia.

Telefon komórkowy leżał ukryty za kratką wentylacyjną w rogu łazienki, nad wieszakami na ręczniki. Zofia wybrała jedyny numer, jaki był wprowadzony do jego pamięci.

– Piet... to ja.

Nie wiedziała, gdzie jest jej mąż, ale jego głos był tak wyraźny, jakby siedzieli obok siebie.

– Miałaś dzwonić tylko wtedy, jeśli sytuacja zrobi się groźna.

– Sytuacja jest groźna.

– O co chodzi?

– Jedliśmy śniadanie i oglądaliśmy telewizję. W wiadomościach pokazali dom, który wyleciał w powietrze. To był nasz dom.

– Co???

– Ktoś wysadził go w powietrze.

Zofia czekała na jakieś wyjaśnienie, ale Hoffmann zwlekał z odpowiedzią. A może zasięg był słaby? To możliwe, jeśli znajdował się daleko od nich.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytała.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Nie słyszałeś, co powiedziałam? Nasz dom wyleciał w powietrze. Zniknął z powierzchni ziemi. Wszystko przepadło. Nie mamy nic! – Wprost wykrzyczała te słowa do słuchawki. – Może mi w końcu powiesz, co się dzieje?! Jeśli tego nie zrobisz, rozłączę się i pójdę na policję! Decyduj!

Hoffmann wciąż się wahał. Zofia zrozumiała, że to nie zasięg.

– Nie wolno ci tego zrobić – odezwał się w końcu.

– No to mów!

– Im więcej ci powiem, tym bardziej będziecie narażeni na niebezpieczeństwo. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Tłumaczyłem ci, że bandyci potrafią z każdego wyciągać informacje. Jeśli więc znajdziecie się w sytuacji, w której ty, Emil albo Rasmus...

– Mów!

Zofia słyszała jego oddech i czuła niepokój w jego głosie. Nie kontrolował go, więc i ona była niespokojna.

– W policji był przeciek.

– Przeciek?

– Tak. Jakiś policjant, który pracuje dla gangu, zdobył dostęp do moich tajnych dokumentów. Wie o każdym moim spotkaniu z oficerem prowadzącym i zna treść wszystkich informacji, jakie przekazałem policji o gangach. Teraz ci ludzie wykorzystują tę wiedzę, żeby mnie zmusić do zrobienia czegoś, czego nie chcę zrobić. W plecaku Rasmusa zostawili odbezpieczony granat. To stąd moja charakterystyka i kryjówka, którą dla was znalazłem. Nasz dom wyleciał w powietrze, ponieważ zerwałem kontakty z ludźmi, którzy nam grozili.

Po zakończonej rozmowie Zofia jeszcze długo trzymała telefon przy uchu. Osunęła się na podłogę i rozplakała. Czasem tylko tyle można zrobić, jeśli ktoś nie może ruszyć się z miejsca, chociaż trwanie w bezruchu też sprawia ból.

W końcu opanowała się i otworzyła drzwi łazienki. Synowie czekali na nią w przedpokoju: zalany łzami Rasmus i Emil z Luizą na rękach.

– Mamo... przytul mnie... – Rasmus objął ją i nie chciał puścić.

– Chodź ze mną. Musimy zmienić pieluchę Luizie.

Emil od razu zareagował na jej słowa, ponieważ bał się, że mama zmieni zdanie. Zofia popatrzyła w milczeniu na swojego mądrego syna, który podał jej młodszą siostrę. Pocałowała go w czoło i weszła do łazienki. Emil nie był pewien, co ze sobą zrobić. Wiedział tylko tyle, że nie powinien tak tkwić w przedpokoju i czekać nie wiadomo na co, podczas gdy mama będzie myła albo kąpała Luizę. Godzinę temu ich dom wyleciał w powietrze. Po chwili namysłu popchnął drzwi łazienki w taki sposób, żeby mama tego nie zauważyła, i je zamknął. Doszedł do wniosku, że trafia mu się okazja sprawdzenia tego, czego nie zdążył sprawdzić poprzednim razem. Postanowił pójść do sypialni i obejrzeć podłogę w garderobie. Kiedy ostatnio na nią zeskoczył, ugięła się pod nim, a za futryną drzwi znalazł

czarną gałkę. Jeśli się pospieszy, przy odrobinie szczęścia zdąży zrobić to, co zaplanował.

Od sypialni dzieliło go dziewięć kroków. Podbiegł do garderoby, otworzył drzwi, kucnął i pociągnął za gałkę. Sekundę później podłoga powoli się uniosła. Pochylił się, żeby oświetlić latarką ciemny duży otwór:

Przechylił się w dół i wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, czy dosięgnie dna, ale go nie poczuł. Zaparł się więc nogami o pustą dolną półkę, mocno chwycił rękami za krawędź otworu i opuścił maksymalnie w dół. Dopiero z tej pozycji udało mu się dotknąć cienkiej płyty na dnie. Zapukał w nią, ale odpowiedziało mu echo. Doszedł więc do wniosku, że pod spodem jest pusta przestrzeń.

Był prawie pewien, że pod podłogą garderoby istnieje tunel prowadzący na zewnątrz. Tata chyba to miał na myśli, kiedy mówił o „wyjściu”.

Godzina 7.25

(zostało 14 godzin i 37 minut)

ZDAWAŁ SOBIE SPRAWĘ, ŻE powinien robić swoje, nie zważając na uczucia. Nie myśleć o rodzinie i nie ulegać pokusom. Pozbyć się tęsknoty, żeby nie myśleć o tych, na których mu zależało. Dobrze wiedział, że w takich chwilach zwłaszcza o nich nie wolno mu myśleć.

Zofia powiedziała, że dom wyleciał w powietrze. Ktoś pozbawił ich bezpiecznego miejsca do życia.

Hoffmann miał tylko jedno wytłumaczenie: ci, którzy mu grożą, chcą pokazać, że jeśli nie będzie im posłuszny, wykonają następny krok, ale wtedy ich celem nie będzie budynek z drewna i kamieni, tylko ludzie.

Powinien zareagować tak jak dawniej, gdy tęsknota za bliskimi wywoływała w nim rozpacz. Wiedział, że musi się przed tym bronić,

wyzbyć się uczuć i w żadnym razie nie wkraczać w tę rzeczywistość. Czasu zostało mu niewiele, ale musi sobie jakoś poradzić.

– Złe wieści? – spytał Latifi.

To on wybrał kawiarnię. Była wprawdzie otwarta od wczesnych godzin rannych, ale pierwsi goście rzadko zjawiali się o tej porze. Przez dwie, trzy godziny będą w lokalu sami, nie licząc właściciela, który stał za kontuarem i podgrzewał na kuchence wodę z cukrem. Chwilę potem obwieścił dumnym głosem, że baklava jest gotowa.

– Można tak powiedzieć – odparł Hoffmann.

– W takim razie ja mam dla odmiany dobre. – Latifi wyjął kopertę i położył ją obok filiżanki Hoffmanna. – Niech pan do niej na razie nie zagląda. Proszę poczekać, aż stąd wyjdziemy. To, co dałem panu na dachu magazynu, zawierało rysunki i plany z naszego miejskiego archiwum. To, co jest w tej kopercie, pochodzi z innych archiwów i opatrzone jest klauzulą tajności. Znam kilku urzędników, którzy są mi winni przysługę. Wczoraj wieczorem jeden z nich spłacił dług.

Hoffmann domyślił się, co Latifi chciał mu powiedzieć między wierszami: narażał się na duże ryzyko, aby pomóc obcemu człowiekowi pochodzącemu z kraju, w którym nigdy nie był.

– Zna pan rozmieszczenie pokoi w willi, liczbę strażników i umiejscowienie kamer monitoringu – dodał Albańczyk. – Dzięki planom w tej kopercie dowie się pan o tajnym wejściu.

– Do środka?

– Tak. Jak mówiłem, w takich domach mieszkali nasi instruktorzy polityczni. Kiedy je budowano, pomyślano też o tajnych wejściach i wyjściach. Były elementem kultury politycznej w krajach, w których obowiązywał system jednopartyjny. Nasi nowobogaccy, obecni właściciele tych domów, nie mają pojęcia o istnieniu tych tajnych wejść.

Hoffmann nie wiedział, jak dziękować albańskiemu koledze. Zwykle „dziękuję” na pewno by nie wystarczyło. Nie był jednak pewien, jak się zachować, więc powiedział po prostu:

– Dziękuję.

Latifi skinął głową. Był lekko zawstydzony. Nie wiedział, jak się zachować w sytuacji, gdy ktoś okazuje mu szacunek. Na kopercie położył fotografię

– Dowiedziałem się też czegoś więcej o człowieku ze znamieniem i ptasimi oczami. Hamid Cana dzieli swój czas między dwa miejsca. Zwykle przebywa w domu, który obserwowaliśmy z dachu, ale regularnie odwiedza pewną kobietę mieszkającą w górach, dwadzieścia kilometrów za miastem.

Podał Hoffmannowi zdjęcie paszportowe, które przedstawiało kobietę w średnim wieku o delikatnych rysach twarzy. Długie ciemne włosy i mało zmarszczek; widać było, że nie stosuje makijażu. Wymuszony uśmiech obnażał dwa rzędy równych, białych zębów. Miała taką minę, jakby czuła się niezręcznie. Ale kto czuje się swobodnie podczas pozowania do zdjęcia?

– Są w związku?

– Nieformalnym. Co innego można powiedzieć o facecie, który kilka razy na tydzień nie tylko odwiedza swoją kobietę, ale także zostaje u niej na noc?

Hoffmann skinął głową, chociaż sama informacja o tym, że Cana żyje w nieformalnym związku, nie miała w tym kontekście znaczenia. Zainteresowało go coś innego: Latifi powiedział, że Cana regularnie opuszcza willę, a nawet nocuje poza domem. W sytuacji, gdy budynku strzeże tylko dwóch ochroniarzy, niepożądany gość mógłby skorzystać z okazji i wejść do środka przez tajne drzwi, o których nikt nie wie. Dzięki

temu, żeby zdobyć informacje, po które tu przyjechał, Hoffmann nie będzie musiał nikogo skrzywdzić, zabić ani zastosować innych środków przymusu.

– Podać panom ciastka do kawy?

Właściciel kawiarni przyniósł im złotobrazowe, kwadratowe ciasteczka. Zapachem przypominały domowe wypieki Zofii.

– Cukrowa polewa jest jeszcze ciepła, ale mam nadzieję, że ciastka będą panom smakować.

Pachniały wspaniale, ale wzięli tylko po jednym, jakby chcieli okazać właścicielowi lokalu grzeczność. Spróbowali i podziękowali mężczyźnie, który był przekonany, że podał im najlepszą na świecie baklawę.

– Przejdźmy do rzeczy – rzucił Latifi, ocierając serwetką klejące się od ciastka palce. – Czy jest pan zadowolony z dotychczasowych ustaleń?

– Jeśli w kopercie jest to, o czym pan mówił, to tak.

– Nie wiem, co zamierza pan dalej zrobić, ale tak jest chyba lepiej. Na wszelki wypadek, gdyby potrzebował pan pomocy, jestem do dyspozycji przez cały dzień.

– Naprawdę? Nie narazi się pan na jakieś ryzyko?

– Powiem szczerze: im rzadziej przeprowadzam podobne akcje, tym bardziej zadowoleni są moi przełożeni.

W kawiarni nadal było pusto. Hoffmann wstał z krzesła, wziął ze stołu kopertę, złożył ją na pół i wsunął do bocznej kieszeni spodni. Będzie musiał postanowić, co dalej. Powinien skorzystać z tajnego wejścia i ustalić nazwisko człowieka, którego szuka Grens.

Godzina 8.36

(zostało 13 godzin i 26 minut)

BETONOWY FUNDAMENT ZASYPANY FRAGMENTAMI ścian, stos cegieł, dwie wystające znad rumowiska plastikowe szafki i czarny dym unoszący się w miejscach, do których nie dotarły jeszcze węże strażackie. Tylko tyle zostało z domu Hoffmannów.

Po przyjeździe na miejsce Grens od razu spytał dowódcę jednostki straży o to, co uważał za najważniejsze.

– Znaleźliście jakieś ciała?

– Na razie nie.

Komisarz przeszedł na drugą stronę zablokowanej przez policję ulicy, ale tam też nie poczuł się lepiej.

Silnej eksplozji towarzyszy równie silna fala uderzeniowa. Hamak, na którym Zofia siadywała z Luizą na rękach i śpiewała jej do snu, został wyrzucony aż pod ogrodzenie. Siła uderzenia zmiotła huśtawki na tyłach budynku, a oddzielający działkę od sąsiedniej posesji żywopłot, przez który Emil i Rasmus przechodzili, żeby bawić się z dziećmi sąsiadów, przestał istnieć. Nie było kontaktu z rodziną Hoffmannów. Na razie tylko tyle wiedzieli.

Grens miał nadzieję, że Hoffmann zdążył umieścić rodzinę w bezpiecznym miejscu.

Słoneczny upał mieszał się z wysoką temperaturą, która wytworzyła się na skutek wybuchu. Usta i nosy zalepiała gęsta sadza. Komisarz obserwował, jak Hermansson rozmawia z technikami, którzy kręcili się pośród ruin z kamerami i aparatami fotograficznymi. Na dłoniach mieli gumowe rękawiczki. Lucas i Amelia spisywali zeznania sąsiadów, którym funkcjonariusze pozwolili zostać w domach. Ich praktyka w policji obejmowała też udział w dochodzeniach w sprawie poważnych przestępstw.

Na twarzy Sundkvista, który podszedł do Grensa, widać było ślady tego, że ostatnio zbyt często zrywano go z łóżka o wczesnej porze.

– Ewert... muszę z tobą porozmawiać. Na osobności.

– Okej. Słucham.

– Rozumiem, że mamy przed sobą dom, który należy... a właściwie należał... do Hoffmanna?

– Tak.

– Czy powinniśmy wiązać tę sprawę z tym, czym zajmowaliśmy się ostatnio? Mam na myśli trzy egzekucje, wykradzione z sejfu Wilsona dokumenty i twoje podejrzenia wobec Hermansson? Tylko nie kręć, mów prawdę.

– Tak, te wszystkie sprawy są ze sobą powiązane.

– Rozumiem więc, że mają one także związek z Hoffmannem, bo współpracujesz z nim przy innym śledztwie, o którym nie chcesz mi powiedzieć?

– Tak właśnie jest.

– W takim razie jak wytłumaczysz wybuch bomby w jego domu?

– Jako ostrzeżenie.

– Nic więcej mi nie powiesz?

– Na razie nie.

Sundkvist miał do omówienia jeszcze jedną sprawę: raport z analizy krwi zabezpieczonej na okiennej ramie w trakcie przeszukiwania mieszkania Dusko Zaravica.

– Przejrzeliśmy nasze rejestry, ale nic nie znaleźliśmy – oznajmił. Wyjął telefon i powiększył na wyświetlaczu treść maila z laboratorium. – Widzisz? Krew nie należy do żadnego z przestępców notowanych w naszej bazie ani do nikogo, kto jest zatrudniony w dochodzeniówce.

Grens próbował rozszyfrować małe litery, które bez względu na to, jak bardzo Sundkvist próbował je powiększać, były dla niego zbyt małe. To, co

przed chwilą usłyszał, uznał za dobrą wiadomość, chociaż nawet pojedynczy wynik pozwalający na prawie stuprocentową identyfikację byłby w tej sytuacji lepszy. Z analizy wynikało bowiem, że włamania dokonał ktoś spoza ich wydziału. Wprawdzie wciąż nie można było wykluczyć, że osobą, która przeszła na stronę gangu i sprzedała swoich kolegów, był policjant, ale nikogo nie udało się na razie powiązać z prawdopodobnym włamaniem, którego celem było zatarcie śladów.

– Sven?

– Tak?

– Powiedz Marianie i aspirantom, żeby przerwali pracę. Pojedziemy do mojego mieszkania.

– Do twojego mieszkania?

– Tak. To jedyne miejsce, gdzie możemy się spotkać.

Godzina 9.58

(zostało 12 godzin i 4 minuty)

CAŁA PIĄTKA Z TRUDEM zmieściła się w windzie. Z instrukcji zapisanej na metalowej tabliczce wynikało, że jest ich o jedną osobę za dużo. Ponieważ jednak aspiranci i Hermansson mieli szczupłą budowę ciała, a Sundkvist na pewno nie zaliczał się do otyłych, to za sprawą Grensa zbliżyli się niebezpiecznie do dopuszczalnego limitu.

Od śmierci Anni upłynęło wiele lat, ale na skrzynce pocztowej zawieszanej na drzwiach jego mieszkania nadal widniał napis: EWERT & ANNI GRENS. Dostrzegł zdziwione spojrzenia przynajmniej dwóch towarzyszących mu osób, lecz nie zamierzał się tłumaczyć. Na swoich drzwiach może wieszać, co mu się podoba. Przekręcił klucz w zamku, ale przed otwarciem drzwi położył rękę na klamce i powiedział:

– Zanim wejdziemy do środka, chciałbym wam coś wyjaśnić... Mariana złożyła mi dwa dni temu niezapowiedzianą wizytę i wie, o czym będziemy rozmawiać. Sven też tu był, tylko że dawno temu i chyba obaj się zgodzimy, że to nie była udana wizyta. Dla Lucasa i Amelii będzie to pierwsza okazja, a to, że do wizyty dochodzi w czasie waszych praktyk, może się wam wydać dziwne. Ale cóż, całe to śledztwo jest dosyć dziwne.

Zrobił przerwę i zmierzył każdą z osób uważnym spojrzeniem.

– Sytuacja jest następująca – kontynuował. – Bez względu na to, czy znacie mnie dłużej, czy krócej, z chwilą gdy przekroczycie próg mojego mieszkania i znajdziecie się w przedpokoju, wkroczycie w całkiem inny świat. Spadnie na was obowiązek zachowania wszystkiego w tajemnicy, bo to świat alternatywny. Zgadzaście się?

Wszyscy bez wyjątku skinęli głowami.

– Dobrze. W takim razie zapraszam was do środka. Idźcie do końca przedpokoju, a potem w prawo do kuchni.

Poszedł do salonu po dodatkowe krzesła, a jego goście podeszli do kuchennego stołu, na którym stała biała tablica z przypiętymi kartkami i krzyżującymi się w różnych kierunkach strzałkami. Po przyjrzeniu się całość przypominała tablicę ze zwykłego policyjnego śledztwa.

– Widzę, że od mojej ostatniej wizyty dokonaliście znacznego postępu – zauważyła Hermansson, która oglądała zdjęcia i zapoznawała się z treścią protokołów.

Sundkvist stanął obok niej.

– Ewert, do cholery... co to wszystko znaczy?! – rzucił. – Wyniki śledztwa i analizy laboratoryjne, których nam nie pokazałeś? Mariana wspomniała przed chwilą, że dokonaliście znacznego postępu. Rozumiem, że nie chodziło jej o mnie?

Grens kazał im usiąść, włączył ekspres do kawy, postawił na stole pięć filiżanek i talerz na ciasteczka, a gdy kawa była gotowa, rozlał ją i zwrócił się do aspirantów:

– Słyszeliście, co powiedziała Mariana? Próbowała ukryć to, co teraz czuje, ale nie bardzo jej się udało. A Sven? On nigdy nie przeklina. Usłyszeliście w ich głosach irytację. Dobrze ich znam, więc od razu to dostrzegłem. A wiecie, czym są tacy poirytowani? Bo chociaż pracują w naszym wydziale jedno dwadzieścia, a drugie dziesięć lat, nigdy wcześniej się z czymś takim nie zetknęli. Nawet ja, który pracuję w tym zawodzie dwa razy dłużej, nie miałem z czymś takim do czynienia. Dlatego działam teraz inaczej niż kiedykolwiek, bo jestem przekonany, że tak jest najlepiej. Uważam więc, że Mariana i Sven powinni przestać się na mnie złościć, a całą energię poświęcić na wyjaśnienie przestępstw. Jak myślicie, mam rację?

Nie patrzył ani na Sundkvista, ani na Hermansson. Nie musiał, wiedział, że oboje nadal są poirytowani tym, że trzymał ich z dala od swoich czynności śledczych, chociaż oboje powinni w nich uczestniczyć. Znali jednak powód tej decyzji: bezpośredni przełożony podejrzewał ich o brak lojalności.

– Niestety, nie miałem wyjścia, musiałem prowadzić to śledztwo potajemnie, w mieszkaniu. Teraz, kiedy zaprosiłem was do współpracy, wy też nie macie wyboru.

Grens wskazał palcem narysowany na środku tablicy czerwony krzyżyk, od którego biegły cztery zielone linie. Na tablicy wisały też zdjęcia czterech speców od mokrej roboty, do niedawna pracujących dla gangu handlującego bronią. Trzej byli martwi, czwarty siedział od trzech dni w policyjnym areszcie.

– Nikomu nie ufam i wy też nikomu nie ufajcie. Powód? Śledztwo w sprawie przecieku w policji. Któryś z waszych kolegów uznał, że bardziej opłaca mu się współpraca z człowiekiem, którego zdjęcie powinno wisieć w miejscu tego czerwonego krzyżyka. Musimy ustalić, kto nim jest. Konsekwencją przecieku w policji są trzy trupy. Właśnie dlatego...

W trakcie wygłaszania tego monologu Grens otworzył paczkę ciastek i poczęstował nimi obecnych. Dwa wziął dla siebie.

– ...Zaravic trafił do aresztu na podstawie zarzutów dość mętnych z prawnego punktu widzenia. Jest jeszcze jedna sprawa: współpracuję z człowiekiem, który wolałby żyć w spokoju. Wysłałem go jednak w pewne miejsce, gdzie mamy szansę dopaść tego, którego szukamy.

– W pewne miejsce? – Sundkvist był już naprawdę poirytowany tą sytuacją, głównie dlatego, że ktoś mógł go podejrzewać o nielojalność. W jego świecie, w którym wszystko opiera się na zaufaniu, nie ma nic gorszego. Wiedział, że zaufanie buduje się latami, ale stracić można je w jednej chwili. – Ewert... co to znaczy „w pewne miejsce”?

– Że wszystko, czego się domyślacie, jest prawdą. Widzieliście napis na skrzynce pocztowej, która przetrwała wybuch bomby w nienaruszonym stanie. *Tu mieszka rodzina Koslow-Hoffmann*. To Hoffmann wie najlepiej, jak przeniknąć do środowisk, które nas interesują. Na moje polecenie pojechał do miejscowości Szkodra na północy Albanii, ponieważ doszliśmy do wniosku, że to właśnie stamtąd człowiek, który nas interesuje, kieruje przemytem broni. Dzięki niemu ustalimy tożsamość osoby, która zleciła trzy zabójstwa.

– Kim jest ten człowiek w Albanii?

– Na razie nie wiemy. Na początku myślałem, że to jeden z tych, których zatrzymałem kilkanaście lat temu, i że być może miał coś wspólnego z Zaravicem i trójką zabitych. Okazało się jednak, że jego też

zabito w ten sam sposób. Ale mamy nazwisko człowieka, które Hoffmann ustalił we współpracy z albańską policją. Nie wiemy tylko, czy to on kieruje działalnością gangu, czy może robi to na czyjeś zlecenie.

Grens dopiero teraz spojrzał na Hermansson i Sundkvista. Przyszli tutaj, bo ich zaprosił. Potrzebował ich. Reakcję aspirantów przewidział z góry: siedzieli z poważnymi minami, dumni, że biorą udział w prawdziwej akcji. Żeby jednak zakończyła się pełnym sukcesem, musiał zwrócić się o pomoc do swoich najbliższych współpracowników. Na razie nie wiedział, jak ich wykorzysta – o tym zadecyduje Hoffmann – lecz jako prowadzący śledztwo miał nadzieję, że chociaż obraził ich swoimi podejrzeniami o brak lojalności, oboje wesprą go całym sercem w tym prowadzonym nieoficjalnie śledztwie. Dlatego niecierpliwie czekał na ich reakcję. W końcu oboje skinęli głowami. Tym samym zgodzili się wziąć udział w jego dochodzeniu.

– Dziękuję. W takim razie... – Rozejrzał się za swoim telefonem komórkowym.

– Czego szukasz?

– Telefonu.

Wszyscy zaczęli rozglądać się po kuchni, ale aparatu nigdzie nie było.

– Okej... Sven, która jest teraz godzina?

Sundkvist wziął swój leżący na stole telefon.

– Piętnaście po dziesiątej.

– Dzięki. Sprawa wygląda tak: mogę trzymać Zaravica w areszcie jeszcze przez niecałe dwanaście godzin. Mamy więc tylko tyle czasu, żeby nie dopuścić do czwartego zabójstwa, którego ofiarą padnie on albo Hoffmann.

– Dlaczego Hoffmann?

– Na razie nie mogę wam tego wyjaśnić. Powiem tylko tyle, że jego rodzina też jest w niebezpieczeństwie.

– Jeśli nam tego nie wyjaśnisz, skąd będziemy mogli...

– Zostało nam dwanaście godzin. Przez ten czas musimy ustalić źródło przecieku. My będziemy robić swoje, a Hoffmann swoje. Jasne?

Godzina 12.03

(zostało 9 godzin i 59 minut)

DOM, DO KTÓREGO WŁAMAŁ się Hoffmann, stał naprzeciwko białej dwukondygnacyjnej willi, lekko po skosie. Według informacji przekazanych przez Latifiego, dawniej mieszkał w nim komunistyczny instruktor polityczny. Obecym właścicielem był jakiś nowobogacki Albańczyk. Dom różnił się od białej willi tylko tym, że na dachu nie miał lasu anten i nie pilnowali go ochroniarze. Hoffmann przez dwie godziny obserwował budynek z samochodu, a kiedy się upewnił, że nikogo w nim nie ma, poszedł na tył domu, rozbił szybę i dostał się do środka. Poruszał się według planu, który dostał od Latifiego. Zszedł do piwnicy i skierował się do kotłowni na końcu wąskiego korytarza. Pod ziemią było duszno, oddychanie utrudniał zapach starego oleju opałowego, ale Hoffmann nie zwracał na to uwagi. Skupił się na ceglanej ścianie za kotłownią. Dotykał jej całymi dłońmi i przesuwał palcami po fugach. Według planu właśnie ta ściana stanowiła klucz do sukcesu. Zaczął więc sprawdzać jej prawą część, od podłogi do sufitu. Gdy doszedł do połowy, zadzwonił jego telefon. Ten numer znały tylko cztery osoby: Zofia, którą prosił, żeby przez kilka najbliższych godzin do niego nie dzwoniła; Grens, który miał czekać na jego sygnał; Latifi – ten miał do niego zadzwonić dopiero wtedy, gdy w białej willi nikogo nie będzie (na co na razie się nie zносиło) – oraz Andy, który z kawalerki na jednym z przedmieść Sztokholmu obserwował

ludzi będących pod ich ochroną. Przed wyjazdem do Albanii Hoffmann dał mu wyraźnie do zrozumienia, że tylko jedna z tych rodzin wymaga jego wzmożonej uwagi, a mianowicie ta, która zamieszkała na parterze domu w Gamla Sickla.

– Jedno z dzieci wyszło niedawno na dwór.

– Co takiego?!

– Widok z szóstej kamery, która obejmuje drzwi wejściowe. Jedno z dzieci... chyba starszy z chłopców... pojawił się na schodach i nie wrócił.

– Dokąd poszedł?

– Nie wiem. Nie wyszedł przez główne wejście. Nie widzę go też w kamerze zamontowanej na klatce schodowej.

– Mój syn. – Hoffmann wypowiedział te słowa szeptem, więc ochroniarz ich nie usłyszał.

– Słucham?

– Powiedziałem, że musimy to wyjaśnić.

– Co mam zrobić? Pojechać tam? Będę musiał przerwać obserwację pozostałych osób albo zadzwonić do Carlosa, a on pewnie śpi przed nocnym dyżurem. Ostrzegalem pana. Chroniony obiekt, który znajduje się tak daleko od nas, jest...

– Zostań na miejscu. Dobrze, że mi o tym powiedziałeś. Zaraz się tym zajmę.

PODŁOGA SIĘ UNIOSŁA I Emil spojrzał w dół. Tajne wyjście! W ostatnim momencie zdążył położyć paździerzową płytę na miejscu i zamknąć drzwi garderoby, bo chwilę później Rasmus i mama z Luizą na rękach wyszli z łazienki. Postanowił poczekać, aż mama znowu będzie czymś zajęta. W końcu się doczekał.

Zofia nawet nie zauważyła, kiedy przekręcił klucz w zamku, wykradł się na schody i zszedł do piwnicy. Musiał sprawdzić, co znajduje się na końcu tunelu.

– ZOFIA?

– Przecież mieliśmy nie...

– Gdzie jesteś?

– W kuchni. Szykuję obiad. O co chodzi?

– Widzisz gdzieś Emila?

– Jest zajęty grą telewizyjną.

– Pytałem, czy go widzisz?

– Przed chwilą siedział na kanapie. Słyszę dźwięki.

– Idź i sprawdź.

– Chwilę.

– Jesteś tam?

– Zaraz będę.

– Ja...

– Piet?

– Tak?

– Nie ma go tu.

NA DOLE PACHNIAŁO PRAWDZIwą piwnicą. Emil poczuł się nieswojo, bo drogę musiał sobie podświetlać latarką w telefonie. Wiedział jednak, że cel jest na wyciągnięcie ręki: za grubymi drzwiami z metalowymi kołami. Żeby je otworzyć, będzie musiał te koła obrócić. Kiedy wejdzie do środka, znajdzie się pod garderobą w ich nowym mieszkaniu. Chwycił za koła, obrócił je i pociągnął za ciężkie drzwi. Gdy ustąpiły, wszedł do schronu. Chyba tak

się takie miejsce nazywa. W ich domu takiego nie było... zresztą ich dom już nie istniał – ale kiedyś już widział podobny schron. Pokazali mu go szkolni koledzy, Willy i Jari, mieszkający w wieżowcu w dzielnicy Farsta. Różnica polegała na tym, że z powodu braku okien było tu ciemniej niż tam. Emil oświetlił latarką sufit i zaczął go uważnie oglądać. Zauważył pasmo białej farby, które wydało mu się jaśniejsze od reszty powierzchni. Wpadł na pomysł, że jeśli wejdzie na żelazny stojak znajdujący się w kącie schronu, będzie mógł się po nim wspiąć i dosięgnie sufitu. Właśnie tak zrobił, a gdy zapukał w powierzchnię, która różniła się kolorem od reszty, usłyszał taki sam dźwięk jak wtedy, kiedy pukał w otwór w garderobie. Odpowiedziało mu puste echo.

– POSŁUCHAJ UWAŻNIE. EMIL wyszedł z mieszkania. Idź za nim, ale nie wychodź na zewnątrz. Nie wolno wam tego zrobić!

– Skąd wiesz, że wyszedł?

– Po prostu wiem. Pospiesz się.

– Obserwujesz nas?

– Nie ja.

– Kazalesz komuś nas obserwować?

– Pospiesz się!

– Już idę.

– Nikt nie może go zobaczyć!

– Stoję przy drzwiach wyjściowych. Mialesz rację.

– To znaczy?

– Nie są zamknięte na klucz.

– Daleko nie odszedł, więc jeśli...

– Emil? Gdzie ty bylesz?

- Zofia? Co tam się dzieje?
- Chciałam wyjść na klatkę schodową, ale Emil wrócił.
- Spytaj go, gdzie był.
- Synku, nie wolno ci stąd wychodzić. Dobrze o tym wiesz.
- Gdzie on był?
- Gdzie byłeś?
- Co powiedział?
- Że chciał się przewietrzyć, ale się rozmyślił.
- Przewietrzyć?
- Tak powiedział.
- Zamknij drzwi na klucz i obiecaj mi, że poważnie z nim porozmawiasz!

HOFFMANN AŻ TRZY RAZY dzwonił do Andy’ego. Chciał go poinformować, że wszystko jest w porządku, bo chłopiec wrócił do domu. Niestety, Andy nie odbierał. Dziwne, bo był jednym z tych pracowników, na których można było polegać najbardziej. Może nie słyszał dzwonka? Jeśli pojechał sprawdzić, co dzieje się z Zofią i dziećmi, od razu się domyśli, że szef zlecił mu obserwację swojej rodziny. Wprawdzie nie ma to żadnego znaczenia, ale przy okazji dowie się, że on, Hoffmann, nie o wszystkim mu powiedział, a nawet go okłamał.

Zaczął dotykać i badać powierzchnię ceglanego muru. Najpierw robił to całą dłonią, potem palcami. Trwało to dosyć długo, ale i tak nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Pewnie dlatego dopiero teraz poczuł w kotłowni smród oleju opałowego i wysoką temperaturę.

Schylił się i zaczął badać fragment muru w lewym dolnym rogu. Fuga była tam trochę bardziej chropowata niż na pozostałej powierzchni.

Nacisnął jeden z kamieni i nagle cała ściana zaczęła się przesuwać. Jego oczom ukazały się drzwi.

Domy, które budowano dla wysokich rangą polityków, były połączone siecią podziemnych korytarzy.

Wyczytał to z planów. Były na nich zaznaczone tajne wejścia i wyjścia zrobione na wypadek, gdyby mieszkańcy tych budynków musieli salwować się ucieczką albo udać się na nieoficjalne spotkanie. Być może chodziło też o wzmocnienie dystansu dzielącego przedstawicieli dyktatury od zwykłych ludzi. Posłużono się rozwiązaniem, które on zastosował w swoim domu.

Zapalił latarkę, wszedł do tunelu i nacisnął tę samą cegłę co przed chwilą. Tym razem po to, żeby zamknąć drzwi. Do przejścia zostało mu siedemdziesiąt pięć metrów i musiał je pokonać w pochylonej pozycji. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą mały plecak z narzędziami i innym niezbędnym ekwipunkiem. Z planu budynku wynikało, że ma przed sobą kolejny ceglany mur.

Godzina 12.52

(zostało 9 godzin i 10 minut)

W CHWILI GDY GRENS wychodził od Zaravica, na podłogę aresztu w Kronobergu padały promienie słońca. Przestępca, który zajmował czwartą celę po prawej stronie, tym razem też nie miał ochoty na rozmowę. Kiedy komisarz próbował określić rolę, jaką Zaravic odgrywał w handlu bronią, ten gapił się na podłogę. W odpowiedzi na pytania o jego związki z Albanią rzucał „Bez komentarza”, a gdy Grens spytał go o trzech zastrzelonych kumpli, odesłał go do diabła. Obaj byli profesjonalistami i dobrze wiedzieli, jak się w takiej sytuacji zachować. Komisarz szukał czegokolwiek, co mógłby wykorzystać jako dowód albo poszlakę, żeby

przedłużyć Zaravicowi areszt. Gangster wiedział jednak, że im rzadziej będzie się odzywał, tym szybciej wyjdzie na wolność.

Grens zjechał windą na jedno z dolnych pięter, przeszedł kawałek korytarzem, wszedł do drugiej windy i pojechał na górę. Wilson czekał na niego w swoim gabinecie – tak jak obiecał. Okazało się, że nie zmienił zdania.

– Nie mam zamiaru dzwonić do prokuratora – oświadczył. – Nie będę z nim negocjował przedłużenia aresztu. Zrobiłem to już raz po twojej subtelnej próbie szantażu. Tym razem na to nie licz.

– W takim razie wieczorem będziemy musieli tego gnojka wypuścić.

– Dałem ci szansę, ale nie dostarczyłeś mi żadnych argumentów.

– Obaj wiemy, co się może zdarzyć, jeśli Zaravic wyjdzie na wolność. Mam na myśli dokumenty wykradzione z twojego sejfu. Jest w nich cała wiedza o naszej współpracy z Hoffmannem. Zdajesz sobie sprawę, co będzie, jeśli te papiery trafią do Zaravica?

– Oczywiście, ale nie wolno nam trzymać w areszcie kogoś, kto nie jest podejrzany o popełnienie przestępstwa.

Grens spojrział na Wilsona i zrozumiał, że dalsza rozmowa jest bezcelowa. Z formalnego punktu widzenia jego szef miał rację. Ale i on, Grens, też nie grał z nim w całkowicie otwarte karty.

– Rozumiem, co to może oznaczać dla Hoffmanna, nie rozumiem jednak, dlaczego jest to takie ważne dla ciebie? Chciałbym usłyszeć, co Hoffmann robi na twoje zlecenie, bo wydaje mi się, że powinienem o tym wiedzieć.

Grens nie miał ochoty odpowiadać na te pytania. Źródło przecieku wciąż nie zostało zidentyfikowane. Wstał więc z krzesła, żeby wyjść, ale Wilson zatrzymał go ruchem ręki.

– A przy okazji... to chyba twój telefon?

Na jego biurku leżały dwa telefony komórkowe. Jeden z nich do złudzenia przypominał komórkę Grensa.

– Szukałem cię w związku z eksplozją w domu Hoffmanna. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej... Zadzwoiłem więc na twój numer i usłyszałem sygnał dzwonka w pokoju, w którym stoi kopiarka. Poszedłem tam i znalazłem go. Pewnie rano tak bardzo ci się spieszyło, że zapomniałeś go zabrać?

– Leżał na kopiarce?

– Tak. Zabierz go. Prowadzimy śledztwo... masz być przez cały czas pod telefonem. Włóż go do kieszeni i pilnuj go.

Grens podziękował, wsunął aparat do kieszeni marynarki i wyszedł z pokoju. Stanął przy automacie i nalał sobie dwa kubki kawy bez mleka.

Przez trzy dni niczego nie ustalił. Kończył mu się czas.

Godzina 13.29

(zostało 8 godzin i 33 minuty)

STO CZTERY KROKI. TYLE wynosiła odległość od ściany na początku korytarza do ściany na jego końcu. Z planów wynikało, że właśnie tu znajdował się ceglany mur. Hoffmann musiał jednak poczekać, aż właściciel i jego ochroniarze opuszczą dom.

Godzina 14.14

(zostało 7 godzin i 48 minut)

W KOŃCU NIE MÓGŁ wytrzymać i postanowił działać. Miał nadzieję, że po drugiej stronie znajdzie telefon, komputer albo sejf z informacjami, które doprowadzą go do człowieka ze zniekształconym głosem i do organizacji, która grozi jego rodzinie. Był blisko celu, czas mijał, a telefon milczał. Wiedział jednak, że zanim zacznie działać, powinien się upewnić, czy droga

jest wolna. Nacisnął cegłę, która znajdowała się w górnym środkowym fragmencie muru, i usłyszał to samo metaliczne kliknięcie co przy wejściu do tunelu. Ściana rozstała się i powstała wąska szczelina, za którą ujrzał drzwi o nierównych krawędziach. Poczł zapach oleju opałowego i usłyszał kapiącą z kranu wodę. Znajdował się w kotłowni białej willi.

Godzina 14.50

(zostało 7 godzin i 12 minut)

POŁOŻYŁ SIĘ NA PODŁODZE pod płataniną rur; miały różne przekroje i łączyły nowoczesne pompy wodne z przestarzałymi grzejnikami olejowymi. Co pewien czas wydawało mu się, że słyszy jakieś głosy, chociaż wiedział, że to niemożliwe: drzwi kotłowni były zamknięte, a poza tym znajdowała się na samym końcu podziemnego korytarza, z dala od pomieszczeń mieszkalnych. Łatwo można wyobrazić sobie czyjeś życie, jeśli człowiek sam prowadzi podobne. Jeszcze kilka dni temu nakrywał w swoim domu do stołu, otwierał okno i wołał synów na drugie śniadanie. Dzisiaj ich willa nie istnieje, rodzina żyje w ukryciu, a on włamuje się w przebraniu i z bronią do piwnicy domu w północnej Albanii.

Godzina 15.15

(zostało 6 godzin i 47 minut)

NAGLE WZDRYGNĄŁ SIĘ, BO poczuł lekkie wibrowanie telefonu w dłoni. Dostał esemesa, co oznaczało, że może przystąpić do działania. Latifi, który obserwował willę z dachu magazynu, napisał mu, że Hamid Cana wsiadł do samochodu i odjechał w towarzystwie ochroniarzy w góry, do swojej kobiety. Być może u niej przenocuje. Na miejscu zostali dwaj strażnicy, którzy pilnowali domu na zewnątrz, i mężczyzna sprzątający pomieszczenia na piętrze. Hoffmann wyszedł z kotłowni, żeby przejść na parter. Chwilę

później Latifi wysłał mu kolejnego esemesa z wiadomością, że ochroniarze stoją odwrócenymi plecami do bramy, a ten trzeci sprząta sypialnię. Hoffmann minął kuchnię i salon i wszedł schodami na piętro. Z tego miejsca widział plecy ochroniarzy i słyszał warkot odkurzacza. Szybkim krokiem ruszył do pokoju w wieży i nacisnął klamkę. Niestety, drzwi były zamknięte na klucz.

Przeszedł więc do sypialni i starannie zamknął za sobą drzwi. Wyjął z plecaka wyrzynarkę wielkości śrubokrętu i wyciął w gipsowym suficie otwór. Podsunął sobie krzesło, wspiął się i wsunął do środka. Przestrzeń między dachem a sufitem pokoju była mniejsza, niż przypuszczał, ale na tyle duża, że mógł się przez nią czołgać. Kiedy znalazł się nad pokojem w wieży, wyciął kolejny otwór, zrzucił plecak na podłogę i zeskoczył na ręcznie tkany dywan.

Godzina 15.45

(zostało 6 godzin i 17 minut)

PODKRADEŁ SIĘ POD OKNO i ostrożnie wyjrzał na dwór. Obaj ochroniarze nadal skupiali uwagę na bramie. Byli przygotowani na atak z zewnątrz i nawet nie przyszło im do głowy, że ktoś mógłby ich zaatakować od strony domu.

Dokładnie przeszukał cały pokój, ale niczego nie znalazł. Zwłaszcza dokumentów, z których mógłby się czegoś dowiedzieć albo poznać nazwiska szwedzkich członków gangu.

Wprawdzie w szufladzie biurka, do której się włamał, leżał telefon komórkowy, ale na nic mu się nie przydał, bo nie znał PIN-u. Podobnie było z komputerem: jego zawartość okazała się niedostępna, ponieważ była chroniona hasłem.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko znaleźć kody do obu urządzeń.

Wiedział, że gdzieś tu muszą być. Był tego pewien. Nikt nie zapamięta kodu RSA, który składa się z piętnastu różnych liter, cyfr i znaków. Trzeba

go gdzieś zapisać.

Jeśli go znajdzie, pozna treść plików i odkryje trop, który zaprowadzi go do celu. Rozpracował już niejedną organizację przestępczą i wiedział, że bez względu na to, czym handlują – bronią, narkotykami czy ludźmi – łączy je jedna wspólna cecha: każda z nich prowadzi księgę dochodów. Nie dlatego, że szefowie tych organizacji są dumni z samego faktu posiadania dochodów albo lekceważą ryzyko ujawnienia zapisanych w księgach danych. Chodziło o to, by zapobiec niepotrzebnym aktom przemocy. Każdy, komu należą się jakieś pieniądze, ma prawo wiedzieć, że zostały podzielone sprawiedliwie, co zmniejsza obawę, że ktoś zostanie oszukany. Inaczej mogłoby dojść do kłótni we własnych szeregach, a przecież całą energię należy skupić na rywalizacji z innymi gangami i na walce z policją.

Hoffmann rozglądał się po pokoju, który już raz przeszukał. Zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył. W końcu zadzwonił do Latifiego, który z zajmowanego na dachu miejsca na pewno co jakiś czas go widział. Może on jest lepiej zorientowany?

- Jest pan tam?
- Słucham?
- Ma pan plany domu?
- Tak.
- Jak duży jest pokój w wieży?
- Chwileczkę.

Hoffmann usłyszał szelest papieru i słaby trzask futerału na okulary.

– Sześć metrów i trzydzieści pięć centymetrów długości, pięć metrów i dwadzieścia centymetrów szerokości.

– Moment. – Hoffmann podszedł do znajdującej się naprzeciwko okna ściany i zaczął własnymi stopami odmierzać odległość. Wiedział, że jego stopy mają po dwadzieścia osiem centymetrów długości. Po dwukrotnym

przeliczeniu odległości przestał mieć wątpliwości. – Jest tak, jak przypuszczałem.

– To znaczy?

– Pokój jest mniejszy, niż wynika to z planu. Bardziej kwadratowy. Myślę, że ma pięć metrów piętnaście centymetrów na pięć metrów dwadzieścia centymetrów.

– Czyli jest o metr i dwadzieścia centymetrów węższy.

– Chyba wiem dlaczego.

Większą część jednej ze ścian zajmował ciemny dębowy regał. O ile z rozwiązaniem polegającym na rozsuwanej ceglanej ścianie Hoffmann miał do czynienia rzadko, o tyle ukryte pomieszczenia zdarzały mu się częściej. Dzięki temu łatwiej potrafił je zlokalizować. Tym razem domyślił się tego dopiero po wyczerpaniu innych domysłów. Tajne pomieszczenie było zakamuflowane w bardzo pomysłowy sposób, skoro mimo intensywnych poszukiwań nie zdołał go znaleźć. Zaglądał w każdy róg, za listwy podłogowe i nic. Pukał, nasłuchiwał, chwycił za półki na różnej wysokości, naciskał i próbował przekręcać wypukłe ornamenty, ale to też nic nie dało. W pewnym momencie oparł się przypadkowo o szklane drzwi podświetlonej witryny i usłyszał lekkie kliknięcie. Drzwi ustąpiły pod naciskiem jego dłoni i zanim zrozumiał, co się dzieje, pociągnęły za sobą cały regał. Jego oczom ukazała się skrytka o powierzchni jednego metra kwadratowego ze stojącym na środku sejfem. Zrozumiał, że kod dostępu znajduje się w stalowej szafie.

Godzina 16.01

(zostało 6 godzin i 1 minuta)

SEJFY I KASY WYSADZAŁ już wcześniej. Ostatnio zrobił to w Afryce Północnej. Tym razem jednak tradycyjne metody nie wchodziły w rachubę,

ponieważ wybuch usłyszałaby cała dzielnica, a Hoffmannowi zależało na tym, żeby jego obecność zauważono nie wcześniej, niż to zaplanował. Poza tym eksplozja przyciągnęłaby obu ochroniarzy, a gdyby któryś z nich zginął, Latifi musiałby podjąć niezbędne czynności. A Hoffmann wolał go mieć po swojej stronie, jako sojusznika, a nie przeciwnika. Poza tym klasyczny wybuch mógłby zniszczyć kartkę z zapisanym na niej kodem.

Musiał więc otworzyć sejf w inny sposób. Posłużyć się metodą bardziej skomplikowaną i pochłaniającą czas, którego nie miał. To dlatego nigdy wcześniej jej nie stosował.

Z plecaka wyjął małą wiertarkę, lont detonujący, niewielki ładunek wybuchowy, plastikową rurkę i wąż ogrodniczy. Wywiercił w sejfie dziurę i przebił się przez dwie stalowe płyty i warstwę betonu. W powstały otwór wsunął rurkę połączoną z węzłem i zakleił taśmą szczelinę w drzwiach. Potrzebował jeszcze wody. Latifi wysłał mu wcześniej wiadomość, że mężczyzna sprzątający dom przeszedł z odkurzaczem do następnego pokoju. O obecności Hoffmanna w domu dowiedział się dopiero w chwili, gdy ten go obezwładnił i przywiązał do rury w toalecie.

Hoffmann nałożył końcówkę węża na kran przy umywalce i odkręcił wodę. Rozpoczął się czasochłonny proces napełniania sejfu wodą. Kiedy pierwszy litr trafił do środka, Hoffmann usiadł na podłodze. Pozostało mu tylko czekać i co jakiś czas sprawdzać, czy ochroniarze stoją na swoich miejscach, gotowi do odparcia zewnętrznego ataku.

Godzina 17.43

(zostały 4 godziny i 19 minut)

WLANIE DO SEJFU DWUSTU litrów wody przez otwór o średnicy osiemnastu milimetrów jest takim samym wyczynem jak napełnienie wodą wanny przez słomkę. Trwało to dłużej, niż Hoffmann się spodziewał.

Zerknął na zegarek i wyliczył, że za piętnaście minut wsunie do otworu lont i doprowadzi do eksplozji.

Nagle dostał esemesa z nieznanego numeru. Nie należał ani do Zofii, ani do Grensa, ani do Latifiego, ani do Andy'ego.

Zawierał link do wiadomości głosowej, ale nie było w niej instrukcji ani wstępnego powitania. Kliknął na link i usłyszał nagraną rozmowę telefoniczną prowadzoną przez dwie osoby.

– Nie spieszyłeś się z odebraniem.

– Kto mówi?

– A nie chciałbyś wiedzieć, jakim cudem telefon komórkowy znalazł się pod materacem w twojej celi?

– Pewnie, że bym chciał.

Hoffmann od razu rozpoznał ten sam zniekształcony głos, który wcześniej groził jemu. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Najpierw dostałeś telefon, a teraz dam ci kolejny prezent. Obejrzyj sobie taboret. Wygląda na to, jakby siedziska nie dało się odkręcić, ale spróbuj, może sobie poradzisz. Potem zajrzyj do nóżki.

Drugi głos należał do mężczyzny, który mówił po szwedzku z lekkim akcentem.

– Gadaj, kim jesteś, czego chcesz, i rozłącz się.

Ten głos Hoffmann też znał, chociaż na razie nie potrafił go przypisać do konkretnej osoby. Mimo to kontekst rozmowy stawał się coraz bardziej zrozumiały. Jeden z rozmówców znajdował się w więzieniu albo w celi

aresztu śledczego. Kim był? I dlaczego człowiek, który przysłał esemesa, chciał, żeby Hoffmann poznał treść rozmowy?

– Nie rozłączę się, a ty będziesz mi za to wdzięczny. Poza tym po naszej rozmowie zostanie ci w celi w Kronobergu telefon, który będziesz mógł wykorzystać do własnych potrzeb. Ilu twoich kumpli z sąsiednich cel ma takie udogodnienie?

Areszt w Kronobergu? Hoffmann był już pewien, że drugą osobą uczestniczącą w tej rozmowie był Zaravic.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.*
- Odkręciłeś siedzisko?*
- Nie.*
- Zrób to i powiedz, co widzisz.*

Rozległ się głuchy trzask i Hoffmann usłyszał w telefonie oddech Zaravica, a potem szelest papieru.

- Znalazłeś?*
- Jeśli masz na myśli plik papierów, to tak.*
- Dobrze. Zacznijmy jednak od ciebie. Trafiłeś do aresztu, chociaż nic na ciebie nie mają.*
- Nie pierwszy raz.*
- A wiesz dlaczego?*
- Bo ci idioci doszli to wniosku, że albo zamordowałem moich kumpli, albo jestem następny w kolejce do odstrzału.*
- Przynajmniej takie było ich oficjalne stanowisko. Prawdziwy powód był jednak inny. Przymknęli cię, bo pewien tchórzliwy gnojek*

zamiast robić to, co mu kazaliśmy, zaczął pracować dla Grensa, a potem poleciał do Albanii na przeszpiegi. Przestraszył się, że pewne dokumenty, które udało nam się zdobyć, dostaną się w twoje ręce, dzięki czemu dowiesz się, że pracował dla policji.

– Dalej nie chwytam, o czym gadasz!

Hoffmann kliknął na link i zatrzymał nagranie.

Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego dostał tę wiadomość. Człowiek ze zniekształconym głosem nie tylko o nim mówił – nie wymieniając go z imienia i nazwiska – ale za pośrednictwem tego nagrania także do niego przemawiał.

Choć Hoffmann wiedział, że powinien skupić się na sejfie, który za chwilę napełni się wodą, ponownie kliknął na link, żeby posłuchać dalszego ciągu.

– Zaravic? Jesteś tam?

– Jestem.

– Popatrz na pierwszą kartkę z czerwoną jedyneką w prawym rogu. W piątej linijce jest imię Paula. To pseudonim pewnego informatora, który donosił policji. W następnej linijce są inicjały EW. To Erik Wilson, który kiedyś pracował w dochodzeniówce, a teraz nią kieruje. Masz przed sobą raport będący dowodem na to, że policja niezgodnie z prawem współpracowała z przestępcami i wykorzystywała ich jako informatorów.

– Naprawdę?

– Zejdź trochę niżej. Podkreślony fragment od osiemnastej do dwudziestej trzeciej linijki. Jest tam twoje nazwisko. Tak, nie przesłyszałeś się. To właśnie w tym fragmencie Paula przytacza dowody, dzięki którym Dusko Zaravic został skazany za wymuszenia

i napaść, po czym trafił za kraty i nie mógł pojechać na pogrzeb syna. Długo próbowałaś ustalić, kto cię sypnął, a teraz masz szansę dowiedzieć się tego. Popatrz na kolejną kartkę. To kopia dokumentu, który leżał w zalakowanej kopercie. Jest tam napisane, kto używał pseudonimu Paula. Widzisz?

– Nie.

– Naprawdę? Faktycznie... pewnie dlatego, że jego dane są zamazane.

– Co ty, kurwa...

– Obiecuję jednak, że jak za kilka godzin cię stamtąd wypuszczą, dam ci tę kartkę i dołożę drugą z adresem miejsca, gdzie ukrywa się jego rodzina. Chyba że ten tchórzliwy gnojek przestanie zajmować się tym, co teraz robi, i szybko wróci do domu, żeby dokończyć to, co mu zleciliśmy. Lepiej, żeby zrobił to natychmiast, bo on też ma dzieci. Tak jak ty miałaś syna.

W tym momencie nagranie się skończyło. Hoffmann już wiedział, co się stanie, jeśli Zaravic otrzyma oba dokumenty, o których wspomniał jego rozmówca.

Było jednak coś, czego nie rozumiał: W jaki sposób telefon i dokumenty trafiły do celi aresztu śledczego? I skąd dzwoniący wiedział, że on, Hoffmann, poleciał do Albanii, żeby rozpracować handlarzy bronią? Najbardziej jednak zastanawiało go to, jakim cudem numer jego nowego telefonu, z zapisanymi w nim numerami czterech osób, którym ufał najbardziej, trafił w niepowołane ręce?

Godzina 17.59

(zostały 4 godziny i 3 minuty)

WRESZCIE SEJF NAPEŁNIŁ SIĘ wodą. Hoffmann wsunął do otworu lont i założył ładunek wybuchowy. Rozległ się przytłumiony huk.

Eksplozja pozostawiła sejf w nienaruszonym stanie. Ładunek miał jednak na tyle dużą moc, że wskutek wstrząsu sejf oderwał się od podłoża i uderzył mocno o ścianę. Mało brakowało, a wyleciałby przez okno na podwórze. Hoffmann zaczął nasłuchiwać, czy ochroniarze czegoś nie usłyszeli i nie podeszli bliżej domu. Na szczęście na dworze nadal panował spokój.

Odczekał dziesięć minut i zabrał się za przeszukiwanie sejfu.

Na górnej półce leżały banknoty, które nasiąkły wodą. To żadna strata, bo po wysuszeniu odzyskają pełną wartość. Lecz nie po pieniądze tu przyszedł. Klęknął w wodzie, która zalała podłogę, i zaczął przeglądać zawartość dolnych półek, gdzie mógł się znajdować zaszyfrowany kod dostępu do komputera. Pod szkatułką z biżuterią i dwoma damskimi złotymi zegarkami leżał mały notes w czarnych okładkach. Wprawdzie pod wpływem wilgoci, fali uderzeniowej albo ciśnienia gazów dokumenty mogły ulec zniszczeniu, ale mogło też być tak, że choć kartki nasiąkły wilgocią, to dzięki twardym okładkom ich treść pozostała nienaruszona. Chyba że zapisano je nie takim jak trzeba długopisem.

Godzina 18.12

(zostały 3 godziny i 50 minut)

PRZEKARTKOWAŁ CAŁY NOTES, OBEJRZAŁ wszystkie strony, a gdy dotarł do ostatniej, aż krzyknął z radości. Odetchnął z ulgą, bo nagle wszystko stało się możliwe. Znalazł to, czego szukał: poprzedni i aktualny kod szyfrujący RSA. Ten pierwszy był przekreślony.

Na szczęście Hamid Cana nie zapisał ich mazakiem albo ołówkiem, tylko użył zwykłego długopisu. Taki tusz nie ulega działaniu wody tak

łatwo jak inne.

Na samym dole, w oddzielnej linijce, przy wczorajszej dacie zapisanej na początku akapitu, znajdowało się dwadzieścia nieprzekreślonych długopisem i ułożonych w przypadkowej kolejności liter, cyfr i znaków.

Hoffmann domyślił się, że to aktualny kod. Dzięki niemu rozszyfruje zawartość komputera i ustali, kto próbuje przejąć rynek broni w Szwecji, a przy okazji likwiduje konkurencję i grozi jego rodzinie. Przekaze te dane Grensowi, który będzie miał wystarczająco dużo czasu na podjęcie odpowiednich działań.

Hoffmann nie skakał z radości, bo nie miał na to czasu, ale był tak szczęśliwy, że od razu się odprężył. Wstał z podłogi i zamknął ukryte pomieszczenie. Komputer i telefon Cany spakował do plecaka i chciał się wspiąć przez otwór na strych, gdy zawibrował jego telefon. Na wyświetlaczu pojawił się ten sam numer co poprzednio. Tym razem zamiast linku dostał zdjęcie. Z początku nie widział, co przedstawia, więc je powiększył i ujrzał coś, czego wolałby nie widzieć.

Zdjęcie przedstawiało martwego człowieka.

Andy'ego.

Jego pracownik siedział przy swoim biurku. Był lekko pochylony, a w opuszczonej głowie widać było dwa wloty po pociskach.

Tło zdjęcia stanowiło pomieszczenie, w którym Andy na co dzień przebywał – jego miejsce pracy. Opuszczone żaluzje i lśniąca ekrany monitorów, które pokazywały obraz z różnych kamer. Hoffmann powiększył zdjęcie i ujrzał coś, czego też wolałby nie widzieć. Na ekranie jednego z monitorów, który został ustawiony w taki sposób, aby razem z martwym Andym stanowić główny motyw, zobaczył zdjęcie. W chwili, w której nadawca wiadomości fotografował Andy'ego, jedna z kamer skierowana była na dwie postacie stojące w oknie mieszkania.

Zofię i Emila.

Godzina 18.23

(zostały 3 godziny i 39 minut)

HOFFMANN SIEDZIAŁ NA ZALANEJ wodą podłodze i wpatrywał się w telefon. Wiedział, że za chwilę ktoś do niego zadzwoni.

– *Hoffmann... dobry wieczór. Myślałeś, że wolno ci bezkarnie złamać naszą umowę? Za coś takiego należy się kara.*

Znowu zniekształcony głos.

– *Wysłaliśmy ci dwie wiadomości. Najpierw link do pewnej rozmowy telefonicznej, a potem zdjęcie, które na pewno cię zaintrygowało. Zrobiliśmy to głównie po to, żebyśmy wiedzieli, w którym punkcie się znajdujemy. Jasne?*

Hoffmann zadrżał.

Zdjęcie było po prostu straszne! Andy patrzy na niego gasnącym wzrokiem, podczas gdy Zofia i Emil stoją w oknie i nawet nie wiedzą, że przestali być bezpieczni. Nigdy by nie przypuszczał, że strach może wywołać tak silny ból.

– *To dobrze. W takim razie posłuchaj, co ci powiem. Wiemy, gdzie ukryłeś rodzinę i że uganiasz się teraz po północnej Albanii. Nie zdążysz więc wykonać w wyznaczonym czasie tego, o co cię poprosiliśmy.*

Namierzyli go, chociaż nikt nie miał prawa wiedzieć, gdzie się znajduje. Poznali jego nową, policyjną tożsamość.

Wytłumaczenie może być tylko jedno: przeciek nastąpił nie tylko na komendzie, ale też w samym wydziale dochodzeniowym. Grens przez cały czas miał rację. Jego typowanie okazało się słuszne. Sypał ktoś z jego najbliższego otoczenia.

– *Nie lubimy mordować rodzin. Zabijamy cyngli z innych gangów i likwidujemy Pietów Hoffmannów, bo każdy z nich wszedł do przestępczego świata z własnej nieprzymuszonej woli. Nie można tego powiedzieć o twojej żonie i trójce dzieci. To nie był ich wybór. Postanowiliśmy więc znaleźć sposób, aby ich śmierć odłożyć na później, ponieważ tam, gdzie teraz przebywasz, jest do wykonania pewne zlecenie. O ile się nie mylę, zostało ci trzy i pół godziny, więc jeśli zdążysz wykonać nowe zadanie, my wstrzymamy na trochę egzekucję twojej rodziny.*

Zniekształcony elektroniczny, bezpłciowy, pozbawiony tożsamości głos. Być może właśnie dlatego za każdym razem wydawał się Hoffmannowi taki monotony i zdystansowany. Tym razem jednak, przez krótką chwilę, nabrał nowego brzmienia, jakby chodziło o coś więcej niż handel bronią.

– *Na ten moment wygląda to tak: pojechałeś do Albanii, żeby odszukać dawnego zleceniodawcę Zaravica. Dowiedziałeś się, że nie żyje, i zacząłeś szukać jego następcy. Wiemy, że nadal się tym zajmujesz. Znajdź go i zabij. Jeśli po wykonaniu naszego zlecenia wyślesz nam dowód jego śmierci, na przykład zdjęcie, obiecuję, że nie przekazemy Zaravicowi dokumentu, na którym widnieje twoje imię i nazwisko. Pamiętaj, że dziś wieczorem wychodzi z aresztu.*

Nowe zlecenie? Przecież zostało mu tylko parę godzin?

Głos jego rozmówcy po raz pierwszy nabrał pewnych cech osobistych. Zawierał odrobinę czegoś, co nie było zaprogramowaną pewnością siebie i nie tworzyło poczucia dystansu. Hoffmann chyba wiedział dlaczego. Ktoś ze szwedzkiej filii gangu zyskał wgląd w prywatne śledztwo Grensa, dzięki czemu przestępcy nie tylko dowiedzieli się, że komisarz wysłał do Albanii Pieta Hoffmanna, aby ten ustalił, jak gang funkcjonuje w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło, ale także uświadomili sobie, że jeśli przywódca albańskiego gangu zostanie namierzony, zatrzymany i zmuszony do

składania zeznań, policja ustali tożsamość jego szwedzkich współpracowników i też trafią za kraty. Postanowili więc poświęcić jednego ze swoich, bo martwi nie mogą sypać. Nie wiedzieli jednak, że Hoffmann zdobył dostęp do najważniejszych informacji. W plecaku miał nie tylko komputer, ale również kod dostępu do jego zawartości.

– Jeśli zawiedziesz, stracisz rodzinę jeszcze dziś wieczorem. Jeżeli wykonasz nasze zlecenie, wróc do Szwecji i porozmawiamy. Twoje dzieci i piękna żona pożyją trochę dłużej, bo jeszcze z tobą nie skończyliśmy.

Hoffmann zrozumiał, że tamta krótka chwila dobiegła końca. Jego rozmówca znowu mówił monotonnym, bezpłciowym głosem.

– I jeszcze jedno... nie dzwoń na policję. Jeśli przy domu, w którym ukrywa się twoja rodzina, zauważymy choćby jednego glinę, bez względu na naszą umowę wysadzimy budynek w powietrze. Jak wiesz, jesteśmy w tym całkiem dobrzy.

Godzina 18.29

(zostały 3 godziny i 33 minuty)

– MOŻEMY POROZMAWIAĆ?

– Słucham.

– Miał pan rację, panie komisarzu.

– To znaczy?

– Źródło przecieku znajduje się w pańskim najbliższym otoczeniu.

– Ja też tak myślałem, ale zmieniłem zdanie. Żadna z osób, które podejrzewałem, nie zdradziła.

– Widział pan, że zniszczyłem mój telefon, prawda? Zerwałem z bandytami kontakt, chociaż mnie pan ostrzegał, żebym tego nie robił. Mój nowy numer znały tylko cztery osoby: pan, Zofia, Latifi i Andy, jeden z moich pracowników. Andy został niedawno zamordowany, ale on by mnie

nie zdradził. Zofia jest jedyną osobą, której w pełni ufam. Latifi też by się nie wygadał. Zostaje więc jedna osoba: pan. Albo ktoś, kto w ciągu ostatniej doby przebywał w pańskim najbliższym otoczeniu.

– Czy dobrze zrozumiałem? Twój pracownik został zamordowany? Co to znaczy?

– Że czuję się okropnie, ale nie mam czasu, żeby się nim teraz zająć. Po tej rozmowie wyślę panu adres. Proszę to zrobić za mnie.

– Jeśli...

– Czy pan naprawdę nie zrozumiał, co powiedziałem? Zamordowali mojego pracownika i zadzwonili do mnie na mój nowy numer, żeby mi to zakomunikować! Ustalili, gdzie jestem i po co tu przyjechałem. Ile osób wie, że z panem współpracuję? Policjantka, która widziała mnie w pana mieszkaniu, to raz. Kto jeszcze?

– Uspokój się.

– Tracę czas... nie stać mnie na spokój, jeśli informacje o tym, co robię, natychmiast trafiają w ręce skorumpowanego gliny, a potem do tych, którzy pilnują domu, w którym ukrywa się moja rodzina! Udało im się nawet przemycić telefon i tajne dokumenty do celi Zaravica! Facet już wie, że trafił za kraty na sześć lat dzięki policyjnemu informatorowi. Wieczorem, po tym, jak go pan wypuści, dowie się, że byłem nim ja.

Godzina 18.34

(zostały 3 godziny i 28 minut)

NAJPIERW USŁYSZAŁ CIĘŻKIE KROKI, a potem głośno wypowiedziane słowo.

Ujë.

Nie znał albańskiego, ale akurat to słowo zapamiętał, bo w drodze z lotniska do Szkodry zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby kupić dwie

butelki wody. W mieście, w którym śródziemnomorski upał był naprawdę dokuczliwy, kupił i wypił jej naprawdę dużo.

Ujë znaczy „woda”. I właśnie to słowo usłyszał za drzwiami.

Podszedł do okna i zobaczył, że ochroniarze zniknęli przed bramy.

Kiedy eksplozja rzuciła sejfem o ścianę, rozległ się głośny huk.

Podczas obu rozmów telefonicznych Hoffmann na chwilę się zdekoncentrował. Tymczasem hałas zwabił do wnętrza domu obu ochroniarzy, którzy od razu zauważyli, że podłoga jest mokra, a woda, która spływa po ścianach, wydostaje się na zewnątrz przez szczelinę pod drzwiami.

Za chwilę wyłamią zamek. Hoffmann rozejrzał się po pokoju. Zrozumiał, że znalazł się w śmiertelnej pułapce.

Godzina 18.36

(zostały 3 godziny i 26 minut)

KIEDY UZBROJENI OCHRONIARZE WŁAMALI się do zalanego wodą pokoju, Hoffmann od razu zauważył, że są dobrze wyszkoleni. Przekonał go o tym sposób, w jaki się poruszali, szybka reakcja i właściwa ocena sytuacji.

Rzeczywiście, byli zawodowcami, ale popełnili błąd.

Szukali intruza w zamkniętym na klucz pokoju. Stwierdzili, że drzwi i okna nie noszą śladów włamania, ale nie popatrzyli w górę. A gdy z gotową do strzału bronią podeszli do zakrywającego całą ścianę regału i zauważyli, że to właśnie stąd wyciekła woda, zaczęli się zastanawiać, jakim cudem mogło jej wypłynąć aż tyle. W tym samym momencie ustawili się w wymarzonej dla Hoffmanna pozycji. Leżąc na brzuchu na podłodze strychu, wysunął przez otwór w suficie pistolet i pociągnął za spust.

Godzina 18.43

(zostały 3 godziny i 19 minut)

– SVEN I MARIANA... zostawcie kawę i chodźcie ze mną.

Po krótkich poszukiwaniach Grens znalazł ich w pokoju socjalnym na końcu korytarza. Przed chwilą napełnili kubki świeżą kawą i teraz stali wśród rozłożonych na stole i krzesłach segregatorów z aktami śledztw. Pojedyncze dokumenty leżały na lodówce i zmywarce do naczyń. W innych okolicznościach przyłączyłby się do nich i został na noc, szczęśliwy, że spędzi czas z najbliższymi współpracownikami.

– Natychmiast!

Tym razem nawet na nich nie poczekał, tylko od razu ruszył na drugi koniec korytarza, jakby wiedział, że pójda posłusznie za jego wezwaniem. I rzeczywiście: chwilę później usłyszał energiczne i zdecydowane kroki Hermansson i giętkie, płynne kroki Sundkvista. Czasem się zastanawiał, czy jeśli sposób stawiania kroków jest wyrazem czyjejs osobowości, to jak w uszach innych brzmią jego kroki?

– O co chodzi? – spytał Sundkvist.

– Mamy problem – odparł komisarz. – Sprawa życia i śmierci.

Weszli do windy i Grens wcisnął guzik.

– To chyba nie pierwsza taka sytuacja w naszej pracy?

– Nie, ale tym razem mamy tylko dwie godziny.

– O czym ty mówisz?

– Zaravic, który siedzi w zamkniętej na klucz celi, niedawno dowiedział się o czymś, o czym nigdy nie powinien się być dowiedzieć.

Kilka minut później Grens wparował do znajdującego się na ósmym piętrze aresztu. Z trudem zachowywał cierpliwość, widząc, jak strażnik potrząsa pękiem kluczy, żeby znaleźć ten właściwy. Zaravic leżał na pryczy. Nie był już ubrany w weselny garnitur, tylko w więzienne ubranie. Na

widok trójki funkcjonariuszy, którzy wtargnęli do jego liczącej osiem metrów kwadratowych celi, nawet się nie zdziwił.

– Niech to szlag! Wcześniej się zjawiacie.

– Wstawaj.

– Myślałem, że mój czas za kratami kończy się dopiero o dziesiątej, ale chętnie wrócę do domu już teraz. Może skoczmy wieczorem na piwo?

– Wstawaj! Przeszukanie celi!

Zaravic uśmiechał się szyderczo, widząc, jak Grens, Mariana i Sven przerzucają do góry nogami skromne wyposażenie.

– Czy pan coś zgubił?

– Rozbieraj się.

– No proszę... tego się po panu nie spodziewałem. My dwaj?

– Koszula, spodnie, majtki, skarpetki, buty... Zdejmij wszystko, a ja będę obserwował, jak składasz ubranie w kostkę na podłodze.

Zaravic rozebrał się do naga i wybuchnął głośnym, szyderczym śmiechem. Odwrócił się do całej trójki i zaczął wykonywać ruchy frykcyjne.

– Podoba się? Śliczna policjantko... milczący nieznajomy? A może panu, komisarzu?

– Chwyć za pośladki, pochyl się, rozszerz je palcami i trzymaj, aż każę ci je puścić.

Zaravic nie pierwszy raz trafił do aresztu. Miał też za sobą odsiadkę w więzieniu. Wzruszył więc tylko ramionami, odwrócił się i zrobił to, co kazał mu Grens.

– Wystarczy?

– Możesz się ubrać.

– Widzę, że pan komisarz wygląda na rozczarowanego. Czegoś pan tu szukał? Tak sobie myślę, że gdybym miał tu to, czego pan szuka... gdyby te rzeczy znajdowały się w celi... na przykład telefon albo jakieś kartki... czyli to, czego w takiej celi nie wolno mieć... to poprosiłbym, żeby mi pozwolono iść do kibla... usiadłbym na sedesie i udawał, że sram, a przy okazji spuściłbym wszystko z wodą. Oczywiście pod warunkiem, że miałbym te rzeczy w celi.

Grens nie skomentował jego słów, tylko odsunął Sundkvista i Hermansson na bok, szarpnął za drzwi i wypadł na korytarz. Wszedł do toalety, założył gumowe rękawiczki, które zawsze nosił w kieszeni marynarki, i nie zważając na swoje bolące kolano i biodro, klękał przy każdym sedesie. Wkładał rękę do muszli, grzebał w niej, ale niczego nie znalazł. Telefon zniknął, przez co stracili szansę na zlokalizowanie osoby, która dzwoniła do aresztanta.

Komisarz był naprawdę wściekły, ale nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś taki jak Zaravic oglądał go w tym stanie. Kazał więc Sundkvistowi i Hermansson wyjść z celi, zamknął drzwi i poszedł do oszklonej dyżurki strażników.

– Macie tu jakąś wolną celę?

– Słucham?

– Pytam, czy któraś z cel stoi pusta.

Młody strażnik nie bardzo wiedział, czy się nie przesłyszał.

– Ma pan na myśli pustą celę?

– Tak.

– A po co panu taka cela?

– Macie taką czy nie?

W trzeciej celi od tej, w której siedział Zaravic, godzinę wcześniej przebywał narkoman o skłonnościach samobójczych. Po jego wyjściu

strażnicy nie zdążyli w niej jeszcze posprzątać. Grens nie zwracał jednak uwagi ani na brud, ani na dokuczliwy smród. Kazał Sundkvistowi i Hermansson wejść do środka i zamknął za nimi drzwi.

– Które z was to zrobiło?

Oboje popatrzyli zdumionym wzrokiem na siebie, a potem na niego.

– Co masz na myśli?

– Kto z was to zrobił, do cholery? Informacje, które wyciekają na temat Hoffmanna, są tak aktualne i konkretne, że mogą pochodzić jedynie od osób, którym ufam i które blisko ze mną współpracują. Żadnego innego wyjaśnienia nie znajduję. Mam już tego dosyć!

Kiedy wpadał w złość i nie mógł powstrzymać wybuchu, uderzał pięściami w przypadkowe przedmioty. Było to znacznie lepsze niż okładanie pięściami ludzi. Czasem obiektem jego furii padał stół sekcyjny w zakładzie medycyny sądowej w Solnie albo stolik przy kanapie w jego gabinecie na komendzie. Niestety, w celi nie było żadnych mebli ani innych przedmiotów, więc zaczął się wyżywać na gołych białych ścianach, które nie wydawały dźwięku. Po serii uderzeń zaczęły mu krwawić knykcie, a ściana zabarwiła się na czerwono.

– Ewert... opanuj się!

– Mam się opanować? Przepracowałem tu ponad czterdzieści lat, niedługo przechodzę na emeryturę, ale nigdy... powtarzam: nigdy... nikt mnie tak paskudnie nie wykorzystał!

Z Wilsonem łączyła go jedna cecha: nikomu nie ufali. Kiedyś o tym rozmawiali i doszli do wspólnego wniosku, że czasem zdarzają się sytuacje, gdy komuś trzeba zaufać. Była jednak pewna rzecz, której Wilson nie rozumiał, a Grens zrozumiał dopiero teraz: człowiek, który obdarza kogoś zaufaniem, ryzykuje, że pewnego dnia może się rozczarować. I właśnie teraz się to stało: doznał rozczarowania.

– Odpowiadajcie, jak pytam! Które z was?

W chwili gdy Grens podniósł głos, Hermansson cofnęła się instynktownie i oparła o ścianę. Potem jednak wróciła na poprzednie miejsce i stanęła przed komisarzem. Nie tolerowała ludzi, którzy próbują straszyć innych.

– Ostrzegałam cię, żebyś nie kwestionował mojej lojalności. Powiedziałam, że jeśli do tego dojdzie, będziemy musieli się rozstać. Albo się kogoś akceptuje, albo nie. Ale ty nigdy mnie nie słuchasz. Rzucasz się, oskarżałeś mnie, Svena i Wilsona i teraz znowu to robisz. Rozumiem, że działasz pod presją, bo to śledztwo ma dla ciebie szczególne znaczenie, i nawet się cieszę, że znowu zaczynasz coś czuć wobec ludzi, ale po tym, co przed chwilą powiedziałeś, straciłeś nie tylko mnie, ale także siebie.

– Łamiesz zasady.

– Co?

Grens przestał krzyczeć, ale jego słowa zabrzmiały nawet ostrzej i agresywniej. Takim zachowaniem można wyrządzić jeszcze większą krzywdę.

– Kazałem cię śledzić i okazało się, że kłamałaś w sprawie odwołanych spotkań. Pojawiałaś się też w miejscach, które nie były związane z prowadzonymi dochodzeniami.

– Coś ty powiedział? Kazałeś mnie śledzić? Chodzić za mną? Kto...

Hermansson przestała nad sobą panować. Zauważyła, że Sundkvist zrobił zakłopotaną minę. Na pewno wstydził się tego, co zrobił.

– To ty? – rzuciła. Spuścił wzrok. – Jak mogłeś?

– Ewert mnie prosił...

Cela aresztu była zbyt mała, żeby pomieścić złość przepelniającą dwie osoby. Wściekłość Hermansson zderzyła się ze złością Grensa.

– Ewert?

– Słucham?

– Jak już z tym skończymy... kiedy śledztwo dobiegnie końca... z nami też koniec – oświadczyła.

– Jak to?

– Po dziesięciu latach i po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, wciąż nie wiesz, czy możesz mi ufać?

– Ludzie robią różne rzeczy, jeśli muszą. Czy ktoś ci grozi? Tak jak Hoffmannowi? Zrozumiałbym, gdyby tak było. Jeśli rzeczywiście tak jest, możemy to jeszcze odwrócić. Pozwól mi tylko...

– Słusznie się domyślasz...

– Co?

– Przyznaję się.

Sundkvist uniósł wzrok. Grens uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę.

– Do czego?

– Jestem w związku z Wilsonem. To była nasza tajemnica.

W celi zapadła cisza, którą zakłócały tylko głośne oddechy trzech osób.

– Nie rozumiem... z Wilsonem?

– Tak.

– To znaczy, że ty i on...

– Tak.

Obok pryczy stał taboret przymocowany do podłogi. Taki sam jak we wszystkich innych celach. Grens osunął się na niego i jakby się skurczył.

– A więc o to chodziło... to stąd te twoje drobne kłamstwa, odwołane spotkania i nagłe wyjścia z komendy?

– Tak.

Tu już nie chodziło tylko o dłonie i knykcie. Grens miał ochotę uderzyć o ścianę całym ciałem. I to z całej siły. Było jednak coś, co go przed tym

powstrzymało: poczuł się tak, jakby zakręciło mu się w głowie.

– To wspaniale, że kogoś znalazłaś... i Wilson też... Świetnie, że nie musicie żyć dłużej w samotności. Ale Wilson jest twoim szefem. Pracujecie w tym samym wydziale. Jego albo ciebie nie powinno tu być. Takie są zasady. Nie wiedziałaś o tym?

– Sugerujesz, że zamierzaliśmy to ukryć?

Taboret był twardy i nie miał oparcia, więc siedzenie na nim sprawiało Grensowi ból. Jednak po tym, co usłyszał, nie był w stanie się podnieść. Poprosił więc podwładnych, żeby wyszli z celi i poczekali na niego przy dyżurce strażników. Dobrze znał Hermansson i zapamiętał, co powiedziała, bo przez wszystkie lata nauczył się szanować jej godność własną. Jak to było? *Jak już z tym skończymy... kiedy śledztwo dobiegnie końca... z nami też koniec.* Nigdy wcześniej tak z nim nie rozmawiała. Tym razem powiedziała to na poważnie.

Miał tylko ją, Sundkvista i nikogo więcej. Jego najbliżsi współpracownicy byli jednocześnie jego jedynymi przyjaciółmi.

Już wiedział, co poczuje później, gdy czas zacznie upływać w błyskawicznym tempie, a on nie będzie mógł pomóc Hoffmannowi. Jeśli Hermansson odejdzie, wpadnie w rozpacz. Nienawidził tego okropnego uczucia. Miał je w sobie, gdy odeszła Anni.

Godzina 19.15

(zostały 2 godziny i 47 minut)

LEKKO NACISNĄŁ GÓRNĄ CEGŁĘ. Usłyszał metaliczne kliknięcie i ściana się rozsunęła.

Wyszedł z kotłowni, zostawiając za sobą zapach oleju opałowego, i znalazł się w korytarzu, w którym pachniało pleśnią i wilgocią. Zanim opuścił pokój w wieży, do tajnego pomieszczenia za regałem wrzucił

zwłoki obu ochroniarzy. Będą tam leżeć tak długo, aż zaczną śmierdzieć jak padlina zwierzęcia, które utkwilo w pułapce, zdechło i zaczęło się rozkładać. Przeszedł przez cały dom i zszedł do piwnicy. Wciąż nie był pewien, czy odgłos strzałów kogoś nie przyciągnął. W połowie drogi trochę się rozluźnił. Musi jak najszybciej dotrzeć do Cany, chociaż nie tak dawno był pewien, że nigdy więcej go nie zobaczy. Kiedy Latifi napisał w esemesie, że Cana opuścił dom i pojechał do swojej kobiety w towarzystwie ochroniarzy, Hoffmann był przekonany, że nigdy więcej nie będzie musiał się przejmować, gdzie akurat przebywa ten albański handlarz bronią. Potem, gdy znalazł w sejfie kod dostępu do komputera, był pewien, że ich drogi więcej się nie skrzyżują. Teraz wszystko się zmieniło. Przywódca szwedzkiej odnogi gangu doszedł do wniosku, że jest zagrożony, więc wydał wyrok śmierci na swojego szefa, bo przestraszył się, że ten podczas składania zeznań zacznie sypać. Chcąc się upewnić, że Hoffmann wykona jego polecenie, znowu zaczął grozić jego rodzinie. Wiedział, gdzie ukrywa się Zofia z dziećmi, i wyznaczył kogoś do wykonania brudnej roboty.

W końcu Hoffmann dotarł do wyjścia z tunelu, które nie tak dawno posłużyło mu za wejście. Nacisnął cegłę w lewym dolnym rogu i stanął przed drzwiami. Latifi wysłał mu przed chwilą wiadomość, że dom jest pusty, a właściciele przebywają poza miastem. Hoffmann przeszedł przez piwnicę, kuchnię, przedpokój i minął stłuczoną szybę. Zerknął na zegarek. Musi się maksymalnie sprężyć, żeby jak najlepiej wykorzystać czas, który mu pozostał. Każdą minutę, a nawet sekundę. Ustalić miejsce pobytu Cany i zdecydować, jak rozegrać ten ostatni dla nich obu akt.

Godzina 19.33

(zostały 2 godziny i 29 minut)

NIE MOŻNA BYŁO WYKLUCZYĆ, że Latifi słyszał strzały, a jeśli tak, to będzie musiał zareagować, bez względu na to, kto i dlaczego strzelał. Policjant, który stoi na straży prawa, nie może zlekceważyć zbrodni popełnionej na dwóch obywatelach Albanii, nawet jeśli obaj należeli do znanego z brutalnych działań gangu. Kiedy jednak Hoffmann wszedł do samochodu i oznajmił, że zdobył dostęp do informacji, po które przyleciał, Latifi nie zadawał zbędnych pytań. Zachowywał się tak, jakby obowiązywała ich niepisana umowa. Dopóki o niczym nie wiedział, o nic nie musiał pytać.

– Dokąd teraz? – spytał. – Na lotnisko? – Od razu zauważył, że Hoffmann jest zdenerwowany, chociaż po tym, co udało mu się załatwić, powinien odczuwać ulgę. Jakby za czymś gonił albo kogoś ścigał. – Oczywiście pod warunkiem, że wykonał pan swoje zadanie do końca.

– Mam do zrobienia jeszcze jedną rzecz.

– Mianowicie?

– Muszę zadać Canie pewne pytanie.

– Myślałem, że zna pan wszystkie odpowiedzi?

– Chodzi o coś, czego nie znajdę w jego komputerze.

– A konkretnie?

– Nie mogę powiedzieć. To prywatna sprawa.

Latifi przez chwilę się wahał, a potem popatrzył na Hoffmanna takim wzrokiem, jakby chciał go ocenić.

– Innymi słowy, nie jedziemy na lotnisko?

– Innymi słowy, poproszę o adres posiadłości, w której przebywa Cana.

Albańczyk przeciągnął dłonią po kwadratowej twarzy. Miał taką minę, jakby ważył w myślach to, co wiedział i czego się domyślał.

– To wykluczone.

– Do jasnej cholery!

– Ale mogę tam pana zawieźć.

Hoffmann skinął głową i podziękował. Od razu się domyślił, jakie motywy kierują policjantem: jeśli z nim pojedzie, będzie mógł zapobiec niektórym sytuacjom, a w razie ewentualnej konfrontacji z Caną złagodzić ich konsekwencje. Latifi uruchomił silnik i wyjechał z dzielnicy willowej.

– Hamid Cana to jeden z naszych najgroźniejszych bandytów – powiedział. – I dlatego mam go przez cały czas na oku. Uważam, że to mój obowiązek, chociaż nie wolno mi go tknąć. Już o tym rozmawialiśmy. Wprawdzie mógłbym to zrobić, ale doszedłem do wniosku, że nie miałyby to żadnego sensu, bo Cana wyszedłby na wolność, zanim zdążyłbym wypełnić formularz.

Na dworze nadal było jasno, ale pojawiły się pierwsze zwiastuny zapadających ciemności. Latifi wjechał na szeroką drogę prowadzącą na wschód.

– Nie tylko wiem, że Cana handluje nadwyżkami broni, ale mógłbym to też bez problemu udowodnić. W innym kraju zgromadzonego materiału wystarczyłoby na to, żeby go oskarżyć, postawić przed sądem i skazać. Wiem też, że kobieta, u której teraz przebywa, jest właścicielką domu, w którym pan przed chwilą był.

– Naprawdę?

– Tak.

– Jest jego kochanką, ochroniarzem, słupem i oficjalną właścicielką głównej siedziby?

– Kochanką tak, ale raczej nie ochroniarzem. Jestem pewien, że handlują wspólnie bronią. Nazywa się Vesa Lilaj, ma czterdzieści siedem lat i pozornie jest czysta. W naszym rejestrze ma jeden mandat za złe parkowanie. Z tym brudnym biznesem jest jednak powiązana w inny sposób, jakby na wyższym poziomie. Lilaj jest siostrą człowieka, który

kiedyś stał na czele organizacji handlującej bronią i odpowiadał za albański szlak prowadzący na północ Europy. Później został zamordowany. Powodem była walka o władzę. Tak przynajmniej wynika z naszych ustaleń. To była typowa egzekucja... i to w Szwecji... w pana ojczyźnie. Zabójca zastrzelił też jego żonę i dwójkę dzieci. Tyle wiemy o tej sprawie. Niedługo minie dwadzieścia lat od tamtych wydarzeń. Jako policjant na pewno pan słyszał o tej zbrodni.

– Jak się ten zamordowany brat nazywał?

– Mirza Lilaj.

Ale Hoffmannowi nic to nie mówiło. Nigdy nie słyszał o Mirzie ani o Vesie Lilajach. Nic dziwnego, przecież nie był policjantem. Zastanawiał się, czy Grens wie coś o tej zbrodni. Kiedyś, jak już będzie po wszystkim, musi go o to spytać.

– Przykro mi, ale nie słyszałem o tej sprawie. Dwadzieścia lat temu nie pracowałem w policji.

– Mirza Lilaj był aż do swojej śmierci niekwestionowanym przywódcą gangu. To sprawdzona informacja, pochodzi od innego uczciwego policjanta, który prowadził jego sprawę przede mną. Lilaja zastąpił King Zoltan, który do swojej śmierci też był jedynym niekwestionowanym przywódcą. Rozmawialiśmy o nim podczas naszego pierwszego spotkania. Jeśli słusznie się domyślam, wtedy też chodziło o władzę, chociaż nigdy nie udało mi się tego udowodnić. Cztery lata temu, kiedy trzeba było wyznaczyć następcę Zoltana, władzę podzieliły się dwie osoby. Jeśli moje informacje są prawdziwe, a zwykle tak bywa, na czele gangu stoją teraz Hamid Cana i Vesa Lilaj. On jest jakby na świeczniku, działa na zewnątrz. Ona podejmuje najważniejsze decyzje i działa w środku gangu.

Podczas tej rozmowy zapadł zmrok. Reflektory samochodu przypominały parę oczu rozświetlających drogę, która robiła się coraz

bardziej wyboista, kręta i wąska.

– W schowku jest atlas samochodowy – odezwał się Latifi. – Proszę go wyjąć. Na siedemdziesiątej piątej stronie zaznaczyłem posiadłość, do której właśnie jedziemy.

Hoffmann przerzucił kilkanaście stron zużytego atlasu w skali jeden do pięćdziesięciu tysięcy. Był w takim stanie, jakby Latifi kupił go przed wielu laty, gdy rozpoczynał pracę w policji. Najwidoczniej traktował go jak przewodnik po albańskim świecie przestępczym. Na stronach roiło się od kolorowych strzałek wskazujących jakąś ulicę albo dom. Było też mnóstwo innych – niemożliwych do rozszyfrowania – bazgrołów.

Zaznaczona kółkiem posiadłość leżała w ustronnym miejscu, na końcu drogi prowadzącej na szczyt wzgórza. Najbliższy sąsiad mieszkał przynajmniej dwa albo trzy kilometry od tego miejsca. Hoffmann wiedział, że musi pójść tam sam, bez towarzyszącego mu policjanta.

Zerknął na niego i doszedł do wniosku, że nie ma sensu prosić go o zgodę na samodzielną akcję. Uznał jednak, że nie powinien go tak po prostu obezwładnić i zostawić w wozie; byłoby to dość niezręczne. Latifi był porządnym człowiekiem, a na rozwiązanie siłowe Hoffmann musiałby poświęcić trochę czasu, którego nie miał. Dzięki mapie wpadł nagle na inny pomysł.

– Czy może pan zjechać na stację paliwową?

– Teraz?

– Tak. Muszę skorzystać z toalety.

Latifi zerknął na niego, ale nawet nie zwolnił. Potrafił czytać w ludzkich twarzach, więc Hoffmann jakoś go nie przekonał.

– Tak nagle się panu zachciało?

– Sikanie w podziemnym korytarzu to nie najlepszy pomysł. Nie robię tego także w domach, do których się włamuję. Chodzi o coś innego.

Kiedy mijali stację benzynową, Latifi jeszcze raz zerknął na Hoffmanna. Dwieście metrów dalej zahamował i zawrócił na parking. Wjechał między dwa inne wozy i zaparkował przodem do wielkiej szklanej witryny.

– Kupię kawę i poczekam – powiedział. – Pan też się napije?

Po jednej stronie stanowisk z dystrybutorami znajdowała się kawiarnia wypełniona w połowie klientami. Po drugiej mieścił się niewielki salon gier, w którym nie było ani jednego wolnego miejsca. To prawdopodobnie jedyny punkt spotkań w tej odludnej okolicy, gdzie w zwykły wieczór można liczyć na jakieś towarzystwo. Mnóstwo samochodów i jeszcze więcej ludzi. Idealnie.

– Tak, chętnie – odparł Hoffmann i uśmiechnął się do Latifiego. Uśmiech zawsze pomaga, gdy ktoś kogoś okłamuje i chce ukryć swoje zakłopotanie. – Napiję się, jak wrócę z toalety.

Ale wcale nie zamierzał wracać.

Wysiadł z samochodu i skierował się do publicznych szaletów na tyłach budynku. Kierunek wskazywały prymitywne tabliczki wiszące na ścianach. Otworzył drzwi męskiej toalety i od razu poczuł smród moczu. Na lewo od pisuaru, który od dawna nie był sprzątnięty, znajdowały się trzy równie brudne kabiny. Sprawdził, czy są puste, i zaczął realizować swój nowy plan.

Najpierw pozbył się sztucznego brzucha, a potem protez palców u prawej dłoni. Następnie zdjął sztuczne brwi, nos z powiększonymi nozdrzami i trochę większy kawałek silikonu, który utrzymywał pulchne policzki i zaokrąglony podbródek. Oderwał sztuczne wąsy, potargał gładko przylizane włosy, a na końcu rozpiął koszulę i odciął nożem nogawki spodni nad kolanami. Potem wszystko z wyjątkiem protez wrzucił do kosza.

Mężczyzna, który po kilku minutach wyszedł z toalety, miał na sobie T-shirt i krótkie spodnie. Wyglądał na znacznie młodszego i miał bardziej wysportowaną sylwetkę niż ten, który tam wszedł. Skierował się w przeciwną stronę, do tylnych drzwi kawiarni, przysiadł na chwilę na wolnym krześle i zaczął szukać wzrokiem Latifiego. Szybko go znalazł. Policjant siedział w samochodzie z kubkiem kawy w ręce i czekał na swojego szwedzkiego kolegę. Hoffmann położył dłoń na zapalniczce, którą ktoś zostawił na stoliku. Wstając, przyciągnął ją do siebie. Następnie odwrócił się i wyszedł z lokalu tylnymi drzwiami. Szedł wzdłuż ściany, kierując się do innego budynku, w którym znajdował się warsztat naprawczy z myjnią ze stanowiskiem na jeden pojazd. Wślizgnął się do środka, podszedł do długiego stołu i zaczął oglądać narzędzia wiszące w uporządkowany sposób na wbitych w ścianę hakach. Zabrał śrubokręt, klucz francuski, cienki arkusz blachy przypominający szczelinomierz i wyszedł z warsztatu. Obszedł dookoła całą stację benzynową i pod osłoną niewielkiego zagajnika dotarł na parking dla gości, którzy przyjechali tam na dłużej, a nie tylko po to, żeby skorzystać z toalety. Nie miał innego wyjścia: musiał ukraść któryś z samochodów. Od razu przypomniały mu się dawne czasy.

W Albanii jedną z najpopularniejszych marek był starszy model mercedesa, który kiedyś był jego ulubioną marką. Brudne i zakurzone samochody nierzadko miały na liczniku ponad dwieście tysięcy kilometrów, ale żaden z nich nie był wyposażony w nowoczesny system antywłamaniowy. Hoffmann rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje, położył się na plecach i wsunął pod jeden z czterech zaparkowanych wozów. Przeciął kabel doprowadzający prąd do klaksonu, wysunął się spod wozu, wbił śrubokręt w zamek wlewu paliwa i przekręcił go. W tej samej chwili w całym samochodzie spadło ciśnienie i puściły

zamki w drzwiach. Usiadł za kierownicą i podgrzał zapalniczką czubek cienkiej blachy, aż rozgrzała się na tyle, że mógł ją wsunąć do stacyjki. Kilka razy nią poruszał i obracał, potem wyjął ją ze stacyjki i parę razy powtórzył te same czynności. Tym sposobem topił po kawałku plastikowe uszczelki w stacyjce. Na końcu wyjął pęk kluczy i wybrał dwa, które mogły do niej pasować. Często ich używał, żeby uruchomić silnik w wozie, do którego się włamał.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, włączył przednie światła. Zanim wyjechał z parkingu, zerknął w lewo. Mignęła mu postać Latifiego, który nadal siedział w samochodzie z kubkiem stygnącej kawy.

Godzina 20.36

(została 1 godzina i 26 minut)

OSTATNIE PROMIENIE SŁOŃCA SĄCZYŁY SIĘ z miejsca, w którym górskie pasma zachodziły na siebie na tle ciemnego nieba. Za chwilę cała okolica nie tylko pograży się w ciemnościach, ale także opustoszeje. Hoffmann jechał skradzionym mercedesem z taką prędkością, żeby nie zabłądzić. Mapę miał w głowie, więc wolał nie ryzykować, że przejedzie jakieś skrzyżowanie i będzie musiał zawrócić, tracąc cenny czas. Wiedział, że najpierw powinien skręcić w siódmą drogę po prawej, a potem w trzecią po lewej. Dalej pojedzie asfaltówką. Ostatnie pięć kilometrów to kręta żwirówka prowadząca przez tereny pograżone w całkowitych ciemnościach.

Kiedy przejeżdżał obok kolejnych zabudowań i wyłączył światła, zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz, ale nie odebrał. Dzwonił Latifi. Po chwili policjant znowu zadzwonił, ale Hoffmann i tym razem nie zareagował. Chwilę potem dostał esemesa o treści:

Gdzie pan jest?

ZATRZYMAŁ SIĘ I WYŁĄCZYŁ silnik. Do celu zostało dwieście metrów. Wsiadł z wozu i ruszył wzdłuż ogrodzenia, żeby się upewnić, czy posiadłość jest strzeżona. Miejskie domy, do których się włamywał, były otoczone zasiekami z drutu kolczastego. Tutaj czekała na niego elegancka żelazna brama z dwiema białymi kolumnami porośniętymi bluszczem. Wspiął się na ogrodzenie i przeskoczył na drugą stronę.

Grunt był suchy, a ponieważ Hoffmann nie mógł użyć latarki, co kilka metrów potykał się o szczeliny w spękanej ziemi i dwa razy wpadł na spalone słońcem niskie krzaki. Za sobą zostawił rozległą dolinę, w której znajdowały się wielkie posiadłości z uprawami oliwek i winorośli. Gdzieś palły się pojedyncze światła.

Zerknął na zegarek: czasu zostało mu niewiele. Za godzinę i kilka minut Zofia, Emil, Rasmus i Luiza będą martwi.

A może śmierć osiągnie tylko Hamida Canę, albańskiego handlarza bronią, którego kazali zlikwidować jego szwedzcy wspólnicy? Jemu też została tylko jedna godzina życia.

Godzina 21.08
(zostały 54 minuty)

PODKRADEŁ SIĘ TAK BLISKO, jak to było możliwe. Szedł skulony i pochylony.

Ostatni odcinek między garażem na trzy duże samochody a tryskającą fontanną pokonał wolnym krokiem. Kiedy dotarł do kępy pięciu świeżo zasadzonych drzewek pomarańczowych, od rogu domu dzieliło go piętnaście metrów. Z tego miejsca miał rozległy widok na rozświetlone pokoje.

W środku przebywały cztery osoby. Nikogo więcej nie widział.

Od razu rozpoznał Canę w koszuli z podwiniętymi rękawami; jego marynarka wisiała na oparciu krzesła. Siedział wygodnie w skórzanym

fotelu w pokoju wyglądającym na salon i trzymał kieliszek wina. Naprzeciwko niego – też z kieliszkiem wina – siedziała kobieta, która według tego, co mówił Latifi, była nie tylko właścicielką tego budynku i willi w mieście, ale także wspólnie z Caną kierowała gangiem handlującym bronią. Vesa Lilaj. Piękna kobieta w średnim wieku, która śmiała się, gestykulowała i dolewała sobie wina. Wyglądała na zakochaną, a nawet szczęśliwą. W kuchni stali dwaj ochroniarze w garniturach; wyglądali o wiele bardziej elegancko niż typowi ochroniarze z Bałkanów.

Hoffmann czekał, chociaż właściwie nie wiedział na co. Być może na jakąś formę ruchu: ktoś wyjdzie do toalety albo zejdzie do piwnicy po kolejną butelkę wina, dzięki czemu Cana zostanie w pokoju sam albo tylko z jednym ochroniarzem. Ponownie zerknął na zegarek. Mógł jeszcze poczekać dwadzieścia minut. Dłużej nie było sensu. Bez względu na okoliczności, musi zacząć działać.

Godzina 21.31
(zostało 31 minut)

NIC SIĘ JEDNAK NIE działo, sytuacja się nie zmieniała. Zero ruchu, a czasu coraz mniej. Musi coś zdecydować.

Mógłby po prostu strzelić do Cany, który stanowił idealny cel. Odslonięta głowa i klatka piersiowa. Ponieważ jednak ochroniarze znali okolicę i teren wokół posiadłości lepiej od niego, postanowił podejść bliżej albo po prostu wtargnąć do budynku, żeby akcja zakończyła się stuprocentowym powodzeniem.

Powoli ruszył przed siebie w ciemnościach.

Podszedł do niewysokiego płotu, za którym znajdowało się wejście, a żwirowa ścieżka przechodziła w alejkę wyłożoną czworokątnymi granitowymi płytami, gdy nagle ciemności rozjaśniło jaskrawe, agresywne

światło. Chwilę później włączyło się całe zewnętrzne oświetlenie. Nie przewidział, że jeśli podejdzie bliżej domu, ukryty czujnik zareaguje na jego obecność. W tym samym momencie Cana i Lilaj wykonali ruchy, na co czekał, chociaż inne niż te, na które liczył. Oboje odstawili kieliszki i odwrócili się w stronę okien, żeby sprawdzić, co się stało.

Od tego momentu wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie.

Hoffmann oddał kilka strzałów w kierunku niespodziewających się ataku z zewnątrz ochroniarzy, którzy po włączeniu się sygnalizacji alarmowej chwycili za broń i ruszyli do wyjścia. Kolejny strzał przebił szybę salonu i trafił Canę. Vesa Lilaj padła na podłogę, a ponieważ była nieuzbrojona, ukryła się za meblami. W tym samym momencie Hoffmann wbiegł do budynku.

Godzina 21.40
(zostały 22 minuty)

WPADŁ DO SALONU, KRZYKNAŁ do skulonej na podłodze kobiety, żeby się nie ruszała, i zaczął robić Canie zdjęcia. Mężczyzna leżał z przestrelonym sercem i plama krwi na jego koszuli robiła się coraz większa. Hoffmann postanowił zrobić więcej zdjęć – sfotografował między innymi z bliska martwe oczy swojej ofiary. Potem podciągnął Canie koszulę, sfotografował wlot po kuli i tryskającą krew, zanim zdążyła zaschnąć. Na końcu wysłał zdjęcia na numer, z którego dzwonił do niego człowiek z elektronicznie zniekształconym głosem.

Zerknął na zegarek. Zdążył! Zaravic wyjdzie niedługo z aresztu, ale nie dowie się, gdzie ukrywa się Zofia z dziećmi.

Nagle zdał sobie sprawę, że ciężą mu nogi, a ręce opadają bezwładnie. Zachciało mu się pić i zakręciło się w głowie. Wykorzystał cały czas, jaki miał do dyspozycji, a gdy osiągnął cel, nie poczuł nic.

Miał ochotę położyć się na podłodze między martwym Caną a jego kobietą, skulić się, zasnąć i obudzić w swoim łóżku obok Zofii. Wsłuchiwać się w ciche chrapanie synów w domu, który przestał istnieć.

W tym samym momencie rozległ się znajomy dźwięk: jego telefon zasygnalizował, że zdjęcia zostały wysłane. Hoffmann wolał się jednak upewnić i zerknął na wyświetlacz.

Niestety, to nie było potwierdzenie.

Na ekranie pojawił się opatrzony czerwonym wykrzyknikiem komunikat, że zdjęcia nadal są w skrzynce.

Kurwa! Niech to szlag! Brak zasięgu! Brak sygnału!

Pobiegł do sypialni, potem do gabinetu, przedpokoju, kuchni i pokoju gościnnego, ale w żadnym z tych miejsc nie było zasięgu. Wprawdzie w całym domu działało wi-fi, ale nie wiedział, jak się zalogować. Wrócił więc do kobiety, która nadal leżała nieruchomo na podłodze. Tak jak jej kazał.

– Podaj hasło dostępu do sieci.

Spojrzała na niego, ale się nie odezwała.

– Odpowiadaj! Podaj mi hasło dostępu! Wiem, że znasz angielski!

Kobieta milczała, więc strzelił jej w łydkę, ale zrobił to w taki sposób, żeby jej za bardzo nie skrzywdzić.

– Odpowiadaj!

Pokręciła głową, więc Hoffmann znowu do niej strzelił. Tym razem w lewą rękę.

– Możesz... do mnie... strzelać, ale... i tak ci nie pomogę – odparła. Widać było, że cierpi, bo z trudem wypowiadała słowa.

Popatrzyła na niego wyzywającym wzrokiem i Hoffmann zrozumiał, że niczego się od niej nie dowie. Postanowił poszukać innego rozwiązania.

Ponownie obszedł wszystkie pomieszczenia, opróżnił garderoby i przewrócił do góry nogami zawartość szuflad. Na końcu otworzył szafkę w przedpokoju, która przypominała pomieszczenie na szczotki, i znalazł w niej to, czego szukał. Na najwyższej półce stał router.

Przypomniał sobie, że hasła dostępu do sieci są często zapisane w dolnej części takich urządzeń. Fabryczny kod składał się zazwyczaj z liter i cyfr.

Zdjął router z półki, dokładnie obejrzał i na tylnej ściance znalazł złożony z dziewięciu liter i jednej cyfry kod:

zfqbgs3dww

Wyszukał lokalną sieć i wpisał go. Chwilę musiał poczekać, ale w końcu się udało. Był połączony, więc od razu wysłał na ten sam co poprzednio numer telefonu zdjęcia przedstawiające martwego gangstera. Teraz musiał tylko czekać na potwierdzenie, że wiadomość dotarła do odbiorcy.

Odliczał sekundy, ale było to tak nieznośne, że zaczął krążyć niespokojnie po całym domu. Wrzucił do kominka kilka bierwion i przeciągnął dłonią po kanapie. Była obita materiałem, który kolorem przypominał obicia foteli jego dziadków. Na chwilę zatrzymał się przy regale, na którym stały oprawione w złote ramki zdjęcia. Było ich więcej niż książek. To najbliższe przedstawiało Vesę Lilaj jako dziecko. Dziewczynka była ładnie ubrana i pozowała do zdjęcia w zakładzie fotograficznym. Na następnej fotografii miała diadem we włosach i siedziała w eleganckiej restauracji, prawdopodobnie ze starszym bratem i rodzicami. W ręce trzymała szklanekę soku i wznosiła toast – pewnie za zdrowie rodziny, a zwłaszcza za życie, które wtedy wydawało jej się proste i oczywiste. Teraz leżała na podłodze z przestrzelonymi kończynami i obejmowała martwego kochanka.

Hoffmann odstawił zdjęcie na miejsce i jeszcze raz obszedł wszystkie pokoje. W pewnym momencie chciał zrezygnować z dalszego czekania i jeszcze raz wysłać zdjęcia, gdy nagle usłyszał dobrze znany słaby sygnał. Podbiegł do stołu, na którym zostawił telefon, wziął go do ręki i nagle się zawahał. Zabrakło mu odwagi, żeby sprawdzić, czy zdjęcia przedstawiające martwego Canę na pewno dotarły do odbiorcy, a zwłaszcza czy nie dotarły do niego za późno.

Godzina 21.56
(zostało 6 minut)

CHWILĘ PÓŹNIEJ SIĘ ROZPŁAKAŁ. Robił to jednak inaczej niż leżąca na podłodze kobieta, która straciła kochanka.

Był to ten sam rodzaj żalostnego płaczu, który zamienia się we wściekłość – jak na przykład wtedy, gdy trzymał w dłoni nową zabawkę Rasmusa i wiedział, że to odbezpieczony granat – albo w strach, którego nie umiał ukryć, gdy Emil poznał go mimo charakteryzacji, podbiegł do niego i mocno go objął. Taki płacz najpierw dławi w gardle, a potem przenosi się do żołądka.

Tym razem płacz Hoffmanna wynikał z poczucia ulgi. Wysłał zdjęcia i dostał potwierdzenie. Fotografie stanowiły dowód na to, że wykonał zlecenie. Dzięki temu Zofia i dzieci będą bezpieczni w swojej kryjówce.

CZĘŚĆ SIÓDMA

POBIEGŁ LEKKIM KROKIEM PRZEZ wysuszony teren. Bez problemu wspiął się na ogrodzenie, przeskoczył na drugą stronę i od razu odjechał z posiadłości skradzionym samochodem. Chciał jak najszybciej wrócić do Szkodry, żeby rano zdążyć na samolot do Szwecji. Po kilku kilometrach, na skraju doliny, w której domy stały blisko siebie, a ludzie szykowali się do snu, zauważył w ciemnościach parę reflektorów. Z naprzeciwka jechał samochód. Obaj kierowcy przyhamowali, żeby nie zderzyć się na wąskiej drodze, i przez krótką chwilę obserwowali się przez opuszczone szyby. Hoffmann i Latifi. Albański policjant domyślił się w końcu, że jego szwedzki „kolega po fachu” zrobił go w konia i w dalszą drogę udał się bez niego. Za kilka minut, gdy dotrze do posiadłości na końcu drogi, zobaczy, że spóźnił się z interwencją.

Hoffmann przyspieszył i nawet nie czuł, jak na wyboistej drodze mercedesem co jakiś czas zarzuca. Pojazd podskakiwał na nierównościach, koła grzęzły momentami w piasku i samochód zbliżał się niebezpiecznie do krawędzi biegnącego wzdłuż drogi rowu. O ile w stanie oszołomienia i szczęścia bez problemu wdrapał się na ogrodzenie i przeskoczył na drugą stronę, o tyle teraz wprost frunął. Czuł się wolny, a ponieważ chciał to wyrazić w bardziej konkretny sposób, wyjął telefon i tym razem to on zadzwonił do człowieka ze zniekształconym głosem.

– *Słucham?*

– Nie oddzwoniliście.

– *W jakiej sprawie?*

– Przesłałem wam zdjęcia... jako dowód na to, że wykonałem zlecenie.

– *Dostaliśmy je, ale za późno.*

Hoffmann zamarł. Poczł, jak jego ciało zamienia się w sopel lodu.

– Wysłałem je wam za cztery dziesiąta, sześć minut przed czasem. Mam potwierdzenie w telefonie.

Zapadła krótka, nieprzyjemna cisza. Hoffmann wsłuchiwał się w jej brzmienie i coraz bardziej czuł się jak sopel lodu.

W końcu usłyszał odpowiedź.

– *Twoje zdjęcia odebraliśmy siedem minut po dwudziestej drugiej, pięć minut po czasie. Mam na to potwierdzenie w telefonie. Zaravic wyszedł przed chwilą na wolność, spotkał się ze swoim adwokatem i dostał informację o tym, gdzie ukrywa się twoja rodzina. Pewnie się domyślasz, że już tam jedzie.*

– NIECH PAN TAM pojedzie, do jasnej cholery! – Hoffmann wprost krzyczał do telefonu. – Zaravic wie, gdzie ukrywa się moja rodzina! Już tam jedzie! Musi pan ich ratować!

Grens nie do końca zrozumiał, o czym Hoffmann mówi.

– Nie krzycz tak. Ten telefon... sam nie wiem... chyba...

– Podaję adres: Atlasvägen czterdzieści jeden. Gamla Sickla. Parter, mieszkanie po lewej stronie. Zofia jest tam z dziećmi... Niech pan jedzie! Natychmiast!

MNIEJ WIĘCEJ ROK TEMU zaufał mu pewien chłopiec, który później został znaleziony martwy w schronisku dla uchodźców. To wtedy komisarz Grens po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat pobiegł. Wiele lat wcześniej kula wystrzelona z pistoletu roztrzaskała mu biodro, przez co nie mógł normalnie chodzić. Zanim do tego doszło, był w pełni sprawny, nie kulał i bez problemu ścigał przestępców.

Teraz nie biegł, ale wprost pędził.

Towarzyszyli mu ci, którym ufał najbardziej: Sundkvist i Hermansson. Szybko zbiegli schodami na ulicę, gdzie stał zaparkowany samochód.

KOLEJNY DZIEŃ TKWILI w mieszkaniu, które nie było ich domem, ponieważ musieli się ukrywać. Ich tata gdzieś przepadł, a pistolet ukryty pod zlewozmywakiem i karta SIM, którą mama zniszczyła acetonem, były dowodem na to, że grozi im niebezpieczeństwo. Ale on nie czuł się zagrożony. Siedział w kuchni na krześle i patrzył przez okno na brzydką ulicę. Przez pół godziny naliczył cztery samochody, których kierowcy szukali miejsca parkingowego, dziewięć osób w drodze do domu i dwa psy, które wysikały się przy tej samej latarni. Ruch był większy niż poprzedniego dnia, bo wtedy naliczył tylko siedmioro ludzi i jednego psa miniaturkę. Cztery samochody i dziewięć osób. Nie licząc tych, które siedzą w czarnym dużym samochodzie.

Wóz stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Na razie nikt z niego nie wysiadł. W środku były dwie osoby... razem z tymi, które policzył, jest ich jedenaście. Chyba że ktoś siedzi jeszcze na tylnym siedzeniu.

– Co robisz?

Mama. Nawet jej nie zauważył. Ona też potrafi się skradać. Jakie to miłe uczucie, kiedy go tak głaszcze po włosach.

– Nic. Patrzę przez okno.

– Czas spać.

– Dlaczego? Jutro i tak nie mamy nic do roboty.

– Właśnie dlatego. Musimy się zachowywać tak jak zawsze. To konieczne, żebyśmy czuli się choć trochę normalnie.

Ale Emil nie ruszył się z krzesła. Jeśli ci dwaj wysiądą z wozu, okaże się, że razem było jedenaście osób. To rekord.

– Ktoś siedzi na ulicy w czarnym bmw. Widzisz, mammo?

– Gdzie?

– Tam. – Emil wskazał ręką samochód.

Zofia od razu go zobaczyła.

– Myślę, że ci panowie są ochroniarzami, takimi jak tata. Czasem ich tu przysyła, żeby sprawdzić, czy wszystko jest u nas w porządku. – Pogłaskała syna po policzku. Ma takie miłe ręce, pomyślał Emil. – Za pięć minut masz iść umyć zęby. Jasne?

– Jasne – rzucił Emil i w tym samym momencie zauważył psa, który przebiegał koło drzewa na skrzyżowaniu ulic. Ucieszył się. Ma już trzy psy i dziesięć osób, wliczając w to panią, która prowadziła psa na smyczy, a z wieku i wyglądu przypominała jego babcię.

Potem znowu nic się nie działo. Co pewien czas przeleciał ptak albo przebiegł kot, ale to się nie liczyło. Nagle zauważył coś dziwnego. Ci dwaj w samochodzie, których przysłał tata – tak przynajmniej twierdziła mama – wysiedli z wozu w czapkach na głowach. Teraz, w środku lata? Zdążył jeszcze pomyśleć, że ma już na liście dwanaście osób i znowu padnie rekord, gdy nagle obaj mężczyźni opuścili czapki na twarze. Dopiero teraz zobaczył, że to kominiarki. Najciekawsze było jednak to, że skierowali się do ich klatki schodowej, a podchodząc do drzwi, popatrzyli na niego.

– MAMO, MAMO!

Emil krzyczał na cały głos, ale Zofia nie zareagowała tak, jak powinna. Kiedy jednak przyszła, nie musiał jej nic wyjaśniać. Od razu wszystkiego się domyśliła. Szli do nich dwaj mężczyźni w czarnych kominiarkach na twarzach. I na pewno nie byli to ochroniarze, których przysłał Piet, tylko prawdziwi przestępcy.

– Odejdź od okna!

Szarpnęła syna tak mocno, że później zrobił mu się siniak na ramieniu. Nigdy się tak nie zachowywała. Nie poczuł bólu, ale rozumiał jej reakcję. Najpierw pobiegli do Rasmusa, który leżał na łóżku z konsolą na brzuchu i zajęty był jakąś piłkarską grą, a potem do Luizy, która spała w sąsiednim pokoju i niespokojnie kwiliła przez sen, jakby przeczuwała, że wkrótce coś się zdarzy.

– Wewnętrzne drzwi bezpieczeństwa!

– Zostań tutaj, nie mamy czasu.

– Mamo... musimy je zamknąć!

– Powiedziałam: zostań! Musimy się zachowywać cicho!

Ich mieszkanie dzieliło od głównego wejścia siedem stopni. Dokładnie je policzył. Dzięki temu słyszeli wszystkie wchodzące i wychodzące osoby. Nie mógł zrozumieć, jak ktoś, kto tu mieszkał przed nimi, mógł to wytrzymać. Tym razem zadziałało to na ich korzyść, bo od razu usłyszeli, jak drzwi prowadzące na klatkę otworzyły się i zamknęły. Rozległy się kroki i chwilę później ucichły przed ich mieszkaniem.

Mama przyciągnęła go do siebie i objęła całą trójkę. Sytuacja była chyba poważna, bo nawet Rasmus przestał się wiercić i nie zadawał

zbędnych pytań. Emil nie pamiętał, kiedy jego młodszy brat zachowywał się tak grzecznie.

Potem usłyszeli inne dźwięki, głośniejsze od kroków. Ktoś próbował wyłamać drzwi wejściowe do mieszkania. Twardy metalowy przedmiot parł na nie tak mocno, że zaczęły wychodzić z zawiasów. Jeszcze trochę i puszczą. Tymczasem on wiedział coś, czego nie wiedziała ani mama, ani ci dwaj w kominiarkach.

– Wiem, gdzie jest wyjście.

– Leż spokojnie i nic nie mów. Wsuń się pod moje ramiona.

– Znam tajne wyjście... tata je przygotował. Chodźmy tam!

Emil zerwał się z łóżka, podbiegł do garderoby i otworzył drzwi.

– Synku, posłuchaj...

– Popatrz, mammo...

Klęknął i zaczął szukać ręką gałki, którą poprzednim razem znalazł za futryną. Teraz nie miał z tym problemu, bo była w tym samym miejscu co wcześniej.

– Popatrz, mammo... pod spodem jest otwór.

Pociągnął za gałkę i pokrywa podłogi się uniosła. Odstąpił na bok, żeby pokazać mamie okrągły otwór, przez który będą mogli zejść do piwnicy. Pochylił się i odsunął gipsową płytę.

W tym samym momencie na klatce schodowej rozległ się potężny huk. Za chwilę do mieszkania wpadną zamaskowani mężczyźni.

– Zeskoczę na dół, to niezbyt wysoko. Odbiorę od ciebie Rasmusa, a potem...

– Dobrze, skacz! – Zofia wypowiedziała te słowa zdecydowanym tonem, ale twarz miała zmartwioną.

Emil wcisnął się w otwór, chwycił za drewniane poprzeczne belki stanowiące sufit piwnicy, zawisł ze spuszczonej nogami i maksymalnie się wyciągnął. Potem puścił się i wylądował na podłodze. Spojrzał na Rasmusa i ten, choć mniejszy, ale bardziej ruchliwy, poszedł w ślady starszego brata i wylądował obok niego na miękkich nogach. Emil nawet nie musiał go podtrzymywać.

– Mamo... tu jest żelazny stojak. Wejdę na niego i odbiorę od ciebie Luizę. Pochyl się nad otworem. Tylko szybko!

Zofia popatrzyła na niego z dumą. Jej syn jest jeszcze mały, a taki dzielny!

Objęła mocno Luizę i pochyliła się nad otworem. Maksymalnie się wyciągnęła, a gdy Emil dotknął nóżek młodszej siostry, zwolniła uchwyt. Dziewczynka nie była oczywiście świadoma, że znalazła się w objęciach brata, który na chwilę stracił równowagę i o mało jej nie wypuścił.

– Teraz ty, mamo...

W tym samym momencie rozległ się kolejny głośny trzask, jakby ktoś oddał strzał. Futryna puściła i ciężkie drzwi wpadły do przedpokoju. Na szczęście Zofia zdążyła zamknąć garderobę i pociągnąć za gałkę. Na więcej zabrakło jej czasu. Chwilę później stanęła twarzą w twarz z włamywaczami.

– SŁYSZELIŚMY DZIECI!

Mężczyźni odcięli jej drogę ucieczki. Stali między niezaścielonym łóżkiem a zamkniętą garderobą. Byli wyżsi i bardziej barczyści od Pieta, agresywni, a zarazem opanowani. W rękach trzymali pistolety, jakich nigdy wcześniej nie widziała. Twarze mieli zamaskowane, a ich oczy przypominały ślepią zwierząt. Patrzyli na nią świdrującym złym wzrokiem.

– To były głosy chłopców. Waszych synów.

Zofia wielokrotnie wyobrażała sobie taką sytuację. Nie po to jednak, żeby doświadczyć bólu, poczuć strach albo spróbować zrozumieć, przez co wiele razy wcześniej przechodził jej mąż, tylko żeby przygotować się na taką chwilę. Jakby wiedziała, że styl życia, który wybrała, kiedyś ją do tego zmusi.

– Znam twojego męża i wiem, że macie dwóch synów. Przed chwilą słyszeliśmy ich głosy.

Teraz, gdy naprawdę doszło do takiej sytuacji, a to, co kiedyś tylko sobie wyobrażała, stało się faktem, poczuła się całkiem inaczej. Nie drżała, nie bała się i nie oddychała gwałtownie.

– Milczysz? Twoja sprawa. Nieraz już szukaliśmy dzieci i zawsze je znajdowaliśmy: pod łóżkiem, pod stołem, za regałami... Wyciągaliśmy je stamtąd mimo histerycznych wrzasków rodziców i robiliśmy to, co do nas należało. Zgodnie ze zleceniem. W ten sposób zarabiamy na chleb i czynsz.

Strach zawsze idzie w parze z szaleństwem i wahaniem. Tymczasem ona nawet przez chwilę się nie wahała. Wiedziała, że powinna zrobić to co zawsze: chronić swoje dzieci. Nic więcej. Każda jej myśl, każdy napięty mięsień były nastawione tylko na ten jeden cel: chronić Emila, Rasmusa

i Luizę. Nogi się pod nią uginały, więc modliła się w myślach, żeby nie upaść i nie krzyczeć, bo ucisk w piersi powinien znaleźć ujście gdzie indziej. Nie powinna też płakać i błagać o łaskę, a tym bardziej dać tym bydlakom to, co należało tylko do niej. Jeśli będzie się dzielnie trzymać, strach nigdy nią nie zawładnie.

– Ale tym razem nie chodzi o chleb i czynsz. Jestem tu z osobistych powodów. Kiedyś miałem syna, który zmarł. Nie zdążyłem się z nim pożegnać... przez twojego męża.

Mężczyzna, który do niej mówił, stał z pistoletem w ręce i patrzył na nią drapieżnym wzrokiem. W tym samym czasie jego kompan przeszukiwał mieszkanie. Otwierał szafy i przesuwiał meble. Kiedy wrócił, grzecznie ją poprosił, żeby się odsunęła, bo chciałby przeszukać garderobę.

Nie zamierzała go posłuchać, ale gdy poczuła na czole końcówkę lufy, nie miała wyjścia. Metal wrzynał jej się w skórę i chociaż bardzo się starała, nie mogła ustać w miejscu. Musiała się cofnąć, żeby mogli otworzyć drzwi, zajrzeć do środka i stwierdzić, że garderoba jest pusta.

– Wiem, że chłopcy gdzieś tu są. – Mężczyzna nadal zwracał się do niej opanowanym głosem, który w nienaturalny i nieprzyjemny sposób był całkiem spokojny. – Gdzie ich ukryłaś?

Zofia pokręciła głową na znak, że nie odpowie. Krew ciekła jej z czoła po policzkach. Po chwili główna struga podzieliła się na trzy mniejsze: jedna spłynęła jej na szyję, druga na pierś, trzecia kapała na podłogę.

– Daję ci ostatnią szansę, a potem cię zastrzelę.

Mężczyzna odbezpieczył pistolet i spojrzał na nią drapieżnym wzrokiem. Skąd mógł wiedzieć, że już podjęła decyzję? Nic mu nie powie, a kiedy będzie pociągał za spust, nie zamknie oczu.

RASMUS TRZYMAŁ NA RĘKACH śpiącą Luizę, która oddychała spokojnie i równo. Emil postanowił, że gdy będzie już po wszystkim, pochwali młodszego brata za to, że tak dzielnie się spisywał, i zawsze będzie o tym pamiętał.

Przez cały czas stał na metalowym stojaku, dzięki czemu słyszał treść prowadzonej na górze rozmowy. Nikt nie krzyczał, głosy nie brzmiały groźnie. Mimo to wiedział, że mama jest w niebezpieczeństwie. Włamywacze mówili o „waszych synach” i „waszych dzieciach”. Oczami wyobraźni widział mamę z tą jej miną, od której można oszaleć. Zawsze ją robi, kiedy coś postanowi.

– Gdzie ich ukryłaś?

Tym razem mężczyzna był wyraźnie zły. Potem rozległ się głuchy trzask, a następnie huk, jakby ktoś osunął się ciężko na podłogę. Emil nie widział, co się tam dzieje, ale instynktownie czuł, że sytuacja robi się niedobra.

– Daję ci ostatnią szansę, a potem cię zastrzelę.

Niski, dziwny głos.

Nagle rozbolał go żołądek. Chwilę później ból rozszedł się po całym brzuchu. Zrozumiał, że bandyci mówią poważnie. Nie tylko grozili ich mamie – zamierzali ją zastrzelić. Przestał się zastanawiać i postanowił działać. Podniósł głowę i zawołał na cały głos:

– Jesteśmy na dole, pod podłogą! Nie zabijajcie naszej mamy!

W mieszkaniu zapadła cisza. Usłyszeli go. Darują mamie życie. Zaraz potem ciszę przerwały nowe dźwięki.

Emil wzdrygnął się na odgłos pierwszego wystrzału. Stracił równowagę, a gdy padł drugi strzał, zsunął się na podłogę i zaczął tak głośno krzyczeć, że obudził Luizę.

ZOFIA DOCHOWAŁA OBIETNIC, KTÓRE sobie złożyła. Ochroniła dzieci, a gdy padł strzał, nie zamknęła oczu.

Wydawało jej się, że słyszy głos Emila. Chyba coś krzyczał i tym samym zdradził swoją kryjówkę. Jakby śmierć sobie z niej zażartowała.

Dopiero po chwili do niej dotarło, że to nie mężczyzna o drapieżnych oczach pociągnął za spust. Przeciwnie: po pierwszym strzale osunął się na podłogę. Chwilę potem padł drugi strzał i pocisk dosięgnął jego zamaskowanego kompana. Śmierć zażartowała sobie nie z niej, tylko z nich.

Uniosła się z podłogi i poczuła, że z czoła nadal płynie jej krew. W mieszkaniu nie była sama. Czuła czyjąś obecność, słyszała czyjś oddech.

Młoda kobieta z pistoletem w dłoni. Zdecydowany, mocny chwyt. Takiej broni używa szwedzka policja.

– Gdzie są pani dzieci? – Jej głos był równie zdecydowany jak postawa, a zarazem ciepły i bezpieczny. Jakby nic się przed chwilą nie stało, jakby nie zastrzeliła dwóch osób.

– W garderobie. Jest pani policjantką?

Młoda kobieta zerknęła do garderoby, potem na Zofię, a następnie znowu zajrzała do środka.

– Tak. Ale pani chyba jest w szoku. W garderobie nie ma dzieci. Proszę sobie przypomnieć, gdzie widziała je pani ostatni raz.

– Niech się pani schyli... tam jest gałka... trzeba za nią pociągnąć... pod podłogą jest tajny schron.

Policjantka klękła i zaczęła szukać gałki. Zofia wciąż leżała na podłodze. Nogi miała tak słabe, że nie mogła wstać.

- Kim pani jest?
- Powiedziała pani: „pod podłogą”?
- Z kim pani współpracuje?

Zofia doszła do wniosku, że policjantka jest bardzo ładną kobietą. Do tej pory w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Kiedy jednak klęcząca w garderobie kobieta na wpół się odwróciła, Zofia ujrzała jej twarz. Policjantka miała regularne rysy twarzy, błyszczące włosy o ciemnym odcieniu i oczy, w których kryły się mądrość i doświadczenie, chociaż sądząc po wyglądzie, była jeszcze młoda.

– Przepraszam... chciałam się najpierw upewnić, czy dzieciom nic nie grozi. Mam na imię Amelia i od pół roku odbywam praktykę zawodową na komendzie policji w Sztokholmie. Moim przełożonym jest komisarz Ewert Grens, a opiekunką Maria Hermansson. A teraz pomówmy o tajnym schronie... wspomniała pani, że mam pociągnąć za gałkę. Jest pani pewna?

– Tak. Sama przed chwilą widziałam, jak syn pociągnął za coś, co znajduje się w prawym rogu.

Amelia zaczęła szukać gałki i tym razem ją znalazła. Pociągnęła za nią i obserwowała, jak podłoga unosi się na jej oczach. Na dole ujrzała trójkę dzieci.

– Cześć... tu, na górze, wszystko w porządku. Niebezpieczeństwo minęło. Jestem policjantką i pomagam waszej mamie. Jak do was zejść? Czy jest jakieś inne wejście?

Odpowiedział jej chłopiec, który mógł mieć dziewięć... dziesięć lat.

– Mam na imię Emil. Musi pani wyjść na klatkę schodową, zejść do piwnicy, przejść przez cały korytarz, aż dojdzie pani do żelaznych drzwi z dwoma kółkami. Trzeba je obrócić. Jesteśmy tu we trójkę... ja, mój brat Rasmus i nasza młodsza siostra Luiza. Czy mama czuje się dobrze?

– Bardzo dobrze, synku!

Zofia usłyszała pytanie Emila i sama na nie z radością odpowiedziała, jakby podążała za swoim głosem, który przebił się na dół i osiadł wśród trójki jej cudownych dzieci.

– Rozumiem. W takim razie ja przyjdę do was, a mama poczeka na górze.

Amelia mrugnęła do Emila i wyszła z garderoby. Chłopiec też do niej mrugnął. Policjantka wyszła na klatkę schodową, ale zanim zeszła do piwnicy, wyszła na ulicę i ruszyła do zaparkowanych samochodów. Miała do załatwienia pewną sprawę.

W jej samochodzie na siedzeniu pasażera leżała teczka. Amelia wzięła ją i podeszła do stojącego po drugiej stronie ulicy czarnego bmw, którym przyjechali bandyci w kominiarkach. Drzwi otworzyła kluczem, który znalazła w kieszeni Zaravica, gdy Zofia leżała nieprzytomna na podłodze. Położyła teczkę na fotelu pasażera, wróciła na klatkę schodową i zeszła do piwnicy. Zastanawiała się, kiedy Grens, Sundkvist i Hermansson dotrą na miejsce, jadąc na sygnale. Musiała zdecydować, jaką przedstawić im wersję wydarzeń, ponieważ prawdy nie mogła nikomu zdradzić.

CZĘŚĆ ÓSMA

PRAWDA JEST TAKA, ŻE miałam umrzeć, bo na drodze w Albanii nie było pawlacza, w którym mogłabym się ukryć. I nawet słyszałam, jak padł strzał.

Na lotnisko jechaliśmy krętymi drogami w zupełnych ciemnościach. W pewnym momencie drogę zablokował nam samochód z włączonymi reflektorami. Wsiadł z niego mężczyzna i ruszył w naszym kierunku.

Dlaczego używasz nazwiska Lilaj?

Mierzył z pistoletu przez szybę naszego samochodu, a jego głos brzmiał tak, jakby należał do obcej osoby.

Odpowiadaj! Dlaczego?

Próbowałam się schować i po raz pierwszy w życiu chciałam być Hannah Ohlsson. Mimo to odpowiedziałam:

Bo Mirza Lilaj był moim ojcem.

Ciotka trzęsła się ze strachu, ponieważ widziała, jak Lorik mierzy do mnie z pistoletu. Była pewna, że zaraz mnie zastrzeli.

A potem zdarzyło się coś podobnego do tego, co stało się tutaj.

Kula nie dosięgła Zofii, tylko Zaravica. I to on upadł na podłogę. Tamtego wieczoru pocisk nie trafił mnie, tylko Lorika, który ze zdumioną miną upadł na spuszczonej szybie i wpadł tułowiem do wnętrza wozu. Po tym, co się stało, ciotka Vesa jeszcze bardziej trzęsła się ze strachu.

Strzeliła do niego przez drzwi samochodu, chociaż nigdy przedtem nikogo nie zabiła. Nie lubiła broni, ale tamtego wieczoru zabrała z domu pistolet, który kiedyś dostała od mojego ojca, i zachowała na tyle trzeźwy umysł, że gdy zrobiło się groźnie, wyjęła go z lewej kieszeni kurtki i podczas całej rozmowy mierzyła do Lorika, który się na mnie wydierał.

Tamtej nocy jeszcze tego nie wiedziałam, ale dzisiaj sędzę, że wszystko zaczęło się właśnie wtedy. Strzał, który oddała ciotka Vesa, pomógł mi wystartować do nowego życia.

Wszystkie domysły, myśli i drobne okruchy wspomnień, które długo nie chciały zrosnąć się w całość, w jednej chwili stały się w pełni zrozumiałe.

Strzał, który oddała ciotka Vesa, był związany ze strzałami z mojego dzieciństwa, z którymi zmagalam się w samotności przez całe życie – aż do teraz. Byłam małą dziewczynką z koszmarami. Z czasem stałam się nastolatką, która pewnego dnia zrozumiała, że to nie musiały być koszmary, że wszystko mogło się zdarzyć naprawdę i być może istniała jakaś inna rzeczywistość. Najprawdopodobniej miałam mamę, tatę i starsze rodzeństwo, a gdy odchodzili z mojego życia, towarzyszył temu huk wystrzałów.

Przetrwałam, bo właśnie na tym polega miłość. Thomas i Anette nie tylko mnie przygarnęli i pokochali, ale także dali mi poczucie bezpieczeństwa. Niestety, w pewnym momencie przestało mi to wystarczać, a potem mój chłopak wypadł przez balkon.

Wcale tego nie planowałam i nie zamierzałam go skrzywdzić. Miałam czternaście lat, a on posunął się za daleko. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się moja siła, i ja też tego nie wiedziałam. Kiedy więc zjawiała się policja i zaczęła mi zadawać pytania, nie potrafiłam wyjaśnić tego zdarzenia.

Wcześniej też dochodziło do różnych spięć, ale nigdy nie zareagowałam tak jak wtedy na balkonie. Jeśli ktoś mnie zranił, groził mi albo pozwalał sobie na zbyt wiele, oddawałam... tyle że mocniej. Moi kumple i koledzy z klasy w końcu się nauczyli, że nie warto ze mną zadzierać, a ja wciąż nie mogłam zrozumieć, skąd wzbiera we mnie czasem tyle złości i jak to jest możliwe.

Pamiętam, co poczułam, kiedy mój chłopak leżał trzy piętra niżej na chodniku, a impreza trwała dalej, jakby nic się nie stało. W jednej chwili istniał żywy człowiek ze swoimi myślami i uczuciami, a w następnej już go nie było. Po raz pierwszy koszmary i okruchy wspomnień zaczęły nabierać sensu. Zrozumiałam, dlaczego moja siostra przestała płakać, i domyśliłam się, jak zareagował mężczyzna, któremu mama napluła w twarz. Wszystko związane było z moimi pytaniami, wątpliwościami, obrazami i albańskimi słowami, które wciąż ożywały w mojej pamięci.

AMELIA ODESZŁA OD SAMOCHODU Zaravica, wróciła na klatkę schodową, zeszła do piwnicy i dotarła do wylotu ciemnego korytarza. To chyba tutaj, o kondygnację wyżej, znajdowało się mieszkanie z otworem w podłodze garderoby. Zgodnie z tym, co powiedział Emil, po drodze Amelia natknęła się na ciężkie metalowe drzwi z dwoma dużymi kółkami, które musiała obrócić, żeby je otworzyć. Znalazła się w krótkim przejściu, jakby schron miał swój własny przedpokój, z którego weszła do głównego pomieszczenia, gdzie ukrywała się trójka dzieci. Emil trzymał na rękach siostrzyczkę, jego młodszy brat stał obok i wspierał się o niego.

– Cześć. Znowu się widzimy, tym razem na dole.

– Cześć – odpowiedzieli chłopcy.

– Jest pani pewna? – spytał młodszy.

– Czego?

– Że mama żyje? Słyszeliśmy strzały.

– Jest cała i zdrowa i nic jej się nie stało. – Amelia była szczęśliwa, że zdążyła na czas. Uratowała trójkę dzieci. Mają przed sobą całe życie. – Czeka na was na górze.

Młodszy z chłopców zerknął w górę przez otwór w suficie.

- Uratowała ją pani?
- Nie wiem, czy...
- To nie oni strzelali, tylko pani, prawda?

Amelia skinęła głową. Zrobiła to ledwo dostrzegalnym ruchem, ale im to wystarczyło.

- W takim razie uratowała pani nie tylko mamę.

Rasmus odsunął się od starszego brata, podszedł do niej, mocno objął ją obiema rękami i długo tak stał.

– Mam na imię Rasmus. Kiedyś uratował nas inny policjant. Ma na imię Ewert. Zna go pani?

KIEDY CIOTKA STRZELIŁA DO Lorika, jego martwe oczy przyniosły odpowiedzi, których szukałam przez całe życie. Za to pojawiły się nowe pytania.

Dlaczego pojechaliśmy akurat tą drogą? Dlaczego nam się spieszyło? Dlaczego tak się bałaś, ciociu? I dlaczego Lorik chciał mnie zabić?

Zniosłyśmy jego ciało z drogi i wrzuciłyśmy je do rowu. Nie było czasu, żeby pogrzebać je w ziemi albo przykryć gałęziami. Po tym, co się stało, nie mogłyśmy już wracać do domu ciotki ani jechać na lotnisko. Tirana też nie wydała nam się bezpieczna. Przez pewien czas jeździliśmy wąskimi górskimi drogami, aż w końcu ciotka postanowiła, że pojedziemy do Kosowa. W Prisztinie mieszkał znajomy mojego taty.

Odetchnęła z ulgą. Odzyskała nadzieję. Obiecała, że zanim dojedziemy na miejsce, odpowie na wszystkie moje pytania.

Jechaliśmy ciemną nocą z wyłączonymi światłami, a ona opowiadała mi o różnych rzeczach. Dowiedziałam się, że mój tata przemycił broń w czasie wojny w Kosowie. Ten długi i bolesny konflikt był dla niego

czymś pozytywnym, bo nadawał sens jego życiu – w przeciwieństwie do wielu innych ludzi, którzy tej wojny szczerze nienawidzili. Wojna zadecydowała o jego statusie, dzięki niej stał się kimś, żył w swoim własnym przestępczym świecie. Po wojnie skończyły mu się pieniądze i musiał zrezygnować z działalności.

Podczas tej rozmowy ciotka przez cały czas patrzyła przed siebie. Musiała skupić uwagę na wąskich krętych drogach, bo w ciemnościach nie widziała pobocza. Uważała też, że jeśli nie będzie mi patrzeć w oczy, łatwiej wyrzuci z siebie wszystko to, co nagromadziło się w niej przez lata, zajmowało mnóstwo miejsca i czym najprawdopodobniej nigdy nie zamierzała się z kimkolwiek dzielić. Rozumiałam ją. Nie mogła przecież widzieć, co czułam i myślałam, gdy wszystko, czego szukałam i co do mnie należało, nabrało wreszcie formy i treści.

Po wojnie mój tata przeżywał trudny okres. Przez kilka lat nie wszystko szło po jego myśli. Kiedy przemyt broni przestał być dochodowy, sięgnął po przemoc. Nigdy nie stosował jej wobec swojej rodziny, tylko zawsze przeciwko innym. W końcu znalazł swój „skarb”. Nie wiem, w jakich okolicznościach do tego doszło, bo nigdy nam tego nie zdradził, ale kiedyś powiedział nam, co to było. Tylko on o tym wiedział i sam to kontrolował. Na północnym brzegu jeziora Szkodra, w samym środku dzikiej, dziewiczej przyrody, istniała opuszczona kopalnia, w której leżały dziesiątki tysięcy automatycznych karabinów maszynowych nowego typu. Jakością i parametrami przewyższały wszystkie inne dostępne na rynku typy broni. Jedna ze stron konfliktu – nie zdążyłam się dowiedzieć która – zamówiła je u producenta. Zostały wyprodukowane pod koniec wojny, ale wtedy okazało się, że zamawiający nie tylko ich nie potrzebował, ale także nie chciał odebrać ani zapłacić za to zamówienie.

W pewnym momencie ciotka zwolniła, bo zobaczyła dwa zające siedzące na samym środku drogi. Kiedy podjechałyśmy bliżej, zaczęły pędzić piaszczystą drogą przed samochodem, w blasku reflektorów. Przez krótki czas jechałyśmy z bardzo małą prędkością. Ciotka opowiadała mi o swoim ukochanym bracie, którego straciła, ja słuchałam historii o utraconym ojcu.

W końcu zające zbiegły z drogi i znikły w ciemnościach. *Mirza – kontynuowała ciotka – był człowiekiem niecierpliwym. Bycie kryminalistą jest jak narkotyk, z czasem powoduje uzależnienie. Twój tata postanowił skorzystać z okazji i sprzedać komuś ten swój „skarb”. Chciał zarobić dużo pieniędzy i zdobyć nowe rynki. W tamtym okresie w Szwecji działał przestępca, który miał ksywę King Zoltan. Ja i mój brat znaleźliśmy go ze Szkodry, razem z nim się tam wychowywaliśmy. Zoltan kontrolował cały drobny przemyt z Albanii do Szwecji. Twój tata zaproponował mu, żeby połączyli siły: tata miał wnieść do interesu broń, Zoltan swoje przemysłnicze szlaki i kontakty. Zamierzali dokonać ekspansji, żeby w sprzyjającym momencie przejąć kontrolę nad handlem bronią na innych rynkach. Ostrzegałam go, błagałam, ale nie chciał mnie słuchać. Przeniósł się z całą rodziną do Szwecji, a ja dopiero wtedy zrozumiałam, czym jest samotność. Boże, dziecko, jak ja za wami tęskniłam!*

Ciotka zatrzymała samochód i wysiadła na drogę. Przeskoczyła przez rów i zaczęła schodzić zboczem niewielkiego wzniesienia. W dole płynęła rzeczka; nie widziałam jej, ale słyszałam, jak szumi. Ciotka klękła, żeby obmyć twarz. Wyglądała na zmęczoną. A może chciała odreagować? Kiedy wróciła do samochodu, kontynuowała opowieść.

Twój tata dogadał się z Zoltanem i zaczął dla niego pracować. W praktyce to on organizował przemyt na całym bałkańskim szlaku. Gigantycznych pieniędzy nie zarabiał, bo na jeden kurs zabierał po pięć,

dziesięć sztuk broni. W Albanii kosztowały po sto dolarów, w miejscu docelowym sprzedawał je po tysiąc za sztukę. Dzięki temu mógł prowadzić spokojne, ustatkowane życie. Po roku trafiła mu się okazja, żeby przejąć handel bronią w kilku innych krajach, ale tym razem nie dogadali się, ponieważ Zoltan zażądał, żeby twój tata mu wyjawiał, gdzie ukrywa broń. Dopiero potem gotów był zawrzeć umowę, żeby stali się równorzędnymi wspólnikami. Chciał pojechać na miejsce i wszystko dokładnie obejrzeć. Mirza nie zamierzał się na to zgodzić. Wolał działać na mniejszą skalę i za każdym razem przywozić po kilka karabinów. Odparł, że najpierw chce zawrzeć z Zoltanem umowę, a kryjówka jest jego polisą ubezpieczeniową. Któregoś dnia ludzie Zoltana przyszli do jego domu i zabili waszą rodzinę. Zabrali jego komputer, bo myśleli, że znajdą w nim wszystkie informacje o „skarbie”. Nie wiedzieli, że dane w komputerze były fałszywe. Twój tata celowo wpisał błędne współrzędne i nieprawdziwy opis drogi. Po swojej śmierci wysłał ich do nieistniejącego miejsca. Prawdziwy opis kryjówki był i nadal jest gdzie indziej.

Ciotka Vesa odwróciła się i popatrzyła na mnie. Miała taką minę, jakby chciała wcisnąć się obok mnie do pawlacza, wziąć mnie za rękę i pocieszyć.

Nagle – kontynuowała – pojawiłaś się ty i zaczęłaś pytać o rodzinę Lilajów. Ci, którzy nie powinni byli wiedzieć o twoim istnieniu, od razu o tobie usłyszeli. Dotarło do nich, że córka Mirzy przeżyła i może być świadkiem zbrodni. Wniosek był prosty: trzeba ją zabić. Stało się inaczej: to ja zabiłam jednego z nich. Dzięki temu siedzisz teraz w tym samochodzie i razem chcemy odjechać jak najdalej od tego miejsca.

KIEDY WYSZLI Z KRYJÓWKI i ruszyli ciemnym korytarzem przez piwnicę, Amelia trzymała obu chłopców za ręce. Rasmus szedł po jednej, Emil

z Luizą na rękach po jej drugiej stronie. Nikomu nie chciał oddać młodszej siostry.

– Ma pani na imię Amelia? – spytał Rasmus.

– Tak.

– I naprawdę jest pani policjantką?

– Prawie. Dopiero się uczę. Zostanę nią jesienią.

– A skąd pani wiedziała, że my...

– Zadajesz za dużo pytań.

– Wiem i chcę...

– Najpierw pójdziemy do waszej mamy. Potem będziesz mi zadawał pytania, a ja na nie odpowiem.

Kiedy weszli do mieszkania, Zofia czekała na nich z otwartymi ramionami. Wcześniej wytarła krew z czoła i skroni, żeby ich nie przestraszyć. Chwilę później cała czwórka stała spleciona w rodzinnym uścisku. Ci, którzy to obserwowali, patrzyli na nich z odrobiną zazdrości, że nie mogą się przyłączyć.

W końcu Zofia uwolniła się z objęć dzieci, podeszła do Amelii, ciepło się do niej uśmiechnęła i powiedziała:

– Dziękuję.

JECHALIŚMY CAŁĄ NOC I rankiem dotarliśmy na przedmieścia Prisztiny. Ciotka skontaktowała się z jednym z dawnych wspólników taty. Kiedyś pomagał mu w jego przemytniczej działalności, teraz ukrył nas w swoim domu. Był to elegancki mężczyzna w wieku, w którym mógłby być mój tata, gdyby jeszcze żył. Miał małe bystre oczy i duże znamię na szyi. Mówił ciepło o naszej rodzinie i pokazał nam zdjęcia, na których jako niemowlę

siedziałam mu na kolanach. Na innej fotografii dumnie pozował z moim tatą na tle ciężarówki załadowanej towarem.

Czasowe schronienie znalazłyśmy u dawnego przyjaciela rodziny, który rok później zdecydował o naszej wspólnej przyszłości. Zmieniłam się... a może już taka byłam? Niewykluczone, że to dzięki ciotce i dawnym znajomym taty zrozumiałam nie tylko to, kim jestem i skąd pochodzę, ale też to, że ucieczka jest czymś trudnym, pozbawionym sensu albo wręcz niemożliwym, jeśli jedyną rzeczą, której ktoś pragnie, jest bycie blisko kogoś. Istnieje pewien rodzaj strachu, który w parze z zaufaniem przechodzi w siłę i daje pewność siebie. Piszę o tym, bo podjęliśmy ważną decyzję... a właściwie to oni podjęli ją za mnie. Postanowiliśmy odebrać to, co kiedyś do nas należało, i zrealizować plan taty. Zamierzaliśmy tego dokonać wspólnie z tymi, którzy dawniej dla niego pracowali. Wynajęliśmy płatnych zabójców i ci na nasze zlecenie likwidowali po kolei ludzi Zoltana. Egzekucja wyglądała za każdym razem tak samo: dwa strzały w głowę, ponieważ tą samą metodą posłużyli się zabójcy mojej rodziny. Zoltana zostawiliśmy sobie na koniec i to mnie przypadł w udziale przywilej, żeby wpakować mu dwie kule. Huk wystrzałów po raz trzeci zmienił sens mojego życia i na nowo je ukierunkował.

Odzyskaliśmy nasz dawny szlak przemytniczy. Teraz musieliśmy zrobić to, co przygotował tata: odnaleźć ukrytą broń, żeby przejąć także inne rynki.

Podzieliliśmy się obowiązkami. Hamid i ciotka Vesa stanęli na czele naszej organizacji i kierowali nią z Albanii. Ja, z nową wiedzą w zakresie materiałów wybuchowych i amunicji, pojechałam do Szwecji, żeby zdobyć informacje na temat miejsca, w którym tata ukrył broń. Fakt, że nowego fachu uczył mnie Hamid, zbliżył mnie w pewnym sensie do taty, z czego wtedy nie zdawałam sobie sprawy. W Szwecji wystąpiłam o zmianę imienia

i nazwiska: Zana Lilaj, która przez pewien czas nazywała się Hannah Ohlsson, stała się Amelią Schmidt. Złożyłam podanie o przyjęcie do szkoły policyjnej i podpisałam się pod nim moim nowym imieniem i nazwiskiem. Chciałam zrealizować w ten sposób trzy cele. Po pierwsze, zapoznać się z aktami śledztwa w sprawie śmierci mojej rodziny i zdobyć adres mieszkania, w którym znajdował się kwadratowy otwór w podłodze. Słabo go pamiętałam, a na dodatek nie miałam pojęcia, gdzie go szukać. Po drugie, poznać nazwisko człowieka, który był przesłuchiwany w sprawie poczwórnego morderstwa, ale nie trafił do więzienia. Po trzecie, zapewnić sobie najlepszą na świecie przykrywkę, a mianowicie wstąpić do policji i w policyjnym mundurze prowadzić nielegalny handel bronią.

AMELIA POPROSIŁA ZOFIĘ I obu chłopców, żeby położyli Luizę na kanapie w salonie i poczekali tam do przyjazdu komisarza Grensa. Potem wzięła reklamówkę, którą wcześniej położyła przy zlewozmywaku, wyjęła z niej dwie drożdżówki i nalała sobie wody do szklanki. Chciała spędzić kilka minut w spokoju, zanim mieszkanie wypełni się ludźmi. Stało się to, co miało się stać. Niczego nie planowała, nogi same zaniósły ją do mieszkania, w którym zjawili się obaj zabójcy. Potem, gdy martwi leżeli na podłodze, zrobiła to, co w Albanii robi się po wykonaniu zlecenia: każdego z nich mocno kopnęła. Raz, drugi, trzeci. Zrobiła to, chociaż obaj już nie żyli.

CANA I CIOTKA VESA rozbudowali i wzmocnili bałkański szlak. Do Skandynawii trafiało teraz znacznie więcej broni niż wcześniej. Towar wysyłali głównie do Szwecji, bo to tam liczba gangów rosła najszybciej. Nauka w szkole policyjnej zamieniła się w oczekiwanie na piąty semestr, gdy jako aspirantka miałam odbyć praktykę na komendzie, a przy okazji

załatwić to, co interesowało mnie najbardziej: odnaleźć kryjówkę z bronią, a potem zemścić się na tych, którzy zniszczyli mój świat.

Pierwsze włamanie w gmachu policji było najłatwiejsze.

Mariana Hermansson już podczas pierwszego obchodu z dwójką młodych aspirantów pokazała nam policyjne archiwum mieszczące się w mrocznych pomieszczeniach policyjnych podziemi, gdzie przechowywano pudła z aktami śledztw. Zleciła nam wyszukanie kilku dawnych spraw i udostępniła kod dostępu. „Od czasu do czasu będziecie musieli tu przyjść, to część naszej pracy”, wyjaśniła. Ucieszyłam się, bo właśnie tam znajdowały się informacje, których szukałam. Czas wymazał fakty z mojej pamięci, ale przetrwały na kartach akt w brązowych pudłach. Pierwszą wizytę złożyłam tam następnego dnia rano. Znalazłam się w otoczeniu niezwyklej kolekcji przestępstw, zbrodniarzy i ich ofiar. Na jednej z półek w głębi archiwum znalazłam to, co dało początek całej sprawie: formularz z napisem:

Zgłoszenie z Dalagatan 74

Dowiedziałam się, że pudeł z aktami śledztwa należy szukać w archiwum zbiorów zastrzeżonych. Był w nim komplet dokumentów, w tym protokoły przesłuchań osób podejrzanych. Mnie w tym momencie wystarczyła ta jedna kartka. Poznałam adres, którego od tak dawna szukałam, numer domu i mieszkania. Poszłam tam, wyłamałam zamek i znalazłam się w moim dawnym dziecięcym świecie. W mieszkaniu stały nowe meble i wypełniał je zapach innych ludzi, ale pokój poznałam od razu. Być może powinnam doznać załamania nerwowego albo wybuchnąć płaczem, ale przyszłam tam z konkretnego powodu i nie miałam ochoty ponownie wchodzić przez tych sukinsynów do pawlacza. Z tamtych czasów zapamiętałam, że mały kwadratowy otwór znajdował się w pokoju Julii.

Uznałam to za całkiem naturalne. Tata urządził to tak, żebyśmy wiedziały o istnieniu tego miejsca. Może przeczuwał, że pewnego dnia zdarzy się to, czego się obawiał, a zarazem miał nadzieję, że w przyszłości któreś z jego dzieci odnajdzie to, co tamci próbowali mu zabrać.

W schowku pod podłogą znalazłam pendrive'a z informacjami o kryjówce z wartą miliard koron bronią. Poznałam dokładne współrzędne tego miejsca, szczegółowy opis trasy dojazdowej i zdjęcia sztolni wypełnionej paletami, które uginały się pod ciężarem skrzyń z nową bronią, jakiej nikt przedtem nie widział.

Trudniejsza okazała się próba wejścia do archiwum zbiorów zastrzeżonych.

Okazja trafiła mi się pewnego wieczoru. Dzięki kamerze monitoringu, którą zamontowałam w wąskiej szczelinie w ścianie, nagrałam na telefon komórkowy moment, gdy pracownik archiwum wbijał do czytnika kod dostępu. Dzięki niewielkiej antenie kierunkowej, którą umieściłam w tym samym miejscu, zeskanowałam częstotliwość elektronicznej karty dostępu, którą ten pracownik się posługiwał. Następnego nocy tam weszłam, znalazłam akta śledztwa dotyczące śmierci mojej rodziny, poszłam do pokoju socjalnego i zaczęłam je czytać. Raporty techników policyjnych były dla mnie równie wstrząsające co raporty lekarza medycyny sądowej. Zawierały szczegóły, które nie tylko przybliżyły mi rodziców i rodzeństwo, ale także wprowadziły mnie w ich życie. Nie byłam jednak w stanie przetrwać informacji o mnie widzianej oczami zewnętrznych obserwatorów. Czułam się tak, jakbym studiowała wizerunek obcej osoby. I właśnie wtedy, gdy przeglądałam te dokumenty, uświadomiłam sobie, że policjant, który wyniósł mnie z mieszkania i zajmował się mną przez kilka tygodni po śmierci mojej rodziny, o którym tak często potem myślałam i zastanawiałam się, kim jest i jak wygląda, nie tylko pracuje w tym samym

budynku, w którym odbywałam praktykę, ale urzęduje także w tym samym wydziale, a pokój ma na tym samym piętrze! Ewert Grens. Przez wiele lat byłam przekonana, że dawno temu przeszedł na emeryturę.

Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej o „wujku”, dzięki któremu znalazłam nowy dom i weszłam w inny świat.

Poszłam więc do archiwum i prześwieciłam całą jego karierę. Dzięki temu natknęłam się na Pieta Hoffmanna i trzy dziwne śledztwa, w których przewijały się nazwiska jego i Grensa. Doszłam do wniosku, że Hoffmann może mi się przydać, i po raz trzeci włamałam się do archiwum. Wcześniej zamontowałam tam nową kamerkę internetową i jeszcze jedną antenę kierunkową, dzięki czemu udało mi się zdobyć ośmiocyfrowy tajny kod Erika Wilsona i dane zapisane na jego karcie.

W sejfie znalazłam to, co miałam nadzieję znaleźć: komplet informacji o przestępcach informatorach pracujących dla policji miejskiej w Sztokholmie: ich pseudonimy, dane osobowe, raporty, dzienniki.

W archiwum spędziłam jeszcze jedną noc. Dotarłam wtedy do notatek Wilsona o Hoffmannie. Dowiedziałam się z nich, w jaki sposób Hoffmann planował rozbić gang motocyklowy znany z brutalnych przestępstw. To mi wystarczyło.

Miałam na imię Amelia i od dawna nie używałam imienia Hannah. Stałam się na powrót Zaną Lilaj.

ZWŁOKI OBU MĘŻCZYZN KOPAŁA tak długo, aż uznała, że wystarczy. Potem poszła do Hoffmannów i usiadła na kanapie między chłopcami. Obaj byli poruszeni tym, co się stało, ale panowali nad sobą lepiej, niż się spodziewała. Mieli mamę i siebie.

Nawet nie usłyszała, kiedy zadzwonił jej telefon. Zareagowała dopiero wtedy, gdy Rasmus dotknął delikatnie jej nogi i wskazał na jej kieszeń.

Zerknęła na wyświetlacz. Komisarz Grens. Odebrała. Był wyraźnie podenerwowany.

– Jesteśmy w drodze, zaraz będziemy na miejscu. Rozmawiam z Amelią?

– Tak.

– Widzę, że nas uprzedziłaś i już tam jesteś?

– Tak.

– Skąd wiedziałaś, że...

– To ja zadzwoniłam na komendę. Wszystko jest pod kontrolą.

– Chyba nie bardzo rozumiem...

– Porozmawiamy o tym, jak się spotkamy. Gdzie pan teraz jest?

WYKONAŁAM DWA SPOŚRÓD TRZECH zadań. Po pierwsze, załatwiłam sobie najlepszą z możliwych przykrywkę, o jakiej każdy handlarz bronią może tylko pomarzyć – wstąpiłam do policji. Po drugie, odnalazłam pendrive'a taty, dzięki czemu zlokalizowałam kryjówkę z bronią. Zostało mi trzecie zadanie: zabić tych, którzy zamordowali moją rodzinę. Z akt śledztwa, które Grens prowadził przed siedemnastu laty, wynikało, że podejrzewał o tę zbrodnię cztery osoby. Uważał, że zabójcy dopuścili się jej na zlecenie Kinga Zoltana, z którym ja, Hamid i ciotka Vesa rozprawiliśmy się w Szkodrze. Grens przesłuchiwał ich i nawet trafili do aresztu, ale ostatecznie musiał ich zwolnić.

Teraz nie będziecie już mogli spłodzić więcej dzieci. Ale ty zawsze możesz poznać nową kobietę. Zastanów się nad tym.

Fragmenty tamtych głosów...

Odnalazłam ich dzięki policyjnym rejestrom i zabiłam trzech: Dejana Pejovicia, Branko Stojanovicia i Ermira Shalę. Posłużyłam się tą samą

metodą co oni, ale nic nie poczułam. Myślałam, że pojawi się radość, podniecenie albo coś w rodzaju poczucia zadośćuczynienia, ale to, co zrobiłam, było czymś więcej niż tylko aktem sprawiedliwości. Został mi czwarty i ostatni zabójca: Dusko Zaravic. Kiedy Hermansson kazała mi pojechać z Grensem do Söderköping, gdzie komisarz miał się spotkać z moją byłą rodziną zastępczą, przygotowałam sobie wymówkę, żeby się z tego wymigać. Nie chciałam oglądać ceglanej willi, w której przez tyle lat czułam się bezpiecznie. Na szczęście wymówka okazała się niepotrzebna, bo gdy spotkaliśmy się z byłą urzędniczką z opieki socjalnej, która podała Grensowi nazwisko i adres Ohlssonów, komisarz postanowił sam odwiedzić moich przybranych rodziców, a mnie i Lucasa wysłał do miejscowej komendy, żebyśmy przekopali się przez moje dzieciństwo. Nie wiedziałam, że podczas naszej nieobecności w Sztokholmie Hermansson zatrzyma Zaravica, a Grens każe go zamknąć na trzy dni w areszcie. Tym samym zabójca moich rodziców znalazł się poza moim zasięgiem. Potem komisarz postanowił przeszukać jego dom, żeby znaleźć jakikolwiek dowód lub poszlakę i zatrzymać go w areszcie dłużej, więc postanowiłam się tam włamać. Zabrałam stamtąd komputer i dwa pistolety, na które Zaravic nie miał pozwolenia, a nawet kilka garniturów, bo byłam pewna, że będzie je można powiązać z włamaniem do jakiejś dużej hurtowni. Potem byłam świadkiem prawdziwie surrealistycznej sceny: Grens wściekłym głosem zwymyślał Wilsona za przeciek w sprawie uzgodnionego wcześniej przeszukania mieszkania Zaravica. Poczułam ulgę, gdy policja stwierdziła, że ślady krwi znalezione w mieszkaniu nie figurują w ich bazach danych. Całe szczęście, że nie trafiają tam próbki DNA pobrane od praktykantów, bo to była moja krew. Podczas włamania skaleczyłam się o szybę.

Moja rodzina liczyła pięć osób – zostałam tylko ja.

Ich było czterech – został Zaravic.

Ale to się wkrótce zmieni.

– PANI AMELIO?

– Słucham?

– Mówiła pani, że przyjedzie wujek Ewert?

– Tak.

– Kiedy?

– Jeśli przyłożysz ucho do szyby w drzwiach balkonu, usłyszysz głośny dźwięk syren.

– Tak jest dobrze?

– Musisz przyłożyć do szyby cały policzek i ucho.

– Nic nie słyszę.

– Zaraz przyjedzie kilka radiowozów. Najpierw wujek Ewert, potem reszta.

– Obiecuje pani?

– Tak. Od tej pory wszystko będzie dobrze.

TRZY DNI SPÓŹNIENIA. MOŻE to i lepiej? Czekałam na ten moment tyle lat, więc mogę poczekać trzy dni. Z protokołu z sekcji zwłok członków mojej rodziny dowiedziałam się, w jakiej odległości między czołem a skronią znajdowały się wloty po kulach. Postanowiłam, że Zaravic zginie w ten sam sposób.

Zdarzyło się jednak coś, co zmusiło mnie do zmiany planów.

Wysadziłam w powietrze dom Hoffmanna, żeby nauczyć go szacunku. Grens zaprosił nas na nieoficjalne spotkanie do swojego mieszkania. Rozmawialiśmy o policjancie, który jego zdaniem został skorumpowany i był źródłem przecieków. Skąd mógł wiedzieć, że byłam nim ja,

a przeniesienie śledztwa do jego mieszkania w niczym mu nie pomoże? Opowiedział nam też o tajnym informatorze, który na jego polecenie pojechał do północnej Albanii, bo zdaniem policji to właśnie tam urzędowali przywódcy gangu handlującego bronią. Hoffmann miał ustalić, kim jest zabójca, który wykańcza swoje ofiary w Szwecji. Ten drań miał zrobić coś, za co nie powinien się brać! Działał z polecenia Grensa, żeby nas dopaść, więc nie miałam wyboru. Hamid był wprawdzie dobrym człowiekiem i bardzo go lubiłam, ale nie był tak twardy jak moi rodzice i w czasie policyjnych przesłuchań na pewno dałby się złamać. Kiedy do akcji wkroczył Hoffmann, ryzyko, że Hamid coś chlapnie, znacznie wzrosło. Mógłby sypnąć i mnie, i ciotkę Vesę.

Ukradłam Grensowi telefon, żeby poznać nowy numer Hoffmanna.

Jednego z niedawno zatrudnionych w areszcie w Kronobergu strażników przekupiłam dużą kwotą pieniędzy, żeby w celi Zaravica ukrył telefon i kilka dokumentów.

Potem zastrzeliłam pracownika zatrudnionego w agencji Hoffmanna i tak ustawiłam ekran monitora, żeby Hoffmann zobaczył na nim dom, w którym ukrył rodzinę. Dzięki temu zrozumiał, co się stanie, jeśli podczas pobytu w Albanii nie wykona naszego dodatkowego zlecenia.

– JUŻ ICH SŁYSZĘ!

– Rzeczywiście, szybko przyjechali.

– Słyszę syreny! Wujek Ewert zaraz tu będzie!

– A nie mówiłam?

Amelia położyła dłoń na głowie Rasmusa i potargała mu włosy. Chłopiec tak się cieszył, jak tylko potrafią to robić dzieci. Amelia zerknęła na Emila, który siedział na kanapie i niespokojnie obserwował mamę. Czuł się za nią odpowiedzialny, chociaż była od niego znacznie starsza. Między

nimi leżała Luiza, która spokojnie sobie gaworzyła. Dziewczynka była zupełnie nieświadoma dramatycznych wydarzeń, w których przyszło jej uczestniczyć.

Byli rodzeństwem. Byli razem. Mieli siebie.

WSZYSTKO JEST ZE SOBĄ powiązane. To, co zaczęło się kilkanaście lat temu, gdy ciotka Vesa zabiła człowieka, żeby mnie uratować, ma związek z tym, co zakończyło się niedawno, kiedy zadzwoniła do mnie z informacją, że ktoś zastrzelił Hamida, a ją oszczędził. Wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, że to, co zleciłam Hoffmannowi, może zranić moją ukochaną ciotkę, jedyną bliską mi osobę. Nagle coś we mnie pękło. Wróciłam myślami do tamtych kilku dni i nocy, które spędziłam ze swoją martwą rodziną. Do miejsca, skąd zabrał mnie policjant, na którego teraz czekałam. To on przywrócił mnie do życia i próbował ratować dzieci Hoffmanna. Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak to jest, gdy dziecko płaci życiem za groźby kierowane przeciwko jego rodzinie. W tym momencie dokonała się we mnie zmiana. Było już za późno, żeby uniemożliwić Zaravicowi wgląd w tajne dokumenty na temat Hoffmanna, ale miałam wystarczająco dużo czasu, żeby przeszkodzić mu w zemście i pomścić śmierć mojej rodziny.

Teraz znowu siedzę obok Zofii i jej dzieci i czekam na przyjazd Grensa, Sundkvista i Hermansson. Jestem naprawdę zmęczona.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

CAŁĄ OKOLICĘ WYPEŁNIAŁY DŹWIĘKI policyjnych syren i agresywne światła. W chwili gdy radiowóz zatrzymał się przed wejściem na klatkę schodową, zapadła cisza. Kiedy Grens i dwójka jego podwładnych wbiegli do mieszkania, ujrzeli znajomy widok. W jednym pokoju śmierć i nieporządek, w drugim – życie i coraz większy spokój. Dwaj martwi mężczyźni i wstrząśnięta zającami rodzina, która na szczęście nie doznała żadnego uszczerbku na zdrowiu. Na miejscu zastali też aspirantkę Amelię – bohaterkę tych wydarzeń, do której chyba jeszcze nie do końca dotarło, w czym uczestniczyła. Grens rzadko przyjeżdżał na miejsce zbrodni aż tak szybko. Jego praca komisarza policji kryminalnej zaczynała się później i polegała na składaniu w całość układanki z faktów, poszlak i dowodów, które musiał dopasować. Być może właśnie dlatego na jego twarzy malował się wyraz pewnej niechęci, mimo że – jakkolwiek na to spojrzeć – wszystko zakończyło się szczęśliwie. Nie rozumiał tego, co tam zastał, choć niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Za to doskonale wiedział, co oznaczał otwór w garderobie, który pokazał mu Emil. Od razu rozpoznał sposób działania Hoffmanna. Zawsze sam, zawsze ufać tylko sobie. Domyślił się też, jaki motyw przyświecał Zaravicowi. Doskonale też rozumiał, dlaczego Hermansson była tak bardzo dumna ze swojej młodej podopiecznej.

– To, co zrobiła Amelia, jest naprawdę niezwykle – powiedziała. – Zwykła aspirantka, która zinterpretowała treść akt lepiej od nas, dzięki czemu znalazła się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Miała zaledwie kilka sekund, a mimo to strzeliła, trafiła i uratowała życie czworgu ludzi.

Grens podał Amelii rękę, a potem mocno i długo ją ścisnął. Nie był w stanie wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby nie zdążyła na czas. Jakiś los spotkałby Zofię, Emila i Rasmusa, gdyby... Na samą myśl o tym znowu poczuł to samo co przed chwilą. Nie było to jednak wywołane tym, że czegoś nie rozumiał. To, co czuł, przypominało raczej żal, który go czasem ogarniał na myśl o Anni. Żal, że stracił kogoś, z kim był silnie związany.

– Dziękuję... To, co zrobiłaś, jest wprost nieocenione. Tego nie da się opisać. Nie znajduję właściwych słów.

Amelia skinęła głową, jakby poczuła się zawstydzona.

– Skąd wiedziałaś? Jakim cudem zdążyłaś na czas? – Komisarz spojrzał w jej mądre oczy i ujrzał w nich coś w rodzaju zakłopotania. Bardzo mu się to spodobało. Stała przed nim młoda kobieta, która nie goniła za pochwałami i w przeciwieństwie do innych, nie zależało jej na tym, żeby cała uwaga skupiała się na niej.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem. Wykładowcy w szkole policyjnej opowiadali nam, że instynkt bywa groźny, bo jeśli będziemy kierować się nim w pracy, możemy popełnić błąd. Na szczęście tym razem stało się inaczej! To był naprawdę instynkt. Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy Zaravic wyszedł z aresztu. Zobaczyłam go, zaparkowałam na Bergsgatan i poszłam za nim. Widziałam, jak on i jego kumpel wyjmują łom i włamują się do mieszkania. Zajęło im to minutę. Dzięki temu zdążyłam.

W tym momencie zadzwonił telefon Grensa. Na wyświetlaczu pojawił się ostatni numer Hoffmanna. Komisarz przeprosił, wyszedł na balkon i zamknął za sobą drzwi. Dopiero teraz zauważył, że wieje silny wiatr.

– Słucham?

– Co tam się dzieje?! Dzwonię do Zofii, ale nie odbiera. Dzwonię do pana i to samo...

– Wszystko skończyło się szczęśliwie.

W trakcie rozmów istnieją różne rodzaje ciszy i milczenia. Ta trwała znacznie dłużej niż zwykle i była silniejsza od każdej innej, z którą Grens zetknął się wcześniej.

– O czym pan mówi? – wykrztusił Hoffmann.

– Że twoja żona i dzieci są bezpieczne. Siedzą na kanapie, piją wodę i jedzą ciastka w towarzystwie moich ludzi. Zaravic i jego kumpel leżą martwi w sąsiednim pokoju.

– Jeśli są martwi, a pan był daleko od tego miejsca, to kto strzelał? Zofia? Czy to ona...?

– Zastrzeliła ich nasza dzielna aspirantka. Najlepsi policjanci to zawsze ci, którzy działają wbrew poleceniom przełożonych. Gdyby nie ona, źle by się to skończyło.

– No i Paula by nie wrócił.

Grens okręcił się wokół własnej osi. Za nim stała Hermansson. Weszła na balkon, a on tego nie zauważył.

– Co?

– Przepraszam, nie chciałam przeszkodzić... W samochodzie Zaravica znaleźliśmy oryginalne dokumenty dotyczące Hoffmanna – wyjaśniła, podając komisarzowi teczkę.

– Zaopiekuj się nimi. Lepiej, jeśli my to zrobimy. Nie powinny trafić do żadnych innych akt, prawda? – Grens nie lubił, gdy mu ktoś przerywał, ale tym razem ciepło się uśmiechnął i wrócił do rozmowy z Hoffmannem. – Słyszałeś?

– Tak.

– Mamy do rozwiązania jeszcze dwie zagadki. Musimy ustalić, kto zastrzelił tamtych trzech w centrum Sztokholmu i kto był źródłem przecieku w policji i przekazywał informacje gangsterom. Na szczęście was

to już nie dotyczy. Dla ciebie i twojej rodziny sprawa jest definitywnie zakończona.

– Na pewno?

– Zaravic nie żyje, a twoje akta są znowu w naszych rękach. Nie ufasz mi?

– Obiecuję, że nad tym popracuję. W związku z tym chciałbym tu zostać o jeden dzień dłużej.

– Ponieważ?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział.

– Jeśli tak uważasz...

– Czy mógłby pan zaopiekować się w tym czasie Zofią i dziećmi?

– Chętnie to zrobię, bo wiem, że mi ufasz.

Grens nie wrócił do mieszkania, ponieważ na balkon znowu weszła Hermansson. Zamknęła za sobą drzwi, popatrzyła na niego i nabrała głęboko powietrza.

– Chciałabym z tobą porozmawiać.

Dobrze ją znał, więc domyślił się po jej głosie, że sprawa jest poważna.

– Zabrzmiało to dość niepokojąco. – Próbował się uśmiechać, ale nie wyszło mu to najlepiej.

– Podjęłam decyzję. Wprawdzie chciałam ci ją zakomunikować później, ale wygląda na to, że śledztwo zostało zamknięte, więc to chyba najlepsza pora. – Jeszcze raz nabrała powietrza i dodała: – Zamierzam wystąpić o przeniesienie.

– Słucham?

– Kończę pracę w policji miejskiej. Chcę się przenieść do innego wydziału.

Grens poczuł, jak pustka i poczucie osamotnienia, które niedawno zdomowało się w jego głowie, gdy myślał o Anni, dzieciach Hoffmanna i o tym, że traci ludzi, których potrzebował i na których mu zależało, wracają ze zdwojoną siłą. Zakłuło go w okolicach mostka.

– Czy to dlatego, że... Obiecuję, że nigdy więcej nie będę wątpił w twoją lojalność, a tym bardziej kwestionował twoich kompetencji!

– Wiem, ale powód jest inny.

– Współpracujemy od dziesięciu lat. To ja cię zatrudniłem i to ja pomagałem ci przebrnąć przez wszystkie meandry naszej biurokracji. Robiłem to, bo wiedziałem, że jesteś dla nas ważna i dobra w tym, co robisz. Nie możesz tak po prostu odejść! Nie ty! – Grens objął ją, chociaż nigdy przedtem tego nie robił. Zawsze zależało mu na tym, żeby ktoś nie ocenił błędnie jego zachowania. Teraz było to bez znaczenia. – Byłaś dla mnie jak moja... Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale często myślałem o tobie jak o córce. Bo mogłabyś nią być, a...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie musiałeś tego mówić. Niestety, prawda jest taka, że któreś z nas musi odejść: albo Erik, albo ja. I wcale nie chodzi o to, kto jest, a kto nie jest szefem, czy jest mężczyzną, czy kobietą... Postanowiłam, że to ja się przeniosę. Erik był tu pierwszy... pracuje w policji znacznie dłużej ode mnie. Tak będzie lepiej. To jedyny powód. Poza tym Kocham Erika.

Hermansson zdobyła się na uśmiech. Było jej z nim do twarzy.

– Nie musisz się przenosić ani szukać pracy gdzie indziej! Do emerytury zostało mi marne pół roku i chciałbym cię mieć przy sobie do samego końca!

Znowu się uśmiechnęła.

– Zostało ci więcej niż sześć miesięcy.

– Mam sześćdziesiąt cztery i pół roku. Za sześć miesięcy kończę...

– Sprawdziłam to, co cię tak bardzo niepokoi, i zamierzałam porozmawiać z tobą o tym przy innej okazji, ale zrobię to teraz. Okazuje się, że możesz pracować do sześćdziesiątego siódmego roku życia. Tak to od niedawna funkcjonuje. Górna granica przejścia na emeryturę jest płynna. Niektórzy policjanci trwali na służbie do siedemdziesiątki! Twoja wiedza nie starzeje się tylko dlatego, że przybywa ci lat.

Grens patrzył na nią w milczeniu. Podobnie milczał podczas ostatniej rozmowy z Hoffmannem. Wiadomość, którą przed chwilą przekazała mu Hermansson, powinien uznać za cudowny prezent. Nie wpadnie w czarną dziurę... przynajmniej nie teraz. Będzie musiała poczekać na niego kilka dodatkowych lat. Mimo to nic nie czuł, ponieważż jedna z niewielu osób, na których zależało mu bardziej niż na nim samym, oznajmiła mu przed chwilą, że zamierza go opuścić.

– Obiecuję, że dochowam tajemnicy. Nikt się nie dowie, co cię łączy z Wilsonem. Zostań! Proszę!

Hermansson położyła mu dłoń na policzku, a on tym razem nawet się nie wzdrygnął, chociaż było to dla niego nietypowe doznanie.

– To nieważne, jak się zachowasz... nieważne, czy dochowasz tajemnicy, czy nie. Ja i Erik podjęliśmy decyzję. Nie chcemy się dłużej ukrywać. Wczoraj złożyłam podanie o przeniesienie. Nigdy więcej nie będziemy razem pracować. Ostrzegałam, że to zrobię, jeśli we mnie zwątpisz i będziesz mnie podejrzewał.

Oboje stali jeszcze przez chwilę na balkonie i milczeli.

Nie mieli nic więcej do dodania.

KIEDY GEZIM LATIFI WSZEDŁ do budynku i skierował się do swojego pokoju, zobaczył mężczyznę w średnim wieku, który czekał na niego w korytarzu. Był gładko ogolony, miał niebieskie oczy, bystry wzrok, lekko kanciastą twarz i wysportowaną sylwetkę. Ubrany był w T-shirt i spodnie z długimi kieszeniami po bokach nogawek. W oczy rzucał się brak dwóch palców u jednej dłoni. Na jego widok nieznajomy wstał energicznie z krzesła.

– Pan Latifi? – spytał po angielsku.

– Tak, to ja.

– Chciałbym z panem porozmawiać.

Latifi pomyślał, że to kolejny niezwykły dzień w jego pracy. Stał przed nim jeszcze jeden gość z zagranicy.

– O czym?

– O tym, co wydarzyło się wczoraj.

Policjant popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Wczoraj?

– Tak... kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej.

Zapadła cisza. Widać było, że Latifi jest zły i wzburzony.

– A niech mnie! To pan?

– Tak.

– Verner Larsson!

– Wyglądam trochę inaczej i wcale się tak nie nazywam. Nie jestem też policjantem, jeśli mam być szczery, ale prawdą jest, że przyleciałem tu na zlecenie szwedzkiej policji.

Latifi się zawahał. Długo patrzył na Hoffmanna, rozważał coś w myślach i całkiem nieświadomie zdjął czapkę, którą zawsze miał

nasuniętą na czoło. Tym samym odsłonił rozległą bliznę.

– Wejdźmy do środka. – Skinął głową Hoffmannowi i wskazał mu krzesło, jedyny mebel, który oprócz biurka zmieścił się w jego pokoju. – Jak pan się pewnie domyśla, poszukuję zabójcy Hamida Cany. Ten człowiek zranił też Vesę Lilaj.

Hoffmann usiadł na krześle i próbował rozprostować nogi. Niestety, pokój był na to zbyt ciasny.

– Nie powiedziałem panu całej prawdy...

– Stałem po pańskiej stronie, ale nie zgodziłem się na zabójstwo.

– ...i pewnie nigdy tego nie zrobię. Za to dowie się pan czegoś, dzięki czemu od razu stanie się jasne, dlaczego tu wróciłem.

– Bez względu na okoliczności stosuję prostą zasadę: zabójców wsadzam za kraty. I właśnie teraz podjąłem decyzję: zamierzam wezwać posiłki, żeby pana zatrzymać i zamknąć w areszcie.

Na biurku stał czarny prymitywny telefon, pamiętający dawne czasy. Latifi uniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer na okrągłej tarczy.

– Nie radzę.

Hoffmann nacisnął widełki i przerwał połączenie.

– Na pewno mnie pan nie powstrzyma – oświadczył policjant. Szybkim ruchem sięgnął do szuflady, wyjął pistolet i wycelował w Hoffmanna. – Niech pan będzie taki grzeczny i położy dłonie na biurku, żebym mógł założyć kajdanki.

Ale Hoffmann nadal trzymał rękę na telefonie.

– Gdybym chciał zniknąć, zrobiłbym to i nigdy więcej byśmy się nie spotkali. Wie pan od wczoraj, że jestem w tym dobry. Mimo to przyszedłem tu z własnej woli i w przeciwieństwie do pana, jestem nieuzbrojony.

Latifi patrzył na niego, a jednocześnie przesuwał lufę pistoletu z jego głowy na klatkę piersiową i z powrotem.

– Jeśli zostanę zatrzymany, nigdy się pan nie dowie, dlaczego tu wróciłem i dlaczego moja wizyta jest ważna także dla pana – powiedział Hoffmann.

Albańczyk nadal mierzył z pistoletu i zastanawiał się nad jego słowami. Ogarnęły go wątpliwości; nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Powiedzmy, że opuszczę broń i wstrzymam się z aresztowaniem. Co w zamian?

– Pojedziemy na kolejną wycieczkę.

– Pojechaliśmy wczoraj i źle się to skończyło.

– Posłużymy się tym. – Hoffmann przyszedł do Latifiego z niewielkim plecakiem. Teraz wyjął z niego laptop i uniósł go na wysokość lufy. – Proszę.

– Co mam z tym zrobić?

– Zabrałem go z domu Cany, kiedy pan pilnował mnie na dachu magazynu. Komputer należał do niego, kod dostępu składa się z dwudziestu znaków. Cana sam je wybrał. Nikt nie jest w stanie nauczyć się takiego hasła na pamięć, więc zapisał je na kartce i ją ukrył. Kod do laptopa znajdował się w sejfie, który stał w tajnym pomieszczeniu. Żeby go zdobyć, musiałem zmarnować mnóstwo wody. Jak pan widzi, kartka jest trochę pomarszczona.

Hoffmann podał policjantowi złożony kawałek papieru.

– Tekst jest nienaruszony, bo na nasze szczęście Cana zapisał go długopisem z wodoodpornym tuszem. Kiedy się rozstaniemy, wprowadzi pan hasło do komputera i zdobędzie dostęp do jego zawartości. W ten sposób odwdzięczę się panu za pomoc. Dzięki tym informacjom rozwiąże pan sprawę nie tylko tego, co wydarzyło się wczoraj, ale także wiele innych

prowadzonych latami śledztw w sprawie nielegalnego handlu bronią. Są tam nazwiska członków gangu w Szkodrze, Tiranie, Prisztinie i na całym bałkańskim szlaku. Mój zleceniodawca zadowolony jest informacjami na temat szwedzkich wspólników Cany. Panu przypadnie zaszczyt aresztowania całej reszty.

Latifi nadal siedział nieruchomo. Nic nie wskazywało na to, że zamierza zmienić decyzję.

– Jeśli to, co znajduje się w komputerze, rzeczywiście zawiera te wszystkie informacje, to bardzo dobrze. Mimo to moja opinia jest niezmienna: dla mnie jest pan zabójcą, a zabójców należy aresztować.

Hoffmann odwrócił laptop ekranem w stronę policjanta i rozwinął kartkę z zapisanym na niej hasłem.

– Proszę przejrzeć jego zawartość w ciszy i spokoju. Od razu się pan zorientuje, że mówię prawdę. Jak już wspomniałem, to taki drobny dowód wdzięczności. Potem wyjdziemy z tego pokoju, udamy się do stojącego na tyłach komendy samochodu i pojedziemy na wycieczkę. Nad jeziorem Szkodra, przy pomoście należącym do jednego z okolicznych domów, jest zakotwiczona motorówka. Popłyniemy nią w pewne miejsce, gdzie dam panu drugi prezent. Proszę zabrać pistolet, ja jestem nieuzbrojony. Dopiero tam zdecyduje pan, co ze mną zrobić: aresztować czy puścić wolno.

GRENS NIE POTRAFIŁ OKREŚLIĆ, jak długo stał na balkonie. Na pewno trwało to wiele minut, bo nogi mu zeszywniały i bolały go bardziej niż zwykle. Kiedy wrócił do mieszkania, Sundkvist poszedł do radiowozu, a Hermansson przedstawiła mu lekarza medycyny sądowej i kilku techników. Amelia siedziała obok Zofii i dzieci i rozmawiała z nimi po przyjacielsku. Grens podszedł bliżej i zaczął się im przysłuchiwać. Był szczęśliwy, że nikomu nie stała się krzywda.

– Wujek Ewert! – zawołał na jego widok Rasmus i z radości zaczął uderzać dłońią o kanapę. – Niech wujek tu usiądzie.

– Trochę tam ciasno.

– Dla wujka znajdzie się miejsce. Ja się przesunę w stronę Emila, on bliżej mamy... i proszę, już jest miejsce.

Chłopiec miał dopiero osiem lat, ale mówił zdecydowanym tonem. Komisarz nie miał więc wyboru i usiadł między braćmi. Uznał to za coś oczywistego.

– Kiedyś uratował nas wujek Ewert, dziś zrobiła to pani Amelia. – I znowu wypowiedział te słowa poważnym głosem.

Potem tylko siedzieli i milczeli. Może chodziło o to, żeby te słowa zapadły im w sercu? Żeby wszyscy sobie uświadomili, co to znaczy „uratować kogoś” i „być uratowanym”? Coś takiego już na zawsze zmienia relacje między ludźmi i kształtuje je na nowo. W końcu komisarz odchrząknął i zwrócił się do Zofii:

– Nie możecie tu dłużej zostać. Od tej chwili to mieszkanie jest miejscem zbrodni. Tak jak wasz dom. – Odwrócił się do chłopców. –

Chcielibyście pojechać ze mną do mojego mieszkania i zostać u mnie do czasu, aż wszystko wróci do normy?

– U ciebie, wujku? – Tym razem zareagował Emil, który przejął pałeczkę od młodszego brata. Było to kwestią odpowiedzialności, bo właśnie tak powinien zachować się starszy brat.

– Nie chcecie?

– Jasne, że tak. Czy jest tam tyle miejsca, żeby zmieściła się cała nasza rodzina?

Grens uśmiechnął się.

– Tak. Obiecuję, że dla każdego znajdzie się miejsce.

Zofia i chłopcy wyglądali na zadowolonych. Widać było, że propozycja komisarza sprawiła im ulgę. Zaczęli więc pakować swój skromny dobytek, który zamierzali zabrać do nowego miejsca. Grens i Amelia zostali sami i przez długą chwilę w pokoju panowało niezręczne milczenie. Nic o sobie nie wiedzieli, bo ich życie toczyło się przez te wszystkie lata odrębnymi torami. Ponieważ jednak wyjście z pokoju też byłoby niezręczne i mogłoby zostać uznane za niegrzeczne, zdani byli na własne towarzystwo: bez Hermansson, Sundkvista, Lucasa czy innej osoby, której obecność stanowiłaby coś w rodzaj pomostu. Grens był znacznie starszy od Amelii i pewnie dlatego to on przerwał niezręczne milczenie.

– Powiem to jeszcze raz... nie tylko jako twój tymczasowy szef, ale także jako osoba prywatna: jestem ci niezmiernie wdzięczny za to, co zrobiłaś i jak to zrobiłaś. Kiedyś będziesz fantastyczną policjantką.

Amelia spuściła wzrok. Była trochę zawstydzona.

– Dziękuję.

I znowu zapadła niezręczna cisza. Prowadzenie rozmów o niczym nigdy nie było mocną stroną komisarza Grensa. Siedzieli więc lekko zmieszani i tylko się do siebie uśmiechali. W końcu to znowu on zabrał głos.

- Wspominałaś o instynkcie...
- Tak.
- Że działałaś pod jego wpływem.
- Tak sędzę.

– Czy było coś więcej? Zazwyczaj tak bywa. Może zauważyłaś w aktach coś, co przeoczyliśmy? Albo poskładałaś w całość kilka faktów, które umknęły naszej uwadze? Jestem już wprawdzie stary, ale nadal chcę się uczyć. – Teraz, kiedy rozmawiali o policyjnej robocie, Grens poczuł się różnie. – Powiedz mi o tym. Jestem naprawdę ciekaw!

Mimo to młoda aspirantka była równie skąpa w wyjaśnieniach jak wcześniej.

– Obawiam się, że nie mam innego wytłumaczenia. O przeszłości Zaravica dowiedziałam się na briefingu... Hoffmann pochodził z tego samego środowiska, więc domyśliłam się, że jego rodzina może być zagrożona... A potem stało się to, co się stało. Znalazłam się we właściwym miejscu o właściwej porze i miałam szczęście.

– Nie miałaś szczęścia, tylko poradziłaś sobie z problemem. Lepiej od wszystkich policjantów, jakich znałem. Zachowałaś przytomność umysłu. Potrafiłaś strzelić w sytuacji stresowej. Nie tylko znalazłaś się we właściwym miejscu, ale także podjęłaś słuszną decyzję, chociaż wiedziałaś, że może ona zaważyć na tym, co stanie się później. Niewiele osób to potrafi.

I znowu zapadła cisza, a oni musieli się z nią zmagać. Starszy policjant u kresu kariery i młoda aspirantka stawiająca pierwsze kroki. W chwili gdy milczenie zaczęło się stawać nieznośne, do pokoju wbiegł Rasmus ze swoim czerwonym plecakiem i oznajmił, że ich czwórka jest gotowa i można jechać. Grens upewnił się, czy Hermansson i Sundkvist panują nad sytuacją i mają wszystko, co może im się przydać, i wyszedł z mieszkania,

w którym na podłodze leżały dwa trupy. Po wyjściu na ulicę skierował się w towarzystwie Zofii, jej dwóch synów i Luizy do samochodu. Kiedy dwadzieścia minut później zatrzymali się na Sveavägen przed jego domem, cała rodzina spała. Po kilku dniach życia w nieustannym stresie odetchnęli z ulgą i natychmiast zasnęli. Grens zastanawiał się, czy ich tak nie zostawić, bo nie miał serca ich budzić, ale ostatecznie to zrobił. Gdy weszli do mieszkania, chłopcy odzyskali na krótko wigor. Zaczęli biegać po pokojach, bo było ich tu więcej niż w ich dotychczasowej kryjówce, po czym stwierdzili, że są głodni jak wilki, a przed snem zjedliby najchętniej kratkowane naleśniki – takie same jak te, które kiedyś przygotował im wujek Ewert. Chwilę potem w mieszkaniu komisarza odbyły się pierwsze w historii poszukiwania składników potrzebnych do przygotowania kratkowanych naleśników w wafloownicy, a nie na patelni. Być może właśnie dzięki temu chłopcy zasnęli potem w dwóch fotelach, bo poczucie bezpieczeństwa – nawet jeśli przejawia się w postaci zwykłych naleśników – ułatwia zaśnięcie.

– To tutaj ukrywał się Piet? Przyjeżdżał do pana?

Kiedy Grens i Zofia usiedli przy kuchennym stole, na dworze od dawna było ciemno. Pili wino, zbyt słodkie jak na tę porę dnia, ale była to jedyna butelka alkoholu w całym mieszkaniu. Zofia nie miała konkretnych dowodów, ale czuła, że to właśnie tu jej mąż szukał schronienia w trudnych dla siebie chwilach: w mieszkaniu komisarza policji, który kiedyś był ich największym wrogiem.

– Tak właśnie było. Nawet pani nie wie, jak bardzo za wami tęsknił.

– A co to jest?

Zofia wskazała białą dużą tablicę, do której Grens przyczepił kartki z nieoficjalnego śledztwa.

– Może pan mówić różne rzeczy, ale ja i tak wiem, że dochodzenie jeszcze się toczy.

– Owszem, ale dla was już się skończyło.

Zofia pobieżnie przeczytała raporty Krantza i przebiegła wzrokiem po liniach i strzałkach, starając się zrozumieć, co oznaczają zdjęcia z przekreślonymi twarzami.

– Że też się nie zawahała...

– O kim pani mówi?

– O tej młodej policjantce, która uratowała nam życie. Nawet przez moment się nie wahała. Po prostu strzeliła. Przeżyłam z Pietem tyle lat, a podobne zdecydowanie i opanowanie widziałam tylko u niego.

Zofia była mądrą, ciepłą kobietą, więc kiedy zapadła cisza, Grens nie czuł się skrępowany. Nawet w tych wymuszonych sytuacjach okolicznościach. O ile bowiem Hoffmann był jego pierwszym od wielu lat gościem mężczyzną, o tyle od czasów Anni przy jego stole nigdy nie siedziała samotna kobieta. Z Laurą, którą poznał w poprzednim roku, spotykał się zawsze w jej mieszkaniu. Była pierwszą od trzydziestu lat kobietą, z którą się umawiał. Postanowił, że kiedyś zbierze się na odwagę i znowu zacznie się spotykać z jakąś kobietą. Spróbuje komuś zaufać.

– To bardzo miłe, że możemy u pana zostać. Dziękuję w imieniu swoim, dzieci i Pieta. A teraz pora spać.

– Na łóżku w pokoju gościnnym leżą ręczniki i pościel.

– W końcu będę mogła spokojnie zasnąć.

– Rano idę do pracy, ale wy nie musicie zrywać się z łóżek tak wcześnie. Dzwoniłem na komendę i wydałem polecenie, żeby ktoś was popilnował. Jeden policjant będzie stał na klatce schodowej, drugi przy wejściu od ulicy.

Zofia objęła Grensa, a on poczuł się tak, jakby jej gest był jak najbardziej oczywisty i naturalny. Nalał sobie zimnej wody do szklanki i wyszedł na balkon, na którym spędził już tyle nocy. Miał stąd rozległy widok na miasto. W jego głowie kłębiło się tyle myśli, że nie mógł tak po prostu położyć się do łóżka i zasnąć. Stał oparty o balustradę i wsłuchiwał się w wiejący nad dachami wiatr.

Niestety, spokój nie chciał wrócić, a myśli uporczywie krążyły mu po głowie. Próbował je jakoś uciszyć, ale bez powodzenia.

Instynkt. Amelia kilka razy użyła tego określenia. Nie dawało mu to spokoju. Świeżo upieczona adeptka szkoły policyjnej nie mogła tak po prostu zastrzelić dwóch bandytów, zwłaszcza że zrobiła to bez wahania. Ma niezwykle wyczucie czasu i miejsca i jest lepsza od innych.

Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało. Coś albo ktoś.

Ona.

Dochodziła druga. Wyjął telefon i zadzwonił pod ten sam numer, z którym kontaktował się na początku śledztwa. Odebrał pracownik urzędu skarbowego, z którym co jakiś czas wymieniali się informacjami. Po głosie poznał, że go obudził.

– Słucham?

– To ja. Potrzebuję informacji.

– Nie teraz.

– Właśnie teraz.

– Rozłączam się.

– W takim razie kończymy współpracę, chociaż obaj dobrze wiemy, że następnym razem to pan może potrzebować mojej pomocy.

Mężczyzna, którego imię i nazwisko nie padły podczas żadnej z wcześniejszych rozmów, nie rozłączył się. Poprosił Grensa o cierpliwość, wstał z łóżka i ciężkim krokiem powłókł się przez mieszkanie.

– Proszę sprawdzić jedno nazwisko.

– Jakie?

– Amelia Schmidt. Przeliteruję: S-c-h-m-i-d-t.

Urzędnik uderzał w klawiaturę komputera z taką siłą, że Grens słyszał trzaski wychodzące spod jego palców. Odsunął więc słuchawkę od ucha i ułożył ją w tej samej pozycji dopiero kilkanaście sekund później.

– Znalazłem. Adres zamieszkania: Sztokholm. Wiek: dwadzieścia dwa lata.

– Zgadza się. To ona.

– Co pan chce wiedzieć?

– Nie jestem pewien. Niech pan szuka dalej, biorąc za punkt wyjścia jej imię i nazwisko. Współpracujemy ze sobą od tak dawna, że na pewno pan wie, co może mnie zainteresować.

– Proszę mi dać kilka minut.

Grens wrócił na balkon, z którego rozciągał się widok na dachy domów i miasto odpoczywające przed nastaniem nowego dnia. Kiedyś przychodził na balkon, żeby sprawdzić, czy odważy się przechylić przez balustradę i skoczyć na asfalt... zostawić wszystko i odejść na zawsze, bo przecież to, czego od dawna się obawiał, w końcu się stało. Anni umarła, a on wciąż nie rozumiał, że jeśli kiedyś zdarzy się to, czego człowiek przez długi czas się obawiał, potem już się to nigdy nie powtórzy. Jeśli na dodatek uświadomi sobie ten fakt i pogodzi się z nim, będzie umiał podźwignąć się z nieszczęścia i żyć dalej. Wrócić do rzeczywistości. Nie tej samej co kiedyś, tylko trochę innej. Czasem określenie „trochę inna” oznacza, że można żyć w najpiękniejszy możliwy sposób.

– Chyba mam coś, co pana zainteresuje. – Urzędnik wypowiedział to zdanie prawie podekscytowanym tonem. Mimo zmęczenia jego głos brzmiał jasno i czysto, jakby mężczyzna pozbył się niechęci do tak

wczesnego wstawania z łóżka. – Przejrzałem rejestr osób, które zmieniały nazwisko.

– No i?

– Ona też to zrobiła, trzy lata temu.

– Jak się przedtem nazywała?

– Hannah Ohlsson.

– Jak???

– Hannah Ohlsson. Ma ten sam numer osobowy co wcześniej, ale nosi inne imię i nazwisko. Szczerze mówiąc, nigdy mi się nie podobało, że prawo zmieniono tylko po to, żeby ktoś mógł zmienić nazwisko, i to w tak łatwy sposób...

– Niech pan jeszcze sprawdzi numer osobowy... – Grens zaczął marznąć, chociaż była pełnia lata.

– Sprawdzam...

W słuchawce ponownie rozległo się głośne stukanie w klawisze.

– ...i nic nie znalazłem. Hannah Ohlsson została wpisana do bazy w taki sposób, jakby pojawiła się znikąd. Historia jej życia nie istnieje.

– Owszem, istnieje, ale wyłącznie w formie papierowej.

– Nie znajduję nic, co...

– To ta sama osoba, której dane podałem mi pan poprzednim razem. – Kiedyś nazywała się Zana Lilaj, a potem stała się Hannah Ohlsson. Ale tego ostatniego zdania komisarz nie powiedział głośno.

Zatrzymał je dla siebie.

Hannah Ohlsson zmieniła imię i nazwisko tuż przed złożeniem podania o przyjęcie do szkoły policyjnej.

JAK TU PIĘKNIE! NIETKNIĘTE ludzką stopą brzegi jeziora Szkodra przypominały zdjęcia wycięte z satynowych folderów biur podróży – intensywnie zielona roślinność, strzeliste klify, niebo i woda w tym samym niebieskim odcieniu. Cała okolica przypominała świat z bajki.

Motorówka z prychającym silnikiem parła do przodu wśród krzyku ptaków. Od przekroczenia granicy z Czarnogórą upłynęło sporo czasu. Z danych, które znajdowały się w komputerze Hamida Cany i w telefonie Hoffmanna, wynikało, że zbliżają się do celu. Latifi kilka razy pytał, dokąd płyną i o co w tym wszystkim chodzi, ale Hoffmann za każdym razem odpowiadał, że o wszystkim dowie się wkrótce.

W końcu wyłączył silnik i motorówka prześlizgnęła się przez wąski tor wodny ciągnący się do brzegu jeziora. Kiedy do niego dobiła, przeskoczył z liną w ręce na najbliższy kamień, a potem na następny, który znajdował się pod zwisającą nad wodą gałęzią przypominającą wyciągniętą długą rękę. Zacumował przy rozłożystym pniu i poprosił Latifiego – który nadal zachowywał się wobec niego z rezerwą i trzymał w pogotowiu broń – aby poszedł z nim na górę. Przedzierali się przez tak gęste krzaki, że nie zapuszczają się w nie nawet dzikie zwierzęta.

Nawigacja w komórce przestała działać... zresztą w takim miejscu współrzędne i tak na niewiele by się zdały. Żeby dotrzeć do celu, musieli stosować się do wskazówek zapisanych w komputerze Cany.

Siedemdziesiąt cztery kroki na północ od kamienia w kształcie głowy, aż do podwójnego drzewa.

Trzydzieści dziewięć kroków na południowy zachód od podwójnego drzewa do skraju skał.

Piętnaście kroków na południe od skał wzdłuż podnóża góry; zatrzymać się przy widocznym występie. Tam jest wejście.

Stali przed mocno spękaną górką ścianą pełną rys, nierówności i ostrych brzegów. Podeszli bliżej i ujrzeli zarys drzwi. Dla osób niezorientowanych były niewidoczne.

Szukaj ręką przy ziemi, aż znajdziesz dwa wybrzuszenia wielkości pomarańczy. Przekręć je zgodnie z ruchem słońca.

To, co z pozoru przypominało dwa wystające z kamiennej ściany odrosty, w rzeczywistości było czymś innym.

Hoffmann chwycił je obiema rękami i przekręcił jednym ruchem. W tym samym momencie cała ściana skalna jakby zadrżała i drzwi przesunęły się na bok.

– Może pan wejść – powiedział Hoffmann.

– Nie.

– W środku znajduje się mój drugi prezent. Będzie pan zadowolony.

– Wciąż nic z tego wszystkiego nie rozumiem, a w takich sytuacjach zazwyczaj odmawiam współpracy.

Obrzucili się uważnymi spojrzeniami. Milczeli, czym wpasowali się w ciche otoczenie. Ciszy nie zakłócały nawet głośne zazwyczaj ptaki.

– Niech pan wejdzie pierwszy, panie Larsson... czy jak pan się tam nazywa. – Policjant wskazał Hoffmannowi wejście do jaskini.

Ten wszedł do środka i znalazł się w ciemnym wnętrzu. Jego kroki odbijały się echem od kamiennych ścian. Kiedy zapalił latarkę, Latifi stanął jak wryty.

– Mam nadzieję, że to nie złudzenie... Czy to jest to, o czym myślę?

– Tak.

Stali obok siebie i podziwiali widok, który ukazał się ich oczom.

– Słyszałem o tym miejscu, bo okoliczni mieszkańcy znają tę historię, ale uważałem ją za legendę... Nigdy bym nie pomyślał, że ta jaskinia istnieje naprawdę!

Długo wpatrywali się w rzędy palet. Stały na nich skrzynie pełne broni, która oficjalnie nie istniała. Nie musieli jej nawet liczyć.

Mieli przed sobą dziesiątki tysięcy najnowocześniejszych w świecie karabinów maszynowych. Ich posiadacz będzie mógł opanować rynek broni praktycznie w każdym kraju. To z jej powodu kilkanaście lat wcześniej zamordowano całą rodzinę, a niedawno śmierć zabrała kolejne ofiary.

GRENS WRÓCIŁ Z BALKONU do mieszkania. Zostawił za sobą widok miasta, w którym spędził całe życie. Nigdy nie miał tyle odwagi, żeby się z niego wyprowadzić, tak jak nie ciągnęło go do innych miejsc. To było jego miejsce i jego życie. Pogodził się z tym dawno temu i nie żałował tej decyzji.

Wyszedł z domu. Samochód był zaparkowany na ulicy, przed wejściem do budynku. Skinął głową stojącym przed klatką schodową mundurowym i usiadł za kierownicą. Podczas wieloletniej pracy w policji poznał wszystkie dzielnice Sztokholmu – z wyjątkiem Gärdet, dokąd się właśnie wybierał. To dziwne, że nadal był to dla niego niezbadany teren. Wyglądało na to, że mieszka tam mniej przestępców niż w innych dzielnicach Sztokholmu. Co za niesprawiedliwość!

Ruszając spod domu, wyjął telefon, ponieważ musiał obudzić kolejną osobę. Życie bywa niesprawiedliwe także pod tym względem.

– Nils? Mówi Grens.

Nils Krantz, policyjny technik, miał taki sam głos jak wszystkie inne osoby, które komisarz budził w środku nocy: zaspany i zdezorientowany. Zawsze wygląda to tak samo: obudzona osoba musi sięgnąć po telefon, przyłożyć go właściwym końcem do ucha i uregulować oddech. Nagle Grens uświadomił sobie, że obaj są w tym samym wieku. Zastanawiał się, czy technik wie, że według nowych przepisów można przejść na emeryturę o kilka lat później. A może w jego przypadku jest inaczej? Może nie jest w stanie doczekać się ostatniego dnia w pracy? Przepracowali razem tyle lat, a tak mało się znają.

– Już jestem. Co się stało?

– Pamiętasz ślady krwi, które znaleźliście na szybie w mieszkaniu Zaravica?

– Tak. I co?

– Chciałbym cię prosić, żebyś je ponownie zbadał.

Nagle coś się stało z telefonem Krantza. Zabrzmiało to tak, jakby go upuścił, szukał i w końcu znalazł.

– Już to zrobiłem... na tyle, na ile mogłem. Poprosiłem o dyskretną pomoc znajomego w Państwowym Laboratorium Kryminalistycznym, żeby wprowadził te ślady do czterech rejestrów zawierających dane osobowe wszystkich pracowników policji. Rozszerzyłem też zakres twojego polecenia i przeszukałem rejestry w kilku innych krajach, ale to też nic nie dało.

– Chcę cię poprosić, żebyś przeszukał jeszcze jeden rejestr.

– Innych nie ma.

– Chodzi mi o ten, który znajduje się w szkole policyjnej. Sprawdź próbki krwi pobranej od studentów, którzy brali udział w kursie badania DNA.

– To nie jest oficjalny rejestr. Uczelnia wykorzystuje go tylko do ćwiczeń praktycznych.

– To prawda, ale zrób, o co cię proszę. Porównaj nasze próbki z danymi w tym rejestrze. Skoncentruj się na studentach, którzy uczęszczali na zajęcia przez ostatnie trzy lata. Zrób to niezwłocznie.

Grens usłyszał w telefonie długie, głębokie westchnienie.

– W takim razie muszę obudzić kilka osób, które sobie smacznie śpią.

– Zrób to. Dzięki temu zrozumiesz, co ja czuję, kiedy kogoś budzę.

Podczas tej rozmowy komisarz jechał w kierunku Gärdet. Adres, pod który się kierował, znajdował się mniej więcej kilometr od jego domu. Była

noc, ruch na ulicach prawie całkowicie zamarł, więc szybko dotarł na miejsce. Wyłączył silnik i uniósł głowę. W mieszkaniu na najwyższym piętrze paliło się światło. Domyślił się, że osoba, którą chciał odwiedzić, nie śpi.

W JASKINI PANOWAŁA ZUPEŁNA cisza. Hoffmann i Latifi stali w rozświetlonym snopem z latarki wnętrzu i oddychali suchym powietrzem przesączonym wilgotnym zapachem smaru, którym były pokryte karabiny. Długo milczeli. Patrzyli na coś, co oficjalnie nie istniało, tylko tworzyło odrębną rzeczywistość.

– Byłem policyjnym informatorem. – Hoffmann przerwał milczenie. Wiedział, że czasem trzeba się cofnąć o krok, żeby potem zrobić dwa kroki do przodu.

– Naprawdę?

– Tak.

Albański policjant kołysał się na obcasach i przez cały czas gapił się na rzędy palet wypełnionych tysiącami sztuk nowiutkiej broni automatycznej. Miał taką minę, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu skinął głową.

– Teraz wszystko rozumiem.

– Przez wiele lat byłem narzędziem w rękach policji, która dzięki mnie miała wgląd w działanie zorganizowanych grup przestępczych. Wystawiałem bandytów, którzy uważali mnie za swojego najlepszego przyjaciela, pomagałem w ich zatrzymaniu i udaremniałem napady. Jednak to, co tu widzimy, jest moim największym wyczynem. Oddaję to w pańskie ręce, bo wiem, że cały ten skład zostanie zniszczony. Nikt więcej nie zginie, nikt nie zostanie ranny ani skrzywdzony. Dzięki temu, co tu znaleźliśmy, piekło, jakie przeżyłem przez kilka ostatnich tygodni, nabiera całkiem innego sensu.

Latifi nadal kiwał się w miejscu, ale już nie tak mocno jak przed chwilą.

– I co teraz? Mam panu podziękować i puścić wolno, chociaż zabił pan przynajmniej troje ludzi, i to tylko w Albanii?

– Mniej więcej.

– Znam policjantów, którzy nie zadawaliby zbędnych pytań o trzy zastrzelone osoby, gdyby mogli sobie wpisać do CV zdobycz w postaci kilkudziesięciu tysięcy karabinów maszynowych. Ale ja jestem inny. Dla mnie jest pan zabójcą, bez względu na powody.

– Zasada jest prosta: Ich życie albo życie innych. Stosuję prostą regułę, która brzmi: Ja albo ty, a ponieważ bardziej zależy mi na sobie, wybieram siebie. Zapewniam pana, że zrobiłbym to ponownie.

Wielka jaskinia tworzyła odrębny świat. Dźwięk rozchodził się w niej jak w żadnym innym miejscu, odbijał od ścian i sklepień i szybko zamierał. Światło było intensywne i natrętne i nawet ciśnienie powietrza wydawało się inne.

Przez długą chwilę stali i patrzyli sobie w oczy, jak gdyby chcieli zajrzeć we własną przyszłość. Ogarnęło ich dziwne uczucie, jakby nagle wszystko przestało być ważne.

– Niech pan zrobi to, co uważa za słuszne. Innego wyboru nie ma. Musi mnie pan aresztować albo puścić wolno.

AMELIA SCHMIDT. TAKIE IMIĘ i nazwisko widniało na odręcznie napisanej kartce przymocowanej do drzwi taśmą klejącą. Oznaczało to, że Amelia podnajmowała to mieszkanie. Grens nacisnął dzwonek i usłyszał przytłumiony gong. Nikt nie zareagował, więc zadzwonił ponownie. Stał na pogrążonej w ciszy klatce schodowej, ale nikt nie otwierał. Naciskał więc dzwonek tak długo, aż w końcu w przedpokoju rozległy się niepewne kroki i skrzypnięcie drzwi.

– Pan komisarz?

Amelia uchyliła drzwi, ale niezbyt szeroko.

– Tak. Zobaczyłem, że w mieszkaniu pali się światło.

– No i?

– Przyszedłem, żeby z tobą porozmawiać.

Nie odezwała się ani nie wykonała żadnego ruchu.

– Zrozumiałaś, co powiedziałem?

– Niech mi pan da pięć minut. Muszę się ubrać.

Aspirantka zamknęła drzwi i Grens znowu został sam. Panująca na klatce schodowej cisza sprawiała, że każdy dźwięk rozchodził się ze wzmożoną siłą: szuranie po podłodze, chrząknięcie albo wściekły wrzask. Kiedy więc dostał od Krantza esemesa, zabrzmiało to jak złowieszczy sygnał ostrzegawczy. Wyjął aparat i przeczytał wiadomość.

Znalazłem. Studentka szkoły policyjnej. Aspirantka w twoim wydziale, Amelia Schmidt.

Grens do samego końca miał nadzieję, że się pomylił, i zanim Amelia otworzy drzwi, pochylił się i powie jej przez otwór na listy, że ich rozmowa

może poczekać do rana. Potem pożyczy jej spokojnej nocy i wróci do domu. Niestety, jego nadzieje okazały się płonne, więc od razu wysłał do Hermansson i Sundkvista wiadomość o treści:

Sandhamnsgatan 25. Natychmiast wysłać posiłki. Czekać na mój sygnał.

Ledwo to zrobił, klucz w zamku zazgrzytał i w uchylonych drzwiach stanęła Amelia. Przez chwilę patrzyli na siebie w taki sam sposób jak w mieszkaniu Hoffmanna, gdy zostali w pokoju sami i siedzieli na kanapie. Atmosfera zrobiła się napięta.

– Mogę wejść?

Aspirantka dalej stała w progu przy lekko uchylonych drzwiach.

– Muszę wejść do środka, żeby z tobą pomówić. O takich sprawach nie powinniśmy rozmawiać na klatce schodowej.

Amelia przez moment się wahała, a potem jakby nagle się zdecydowała. Przestała wpatrywać się w komisarza i otworzyła drzwi na całą szerokość. Grens znalazł się w mieszkaniu urządzonej przez kogoś o wiele młodszego niż on. Ściany pomalowano tu na znacznie jaśniejsze kolory, a meble były lżejszej konstrukcji niż te, które stały w jego mieszkaniu. Pokój dzienny miał prosty wystrój: w rogu stało biurko z komputerem, do którego podłączone były trzy duże monitory. Grens zaczął się zastanawiać, czy to właśnie stąd Amelia obserwowała dom Hoffmanna, jego firmę ochroniarską i mieszkanie, w którym został zastrzelony jeden z jego pracowników.

– Widzę, że jeszcze nie śpisz?

– Nie mogłam zasnąć.

Wskazał ręką na fotel przykryty mnóstwem kolorowych poduszek. Znowu rozbolała go noga i biodro. Amelia dała mu ręką znak, jakby chciała milcząco zaproponować, żeby usiadł.

– Zastrzeliłaś dwójkę ludzi, dzięki czemu uratowałaś życie czteroosobowej rodzinie. To rozumiałe, że nie możesz się uspokoić, a tym bardziej zasnąć.

– I dlatego przyszedł pan do mnie w środku nocy? Jeśli tak, może pan śmiało wrócić do domu. Kilka godzin temu zaoferowano mi pomoc psychologa, ale odmówiłam.

Po pierwszym spotkaniu Grens doszedł do wniosku, że Amelia to taki współczesny wariant Anni albo Hermansson z dawnych lat. Myślał o niej jak o kimś, kto jest mądrzejszy i odważniejszy od innych. To, co przed chwilą powiedziała, jeszcze bardziej wzmocniło to wrażenie. On jednak widział przed sobą kogoś innego, znacznie młodszego. Widział poplamioną sukienkę, tort z pięcioma świeczkami i dziewczynkę, która śpiewała *Sto lat*, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

– Przyszedłem do ciebie z innego powodu. Chyba się domyślasz z jakiego. Bądź więc tak miła i usiądź naprzeciwko mnie.

– Dziękuję, ale postoję.

– Nie musisz się mnie bać. Jestem nieuzbrojony. Przyszedłem, żeby usłyszeć prawdę.

– Jaką prawdę?

– Pojedziemy razem na komendę... jedynie ty i ja. To nie będzie głośna akcja, tylko spokojne zatrzymanie. Załatwimy to w taki sposób, bo sobie ufamy.

Amelia miała za plecami pistolet wsunięty w bieliznę.

– Nie pojedziemy na żadną komendę – oświadczyła.

– Wiem, że do mnie nie strzelisz, bo coś dla siebie znaczymy.

Słyszała, co komisarz powiedział. Na chwilę jego słowa zawisły w powietrzu i zabrzmiały jak potencjalne rozwiązanie, ale ostatecznie młoda aspirantka rozwiła jego nadzieje.

– Nie chcę pana zabić, ale zrobię to, jeśli będę musiała.

– Nie zastrzelisz mnie, tak jak nie pozwoliłaś zginąć rodzinie Hoffmanna. Wprawdzie stało się to, co się stało, ale jestem pewien, że znasz różnicę między tym, co jest słuszne, a tym, co niesłuszne.

Amelia roześmiała się, lecz był to pusty śmiech.

– Nie ma czegoś takiego, co jest słuszne albo niesłuszne. To się skończyło w tamtym mieszkaniu... siedemnaście lat temu.

Grens popatrzył na młodą kobietę, a ona na niego. I chyba po raz pierwszy atmosfera przestała być napięta.

– Przyznam ci się, że wypuszczałem na wolność ludzi, którzy popełnili przestępstwo. Dlaczego to robiłem? Bo w moim świecie może się zdarzyć, że sprawiedliwość a prawo to dwie różne rzeczy. Rozważałem taką możliwość także w twoim przypadku, ale ci puszczeni kiedyś przeze mnie wolno byli ofiarami, które w danej chwili podjęły błędne, pochopne decyzje. Ty też jesteś ofiarą, dobrze o tym wiem, ale później dokonałaś wyboru: z pełną świadomością postanowiłaś zostać zabójcą, żeby odbierać ludziom życie, i dlatego nie mogę puścić cię wolno. Jeśli jednak odłożysz pistolet i pojedziesz ze mną na komendę, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby sąd ocenił twoje przestępstwa w sprawiedliwy sposób, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się przed wielu laty, przed naszym pierwszym spotkaniem.

ZOFIA ZATRZYMAŁA SIĘ W przedpokoju, oparła o framugę drzwi prowadzących do salonu i zaczęła się wsłuchiwać w oddechy dzieci. Cała trójka spała spokojnie i bezpiecznie. Grens wyszedł w środku nocy bez słowa wyjaśnienia. Nie powiedział, dokąd idzie i dlaczego ma taką przejętą minę. Nie pytała, bo wiedziała, że nie powinna. Piet zachowywał się w takich sytuacjach podobnie. Miał wtedy ten sam wyraz twarzy. Wiedziała, że nie ma sensu pytać go o cokolwiek, bo i tak nic nie powie.

Poszła więc na balkon i dopiero kiedy się tam znalazła, zrozumiała, dlaczego komisarz tak chętnie tam chodził. Kiedy człowiek patrzył z tego miejsca na miasto, mógł odnieść wrażenie, że jest pogrążone w całkowitym spokoju. Potem poszła do biblioteki, usiadła w starym skórzanym fotelu i popatrzyła na wiszący na ścianie portret przedstawiający dwójkę młodych policjantów w nowych mundurach. Domyśliła się, że to Grens i Anni. Wciąż nie mogła się uspokoić, ale najważniejsze było to, że miała przy sobie dzieci. Kiedy poszła do kuchni zrobić sobie kawy, zadzwonił jej telefon. Odebrała i usłyszała jedyny głos, który chciała usłyszeć.

– Witaj, kochana.

– Dobry wieczór, kochany.

Po tych słowach mogłaby się rozłączyć, bo tyle im zazwyczaj wystarczało. Nic więcej nie musieli mówić.

Tym razem jednak, gdy przyciskali telefony do ucha, pojawiły się łzy. Najpierw jego, potem jej. Nie był to gwałtowny płacz, tylko wspólny spokojny szloch. Żyli, nikomu nic złego się nie stało.

– Zobaczymy się jutro i znowu wezmę cię w ramiona.

– Już jutro?

– Znalazłem rozwiązanie. Rozmawiałem o nim z pewnym mądrym człowiekiem, który stoi obok mnie. Coś mu dałem, a on w zamian za to zwrócił mi wolność. Ustaliliśmy, że nigdy więcej się nie spotkamy i nikomu nie powiemy, że się znamy. Czasem najlepsze rozwiązania są naprawdę proste.

Przestali płakać i zapadła cisza, jaką dobrze znali.

Jak wtedy, gdy człowieka ogarnia rodzaj spokoju, którego rzadko się doświadcza.

– JA NIE MAM dzieci.

– Dlaczego?

– Jakoś tak wyszło.

Ewert Grens siedział w fotelu w otoczeniu kilku poduszek i patrzył na lufę pistoletu, z którego Amelia mierzyła w jego serce. W tej sytuacji przyszedł mu do głowy tylko jeden temat – rozmowa o synu i córce, których nigdy nie miał, bo w tym momencie tylko taki wydał mu się sensowny i zrozumiały.

– Jest jednak pewne dziecko, o którym bardzo często myślałem, bo przez wiele lat towarzyszyło mi w życiu. Czasem się zastanawiałem, co się z nim stało i czy znalazło swoją własną drogę.

Oboje znowu obrzucili się czujnymi spojrzeniami. Grens jeszcze przed chwilą był przekonany, że Amelia do niego nie strzeli, ale teraz stracił tę pewność. Młoda kobieta patrzyła na niego czujnym, pewnym siebie i jakby zrezygnowanym wzrokiem, chociaż to dziwne połączenie. Przeszywała go tym spojrzeniem na wskroś, a on czuł się tak po raz pierwszy w życiu. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył. Bez względu na to, jak długo ktoś żyje i ilu pozna ludzi, zawsze doświadczy czegoś, co zdarza mu się pierwszy raz.

– Mówię o pewnej dziewczynce, która kiedyś skakała na jednej nodze po swoim mieszkaniu, a kiedy ją stamtąd wynosiłem, oparła głowę na moim ramieniu.

Amelia nadal mierzyła do niego w zdecydowany sposób, a wzrok miała równie ostry jak przed chwilą. Słyszała, co powiedział Grens,

i niewykluczone, że nawet zrozumiała sens jego słów, lecz nie mogła dopuścić, żeby choć na sekundę stracić nad sobą kontrolę.

– Moje pierwsze wspomnienia dotyczące taty pojawiły się, kiedy byłam nastolatką. Nie udało mi się ich zatrzymać, ale zapamiętałam policjanta, który był wtedy w naszym mieszkaniu. Nie wiedziałam, jak się nazywał i kim był, ale wiedziałam, że istniał naprawdę. Zapamiętałam, jak uniósł mnie z podłogi, objął i wziął pod swoją opiekę. Czasem zastanawiałam się, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę, czy raczej był to tylko sen.

Przez cały czas Amelia stała odwrócona plecami do kuchni. Nagle podeszła do okna, wyjrzała na ulicę i zerknęła na Grensa.

– Przyjechali pańscy ludzie.

– To bez znaczenia. To, co ci przed chwilą zaproponowałem, nadal obowiązuje. Jeśli dasz się aresztować, na komendę pojedziemy sami. Nikomu nie stanie się krzywda, nie dojdzie do tragedii, a sąd nie wymierzy ci najwyższej kary. Zaufaj mi... tak jak wtedy. Jesteś jeszcze młoda, masz przed sobą całe życie. Odsiedzisz wyrok, wyjdiesz na wolność i wszystko, co najgorsze, odejdzie w przeszłość.

– Przecież pan wie, jak się naprawdę nazywam i że to się dla mnie nigdy nie skończy.

Amelia Schmidt, która przedtem nazywała się Hannah Ohlsson, a jeszcze wcześniej Zana Lilaj, wróciła do swojego pierwotnego wcielenia. Grens czuł się tak, jakby spotkał jednocześnie wszystkie jej wcielenia. Mała dziewczynka, która starała się odzyskać swoją prawdziwą tożsamość. Była nie tylko zdolna, ale też cierpliwa. Wstąpiła do wyższej szkoły policyjnej, żeby znaleźć odpowiedzi na trudne pytania. Potem pomagała w śledztwie, żeby dokonać własnej zemsty, a pozyskiwane w czasie praktyki informacje wykorzystywała do tego, żeby być o krok przed policją... Nie liczyło się, jakim sposobem je zdobywała: z wykradzonego telefonu Grensa czy

wykorzystując zaawansowane urządzenia elektroniczne, które zamontowała w budynku komendy.

– Siedemdziesiąt dwie godziny, panie komisarzu. Tyle miał pan czasu, bo tylko na tyle godzin wolno panu zatrzymać kogoś bez postawienia zarzutu i przedstawienia dowodów. Tyle samo godzin dzieliło mnie od zamknięcia mojej sprawy. W raporcie z sekcji zwłok wyczytałam, że dokładnie tyle samo godzin przebywałam w naszym mieszkaniu z martwymi rodzicami i rodzeństwem.

Grens nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak bardzo tamte wydarzenia odbiły się na małym dziecku, które straciło wszystko, co wtedy miało.

– Amelio... a może powinienem mówić do ciebie Zana? Tak jak wtedy?

– Przez cały czas miał pan rację. Człowiek, którego pan wtedy zatrzymał, przesłuchiwał i z braku dowodów wypuścił, zlecił zabójstwo mojej rodziny, a potem przejął interes, który prowadził mój tata. Następnie wrócił do Albanii i zamieszkał w mieście Szkodra, które leży w pobliżu granicy z Czarnogórą. Ale o tym już pan wie. Odszukałam go i zrobiłam to samo co pan: przesłuchałam go. Tyle że z lepszym rezultatem, bo nie byłam ograniczona przepisami prawa. Pamiętam każde słowo, które wypowiedział: „Posłuchaj uważnie, co ci powiem, mała. Tak to w tej branży funkcjonuje. Musisz się tego nauczyć, jeśli chcesz prowadzić ten interes. Wchodzisz do kogoś i najpierw strzelasz do dzieci. Potem mówisz temu, od którego chcesz się czegoś dowiedzieć, że nadal może założyć nową rodzinę. Na końcu, bez względu na to, czy czegoś się od niego dowiedziałaś, czy nie, zabijasz go”. Pamiętam, jak na mnie patrzył, kiedy wymierzyłam pistolet w jego głowę, jak prowokował mnie wzrokiem. „Tak się to robi: nigdy nie zabija się od najstarszego do najmłodszego, tylko odwrotnie. Tak jak to zrobiliśmy z twoją rodziną”. Wiedział, że zaraz

umrze, i dlatego opowiedział mi w szczegółowy sposób o mojej rodzinie, która znaczyła dla mnie najwięcej. To tak, jakby jeszcze raz mi ją odebrał. Rozumie pan, co mam na myśli?

Amelia znowu wyjrzała przez okno, ale przez cały czas mierzyła do Grensa z pistoletu. Uniosła żaluzje. Świtało. Jasna letnia noc przechodziła powoli we wczesny poranek. Wkrótce wszędzie słońce i miasto zaleje błądy świt. Grens próbował spojrzeć jej w oczy, żeby nawiązać z nią kontakt wzrokowy, bo trudniej odebrać życie komuś, z kim człowieka coś łączy.

– Żałuję, że nie udało mi się rozwiązać tej sprawy. Gdybym znalazł wtedy dowody, nie byłoby tej rozmowy. Nie musiałabyś mierzyć do mnie z pistoletu ani szukać zabójcy twojej rodziny.

– Chciał, żebym zastrzeliła go szybko, bez zbędnej zwłoki. Z tego samego powodu, dla którego moja mama napłuła mu w twarz: już wcześniej przeczuwała, że skończy się to dla niej tak, jak mi po wielu latach opowiedział: że zginie, a w każdym razie zostanie zastrzelona.

– Posłuchaj, ja...

– To była słuszna uwaga: nie zdołał go pan aresztować, ale bez pracy, którą pan wtedy wykonał, nigdy bym go nie odnalazła. – Amelia oparła się plecami o okno. Odbezpieczyła pistolet i wykonała bardzo wyraźny wolny ruch.

Grens dopiero teraz się domyślił, co ona planuje: zamierzała sprowokować własną śmierć.

– Nie rób tego! – zawołał.

Chciał się zerwać z fotela, podbiec do niej, stanąć między nią a oknem, ale nie zdążył. Amelia położyła palec na spuście i delikatnie go nacisnęła.

– Proszę zostać na miejscu, jeśli życie panu miłe!

Komisarz był pewien, że kobieta nie żartuje.

– Wiem, co chcesz zrobić.

– To dobrze. Chcę, żeby potem strzelił pan do mnie od przodu. Dwa razy. Zna pan odległość od czoła do skroni. Niech to wygląda tak jak na zdjęciach moich rodziców i rodzeństwa.

– Nie możesz mnie zmusić, żebym do ciebie strzelił... pozwól mi...

– Jeśli spróbuje mnie pan powstrzymać, zastrzelę pana, a potem spokojnie poczekam na reakcję zebranych na dole policjantów.

– Nie chcę, żebyś umierała!

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim uniemożliwił mi pan wykorzystanie Hoffmanna do moich celów. Mógł mi pan przeszkodzić w zabiciu Zaravica, jedyne żyjącego zabójcy mojej rodziny spośród tych, którzy tamtego dnia byli w naszym mieszkaniu. Niech pan w końcu zrozumie: życie w samotności to nie życie! Dlatego teraz zamierzam dokończyć to, czego tamci nie doprowadzili do końca. Nie mam ochoty trafić do jakiegoś pieprzonego więzienia!

Uniosła broń. Zrobiła to wyraźnym powolnym ruchem, jakby dopiero teraz chciała ją odbezpieczyć.

I strzeliła.

Raz... drugi... trzeci.

Pociski przeleciały obok niego i nad nim. Wiedział, co zrobiła Amelia, ale jej zachowania nie zrozumieli policjanci stojący na ulicy. Grens zerwał się z fotela, żeby do niej podbiec, ale nie zdążył i chwilę potem stało się to, co musiało się w tej sytuacji stać: jeden z policjantów wycelował i zastrzelił kobietę z pistoletem, którą ujrzał w oknie.

Trafiona pociskiem Amelia upadła w ramiona Grensa.

KOMISARZ OBJĄŁ JEJ MARTWE ciało i delikatnie pogłaskał ją po ciepłym policzku.

Jej głowa ciężko opadła na jego ramię.

Znowu będzie musiał wynieść ją z mieszkania.

WIELKIE PODZIĘKOWANIA OD AUTORA

Lars Lagergren – dziękuję Ci za informacje na temat kanałów postrzałowych, sposobów ratowania życia i inną wiedzę medyczną, która jest niezbędna w każdym thrillerze.

Calle Thunberg – dziękuję Ci za informacje o tym, jak najlepiej otworzyć sejf i zakłócić pracę kamer monitoringu, jak również za wiedzę o wszystkim, na czym tak dobrze się znasz.

Petra Cabbe – dziękuję Ci za informacje o tym, w jaki sposób ścigany infiltrator zamienia się w zapracowanego księgowego i przeżywa.

Lars Zernell – dziękuję Ci za odpowiedzi na wszystkie moje pytania dotyczące kwestii technicznych, które w książce powinny być przedstawione we właściwy sposób, a na których ja – co szczerze muszę przyznać – niewiele się znam.

Stefan Thunberg – dziękuję Ci za pomysłowość i kreatywność; posiadasz umysł, którym niewielu może się pochwalić.

Fia Roslund – dziękuję Ci za to, że jesteś u mojego boku w czasie całego procesu pisania książki.

Niclas Breimar, Ewa Eiman, Daniel Mattisson, Emil Eiman-Roslund – dziękuję Wam za mądre spostrzeżenia i uwagi do tekstu.

Karin Wahlén – dziękuję Ci za to, że nadal trzymasz Grensa i Hoffmanna w garści, gdy spotykają się z nowymi czytelnikami.

Szczególne słowa podziękowania kieruję do moich agentów literackich, Niklasa Salomonssona i Tora Jonassona – za to, że prowadząc moje sprawy, za każdym razem wykazujecie się dużymi kompetencjami w wielkim świecie międzynarodowej branży książki i filmu.

Szczególne słowa podziękowania należą się też Martinowi Ahlströmowi, który dba o to, aby moje książki trafiały bezpośrednio do czytelników, mojej redaktorce, Karin Lundwall, a także mojemu wydawcy, Danielowi Sandströmowi – za Waszą niezwykłą wiedzę i mądrość.